

Steven
Hartov



Nylonowa
ręka Boga

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

Steven Hartov

TŁUMACZYŁ DARIUSZ BAKALARZ

Nylonowa ręka boga

Tytuł oryginału **The nylon hand of God**

*Dla Ala Zuckermana, mojego agenta za linią frontu
Zlitujcie się, przyjaciele, zlitujcie, gdyż Bóg mnie dotknął swą ręką.
Hiob 19:21*

Podziękowania

Oto osoby, którym należą się podziękowania: podpułkownik w stanie spoczynku Szaul Dori, Ori Slonim, specjalny doradca premiera Izraela, brygadier Yigal Presler, doradca premiera do spraw zwalczania terroryzmu, pułkownik w stanie spoczynku Renan Gissin, starszy sierżant Didi Lehman, Yaakov „K”, Fred Pierce, dr Donald Drouin, detektyw Tim Connelly z NYPD, *Erster Polizeihauptkommissar* Bernd Pokojewski, Eric Sabbe, dr David Th. Schiller, starszy sierżant Jerry Ginder, major Robert Oles, Mustaffa, Clarie Wachtel i, oczywiście, prawdziwa Ruth.

Powieść została oceniona przez cenzurę Izraelskich Sił Zbrojnych.

Prolog

Nowy Jork, listopad 1992 roku

Mosziko Ben-Czecho wiedział o zbliżającej się śmierci, lecz nie zamierzał poddać się wstydliwemu uczuciu strachu.

Właściwie nie istniało żadne zagrożenie, nie było powodu do niepokoju, a rosnący lęk zamierzał zamknąć na klucz w kąci umysłu zarezerwowanym dla fantazji, przesądów i słabości. Zatrzasnął drzwi do swojej podświadomości przed tą jadowitą zmiją, aby nie było jej widać, czuć, ani słyszeć jej natrętnego syczenia. Ignorował obawy tak, jakby w ogóle się nie pojawiły.

A jednak strach istniał. Jak mdlący zapach naelektryzowanego powietrza, kiedy zbliża się burza. Jak trzepot ptasich skrzydeł w mroku, rozlegający się nawet wtedy, gdy ostrożnie stawiane kroki wielkiego drapieznika nie łamią ani jednej gałązki z podszycia.

Mosziko rozumiał - został odpowiednio przeszkolony - że ta kwintesencja strachu stanowi fizjologiczną reakcję na pewien rodzaj bodźca z otoczenia. Umysł, rezygnując z własnej logiki, ostrzegał ciało przed możliwością zagłady.

Nadnercza już dodawały sił mięśniom, wstrzykując w nie adrenalinę. Rosnący puls serca powiększył napływ tlenu do maksimum. Rozszerzyły się źrenice, aby wpuszczać więcej światła. Kanały słuchowe nastawiły się na wyłowienie delikatnych dźwięków, a receptory zapachu wyczuliły się na najdrobniejsze cząsteczki trafiające z oddechu napastnika do atmosfery, i nawet krew odpłynęła mu z kończyn, a naczynia krwionośne zwężyły się, by cięcie ostrzem lub przebicie kulą nie spowodowały gwałtownego krwotoku.

Ciało potrzebowało na przygotowanie zaledwie paru milisekund, a teraz przyszedł czas na następną fazę. Na fazę decyzji.

Walczyć albo uciekać.

Mosziko Ben-Czecho był oficerem bezpieczeństwa w izraelskim konsulacie, nie posiadał więc luksusu wyboru. Nie mógł uciekać. A ponieważ ogarniający go jak febra strach nie wynikał z jakiegoś dostrzegalnego niebezpieczeństwa, Mosziko postanowił powściągnąć swoją intuicję.

Uznał, że dzisiaj absolutnie nie znajduje powodów do strachu. Dzień jak co dzień

- późnojesienny poranek stanowiący lustrzane odbicie setek innych. Nie uległ zmianie żaden z rutynowych zwyczajów konsulatu, na korytarzach ani razu nie włączył się alarm, żaden kryzys dyplomatyczny nie pojawił się przez cały, długi, pracowity tydzień zmierzający ku szabasowi. Owszem, Mosziko z uwagi na swój zawód stanowił potencjalny cel dla zamachowców. Lecz, niczym pilot-oblatywacz, od dawna żył / tą obawą, nauczył się więc ją ignorować.

Konsulat oraz Stała Misja przy ONZ zajmowały pięć pięter typowego dla Manhattanu drapacza chmur przy Drugiej Alei. Było to zwyczajne, izraelskie biuro rządowe przeniesione w zachodnie warunki. Ściany działowe zbudowano z otynkowanego betonu, na podłogach płytki PCV, które wyglądały jak kupione na wyprzedaży

w hurtowni. Na ciężkich, podniszczonych, drewnianych biurkach stały kubki po herbacie, ponieważ się niedopałki i trudno byłoby znaleźć dwa jednakowe krzesła.

Na poplamionych palcami ścianach jedyną ozdobę stanowiło kilka zestarzałych, wyglądających jak listy gończe z amerykańskich posterunków policji, czarno-białych zdjęć przedstawiających wiekowych mężów stanu i pracowników kibucu.

Zgodnie z politycznymi trendami konsulat był obiektem niezwykle strzeżonym i przypominał przyczółek pogrążonego w wojnie kraju, wtopiony w architekturę potężnego sprzymierzeńca. Pełno tu było tajnych przejść i dróg ewakuacyjnych, a także obserwujących każdy zakątek kamer wideo oraz urządzeń prześwietlających promieniami rentgena odbierane przesyłki pocztowe. W szufladach biurek znajdowało się więcej pistoletów niż w rezydencji

kolumbijskiego barona narkotykowego.

Na tej wyspie miłości i paranoi serdecznie przyjmowano przyjaciół, rewidując ich równocześnie w poszukiwaniu ewentualnych wrogów. Ta druga czynność - nieprzyjemna, lecz konieczna - należała do obowiązków Mosziko.

Mijało ostatnie dziesięć minut jego służby na trzynastym piętrze budynku. Na trzynastym piętrze - pierwszym, które należało do konsulatu - znajdowały się drzwi. Wchodzili przez nie Izraelczycy pragnący odnowić paszporty, obcokrajowcy składający wnioski o wize oraz rodzice młodych, amerykańskich Izraelczyków błagający

o zwolnienie ich synów ze służby wojskowej (zakłopotani chłopcy zwieszali zazwyczaj głowy i wpatrywali się w czubki butów). Przyjmowanie klientów ograniczało się do tego terenu, ponieważ wyższe piętra stanowiły enklawę dyplomatów, tam też znajdowały się centra komunikacyjne ochrony oraz ciche kryjówki oficerów Mossadu, ukrywających się pod szyldem radców ekonomicznych.

Stanowisko Mosziko znajdowało się na pierwszej linii obrony, gdyż żaden z gości - czy to zwykły goniec, czy doradca prezydenta z Białego Domu - nie mógł tak po prostu wejść do konsulatu. Podwójne drzwi windy pasażerskiej otwierały się na przestronną poczekalnię oraz pomieszczenie ochrony. Poczekalnia wyposażona została w plastikowe krzesła, zapchane popielniczki i oprawione w tanie ramki plakaty propagandowe Ministerstwa Turystyki, oraz maszt z izraelską flagą. Po drugiej stronie zdeptanego, niebieskiego dywanu, na przeciwległej ścianie dominowały dwuskrzydłowe stalowe drzwi zabezpieczone elektromagnetycznym zamkiem. Tuż obok znajdowało się duże okienko z kuloodpornego szkła.

Okienko było w tym obiekcie czymś nowym i stanowiło wynik zatargu pomiędzy Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Służbą Bezpieczeństwa Ogólnego, znaną pod hebrajskim skróttem Szabak. Poprzednio wszyscy goście musieli złożyć coś w rodzaju ukłonu przed obserwującymi ich kamerami i byli przesłuchiwani przez interkom. Według Szabaku to poniżenie wywierało pożądany efekt psychologiczny. Dyplomaci jednak skutecznie przekonali ich, że choć kraj teoretycznie znajduje się w stanie wojny z dwudziestoma krajami arabskimi oraz z ugrupowaniami terrorystycznymi, to nie może prezentować się światu jak więzienie o zaostrzonym rygorze. W światowych środkach masowego przekazu na pierwszy plan wysunął się proces pokojowy,

1 konsulaty, choć były małymi fortecami, jednak nie powinny za takie uchodzić.

Nowojorscy oficerowie Szabaku nienawidzili tego „akwarium”. Tak jak wszyscy inni członkowie zespołu, Mosziko cierpiał, gdy pełnił służbę, siedząc za szybą niczym samotny kasjer bankowy pilnujący Fort Knox. Nie wierzył, iż kuloodporne okno może

stanowić jakąś ochronę. Widział w Libanie, co zwykły granat przeciwpancerny może zrobić z opancerzonym samochodem.

Siedział po izraelskiej stronie za kontuarem w małym, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Na rzędzie monitorów widział pozostałe części obiektu. Do gości w poczekalni mógł mówić przez umieszczony na kontuarze mikrofon, obok którego znajdował się czerwony aparat telefoniczny oraz przycisk z napisem ALARM. Z tego, co wiedział, żaden szabaknik nigdy go nie naciskał, bo równało się to włączeniu syreny w bazie Sił Powietrznych, w której stacjonują bombowce strategiczne.

Pod oknem wmurowana była w beton stalowa szuflada, przez którą można było przyjmować z zewnątrz paszporty lub dokumenty identyfikacyjne. Poniżej wylaniał się z cienia rząd fotografii z wizerunkami aktywnych, antyizraelskich terrorystów. Nie byli to politycy w rodzaju George'a Habasza czy Ahmeda Jabrila, ale ludzie biorący udział w napadach, zamachach bombowych i strzelaninach. Mosziko często na nich spoglądał, nie traktując ich jednak jako wrogów, lecz przeciwwagę uzasadniającą jego istnienie.

W kaburze przypiętej do pasa trzymał *Berettę* kalibru 0,22 cala. Skuteczność pistoletu

budziła wątpliwość, ale w niewielkich pomieszczeniach konsulatu pocisk kalibru 9 mm łatwo mógł przedziurawić terrorystę i przy okazji zabić jakiegoś pechowego nowojorczyka, zgłaszającego się dobrowolnie na zbiór bananów w kibucu.

Pośród szabakników krążył dowcip o zaprojektowaniu kuli, która zabijałaby terrorystów, raniła dyplomatów, a każdego innego omijała. Ludzie ci nie traktowali swoich obowiązków zabawowo, lecz, jak przy każdym niebezpiecznym przedsięwzięciu, potrzebowali odrobiny rozluźnienia. W każdej sekundzie swojej służby pozostawali czujni jak gazy. Rutyna męczyła, ale odrobina nieuwagi mogłaby spowodować śmierć tych, których ochraniali, lub ich samych.

W ciągu roku pracy Mosziko w konsulacie nie zdarzyło się właściwie nic szczególnego. Przysłany kilka miesięcy temu do konsula generalnego ładunek wybuchowy natychmiast wykryto i unieszkodliwiono. Pewien zagorzały zwolennik Louisa Farrak-hana wyszedł kiedyś z windy wymachując plastikowym pistoletem, który na szczęście odrzucił, zanim został postrzelony przez Mosziko i jego dwóch kolegów. Nie działało się nic, co mogłoby w najbliższej przyszłości zagrozić jego ciału, nie rozumiał więc, czemu serce mu bije, jakby przebiegł tor z przeszkodami w Wingate.

Miał już kiedyś podobne przeczucie, tuż przed powrotem do domu z wyprawy, podczas której leżał w zasadzce przygotowanej nieopodal Marj Ayoun. Tak, to takie samo niemądre wrażenie, jakie może mieć pilot, któremu zbyt wiele razy gładko poszło lądowanie - podskórne przeczucie, że karta może się odwrócić.

Siedząc na obrotowym krześle, przyjrzał się swym dłoniom leżącym na blacie. W pomieszczeniu było ciepło, lecz jemu drżały koniuszki palców, a lewe kolano podskakiwało pod wpływem poruszającej się stopy.

Żeby stłumić przeczucia, wymuszał na sobie pozorny spokój, wspominając nauki swoich instruktorów. Ciało to nie świątynia. To niewolnik, nad którym trzeba zapanować. Zaczął oddychać przeponowe - głęboko wciągał powietrze i powolnym wypuszczaniem obniżał puls serca. Zacisnął palce, zmuszając je do spokoju, tak jak co tydzień czynił to na strzelnicy w Nassau.

- Hej, Yogi, postaraj się nie zasnąć jeszcze przez te dziesięć minut.

Mosziko prawie spał z krzesła, lecz szybko udało mu się odzyskać równowagę. Spojrzał do góry i zobaczył odbitą w szybie twarz swojego szefa. Ubrany w ciemną koszulę i kwiecisty krawat Hannan Bar-El, niski, muskularny czterdziestolatek, stał za plecami Mosziko w wejściu do pomieszczenia.

- Praktykowałem *Krav-Maga* - powiedział Mosziko, składając dłonie w pierwszej pozycji walki wręcz.

- Tylko nie stłucz czegoś drogiego - ostrzegł żartobliwie Bar-El. Szef Szabaku w Nowym Jorku nie był człowiekiem zbyt pogodnym. Mosziko jednak należał do jego ulubionych podwładnych. -I wpuść tych biednych, zagubionych Rosjan. Do zobaczenia w poniedziałek. - Gdy Bar-El zamykał drzwi, Mosziko kiwnął do niego ręką.

Spojrzał przez okienko na pięcioro interesantów w poczekalni. Rodzina Rosjan: młodzi rodzice i dwójka brzdąców, wyglądających w zimowych ubrankach jak małe, zapasione misie. W dzisiejszych czasach większość rosyjskich Żydów marzy o Ameryce, a ta tutaj rodzina z Manhattanu zatęskniła za Jerozolimą. Mosziko również był repatriantem i wzruszał go taki naiwny idealizm.

- Pan Penkovsky? - zapytał po angielsku, włączając mikrofon. - Proszę wejść. - Nacisnął guzik, zabrzączał magnetyczny zamek i Rosjanie weszli przez drzwi z taką radością, że Mosziko poczuł się przez chwilę jak bileter w Disneylandzie.

W poczekalni pozostała dziewczyna wyglądająca na dwadzieścia lat. Ubrana była w jasnożółte kozaczki, kurtkę i niebieską, wełnianą czapkę narciarską. Zdjęła czapkę i, rozpuszczając rude włosy, uśmiechnęła się. Pokiwał do niej ręką.

Spojrzał na zegarek.

Sześć minut.

Napięcie powoli mijało i Mosziko pozwolił sobie na rozmyślanie o przeszłości. Melancholię zastąpiła po chwili nadzieja związana z niezbyt odległą przyszłością. Wkrótce Mosziko skończy karierę szabaknika i zajmie się czymś bardziej obiecującym...

Dość dawno temu zdał sobie sprawę, że nie może liczyć na błyskotliwą karierę w izraelskim wywiadzie. Urodził się w Czechosłowacji jako Mosze Kubis - syn goja i Żydówki, co według zasad biblijnych czyniło go członkiem Rodu. W wieku siedemnastu lat wyemigrował do Izraela i, rozpoczynając nowe życie, zhebraizował swoje nazwisko.

Kiedy Mosziko (zdrobnienie starotestamentowego imienia Mojżesz) zakończył trzyletnią, obowiązkową służbę wojskową pełnioną w brygadzie piechoty na Wzgórzach Golan, złożył podanie o przyjęcie do izraelskiego wywiadu wojskowego -AMAN-u. Prawie natychmiast okazało się, iż wyklucza go pochodzenie z bloku wschodniego, lecz dopisało mu szczęście, gdyż jego podanie rozpatrywał między innymi major Benjamin Baum - dziecko holokaustu.

- Kubis? - Baum podniósł brwi, przeglądając akta Mosziko. - Tak jak Jan Kubis?

- To mój stryjeczny dziadek - mruknął Mosziko z niechęcią.

- Mój chłopcze. - Baum był oszołomiony tym spotkaniem. Oprócz służby w AMAN-ie, zajmował się amatorsko historią czasów wojny. Jan Kubis uchodził za czechosłowackiego bohatera. Jako sierżant został zrzucony zimową nocą 1941 roku na spadochronie przez brytyjski wywiad do czeskich lasów. Pełnił on kluczową funkcję w tajnej misji o kryptonimie Anthropoid. Kubis brał również udział w zor-

ganizowaniu zamachu, w wyniku którego śmiertelnie raniono Obergruppenfuhrera SS Reinharda Heydricha - nazistowskiego rzeźnika Pragi. Potem zginął w strzelaninie z Gestapo.

Baum umieścił Mosziko w oddziale do działań specjalnych, a także znalazł mu miejsce przy szabasowym stole w swym jerozolimskim domu. Nie dało się jednak całkowicie ominąć przepisów służb wywiadowczych i, kiedy stało się jasne, że restrykcje nie pozwolą przeżyć Mosziko takich przygód w wywiadzie, na jakie liczył, major pomógł mu przenieść się do Szabaku.

Tak jak brytyjski MI-5 czy amerykańskie FBI, Szabak zajmował się kontrwywiadem. Odpowiedzialny był jednak także za wyszkolenie strażników ochraniających pasażerów lotów linii El Al, terminale lotniskowe i konsulaty za granicą. Młodzi mężczyźni, świeżo po służbie wojskowej, często zostawali funkcjonariuszami ochrony (w slangu nazywano ich *pistoleros*) z powodów nie tylko patriotycznych. W ten sposób mogli zwiedzić świat, posmakować kobiet za granicą i zaoszczędzić parę szekli. Niektórym udawało się awansować na stanowiska regionalnych szefów bezpieczeństwa, inni powracali nawet do Tel Awiwu i robili karierę w Centrali. Mosziko jednak nie dał się już omamić takim złudzeniom.

Miał natomiast pewien prywatny sekret, którym nie dzielił się ze swymi współpracownikami, i czasami doskwierały mu z tego powodu wyrzuty sumienia. Zamierzał zrezygnować ze służby. Co gorsza, planował zostać w Nowym Jorku i zapisać się na uniwersytet, co już zakrawało na zdradę.

Powodem tego wszystkiego była Kathleen.

Spotkali się na przyjęciu z okazji święta Halloween, na które Mosziko został zaproszony przez swego nowojorskiego przyjaciela studiującego na uniwersytecie. Owego deszczowego wieczoru pojechał na przyjęcie prosto z pracy i, w przeciwieństwie do innych gości, nie miał żadnego przebrania - nawet zwykłej plastikowej maski.

Kathleen miała długie brązowe włosy, skórę jak irlandzka śmietanka, a jej piegowaty nosk wystawał spod różowej maski bandyty. Miała też purpurową sukienkę oraz magiczną różdżkę. Podeszła prosto do Mosziko i dotknęła go różdżką w głowę.

- A ty kim niby masz być?

Mosziko ze szklanką wódki w dłoni, pobrzękując lodem, przeciskał się przez tłum gości, a

REM grał „Losing my religion”. Czując, że coś różni go od anonimowych kostiumów, odpowiedział spontanicznie i nie do końca rozsądnie:

- Tajnym agentem.

- O, naprawdę? - Oczy spod maski zlustrowały go uważnie. - Więc gdzie twój kostium?

Odpowiedział nadzwyczaj nieprofesjonalnie, lecz akurat w tym momencie zdał sobie sprawę, że i tak nie zrobi kariery w wywiadzie. Rozsunął poły marynarki, pokazał pistolet w kaburze na prawym biodrze, a potem zapiął marynarkę i uśmiechnął się.

- No, no. - Przez długą chwilę Kathleen stała nieruchomo, a potem zdjęła maskę z twarzy.

- Skąd się tu wzięłaś?

Mosziko jednak nie dosłyszał pytania, gdyż zahipnotyzowały go jej oczy. Później tysiące razy odtwarzał w myślach wspomnienia z tamtego wieczoru. Jej małe miesz-

kanie, wspomnienie jej palców, wilgoć odpinanego wełnianego płaszcza, jej oddech na uchu i chłodną skórę nabierającą ciepła pod jego dotykiem.

W Izraelu nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był podobny do wszystkich innych młodzieńców. Tam prawie każda dziewczyna obok szminki w torebce nosi pistolet.

Tutaj natomiast był dla Kathleen Jamesem Bondem. Nie mogła się nim nasycić...

Mosziko zdał sobie sprawę, że na kilka chwil popuścił wodze fantazji, marzenia stały się tak realne, że musiał założyć nogę na nogę i przechylić się do przodu, żeby ukryć dowód swojego erotycznego entuzjazmu. Dość krępujące byłoby iść podpisać listę ze wżgórkim na spodniach i rumieńcem na twarzy. Musi odłożyć te sprawy na później. Planowali z Kathleen wyskoczyć na weekend do pewnego zajazdu na południowym wybrzeżu Connecticut.

Podwójne drzwi windy otworzyły się i, gdy przez chwilę nikt się nie pojawiał, powróciło uczucie niepokoju. Zacisnął palce na blacie kontuaru. Spojrzał przez szybę, a potem rzucił okiem na zegarek. Jedna minuta. Dochodziła niemal dwunasta trzydzieści w południe. Żadnych interesantów po wpół do pierwszej. Żadnych.

Żachnął się na swoją głupotę, gdy w poczekalni zauważył mężczyznę. Był to chasyd - ortodoksyjny Żyd w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie, z długimi pejsami. Z krzaczastej brody spadały na dywan krople deszczu. Od szyi aż do kostek postać chasyda okrywał czarny wełniany chałat.

Jeszcze jeden zabytek z dziewiętnastego wieku, pomyślał z ulgą Mosziko. Równie niebezpieczny jak głodny pudel. Mężczyzna rzeczywiście wyglądał jakby zszedł wprost z brukowanej ulicy starego polskiego *sztetl*.

Wyjątek stanowiły buty. Czy dzisiaj jest jakieś religijne święto? - zastanowił się Mosziko. Mężczyzna miał na stopach przemoczone, płócienne buty do gry w koszykówkę. W dawnych czasach przestrzegano religijnej zasady, aby określonego dnia w roku nie nosić nic, co byłoby zrobione ze zwierzęcej skóry.

Chasyd przemierzał powoli odległość pomiędzy drzwiami i okienkiem, a Mosziko badawczo przyglądał się jego twarzy. Przez cały tydzień przeszły tędy setki takich ludzi, przygotowujących się do pielgrzymki do Jerozolimy. Jeśli wypadło im długo czekać w sekcji paszportów, często można ich zastać modlących się i owiniętych w tałas.

Mosziko uważnie wpatrywał się w rysy twarzy chasyda. Szeroki, płaski nos, skóra nie do tego stopnia blada, jakiej można by się spodziewać u ludzi spędzających czas w mrocznych pomieszczeniach nad modlitewnymi księgami.

I jeszcze coś. Żółte linie na białkach ocznych oznaczały przebytą żółtaczkę. Oczy błyszczały i patrzyły nieruchomo przed siebie. Było to spojrzenie puste, beznamienne.

Człowiek oddany Bogu, uznał Mosziko. Mimo że chasyd miał zaciśnięte usta, jego wargi drgały w bezwiednych skurczach.

Przybysz zatrzymał się pół metra przed okienkiem. Rudowłosa dziewczyna w poczekalni podniosła wzrok znad kieszonkowego wydania książki. Mosziko wziął do ręki mikrofon.

- Szalom. Czym mogę służyć? - zapytał po angielsku.

Chasyd nie poruszył się. Nozdrza miał jeszcze zarumienione od oddychania] chłodnym powietrzem.

Mosziko odchrząknął.

- *Efszar lazohr l'cha?*- zapytał o to samo po hebrajsku. Być może chasyd urodził się w Izraelu, na Brooklynie przyjechał tylko z wizytą i teraz, aby powrócić do domu, potrzebuje odnowić paszport.

Żadnej odpowiedzi.

Mosziko zastanawiał się już, czy wezwać Bar-Ela, kiedy chasyd powolnym ruchem sięgnął do kieszeni chałatu i wyjął złożoną kartkę.

Boże, to głuchoniemy. Mosziko przesunął szufladę na stronę tego biedaka, który wrzucił kartkę do środka. Potem Mosziko z powrotem przyciągnął szufladę, wyciągnął kartkę i rozłożył ją. Pismo było nierówne, jak gdyby kreślone artretyczną dłonią. Dużymi hebrajskimi literami napisane zostały tylko dwa słowa, lecz trudno było odczytać ich znaczenie. Czy to imię i nazwisko? A może to w jidysz?

Gdy powtórzył zwrot na głos, poczuł wstrząs na całym ciele.

- *Allach Akbar*. Bóg Jest Wielki. Wojenne zawołanie islamu.

Mosziko poderwał głowę, lecz krzyk ugrzązł mu w gardle. Widział przyciśniętą do szyby, naznaczoną kropelkami deszczu lub potu twarz chasyda. Usta rozciągały się w uśmiechu. Dwa rzędy owiniętych srebrnymi drucikami zębów otaczały poruszający się język. Mężczyzna próbował powiedzieć coś, czego nie było słychać.

Mosziko zauważył, że chasyd wsuwa dłoń pod połę chałatu i zaciska palce na plastikowej płytce. Całą siłą nabrzmiąłych adrenaliną mięśni Mosziko odepchnął się od kontuaru i rzucił do tyłu.

Wiedział jednak, że jest już za późno.

Chałat musiał stanowić dla chasyda nie lada ciężar, gdyż ważył ponad dziesięć kilogramów. Podbity był czterdziestoma paskami *Semtexu-B* - wyprodukowanego w czechosłowackiej fabryce materiału wybuchowego, spalającego się z prędkością ponad siedem tysięcy metrów na sekundę.

Detonator stanowiła sponka z fulminianu rtęci, połączona z trzema innymi sponkami, schowanymi w paczce po Marlboro wsuniętej do wewnętrznej kieszeni chasyda. Guzik chałatu łączył się za pomocą drucika ze sznurem spustowym, który zamykał prosty zasilany bateriami obwód elektryczny.

Chasyd zniknął w słońcu bijącego żaru rozpuszczającego kości - jego oraz rudowłosej dziewczyny. Trzeba przyznać producentowi, że szyba kuloodporna została solidnie wykonana: w całości wyleciała z framugi i wcisnęła się do pomieszczenia Mosziko niczym ogromny tłok.

I w tej ostatniej mikrosekundzie, zanim świat spowiła czerń, zanim ciało zderzyło się z drewnianymi drzwiami i przeleciało przez nie, Mosziko uświadomił sobie, że powinien był posłuchać instynktu.

Część pierwsza

Wieprze

• **Jerozolima**

Podpułkownik Benjamin Baum w zamyśleniu przyglądał się kamiennym wieżyczkom soboru Świętej Trójcy, oświetlonym zachodzącym, zimowym słońcem. Każdą z nich wieńczyła zielona ceramiczna kopuła i z każdej wbijał się w wieczorne niebo pozłacany krucyfiks. Jednak to nie masywna architektura przykuwała wzrok Bauma. Podpułkownik obserwował rzadko widywany śnieg, zalegający na okapach i podkreślający strukturę budowli oraz ten - z pewnością niezwykły - dzień zmierzający ku końcowi, podobnie jak kariera Bauma w armii.

Ciężką dłonią narysował kółko na pokrytej parą szybie okna swego gabinetu i po raz

kolejny stwierdził, że cerkiew przypomina wyciągniętą do góry dłoń chrześcijańskiego prawosławia tonącego w morzu judaizmu. Sobór stał w centrum zakątka Jerozolimy zwanego Zaułkiem Rosyjskim na cześć pielgrzymów ze Wschodu, którzy niegdyś szukali tutaj schronienia. Sama cerkiew stanowiła uparty przejaw anachronizmu, ponieważ obecnie na Zaułek składał się cały szereg innych budynków, których lokatorzy z o wiele mniejszą chęcią podchodzili do Boga, niż krążący po nawach popi z kadzidłami.

Niskie parterowe budowle zachodniej części Zaułka mieściły pokoje przesłuchań, centra łącznościowe oraz ciemne, budzące grozę cele należące do Policji Państwowej. We wschodnim skrzydle wysokie kamienne izby sądu odbijały echem uderzenia młotków zatwierdzających bezlitosne wyroki, jakie sędziowie wydawali na terrorystów i złodziei.

Natomiast na południu, pośród kolejnej grupy urzędowych budynków pokrytych mosiężnymi dachami, chroniącymi kapryśnych interesantów, wciąż miał swą tymczasową siedzibę Wydział Operacyjny, wchodzący w skład Izraelskiego Wywiadu Wojakowego. Po pięciu latach oczekiwania, personel Wydziału Operacyjnego AMAN-u -oficerowie, analitycy, jasnowidze, strażnicy, sekretarki i dozorczy - przestał już marzyć o obiecanej nowej siedzibie. Być może kiedyś stanie gdzieś na przedmieściach Tel Awiwu nowoczesny gmach ze stali i szkła, z wybitymi pluszową wykładziną gabinetami. Biorąc jednak pod uwagę realia izraelskiego przemysłu budowlanego, z jego strajkami i opóźnieniami, oraz zważywszy na fakt, że najlepszymi robotnikami w kraju są Palestyńczycy, którym nie wolno brać udziału w realizacji tak newralgicznych przedsięwzięć, większość ludzi Wydziału Operacyjnego z rezygnacją zaczęło nazywać Jerozolimę swoim domem.

Benniego Bauma bynajmniej nie ekscytowała obietnica nowej nadmorskiej siedziby, ponieważ dla niego domem zawsze była Jerozolima. Przybył tutaj będąc dzieckiem wychowanym w obozach koncentracyjnych, a cudownie zalane słońcem wzgórze, miejskie aleje, ludzie w sandałach i szortach oraz powiew gorącego powietrza niosące-

go kurz pustyni i zapach sosen, stanowiły dla niego pierwsze z zapamiętanych wrażeń. Istnieją na świecie miasta, których nie dotyczą uciążliwości pewnych pór roku, jak teraz wspominał Baum, kiedyś, aż do pierwszego poznanego listopadowego chłodu,

wydawało mu się, że Jerozolima obdarowana została nigdy nie kończącą się słoneczną pogodą. Wyobrażenie takie w swej większości stanowi prawdę - cienie rzucane przez bezchmurne, lazurowe niebo, liście palm kiwające się nad głowami izraelskich piękności o śniadych cerach, magiczne, półprzezroczyste, białe marmury z różowymi żyłkami, jasne dni sześciomiesięcznego lata. I nawet nadchodząca zima ledwie mieści się pomiędzy słonecznymi dniami, które w każdej chwili mogą powrócić.

Jednak raz do roku nadchodził czas, kiedy Baum cieszył się jak dziecko, kiedy Bóg jakby nie mógł się powstrzymać od machnięcia pędzlem - czas, kiedy padał śnieg. Owego dnia Jerozolima stawała się podobna do sułtańskiego pałacu z piaskowca ustawionego na obłoku ze śmietany.

- Przechodzisz na chrześcijaństwo, Baum? Powiedz mi od razu, żebym mógł obniżyć ci stopień dostępu do tajemnic.

Wypowiedziane dudniącym głosem słowa generała dywizji, Itzika Ben-Ziona, odbiły się echem od ścian gabinetu Bauma. Benni westchnął, lecz nie odwrócił się od okna.

- Właściwie modliłem się o wstrzymanie procedury. Nie zmawiałem modlitwy w żadnym konkretnym obrządku.

Spojrzał na dłonie, w których trzymał plik kartek - raportów pisanych w trzech egzemplarzach. Nikomu nie były potrzebne, wszystko zapamiętywały komputery. Baum jednak miał pewność, że nadejdzie ta wspaniała chwila, kiedy twarde dyski rozlecą się w pył i, dopóki w tym bałaganie nie zapanuje porządek, ludzie rzucą się na wieczne pióra.

- Nikt nie zmusza cię do odejścia, Baum.

Benni odwrócił się od okna i stanął twarzą w twarz ze swym dowódcą. Owszem, decyzję o

odejściu na emeryturę podjął z własnej woli, lecz nie brakuje takich, którzy ucieszą się z jego ustąpienia.

Wchodząc do gabinetu generał schylił głowę, aby nie zawadzić o framugę. Był najwyższym ze znanych Baumowi oficerów i już tym samym budził respekt. Na głowie pełnej sztywnych, czarnych włosów pojawiła się siwizna, wydatny nos, czarne oczy i krzaczaste brwi pogłębiały wrażenie obcowania z przerośniętym jastrzębiem. Kręgi pod oczami z roku na rok stawały się ciemniejsze, lecz zmarszczki pozostawały płytkie, jak gdyby generał zachowywał młodość stosując zalecenie dyktatorów mody - nie uśmiechaj się, dopóki nie musisz.

Itzik cenił awanse oraz władzę i pożądał ich. Zyskiwał i jedno, i drugie, lecz równocześnie tracił dobre samopoczucie. Owszem, został w końcu generałem, lecz opuściła go żona, a dzieci wołały trzymać się od niego z daleka.

- Miałem na myśli operację Księżyc. - Benni powstrzymał się przed ironicznym uśmiechem. Oficerowie AMAN-u noszą zazwyczaj cywilne ubrania, lecz Itzik, odkąd został generałem, praktycznie nie rozstawał się z mundurem.

- Na to teraz już za późno. - Ben-Zion oparł pięści na biodrach. - Misja jest w toku.

- Powinniśmy rozpatrzeć ją raz jeszcze.

- Rozpatrywaliśmy ją tysiące razy. Nie dobija się darowanego konia.

- Chyba pomieszalesz powiedzenia. - Benni pożałował swej uwagi, gdy tylko wyrwała mu się z ust. Prowokowanie Itzika stanowiło jego głupi nawyk, którego nie mógł się pozbyć, i z tego między innymi powodu opuszczał AMAN jako podpułkownik, podczas gdy ludzie młodszy od niego o dwadzieścia lat nosili już na pagonach trzy gwiazdki. *m*

- Znow to samo, Baum. - Generał wyciągnął palec w stronę Bauma, a on opuścił głowę w niemych przeprosinach. - Lecz tym razem ty i twój współnik nie wykołujecie mnie.

Benni wzruszył ramionami. Itzik najwyraźniej jeszcze czuł gorycz z powodu niedawnego odrzucenia jego propozycji. Zamierzał wysłać na zachodnią pustynię Iraku zespół zwiadowczy, aby upewnić się, co Saddam Husajn może zdziałać swoimi *Scudami*. Baum i jego wieloletni partner Eytan Eckstein podczas burzliwej dyskusji podważyli ten projekt, udowadniając, że istnieje zbyt duże zagrożenie dla ludzkiego życia i lepiej będzie porozmawiać z Amerykanami o satelitarnej obserwacji tego terenu.

Nie po raz pierwszy powstrzymali Itzika od wprowadzenia w życie jego projektów. Niemniej sukcesy Bauma i Ecksteina miały niemały wpływ na reputację generała, więc bez wątplenia ogarniały go mieszane uczucia dotyczące odejścia Bauma.

- Powinniśmy dokładniej przyjrzeć się operacji Księżyc - powiedział Benni, potrząsając plikiem papierów. - Nie mogę pojąć, dlaczego druga strona tak się niepokoi.

- To już nie należy do ciebie. - Itzik trzymał palec wymierzony w nos Benniego. Potem schował rękę do kieszeni i powiedział: - Odsunięty od wszystkich zadań. - Był to znany w izraelskich siłach obrony zwrot ucinający dalszą dyskusję. Generał odwrócił się do wyjścia, lecz nagle przypomniał sobie, po co przyszedł. - Aha, rozpatrzyłem twoją prośbę o ściągnięcie Ecksteina z Afryki. Załatwiona odmownie.

- Mogę zapytać, dlaczego?

- Sam dobrze wiesz. We dwójkę stanowicie groźną parę.

- Dla kogo groźną? - Benni pożałował, że znow nie ugryzł się w język, lecz w obecności Itzika myśli z mózgu do ust zawsze wędrowały w przyspieszonym tempie.

- Baum, nie zamierzam na ten temat dyskutować.

- Chcesz nas rozdzielić, tak? Jak uczniów rozmawiających na lekcji?

- Nie! - krzyknął Itzik. - Was nie wystarczy przydzielić do innych zadań. Was muszą dzielić całe kontynenty.

- Według mnie Eckstein mógłby nam tutaj bardzo pomóc. - Benni nie podnosił głosu. - Możliwe, że coś przeoczyliśmy.

- Księżyc jest twój! - Itzik nadal krzyczał, choć taki sposób rozmowy przestaje być skuteczny, kiedy go się nadużywa. - Do tej pory sam sobie dawałeś radę i w taki sam sposób doprowadzisz sprawę do końca.

I, żeby Baum nie mógł pokonać go taktyką zdrowego rozsądku, generał wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

- *Ken ha'mefaked*. Tak jest, panie komendancie - mruknął ironicznie Benni. Westchnąwszy jeszcze raz, spojrzął na trzymane w dłoni dokumenty. Miał kłopot z upchnięciem wszystkiego w wypełnionym już do połowy worku przeznaczonym do spalenia.

Odkładanie spraw na później było dla niego czymś nowym i nielubianym. Podchodził zawsze do swych zadań w ten sam sposób, w jaki co weekend grywał w piłkę nożną - nie pozwalał zdyszonym przeciwnikom i zawodnikom z drużyny odsapnąć ani na chwilę. Z łusą głową i odstającymi jak u słonia Dumbo uszami oraz potężnymi barami biegał na czterdziestodwuletnich nogach między chłopakami o połowę młod-

szymi i oddawał się grze - tak samo jak pracy - z łobuzerskim spojrzeniem i szero-ł kim uśmiechem przywodzącym na myśl sprzedawcę *Bratwurst*, którym prawdopodobnie zostałby, gdyby nie wyjechał z kraju swych narodzin.

Nigdy nie odkładał do jutra czegoś, co mógł zrobić natychmiast, choćby nie wiadomo jaki to miało sprawić kłopot. Kilku oficerów AMAN-u nie lubiło go za jego otwartość, chociaż zazdrościli mu sukcesów. Nie było jednak w jednostce osoby, która nie darzyłaby go szacunkiem.

Przez niemal trzydzieści lat pracy w wywiadzie nigdy nie wyobrażał sobie tych ostatnich tygodni. Podobnie jak wszyscy ludzie czynu zakładał, nawet liczył na to, że koniec kariery przejdzie łagodnie. Bez krzyku i bólu.

Ale żeby tak? Kilka bezsensownych dni spędzonych na segregowaniu akt?]

Przynajmniej nie będzie musiał przeżywać tortury rytualnego opróżniania szafki; z butami i mundurami. Jako *kalam*, oficer służb specjalnych AMAN-u, od wielu lat nie nosił munduru. Po raz ostatni miał go na sobie w 1986 roku w gabinecie premiera. Obok niego stał wtedy Eckstein z obiema rękami w gipsie i mruczał coś o medalu od Partii Ukud, w jego mniemaniu będącym ekwiwalentem Krzyża Żelaznego. Wątpliwe wyróżnienie.

Benni podniósł plik papierów i warknął; - *Kfotz!*- niczym instruktor spadochroniarstwa w Tel Not, a potem wrzucił dokumenty do pojemnika na śmieci. Zadowolony z powodu tego drobnego zwycięstwa, oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się dookoła.

Nigdy nie podobał mu się ten gabinet. Był za duży i znajdował się na drugim piętrze, trochę za daleko od żołnierzy. Ben-Zion nalegał jednak, że skoro Baum ma dowodzić Operacyjnym, to podobnie jak reszta musi zasiąść na Olimpie.

Oczywiście Benni zawsze potrafił radzić sobie z nieprzyjemnymi sytuacjami i zawczasu ukrecać im łeb. Jego gabinet błyskawicznie stał się swego rodzaju centrum konferencyjnym, dostępnym dla wszystkich podległych mu *katanim*. Szybko wytworzył atmosferę sali konferencyjnej, gdzie podwładni szperają po aktach i półkach z książkami; wstawił dodatkowe biurka oraz dwa pomalowane na zielono sejfy, na ścianach zawiesił mapy. Był zdania, że oficerom wywiadu lepiej pracuje się w wywołujących klaustrofobię, zadymionych pomieszczeniach. Wygodne sale zachęcają do odsuwania problemów na bok, podczas gdy śmierdzące klitki zmuszają do szukania rozwiązań, aby czym prędzej uciec na świeże powietrze.

Armia Izraela słynęła z egalitaryzmu, rezygnacji z salutowania i wygniecionych mundurów, a Benni podtrzymywał tę tradycję, co znakomicie ułatwiało pracę w terenie. W większości zachodnich krajów żołnierz może spotkać się ze swym dowódcą jedynie po przeciwnych stronach błyszczącego biurka. Benni zastąpił biurko dowódcy stołami ustawionymi w kształt litery T, on pracował u szczytu, a jego oddział siedział na

plastikowych kuchennych krzesłach wokół reszty stołu. Takie ustawienie sugerowało sytuację: „Okay, ja jestem tu szefem. Ale proszę bardzo, możecie ze mną dyskutować.”

Baum nie był w stanie pogodzić się z myślą, że ktoś z jego oddziału mógłby powiedzieć „tak” mając na myśli „nie” lub „świetna myśl”, kiedy chce mu się krzyknąć: „*Hisztagata?* Odbiło ci?”

Często podczas zebrań sadzał na swoim miejscu kogoś innego, a sam siadał z resztą, popijając Colę i krztusząc się gęstą mgłą papierosowego dymu.

Legenda wywiadu głosiła, że pewnego dnia do gabinetu Bauma wpadł z rozkazem generał Ben-Zion i zastał kierowcę pułkownika, ubranego w mundur majora lotnictwa, siedzącego na krześle Bauma z nogami na blacie. Baum, Eckstein i reszta oddziału siedzieli w strojach do piłki nożnej, a w sportowych torbach mieli *Mini-Uzi* i magazynki. Generał wycofał się bez słowa, dochodząc widocznie do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie zignorowanie zdarzenia.

Jednak nieformalny styl Bauma nie przeszkadzał mu w nadzorowaniu swoich ludzi jak szef gangu narkotykowego, a najlepsze pojęcie o etyce jego pracy dawał powieszony na drzwiach znak informujący o robotach drogowych. Żaden grawer nie wykonał dla niego wizytówki, a jedyną oznaką istnienia Bauma była trójkątna czerwona tabliczka. Swego czasu zdjęto ją z zasieków wokół pól minowych na Wzgórzach Golan, co stanowiło wyraźny komunikat dla intruzów: Jeśli nie jesteś zawodowcem i nie wiesz dokładnie, gdzie twoje miejsce... trzymaj się z daleka”.

Nagle otworzyły się drzwi, a Benni zdrtwiał, bo druga wizyta Itzika z pewnością obudzi w nim najgorsze demony niesubordynacji. W środku jednak pojawiła się głowa Raphaela Czernikowskiego.

Niskiego, łysiejącego oficera w okularach nazywano w wydziale Koniem. Należał do najlepszych analityków Benniego. Do jego obowiązków należało przesiadywanie na naradach u Bauma, by pod koniec wdeptywać w ziemię większość propozycji. To zajęcie oczywiście nie przysparzało mu popularności.

- *Szabbat Szalom* - powiedział Koń i wślizgnął się do środka niczym nieśmiały duch. Trzymał w dłoni laptopa, część białej koszuli wystawała mu ze spodni.

- Wzajemnie, *Sus* - odparł Benni. Spojrzał z niechęcią na zegarek - nawet podczas tych ostatnich godzin przed weekendem nie będzie miał sposobności w spokoju oddać się melancholii. - Co się stało?

- Hm - mruknął Koń, odgarniając z błyszczącej łysiny resztkę rudych włosów. - Chodzi o twoje pożegnalne przyjęcie.

Benni przewrócił oczami. Nawet myśleć nie chciał o takiej stypie. - Czy to czasem nie powinno być niespodzianką?

- Eee... jasne, chyba tak. Ale wszyscy uważają, że przed tobą nic się nie ukryje. Benni, poruszony komplementem, skrzyżował ramiona na piersi. Coś w tym było, w końcu był mistrzem konspiracji.

- Róbcie, co wam się podoba. Ja się dostosuję.

- Tutaj, w biurze, czy może lepiej w restauracji? Baum machnął ręką.

- Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu.

- Zostały już tylko dwa tygodnie.

- Idź do domu, Koniu. Mamy szabas.

- No dobrze, ale dziewczęta będą chciały się jakoś przygotować. Pytały...

- Idź do domu! - wybuchnął Benni, a Koń wyprężył się jak pod dotknięciem przewodu elektrycznego. Wycofał się do drzwi i ujął klamkę.

- Dobra, Benni. Baw się dobrze. Do zobaczenia w niedzielę.

- Do zobaczenia.

Koń już prawie wyszedł, ale jeszcze wychylił się zza drzwi.

- A właśnie, jak poszło z Itzikiem?
- Gładko jak po dupie nosorożca.
- Więc Eckstein nie wraca do nas?
- Nie, zostaje w Afryce.
- Kiepska sprawa.
- Kolacja ci wystygnie! - Benni znów zaczął podnosić głos.

Koń zniknął za drzwiami i przez chwilę słychać było jeszcze dochodzące z korytarza echo jego kroków. Benni zdawał sobie sprawę, że sam też powinien skorzystać ze swojej rady i pójść do domu. Nadszedł piątkowy wieczór, rozpoczął się szabas, a w gabinecie zapanował taki sam przygnębiający spokój, jak na stadionie sportowym po zakończeniu ekscytujących zawodów. Z daleka dało się słyszeć różne dźwięki, bo na trzech kondygnacjach i w piwnicznych laboratoriach zawsze znaleźć można było jakichś samotników zobowiązanych do utrzymywania wszystkiego przy życiu. Czasami zaterkotał teleks, zadzwonił telefon, lub drukarka wypuła tekst komputerowy. Ogólnie jednak cały budynek głęboko odetchnął, szykując się na weekendową drzemkę.

Benni rozejrzył się dookoła i doszedł do wniosku, że na dzisiaj ma już dosyć. Maja z dwoma synami, Yoszem i Amosem, czekają na niego z szabasową wieczerzą. Te kilka niewielkich pudełek ze swoimi rzeczami zapakuje do samochodu kiedy indziej.

Na ścianach nie wisiały żadne proporzyczki, nagrody, medale ani dyplomy -spoczywały zakurzone na strychu w domu przy Abu Tor. Natomiast na biurku stało kilka zdjęć. Przede wszystkim czarno-biała fotografia w grupie umundurowanych kolegów. Obok uśmiechnięta rodzina na kolorowym zdjęciu Agfy. I na koniec kilka niedoświetlonych fotek Benniego i Ecksteina na tle różnych zagranicznych miast.

W kącie pomieszczenia wisiał jednak pewien przedmiot, z którego Benni był zbyt dumny, aby wrzucić go do zardzewiałej szafki.

Długa, czarna, żelazna rura z kulistym wybrzuszeniem z polerowanego drewna i zakończeniem w kształcie stożka przypominała obój. Od ciężkiego korpusu odstawały dwa pistoletowe uchwyty i spust. Był to granatnik przeciwpancerny *RPG-7*- rosyjska broń, ulubiona przez wszystkich terrorystów od Belfastu aż po Bagdad. Ten akurat *Rieaktywnyj Protiwtankowyj Granatomiet* właściwie nigdy nie wystrzelił do izraelskich żołnierzy ani czołgów, bowiem los przeznaczył mu większą chwałę niż udział w bitwie.

Właściciel broni przyjechał do Izraela w 1986 roku, jednak Benniemu tamte dni Ramadanu powracały we wspomnieniach do tej pory. Za każdym razem, gdy dotknął na brzuchu pomarszczonej blizny po kuli, przypominał sobie operację Flet i oddychał z ulgą.

Spojrzał na granatnik. Zastanawiał się, czy są na nim jeszcze odciski palców Amara Kamila obok odcisków jego i Eytana, gdyż czasem w chwilach samotności dotykali broni i w milczeniu kiwali do siebie głowami. Bauma i Ecksteina dzieliła piętnastoletnia różnica wieku, lecz już od pierwszego uścisku dłoni wiedzieli, że powinni zostać partnerami. Obydwaj urodzili się w Niemczech i obydwoj porzucili zakurzone mundury oficerów wojskowych, aby zdobywać anonimową chwałę w AMAN-ie. Znajomi i rodzina byli przekonani, że skończą na nudnych urzędniczych posadach w jakiejś bliżej niesprecyzowanej, rządowej instytucji.

Dzięki niemal telepatycznemu porozumiewaniu mogli funkcjonować jako jedność, przez co podwajali własne siły. Takiego zjawiska Benni doświadczył poprzednio

jedynie w przypadku Mai i to po przeżyciu wielu lat w małżeństwie. Związek z Ecksteinem zrodził się z krwi, trudów, niebezpieczeństw i tego irracjonalnego zaufania, jakim człowiek musi darzyć swój spadochron, jeśli w ogóle zamierza skoczyć.

Zostało ono nadwerężone pewnego zimowego dnia w Monachium, gdy powodowani zbyt pośpieszną chęcią skreślenia Amara Kamila z izraelskiej listy osób przeznaczonych do likwidacji, doprowadzili do śmierci wystawionego na przynętę człowieka. Za karę Ben-Zion zesłał ich do służb pomocniczych. Paradoksalnie uratował ich wtedy Amar Kamil, powracając

do kraju swego urodzenia, przez co przywrócił do życia operację Flet.

Ich sława nieprzewidywalnych została uwieczniona na zawsze. Na pierwszym piętrze w małej kawiarence nadal wisiał przypięty do ściany rysunek, stworzony ręką jednego z analityków Benniego. Ilustracja przedstawiała głowy Bauma i Ecksteina wyrastające z jednego ciała. Stwór trzymał w umięśnionych rękach pistolety, walizeczki w stylu Jamesa Bonda oraz wstęgi komputerowych wydruków. Rysunek został zatytułowany STRASZNE BLIŹNIAKI.

Generał Ben-Zion z bólem patrzył na dwóch ludzi, którzy wypełniali jedną trzecią jego rozkazów, z jedną trzecią dyskutowali, a resztę ignorowali. Nie mógł wyrzucić z wywiadu pary agentów, nad którymi cmokał z zachwytem Knesset, lecz mógł ich awansować. Wraz z nowymi stopniami przyszły nowe zakresy obowiązków, co pociągnęło za sobą separację.

W rezultacie Benni został podpułkownikiem i prowadził Wydział Operacyjny. Eckstein natomiast został majorem, przejął dowództwo własnego oddziału AMAN-u i pojechał do Etiopii na długoterminową misję, której ważności Baum nigdy nie kwestionował. Niemniej podpułkownik stracił swoją prawą rękę, swoją prawą półkulę i domyślał się, że również Eytan boryka się z uczuciem amputacji.

Być może był to znak, że czas odejść. Już nigdy nie będzie miał takiego partnera.

Jeszcze tylko kilka krótkich tygodni i Baum odchodzi. Nie ma ludzi niezastąpionych.

Ale kto poprowadzi Wydział Operacyjny? Kto poprowadzi drużynę komandosów po pustynnych bezdrożach i ulicach stolic wrogów? Jeśli Eytan Eckstein zostanie w AMAN-ie, być może któregoś dnia zasiądzie na jego miejscu. Benni jednak szczerze w to wątpił.

Baum był kiepskim dyplomatą, lecz o Ecksteinie nawet nie warto wspominać. Aby awansować w AMAN-ie, trzeba takich umiejętności jak do pilotowania *f-16*. A z punktu widzenia polityki biurowej Eckstein był kamikadze.

- No cóż - szepnął półgłosem Baum. - Będzie musiał lecieć w pojedynkę.

Na blacie biurka leżał plik dokumentów - gruby pakiet w szarej teczce z napisem OR YAREACH, Księżyc, i pieczętą SODI BEYOTER, Ścisłe Tajne. Baum zamierzał zabrać dokumenty do domu, lecz po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej będzie jeśli zostawi je w sejfie. Wszystkie szczegóły są już dopracowane.

Wrogie ugrupowania na Bliskim Wschodzie przetrzymywały w charakterze jeńców wojennych sześciu ludzi z Izraelskich Sił Zbrojnych. W kraju o mniej niż pięciu milionach mieszkańców każde życie jest cenne, a ISZ budują swą reputację na założeniu, iż nigdy nie należy zostawiać na pastwę losu zmarłych, rannych lub pojmanych żołnierzy. Dzięki takiej zasadzie mężczyźni i kobiety służący w wojsku mają jakie takie

poczucie bezpieczeństwa, lecz z tego samego powodu wrogowie zyskują dużą przewagę. Izraelski jeńiec jest na politycznej giełdzie cenniejszy niż dywizjon myśliwców.

Wszyscy jeńcy przetrzymywani byli przez ugrupowania terrorystyczne finansowane przez państwa arabskie. W 1982 roku pojmano trzech Izraelczyków walczących w górskim miasteczku w Libanie, które okazało się syryjską twierdzą. Syryjczycy sprezentowali tych trzech Żydów Ahmedowi Jabrilowi, szefowi Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Prezydent Hafiz al-Assad uporczywie twierdził, że nie ma żadnego wpływu na dowództwo terrorystów, chociaż Jabril chodził do łaźni tureckiej w Damaszku z szefem syryjskiej tajnej policji Mukhabarat.

Los dwóch kolejnych żołnierzy nie był taki jasny, a tożsamość ich porywaczy stała się nawet przedmiotem sporów pomiędzy AMAN-em a Mossadem. Przez to malało prawdopodobieństwo odbicia ich, więc nadzieja leżała tylko w zwolnieniu pojmanych terrorystów z przepelnionych izraelskich obozów karnych i skłonieniu przeciwników do wymiany. Żadne jednak z ugrupowań nie było zainteresowane uwolnieniem swoich arabskich braci i terroryści przetrzymywali u siebie Izraelczyków niczym złodzieje-kolekcjonerzy bezcenny obraz van Gogha.

Sfrustrowani Izraelczycy skoncentrowali wszystkie siły na uwolnieniu amerykańskich i niemieckich zakładników przetrzymywanych w Libanie. Jednak nadzieje na odzyskanie wraz z nimi własnych ludzi pozostały niespełnione, a przygaszeni dyplomaci oraz oficerowie wywiadu wrócili do domu ze zdawkowymi podziękowaniami z Bonn i Waszyngtonu.

Szósty z izraelskich jeńców powrócił w końcu na łono rodziny. Był żołnierzem, Druzem z dumnej górskiej wioski w Carmel - wrócił do domu w trumnie. Samir został przez porywaczy zakatowany na śmierć, lecz rząd i tak zgodził się uwolnić dwustu więźniów, żeby ocalić pamięć po nim. Tych sześciu ludzi zyskało sobie chyba największą sławę pośród jeńców wojennych od czasu, gdy w Damaszku powieszono izraelskiego agenta Eli Cohena.

Kapitan Dań Sarel należał do elity komandosów morskich izraelskiej marynarki. Jego niewielka jednostka w karcie swych usług proponowała niezmiernie trudne, nocne skoki spadochronowe, podwodne pływanie na dalekie odległości i wiele innych wojskowych wyczynów.

Pewnej bezksiężycowej nocy w 1986 roku 13. Flotylla Sarela wdarła się na libańskie wody terytorialne w okolicach Junieh, zaatakowała posterunek dowództwa milicji Amal i zniszczyła go mimo burzy ognia od strony przeciwnika.

Zgodnie z tradycją izraelskich dowódców, Sarel puścił podwładnych z powrotem w swoich pontonach *Zodiac*, podczas gdy sam podjął się szaleńczego zadania odzyskania ciała swego przyjaciela. Po kilku sekundach został trafiony serią z *Kalasznikowa* i pojmany przez rozwścieczonych bojowników Amalu. Dowództwo Izraelskich Sił Zbrojnych zorganizowało tajną misję, aby jeszcze tej samej nocy odzyskać Sarela. Jednak o świcie piloci myśliwców powrócili na lotniska i torpedowce zawinęły do portu. Stało się jasne, że jeśli Dań Sarel jeszcze żyje, to właśnie znajduje się w drodze do Doliny Bekaa.

W przeciwieństwie do innych żołnierzy w niewoli, ślad po Sarelu nie urwał się po uprowadzeniu. Dowódca Amalu, Mustaffa Dirani, rozpaczliwie potrzebował sprzętu dla swych wojowników i dokładnie oszacował, ile w gotówce może kosztować izraelski komandos z doborowej jednostki ISZ. Kiedy Sarel podleczył rany, zaczęła się

licytacja, lecz żaden z dowódców organizacji terrorystycznych nie był w stanie przebić oferty Iranu. Teheran bez zwłoki zapłacił trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a wtedy Dirani oddał izraelskiego kapitana organizacji terrorystycznej irańskich fundamentalistów - Hezbollah.

Izraelczycy wiedzieli, że za sznurki pociąga Teheran, lecz działali zgodnie z regułami gry i zwrócili się do marionetkowego Hezbollahu. Natrafili jednak na twarde opór i nic się nie dało zrobić, nawet gdy w południowym Libanie komandosi izraelscy z elitarniej Sayeret Matkal - Jednostki Zwiadowczej Sztabu Generalnego - uprowadzili prosto z łóżka szejka Saida, duchowego przywódcę ruchu.

Przez wiele lat Benni Baum obserwował z żalem, jak różni oficerowie poświęcają życie, zdrowie i kariery, aby odbić Dana Sarela. Żona kapitana z pięcioletnią córką, której ojciec nigdy nie miał okazji pogłaskać po główce, występowała w telewizji z międzynarodowymi apelami. Podczas parad w Dniu Niepodległości Izraela Żydzi na całym świecie nosili powiększone zdjęcia kapitana. Dyplomaci spoza Izraela bezskutecznie zwracali się do Irańczyków. Dan Sarel stał się symbolem zaginionych żołnierzy izraelskich.

Aż nagle, pewnego chłodnego wrześniowego poranka z rąk arabskich do żydowskich trafiła wiadomość. Zdarzyło się to w opuszczonej libańskiej wiosce Abu Zibleh, gdzie pośród podziurawionych kulami chat izraelscy spadochroniarze doskonalili sztukę walki ulicznej.

W pewnej chwili porucznik ISZ zatrzymał swoich ludzi podniesieniem ręki i krzyknął:
- Wstrzymać ogień.

W pobliżu stał spokojnie libański rolnik. Na ramieniu trzymał staroświecki karabin, w prawej dłoni upolowanego gołębia, a w lewej kopertę. Porucznik przeczytał list, uściśniętą rolnikowi rękę, na dowód, że doszło do spotkania, wręczył banknot pięćdziesięcioszekelowy,

i bez dalszych komentarzy nakazał swoim ludziom odwrót.

Układ prezentował się jasno, prosto i zbyt korzystnie, aby mógł być prawdziwy: Dan Sarel w zamian za szejka Saída plus tysiąc opon samolotowych do myśliwców *F-4 Phantom*, sto wyrzutni pocisków *Sidewinder* oraz pięćdziesiąt przeciwpancernych *TOW*. Pod propozycją widniał podpis Abu Yasir, pseudonim wojenny Saída Abbasa Mussawiego, czyli sekretarza generalnego i dowódcy operacyjnego Hezbollahu. Mussa-wi nie posiadał żadnego lotnictwa prócz parolotni, a zatem stało się oczywiste, iż jego ludzie prześlą opony i pociski do Teheranu. Jeśli chodzi natomiast o systemy przeciwpancerne, to chyba nikt nie liczył, że izraelskie dowództwo sprezentuje południo-wolibańskim terrorystom tę zaawansowaną technicznie broń przeciwpancerną.

Lecz jako dzieci Lewantu wszyscy rozumieli, że jest to tylko otwarcie, rodem z bazaru, na początek negocjacji.

Ponieważ żądania posiadały charakter czysto militarny, misja przypadła - po utarczce z Mossadem - AMAN-owi oraz Wydziałowi Operacyjnemu. Benni Baum wyznaczył jednego ze swych ludzi, byłego komandosa Matkalu, do zajęcia się odpowiedzią na list. Ubrany w strój libańskiego rolnika i wyposażony jedynie w pi-stolet, nadajnik określający jego położenie oraz nogi sprintera spał samotnie w Abu Zibleh trzy noce, aż wreszcie łowca gołębi pojawił się znowu... Pierwsze tajne spotkanie pomiędzy nieoficjalnymi reprezentantami miało miejsce na brzoźnie kafejce na Cyprze; udział wzięło tylko dwóch Izraelczyków. Jeden

z nich był adwokatem, nazywał się Ori Neviim, i Hezbollah ufał mu, ponieważ nie pracował dla żadnej oficjalnej izraelskiej organizacji, lecz zajmował się oswobodzeniem jeńców wojennych z własnej, nieprzymuszonej woli. Jako drugi ze strony Izraela wziął udział w spotkaniu wyznaczony na dowódcę ochrony operacji Księżyc podpułkownik Benni Baum, ponieważ minister obrony zwrócił uwagę na to, że wyznaczony przez Hezbollah człowiek, szejk Tafilli, kształcił się we Frankfurcie, a wtedy Itzik Ben-Zion wysunął propozycję, aby w spotkaniu wziął udział jego urodzony w Niemczech dowódca Wydziału Operacyjnego.

Dziesięciu oficerów AMAN-u i komandosów Matkalu starało się nikomu nie rzucić w oczy, a w tym samym czasie Baum oraz Tafilli szybko po niemiecku wymienili się propozycjami. Chociaż każda ze stron uważała za absolutnie niemożliwe przyjęcie warunków strony przeciwnej, czterech przedstawicieli Hezbollahu i dwóch Izraelczyków opuściło kawiarnię zadowolonych z postępu - przynajmniej w bliskowschodnim pojęciu.

Po trzech kolejnych spotkaniach, w Monte Carlo, Atenach i Palermo, Ori Neviim ograniczył żądania Hezbollahu do uwolnienia szejka Saída, trzystu par opon i czterech ton niesłużącego do zabijania sprzętu wojennego typu aparaty łącznościowe i zestawy do udzielania pierwszej pomocy.

Izraelscy politycy oraz sztab generalny okazywali dużą podejrzliwość, natomiast Ori Neviim zastrzegał się, iż posunięcia Hezbollahu mają ze swej natury charakter pokojowy. Inne ugrupowania, na przykład Dżihad czy Hamas, z pewnością już dawno zerwałyby rozmowy.

Mimo początkowego szoku swych podwładnych, Baum nalegał, aby wymiana odbyła się na morzu. Wysuwał argumenty, że o ile organizacje terrorystyczne bywają czasem skuteczne w swych atakach na lądzie, o tyle na morzu z reguły są bezradne. Kiedy zaprezentował swe argumenty na kolejnej z nadzwyczajnych sesji Rady, poparł je mapami, modelami statków oraz wzmocnił bojową, lecz niezbitą logiką, dowódca marynarki izraelskiej rzekł:

- Do tej pory sądziłem, że to tylko my, marynarze, mamy głowy na karku. Wyrazy szacunku, Baum.

I tak za niecałe dwa tygodnie izraelski torpedowiec z szejkiem Saídem na pokładzie zarzuci kotwicę w pobliżu północnego wybrzeża Maroko. Frachtowiec Hezbollahu pływający pod liberyjską flagą, z Danem Sarelem na pokładzie, zatrzyma się i nastąpi scena przypominająca wymiany dokonywane podczas zimnej wojny na berlińskim przejściu granicznym Checkpoint

Charlie. Baum ma przejść prowizorycznym mostkiem lub podpłynąć *Zodiakiem*, aby zabrać Sarela, a Tafilli to samo miał uczynić z szejkiem Saidem.

Potem Baum wróci do domu i będzie czytał krzykliwe nagłówki artykułów, w których nie mogło pojawić się jego nazwisko...

Benni wykręcił szyfr otwierający staroświecki, wielki sejf i umieścił w środku akta operacji Księżyc. Zamknął sejf, zapalił papierosa i, po raz ostatni rzuciwszy okiem na przykrytą śniegiem cerkiew, skierował się do drzwi, które nagle stanęły przed nim otworem.

- Dobrze, że cię jeszcze złapałem. - Itzik Ben-Zion wszedł, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

- Spokojnie - powiedział Benni, przypuszczając, że generał chce powtórzyć swoje przemówienie na temat Ecksteina. - Jakoś to przeżyję.

- Mam złe wieści. - Itzik nigdy nie owijał w bawełnę. - Dostałem zaszyfrowaną wiadomość, ale za godzinę będą o tym trąbić wszystkie gazety. - Zawahał się.

- *Nu?* - Baum położył zaciśnięte pięści na biodrach, z kącika ust zwiślał mu papieros. Dzięki złym wieściom zarabiał na życie.

- W nowojorskim konsulacie dokonano zamachu bombowego - powiedział Ben--Zion. - Dwie osoby zginęły, pięć zostało rannych, w tym jedna poważnie. Wszystko wskazuje na samobójczy zamach.

Teraz Baum już rozumiał, choć Itzik nie wyjawiał jeszcze wszystkiego, co miał do powiedzenia.

- To nie Hezbollah - stwierdził stanowczo.

- Kto tak twierdzi?

- Ja. Gdyby chcieli wycofać się z wymiany, to wiedzą, że wystarczy podnieść słuchawkę telefonu. - Baum starał się zapanować nad rozdrażnieniem. - Albo wysłać jeszcze jednego pieprzonego wieśniaka do Abu Zibleh. Nie potrzebują wysadzać ludzi na Manhattanie.

- Był ubrany w strój chasyda - rzekł Ben-Zion.

- Chasyda? - Baum wytrzeszczył oczy i prawie się roześmiał. - Bzdura.

- Został uwieczniony na taśmie wideo. - Benni zmarszczył brwi, a Itzik przeszedł do najgorszej części wiadomości. - Tą poważnie ranną osobą jest szabaknik. Mosziko Ben-Czecho. Walczy o życie. Stracił rękę i oko.

Baum rozluźnił pięści i ręce opadły mu wzdłuż boków. Głęboko zaciągnął się dymem i wyjął papierosa z ust. Wychowywał Ben-Czecho, zachęcał go do pracy, pomagał mu. W jednej chwili przebiegły mu przez myśl twarze innych mężczyzn i kobiet, których wyszkolił. Kiedy wreszcie zrozumie, że rekomendacja do służby to nie to samo, co pomoc młodemu człowiekowi w dostaniu się na studia?

Itzik odszedł od drzwi, usiadł na stole konferencyjnym, a Baum cały czas wpatrywał się w pustą przestrzeń.

- Daj mi papierosa - powiedział cicho Itzik, a Baum sięgnął do kieszeni koszuli i wolnym ruchem wyjął paczkę Time'ów. Itzik zapalił papierosa swoją zapalniczką.

- Cały czas pyta o ciebie, Baum - powiedział generał pełnym współczucia tonem, który niewiele słyszało z jego ust.

Odwracając się do swego szefa, Benni zmrużył oczy pod wpływem dymu. Co Itzik powiedział? Mówi, że Mosziko chce mieć przy sobie swego przybranego ojca, lecz z powodu operacji Księżyc nie ma o tym mowy? Typowe dla Ben-Ziona, toteż Benni tylko patrzył i czekał.

- Szabak i Mossad już się kręcą wokół tego jak muchy nad wielbłądzim gównem - powiedział Itzik.

- Jasne, nie ma powodu, żeby pchał się tam jeszcze AMAN.

- Niemniej, zważywszy na priorytet operacji Księżyc, jeśli szef Wydziału Operacyjnego podejrzewa, że wybuch mógł mieć coś wspólnego z Hezbollahem lub frakcjami

przeciwników wymiany i może to jakoś wpłynąć na uratowanie Sarela... Cóż, to zupełnie inna sprawa.

Baum, przestrzegł sobie w duchu Benni, nie podstawiaj sam sobie nogi.

- Hm, właściwie nie można wykluczyć Hezbollahu - rzekł. - To byłoby szaleństwo, ale na listę podejrzanych trafia wielu szalonych.

Itzik wolno pokiwał głową. Zawierali transakcję i Baum na tym skorzysta, dzięki czemu on zyska cenny dług wdzięczności.

- Mosziko cały czas o ciebie pyta - powtórzył generał.

- Tak, słyszałem.

- Możliwe, że nie pożyje za długo.

- Więc może mógłbym się stąd wyrwać?

- Masz trzy dni, Baum. - Itzik w ostrzegawczym geście podniósł rękę. - I ani chwili dłużej.

Wtedy Benni zawahał się. Poczuł się tak, jak gdyby kupował używanego Mercedesa od taksówkarza. Czy nie chodzi o jakiś manewr? Czy Itzik nie próbuje zepchnąć go na boczny tor, przekazać operację Księżyc innemu oficerowi i poprowadzić ją po swojemu? A gdyby nawet, to co z tego? Benni straci tylko tyle, że premier nie poklepie go po raz kolejny po plecach.

Nowy Jork. Tak, teraz najważniejszą rzeczą jest dostać się tam i uścisnąć Mosziko rękę, tę która mu pozostała. Inną, nie mniej ważną sprawą - z pewnością zapomnianą przez szefa - jest Ruth.

Jedyna córka Benniego studiowała na wydziale psychologii Uniwersytetu Columbia. Przebywała tam już od czterech lat, a od dwóch nie widzieli się na oczy. Dzieliła ich nie tylko geograficzna odległość.

Nie odzywali się do siebie. Przynajmniej dwa razy dziennie czuł z tego powodu ból w piersiach, jak człowiek, który zjadł za dużo *hareef*. A teraz jakiś szalony zamachowiec dawał mu szansę na ocalenie duszy.

- Zgoda - odrzekł Baum. - Trzy dni.

- Z konsulatu przekażesz mi sprawozdanie - rozkazał Itzik.

- Jak tylko się tam dostanę.

- A jeśli Tafilli zacznie się z tego powodu niecierpliwic, to natychmiast wsiadasz do samolotu i wracasz.

- Pierwszym lotem - obiecał Baum. Spojrzał na swego dowódcę. Być może Itzik nauczył się czegoś na własnych, osobistych nieszczęściach. Smutek zmienia ludzi, pomyślał.

Generał wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i na całe gardło krzyknął:

- Yudit! - Nigdy nie korzystał z interkomu. Nie przyzwyczał się. - Za godzinę z Ben-Guriona startuje wojskowy samolot. - Zwrócił się do Bauma. - Mogę opóźnić odlot o piętnaście minut, ale nie więcej.

Baum stanął za biurkiem, schylił się do najniższej szuflady i wyciągnął ze środka spakowaną walizkę. Gdy człowiek przechodzi z jednostki wojskowej do AMAN-u, zamienia worek wojskowy na walizkę. Zamiast czystego munduru polowego, butów, granatów i amunicji trzyma w niej ubrania z zagranicznymi etykietkami i trzy paszporty, pośród których żaden nie został wystawiony przez Izrael. Jeśli trzeba tam włożyć także pistolet, to pojawia się pięćdziesięcioprocentowa szansa, że nie wróci się z wyprawy.

Benni podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Mai. Powiedział o trzydniowym wyjeździe, a potem odsunął słuchawkę od ucha, gdy Maja zaczęła na niego krzyczeć. Wtedy i on podniesionym głosem zawołał do słuchawki:

- Spotkam się z Ruth.

Na jakiś czas w słuchawce zapanowała cisza, Maja powiedziała w końcu coś po niemiecku, na co Benni odpowiedział:

- *Ich liebe dich auch*. Odłożył słuchawkę.

W drzwiach pojawiła się Yudit. Miała czarne loki, jasne oczy i predyspozycje, które pozwoliły jej od dwóch lat sprawować funkcję sekretarki Itzika - żaden inny młody żołnierz nie wytrzymał tak długo. Traktowała generała jak podstarzałego ojca, a jemu podobało się to, chociaż czasem na nią krzyczał. Wydawało mu się, iż znów ma dziecko, które potrafi go tolerować.

- O co chodzi? - zapytała. - Mam dzisiaj randkę.

- Będziesz musiała odwołać - rozkazał. - Baum musi natychmiast dostać się na lotnisko. Poprowadzisz jego samochód.

- Benni, dlaczego sam nie możesz pojechać? - zapytała błagalnym głosem.

- Mogę... - zaczął Baum.

- Nie, nie możesz - przerwał Itzik. - Brakuje nam samochodów i nie chcę, żeby stał bez celu na parkingu. Jedźcie już. - Ben-Zion ruszył korytarzem, czując, że chwilowo dopadł go sentymentalny nastrój. -1 pamiętaj, że masz do mnie zadzwonić, Baum. - Jego głos odbił się echem po korytarzu.

Benni przepraszająco wzruszył ramionami, założył skórzaną kurtkę i podniósł walizkę.

- Przykro mi, moja droga - powiedział i położył Yudit dłoń na ramieniu. - Jeśli się pośpieszymy, to zdążysz na najważniejszą część randki.

- Ależ pułkowniku Baum! - zwróciła się do niego z udawaną służbistością. Yudit miała dwadzieścia cztery lata i oficcerski stopień; od pierwszych miesięcy w armii pracowała z Benniem. Traktowała go jak dobrego wujka. - Tak się złożyło, że jestem jeszcze dziewicą.

- Oczywiście - odrzekł Baum. - Tak jak moja żona.

Roześmiała się, zamknęła drzwi gabinetu i wzięła go pod ramię. Idąc ciemnym korytarzem Benni starał się nie tracić dobrego humoru.

- W takim razie pociesz się tym, ile zarobisz za nadgodziny - powiedział.

- Oszalałymi majątek - odparła szyderczo - gdyby ISZ płaciły premie za nadgodziny, byłabym bogata jak księżniczka.

Popatrzyła na Bauma, licząc na kolejne żartobliwe uwagi. Dostrzegła jednak, że Benni nie uśmiecha się, a myślami jest gdzieś daleko stąd. Coś czało się w ciemności.

Widziała już u niego to spojrzenie, gdy odlatywał, aby zamiast z trofeum powrócić ze zwłokami.

2__

Nowy Jork

Martina Ursula Klump jadła samotnie kolację w najodleglejszym kącie sali.

Zawsze siadała w ostatnich przedziałach w pociągach i najbardziej zaciemnionych, końcowych miejscach w samolotach. Woląла mieć otwartą przestrzeń przed sobą, żeby dokładnie przyglądać się wszystkim podchodzącym w jej stronę ludziom, zarówno przyjaciołom, jak i wrogom.

Zawsze też siadała plecami do ściany. Jednak dziś te środki ostrożności nie uspokoiły jej.

Wolnym ruchem podniosła do ust kieliszek czerwonego Traviče Oak, a gdy poruszyła głową, końce blond włosów zsunęły się z jej ramienia. Swymi stalowosza-rymi oczami nie przyglądała się gładkim, białym ścianom pokrytym stiukiem, ani błyszczącym dębowym stołom czy krzesłom, ani szklankom na wodę stojącym obok misternie złożonych serwetek - spoglądała na stos gazet ułożony na brzegu stołu. Na pierwszej stronie „New York Post” widniało zdjęcie mężczyzny w średnim wieku podtrzymującego zrozpaczoną żonę przy grobie ich córki. Tytuł wydrukowano pięciocentymetrową czcionką: **ŻYDZI WALCZĄ Z ŻYDAMI???**

Co za głupcy, pomyślała o redaktorach gazety za ich bezmyślne spekulacją chociaż chciałyby, żeby wbrew wszelkiej logice mieli rację. Takie wytłumaczeni! tajemniczego wybuchu z pewnością poprawiłoby jej nie najlepsze samopoczucie, lecz nie łudziła się, gdyż detektywi z pewnością szybko odkryją, że pod przebraniem chasyda krył się ktoś o wiele

groźniejszy. Taka technika sabotażu bardzo przypominała jej własny styl działania, a ponieważ nie miała z tym zamachem nic wspólnego, złość na plagiatorów dodatkowo psuła jej nastrój.

Jak do tej chwili bardzo sprawnie udawało się realizować wszystkie punkty planu. Teraz pojawiło się zagrożenie i Martina czuła się niepewnie, jakby siedziała w bujanym fotelu na dziobie szkunera.

Odstawiła kieliszek z winem i podniosła wzrok na kinkiety oświetlające akwaforty: gaucho na koniu, widoczki Buenos Aires w ramkach oraz skórę pумы. Sala „Argentine Pavillion” zabierała Martinę w nostalgiczną podróż do przeszłości, lecz ona wstydziłaby się do tego przyznać. Była to jedyna w swoim rodzaju nowojorska restauracja wtopiona pomiędzy rząd brazylijskich lokalików przy 46. Zachodniej Ulicy. Martina nie przychodziła tu zbyt często, lecz gdy potrzebowała przemyśleć coś w nastrojowej atmosferze, potrafiła czekać aż rozjeździe się tłum biznesmenów i pozostaną tylko pojedynczy przybysze z Argentyny.

Muzykę puszczano zawsze taką samą: fortepian, akordeon i ciepły, drżący tenor Carlosa Gardela na tle rytmicznego tanga z przed wielu, wielu lat. W charakterze kelnerów zatrudniano imigrantów - spokojnych, smutnych mężczyzn w czarnych spodniach i kamizelkach, białych koszulach oraz dyskretnych muszkach. Ten, który obsługiwał Martinę, nie szczędził ukłonów, zwracał się do niej per *Señorita*, lecz potrafił zachować dystans.

Czuła, że właśnie spogląda na nią zza masywnego dębowego baru, i wiedziała, że wszystkie zrodzone w jego głowie fantazje szybko stygną pod wpływem jej zachowania, w niczym nie sugerującego chęci ani potrzeby nawiązania bliższego kontaktu. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę, a pod nią biały golf łagodzący atletyczne kształty jej ciała. Długie, umięśnione jak u tenisistek nogi kryły się pod wąską, czarną, wełnianą spódnicą. Wysokie sznurowane na wiele dziurek buty kończyły się podeszwą typową dla obuwia biegaczy.

Martina nigdy nie zakładała butów na wysokim obcasie, chyba że w żaden sposób nie mogła tego uniknąć.

Również lakierowane paznokcie, koronkowa bielizna, pierścionki i makijaż znajdowały się na odległych miejscach w jej leksykonie mody. Wydatne kości policzkowe, długie, ciemniejsze od włosów brwi i podbródek z lekkim przedziałkiem sprawiały, że kształty jej twarzy wydawały się nieco przerysowane. Chociaż pod wpływem bliskowschodniego słońca w kącikach oczu pojawiły się niewielkie zmarszczki, skórę miała gładką jak trzydziestolatka, mimo że w prawdziwym paszporcie - gdyby takim dysponowała - wpisano by, że jest o sześć lat starsza. Nos pasował do rysów twarzy, a szerokie usta leciutko zaginały się w kącikach ku dołowi.

Nie emanowała z niej bezwzględność i posiadała w swym repertuarze uśmiech, który potrafiła przywoływać na każde żądanie. Rzadko jednak to czyniła, rezerwując pogodne oblicze na okazje, na które kobiety z Nowego Jorku zakładają drogie naszyjniki, chcąc zdystansować swoje rywalki.

Oprócz srebrnego Rolexa Martina nie nosiła żadnej biżuterii, chociaż nie obawiała się ulicznych złodziei z Manhattanu, bo potrafiła uciekać z taką prędkością, że rabusiom ze zdziwienia opadłaby szczęka. Musiała mieć bardzo sprawne ciało do wykonywania swojego zawodu, więc utrzymywała je w dobrej formie, a z braku przywiązania do gimnastyki i sprzętu do ćwiczeń, uprawiała bieganie. Niemniej ucieczka stanowiła ostatnią możliwość, na jaką zdecydowałaby się w obliczu skierowanej przeciwko niej agresji, ponieważ oprócz *Walthera P-38*, którego miała w torebce, opanowała także technikę walki kładącą nacisk na okaleczanie i zabijanie, a nie na samoobronę.

Czuła się kobietą wyzwoloną, ponieważ mogła robić to, co chciała, przez całe życie z wyjątkiem kilku miesięcy spędzonych w niemieckim więzieniu Bruchsal, a do podobnego miejsca nigdy nie zamierzała już wracać. Niezależnego spojrzenia na świat nie zmieniła, odkąd była nastolatką. Podobnie jak wyglądu, chociaż zrozumiała, iż mężczyźni bardzo łatwo

omamić modnymi ciuchami, odsłaniającymi „przypad- • kiem” powabne części ciała. Człowiek, który widział ją z krótko obciętymi włosami na zdjęciu załączonym do listu gończego wiszącego w korytarzu siedziby brygady antyterrorystycznej *Bundeskriminalamt* w Wiesbaden, nie skojarzyłby teraz jej twarzy nachylonej nad gazetami.

Kupiła także „Timesa” i „Daily News”, lecz najprawdopodobniej jej nazwisko na liście podejrzanych wymieni „Post”, o ile w ogóle lista taka trafi na łamy. Mimo naocznych świadków, Uri Dań, izraelski korespondent gazety, odrzucał koncepcję, jakoby zamachu rzeczywiście dokonał chasyd. Pośród organizacji mających istotne motywacje wymieniał Hezbollah, Harnaś i LFWP Ahmeda Jabrila. Natomiast na rozkładówce Evans i Novak snuli zawiłe spekulacje na temat spisku syjonistów, dochodząc

do śmiesznej konkluzji, że być może Izraelczycy sami rozwalili swój konsulat. Duże zdjęcie przedstawiało zaciśnięte pięści radosnych bojowników Amalu z Sidonu oraz oblicze Arafata z wybałuszonymi oczami, który wygłasza błędne informacje na temat masakry. Jednak nigdzie, ani w tej, ani w pozostałych gazetach, Martina nie znalazła swojego nazwiska.

Nie poprawiło jej to jednak humoru. Nie wierzyła w nierzetelność dziennikarską, podawanie wyłącznie faktów lub przetrzymywanie pewnych szczegółów przed publikacją. Rozumiała zamiary izraelskich profesjonalistów, którzy kiedyś po podobnym zamachu w Buenos Aires rozpowszechnili jej zdjęcie na cały świat. I choć rzeczywiście przygotowywała sprzęt do tamtej akcji, to wówczas nie przeszkadzało jej tak bardzo owo dziwne uczucie, które pojawiło się, gdy w mediach opublikowano ślady dla tropiących ją psów. Teraz zupełny brak jej nazwiska wyglądał jednak jeszcze < bardziej złowieszczo, a ona w myślach widziała już przetrząsanie swych akt w jero- | zolimskich archiwach.

j

Samotny zamachowiec samobójca, sprytny i dobrze zaopatrzony w plastyczny *C-4* albo *Semtex*, w przebraniu, dzięki któremu mógł podejść jak najbliżej celu. Wiedziała, że po rozpatrzeniu sposobu działania, musiała znaleźć się na liście pięciu najbardziej podejrzanych osób.

Faktycznie mogła to zrobić.

Ale nie zrobiła.

Kelner przeszedł przez salę, niosąc srebrną tacę z przystawkami oraz *Empanada Argentina* - ciasteczkami mięsnymi w kształcie małży przygotowanymi na parze. Umieścił tacę przed Martina, cofnął się, uśmiechnął i zapytał z nieco zbytnią zażyłością:

- *Que tal, señorita?*

- *Bien, gracias* - powiedziała i, choć wygięła usta w coś na kształt uśmiechu, wpatrywała się w kelnera tak długo, aż się zarumienił, ukłonił i uciekł za bar.

Wykorzystywała wzrok w charakterze narzędzia do trzymania ludzi na dystans, ponieważ osoby o słabszym charakterze szybko denerwowało jej spojrzenie; również niski głos wydobywający się z jej gardła wytrącał ludzi z równowagi. Dzięki argentyńskiemu akcentowi uchodziła za wspaniałą *compadrite*, a równocześnie za swoją uważali ją Niemcy. Przez lata pobytu w Paryżu jej angielski nabrał erotycznego odcienia, a Amerykanie często brali ją za Francuzkę, Belgijkę lub kobietę ze Skandynawii. Taki kamuflaż był jej na rękę.

Obserwowała kelnera nadskakującego nowym gościom i prawie żałowała, że nie jest bardziej pociągający. W pracy otaczali ją mężczyźni, których nie wolno jej było tknąć.

Przysunęła krzesło bliżej stolika. Wyglądając leżącą na kolanach serwetkę, wyczuła palcami pod spódnicą maleńką bliznę poniżej pępka. Została ranna podczas ucieczki z Bruchsal i niewielu mężczyznom pozwoliła od tamtej pory zobaczyć to miejsce. Tych jednak, z którymi spała od czasu szalonej eskapady z Niemiec, fascynował twardy punkcik na różowym ciele.

Jej ostatni mąż zawsze zwracał uwagę na tę bliznę, ponieważ sam miał mnóstwo

podobnych znaków szczególnych.

Odgoniła od siebie myśli o utraconych przygodach erotycznych i, powróciwszy do *empanada*, podniosła na widelcu do ust kawałek wędzonego mięsa. Poczuła

w nozdrzach drażniący zapach, podniosła wzrok i dostrzegła, że siedząca przy pobliskim stoliku kobieta zapala zapalną papierosa bez filtra. Woń siarki zabrała Martinę na mentalną wycieczkę; dźwięki i zapachy pojawiały się, jak migające widoki w oknie pędzącej kolejki górskiej...

Palce zaciskają się w szalonym uścisku, do uszu dolatuje odległy warkot. Oleisty smród motocyklowych opon przenika wełnianą maskę. Spocone ciało pod skórzaną odzieżą, drgający pod wpływem wiatru pistolet. Narastające mdłości powodowane napięciem mięśni, ujadanie psów, szczęk bram i zamków, a potem poranne powietrze ochładzające ją podczas pędu i nagły upadek z bólem w okolicach podbrzusza. Zanikająca świadomość, zimna stal leżanki w ciężarówce, tortury wyboistych dróg, zbawcze ukłucie igłą i odpłynięcie w ciemność. A w końcu biel słońca, puls żył w okolicach szwu, delikatne pukanie strzelających w oddali karabinów. I ten wydobywający się z pistoletów odór siarki...

Na ułamek sekundy jeszcze raz spojrzęła na gazety. Lecz przez myśl przebiegła jej błyszcząca strona innego magazynu. Minęło już ponad dziesięć lat, odkąd „Stern” szeroko rozgłaszał tę historię, Martina pamiętała jednak każde słowo i zdjęcie. Jej, Friederiki Krabbe, Barbary Meyer oraz Ingi Viett z podpisem: DIE FRAULEIN MIT P-38 - Dziewczyny z P-38. Jej, ze względu na talent w posługiwaniu materiałami wybuchowymi, nadano pseudonim „Fraulein C-4”.

Tak, to prawda. Sprawczynią mogła być ona.

Ale nie była.

Po raz kolejny nie udało jej się zrozumieć motywu ani ustalić tożsamości swojego konkurenta. Wiedziała o tajnej wymianie jeńców pomiędzy Hezbollahem a Izraelem, więc z całą pewnością nie mogli włączyć się do gry fundamentalistów. Obóz Arafata wywiesił już białą flagę i nie łaknie tak bardzo żydowskiej krwi. Większość przeciwników OWP miałyby motywy, lecz brakowało im sprzętu do przeprowadzenia takiego zamachu.

To właśnie Martinę wynajęto do storpedowania zbliżającej się wymiany jeńców, a przypuszczała, że jej mocodawcy mają wycucie taktyczne, więc bez sensu byłoby utrudnianie jej pracy. Tak czy inaczej, ktoś naśladował jej technikę działania i bardziej ją to zezłościło niż jej schlebilo. Ktoś nie tylko utrudniał jej wykonanie zadania, lecz chciał także ściągnąć na nią uwagę wroga.

Przekąski przestały jej smakować. Poczuła skurcz w żołądku. Odłożyła widelec na talerz, rozsiadając się wygodniej na krześle, wciągnęła powietrze, a potem jednym łykiem dokończyła czerwone wino.

- Nieważne - szepnęła z pewnym przymusem. - *Der Fisch mu\$ flu\$aufivarts schwimmen*. Ryba popłynie też pod prąd.

W drzwiach wejściowych stanął mężczyzna. Rozejrzał się po sali, spojrzął na swoje odbicie w lustrzanej ścianie za Martina i podszedł do jej stolika.

Mussa Hawatmeh najwyraźniej bardzo źle się czuł w nowej, prosto spod igły marynarce, białej koszuli i szarym jedwabnym krawacie, lecz Martina nalegała, żeby przy takich oficjalnych okazjach nauczył się rezygnować z dżinsów i skórzanych kurtek. Odpiął guzik marynarki i usiadł po prawej stronie Martiny, ona natomiast badawczym wzrokiem zlustrowała jego niedawno obcięte i pokryte brylantyną włosy, gładko wygoloną oliwkową skórę, ciemne oczy i młodzieńcze rysy twarzy. Z aprobatą

pokiwała głową, ponieważ wyglądał jak bogaty kuzyn saudyjskiego księcia lub biznesmen z Rio de Janeiro albo nawet z Tel Awiwu.

Sztywno siedząc na krześle, oparł dłonie o brzeg stołu. Podniósł wzrok i spojrzął na Martinę jak chłopiec na matkę, która zmusiła go, aby założył do szkoły krótkie spodenki.

Martina roześmiała się i podniosła palec. Kelner zjawił się natychmiast.

- *Por favor, señor?*- Tym razem kelner stanął o metr od stolika, jak gdyby chciał się trzymać poza zasięgiem wzroku Martiny. Patrzył tylko na Mussę.

- Dla niego Escudo - powiedziała Martina, a gdy Mussa zaczął w proteście podnosić rękę, silnym, pewnym uchwycem złapała go za nadgarstek. - Tak, Escudo. A do tego *bife de chorizo*. Średnio wysmażony.

- *Muy bien*. - Kelner oddalił się. Mussa wbił wzrok w sufit. Wyglądało to tak, jak gdyby modlił się o łaskę.

- Escudo to dobre piwo - powiedziała niezbyt szybko po niemiecku, którego nauczył się pod jej kuratelą. - Musisz się nauczyć pić alkohol, tak jak i wielu innych rzeczy potrzebnych w towarzystwie. - Gdy wydało jej się, że ignoruje jej polecenie, dodała: - *Sieh mich bitte an*.

Posłuchał i skierował wzrok na nią, a ona z powrotem zaczęła mówić współczującym tonem.

- W Ameryce - kontynuowała - człowiek odmawiający drinka może być tylko byłym alkoholikiem albo muzułmaninem. Nadszedł czas, aby dla dobra misji odsunąć na bok reguły Szariatu. - Tym razem delikatnie złapała Mussę za rękę. - Twoi wrogowie już to zrozumieli. Bo czyż w innym przypadku Żydzi walczyliby w szabas? - Stanowczym wzrokiem patrzyła w pełne niepewności oczy Mussy, w tym czasie kelner postawił na stole wysoką szklankę z bursztynowym płynem. - Poza tym po prostu musisz -jej głos zamienił się w szept - musisz walczyć tą samą bronią, co oni, musisz walczyć za swą wiarę.

Mussa podniósł szklankę i z obrzydzeniem napił się zakazanego napoju. Martina uśmiechnęła się i otarła mu piankę znad górnej wargi.

Co za praca, pomyślała, trzeba pokonać tyle barier. Zastanawiała się, czyjej ludzie dadzą sobie radę i odłożą na bok dogmaty swej kultury oraz religii, żeby służyć wyższemu celom koranicznego prawa, które ona również szanuje, lecz traktuje tylko jako stopień ku większej chwale.

W Libanie przyjęła tych żółtodziobów pod swe skrzydła, nauczyła ich języków obcych, opowiedziała o innych kulturach, zapoznała z elektroniką i bronią - po prostu zmieniła ich w innych ludzi. Nie tylko pokazała im, jak ostro jeździć samochodami osobowymi, ciężarówkami i motocyklami, lecz także jak je naprawiać. Policzkowała za drobinę rdzy na lufie, a - ponieważ w muzułmańskim świecie nie uchodziła za kobietę - dawała buziaki, kiedy ich *Kałasznikow* były wyczyszczone i naoliwione.

To Martina dostrzegła krótkowzroczność ich dowódców i słabości w hierarchii Hezbollahu, co wiązało ręce tym dzielnym wojownikom. Zabrała ich ze sobą i utworzyła nieprzenikloną komórkę bojowników. Traktowali ją jak królową, podczas gdy ona uważała się za coś więcej niż matkę tego ugrupowania nazywającego siebie Yadd Allah. Boska Ręka.

Domyślała się, że nazwa ta nie schodzi w tej chwili z ust zachodnich agencji wywiadowczych na całym świecie. Lecz jeśli jej ludzie mieli zamiar dorosnąć do swej

nazwy, to musieli nauczyć się, że czasami najlepszym sposobem służenia Allahowi jest złamanie jego prawa.

Kiedyś musieli nauczyć się żyć dla Niego. Musieli nauczyć się zabijać dla Niego. Ale czy teraz tu, na ziemi wroga, zdoła ich nauczyć, jak Go ignorować?

Zostało tak mało czasu.

- Przyjdzie? - zapytała, gdy Mussa po raz drugi napił się piwa; tym razem wziął mniejszy ryk.

- Tak, jest już w drodze - odpowiedział markotnie, jak gdyby został skarcony. Przez pewien czas zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, dobierając do swej

sfory wilków samych mężczyzn. Nikt nie mógł kwestionować ich odwagi i poświęcenia, jednak brakowało im intuicji i zdecydowania charakteryzujących kobiety. Przez wiele lat Martina pracowała z kobietami w Rotę Armee Fraktion i wiedziała, że w skrajnych

sytuacjach, kiedy wszystko wydaje się już stracone, żaden mężczyzna nie jest w stanie wyzwolić w sobie takiej wściekłości jak kobieta. Z drugiej jednak strony trudno było rządzić kobietami i nad żadną z nich nie można było zbyt długo sprawować kontroli. A ci chłopcy łatwo podporządkowują się jej woli.

Nie licząc legendarnej terrorystki Leili Khaled, niewielu kobietom na świecie udało się z powodzeniem dowodzić ugrupowaniem muzułmańskich bojowników. I choć celem działań Martiny nie było dopieszczenie wysokiego mniemania o sobie, z satysfakcją pozwoliła podwładnym nadać sobie przydomek Leila.

Spojrzała w stronę wejścia. Nieopodal baru stał niski mężczyzna. Białe włosy kontrastowały z ciemną, ogorzałą od wiatru i słońca cerą. Szary wełniany garnitur, białą koszulę - tylko o numer za dużą - i czarny krawat uzupełniał długi, granatowy prochowiec. Dzięki okularom w złotej oprawce mężczyzna wyglądał jak zegarmistrz z Zurychu. Ujrzawszy Martynę, podniósł aktówkę z miękkiej skóry i ruszył do przodu. Martina zauważyła, iż człowiek, znany jej jako Omar, zamienił brązową laskę na staromodną laseczkę z metalową główką zamiast rączki. Często zastanawiała się, po co takiemu żwawemu człowiekowi w ogóle potrzebna jakakolwiek pomoc przy chodzeniu. Doszła w końcu do wniosku, że laseczka stanowi coś w rodzaju eleganckiej broni. Spojrzała uważnie na mężczyznę pełniącego funkcję pośrednika pomiędzy nią a zatrudniającymi ją ludźmi. Od wielu miesięcy konsultował się z nią i negocjował. Uważała go dotąd jedynie za miłego posłańca, lecz zważywszy na ostatni wybuch, zastanawiała się, czy czasem ten łagodny wizerunek nie jest tylko kamuflażem, jak w przypadku mięsożernej rośliny.

Arab wytwornie uklonił się przed Martyną i zajął miejsce naprzeciwko niej. Zauważyła, że rączkę laseczki stanowiło popiersie Ludwiga van Beethovena wyrzeźbione w kości słoniowej.

- Widzę, że znasz się na muzyce - odezwała się po angielsku bez żadnych wstępów ani powitań.

- Takie pokolenie. - Omar wzruszył ramionami, jak gdyby za coś przepraszał. Walizeczkę postawił pomiędzy stopami.

- Podać drinka, *señor*? - U jego boku zjawił się kelner.

- Nie, to za mocne na moje serce. - Starszy człowiek grzecznie skinął ręką, a gdy kelner odszedł, dodał: -I źle działa na duszę.

Mussa chrząknął i zabrał rękę ze szklanki Escudo.

- Dobry wieczór, młody przyjacielu. - Omar uklonił się Mussie, a ten w odpowiedzi jedynie kiwnął mu głową.

- Mussa nie czuje się dziś za dobrze - wyjaśniła Martina.

- Och, co za szkoda.

- Ja właściwie też - dodała.

- Przez tę pogodę? - Omar odwrócił głowę nadstawiając ucha, a rozbrajający uśmiech spod wąskiego, siwego wąsika nie osłabł ani trochę. - Czasami Hamburg w porównaniu z tym miastem wydaje się prawdziwym letniskiem.

- Raczej dzięki pogodzie w polityce - odparła Martina, spoglądając na „New York Post”. Kelner przyniósł smażoną wieprzowinę dla niej i dla Mussy. Wbiła widelec w mięso, odcięła kość, a na ostrzu jej noża pozostała krew.

Omar przyglądał się jej dłoniom, ona uważnie studiowała jego twarz, lecz zauważyła jedynie wnikliwe zainteresowanie, bez cienia niechęci czy pogardy.

Zgodnie ze zwyczajową procedurą Martina nie wiedziała, kogo reprezentuje Omar. Był Palestyńczykiem, więc przypuszczała, że pracuje dla Abu Nidala lub być może Abu Ibrahima, którego najlepszy twórca bomb, Mohammed Rashid, szkolony był kiedyś w jej własnej komórce RAF-u w Niemczech. Mógł ją zarekomendować do wykonania tej pracy jeden z ludzi niechętnych wszelkiego rodzaju zbliżeniom izrael-sko-arabskim. Martina odznaczała się dostateczną przebiegłością, aby zrozumieć potrzebę korzystania z tego starszego wiekiem

pośrednika. Byłaby jednak idiotką, gdyby nie skorzystała z okazji wystawienia go na próbę.

- Ciekawe, kto mógł być na tyle głupi, żeby popełnić takie straszne przestępstwo - zapytała z przesadną uprzejmością.

- To hańba - powiedział Omar takim samym tonem.

- Zwłaszcza, że pokój był już tak blisko.

- Prawie w zasięgu ręki.

Martina jadła mięso, podczas gdy Mussa obserwował swych zwierzchników w milczeniu, jak chłopak podający piłki tenisistom. Szybko stracił ochotę na posiłek.

- Takie tajne układy są bardzo niepewne - powiedziała Martina, odwołując się do wymiany więźnia.

- Jak domki z kart - przyznał Omar.

- A zatem kto odpowiada za tę straszną sprawę? Ta akcja przypomina mój styl pracy. Co o tym sądzisz?

Starszy człowiek poprawił się na krześle. Dotknął wąsów, przesunął dłoń po wargach i spojrzał w sufit.

- Nasz kłopotliwy Król Babilonu? - powiedział, mając na myśli Saddama Husajna.

- Nie, on jest zbyt zajęty. Wylizuje się z ran po ostatnim nieudanym festiwalu *Scudów*. Nie ryzykowałby.

Omar skinął głową i, spojrzawszy Martinie w oczy, napotkał pełen oskarżenia wzrok.

- Zapewniam cię, moja córko - rzekł, a Martina drgnęła pod wpływem ojcowskiej czułości - że nie wiem na ten temat więcej niż ty. Lecz skoro my wiemy o tajnym porozumieniu, które wkrótce dojdzie do skutku, można przypuszczać, że wiedzą o nim inni. Czyż nie tak?

Nie odpowiedziała. Zacisnęła zęby i zamarła w bezruchu niczym polujący kot.

- Ten czyn - kontynuował Omar, wskazując palcem na „Post” - wygląda na akt rozpacz. Z pewnością to działanie kogoś, kto tak bardzo przeciwny jest zawarciu porozumienia, że byłby w stanie wysadzić pociąg z kompletem pasażerów.

- Chcesz powiedzieć, że może mu się to udać - szepnęła Martina, czując, że Mussa również zrozumiał konsekwencje i siedzi cały spięty. - Twierdzisz, że niedługo znajdę się w kolejce przed nowojorskim pośrednikiem?

Omar nie mógł powstrzymać śmiechu, gdy wyobraził sobie elegancko ubraną Martinę wypełniającą rubrykę „zawód” - **TERRORYSTKA, NA ŻYCZENIE DOSTARCZAM REFERENCJE** W jego oczach pojawiły się łzy i musiał wyjąć z kieszeni chusteczkę.

Jego rozbawienie nie poprawiło Martinie humoru, ponieważ gdyby z powodu ataku na konsulat odwołana została wymiana więźnia, to automatycznie zerwano by kontrakt z nią. Yadd Allah poszłaby na żebry pod któryś z meczetów w Jersey City. Niemniej gdyby Omar teraz kłamał, Martina wyczytałaby to z jego twarzy, z jego zachowania.

Nachylił się nad stołem, złożył ręce jak do modlitwy i przemówił, patrząc Martinie prosto w oczy, jak stary, uprzejmy profesor dzielący się swą wiedzą z pełną wątpliwości studentką.

- Politycy działają na wielu poziomach, moja droga. Zwierzęta polityczne dysponują głosem przemawiającym do opinii publicznej. Poniżej natomiast funkcjonują duchy i to one dopiero mają naprawdę coś do powiedzenia. Z tego co słyszałem, duchy trwają przy swoich postanowieniach. Ty też powinnaś wytrwać przy swoim, nawet pomimo obaw.

Mussa zaczął się kręcić na krześle. Nagle poczuł, że musi wyjść do toalety, częściowo ze względu na wypite piwo, lecz w większym stopniu dlatego, że był już niegdyś świadkiem gniewu Martiny, a ten starszy człowiek zaprzeczając jej odwadze, mógł wywołać niespodziewane reakcje. Martina jednak przytrzymała go za rękaw marynarki.

- Zapewniam cię, Omarze, że nie jestem rozdygotaną panną młodą - odezwała się. - Poza tym powszechnie wiadomo, że najczęściej to mężczyźni panikują przed ślubem.

- Ten pan młody z pewnością cię nie zawiedzie - nalegał Omar, okazując odrobinę zniecierpliwienia.

- Więc kto usiłuje mnie naśladować?
- Nie wiem - uciął. - Radzę ci, zignoruj to.

Martina pokiwała głową i sprawa została zamknięta. Skinęła na kelnera, pokazała na migi, że chce się napić kawy i podniosła trzy palce.

Nikt nie wypowiedział ani słowa, dopóki na miejscu talerzy nie pojawiły się trzy cappuccino.

- Prosi - Martina podniosła filiżankę i upiła łyk, a towarzyszący jej mężczyźni powtórzyli toast. Uśmiechem rozjaśniła posępny nastrój, a potem, trzymając się porównania z ceremonią ślubu, powiedziała: - A zatem doszliśmy do wniosku, że ten romans zakończy się pomyślnie. Będę potrzebowała pewnego dowodu. W dzisiejszych czasach liczą się tylko kwiaty.

Za pół miliona dolarów można kupić sporo kwiatów, z odrobiną cynizmu pomyślał Omar i dotknął stopą walizeczki.

- Gotówka jest tutaj - powiedział. - Jednak, co również ustaliliśmy, bank chciałby otrzymać kilka szczegółów na temat wydatków.

Martina sięgnęła do torebki, a Mussa bezustannie patrzył jej na ręce. Znał ją od dziesięciu lat, lecz wciąż nie był w stanie przewidzieć reakcji swojej nauczycielki.

Wyjęła małą, złożoną kartkę i wręczyła ją Omarowi. Rozwinął ją, oglądał przez chwilę, a potem wyjął okulary i czytał jak przez lupę.

Na kartce maszynowym pismem sporządzona została po angielsku długa, szczegółowa i precyzyjna lista. Na sprzęt nie zareagował prawie wcale: karabiny *M-16* i wyposażenie do nich, mundury w różnych rozmiarach i części do urządzeń elektronicznych, o jakich nigdy nie słyszał. Później następowały cztery powszechnie używane pojazdy oraz koszty wynajęcia samolotu pomnożone przez liczbę godzin. Zwrócił uwagę dopiero na wynajęcie mieszkania w Helsinkach i ceny francuskich paszportów na czarnym rynku.

Wszystko jednak przyćmiło pojedyncze zdanie znajdujące się na samym dole kartki. Na twarzy Omara pojawił się grymas, przybliżył kartkę do okularów, a kiedy znów podniósł głowę, miał wybałuszone oczy.

- Wszystko jasne? - zapytała Martina. Skinął głową.
- Zapamiętasz?
- Nie ma mowy, żebym zapomniał - wyszeptał. Martina jeszcze raz sięgnęła do torebki.

Dłużej nie wytrzymam. Narobię w spodnie, pomyślał spięty Mussa. Martina wyjęła Kenta z filtrem i przypaliła złotą elektroniczną zapalniczką.

- To niezdrowe, moja droga - ostrzegł ją Omar, chociaż sam narażał ją na o wiele większe niebezpieczeństwo niż palenie papierosów.

- Staram się rzucić.

Podniosła ze środka stołu szklaną popielniczkę i postawiła bliżej siebie. Później zabrała Omarowi kartkę, wrzuciła ją do popielniczki i podpaliła koniuszkiem papierosa. Papier spalił się natychmiast, zostawiając po sobie jedynie stosik popiołu. Martina musiała poparzyć sobie palce, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Być może nie powinienem był być taki pewny siebie. - Omar spojrzął na popielniczkę, jak gdyby był to wrak luksusowego samochodu, którym za szybko jeździł. - Mogę zapomnieć o paru szczegółach dotyczących cen.

- Nie szkodzi - powiedziała Martina, gasząc papierosa. - I tak są płynne jak ceny akcji na giełdzie. A poza tym ustaliliśmy przecież, że to, co zostanie, będzie przeznaczone dla mnie. Już ci mówiłam, że nie chciałabym, aby pannę młodą spotkał smutny los. A istnieje taka możliwość, chyba nie zaprzeczysz.

- Niestety nie. - Najwyraźniej przestało interesować go towarzystwo Martiny i, zakładając płaszcz na ramiona, wskazał walizeczkę. - To cię powinno nieźle ustawić. I nie kontaktuj się ze mną, proszę, dopóki ten etap nie zostanie zakończony.

- Nie będzie takiej potrzeby. O wszystkim przeczytasz w gazetach. Jeszcze przez chwilę

Omar nie spuszczał z niej wzroku.

- Bóg z tobą - powiedział.
- Jeśli tylko tego zechce - uśmiechnęła się.

Starszy mężczyzna chrząknął, zabrał laseczkę i szybkim krokiem wyszedł z restauracji.

Mussa sięgnął po walizeczkę i przysunął ją do Martiny. Przypomniała sobie von Stauffenberga usiłującego zabić Hitlera i zajrzała do środka, aby upewnić się, że są tam tylko koperty z gotówką.

- *Los*- powiedziała widząc jego zaciśnięte zęby, a on zerwał się od stołu i pognął do toalety.

Rozsiadła się na krześle, napiła kawy i słuchała delikatnych, przypominających akordeon dźwięków bandoneonu. Z melancholią wspominała to, co utraciła...

Znów widziała rodziców wirujących w tłumie tancerzy odzianych w eleganckie, czarne smokingi, szkarłatne suknie, nachylających się do siebie w dumnych, przesadnych pozach do rytmu tang zrodzonych w burdelach Orilli. Widziała ich szczęśliwe uśmiechy, czuła na sobie fałdy własnych sukienek balowych, doświadczała magii miejsca zwanego Buenos Aires i zdawało jej się, że nic nie jest w stanie zakłócić miłości panującej w jej rodzinie. Wówczas jeszcze nie pojawił się nawet cień niebezpieczeństwa, chociaż zdawała sobie sprawę, że jej rodzice i ich przyjaciele żyją w Argentynie niczym królewscy dworzanie, całkowicie odcięci od społeczeństwa zamieszkującego ich ojczyznę.

Ojciec zapewniał jej uwielbienie, miłość i poczucie bezpieczeństwa nie mniejsze niż matka. Szanowano go za wiedzę, za to, że często dzielił się swą mądrością z ludźmi, którzy prosili go o radę, za to, że umiał wyrażać ich lęki, kiedy czasy się zmieniły po odejściu Peróna i za to, że doktor Otto Klump potrafił pocieszać zapewnieniami, że świat się nie zmieni.

Był spokojnym, zorganizowanym człowiekiem. Cechował go upór, nie mający jednak nic wspólnego z arogancją, i nawet gdy Martina zaczęła tęsknić za przyjęciami, gdy zaczęły się „dyskusje” między nim a Kathariną, nie chciał wyprowadzić się z domu w Yicente López, ani szukać anonimowości w jakimś slumsie typu San Fernando, gdzie za domy uważa się budy stawiane na skałkach osadowych.

Martina żyła śpiewając w domu proste niemieckie piosenki i szczebiocząc doskonale po hiszpańsku w szkole, dokąd uczęszczała regularnie każdego ranka.

Później cały świat wywrócił się do góry nogami. Był majowy dzień 1960 roku. Pamiętny dzień, kiedy to nagle ojciec stracił odwagę. Zaczęły się telefony, szeptane rozmowy z przychodzącymi późną nocą gośćmi, wyglądającymi na ludzi dumnych i możnych, ale o twarzach bladych i zatroskanych. Kogoś z ich otoczenia dotknęła tragedia, bo zaginął porwany przez żadne zemsty siły, a zdezorientowana Martina chowała się za drzwiami. W niedługim czasie zniknęli przyjaciele, z którymi tańczyli rodzice, także jej koleżanki i koledzy, którzy dosiadali kucyków na jej urodzinach. Słyszała nalegania matki, wypowiedane błagalnym tonem nazwy takie jak Paragwaj czy Brazylia. Ojciec jednak wciąż powtarzał, że nie chce kolejny raz uciekać.

Później skończyła się jego praca w laboratorium, a razem z nią uśmiechy matki. Wiarę ojca zakończył strzał z pistoletu. Z tego samego, który leżał teraz w jej torebce...

Nie popadała już w gniew, a smutek rzadko kiedy doprowadzał ją do łez. Często jednak zastanawiała się, kim by była i co by robiła, gdyby ojciec żył.

Zdała sobie sprawę, że Mussa wrócił na swoje miejsce i patrzy na nią z oczekiwaniem.

- *Sprich du, bitte* - Pozwoliła mu powiedzieć, co go gnębi.
- Robi się zbyt niebezpiecznie, Leila - powiedział.
- Czyżby?
- Nie kpij sobie, proszę.

Martina przybrała wesołą minę, założyła nogę na nogę i ułożyła dłonie na kolanie. Cała zamieniła się w słuch.

- Tak, robi się niebezpiecznie - kontynuował Mussa. - Ty o tym też wiesz. Jeszcze raz

sprzeciwiam się temu projektowi. Nie ma szansy na sukces, zostaniemy wybici w pień. - Nad górną wargą pojawiła się kropelka potu, ale Mussa szybko otarł ją dłonią.

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma - powiedziała Martina.

- Pusty frazes. - Zaczynał się denerwować, że Martina traktuje go protekcjonalnie. - I jeszcze jedna rzecz. Wplątując w to swoją matkę działasz wbrew wszystkim rozsądnym zasadom bezpieczeństwa.

- Zrobiłeś spore postępy w niemieckim.

- Jako brat swojego brata... - Mussa ścisnął blat stołu i podniósł głos - ...muszę stwierdzić, że jestem całkowicie temu przeciwny.

Argumentacja Mussy nie poruszyła Martiny. Słyszała te stwierdzenia już wielokrotnie i dokładnie wiedziała, jak należy je zbijać.

- I jako brat swojego brata - powiedziała spokojnie - zobowiązany jesteś wspierać mnie. Tak przynajmniej zostało napisane w Koranie. A zatem, jeśli naprawdę jesteś sługą Allacha...

Mussa oparł się o poręcz krzesła, spojrzął w sufit i zaczął coś mamrotać pod nosem.

- *TrotteU*- syknęła Martina, lecz zapomniała już o zwycięstwie swej woli i patrzyła na wejście do sali, skąd młody mężczyzna podążał w ich kierunku. Był niski, ubrany w skórzaną kurtkę motocyklową, na ramieniu miał torbę, a pod pachą trzymał kask. Uśmiechał się.

- *Masalkhair*- powiedział młodzieniec po arabsku, opadając ciężko na krzesło.

- *Guten Abend* - odpowiedziała wolno Martina po niemiecku. - Nie masz ze sobą może szyldu YADD ALLACH - OTWARTE OD DZIEWIĄTEJ DO SIEDEMNASTEJ?

Młodzieniec zaczerwienił się i spuścił głowę.

- Mówiłam ci, lyad, że spotkamy się później, w mieszkaniu.

- Tak, ale pomyślałem, że będziesz chciała zobaczyć je od razu. Cały dzień nie było mnie w domu, a wywołałem je w zakładzie jednogodzinnym.

- Zasłużyłeś na medal - zadrwiła Martina, lecz wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń. Lyad sięgnął do płóciennej torby i wyjął dwa pliki barwnych fotografii. Gdy tylko

Martina usłyszała o wybuchu w konsulacie Izraela, wysłała swoich ludzi na dyskretną obserwację rozwoju wypadków przy Drugiej Alei. Rozkazała fotografować wszystkich, którzy przyjeżdżają na miejsce i odjeżdżają, ponieważ przeczuwała, że wypadek może w jakiś sposób dotyczyć jej działań. Nie wierzyła zbyt w umiejętności lyada, lecz potrafił robić dobre zdjęcia, a dzięki dużej liczbie fotoreporterów nie musiała się obawiać dekonspiracji.

Odsunęła się od stołu i położyła zdjęcia na kolanach, a później powoli przeglądała fotografie ukazujące twarze w porannym zimowym świetle przechodzącym stopniowo

w wieczorną szarówkę. Ujęcia robione były z bliska i wyraźnie przedstawiały twarze znudzonych policjantów, plakaty grup protestujących Żydów, izraelskiego konsula generalnego w otoczeniu niewyspanych ochroniarzy oraz komisarza nowojorskiej policji przemawiającego do mikrofonu z dużym napisem NEWS 4.

Nagle zamarła. Powoli wyprostowała plecy.

Wpatrywała się w jedno ze zdjęć tak długo, że Mussa i lyad zaczęli wymieniać spojrzenia, nie ośmielali się jednak zabrać głosu. Patrzyła na zdjęcie, potem na następne, a później z powrotem wróciła do normalnego rytmu.

Z pewnością nie myliła się. Powinien jednak mieć na głowie kapelusz. Nie widziała go od bardzo dawna, lecz twarzą majora Benjamina Bauma - być może już pułkownika - na pewno nie zapomniaby nigdy. Idealnie pasował do tego typu śledztwa i można się było spodziewać tam jego obecności. Widząc go jednak, poczuła na plecach dreszcze wywołane wrażeniem odwrotnym do tego, które wywołałoby spotkanie dawnego kochanka. Zawsze miała nadzieję, że go jeszcze kiedyś spotka, lecz sama chciała dyktować warunki. Być może przyjechał tutaj w sprawach nie mających z nią nic wspólnego, ale wiedziała, że Benni Baum, Hans-Dieter Schmidt, czy jak tam się teraz nazywa, to człowiek niebezpieczny.

- *Markierstift*. - Wyciągnęła rękę do lyada, nie odrywając oczu od zdjęcia, a młodzieniec

podał jej czerwony pisak. Wolnym ruchem narysowała kółko dokoła wyłysiałej głowy, zamyślonych brwi i potężnego karku. Później nachyliła się do Mussy i położyła mu zdjęcie na dłoni.

- Śledź go - szepnęła i patrzyła mu w oczy tak długo, aż poczuł piekące ciepło. -Tylko go nie zgub.

3

• Nowy York

- Powiedz mi, Barrel, czy to problemy z językiem, do jasnej cholery?

Przed zablokowanym wejściem do budynku przy Drugiej Alei 800 wycie syren dawno już umilkło, jednak w ogarniętym ciemnością holu izraelskiego konsulatu wyglądało na to, że za chwilę może się okazać konieczne wezwanie karetki, która: odwiozłaby Jacka Buchanana do szpitala psychiatrycznego.

Buchanan pełnił funkcję specjalnego agenta terenowego nowojorskiego oddziału FBI i z pełną świadomością przekreślił nazwisko szefa izraelskich służb bezpieczeństwa.

Hannan Bar-El obejrzał się za siebie, a później z powrotem spojrzął na Buchanana. Obydwu mężczyzn dzieliła niewielka odległość, jak gdyby dla każdego z detektywów musiało starczyć miejsca na zasięg jego jurysdykcji. Wewnątrz konsulatu panowało gorąco, powietrze przesycił smród palonego plastiku, a ledwie trzymającemu się sufitowi groziło zawalenie pod wpływem krzyków Buchanana.

Podłoga i ściany korytarza nabrały koloru węgla drzewnego. Dywan wyglądał tak, jak gdyby ktoś przecinał go laserowym ostrzem. Tam, gdzie eksplodujący *Semtex* natknął się na syntetyczną żywicę, zamieniał ją w kałużę, toteż resztki krzesel i ram po plakatach rozpląwały się, tworząc krajobraz przypominający obrazy Salvadora Dali. Całość wyglądała jak wnętrze piecyka, w którym piekło się ciasto, podczas gdy zapomnialsza gospodyni wyjechała na urlop.

Po drugiej stronie stalowe drzwi do konsulatu straciły kolor, ale pozostały nienaruszone, jednak zamiast okienka przy kontuarze na lewo od miejsca, gdzie do strażniczej budki Mosziko wpadła niczym tornado kuloodporna szyba, ziała pusta dziura. Stalowa rama okienna powyginała się, a w świetle policyjnych reflektorów wystające końce przewodów przypominały ortodoncyjne klamerki na zębach krzyczącego nastolatka.

Buchanan przyprowadził ze sobą więcej ludzi niż jego izraelscy konkurenci. Stał na środku pomieszczenia. Jego krótko przycięte, brązowe włosy przyprószyła siwizna, a zamglone, blisko siebie osadzone oczy pasowały do płaskiej celtyckiej twarzy. Żył na szyi nienależnie pod wykrochmalonym, białym kołnierzykiem koszuli związanej służbowym krawatem. Ubrany był w szary garnitur, znak rozpoznawczy bankiera, i kremowy prochowiec. Złość i gniew codziennie towarzyszyły pracy agenta FBI, lecz ostatnimi miesiącami odkrył, iż emocje te pojawiają się już o świcie. Zbliżały się pięćdziesiąte urodziny i nie miał pomysłu na oszukanie kalendarza. Jeśli dodać do tego dyskusję na temat terytorium, które uważał za swoje, plus odrobinę uprzedzeń rasowych, czuł, że za chwilę wybuchnie.

- Czy mam wezwać tłumacza?

- *Alcohol, Tobacco and Firearms* - urząd federalny zajmujący się zwalczaniem nielegalnego obrotu alkoholem, tytoniem i bronią palną [przyp. red.J.

Amerykany wykonujący swoje zadania zdrzeli na myśl o wybuchu szefa FBI. Izraelczyków obwiniać można oczywiście o wiele rzeczy: o arogancję, brak manier, lekceważenie wszystkich opinii z wyjątkiem swoich własnych. Jednak sugerowanie, iż brak im inteligencji czy też lingwistycznych zdolności, natychmiast stawiało adwersarza na przegranej pozycji.

- Jeśli chce pan dolać oliwy do ognia - odpowiedział w końcu Bar-El.

Stał w prowokującej pozycji przed roztrzaskaną budką strażnika. W pomieszczeniu panował chłód, on jednak pozostał bez marynarki, z podwiniętymi rękawami szarej koszuli, palce miał

pobrudzone sadzą. Trzymając się pod boki, sprawiał wrażenie oficera, który stracił właśnie podwładnego, czuje się winny i wie, iż bitwa nie zmierza jeszcze ku końcowi.

Po jego obu stronach zajmowali miejsce ochraniający go, potężni ludzie z Szaba-ku, którzy naśladowali postawę swojego szefa. Również mieli podwinięte rękawy, a pistolety i zapasowe magazynki wystawione na światło dzienne. Ze względu na okoliczności nie robił na nich wrażenia czyjś podniesiony głos. Dlatego też znużonym wzrokiem patrzyli na miotającego się w złości Jacka Buchanana.

- W porządku. Powiem to teraz wolno i spokojnie. Mamy tutaj miasto Nowy Jork, w stanie Nowy Jork, w Stanach Zjednoczonych Ameryki. To nie pieprzony Tel Awiw. - Buchanan rozsunął połę płaszcza, a ludzie Bar-Ela instynktownie spojrzeli mu na ręce. - Tutaj zostało popełnione przestępstwo. Przestępstwo wagi lokalnej i państwowej, co czyni je sprawą zarówno miejscową, jak i federalną. - W tym momencie wyjął swoją odznakę. - A ponieważ jestem starszym agentem Federalnego Biura Śledczego na tym terenie, mam pełną jurysdykcję do zajęcia się tą sprawą. Czy to jasne?

Człowiek stojący po prawej stronie Bar-Ela uniósł dłonie, aby bić brawo. Hannan podniósł rękę i powstrzymał go.

- Dla mnie jest jasne - rzekł Bar-El zrównoważonym tonem - że stoi pan na terytorium podlegającym prawom dyplomatycznym. - Płynna angielszczyzna jeszcze bardziej rozwścieczyła Buchanana.

- Tam jest wasze terytorium. - Buchanan gwałtownie machnął ręką w kierunku poczerniałych drzwi. - Tutaj - wskazał na podłogę - mamy stan Nowy Jork.

Odwrócił się na chwilę i spojrzął na cztery osoby w niebieskich kurtkach z napisem ATF*, trzech nowojorskich policjantów w mundurach, trzech detektywów, dwóch techników z ekipy dochodzeniowej, oraz czterech terenowych agentów FBI. Nikt z nich nie ośmieliłby się podważać jego autorytetu w obawie przed niebezpieczną konfrontacją. Na wszystkich twarzach malowało się natomiast pytanie: „Co dalej?”

- A teraz - powiedział Buchanan, odwróciwszy się z powrotem do Bar-Ela - daję wam jedną minutę na opuszczenie tego terenu, powrót do swojego obiektu i pozwolenie moim ludziom na kontynuowanie pracy. Jedną minutę. Później aresztuję was wszystkich.

- *Sz'enasseh* - powiedział wyraźnie jeden z ludzi Bar-Ela po hebrajsku. Włożył kciuki za pas, zbliżywszy prawą dłoń do *Browninga High-Power*. Tym razem Bar-El nie pokwapił się uspokoić swojego człowieka.

- Co on, do diabła, powiedział? - wrzasnął Buchanan.

- Powiedział „Proszę bardzo” - przetłumaczył Bar-El.

Buchanan nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś podnosi rzuconą przez niego rękawicę. Przez trzydzieści lat rozgrywek politycznych wiele nauczył się na temat taktyki i teraz zdał sobie sprawę, iż pewność siebie zapędziła go w zastawioną przez siebie samego pułapkę, ponieważ nie pozostawało mu nic innego, jak spełnić pogrózkę. Co jednak powiedziałby na to Dyrektor? Przyjaźni się przecież z prezydentem, należy do elity towarzyskiej, jest byłym sędzią i chodzi w smokach na koktajlowe przyjęcia wydawane przez zaprzyjaźnione ambasady w Waszyngtonie. Nie spodobałoby się to szefowi, bo z tego skandalu mogłoby wyniknąć prawdziwe nieszczęście.

Niech to jasna cholera...

I wtedy przyszła odsiecz.

- Daj sobie z tym spokój, Jack.

Głos dobiegł z rogu pomieszczenia znajdującego się obok stalowych, zamykanych na elektromagnes drzwi, skąd, spoglądając na sufit, nadchodził pewnym krokiem czterdziestoletni mężczyzna z dłońmi głęboko wciśniętymi w kieszenie zielonego płaszcza. Wyglądał niczym jeden z Izraelczyków, jednak mówił z czystym akcentem z Chicago.

- Kto to powiedział? - powiedział Buchanan, powstrzymując się przed daniem znaku

swoim ludziom. Miał pewność, że Izraelczycy nie sięgną po broń, liczył jednak, że będą stawiać opór i z nostalgią przypomniał sobie bójki w barach.

- Spokojnie, Jack. Wyluzuj się.

Położywszy dłoń na piersi swego zastępcy, wysokiego, czarnoskórego mężczyzny o nazwisku Gold, Buchanan odsunął go na bok i wtedy rozpoznał nadchodzącą postać.

- A co ty tu robisz? - wrzasnął i odwrócił się do swoich ludzi. - Kto, do diabła, wpuszczał tu Firmę? Co się tu dzieje? Wpuszciliście też tych cholernych dziennikarzy?

Ludzie Buchanana patrzyli po sobie nawzajem z poczuciem winy.

- To sprawa wagi państwowej - powiedział przybysz -jak słusznie zauważyłeś.

- Ale nie sprawa CIA - Buchanan machnął rękami. - Trzymaj się od tego z daleka.

Człowiek w zielonym płaszczu zignorował jednak Buchanana i szedł dalej, patrząc pod stopy. W świetle reflektorów widać było srebrne kosmyki pomiędzy brązowymi włosami, kilka głębokich zmarszczek przy oczach, sugerujących, że człowiek ten kiedyś często używał lornetki.

- Panie Bar-El - zwrócił się spokojnie do Izraelczyka. - Przepraszam w imieniu moich kolegów. Sądzę, iż dobrze byłoby sprowadzić konsula generalnego.

- Co takiego? - wrzasnął Buchanan.

- Bardzo bym sobie tego życzył, sir - odparł Bar-El. - Jednakże znajduje się ona teraz na konferencji prasowej w biurze burmistrza.

- Przepraszasz? - Buchanan jednym długim krokiem stanął przed oficerem CIA.

-Przepraszasz w moim imieniu? Coś ci powiem o tych skurwielach, panie z Langley...

- Jack! - agent CIA krzyknął ostrzegawczo i zaraz uspokoił głos. - Posuwasz się za daleko, Jack. O wiele za daleko. Spójrz w dół - zasugerował, chociaż Buchanan oczywiście nie posłuchał, a w zamian za to poczerwieniał ze złości na twarzy. -I co widzisz, Jack? Przepaść. Twarde, ostre skały tylko czekają, żebyś zrobił jeszcze krok

I roztrzaskał na nich całą swoją zasraną karierę.

Buchanan zacisnął pięści, kostki przybrały biel obranych ze skórki cebul. Po raz drugi ocalił go przypadek, gdy otworzyły się osmalone drzwi do windy.

W windzie stał samotnie Benjamin Baum. Miał na sobie biały golf i krótki płaszcz, w dłoni trzymał walizkę. W drugiej ręce ścisnął przepustkę wręczoną na dole przez sierżanta policji i przez okulary do czytania uważnie studiował dokument. Nabrał tego nawyku służąc kiedyś w wydziale fałszerstw AMAN-u.

- A to co znowu? - burknął Buchanan. - „Śmierć komiwojażera”? Amerykanie buchnęli przesadnym śmiechem, ponieważ, chociaż Baum słabo

przypominał Willy'ego Lomana, skorzystali z okazji, aby rozładować napięcie.

Benni podniósł głowę i śmiechy ucichły. Zebrani nie wiedzieli, kim jest i przypuszczali, że się obrazi, lecz jego mina nie zdradzała jakiegokolwiek reakcji na śmiech.

W powietrzu unosił się ciężki, spotęgowany gorącem, wykręcający nozdrza fetor powstały w wyniku eksplozji, przysmażenia fragmentów ludzkich ciał, krwi i kości. Wszystkie te zapachy Benni poznał już wcześniej, w getcie i podczas masakry na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża. Także w Bejrucie, Belfaście, w Jerozolimie i innych miejscach wybuchów, dokąd jeździł jako detektyw, gość lub zmartwiony wieśniak. I mimo upływu lat za każdym razem reagował tak samo. Na jego twarzy malował się gniew, choć właściwie był to wysiłek wynikający z powstrzymywania się przed z wymiotowaniem.

Drzwi do windy zaczęły się zamykać, ale Benni w ostatniej chwili przytrzymał je ręką. Podeszedł do niego policjant i podał mu parę jasnoniebieskich torebek przypominających hotelowe czapeczki pod prysznic. Wszyscy tutaj nosili szpitalne okrycia na buty, więc Benni podał policjantowi do potrzymania walizkę, a sam nałożył pokrowce i wszedł do środka.

Krótkie spojrzenie wystarczyło, żeby zdał sobie sprawę z odbywającej się utarczki. Z uśmiechem minął Buchanana i wyciągnął rękę do Hannana Bar-Ela.

- *Szalom*, Hannan - powiedział serdecznie. Kątem oka dostrzegł mężczyznę w zielonym płaszczu.

- Cieszę się, że cię widzę - odparł ucieszony Bar-El i dalej mówił po hebrajsku. - Jak mam się do ciebie zwracać?

- Po imieniu - odparł Benni. W Stanach Zjednoczonych nie używał pseudonimu. Znało go zbyt wielu oficerów amerykańskiego wywiadu, a poza tym takie postępowanie na terytorium sprzymierzeńca mogłoby być uznane za nietakt. - Spodziewaliście się mnie?

- Badasz poinformował mnie zaraz po twoim telefonie.

- To dobrze - powiedział Baum. Uri Badasz pełnił funkcję szefa operacyjnego Szabaku i był dobrym przyjacielem Bauma, a ponieważ Benni nie tolerowałby oficera z innego oddziału wtrącającego się do działań AMAN-u, zawsze korzystał z jego pośrednictwa. Wziął Bar-Ela pod ramię. - Może zrezygnujesz z towarzystwa tych goryli. Wyglądacie tak, jakby za moment miała wybuchnąć wojna domowa.

Ludzie Bar-Ela i on sam nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Minął Bauma i podszedł do Buchanana. Benni odwrócił się i wyciągnął dłoń do wysokiego agenta FBI.

- Benjamin Baum.

- Jack Buchanan. - Agent pokazał Baumowi swoją odznakę. - Dowódca FBI w tym rejonie.

- Miło mi. - Baum sięgnął do kieszeni i wyjął dwie wizytówki. Jedną wręczył Buchanance, a drugą Bar-Elowi.

W lewym, górnym rogu wizytówki widniała menora obwiedziona laurem, a na środku niebieskimi literami napisane było: BENJAMIN BAUM, SPECJALNY DORADCA PREMIERA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA. Bez adresu, jedynie numer telefonu i faksu. Buchanan przyglądał się wizytówce, a Bar-El z podniesionymi brwiami rzekł:

- *Kane.es yaffeh*, Baum. Ładna wizytówka.

- Tak. Tusz już wysechł?

Bar-El przesunął kciukiem po literach.

- Chyba wszystko w porządku.

- A zatem, panie Baum - Buchanan wyprostował się - czym mogę służyć? Nie była to propozycja pomocy, lecz rada: „Mów, o co ci chodzi i wynoś się”.

- Pomyślałem, że być może ja mógłbym się panom przysłużyć. - Benni mówił po angielsku z wyraźnym akcentem niemieckim.

Buchanan zmarszczył brwi, wpatrując się w Bauma. Duża, wyłysiała głowa o charakterystycznych rysach Izraelczyka, potężny kark i szerokie bary.

- Nie wiem za bardzo, w czym mógłby nam pan pomóc, panie Baum. Mieliśmy tutaj właśnie nieoczekiwaną wymianę zdań.

-*Ja*- powiedział Benni, robiąc zatroskaną minę. - Mimo wieku nos mnie jeszcze nie zawodzi. - Dotknął palcem do spłaszczonego nosa. - Przepraszam, że na chwileczkę zapomnę o manierach. - Odwrócił się Bar-Ela.

Buchanan spojrzął na swoich ludzi i w geście przyzwolenia przymknął na chwilę oczy.

- *Nu*, Hannan? - Benni zwrócił się do Bar-Ela po hebrajsku. - Opowiedz mi w skrócie o tym.

- Ten skurwysyn...

- Hannan. - Baum podniósł ostrzegawczo rękę. - Wielu nowojorskich policjantów mówi płynnie po hebrajsku.

Bar-El rzucił okiem na ludzi Buchanana.

- Jedyne problemy tutaj stanowią ten dzentelmen. Wczoraj wszystko toczyło się gładko. Ci z pogotowia troskliwie zaopiekowali się Benem-Czecho. Potem pojawili się pierwsi ludzie z nowojorskiej policji i zaczęliśmy wspólnie pracować.

- Bez żadnych konfliktów?

- Gliniarze z Nowego Jorku niczego nie komplikują. Codziennie wymieniają się informacjami z konsulatami i wiedzą, gdzie są granice.

- I tu nie mają wstępu, tak?

- No właśnie. A ten facet zachowuje się jak Napoleon i twierdzi, że nie mamy prawa prowadzić śledztwa w sprawie ataku na nasze własne terytorium!

- Nie denerwuj się, Hannan - rzekł Benni.

- Prawie nas aresztował.

Benni zmrużył oczy i wybuchnął krótkim śmiechem, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Aresztował?

- Tak, tak, dobrze słyszysz.

Baum położył dłoń na ramieniu Bar-Ela.

- Trzeba było mu pozwolić. Potem już nigdy nie usłyszałyś o nim.

- Ty wszystko zepsujesz, Baum. - Bar-El uśmiechnął się. - Teraz odpowiedzialność spada na ciebie.

- Dobra. Jeśli nie masz nic przeciwko, to postaram się zaprowadzić tu porządek.

- Z wizytówki wynika, że ty tu rządysz.

- Bzdura - odparł Benni. - To twój teren.

- Uri Badasz twierdził, że z ciebie prawdziwy magik. Pokaż nam kilka sztuczek. Benni zdjął rękę z ramienia Bar-Ela i pomasaował sobie szczękę.

- Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Kto wynosił ciało? - Wiedział z doświadczenia, że na podstawie ciała zamachowcy można się więcej dowiedzieć niż po zbadaniu broni czy ładunków wybuchowych.

- Ciała, a nie ciało, i to nie w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Ciała?

- Tak. Była jeszcze dziewczyna. Zwłoki zabrali ludzie z kostnicy.

- Jaka dziewczyna? - szepnął Benni. Dla niego nie było przypadkowych ofiar. W Izraelu chyba wszyscy się znają i jeśli nie są spokrewnieni to przynajmniej zaprzyjaźnieni.

- Młoda. Dziewiętnastolatka. Była w poczekalni.

- jedna z naszych?

- Amerykanka. Przyszła po wizę uprawniającą do pracy. Najwyraźniej nie przeglądałaś jeszcze gazet.

- Cały czas jestem w ruchu.

- Zostało z niej więcej niż z zamachowca - powiedział Bar-El. - Wystarczy do urządzenia pogrzebu.

Benni włożył ręce do kieszeni płaszcza i spojrzał na czepki pod prysznic okrywające buty. Dzieci, pomyślał. Wykańczamy sobie nawzajem młodzież. Odwrócił się do agenta FBI i przeszedł na angielski.

- Dobrze, panie Buchanan. Chyba już rozumiem złożoność sytuacji.

- Z czyjego punktu widzenia? - Buchanan założył ręce na piersiach.

- Sir - rzekł Benni - chociaż w wojsku mojego kraju doszedłem do stopnia pułkownika, to w żadnym wypadku nie ośmieliłbym się podważać opinii człowieka z pańskim stopniem, pozycją i zakresem odpowiedzialności.

Pochlebstwo odniosło skutek i Buchanan opuścił ręce.

- Rozumiem.

- Moja propozycja wygląda następująco. - Baum podniósł ręce, wskazując na słabo oświetlony korytarz. - Teren ten należy teoretycznie do terytorium Stanów Zjednoczonych i jest częścią miasta Nowy Jork. Zgadza się?

- Zgadza się.

- Teren za ścianą, jak i sama ściana - Baum wskazał na rozwalone pomieszczenie dla

ochrony - gdzie również znajduje się wiele śladów, jest własnością państwa Izrael. Czy to także się zgadza?

- Tak mówiłem zanim pan się tutaj pojawił. Zrzekamy się tego terenu na rzecz pańskich detektywów.

Gotowi do interwencji ludzie Bar-Ela spojrzeli na swego szefa. On jednak powstrzymał ich stanowczym spojrzeniem.

- Nasi ludzie - kontynuował Benni - będą mieli prawo do wszystkiego, co zostanie znalezione po drugiej stronie.

- Naturalnie - powiedział szybko Buchanan sądząc, że ma do czynienia z politycznym naiwniakiem.

- Jednak - rzekł Baum, uniósłszy palec - stawiam pewne warunki.

- Jakie warunki?

- Pańscy ludzie wyznaczą przedstawiciela naszej strony, który bez żadnych formalności będzie miał dostęp do wszystkich odnalezionych śladów.

- Hm - zawahał się Buchanan. - Nie wiem...

- A nasi ludzie wyznaczą amerykańskiego przedstawiciela działającego na tych samych warunkach.

Tak rozsądnej propozycji Buchananowi trudno się było sprzeciwić.

- Izraelskiego przedstawiciela - kontynuował Baum - wyznaczysz pan sam, jeśli łaska.

Buchanan zastanawiał się przez chwilę. Doszedł do wniosku, że wszystko poszło po jego myśli. W końcu będzie mógł podsuwać izraelskiemu przedstawicielowi tylko to, co uzna za stosowne. Dyrektor będzie zadowolony. Podjęcie decyzji nie zabrało mu dużo czasu.

- Wybieram pana - powiedział, wskazując palcem na Bauma.

- Mnie? - Benniemu udało się spojrzeć z niedowierzaniem.

- Sam pan mówił, pułkowniku Baum. Liczy się stopień i odpowiedzialność. Wygląda pan na rozsądnego człowieka.

Benni obejrzał się na Bar-Ela i wzruszył ramionami. Odwrócił się do Buchanana.

- Dobrze.

- To świetnie - powiedział Buchanan i zaczął zapinać płaszcz.

- Zatem zgodnie z umową, jeśli nie ma pan nic przeciwko - kontynuował Baum - wybiorę spośród was amerykańskiego przedstawiciela.

- Jak pan sobie życzy.

Baum powoli odwrócił się, patrząc po twarzach znajdujących się na korytarzu osób.

- Wybieram tego człowieka.

Buchanan odwrócił się. Baum wskazywał na oficera CIA.

- Nie ma mowy. - Agent FBI pokręcił głową. - Tylko nie on.

- A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Nie jest z mojej grupy.

- Więc z czyjej?

- Nie jest z mojego oddziału - powtórzył Buchanan.

- Jestem z Langley - oznajmił głos z kąta.

- Ach, rozumiem - rzekł Benni. - Jak dla mnie może być.

- Nie ma mowy - powtórzył Buchanan, znów zaczynał ogarniać go gniew.

- Panie Buchanan - powiedział Benni zmienionym tonem. - Ja nie będę ukrywał śladów znalezionych tutaj, a on nie będzie ukrywał śladów znalezionych tam. Będziemy po prostu wymieniać się informacjami i z całą pewnością obydwaj jesteśmy kompetentnymi osobami do tej czynności. Wybieram jego.

- Zapomnij pan! - krzyknął Buchanan. - I wie pan dlaczego?

- Tak, tak, wszystko rozumiem - przerwał mu Baum. - Zróbmy sobie w takim razie krótką przerwę. Zadzwoń do naszego ambasadora w Waszyngtonie, żeby skontaktował się z

Białym Domem w sprawie pańskich obiekcji. Zgoda?

Buchanan otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Namysławiając się, poruszał szczęką. Mam na karku piąty krzyżyk. Za trzy tygodnie kończę pięćdziesiąt lat. Po co się będę ładował w to gówno? Przecież to mnie nawet nie obchodzi. Do cholery z tym wszystkim.

- Wy trzej tam! - Wskazał na trzech umundurowanych policjantów i zaczął wydawać rozkazy. - Dwóch z was może wracać na dół. Z ATF potrzebuję tylko trzy osoby. Technicy z dochodzeniówki też zostają. O'Donovan - kiwnął głową do detektywa - dobieierz sobie zespół. - Skierował wzrok na przedstawicieli Izraela. -1 pilnuj ich. Gold, idziemy stąd w diabły.

Gdy mijali Bauma, ktoś nacisnął guzik windy. Otworzyły się drzwi. Buchanan wszedł do środka, ściągnął okrycie butów i rzucił je na przypalony dywan, skąd zabrali je technicy i umieścili w foliowej torebce. Mężczyźni i kobiety podążający za swym szefem też zdjęli pokrowce na obuwiu i gdy wszyscy stanęli w windzie, zamknęły się za nimi drzwi.

Po odjeżdżających osobach pozostał obłoczek kurzu mieniącego się w świetle reflektorów. Wtedy podwładni Buchanana ruszyli do swoich zadań, jakby nagle ktoś włączył prąd.

U drzwi windy zajął posterunek umundurowany policjant. Dwaj ludzie z nowojorskiej dochodzeniówki otworzyli ciężkie futerały z narzędziami. Najpierw rozdali rękawice chirurgiczne personelowi ATF oraz detektywom. Następnie obydwaj założyli gogle na podczerwień, wzięli do rąk zaopatrzone w filtr latarki i zaczęli poszukiwania na nadpalonym dywanie. Przypominali owady poszukujące pożywienia. Ekspert od materiałów wybuchowych zaczął rozkładać po całym terenie chorągiewki. Z dala od epicentrum wybuchu niebieskie, bliżej czerwone, w samym środku - tuż przed stanowiskiem Mosziko - żółte. Trzej detektywi przeszli na jedną stronę i wyciągnęli notatniki.

Bar-El z pełnym satysfakcji uśmiechem podszedł do Bauma.

- Jesteś jak David Copperfield.
- Ostatni raz czytałem to w dzieciństwie - rzekł Benni. - Nie rozumiem aluzji.
- Miałem na myśli tego iluzjonistę. - Bar-El roześmiał się, a Baum machnął ręką.
- No cóż, umowa jak umowa. - Benni wskazał stalowe drzwi wejściowe. - Chodź, wejdziemy do środka.

Sekcja wizowa pozostawała zamknięta, nie było w niej personelu. Wszędzie słychać było jednak ostre brzęczenie telefonów. Kiedykolwiek Izrael przechodzi jakiś kryzys, czy to ratowanie etiopskich uchodźców, czy to wojna w Zatoce Perskiej, co najmniej połowa z trzystu tysięcy izraelskich imigrantów mieszkających na terenie Nowego Jorku dzwoni, zgłaszając się na ochotnika do pomocy. Piloci chcą latać, pielęgniarki pielęgnować, a spadochroniarze zrobią wszystko, do czego potrzeba silnych mięśni. Dzisiaj jednak telefony pozostawały bez odpowiedzi, gdyż nikt w niczym nie był w stanie pomóc.

Recepcja uchroniła się przed zniszczeniami niemal całkowicie. Część drzwi prowadzących do kantorku ochrony rozleciała się, a koło ściany, na której zatrzymał się Mosziko, pozostały pokryte surowicą i poplamione krwią bandaże oraz puste ampułki po zastrzykach. Na płaskim, wojskowym materacu leżały strzępki dżinsów, bluzy i koszuli.

Przez chwilę Benni przyglądał się parze czarnych tenisówek. Potem, gdy ludzie / . Szabaku przyszli i zajęli się swoją pracą, poczuł chłodny wiatr wiejący przez wybite

okna, odwrócił się w stronę sekcji paszportowej, zajrzał do pustego gabinetu i kiwnął palcem na człowieka z Langley.

Baum wszedł do środka, ułożył walizeczkę na drewnianym biurku, podczas gdy oficer CIA zamknął drzwi i założył na piersiach ramiona. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem na ich twarzach pojawiły się szelmowskie uśmiechy, jak u dwóch uczniów, którym po raz kolejny udało się wywieść w pole nauczyciela.

- Widzę, Benni, że wszędzie potrafisz znaleźć sobie przyjaciół, prawda? - Arthur Roselli roześmiał się, a Baum podszedł do niego i padł sobie w ramiona, mocując się jak zapaśnicy

sumo.

- Jak cię zobaczyłem - Baum cofnął się i pokręcił głową -już myślałem, że się nie uda.
- Postąpiłeś jak Salomon, stary oszuście - powiedział Roselli. - Ten dureń nawet nie wiedział, co go trafiło.
- Skoro ja mam być oszustem - Baum pogroził palcem - to ciebie traktują jak zdrajcę.
- On nie jest z mojej grupy! - Roselli sparodiował krzyk Jacka Buchanana, po czym dwaj starzy przyjaciele znów wybuchnęli śmiechem.

Arthur Roselli przez trzy lata był rezydentem Centralnej Agencji Wywiadowczej w amerykańskim konsulacie w Jerozolimie. Po raz pierwszy spotkali się z Baumem na jednym z tych dyplomatycznych przyjęć przypominających Halloween, kiedy to wszyscy oficerowie wywiadu udają kogoś innego. Po jakimś czasie Roselli zwrócił się do Bauma w pewnej niezmiernie delikatnej kwestii. CIA podejrzewała, że amerykański emigrant służący w izraelskich siłach zbrojnych przekazuje agentowi wywiadu rumuńskiego informacje na temat amerykańskiego uzbrojenia. Baum złapał zdrajcę i „odwrócił” go, dzięki czemu Roselli mógł dalej przekazywać za pośrednictwem Bauma fałszywe wiadomości do Bukaresztu.

Niewiele później Baum znalazł się w podobnej sytuacji jak poprzednio Roselli i poprosił agenta CIA o pomoc w operacji Flet oraz sprawie Amara Kamila. Bez pomocy Roselliego Benni i Eytan Eckstein zostaliby zdegradowani do stopni kaprała rezerwy i oddelegowani do rewidowania kobiecych torebek przed wejściem do kina.

W końcu Roselli został odwołany do Langley, gdzie awansował na dowódcę antyterrorystycznego zespołu Firmy. Pozostawali w kontakcie, przeważnie za pomocą łącz komunikacyjnych służb bezpieczeństwa. Podczas wojny w Zatoce Perskiej, gdy *Saidy* zaczęły spadać na Izrael, Roselli pierwszy dzwonił i donosił o wykryciu przez satelity CIA startów irackich rakiet, żeby rodzina Baumów mogła przygotować maski przeciwgazowe.

- Skąd wiedziałeś, że przyjeżdżam? - zapytał zadowolony Benni.
- Na początku nie wiedziałem - powiedział Roselli. - Chciałem wysłać kogoś ze swoich ludzi, ale zadzwonił do mnie Uri Badasz.
- Aaa. Chyba będę musiał dać temu szabaknikowi solidny wykład na temat bezpieczeństwa państwa - powiedział żartobliwie Benni. - Wydaje mu się, że pełni funkcję sekretarki organizującej moje spotkania towarzyskie.
- I dzięki za to, że zrobiłeś ze mnie podwładnego tego pieprzonego Buchanana. Tylko że nie będę mógł cały czas tutaj się kręcić.
- Nie ma sprawy - uśmiechnął się Baum. - Ja też mam tylko trzy dni. Twój ziomek z FBI ucieszy się, że na twoje miejsce będzie mógł dać kogoś ze swojej grupy. Możemy mu podsuwać, co nam się spodoba.

- Dokładnie to samo planuje Buchanan.
 - Jeszcze zobaczymy. - Baum mrugnął powieką.
- Roselli nagle spoważniał. - Przykro mi z powodu tych ofiar.
- Wy też ponieśliście ofiary. Dziewczyna była Amerykanką.
 - No tak.
 - Mosziko to żołnierz, zdawał sobie sprawę z ryzyka.
 - Badasz opowiadał, że znałeś tego chłopaka.
 - Znam - poprawił go Benni. - Właśnie wracam ze szpitala. Pojechałem tam prosto z lotniska. - Zapalił dwa papierosy i jednego podał Roselliemu.

- O, smak starego kraju. - Roselli zaciągnął się izraelskim papierosem. - Wyjdzie z tego?
Benni milczał. Przed oczami stanął mu widok Ben-Czecho całego w bandażach na oddziale intensywnej terapii nowojorskiego szpitala. Do żył miał podłączone kroplówki, a monitory pikały, odbierając sygnały prawie jak z kosmosu. Na oczach chłopaka leżały tampony z watą. Mógł już samodzielnie oddychać, jednak wydawał z siebie jedynie rzadkie, ochryple szepty przez zeschnięte usta.

Benni wziął kawałek lodu z aluminiowej rynienki i delikatnie zwilżył mu usta. Potem mówił do niego i starał się uśmiechać do poparzonej twarzy Mosziko.

- *Ani Kahn*. Jestem tutaj - powtórzył kilkakrotnie Benni. Gdy Mosziko uniósł rękę i próbował go złapać prawą dłonią, Benni ominął zabandażowany kikut i złapał go za przedramię. Nie mieli przed sobą tajemnic, z wyjątkiem służbowych, a Benni nie zamierzał pozwalać jakiemuś obcemu lekarzowi wyręczać go w ojcowskich obowiązkach.

- Mosziko, posłuchaj - powiedział delikatnym tonem, nachylając się ku okaleczonej twarzy. - Synu, nie będziesz już mógł używać tej ręki. Nigdy. Już jej nie ma. Ale chyba wiedziałeś o tym, prawda?

Kikut opadł, a Benni przysunął go do boku chłopca. Z pewnością Mosziko za kilka godzin przeżyje jeszcze szok poamputacyjny. Poruszając lekko brodą, dwa razy skinął Benniemu.

- I nie płacz. - Benni lekko ścisnął młodzieńca za ramię. - Sól źle wpływa na twoje oczy. Ale będziesz widział. - Mosziko odwrócił głowę w stronę, skąd dochodził głos

Benniego. - Tak, będziesz widział. Lekarz mi to przyrzekł. - Uznał, że na razie nie potrzeba mówić, iż tylko na jedno oko. - Aha, Uri Badasz prosił, abym przekazał ci wiadomość. Mówił, że dostaniesz trzydzieści dni na nauczenie się strzelania lewą ręką i możesz wracać do pracy.

Po raz pierwszy od chwili wybuchu Mosziko ujrzał w myślach obraz inny niż upiorny grymas twarzy zamachowcy i chłopak się uśmiechnął. Musiało go to bardzo boleć, ponieważ policzki pokryte miał świeżymi strupami, ale udało mu się. Podniósł lewą rękę z wysuniętym do góry kciukiem.

- No dobrze. - Benni dotknął głowy Mosziko. Na czarnych włosach trzymała się jeszcze zaschnięta krew. - Muszę jechać do konsulatu, ale wrócę. Chciałbyś mi coś powiedzieć? Uważasz, że wiedziałeś coś, o czym powinienem wiedzieć?

Przez chwilę Mosziko leżał bez ruchu. Potem poruszył ustami i popłynął z nich słaby szept.

Benni nachylając się przysunął jedno ze swych wielkich uszu do ust Mosziko.

- Jeszcze raz.

Mosziko powtórzył, a Benni wyprostował się i w zamyśleniu pomasaował czoło.

- Powiedziałeś *Allach Akbar*?- teraz on wyszeptał. Mosziko zdobył się na kolejne skinięcie głową.

- Powiedział to do ciebie?

Mosziko uniósł lewą dłoń i na migi zaprzeczył.

- Napisał?

Mosziko powtórzył ruch.

- Miał już napisane? Chłopak podniósł kciuk.

- Podał ci. - Benni próbował sobie wyobrazić przekazywanie wiadomości ; pomocą szuflady. - Miał to na kartce.

Mosziko uniósł kciuk.

- *Mitzoyan*. Świetnie - powiedział Benni. - Gdzie ona jest? Młodzieniec machnął ręką. „Kartka spłonęła”.

- No jasne. - Benni lekko poklepał chłopaka po ramieniu. - Wypocznij teraz. Dobrze się spisałeś. Pocałowałbym cię, ale lepiej zostawię to tej przepięknej młodej damie.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Kathleen, siedzącej na plastikowym krześle po drugiej stronie łóżka. Do tego szpitala wstęp mieli jedynie najbliżsi członkowie rodziny, ona jednak przekonała wszystkich, że jest jedyną i najbliższą osobą Mosziko. Nie rozumiała prowadzonej po hebrajsku rozmowy pomiędzy jej ukochanym a mężczyzną przypominającym czarne charaktery z filmów o Jamesie Bondzie, lecz zwróciła uwagę, w jaki sposób dotykał Mosziko. Zupełnie jak ojciec. A gdy uśmiechnął się do niej, odwzajemniła się tym samym...

- Tak, wyjdzie z tego - powiedział Benni do Roselliego. - Była u niego dziewczyna. Przepiękna. Kiedy ją zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że wszystko będzie z nim w

porządku.

- To dobrze - rzekł Roselli, zastanawiając się, czy on sam chciałby przeżyć z takimi okaleczeniami.

W okopconej popielniczce Benni dogasił papierosa.

- Trzeba iść. - Zmusił się do uśmiechu. - Bo inaczej ludzie zaczną gadać.

- Czekaj chwilę, Baum. Nie przedstawiłeś mi jeszcze jednej rzeczy.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o teorię - nalegał Roselli. - Baum bez teorii jest jak ciastko bez polewy. Jakie masz podejrzenia?

- Znasz mnie przecież, Arthurze. - Benni wzruszył ramionami. - Wiesz, że opornie myślę.

- Jasne. - Roselli pokiwał głową.

Baum wiedział, że Arthurowi chodzi o spekulacje dotyczące wybuchu, ale chciał uniknąć tego typu dyskusji. Wolał nie ujawniać szczegółów na temat wymiany więźnia, a co za tym idzie braku rozsądnych motywacji do udziału w zamachu Hezbollahu. Uważał też, że niemądrze będzie ujawniać opowieść Mosziko.

- Tu mogło brać udział wiele ugrupowań - rzekł Benni.

- Daj spokój. Przecież u was jako pierwsi pojawili się zamachowcy-samobójcy, a stwierdzenie, że odpowiadają za to muzułmańscy fundamentaliści, nie na wiele nam się przyda.

- Być może - przyznał Benni.

- W zeszłym roku w Argentynie mieliście taką samą sytuację - powiedział Roselli, jak gdyby musiał przypominać Baumowi o tamtej historii. - O ile dobrze pamiętam, twoi chłopcy wypłoszyli z krzaków jakąś Niemkę.

- To była podpucha. - Benni machnął ręką i znów spojrzał w stronę drzwi.

- Poczekaj chwilę. - Roselli złapał Benniego za ramię. - Mam dla ciebie prezent. Benni odwrócił się do starego przyjaciela z myślą, że chyba naprawdę czas odejść

na emeryturę. Czuł się zmęczony i odnosił wrażenie, że utracił umiejętność maskowania się. Czuł, że Arthur na siłę wciąga go w jakieś matactwa, w których dawniej zawsze poruszał się swobodnie.

- Nie, to nie zapalniczka z wygrawerowanym imieniem. - Arthur uśmiechnął się. - To ząb.

- Że co, proszę?

- Ząb. - Roselli otworzył usta i postukał się paznokciem w jeden ze swych wielkich siekaczy. - Ludzie Buchanana przejrzą tam wszystko, ale ząb wisi wbity w sufit nad samym wejściem.

Zdając sobie sprawę z wagi tego znaleziska, Benni zmrużył oczy. AMAN posiadał najlepszy na Bliskim Wschodzie wydział dochodzeniowy, zatrudniający izraelskich profesjonalistów w każdej dziedzinie, która może się okazać pomocna w działaniach wywiadu. Przed paru laty został wprowadzony do Libanu amerykański oficer, a porywacze chcąc zademonstrować swoje zdecydowanie, wysłali do amerykańskiej ambasady w Te! Awiwie odcięty palec. Jeszcze przed zdjęciem odcisku Roselli przyniósł palec do Bauma.

AMAN wezwał „Wróźbitę”, starszego lekarza, który przetrwał Auschwitz dokonując niezwykłych ekspertyz dla zabawy esesmanów. Potrafił widząc wnętrze dłoni określić, czy należy do górnika, sprzątacza krematorium, czy strażnika obozu. Po wojnie poszerzył swój repertuar.

- Ten palec nie należy do amerykańskiego oficera - stwierdził lekarz. - To palec serdeczny od prawej ręki libańskiego rolnika. Widzicie? Jest nawet zgrubienie od rączki kosi. Kosa została wykonana oczywiście z drewna cedrowego...

- Tylko mi nie mów, że nie macie faceta, który wróży z zębów - powiedział Roselli.

- Owszem, mamy - zwierzył się Benni. - Tylko sądzę, że posługuje się mikroskopem i innymi urządzeniami.

- Dobra. Taki ząb może wam wiele pomóc.
- Możliwe. - Benni wiedział jednak, że znając skład wypełnień zęba, można określić mniej więcej skąd pochodził dentysta, który wykonał plombowanie, a zatem i powiązania zamachowca.

- Onieśmiela mnie ten twój sceptycyzm, Benni. - Roselli poklepał przyjaciela po plecach. -
Idziemy.

Wrócili do poczekalni, gdzie przez wybite szyby hulał wiatr i rozwiewał prospekty reklamowe pomiędzy stoliki i przewrócone krzesła. Hannan Bar-El pomagał swoim ludziom załatać dziury podartymi torebkami foliowymi i taśmą klejącą. Zauważywszy nadchodzącego Bauma z Roselliem, przerwał pracę.

- Wy się znacie? - zapytał wprost.

- Oko gliniarza - powiedział Roselli do Benniego, wskazując kciukiem na Bar-Ela. Wyciągnął rękę i przedstawił się.

- Ocalił mi pan tyłek - rzekł Bar-El.

- Gadanie - prychnął Roselli. - Nie lubię strzelaniny w zamkniętych pomieszczeniach. -
Kiwnął głową w stronę rozbitego kantorku. - Jak tam pierwsze wrażenia?

- Jeszcze chyba trochę za wcześnie - Benni starał się uniknąć spekulacji - żeby wysuwać jakies podejrzenia. - Mówił po angielsku, chociaż Roselli całkiem sprawnie posługiwał się hebrajskim. - Prawda, Hannan?

Bar-El zignorował ostrożność Bauma.

- Hezbollah. Uważam też, że w Argentynie to także ich robota. Wtedy im za słabo przypieprzyliśmy i teraz znowu się stawiają.

- A co pan myśli o porachunkach żydowsko-żydowskich, jak to przedstawiają gazety? -
zagadnął Roselli.

- Daj spokój, Arthurze - wtrącił Baum. - Po trzech latach w Jerozolimie powinieneś znać nas lepiej.

- Mieszkał pan w Jerozolimie? - Bar-El podniósł brwi.

- Studiował w jesziwie - powiedział Baum z poważną miną.

- Wiem, że to brzmi głupio - przyznał Roselli - ale niech na razie tak zostanie.

- Nie ma sprawy - rzucił Bar-El. - A co ty o tym sądzisz, Benni?

Baum postanowił nie brać pod uwagę ewentualności, że Hezbollah lub jakaś jego frakcja próbuje nie dopuścić do wymiany jeńca. Wolał wykluczać ich udział dla dobra kapitana Dana Sarela.

- Chcę lepiej przyjrzeć się wszystkiemu, zanim coś wymyślę.

Do sekcji paszportów weszła kobieta i ruszyła w stronę trójki mężczyzn. Miała około trzydziestki, hebanowe włosy związane w kucyk i ciemne oczy. Była bez makijażu. Zwróciła się do Bar-Ela po hebrajsku.

- Hannan, dzwonił z Tel Awiwu. Policja wysłała najbliższym samolotem specjalistów od materiałów wybuchowych.

- *Yoffi*- rzekł Hannan.

Patrząc z góry na atrakcyjną kobietę, Roselli wyciągnął do niej rękę.

- Jestem Art Roselli. Z Waszyngtonu.

- Natalie Szapira. Z Ramat Gan. Roselli roześmiał się.

- Roselli to przyjaciel - powiedział do niej Benni. Szapira pełniła w konsulacie funkcję attache prasowego, przez co spotykała się z bardzo różnymi, nowojorskimi dziennikarzami. Była również agentką Mossadu i z powodu dwóch etatów jej dzień często zamieniał się w dwudziestoczworgodzinny maraton pracy. Znała Bauma z licznych seminariów przeprowadzanych dla izraelskich agentów wywiadu.

- Niezwykle przystojny przyjaciel - powiedziała Natalie, spoglądając na Amerykanina.

- Natalie jest szefową Departamentu Informacji - odezwał się Bar-El.

- I muszę informować. - Uśmiechnęła się i odeszła bez dalszych kurtuazji.
- Piękna agentka wywiadu - mruknął Art do Benniego. Baum spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- Dlaczego agentka?

- Dopiero co przyjechałeś, znaliście się wcześniej, a nawet nie przywitaliście się ze sobą.

- Już całkiem tracę formę. - Baum pokręcił swą dużą głową.

Bar-El wrócił do swego gabinetu w nadziei, że policyjni *chablanim* zjawią się szybko i zbiorą wszystkie ślady. Wtedy będzie można posprzątać, a od poniedziałku z powrotem otworzyć konsulata.

Baum i Roselli poszli w stronę stalowych drzwi wejściowych.

- Przyda ci się sprzymierzeniec - odezwał się Roselli.

Pirotechnicy oznaczyli już teren wybuchu trójkolorowymi chorągiewkami. Technicy z dochodzeniówki zdjęli gogle, a resztki po ładunku wybuchowym umieścili w małych, plastikowych pudełkach. Teraz zbierali szczątki odzieży do trzech dużych worków na odpadki. Worki oznaczone były napisami: Damskie, Męskie, Inne.

Dowódca amerykańskiej grupy dochodzeniowej trzymał własny worek. Benni zajrzał tam z ciekawości, ponieważ w środku mogły znajdować się przewody, mikroprocesory lub części detonatora, stanowiące „podpis” konstruktora bomby.

Roselli poprowadził Bauma do ściany, gdzie trzech detektywów przyglądali się przedmiotowi pokrytemu częściowo białym plastikiem.

- Co tam macie? - zapytał Roselli najuprzejmiejszym tonem na jaki mógł się zdobyć.

- But dziewczyny - odrzekł detektyw bez podnoszenia wzroku. Dotykał znaleźnika gumką ołówka. - W środku jeszcze trochę jej zostało. Chce pan popatrzeć?

- Nie, daruję sobie.

Jeden z detektywów wyprostował się i otrzepał spodnie od garnituru. Był szczupły, wysoki, a spod białej koszuli zakończonej klasycznym kołnierzykiem wyłaniały się sprężyste mięśnie. Przypomina boksera, pomyślał Benni. Miał zielone oczy, rudawe brwi i jasną irlandzką cerę zaróżowioną od zimna. Benni już się obawiał, że patrzy na młodsze wcielenie Buchanana, lecz na twarzy młodego człowieka pojawił się uśmiech.

- Niezłe przedstawienie, Roselli - powiedział detektyw. - Podoba mi się twój styl Dartha Vadera.

- Chyba cię nie przestraszyłem, mój drogi - rzekł Arthur, wyciągając rękę. Detektyw cofnął się pokazując, że ma nałożoną chirurgiczną rękawiczkę.

- Detektywie Michaelu O'Donovanie - odezwał się Roselli podniosłym tonem - poznaj proszę Benjamin Bauma.

- Miło mi, pułkowniku - powiedział policjant, patrząc na Bauma.

- Chyba dobrze się znacie - rzekł Benni.

O'Donovan wpatrywał się uważnie w oficera CIA, a potem wciągnął powietrze, jak gdyby chciał westchnąć.

- Od dawien dawna - odparł cicho, a później cofnął się i wrócił do swoich kolegów.

Roselli zwrócił na siebie uwagę Bauma i kiwnął głową w stronę pleców O'Donovana. To ten, dał znak. Benni sarkastycznie nadął wargi.

- Wielkie dzięki.

Odeszli do ciemnego kąta, w którym przed przybyciem Bauma stał agent CIA Przez dłuższy czas milczeli.

- Mogę zapalić? - Roselli zawołał nagle nie wiadomo do kogo.

- To twoje płuca - odpowiedział jeden z detektywów.

Roselli wyjął paczkę słabych Cameli i wyciągnął wargami papierosa. Podnosząc zapalniczkę, przerwał na moment i wskazał wzrokiem na sufit. Benni spojrział w tam tym kierunku.

W poczerniałym panelu dźwiękoszczelnym znajdował się biały przedmiot wielkości ziarenka kukurydzy. Po błysku światła można było poznać, że przedmiot ten częściowo składa się z metalu.

Benni ocenił odległość i wiedział, że nie dosięgnie. Zanurzył rękę w kieszeni płaszcza, wyjął klucze od domu i odpiął z kółka mały scyzoryk. Arthur zręcznym ruchem ukrył scyzoryk w dłoni, lecz musiał jeszcze poczekać na odpowiednią chwilę.

Po minucie zjawiała się pomoc. Drzwi windy nagle stanęły otworem, a wszyscy, ludzie zaczęli podnosić ręce, osłaniając się przed oślepiającymi błyskami.

- Jezu... Co to, kurwa, ma być! - krzyknął ktoś.

- „Daily News” - odezwał się z windy śpiewny, damski głos. - Prosimy wszystkim o uśmiech.

- Na miłość Boską, zabierzcie te aparaty - powiedział O'Donovan. Nie krzyczał. Zbyt wiele razy już mu się coś takiego przydarzyło. Mundurowi policjanci natychmiast zasłonili ciałami wyjście z windy.

Roselli stanął na palcach i wyłuskał ze styropianu wyrwany ząb. Baum trzymał już w ręce chusteczkę, zawinął w nią zdobycz i szybko schował do kieszeni.

- Pańscy ludzie pozwolili mi tu wjechać! - wrzeszczała kobieta.

- I moi ludzie każą pani wyjść - odpowiedział O'Donovan, wracając do swego zajęcia.

- W tym kraju panuje wolność prasy! - krzyknęła, gdy potężny policjant przycisnął guzik windy i drzwi zaczęły się zamykać.

- Cholerne sępy! - krzyknął ktoś.

Roselli skinął na Bauma, a potem położył rękę na ramieniu Benniego i lekko popchnął go w kierunku O'Donovana, jak ojciec popychający nieśmiałego syna na przyjęciu urodzinowym.

O'Donovan wstał od buta dziewczyny i zajął się zdejmowaniem rękawic.

- Jerry, zadzwonimy do kogoś ze służb medycznych - powiedział do jednego z detektywów. - Może powiedzą nam o tym coś więcej.

- Gdzie tu jest telefon? - zapytał detektyw o imieniu Jerry.

- Proszę wejść do środka - zaproponował Benni. - Tam na prawo, w sekcji paszportów na każdym biurku stoi telefon.

- Panie O'Donovan - odezwał się Benni, podchodząc do młodzieńca.

- Proszę mi mówić Mikę - powiedział detektyw.

- A zatem Mikę. - Benni uśmiechnął się po ojcowsku najlepiej jak potrafił. - Powiedz mi, gdzie reszta ofiar? Chodzi mi o rannych i tak dalej.

- Była jeszcze rodzina Rosjan. - Cały czas ozięble przyglądał się Baumowi. - Wygląda na to, że jedynie ogłuchli.

- To wszystko?

- Znajdowali się wewnątrz konsulatu - wyjaśnił O'Donovan. Podniósł marynarkę z leżącej na podłodze płachty foliowej. Odwinął rękawy koszuli i zapiął je. - Zdaje się, że niektórzy wasi ludzie doznali jakichś urazów, ale to nic poważnego.

Po przesadnie podkreślonym słowie „wasi” Benni wywnioskował, iż niełatwo przyjdzie zaprzyjaźnić się z tym człowiekiem.

- Pomyślałem sobie - mówiąc to Baum wpatrywał się w podłogę i ruszył przed siebie, więc O'Donovan musiał podążać za nim i w ruchu zakładać marynarkę. - Pomyślałem sobie, że chyba mógłbyś poświęcić mi pół godzinki - powiedział, gdy oddalili się od grupy.

O'Donovan zawiązywał krawat, patrząc Baumowi w twarz. Izraelczyk nie płaszczył się przed nim, lecz raczej proponował wymianę informacji. Widział, jak ten człowiek załatwił Buchanana.

- O co panu chodzi, pułkowniku?

- Mów mi Benni. Masz samochód?

- Tak.

- To dobrze. Podrzucić mnie, a odwdziękuję ci się drobnym prezentem. O'Donovan znów przez chwilę uważnie przyglądał się Baumowi. Dobry detektyw nigdy nie rezygnuje z uzyskania informacji, choćby pochodziła z nie wiadomo jak podejrzanego źródła.

- Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze trochę czasu - mruknął i odwrócił się do kolegów.
- Frank, jak przyjedzie patolog, to zajmij się nim. Dwaj mundurowi niech się stąd nie ruszają. Wróć za pół godziny.

Wszyscy popatrzyli na O'Donovana, a on ruszył do drzwi windy.

- Pan przodem, pułkowniku.

- Benni - przypomniał mu Baum, naciskając na guzik.

- No tak - rzekł detektyw takim tonem, jak gdyby alchemik proponował mu złoto po promocyjnej cenie. Zdjął osłonki na buty, wziął także od Bauma i wrzucił je do worka.

O'Donovan nie przejmował się za bardzo całym wydarzeniem. Związane było z Bliskim Wschodem, a nie znał nikogo ani niczego z tamtych stron, co warte byłoby zapamiętania. Poza tym nie miał czasu.

Gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, detektyw jeszcze raz spojrzął na mroczny tunel korytarza, pogiętą ramę okna do kantorku i jaśniejsze pomieszczenia konsulatu. Dostrzegł sylwetkę Arthura Roselliego spoglądającego w jego stronę. Ukryta w cień niu postać zasalutowała mu. O'Donovan pomachał jej ręką.

4

Uniwersytet Columbia, Nowy Jork

W okularze silnej lunety Steinera pojawiła się twarz przyprawiająca Muszę Hawat-meha o przyspieszony oddech, ponieważ nie spodziewał się zobaczyć takiej piękności w towarzystwie obiektu wyznaczonego do obserwacji. Nastawił ostrość na twarz młodej kobiety i po jej minie wywnioskował, że odbywające się dwieście metrów od niego spotkanie to nie przypadkowa rozmowa znajomych. Nie wiedział jednak, czy serce zabiło mu mocniej z tego powodu, że dostrzegł taktyczną szansę, czy też po prostu ze względu na widok pociągającej kobiety.

Oczywiście nie miał także pojęcia, że twarz, która wprawiła go w chwilowy zachwyt, przysparza właścicielce wielu kłopotów.

Ruth Baum należała do młodych kobiet, które czasem chciałyby, aby wszyscy ludzie oślepli.

Istnieje na świecie wiele kobiet starających się każdego ranka dorównać urodą modelkom z pierwszych stron czasopism. Całe godziny spędzają przed lustrem, nakładają rozmaite odcienie makijażu. Poszerzają zbyt wąskie usta, powiększają zbyt małe oczy, poprawiają kształt podbródka i maskują długość szyi.

Ruth jednak należała do innej kategorii kobiet. Dziękowała niebiosom zamiast regularnie je przeklinać. Wyśmiewała zazdrość przyjaciółek i odpowiadała na ich komplementy tak ciętymi ripostami, że po krótkim czasie zaniechały uwag na temat jej wyglądu. Z taką nieufnością podchodziła do zainteresowanych nią mężczyzn, że tylko śmiałkowie potrafiący znieść ostre natarcia uchodzili cało z pola bitwy, które przypominały jej kontakty towarzyskie.

Była dziewczyną średniego wzrostu, o średniej wadze, lecz dzięki nienagannym proporcjom sprawiała wrażenie wyższej o kilka centymetrów. Miała małe stopy, smukłe nogi i młodzieńczą sylwetkę. Dłonie silne, bez manicure, piersi trochę za obfite, jak na jej gust, skóra w odcieniu bursztynowym, ciągle opalona, gdyż lata spędzone na pustyni pozostawiają ślad do końca życia.

Ruth starała się ograniczać różnorodność zakładanych strojów. Luźne dzinsy i kurtki ukrywały kształty ciała. Rozciągnięte swetry zimą i długie do kolan podkoszulki latem z powodzeniem potrafiły dochowywać sekretu, lecz z twarzą nie dało się zrobić nic.

Kasztanowe włosy opadały jej na ramiona. Czasami odgarniała kosmyk za ucho i wtedy ukazywało się szerokie czoło oraz lekko uniesione brwi zdradzające inteligencję. Tuż pod dużymi, lazurowymi oczami wydatne policzki zawsze pozostawały gładkie, pomimo wielu nocnych godzin spędzonych nad książkami. Smukły nos przy samym czubku był nieznacznie zadarty, a cała reszta, jak przypuszczała, pochodziła od jakichś odległych, germańskich przodków. Uważała, że usta ma trochę za szerokie i nabierają ładnego wyglądu dopiero wtedy, gdy gra na flecie, co czyniła czasem w ramach terapii, kiedy życie stawało się zbyt ciężkie, aby koncentrować się na studiach.

Największy jednak problemem dotyczący ukrywania swej urody stanowiło to, że uwielbiała się śmiać, a szczery, radosny uśmiech niweczył wszystkie jej wysiłki. Lata spędzone w Ameryce niewiele zmieniły jej poglądy na świat i nie złagodziły napięcia pojawiającego się u mieszkańców Izraela już przy urodzeniu. Dla większości Izraelczyków Ameryka jest miejscem, gdzie nikt nie przelewa łez po bitwach i nie istnieje prawdopodobieństwo nadejścia śmierci z za któreś z wrogich granic. Od czasów wojny w Libanie w 1982 roku pragnienie *yeridah* - dosłownie „wymknięcia się” z państwa Izrael - dla nikogo nie jest piętnem, które dawniej zmuszało emigrantów do ukrywania wyjazdu. Wyjeżdżała wówczas rekordowa ilość Izraelczyków, a ich motywacja była jednoznaczna - ucieczka.

Z podobnych powodów Ruth osiedliła się w Nowym Jorku, lecz przebrnąwszy większą część podyplomowych studiów doktoranckich na Uniwersytecie Columbia, zaczęła zdawać sobie sprawę, iż jej ucieczka miała charakter prywatny. Stało się dla niej także jasne, że ani sukces zawodowy, ani twórczość nie uwolni jej od powiązań z przeszłością.

Przyjeżdżając tu na studia liczyła, iż ciemniejszą część własnego ja pozostawi w Izraelu. Teraz jednak przyjęła uproszczone twierdzenie jednego ze swych profesorów, dotyczące ludzkiej kondycji umysłowej: linie lotnicze mogą zgubić twoją walizkę, ale bagaż emocjonalny zawsze masz przy sobie.

I chociaż codzienna, ciężka harówka na studiach stała się męcząca, Ruth podobało się życie w miasteczku studenckim Morningside. Trawniki i klomby na rozległym dziedzińcu utrzymane były w angielskim, geometrycznym stylu, kamienno-ceglano--marmurowa architektura odznaczała się elegancją, a od przemocy typowej dla zewnętrznego świata odgradzała kampus niewidzialna fosa. Ruth traktowała to miejsce jak schronienie i chociaż zależało jej na egzaminach i zaliczeniach, to nie spieszyła się z opuszczaniem studenckiego gniazda.

Na Uniwersytecie Columbia studiowało wielu młodych ludzi z zagranicy, lecz tylko nieliczni z nich służyli podczas wojny w wojsku w stopniu oficerskim, a już nikt jako wojskowy analityk wywiadu przydzielony bezpośrednio do biura szefa sztabu. Żadna z kobiet nie awansowała aż do stopnia kapitana, nadzorując wypadki komandosów z podziemnego pokoju operacyjnego, w którym tłoczyła się z oddziałem spoconych pułkowników. Ruth rzadko opowiadała o swoich przeżyciach, lecz wieści rozchodzą się szybko i oprócz nietypowego podejścia do urody dodatkowo zaczęła ją charakteryzować otoczka tajemniczości.

Wiedziała, że tendencje do anonimowości odziedziczyła po zmuszonym do niej swą profesją ojcu, a podczas studiów wcale nie jest ona konieczna. Ruth nie należała do osób wylewnych, lecz nie była też nieśmiała, a że pochodziła ze społeczeństwa, w którym wszystko jest otwarte na dyskusję, robiła trochę zamieszania w amerykańskim systemie nauczania, w którym panuje mentalność nakazująca traktowanie profesora jak Boga. Do pewnego stopnia musiała nauczyć się swoście pojętego poczucia taktu, którego nie wyniosła z rodzinnego domu.

Starła się nie stracić reputacji kobiety niedostępnej, lecz po pierwszym roku zmaganiach doszła do wniosku, iż nie jest w stanie panować nad korzyściami płynącymi z akceptowania niechcianych uczuć, jakimi obdarzali ją profesorowie. Popełniła tylko jeden błąd dotyczący

seksu, idąc do łóżka z zaprzyjaźnionym profesorem, lecz

szybko straciła zainteresowanie jego nerwowymi poczynaniami, chociaż musiała znosić je aż do końca semestru. Wspominała czasem - teraz już z uśmiechem - jak kiedyś podczas jesiennej sesji egzaminacyjnej miała niezwykle bolesną miesiączkę. Otrzymała wtedy najślabszą ocenę? i tak zakończył się ten związek. Od tamtej pory trzymała się z dala od profesorów.

Doskonale dawała sobie radę towarzysko. Po kilku nieprzyjemnych incydentach spowodowanych czystą zazdrością, zyskała szacunek u koleżanek przechodzących przez to samo, co ona. Zaprzyjaźniła się z kilkoma osobami, którym mogła się zwierzać, pozwalając jednocześnie zbliżyć się tym, którzy z jakichś powodów pragnęli jej rady w sprawach zarówno osobistych, jak i naukowych. Być może wynikało to z głębi jej oczu, która sugerowała doświadczenie życiowe wykraczające poza jej wiek. Najbardziej jednak wzbudzało w niej sympatię to, iż nie przeszkadzało jej, kiedy stawała się obiektem kpin. Bawiły ją sarkastyczne złośliwości, a potrafiła je nie tylko znosić, ale i prawić.

Zaraz po wykładzie z nowym profesorem przyjaciele gromadzili się wokół niej i zaczęli jej przygadywać.

- Hej, Ruth, jak zamierzasz tego poderwać? - to zazwyczaj mawiał Paul Desmond, który ukończył Cornell i większa część czasu uciekała mu na żałowaniu, iż nie poszedł do Harvardu. - Na wyrachowaną nierządnicę, czy na nieśmiałą panienkę?

- Na sadystkę - odpowiadała krótko i całą grupką szli na wysmienitą kawę do „UrisHall”.

- Pejczy, skórzane dodatki i te rzeczy? - Lisa Borowitz wynajmowała dwupokojowe mieszkanie wspólnie z Ruth na 112. Zachodniej Ulicy.

- Chyba dostałby zawału - podsumowała starszego profesora kobieta o imieniu Kit. Ta wysoka, długonoga blondynka przeniosła się z Georgetown.

- W takim razie tortury mentalne - uznała Ruth.

- Taaa, w tym jesteś dobra - machnął ręką Paul i skręcił do sali gimnastycznej na trening.

- On cię kocha - powiedział Lisa do Ruth, gdy obserwowały odchodzącego Paula.

- *Szeh hazion omed, hasechel yored* - wymamrotała po hebrajsku Ruth.

- Co to znaczy?

- Gdy kuśka staje, intelekt podupada - przetłumaczyła Ruth z posępnym uśmiechem.

- Subtelna jesteś. - Kit zachichotała.

Nie interesował jej ani Paul Desmond, ani większość kolegów. Nauczyła się, że trudno wytrzymać z przeciętnym Amerykaninem, ponieważ pochodziła z kraju, gdzie na barki dwudziestojednoletnich mężczyzn spada ogromna odpowiedzialność decydowania o życiu swoim i swoich podwładnych. Amerykańskim studentom pozostaje licealna niedojrzałość, której Izraelczycy pozbywają się przez pierwsze tygodnie w wojsku.

Jednakże nie wszystkie awanse odrzucała od ręki, a gdy czasami spostrzegła, iż zainteresowało ją zarówno ciało jak i umysł Amerykanina, bez większych oporów poddawała się swoim namiętnościom. Lubiła seks, co w połączeniu z rzadkim uprawianiem go sprawiało, że czasami żądze rozpały ją do czerwoności.

Niestety większość związków Ruth nie przetrwała dłużej niż kilka tygodni, ponieważ partnerzy wymagali poświęcania im czasu czasu, którego jej brakowało. Podyplomowe studia na Columbii kosztowały mnóstwo pieniędzy, więc musiała pracować.

Zagraniczni studenci w Stanach Zjednoczonych otrzymują wize zezwalające na podjęcie pracy w ograniczonym zakresie, ale Izraelczycy przebywający poza granicami własnego państwa zawsze mogą znaleźć zatrudnienie w przedstawicielstwach swego rządu. Tak też raz po raz pracowała w *Miszlachat Habitachon*, Izraelskiej Misji Obronnej w śródmieściu, odpowiedzialnej za kupowanie produkowanych w Ameryce towarów za miliony pochodzące z darowizn i kredytów rządu USA. Ruth pełniła funkcję asystentki emerytowanego generała, który był na tyle uprzejmy, iż pozwalał jej dużo czasu poświęcać na studia. Wykazywał się

też dostateczną bystrością, aby nie powtórzyć raz popełnionej gafy i nie wspomnieć Ruth, że zawdzięcza coś faktowi, że jest córką Benjamina Bauma.

Wkrótce odkryła, że finansowe zyski może jej też przynosić talent do angielskiego. Inni studenci z zagranicy wynajmowali ją do „redagowania” swoich prac (pisanie od zera cudzych prac mogło spowodować jej wydalenie). Przeważnie byli dość majętni i nikt nie targował się o ceny. Często śmieszyło ją, gdy kuzyn księcia Omanu dawał pięćset dolarów za zredagowanie pracy, podczas gdy doprowadzenie jej do idealnej formy zajmowało najwyżej godzinę.

Bywały jednak chwile, kiedy kłopoty finansowe doprowadzały ją niemal do załamania i niejednokrotnie omal nie zadzwoniła do rodziców do Jerozolimy z prośbą o pożyczkę. Lecz myśl, że odbierze ojciec i jego będzie musiała prosić o pomoc, paraliżowała jej rękę. Wtedy doprowadzona do ostateczności wyjmowała z portfela kartę kredytową i robiąc debet pobierała gotówkę, a potem spłacała dług wraz z kolosalnymi odsetkami karnymi.

Ruth nie uważała uciekania się do takich sposobów za dąsy rozgniewanego dziecka. Jeśli czegokolwiek nauczyły ją studia psychologiczne, to tego, że problemy wynikające z błędów wychowawczych popełnionych przez rodziców trzeba poznać, zrozumieć i pozbyć się ich. Odkąd przyjechała do Ameryki, prawie wcale nie komunikowała się z ojcem, lecz teraz rozumiała już własne uczucia i miała nadzieję, iż nadarzy się kiedyś okazja porozmawiania z nim jak dorosły z dorosłym i „wyprania wszystkich brudów”.

Zdawała sobie sprawę, że urazy do ojca nie ujawniały się, dopóki sama nie zaczęła pracować w wywiadzie na stanowisku oficera. Wówczas to dostrzegła, że dni i noce znikają gdzieś w Wielkiej Dziurze, a w otchłani tej ujrzała również swoje stracone dzieciństwo. Na własne oczy widziała oficerów traktujących pracę z niemal erotycznym ferworem, ignorujących telefony od żon, zapominających o urodzinach dzieci. Ruth czuła się, jak gdyby przedstawiono ją kochance ojca, wstrętnej jędzy zwanej „służba”, która skradła jej dzieciństwo.

I po co to wszystko? Czy przez wszystkie te nieobecności w domu Izrael zaznał choćby minuty pokoju? Czy wyjaśnienia, że „walczy” o jej bezpieczeństwo uśmierzą cierpienia spowodowane zaniedbaniami? Czy sukcesy zawodowe - tak tajne, że nikomu się z nich nie zwierzał - warte były rozniecenia w niej uczucia niedowartościowania? To podczas długich godzin i spędzonych w sztucznym świetle dni, które

nie kończyły się, zanim nie zgasły ekrany komputerów, zanim nie urwały się radiowe kontakty z agentami w terenie, Ruth poczuła w sercu poryw przypominający grudniowy wiatr w Jerozolimie. Patrząc na napięte twarze tych ludzi, rozumiała w końcu, jaki naprawdę jest jej ojciec.

Nigdy nie pamiętał imion jej koleżanek. Ledwie chrząknął, gdy dostała dwójkę z klasówki. Jej gra na flecie nie stanowiła nic innego, jak muzyczne wykształcenie, a gdy wreszcie zaczęli kręcić się dookoła niej chłopcy, nie znalazł nawet czasu na okazanie ojcowskiej zazdrości.

Rozmieszczenie wojsk wroga? Znał je na pamięć. Życiorysy gwiazd terroryzmu? Potrafił wymienić tysiące szczegółów. Miała pewność, że umysł Benjamina Bauma, mistrza walki z terroryzmem, zawierał setki stron telefonicznych numerów i adresów, pseudonimów i prawdziwych personaliów agentów, plany i zabezpieczenia misji, lokale operacyjne, niosące śmierć pastylki, rodzaje broni, matryce kodowe, przyprawiające o zawrót głowy intrygi pozyskiwania podwójnych agentów, zapewnienia im ucieczki i, naturalnie, wyeliminowania ich, kiedy „służba uzna to za konieczne”.

Tak, była pewna, że nigdy nie chodził na randki z kochankami. A co było podczas jej matury? Zapomniał o niej.

Ojciec nie należał do ludzi nieczułych; całował i przytulał swoje dzieci. Lecz o ile Ruth pamiętała, uściski oraz pocałunki stanowiły tylko symboliczne starania czynione pomiędzy jednym oficjalnym spotkaniem a drugim, co złościło ją jeszcze bardziej. Emocjonalny

wysiłek potrzebny do tych spotkań kończył się na przepakowaniu walizki, a Bóg jeden wie, jak wielu obcych ludzi ludził swym oddaniem, równocześnie planując ich zlikwidowanie.

Raz jeden zdarzyło się, że okazał do jakiego stopnia jest z niej dumny - Ruth została wówczas wybrana do Szkoły Wywiadu. Jednak i wtedy, znając drogę kariery wojskowej swej córki, obnosił się z arogancją hurtownika, którego syn zgodził się w końcu przejść po ojcu interes.

Ach, oczywiście, kiedy ogłosiła zamiar wystąpienia z armii, studiowania za granicą i osiedlenia się w Ameryce - wtedy również zwrócił uwagę. W jednej chwili Benjamin Baum skoczył na równe nogi! jemu, dziecku Holokaustu, oraz wszystkim Baumomj Izrael dał wszystko, co mają; tutaj jest jedyne miejsce na świecie, gdzie Żydzi mogą czuć się bezpieczni i dumni. Jakim prawem Ruth zamierza przyłączyć się do tych egoistycznych tchórzy opuszczających ojczyznę?! Kłótnia przebiegała ostro, lecz trwała bezlitośnie krótko, ponieważ Ruth odziedziczyła po przodkach upór.

Wyjechała.

Teraz, na czwartym roku studiów, w ten jeden z pierwszych, zimowych dni, Ruth Baum wcale nie myślała o czasie przeszłym. Koncentrowała się na najbliższej przyszłości.

Siedziała przy małym, okrągłym stoliku w bibliotece Wydziału Psychologii. Pomieszczenie z kilkoma stolikami do czytania, żółtymi krzesłami i metalowymi stojakami na czasopisma niezupełnie nadawało się do zdobywania wiedzy.

Jednak Ruth lubiła tutaj poszukiwać materiałów do zbliżającej się pracy magisterskiej. Wybrała sobie niezmiernie ryzykowny temat i teraz szukała sposobów na przedstawienie go w najbardziej przystępny sposób.

Teorie na temat psychologii terrorystów łatwo mogą zostać odrzucone, kiedy kolidują ze „słuszną” linią polityczną. A taka sytuacja zaszkodziłaby jej doktoratowi. Wymyśliła już jednak tytuł, który powinien wprowadzić w błąd akademickich cenzorów: „Modelowy zestaw bodźców działających na członków ugrupowań politycznych stosujących przemoc”.

Nawet taki tytuł niósł ze sobą ryzyko, ona już jednak nic nie mogła na to poradzić. Fascynował ją temat terroryzmu. W domu zebrała okazałą kolekcję książek o tej tematyce po hebrajsku, niemiecku i angielsku: „Etzba Elohim” Uri Dana, „Sacred Rage” Robina Wrighta, „Der Baader-Meinhof-Komplex” Stefana Austa. Na twardym dysku jej komputera tłoczno się robiło od danych na temat międzynarodowych terrorystów i typów psychologicznych, a większość i tak nadwreżonego budżetu szła na pokrycie rachunków telefonicznych rosnących w wyniku używania modemu. Nie poprzestała na traktowaniu tego tematu jako hobby, zdecydowała się połączyć go z akademickimi studiami i, nie zdając sobie z tego sprawy, stawała się autorytetem w tej dziedzinie.

Czasami wyobrażała sobie zdumienie ojca dowiadującego się o jej namiętności. Wolałaby jednak umrzeć, niż z własnej woli zdradzić się z tą informacją. Kiedyś wysłał mu pocztą swą pierwszą wydaną książkę dotyczącą tego tematu.

Oparła się o poręcz krzesła, pokręciła głową i przeciągnęła ramiona. Potem położyła dłonie na czarnych dżinsach i przyglądała im się.

Po chwili wróciła do przeglądania czasopism.

Zawsze odrzucała „Schizophrenia Bulletin”, zwłaszcza odkąd sama czuła się czasami pacjentką. Lubiła „Motivation and Emotion”, niewielki periodyk redagowany z dużą dozą obiektywizmu. Dzisiaj jednak tytuły artykułów zaczynały się zlewać przed zmęczonymi oczami: „Skutki działania hormonów”, „Typowe schematy zachowań”, „Prowokacja agresji u mężczyzn”.

- *Ya Allah* - szepnęła. - *Ma assiti l'atzmi?* Co ja ze sobą robię?

Do sali bibliotecznej weszła grupa szepczących ze sobą studentów. Ruth zebrała materiały i zarzuciła na siebie kurtkę z wielbłądziej skóry.

Zmagając się z wiatrem ruszyła w stronę głównego budynku administracyjnego -potężnej,

białej budowli z ateńską kopułą i szerokimi, marmurowymi schodami prowadzącymi do kolumnady. Ulubionym miejscem Ruth, gdzie mogła swobodnie zaznać samotności, były schody w przestronnym holu tłumiącym swymi licznymi niszami wszystkie dźwięki - tam najłatwiej umiała się skoncentrować. Szła szybkim krokiem wokół skrzydła budynku, przyglądając się zostawianym na śniegu śladom Martensów.

Tęskniła za Jerozolimą, choć z każdym dniem mocniej zwalczała to uczucie. Listy od matki nie wystarczały jej, a zdjęcia braci w mundurach tylko pogarszały sprawę. Pragnęła wciągnąć podkoszulek, założyć krótkie spodenki, sandały i przespacerować się w dół Ben-Yehuda przy oślepiającym słońcu wiosny, a potem spotkać mężczyznę, którego rozumiałaby, kochała i któremu mogłaby ufać. Wziąć go za rękę i włóczyć się egzotycznymi alejkami, jak kiedyś z ojcem, gdy spełnił jej marzenia i spędzili razem radosny poranek na wspólnym spacerze po mieście. Chciałaby móc przenieść się do Abu Tor, chociaż na godzinę, żeby tylko zobaczyć dom, matkę, braci, aby upewnić się, że to wszystko jeszcze istnieje.

Nagle zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów, tuż przy wejściu do budynku. Zmrużyła oczy, odgarnęła za ucho włosy i wyteżyła wzrok. Po całym cieple, aż do policzków, rozeszło się ogarniające ją ciepło, serce zaczęło walić jak młotem i poczuła, że uginają się pod nią kolana.

Na środku marmurowego podestu stał jej ojciec. Trzymał w dłoni bukiet czerwonych róż.

Siedzieli w sekcji dla palących „Cosmopolitan”, samoobsługowej kafejki na Broad-wayu, w pobliżu skrzyżowania ze 114. Ulicą. Na czerwonych płytkach podłogi stały fotele z metalowych rurek, a tanie żyrandole zwisały przy suficie niczym statki kosmiczne z planety Woolworth. Ruth lubiła braci prowadzących ten lokal i lubiła składać zamówienia przy szklanym kontuarze. Bracia zawsze uśmiechali się do niej i bez krzty złośliwości nazywali ją „naszą piękną, bystrą dziewczynką”.

Była z siebie nadzwyczaj dumna, miała wrażenie, że urosła kilka centymetrów. Nie rzuciła się na ojca, nie objęła go, nie rozplakała się, ani nie pozwoliła, aby urazy zmusiły ją do odwrócenia się plecami. Zamiast tego uspokoiła rozszalałe serce i powoli zeszła ze schodów. Na twarzy ojca zauważyła niepewność, nadzieję, a zarazem obawy.

Stała stopień wyżej niż on, spojrzała mu w oczy, a potem przeniosła wzrok na kwiaty.

- *Ha-indianitn matziim mikteret szalom.* Indianie proponują zazwyczaj fajkę pokoju - odezwała się.

- Miłośnicy kwiatów nie noszą fajek - odparł Benni.

- Cóż, w ostateczności mógłbyś złożyć broń.

- Jestem nieuzbrojony, Ruti.

Jego nerwowy uśmiech zaczął znikać, a patrząc mu w twarz Ruth dostrzegła w oczach spojrzenie, które z całą pewnością widziało niewielu. Była w nim niepewność. Przez minione dwa lata w oczach tych zaczął się odmalowywać jego wiek. Nie stracił ani kilograma, mięśnie mu nie zwiotczały, a jednak jakby zmalał. Ruth wiedziała, że to raczej ona urosła we własnych oczach.

Nie pocałowała go, nie tknęła róż, lecz wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę bramy uniwersyteckiej wychodzącej na Broadway. Przez całą spędzoną w milczeniu drogę i przy wchodzeniu do kafejki Benni spodziewał się, że córka zatrzyma taksówkę, wepchnie go do niej i zatrzśnie drzwi.

Zajadali hamburgery i pili wiśniową Coca-Colę. Benni cierpiał prowadząc nerwową, powierzchowną rozmowę o niczym, podczas gdy Ruth triumfowała, bawiąc się jego zatroskaniem. Baum przeżył wojnę jako jedyny ze swej niemieckiej rodziny, podobnie jak Maja ze swojej, więc niewiele można było plotkować o rodzinie. Ruth nie zamierzała łagodzić ich konfliktu jałową wymianą zdań, stwierdziła więc jedynie, że dobrze jej się powodzi zarówno na studiach, jak i w życiu w Nowym Jorku.

Zagadnęła go o matkę, Yosza i Amosa, za co Benni był jej wdzięczny, gdyż zyskał w ten

sposób chwilę oddechu. Przytoczył kilka anegdot o nieudanych romansach braci; Ruth uśmiechnęła się.

- A jak tam wielki generał Ben-Zion? - zapytała, bo komendant ojca interesował ją jako przypadek człowieka kompletnie opanowanego machiawelizmem.

- Jak zwykle skwaśniały - odparł Benni. - Ale nadal pełen ambicji.

- A Eytan? - Eytan Eckstein był jedynym współpracownikiem ojca, którego naprawdę lubiła. Przez sporą część swego cieleącego wieku kochała się nawet w tym przystojnym, spokojnym agencie o blond włosach i smutnych oczach. Jej młodziutkie serce zawsze zaczynało bić szybciej, gdy tylko stawał w drzwiach domu Baumów.

- Wyjechał z misją za granicę - rzekł Benni.

- Bez ciebie?

- Beze mnie.

- Przecież wiesz, *Abba*, że Eytan stanowi lepszą stronę twojej duszy.

Benni przyjrzał się córce. Od dawien dawna nie słyszał z jej ust czułego słowa.

- Wiem - powiedział. - Brakuje mi go. Ale nie tak bardzo jak ciebie.

Ruth nie uśmiechnęła się. Z wyrazu jej twarzy można było odczytać sugestię: Oby tak dalej.

- Stałaś się bardzo piękna. Trudno mi na ciebie patrzeć.

- Trudno ci na mnie patrzeć nie z powodu urody, *Abba*. Raczej z powodu dwudziestu sześciu lat błędów. W większości twoich. - Odczekała chwilę. Benni skinął głową. - Będziemy musieli o tym porozmawiać. Nie teraz, ale w najbliższym czasie. Chyba mamy na to kilka dni? Wystarczy ci odwagi?

Po chwili, przez którą Benni myślał o złości płynącej z ust Ruth, odpowiedział:

- Wystarczy.

- To dobrze. - Nareszcie uśmiechnęła się. - Tymczasowo wstrzymujemy wykonanie wyroku.

Benni trochę się rozluźnił. Zjedli lunch, a Ruth poszła zamówić kawę.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała, wróciwszy z białymi filiżankami parującej kawy.

- W biurze wysłali mnie na wydział psychologii, a tutaj jacyś studenci zasugerowali, że mogę znaleźć cię w budynku głównym. Byli bardzo skorzy do pomocy.

- Szpieg nigdy nie przestaje być szpiegiem - powiedziała Ruth. Wzięła do ręki papierosa z paczki przyniesionej przez Benniego i zapaliła.

- Słyszałem, że tutaj przybiera na sile kampania antynikotynowa - zauważył.

- Mój ojciec twierdzi, że palenie sprzyja koncentracji - powtórzyła jego ulubione usprawiedliwienie nałogu.

- To prawda, ale żaden Amerykanin nie będzie chciał cię pocałować.

- Właśnie dlatego palę, żeby trzymać z dala od siebie tych, którzy się chcą ze mną całować.

- Ja też - rzekł Baum, a Ruth roześmiała się. Wiele potrafiła sobie wyobrazić, ale nie ojca w roli Casanovy.

- No cóż, paru odważnym udało się jednak stawić czoło batalii przeciwko paleniu - stwierdziła.

- Bóg z nimi. - I szybko dodał. - Oczywiście w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ruth położyła rękę na jego umięśnionej dłoni.

- No jasne. *Und so, Herr Oberst*. - Przeszła na niemiecki, będący obok hebrajskiego i angielskiego językiem używanym w domu Baumów. - A jakaż to tajna misja sprowadza cię w te strony? Oczywiście spodziewam się, że przedstawiś mi prawdę dość zamaskowaną.

- Powiem ci dwie prawdziwe rzeczy - rzekł Baum.

- Wyjdzie z tego powieść.

Benni zignorował drwinę i mówił dalej:

- Przyjechałem tu ze względu na wybuch bomby w konsulacie. Jest to jednak tylko usprawiedliwienie przyjazdu do ciebie.

Ruth patrzyła mu prosto w oczy. Nauczyła się tej techniki od niego.

- A jakby nie było żadnego wybuchu?

- Też bym przyjechał. - Nie kłamał. Rozłąka bolała go i pod koniec roku zamierzał wybrać się do Ameryki. - Matka naprawdę cierpi.

- Wiem - powiedziała Ruth. - Pisała mi o tym. - Odsunęła ten temat na bok. - Powiedz mi, co myślisz na temat wybuchu? Pracuję w Misji Obronnej i tam każdy ma jakąś opinię.

- Pracujesz w Misji Obronnej?

- W sekretariacie.

- Ach tak. - Na razie nie mógł jej jeszcze zaproponować żadnych pieniędzy. Mogłaby się obrazić. - No cóż, zobaczymy jak się sprawy rozwiną. A co ty o tym sądzisz? - Benni instynktownie rozglądał się po kawiarni.

Najbliżej siedziała starsza kobieta, przeglądająca nekrologi w „The New York Times”. Przy stoliku w kącie siedział młody mężczyzna o ciemnej cerze, lecz na pewno nie mógł ich usłyszeć. Mimo to Benni ściszył głos i opowiedział o ataku po hebrajsku. Mówił o Mosziko, o zamachowcu przebranym za chasyda, o zabitej w wybuchu Amerykance. Nie wspomniał jednak o kartce, którą otrzymał Mosziko i już miał zmieniać temat, gdy nagle Ruth zaczęła go przesłuchiwać w taki sposób, że musiał zmarszczyć brwi.

- *Abba*, powiedz mi jakiego użyto ładunku.

- Ładunku?

- *Semtexu? C-4?*

- Jeszcze nie wiadomo. Prawdopodobnie *Semtexu*.

- A ślady?

- To znaczy, czy czegoś dotykał, tak?

- Nie, mam na myśli jakiś jego „podpis” - powiedziała Ruth. - Niezwykłe przewody, detonator. Zostało coś?

- Amerykanie próbują poskładać wszystko w całość.

- Poskładali w całość TWA 206 i wciąż nie mogą wyciągnąć wniosków.

Miała na myśli *Jumbo Jeta*, który wybuchł nad Lockerbie w Szkocji. Benni nic nie powiedział, a ona kontynuowała:

- A co z twarzą tego chasyda? Bar-El ma to na wideo?

- Znasz Hannana?

- Jego szabaknicy pracują ze mną w misji. A zatem?

- Tak... są taśmy. Ale zamachowiec miał na sobie chałat, a kamera była dość wysoko.

- A co z opisami Mosziko?

- On na razie jest niewidomy. Może przekazać nam jakiś opis, ale nie jest w stanie potwierdzić szkicu próbnego.

- Niech mówi, co wie, póki ma to świeżo w głowie. Poza tym przy zamkniętych oczach poprawia się zdolność kojarzenia obrazu.

Benni nie odpowiadał. Dostrzegł córkę w zupełnie innym świetle i aż musiał poprawić się na krześle.

- Czy zamachowiec coś powiedział? - kontynuowała przesłuchanie Ruth.

- Nic, o czym byśmy wiedzieli. - Częściowo kłamał.

- Bardzo niezwykle. Podchodzi do okna, nic nie mówi i wysadza się w powietrze bez chociaż: „Pieprzę was, wy syjonistyczne psy”?

- Na to wygląda.

- A zatem twierdzisz - Ruth rozsiadła się wygodniej i głęboko zaciągnęła dymem - że zamachowiec-samobójca atakuje izraelską placówkę dyplomatyczną bez żadnego oświadczenia, a potem żadne ugrupowanie się do tego nie przyznaje?

- Takie są fakty.
- Takie fakty wy znacie.
- Tak, przynajmniej na razie.
- Nietypowa sytuacja - stwierdziła Ruth.
- Tak, można by powiedzieć...
- Że jak w Argentynie - wtrąciła.
- Tak, w rzeczy samej... - Benni przerwał w połowie myśli. - Co wiesz na temat Argentyny?

- Prawdopodobnie tyle, co ty. - Zamach w Argentynie nadal pozostawał niedającą spokoju, nierozwiązaną zagadką. Zgasiła papierosa, założyła ręce na piersi i spojrzała w sufit.

Benni zauważył, że jego córka zachowuje się jak profesjonalistka, czego nie może tłumaczyć tylko doświadczenie wyniesione z wojska. Czy to możliwe, że rząd nadal ją zatrudnia? Czy Szabak lub Mossad zwerbował ją bez jego wiedzy? Bzdura. To niemożliwe.

- Ruti - powiedział delikatnym tonem - nigdy nie wątpiłem w twoje umiejętności logicznego myślenia, ale powiedz mi, jak to się dzieje, że orientujesz się zupełnie nieźle?

Ruth nie miała zamiaru opowiadać ojcu o swoim hobby. Ale to on pierwszy przyszedł i wyciągnął rękę na zgodę, a ona poczuła się nagle jak małe dziecko.

- Na studiach zajmuję się głównie analizą psychiki terrorystów. Ale ostrzegam cię, *Abba* - dodała, szybko mierząc w niego ze wskazującego palca - nie waz się okazać ani krzty dumy.

Benni z zaciśniętymi szczękami wpatrywał się w córkę. Rozumiał oczywiście, dlaczego miałby być dumny, zaznał też nagłego przypływu emocji. Przede wszystkim jednak poczuł dreszcz na plecach, jak pilot myśliwski, który usłyszał, że syn ma zamiar latać odrzutowymi trumnami.

- Zamknij buzię, bo ci mucha wleci - powiedziała Ruth.
- Z zainteresowaniem przeczytam twoją pracę. - Tylko na to mógł się zdobyć.
- A zatem mamy zamachowca-samobójcę - ciągnęła. - *Semte** i żadnych politycznych deklaracji. Pozgadujmy.

- Jeszcze nic nie wiadomo - rzekł Benni jak przyciśnięty do muru informator. -Może Hezbollah?

- To by było za proste.
- A więc Ahmed Jabril. Abu Ibrahim.
- Możliwe. Mogli wykorzystać jakiegoś maniaka. Ale nie sądzę.
- Zatem... - Wzięty na spytki, zaczął się czuć zaniepokojony. - ...powiedz mi Ruth, co ty o tym sądzisz.

- Według mnie wygląda to na Martinę Klump - stwierdziła.
- Słucham?

- Martina Ursula Klump, Niemka urodzona w Argentynie. Wyemigrowała do Europy. *Fraulein C-4*, mistrzyni wybuchów RAF-u.

Benniemu jednak niepotrzebny był życiorys Martiny Klump. Doskonale usłyszał słowa Ruth i poczuł prąd przepływający od podstawy kręgosłupa, aż do potylicy łysej głowy.

- Dlaczego uważasz, że to Klump? - szepnął.
- Ze względu na modus operandi. A w szczególności upodobanie do konstruowania wyrafinowanych urządzeń wybuchowych wykorzystywanych do ataków, do których nikt się potem nie przyznaje. Spójrzmy... - Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła skórę na czole, w geście sugerującym, że usiłuje przypomnieć sobie zdjęcie Klump. - ...wychowywała się chyba bez ojca. Wydaje mi się, że był on niemieckim uczniem. Popenił samobójstwo i z całą pewnością musiało to bardzo mocno odbić się na jej psychice. Zaczynała w Action Directe w połowie lat siedemdziesiątych, potem przeszła do Rotę Armee Fraktion, gdzie udoskonaliła swe umiejętności. Zdaje się, że została pojmana, jakiś czas siedziała w Niemczech w więzieniu, a potem uciekła i wypłynęła dopiero na początku lat osiemdziesiątych. W Libanie

szkoliła zamachowców-samobójców Hezbollahu.

Spostrzegła, że ojciec przypatruje się jej w osłupieniu. Róże leżały na brzegu stolika, bo Benni podświadomie odsunął je lewą ręką, a jeden z płatków ścisnął w palcach jak kawałek zakrwawionego ciała.

- Mimo wszystko samobójcze zamachy terrorystyczne należą do technik rzadko spotykanych - kontynuowała Ruth. - Przez wszystkie lata wojny z nami tylko kilku Palestyńczyków zdecydowało się na to. A jedyny tego typu wypadek, poza naszym terenem, miał miejsce podczas zamachu na premiera Indii przeprowadzonego przez kobietę z separatystycznego ugrupowania Sikhów. Mówiło się wtedy dość powszechnie, że do przygotowania ataku zatrudniono Martinę Klump. Nie czytasz gazet, *Abba*? Albo chociaż swoich kartotek?

- Hm. - Benni oparł łokieć na stole i położył brodę na dłoni. - Będę musiał o tym pomyśleć.

Myślał o Martinie Ursuli Klump i o tym, dlaczego nie umieścił jej od razu na liście podejrzanych. Po prostu odsuwał od siebie taką możliwość - taka była prawda. Natychmiast przyszło mu do głowy jej nazwisko, lecz odsunął je na bok.

Myślał o jesieni 1981 roku w Niemczech, kiedy jechał z Eytanem Ecksteinem do Wiesbaden, aby poinformować *Bundeskriminalamt* o zbliżającym się spotkaniu z RAF, podczas którego będzie można przygotować zasadzkę na Klump i schwycić ją żywcem.

Pamiętał małe miasteczko w południowej Bawarii, tory kolejowe w pobliżu Bad Reichenhall, siebie i Ecksteina obserwujących przez lornetki gromadę ludzi z Grenschutzgruppe-9, goniących Martinę Klump przez złane deszczem zwrotnice, samą Martinę odwracającą się, zatrzymującą i odrzucającą pistolet, jej rozpiętą kurtkę

motocyklową, jej podniesione ręce i warczące owczarki alzackie przewracające ją na ziemię.

Potem widział ją raz jeszcze w samotnej celi pod masywnym zamczyskiem, gdzie znajdowało się więzienie Bruchsal. Rozmawiał z nią wtedy sam na sam, a spotkanie to zorganizował jego niemiecki przyjaciel, Bernard Lokojewski. Tylko Baum i Klump w kokonie z betonu, w celi z żelaznym łóżkiem, za ścianami tak grubymi, że podsłuchiwać mógłby tylko Bóg. Martina ubrana w drelichową sukienkę, której nie można rozerwać na strzępy przydatne do zrobienia stryczka.

Widział jej twarz, jej rozpalone, puste po latach życia na wygnaniu oczy, blond włosy ostrzyżone przy skórze i usta, które przekonywałyby, że należą do kobiety, gdyby nie były tak mocno, z nieufnością zaciśnięte.

Przeżywał jeszcze raz tę noc w Monachium po ucieczce Klump. Jest ostatni wieczór Oktoberfest. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi śpieszą wraz z Eytanem na Hauptbahnhof w nadziei, że im się poszczęści.

Na dworcu wielkości pięciu hangarów dla *Jumbo Jetów*, między gigantycznymi ścianami pokrytymi migającymi neonami Panasonic, Uberlinger, „Suddeutsche Zei-tung” mieściło się dwadzieścia siedem peronów. Opóźniony pociąg z Ansbach do Berlina został wstrzymany, aby maruderzy mogli jeszcze wejść do i tak już zatłoczonych żółtych wagonów. Pasażerowie wciśnięci w obite na czerwono fotele, trzymający się metalowych drążków przymocowanych do sufitu, okna pochłapane błotem. Kałuża wymiocin rozmazana na peronie, pijacy nie mający siły wejść do pociągu rozwaleni na drewnianych ławkach.

Benni stoi na początku peronu i przygląda się, jak Eytan, przeszukując cały pociąg, zagląda do każdego z okien i patrzy w twarz podchmielonym pasażerom. Eckstein ma na sobie dżinsy i kremową koszulę, ale nie wygląda na chłopca poszukującego narzeczonej.

Eckstein doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli Martina znalazła się na wolności, to może teraz być mężczyzną w dżinsowej kurtce, nosić kręcone brązowe włosy i czytać „Die Welt” w ciemnym kącie przedziału. Mogła się też przebrać za starowinkę wertującą zaczytane książki

w tanich wydaniach, która odwraca się od czasu do czasu, aby pociągnąć piwa z butelki. Albo też - o ile Lokojewski się nie myli - już nie żyje.

Gdzieś w dali sylwetka Eytana przeskakuje tory i wraca z drugiej strony pociągu. W końcu zbliża się coraz bardziej, a Benni podsłuchuje rozmowę nastolatków ubranych w kapelusze z Oktoberfest. Jeden z chłopców wskazuje głową na Ecksteina.

- *Er ist BKA.* To agent BKA.

Benni uśmiechnąłby się, gdyby nie beznadziejność sytuacji. Strzał w dziesiątkę, pomyślał z goryczą. Zawód się zgadza, tylko kraj inny.

Podpici pasażerowie krzyczą z radości, gdy drzwi po kolei się zamykają, a ostatnie trzaśnięcie kończy zabawę. Konduktor w granatowym mundurze wchodzi do pociągu, maszyna rusza do przodu. Wszystko napędzane elektrycznie, więc słychać tylko pisk kół. Kobiety na peronie machają białymi chusteczkami, a zawiadowca wraca do swojego pomieszczenia.

Eytan patrzy na Benniego i mówi coś po niemiecku.

- *Fort.*

Uciekła...

- *Abba.* Miałeś się zastanowić, a nie zamyślić. Benni wzdygnął się.

- Tak - zmusił się do uśmiechu i dotknął palcem skroni. - Tak, to bardzo interesujący pomysł.

- Chciałbyś zobaczyć moją dokumentację do tego tematu? - zapytała Ruth, starając się, aby w jej głosie nie odnalazł ani odrobiny nadziei.

- Oczywiście.

- Pokażę ci moje mieszkanie. - Szybkim ruchem położyła torbę z książkami na kolanach. - To dwie minuty stąd.

Benni zebrał ledwie żywe kwiaty.

- Ruti - zaczął z wahaniem. - Wiesz co, przyjechałem tu tylko na trzy dni. Nie mam za wiele czasu.

- Oczywiście. - Była na to przygotowana, ba, spodziewała się tego.

- Może pójdziesz ze mną? - zaproponował nagle Benni. - Czekam na pracę, ale przynajmniej będziemy razem.

Ruth uważnie spojrzała na ojca. Tego się nie spodziewała. Miała do zredagowania kilka stron pracy magisterskiej. W zamian za to trafi jej się okazja spędzenia jakiegoś czasu z ojcem, jak dorosły z dorosłym, może nawet jak partner z partnerem. Będzie też musiała zrezygnować z kilku nudnych wykładów.

Na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech, który zawsze rozdzierał serce Paulowi Desmondowi.

- No dobra - powiedziała ostrożnie. - Tylko żadnych tajemnic.

- Umowa stoi. Żadnych tajemnic.

- Kłamca.

Benni roześmiał się. Wstał, przechylił się przez stół i pocałował ją w czoło. Wyszli z „Cosmopolitan” objęci ramionami.

Mussa Hawatmeh opuścił kafejkę minutę później. Zrobiło się zimno i musiał kilka razy nerwowo zapalać swój potężny motocykl marki Suzuki. Potem, wolno jadąc Broadwayem, obserwował zniechęconego przez Martinę człowieka oraz dziewczynę skręcających w 112. Zachodnią Ulicę i wchodzących do niewielkiego budynku mieszkalnego.

Trzęsąc się z podekscytowania postawił motocykl na nóżkach obok budki z automatem telefonicznym. Wrzucił ćwierćdolarówkę i długo czekał, aż po drugiej stronie linii ktoś odebrał słuchawkę.

- Zdaje się - powiedział z uśmiechem - że znalazłem perłę w twojej brzydkiej ostrydze.

Manhattan, Nowy Jork

Omar Bin Al-Wafa chciał z tym skończyć.

Chciał dostać jakiś inny przydział, zostać zwolniony ze służby lub nawet w hańbie wrócić do domu. Nic go to nie obchodziło. Zestarzał się, a zawsze dobrze służył swoim dowódcom i na pewno wystarczająco długo. Doskonale rozumiał, że odgrywa rolę chodzącego kłamstwa, lecz nawet dwulicowość ma swoje granice. Ostatnie spotkanie z Martiną Klump wstrząsnęło nim do żywego, ponieważ wyczuwał, iż jest wykorzystywany, a nie mógłby spojrzeć sobie w lustrze w twarz, gdyby wplątali go w masakrę dzielnych dzieciaków.

Szedł ostrożnie ślepyim zaułkiem 42. Ulicy, pomiędzy Pierwszą Aleją a podjazdem do dużego budynku, czubek laseczki stukał o oblodzony chodnik. Okulary zaszyły mu parą, a kosmyki siwych włosów wystające spod czarnego beretu dopełniały wizerunku ekscentrycznego francuskiego turysty, który przez sklerozę zawędrował tam, gdzie nie należy chodzić na spacer.

Zdawał się być doskonałym celem dla wszelkiej maści opryszków.

Skręcił za róg przy stadionie Roberta Mosesa, gdzie płoty i puste boiska przykrywała czernią bezkسیężycowa noc. Bezdomni nie rozpalili na chodniku ogniska, bo było za zimno na wychodzenie spod osłony tekturowych pudeł i foliowej pościeli. Omar szedł sam, jeśli nie liczyć skradających się za nim kroków stawianych w butach o gumowej podeszwie. Po jezdni cały czas jeździły samochody, lecz Omar wiedział, że w tym szatańskim mieście nikt nie zatrzymałby się z pomocą, nawet gdyby morderca dusił nagie dziecko.

Nagle Omar stanął. Odwrócił się i spojrzał groźnie na napastnika. Zaćpany młodzieniec zatrzymał się ledwie półtora metra za nim. Był bardzo wysoki. Omar podniósł laseczkę, przełożył do lewej ręki i ścisnął w połowie długości.

Ćpuna rozśmieszyła obronna postawa starszego mężczyzny, nie miał jednak ochoty dostać w głowę rączką z kości słoniowej. Wyciągnął piętnastocentymetrowy nóż sprężynowy i, trzymając go przy udzie, wcisnął przycisk. Wyskakujące ostrze szczęknięło i błysnęło w ciemności.

- Dziadziu, jestem od ciebie dwa razy większy i trzy razy młodszy - wyszeptał. - Dawaj forszę i nie będziemy się pieprzyć w żadne zabawy.

Omar objął prawą ręką główkę laski, przekręcił i pociągnął. W jednej chwili, trzymając przed sobą długą, ostrą stalową szpadę, przyjął postawę szermierza.

- *En garde* - powiedział ostrzegawczym tonem.

Ćpun instynktownie cofnął się, stanął niezdarnie w rozkroku, a na jego twarzy pojawiła się złość. Podniósł nóż na wysokość oczu.

- Dobra jest - krzyknął. - Teraz ci pokażę.

Lecz zanim zdążył zadać pierwsze pchnięcie, Omar wykonał szpadą kilka ruchów, klinga błysnęła jasnyniebieskim blaskiem, rozległ się głuchy zgrzyt i sprężynowy nóż odleciał łukiem na bok.

Ćpun zamarł w bezruchu. O kurwa, pomyślał, znowu nici. Ledwie tydzień temu młoda kobieta załatwiła go paralizatorem o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów. Sięgał po jej naszyjnik, a następnie, co zapamiętał, było to, że leży skulony na chodniku w kałuży własnego moczu.

Omar nagle wrzasnął jak zagniewany pawian i pchnął szpadą, kierując ostrze w gardło młodego opryszka. Tamten jednak wziął już nogi za pas i uciekając sprintem, zniknął za białymi kłębami własnego oddechu.

Dłuższą chwilę Omar stał nieruchomo, przyglądając się obłokom pary wydobywającej się z jego ust i słuchał nikiącego echa kroków uciekającego napastnika. Nie pograżając się zbyt długo w zadumie, kiwnął głową i pod oszronionym wężem szeroko uśmiechnął się z satysfakcją. W tego typu bezpośredniej utarczce nie brał udziału już chyba ze dwadzieścia lat, więc sporą przyjemność sprawiło mu przekonanie, że potrafi jeszcze zrobić użytek z rąk.

Wsadził ostrze do drewnianej pochwy i z zadowoleniem przekręcił rączkę.

Spojrzał w niebo. Na czarnych, nisko wiszących chmurach widać było bursztynowy odbłask światła miasta nie znajdującego spoczynku. Na moment zamknął oczy i wyobraził sobie, że ostry wiatr znad ciemnej rzeki zamienił się w ciepłą bryzę *hamsinu* wiejącego od Morza Galilejskiego. Nie przejmował się chłodem, nauczył się go znosić, bywając w wielu zimowych stolicach świata. Zawsze bowiem pamiętał o obietnicy, że pod koniec życiowej podróży bliskowschodni klimat znów ogrzeje mu stare kości.

- Już niedługo tam powrócę - wyszeptał. - Ale nie jako Judasz.

W tej samej chwili pojawiło się ciepło w formie zastępczej. Wzdłuż kompleksu ONZ sunął ciemnoniebieski Lincoln Continental. Dojechał do rogu, błysnął światłami, a Omar ruszył w jego stronę. Otworzyły się tylne drzwi i Omar wszedł do środka.

- *Lailtak sa'idi*. - Z odległego końca wnętrza samochodu doleciały go słowa pozdrowienia.

- *Kif halak ?*- Było to zadane w syryjskim dialekcie z akcentem farsi pytanie o samopoczucie.

- *Ilham' dilla maszruh*. Dzięki Allahowi, dobrze - odpowiedział Omar, sadowiac się na skórzanym fotelu.

- *Szai?* - Wysunęła się ręka ze szklanką pełną ciemnej herbaty, wtedy Omar zrozumiał, dlaczego wewnątrz limuzyny wypełnia para. Odmówił jednak poczęstunku.

Gospodarz Omara przysunął się bliżej, a w słabym świetle wpadającym przez okno pojawiła się jego twarz. Ali-Hamza Asawi miał delikatne rysy, krótkie, czarne włosy i wąską, wypielegnowaną bródkę. Chociaż odznaczał się doskonałym wzrokiem, często zakładał okulary w metalowych oprawkach, aby bardziej przypominać pracownika naukowego. Nosił trzyczęściowy, czarny, wełniany strój typowy dla irańskich dyplomatów, białą, zapiętą po samą szyję koszulę bez kołnierzyka, a jedyny ukłon w stronę zachodniej dekadencji stanowił kaszmirowy szalik otulający szyję.

Oficjalnie Asawi pełnił funkcję attache prasowego i asystenta irańskiego ambasadora do spraw Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Zyskał sobie zaufanie jako profesor dziennikarstwa z Uniwersytetu Sharif w Teheranie, gdzie od czasu do czasu wygłaszał odczyty, lecz jego stanowisko miało niewiele wspólnego ze szkolnictwem wyższym.

Ali-Hamza Asawi dowodził kontrwywiadowczymi działaniami SAVAMA, Irańskiej Rewolucyjnej Tajnej Policji, na terenie zachodniej półkuli. Po upadku szacha SAVAMA

w krótkim czasie zajęła miejsce SAVAK-u, której agenci szkoleni przez Amerykanów i Izraelczyków zostali straceni lub zmuszeni do emigracji. Chociaż nowa organizacja wywiadowcza odziedziczyła po starej fanatyzm oraz okrucieństwo i stała po drugiej stronie politycznej barykady, to trudno było ją odróżnić od starej.

Pomimo zaledwie czterdziestu dwóch lat Asawi szybko awansował na jedno z najbardziej znaczących stanowisk w SAVAMA. Zgłaszając się na ochotnika w 1979 roku do formowanej przez ajatollaha Chomeiniego tajnej policji, jako kapitan piechoty nie miał żadnego doświadczenia w wywiadzie, lecz brakowało wówczas szkoleniowców i doradców. Asawi zaproponował prosty plan, który szybko zaaprobowano. Na rok aresztował byłego dowódcę SAVAK-u do działań kontrwywiadowczych. W zamian za zdradzenie tajemnic zawodu, obiecał darowanie kary.

Przez dwanaście miesięcy niemal dzień w dzień przebywał ze swym byłym wrogiem, poznając arkana sztuk działań pod fałszywą flagą, podżegania do akcji wywrotowych, dezinformacji, przechwytywania komunikatów i zdobywania technologii zakazanych przez międzynarodowe prawo. Kiedy usatysfakcjonowany zakończył wreszcie przesłuchanie, podziękował swemu „mentorowi” i skazał go na publiczne powieszenie.

Przez ostatnie kilka lat Asawi angażował się w popieranie wysiłków ambasadora Mohammeda koncentrujących się na dowodzeniu, iż Iran posiada takie same jak inne państwa prawa do polepszania własnego bytu poprzez rozwój technologiczny. Przekonywał, że do tego właśnie służy niewielki reaktor badawczy w Sharif. I chociaż ogromne zasoby irańskiej

ropy naftowej wystarczyłyby do zaspokojenia potrzeb energetycznych państwa na tysiąc lat, to kto prócz Allacha może im zabronić czerpania pokojowych korzyści z energii atomowej?

Asawi wykazywał jednak talent raczej do mistyfikacji niż rozwoju nauk. Zasypał Departament Handlu USA prośbami o pozwolenie nabycia: od IBM komputera ES/9000, od Textronix płytek z układami scalonymi, od Rockwella urządzeń do pomiaru czasu, i kiedy przedstawiciele FBI oraz skarbu państwa toczyli batalię z przemysłowym lobby na Wzgórzu Kapitołińskim, Asawi wysłał swoich agentów i kupił pompy próżniowe oraz wyważarki od Leybold und Schenck w Niemczech, supermagnesy od Thyssena, beryl z Semipałatyńska, a pociski M-9 od Korei Północnej.

Do Sharif trafiło niewiele urządzeń amerykańskich. A dzięki odwróceniu uwagi wiele istotnych części przyplęnęło na statkach z Europy do Isfahanu, irańskiego miasteczka pełnego minaretów, gdzie pełną parą szły prace mające na celu stworzenie broni nuklearnej. Na tym jednak etapie Asawi i jego przełożeni wiedzieli, że będą musieli wejść w przyszłe stulecie nie widząc wcześniej grzyba dymu powstałego po wybuchu nad piaskami pustyni Dasht-e-Lut.

Asawi skończył herbatę i odstawił szklanekę na półkę w barku.

- Jedź, jak miałeś jechać - poinstruował kierowcę z akcentem, przez który Amerykanie brali go często za Hindusa. Szofera nic nie oddzielało od pasażerów, ale Asawi miał pewność, że czarnoskóry kierowca nie rozumie syryjskiego dialektu. Samochód należał do irańskiego przedstawicielstwa i codziennie za pomocą elektronicznych urządzeń sprawdzano, czy nie zainstalowano w nim podsłuchu. Kierowcy zmieniali się co tydzień, a wynajmował ich Amerykanin.

Limuzyna skręciła w prawo w 41. Ulicę i skierowała się na zachód w stronę śródmieścia. Omar nie przejmował się tym, dokąd jadą, ponieważ wielokrotnie

towarzyszył Ali-Hamza Asawiemu w pozornie bezcelowym kluczeniu po mieście. Spacerował z nim po ulicach Paryża i niemal zamarzył na wyciągu w Alpach. Kiedyś w południowej Hiszpanii wynajęli konie i odjechali po plażach Malagi na taką odległość, żeby nie dosięgło ich ciekawskie ucho. Omar zrozumiał, że właściwie przez wszystkie te lata jego pracy dla SAVAMA nigdy nie spotkał się z Asawim w budynku mającym jakikolwiek związek z Ludowym Rządem Rewolucyjnym Iranu lub w jakimś biurze będącym czymś więcej niż wynajętą tylko na tę okazję kłitką.

Omar przybył do Teheranu w 1968 roku, kiedy to tysiące pozbawionych praw wyborczych palestyńskich Arabów musiało szukać azylu na całym Bliskim Wschodzie w nadziei, że ich emigracja nie potrwa długo. Pochodząc z rodziny częściowo irańskiej dobrze się czuł w tamtejszej kulturze i pośród tamtejszych ludzi. Nie zapomniał również o miejscu swego urodzenia, wstępując do policji drogowej, mimo to awansował do rangi sierżanta uzyskując u mułłów Iranu reputację apolitycznego zawodowca. Dzięki oddaniu sprawie palestyńskiej pozostawał w dobrych stosunkach z rewolucyjnym rządem i choć zbliżał się do emerytury, został rekrutowany przez Asawiego. W owym czasie nikt nie odrzucał takiej oferty.

Omar właściwie cieszył się, że mimo wieku może zachować aktywność i nie pójść w ślady większości swych zrezygnowanych rówieśników, grających na rogach ulic w *szeszbesz*. Ali-Hamza Asawi zawsze obdarzał go szacunkiem i nigdy nie namawiał do podejmowania misji mogących kolidować z jego nacjonalizmem palestyńskim. Teraz jednak sumienie brało górę nad potrzebą bycia użytecznym.

Rezygnacja nie przyjdzie mu łatwo. Chociaż stał się pełnoprawnym Irańczykiem, to zarówno on jak i jego synowie, a nawet ich dzieci, uważane będą za potomków obcokrajowca, ale jego praca w SAVAMA zapewni im wszystkim bezpieczeństwo.

- A zatem, mój przyjacielu - Ali-Hamza Asawi zaczął przyjmowanie sprawozdania po arabsku. - Co słyhać u naszej *Fraulein C-4*?

- Najwyraźniej doznała wstrząsu z powodu wybuchu - powiedział Omar. Zdjął beret i rozpiął płaszcz. W limuzynie panowała optymalna temperatura, a światła mijanego miasta

rozszczerzone przez zaparowane okna przypominały pochodnie z nocnej demonstracji.

- Wstrząsu? - Asawi wyglądał na zaskoczonego.
- Hm, może lepiej będzie powiedzieć, że poczuła się zaniepokojona.
- Jak to?
- Uważa, że to wydarzenie może jakoś przeszkodzić w jej własnej misji.
- I o to chodzi - powiedział z łagodnym uśmiechem Asawi.

Omar przekreślił się na fotelu, żeby widzieć twarz Ali-Hamzy. Chociaż cisnęły mu się na usta rozmaite podejrzenia, to nie mógł tracić nad sobą panowania i rzucać fałszywych oskarżeń. Ułożył laskę na fotelu i przytrzymał ją ręką.

- A propos, Ali-Hamzo, bardzo mi się przydał dzisiaj ten przedmiot. Prawie zostałem obrabowany.

- Doprawdy?
- Tuż przed twoim przyjazdem.
- To dobrze! - Asawi tryskał zadowoleniem. - Teraz może moi ludzie zrozumieją, dlaczego na wyjazd do Nowego Jorku nie daję im w prezencie wody kolońskiej. Czy pozwolisz mi opowiadać o tej historii?

- Służba u ciebie jest dla mnie zaszczytem. - Omar uśmiechnął się, a zaraz potem Szybko zmienił temat. - Powiedz mi, Ali-Hamzo, czy nie sądzisz, że Izraelczycy rzeczywiście mogą podejrzewać o udział *Fraulein C4*?

- To prawdopodobne. - Zadowolenie nie zniknęło z oczu Asawiego.
- Ale ona nie ma z tym nic wspólnego. - W ustach Omara stwierdzenie to zabrzmiało mało przekonywująco.

- Nie ma.
- A jednak pewne cechy zamachu mogą wskazywać na nią.
- O ile solidnie wykonałem swą pracę - rzekł Asawi bez ogródek.

A więc to tak. Martiny nie zawiodła intuicja, jej złość była uzasadniona. Podejrzała, że jej przełożeni próbują wpędzić ją w jakąś pułapkę, a Omar naiwnie zaprzeczał, robiąc z siebie błazna. Zebrał w sobie całą odwagę.

- Ali-Hamzo - rzekł patrząc wprost przed siebie. - Chciałbym zostać zwolniony / tego zadania.

Asawi uniósł brwi. Nie zaskoczyło go to, gdyż Omar Bin Al-Wafa był człowiekiem z gruntu uczciwym i posiadał poczucie sprawiedliwości. Z tego też powodu rzadko kiedy wtajemniczano go w cele lub wyniki jego zadań.

- Czy dręczą cię wyrzuty sumienia, Omarze?
- Nie chciałbym być narzędziem zniszczenia tej młodej kobiety - stwierdził Omar.
- To nie kobieta - powiedział Asawi. - To nasza broń. Dostaje tyle pieniędzy, że możemy wykorzystywać ją w taki sposób, w jaki uznamy za stosowne.

- Wolałbym nie brać w tym udziału - nalegał Omar.
- Porozmawiamy o tym jeszcze, kiedy zdasz mi sprawozdanie.

Omar westchnął. Ali-Hamza miał rację; nie można się wycofać z rozpoczętego zadania, choćby nie wiadomo jak bardzo nieprzyjemnego. Przyzwyczał się już do pokrętnych manipulacji Asawiego, lecz teraz poczuł się do głębi dezorientowany. Nie Martina przygotowała zamach, a jednak Asawi podpisał się jej imieniem. W jakim celu?

- Omarze - kontynuował Asawi - czy nie wyczułeś, że nasza cudowna dama mogła się podczas spotkania z tobą domyślić prawdziwego charakteru twego udziału?

- W żadnym wypadku.
- Wierzy w szczerą twoich intencji? I w autentyczność twojego pochodzenia?
- Bo ono jest autentyczne. Podobnie jak mój akcent, chociaż ona nie potrafi wychwycić takich subtelności.

- A to czemu?

- Kilka lat w Libanie nie uczyni z Niemca arabskiego lingwisty. - Omar poruszył się w fotelu. Rozmowa z Ali-Hamza przybierała formę przesłuchania.

- A nie poczyniła starań, żeby dowiedzieć się, dla kogo pracujesz?

- Ona wierzy w to, w co chce wierzyć. - Omar lekko uniół głos. - Uważa, że Jestem Palestyńczykiem i reprezentuję któregoś z przywódców OWP.

- Bo ty jesteś Palestyńczykiem! - rzekł Asawi z pewną pogardą.

- A ty jesteś Persem! - krzyknął Omar, aż kierowca zerknął w lusterko wsteczne. - Ale nade wszystko jesteśmy muzułmanami, wiernymi jedynie Allahowi...

Omar przerwał. Ali-Hamza przyglądał mu się z uśmiechem. Podniósł palec i wymierzył w Palestyńczyka.

- Zachowaj spokój, Omarze Bin Al-Wafa. Omar z zakłopotaniem rozparł się w fotelu.

- Wraz z wiekiem staję się bardziej wybuchowy - westchnął.

- Na naukę nigdy nie jest za późno. Utrzymujesz emocje zbyt blisko powierzchni - mówił podniosłym tonem Asawi.

- Przesłuchujesz mnie jak jeńca.

- Nie bądź niemądry - zaczął się Asawi, chociaż w gruncie rzeczy uważał tego starszego człowieka właśnie za zakładnika, zobowiązanego spełniać rozkazy i życzenia SAVAMA. Obydwaj doskonale zdawali sobie sprawę, iż status rodziny Omara zależy od wyników jego służby. - A teraz zdradź mi szczegóły planów naszej damy.

Gdy limuzyna skręciła w prawo w Szóstą Aleję i wolno sunęła na północ, Omar cytował listę pokazaną przez Martinę. Kiedy przytoczył zdanie podsumowujące jej plany działania, Asawi pochylił się do przodu, jak gdyby nie dosłyszał.

- Powtórz to.

- Chce zdobyć prototyp broni przeciwokrętowej, aby przy jej pomocy nie dopuścić do wymiany jeńca.

- Prototypowa broń? - Asawi wpatrywał się teraz w podłogę.

- Coś w rodzaju minitorpedy.

- Minitorpedy. - Irańczyk uważnie przeliterował słowo. - A w jaki sposób ma zamiar „zdobyć” tę rzecz?

- Chce ją wykraść.

- Skąd?

- Z bazy Marynarki USA. Przypuszczam, że z jakiejś europejskiej.

Asawi wybuchnął śmiechem. Złapał się dłońmi za kolana, wcisnął się w fotel i trząsł się ze śmiechu.

- To nie dowcip, Ali-Hamzo - rzekł Omar.

- Przecież to naprawdę jest śmieszne - udało się powiedzieć Asawiemu.

- Zapewniam cię, że to bardzo sprytna kobieta. Zaplanowała każdy szczegół i zawzięła się, że dopnie swego. A z tego, co udało mi się zaobserwować, chłopcy z Yadd Allah pójdą za nią w ogień.

- Yadd Allah - prychnął Asawi.

- Jest jeszcze jedna rzecz - ciągnął Omar, chcąc jak najszybciej uwolnić się od posiadanych informacji, ponieważ nigdy nic nie zapisywał. - Jej budżet. Wygląda na to, że wystarczy jej funduszy, jednak wystąpiła też z potrzebą natury osobistej. Twierdziła, że to na wypadek jej śmierci.

Asawi pokiwał głową. Przez chwilę milczał, a potem odkręcił butelkę Snapple, nalał sobie do szklanki napoju w kolorze jagód i wypił go.

- Czy wiesz, Omarze - powiedział w końcu - że nasza przyjaciółka ma matkę?

- Wszyscy słudzy Allacha mają matkę - odparł Omar, czując, że wkrótce znów zagubi się w labiryncie intryg Ali-Hamzy.

- Tak, mój przyjacielu, lecz jej matka żyje, ma się dobrze i mieszka tu, w Nowym Jorku.

Wiadomość o rodzinie zaskoczyła Omara. Pracownicy wywiadu działający „na krawędzi” - agenci kontraktowi, specjaliści od mokrej roboty, terroryści do wynajęcia - nadzwyczaj ostrożnie dzielili się wiadomościami o swojej rodzinie ze współpracownikami

z pracy. Ironią zatrudnienia w wywiadzie jest to - a zjawisko to spotyka się na całym świecie - że gdy tylko agent wykaże się ślepym posłuszeństwem, dokonując jakiegoś ekstremalnego czynu, to natychmiast staje się zagrożony. Jego rodzinę lub przyjaciół można wykorzystać do posunięć taktycznych. Martinę Klump Omar uważał za zjawisko nienaturalne, za istotę bez żadnych korzeni, która wypłynęła gdzieś z politycznych miazmatów ekstremalnej lewicy. Dla niego była jak zabójca Makbeta - nie zrodzona z kobiety.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał, chociaż pytanie zabrzmiało naiwnie.

- Drogi przyjacielu - rzekł Asawi - nie wysyłalibyśmy ciebie do tak groźnej kobiety, nie mając przygotowanej teczki z jej aktami. Być może nie stała się w Libanie, jak mówisz, arabskim lingwistą, jednak wiele na swój temat wyjawiała naszym towarzyszom.

Ali-Hamza zawsze nazywał członków Partii Boga swoimi „towarzyszami”. W określeniu tym znajdowała się nutka pogardy, jak gdyby religijny fanatyzm Hezbollahu stanowił jakąś anomalię dla kosmopolitycznie nastawionego oficera SAYAMA. Omar odnosił wrażenie, iż Ali-Hamza wykorzystuje Hezbollah do własnych celów, a jednocześnie zaspokaja ich polityczne aspiracje.

Hezbollah powstał z oddziału Irańskich Strażników Rewolucji, wysłanego w 1982 roku do Libanu pod nadzorem SAVAMA. Obecny negocjator z ramienia Hezbollah w nadchodzącej wymianie więźnia, szejk Tafilli, podlegał bezpośrednio Saidowi Abbasowi Mussawiemu, operacyjnemu dowódcy ugrupowania. Mussawi z kolei podlegał Mohammedowi Husajnowi Fadlallahowi, duchowemu ojcu ruchu. I chociaż Fadlallah utrzymywał oficjalnie niezależność, to przyjmował „sugestie” Mohammeda Javada Larijaniego, doradcy irańskiego prezydenta do spraw wywiadu.

- Tak, oczywiście - powiedział Omar. Jednak wieść o matce Martiny nie należała do informacji, o których szybko się zapomina. Zastanawiał się, w jaki sposób Niemka zareagowałaby słysząc imię swej matki wywołane podczas dyskusji operacyjnej. Nie spodobały mu się takie spekulacje.

- A matczyzna miłość to silna rzecz - dodał Asawi.

- Racja - rzekł Omar. Ale nie na tyle silna, aby powstrzymać synów przed rzezią. Pomyślał o milionie Irańczyków, którzy poświęcili swą krew w wojnie z Irakiem. Widział nie kończące się rzędy grobów znikające gdzieś za horyzontem, portrety poległych mężczyzn spoglądających ze szklanych obrazków przyklejonych do płaskich nagrobków. Myślał o swej siostrzenicy, załamanej kobiecie, której po synach zostały tylko zdjęcia.

Asawi sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął niewielki, oprawiony w skórę notes. Zapisał coś piórem Mont Blanc, a potem zapytał:

- Z jej listy wynikało, że ma zamiar podjąć działania w Europie?

- Na to wygląda.

- A więc to się odbędzie tu, w Ameryce - doszedł do wniosku. - Chciałbym, żebyś zajął się następującą rzeczą - zwrócił się do Omara. - Nawiążesz kontakt z naszą niesławną debiutantką i poinformujesz ją, że palestyńscy mocodawcy uznali jej plan za idiotyczny.

Czemu nie każe mi po prostu wysmarować się kozią krwią i wskoczyć do basenu z rekinami? - pomyślał Omar.

- Powiedz jej, że zainwestowali dużo pieniędzy, a jej plan nigdy się nie powiedzie, więc powinna zająć się bardziej realnymi działaniami, na przykład zatrudnieniem pletwonurków i stawianiem min.

- Pletwonurkowie i miny - powtórzył cicho Omar jak pacjent szpitala psychiatrycznego pod hipnozą.

- No właśnie. A kiedy już z tym skończysz... - Asawi wyrwał kartkę błękitnego papieru i podał Omarowi... - zadzwoń na policję. Tylko nie pod 911, bo tam będziesz musiał mówić do automatycznej sekretarki. Wybierz numer gorącej linii z jakiejś gazety... coś w rodzaju „Czarnego numeru”. - Wskazał palcem na kartkę. - Podaj im to nazwisko, ten adres i nic więcej nie mów.

Omar spojrzął na kartkę i nagle poczuł się staro, z taką samą intensywnością jak przed dwudziestoma minutami cieszył się swoją młodością. Miał najpierw znieważać nieobliczalną agentkę, a potem wystawić ją wrogowi. Nadszedł czas, aby raz jeszcze odmówić udziału w tej misji. Nie obawiał się o siebie, lecz jedynie o życie rodziny, które spoczywało w jego rękach.

- Z całym szacunkiem, Ali-Hamzo - odezwał się spokojnie. - Takie traktowanie z pewnością ją rozwścieczy.

- Oczywiście - szybko odparł Asawi. - A jeśli Izraelczycy uwierzą, że ona przygotowywała zamach... a ta niewielka, lecz ważna sugestia, którą przekażesz, musi ich przekonać... wtedy zaczną na nią polować.

Omar zdjął okulary, zamknął oczy i oparł głowę o fotel. Pracował dla Ali-Hamzy Asawiego od dawien dawna i nigdy nie wykazał się takim wścibstwem, żeby pytać o jego zamiary. Tym razem jednak dla własnego dobra chciał wiedzieć o wszystkim. Musiał zrozumieć, dlaczego Irańczycy najpierw chcą wymiany więźnia, a potem zaczynają snuć intrygi, żeby do niej nie dopuścić.

- Przepraszam - powiedział z westchnieniem. - Jestem trochę zmęczony. -Zawahał się. - Ali-Hamzo, wiem, że to nie moja sprawa...

- Ale chciałbyś to wszystko zrozumieć?

- Właśnie. Przyznaję, choć zdarzyło mi się to pierwszy raz.

- Masz rację, że to nie twoja sprawa.

Omar otworzył oczy, odwrócił głowę i lekko uśmiechnął się do Asawiego. Irańczyk odwzajemnił się uśmiechem.

- Współczuję ci, ślepe posłuszeństwo to rzecz dobra dla młodych. Jednak nie możesz wiedzieć wszystkiego, mój przyjacielu.

- Tak, oczywiście. - Omar z powrotem założył okulary, a Asawi widząc, że starego człowieka znów ogarniają wątpliwości, postanowił zdobyć się na odrobinę szczerości.

- Jedno mogę ci powiedzieć. Niewiele nas obchodzi powrót do Hezbollahu szejka Saida, a jeszcze mniej ten izraelski komandos.

- Tak. - Omar słuchał uważnie.

- Wymiana więźnia to nic innego, jak tylko pretekst. Sposób na odwrócenie uwagi izraelskiego wywiadu. Rozumiesz?

- Jak na razie.

- To dobrze. A zatem jeśli ktoś próbuje nie dopuścić do wymiany, Żydzi podwoją wysiłki, aby do niej doprowadzić. Zmuszeni będą przegrupować swoje moce wywiadowcze, przydzielić do sprawy więcej ludzi. Przez ten czas zaniedbają inne kwestie.

- Tak, to brzmi rozsądnie. - I nagle Omar zrozumiał. Na jakiś czas zapomniał o talencie Ali-Hamzy do wprowadzania ludzi w błąd. Zadania Omara nie wiązały się bezpośrednio z pierwszoplanową misją - niezależnie od tego, czego ona dotyczyła.

- I wreszcie - wyjaśniał Asawi z rosnącą satysfakcją - wybierzemy delegata, w tym wypadku szanowną *Fraukein C-4*, którą trudno powstrzymać przed zrealizowaniem raz powziętej decyzji. Im bardziej będziemy jej przeszkadzać, tym bardziej będzie rosła jej determinacja, a dzięki temu łatwiej przyjdzie nam wykonać prawdziwą misję.

- *Masz Allach*. - Omar podniósł swą niewielką dłoń. Słowo to oznaczało „brawo”, lecz on wypowiedział je bez radości. -Już rozumiem. Postąpiłem głupio...

- Nie przepraszaj. - Asawi machnął ręką. - I nic się nie bój, więcej ci już nic nie powiem.

- Nie chcę już nic wiedzieć.

- I dalej będziesz podejmował się wykonywania tych drobnych zadań?
- Najlepiej jak potrafię.
- Allah ci to wynagrodzi.

Spotkanie zostało zakończone i mężczyźni siedzieli w przyjemnym milczeniu.

Limuzyna minęła Times Square i kluczyła po dzielnicy teatrów. Asawi kazał kierowcy wjechać na parking przy 47. Zachodniej Ulicy i przejechać do drugiego kwartału. Obawiał się, że może śledzić ich amerykański kontrwywiad, a żaden samochód powtarzający ten manewr nie uszedłby ich uwadze.

Lincoln znów mknął na północ, a Omar bezwiednie zastanawiał się, czego może dotyczyć tak ważna misja, wymagająca maskujących działań na globalną skalę. W samochodzie zrobiło się bardzo gorąco, więc otworzył okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Przez większą część ostatniego dziesięciolecia wysiłki SAVAMA koncentrowały się na dwóch celach: rozszerzeniu rewolucji fundamentalistów islamu na wszystkie kraje bliskowschodnie oraz zdobyciu Bomby. Omar już wcześniej domyślał się, że wiele z misji Ali-Hamzy polega na zdobywaniu składników do budowy bomby atomowej. Jednakże Iran nie dołączył jeszcze do międzynarodowej klikki posiadaczy broni atomowej i teraz SAVAMA najprawdopodobniej próbuje w nowy sposób pozyskać tę broń.

Być może jedna z byłych republik sowieckich zdecydowała się w końcu na sprzedaż Irańczykom kilku głowic? Z całą pewnością zajmowałby się tym Ali-Hamza, a osłanianie takiej transakcji innym wydarzeniem jak najbardziej pasowałoby do jego stylu. Izraelczycy bowiem zrobiliby wszystko, żeby do niej nie dopuścić.

Nagle Omar poczuł duszności. Pomyślał o swoich wnukach, żyjących pod panowaniem irańskiego rządu, z całą pewnością nie zasługującego na posiadanie nuklearnej zabawki. Lecz przecież on jest tylko starym człowiekiem wypełniającym wolę Allacha.

Doszedł do wniosku, że jeśli misja się powiedzie, to z całą rodziną wyprowadzi się z Iranu. Jeszcze raz. Będzie to kolejna emigracja. Słysząc plotki, że Izraelczycy prowadzą z OWP tajne rozmowy. Teraz jeszcze bardziej niż zwykle liczył na zakończenie tych rozmów sukcesem.

Samochód zaczął się zatrzymywać. Omar spojrzał na Asawiego, a ten wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

- Przykro mi, Omarze - rzekł. - Znasz procedurę. Od głównej ulicy dzieli nas tylko kilka metrów. - Nacisnął guzik i szcęknął elektroniczny zamek przy drzwiach. - Mam nadzieję, że laseczka posłuży ci już tylko do podpierania.

Omar otworzył drzwi, wyszedł na dwór, naciągnął beret na głowę i rozejrzał się dokoła. Poprzez czarne konary drzew widział oświetlony szyld „Tavern on the Green”. Był w Central Parku.

- Omarze - odezwał się z ciemnej otchłani wnętrza samochodu Asawi. - Cieszę się, że odwiedłem cię od zamiaru zrezygnowania z pracy dla nas. *Auda' nak*. Żegnaj.

- *Allach yihfazak*. Bóg z tobą - odpowiedział Omar i delikatnie zatrzaskał drzwi. Wyprostował się i ruszył przed siebie.

Asawi obserwował niewielką postać zmierzającą w stronę zachodniej części Central Parku. Po chwili kiwnął ręką kierowcy i pojechali w przeciwnym kierunku. Sięgnął po telefon, wybrał numer i powiedział w farsy:

- Zarezerwujcie mi miejsce na następny lot do Teheranu.

Odłożył komórkę na miejsce, otworzył szufladkę pod barkiem i wyciągnął niewielką buteleczkę koniaku. Nalał sobie pół zakrętki, wybrał program radiowy nadający muzykę country, rozsiadł się wygodnie, założył nogę na nogę i wypił trunek.

Wolał nie być w Nowym Jorku, gdy Martina Ursula Klump wpadnie w furię.

Sporo czasu minęło, odkąd wiatry Pacyfiku rozwiały głośny warkot japońskiego myśliwca *Zero*, a postrzępiona wyrwa na pokładzie startowym lotniskowca, którą spowodował pilot swą nurkującą maszyną, została już załatana. Tam gdzie kiedyś unosił się dym zatruwający marynarzy, którym udało się przeżyć, teraz kłębiły się balony. W miejscu wybuchu jednotonowej bomby, winnej śmierci połowy załogi pokładu hangarowego, znajdowała się oświetlona choinkowymi lampkami nisza ze stali. A tam, gdzie przestraszona załoga zmagą się z rozlanym paliwem lotniczym, zmęczony barman gasił pragnienie uczestników przyjęcia.

Burzliwe wydarzenia wojenne przeszły już do historii, a chlubę floty Pacyfiku zamieniono w muzeum - wmurowując kil w dno rzeki Hudson i przypinając klamrami burty do nabrzeża. Na pokładzie startowym tłoczyły się uśpione samoloty, a sam okręt zupełnie nie pasował do zachodniej części Manhattanu.

Zazwyczaj zamykano muzeum o zmroku, lecz różne organizacje odkryły tu egzotyczną atmosferę, świetnie nadającą się do spotkań towarzyskich. Wieczorami, zwłaszcza w dniach wolnych od pracy, przy schodniach „Interpida” pojawiali się goście w wieczorowych strojach.

Tego dnia organizatorzy przyjęcia dla Nowojorskiego Klubu Marynarzy i Lotników zastanawiali się w żartach, czy okręt mógłby się przewrócić i zatonać. Chociaż najważniejsze stacje telewizyjne przestały w końcu pokazywać migawki z inteligentnymi bombami, zmierzającymi w stronę kwater głównych wywiadu lotniczego Sad-dama Husajna, to duma po Pustynnej Burzy pozostawała wystarczająco żywa, by przyciągnąć na ten powojenny alert tysiąc weteranów.

Na przyjęcie przybyło wiele ważnych osobistości Nowego Jorku, ponieważ po 1945 roku rzadko trafiała się okazja do pokazania się wśród umundurowanych amerykańskich żołnierzy. Limuzyny przejeżdżały przez bramę, a policjanci sprawdzali zaproszenia gości wchodzących pieszo.

Członek obsługi okrętu-muzeum, dźwigający dużą metalową beczkę Coca-Coli, przepraszając co chwila, mijał bokiem paradujących uczestników przyjęcia, aż zaczął go jeden z policjantów.

- Człowieku, daj spokój, przecież to waży z tonę - wystękał pracownik.

Na ściśle przylegającym do głowy kapturze czarnej bluzy miał założoną czapkę personelu „Interpida”. Jego tułów okrywała czerwona, firmowa parka z sylwetką statku na plecach. Dało o sobie znać zimowe przeziębienie i zaczął kasłać. Policjant machnął ręką i przepuścił go.

Człowiek z obsługi szybkim krokiem minął parkujące limuzyny, zwolnił dopiero przy rufie. Niedaleko stała ciężarówka z zaopatrzeniem. Odczekał, aż podeszli po towar trzej kelnerzy, a gdy wracali, ruszył za nimi po zatłoczonej schodni.

Przy dźwiękach sekcji dętej big bandu minął podwójne drzwi wejściowe. Przyjęcie im pokładzie hangarowym trwało w najlepsze. Podwieszane pod pokładem starto-

wym eksponaty wojskowe - między innymi kabina kosmiczna Gemini i rząd pocisków przeciwokrętowych - wyglądały jak bożonarodzeniowe ozdoby w salonie olbrzyma. Gdy orkiestra zaczęła grać „Stompin” at the Savoy”, ludzie ruszyli szturmem na parkiet taneczny z drewnianych desek. Muzycy tłoczyli się na pokładzie obserwacyjnym.

Przy burtach ustawiono bary przypominające kuchnie polowe. Człowiek z beczką podszedł do najbliższego z nich, a spocony barman rzucił na niego okiem i krzyknął:

- Wielkie dzięki!

Człowiek postawił na pokładzie beczkę, wyprostował się i spojrzał na tłum. W stronę reszty pomieszczeń rufy zmierzało kilku ludzi z obsługi. Spuścił wzrok i, wcisnąwszy dłoń do kieszeni parki, poszedł za nimi.

Jak na większości okrętów wojennych, przy projektowaniu toalet bardziej zwracano uwagę na kubaturę niż estetykę. Pisuary oraz kabiny rozmieszczone zostały dość ciasno, a żeby do nich dotrzeć, człowiek musiał minąć żołnierzy myjących ręce przy umywalkach. W odległym

kąciku znalazł pustą kabinę, wszedł do środka, zasunął zamek, zdjął baseballową czapkę i rozwiązał troczki kaptura bluzy.

Martina Klump potrząsnęła głową, a jej blond włosy rozlały się kaskadami na ramiona. Odetchnęła głęboko, odgarnęła z oczu włosy i zajęła się dalszą realizacją planu.

Zdjęła parkę i powiesiła ją na metalowym haczyku. Przymocowane pod pachami buty na wysokich obcasach dołączyły do parki. Z kieszeni umieszczonej na bluzie w okolicach brzucha wyciągnęła złożoną torbę, szminkę, tusz do rzęs, flakonik perfum, składaną szczotkę do włosów oraz czarną torebkę na długim, srebrnym łańcuszku. Wyłożyła wszystko na klapę sedesu.

Bardzo ostrożnie ściągnęła bluzę przez głowę. Zsunęła spodnie aż do kostek, odsłaniając pończochy, pasek i zapinki. Purpurowa bielizna, zgodnie z zamierzeniami, wyglądała ponętnie. Oczywiście nie pasowały do niej grube skarpety i sportowe obuwie, lecz i z tym się wkrótce uporała.

Odpięła sukienkę i wygładziła ją. Mimo długich rękawów, dzięki elastycznemu materiałowi suknia wyraźnie podkreślała figurę. Dotknąwszy dłonią do szyi Martina natrafiła na sznur pereł.

Zdjęła sportowe buty i skarpety, wyjęła nogi ze spodni i włożyła stopy w pantofelki. Poskładane ubrania członka obsługi „Intrepidu” trafiły do torby. Pokropiła szyję, ramiona i zgięcie ręki perfumami Estee Lauder, a potem bez lustra nałożyła tusz na rzęsy. Wreszcie głęboko odetchnęła, otworzyła kabinę i z torebką, siatką na zakupy oraz pewną siebie miną wyszła na zewnątrz.

Minęła dwóch potężnych oficerów trzymających się za uchwyty przy pisuarach, jak gdyby spodziewali się sztormu. Podeszła do najbliższej umywalki, postawiła siatkę i nachyliła się do lustra, żeby nałożyć szminkę. Szybko przeczesła włosy i wtedy zauważyła w lustrze, że przyglądają jej się uważnie.

Uśmiechnęła się, poprawiła torebkę i powiedziała:

- W damskiej toalecie jak zwykle kolejka nie do zniesienia.

Wychodząc z toalety tak poruszała biodrami, że odprowadzały ją pełne podziwu gwizdnięcia. W tej najbardziej wysuniętej części okrętu zaopatrzeniowcy, uwijając się jak oddział szalonych pielęgniarzy w środku ostrej bitwy piechoty, rozpierzchłymi-
li paczki z koktajlowymi kanapkami, koreczkami i chipsami. Martina wcisnęła siatkę do

kosza pełnego podartych pudełek z napisem Ritz.

Wmieszała się w tłum i przechadzała obok parkietu z tańczącymi. Część par ze śmiechem schodziła z parkietu, inne dopiero ruszały do tańca, a przez pierwszą minutę Martina dostrzegła dwadzieścia innych blondynek w czarnych sukienkach. Konkurencja jednak nie zniechęcała jej.

Wiedziała, że mistyfikacja najprawdopodobniej udała się i właśnie otrzymała przepustkę do przeprowadzenia akcji. Nieprawdopodobne, aby ktoś śledził ją cały czas w drodze z wynajmowanego pod przybranym nazwiskiem mieszkania, jechał za nią dwiema liniami metra do Lower East Side, skąd dotarła taksówką do wyludnionego zakątka za browarem w miejscu zaopatrywania się restauracji. Tam lyad podał jej stalową beczkę z Coca-Cola. Nic dookoła nie wzbudzało niepokoju. Czasami samo bezustanne napięcie uwagi wymagane w tym fachu wywoływało lęk, lecz nauczyła się odruchowo opanowywać to uczucie, niczym muzyk walczący z tremą przed koncertem.

Coraz bardziej niepokoił ją fakt, że łączono ją z wybuchem w konsulacie, ponieważ nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Dręczył ją też pojawiający się ciągle w myślach wizerunek Benjamina Bauma.

Informacja wyszeptana przez Omara podczas spotkania w zatłoczonym autobusie odniosła skutek przeciwny do zamierzonego. Jak on i jego dowódcy ośmielają się mówić jej, w jaki sposób ma przeprowadzać akcję? Nurkowie i miny? Idioci. Chciała zabić Omara na miejscu,

lecz przecież był tylko posłańcem.

Doszła do pierwszego baru. Mimo że mężczyźni błagalnie wyciągali do niego ręce niczym żebracy, barman zwrócił się do Marty:

- Słucham?
- Stoliczną. - Uśmiechnęła się. - Z lodem.

Wzięła drinka, w milczeniu wzniosła toast do pułkownika piechoty morskiej wpatzonego w jej piersi, a potem spojrzawszy na szklankę dostrzegła drżenie kostek lodu. Miał to być jej jedyny alkohol dzisiejszego wieczoru, a bardzo go potrzebowała, więc wypła pośpiesznie. Zaskoczyło ją, że jest zdenerwowana. Wiedziała jak wygląda, lustra nie kłamią. Jednak słowa Mussy wypowiedziane podczas porannej sprzeczki wzbudziły w niej wątpliwości i zaczęła się zastanawiać, czy jej się uda.

- To zupełnie niepotrzebne, Leila - mówił coraz głośniej, obserwując jak przygotowuje swoje przebranie.

- A właśnie, że potrzebne.
- Ale nie trzeba się uciekać aż do takich sposobów.
- A do jakich, Mussa?
- Wystarczy zwykły napad.
- Ach, rozumiem - powiedziała z drwiną. - Czterech mężczyzn okradających człowieka na ulicy. Rzeczywiście, nikt nie zwróci na to uwagi.
- Możemy go śledzić aż do jakiegoś ustronnego miejsca.
- A założmy, że on nie ma w planach pójścia w takie miejsce? Jeśli wsiądzie do taksówki i pojedzie prosto do hotelu „Plaża”?

Logika jej myślenia doprowadzała Mussę do wściekłości, a jej pragnienie wykorzystania własnego ciała -jeszcze bardziej.

- Możemy go jakoś zwabić -jęknął bez przekonania Mussa, wpadając w zasadzkę Marty.
- I dokładnie to mam zamiar zrobić.
- Ale nie w ten sposób!
- Niby dlaczego? To żołnierz. Gdybyśmy zdecydowali się na twój sposób, walczyłby i w końcu mielibyśmy mundur podarty i zakrwawiony.
- *Szarmutah* - syknął i zrezygnował z dalszej dyskusji.
- Co mówiłeś? - Choć oczywiście dosłyszała arabskie „dziwka”.
- Tak postępują ladacznice! - Krzycząc na nią, zrobił minę skrzywdzonego dziecka.

Martina wpiła w niego karcący wzrok i czekała, aż pokornie odwróci się i usiądzie na krześle. W Libanie wysyłała ludzi na chłostę za taką niesubordynację, aż nauczyli się, że ona nie została ulepiona z tej samej gliny co ich uległe siostry i matki. Teraz już nikt z Yadd Allah nie zaryzykowałby takiego odezwania, lecz Mussa nie był zwykłym żołnierzem. Należał do rodziny, a islamskie prawo dziedziczenia nie pozwala, aby wdowieństwo zrywało rodzinne więzy.

Martina poślubiła kiedyś Husajna Hawatmeha, starszego brata Mussy. Uroczystość wyglądała skromnie. Nie składali przysięg małżeńskich, nie było żadnych bawełnianych chust, spłonionych druchen, ani organów. Żadna limuzyna nie zawiozła ich na słoneczną wyspę, żeby mogli nacieszyć się miłością i snuć marzenia. Im wystarczyło uszanowanie rytuału oraz złożenie publicznej obietnicy wobec Boga. Martina i Husajn pragnęli się nawzajem, lecz nie mogli naruszać kodeksu moralnego, który sami głosili. A zatem panna młoda ubrana była w welon i galabiję, a pan młody w panterkę. Z wysokiego minaretu zawodził muezin, a mułła pobłogosławił ich w świetle słonecznym odbijającym się ostrym blaskiem od wypolerowanej stali, gdyż goście zamiast kwiatów ściskali w dłoniach *Kalaszniko*^yy.

Prawdopodobnie żadna wdowa nie zaznała takiego nieszczęścia jak Martina, ponieważ kiedy Husajn ją poznał, jego dni były już policzone. Przeszedł indoktrynację będąc jednym z

Isargaran - Kochanków Męczeństwa - potem uzupełnił ją w obozach szkoleniowych Marvdasht nieopodal Teheranu oraz podczas treningów kierowania samochodem w Assayda Zaynab w pobliżu Damaszku. Dzieła dopełnić miała Martina. Wysłała swoich ludzi na rekonesans, żeby zbadali izraelskie pozycje na północ od Marj Ayoun, dobrała pojazd będący lustrzanym odbiciem tych, których żołnierze zazwyczaj nie zatrzymują, i wypełniła mieszaniną cyklonitu i czteroazotu-*nu* pentaerytrytu, z wbudowanym podwójnie zabezpieczonym detonatorem, który można było uaktywnić ręką Husajna lub - gdyby zawiodła odwaga męczennika - drogą radiową.

Jakiś czas potem Martina zdała sobie sprawę, że misja ta stanowiła próbę lojalności i odwagi, ale nie Husajna, lecz jej samej. Niezbyt długo po wybuchu, który zmiotł z powierzchni ziemi jego oraz dwunastu Izraelczyków, skonstatowała z goryczą, że on cały czas podlegał indoktrynacji, a rozkazując mu poślubić obcą kobietę i spać z nią, sprawdzano charaktery obojga. Nie miało to aż tak dużego znaczenia, ponieważ pociągu do ciała Martiny nie mógł mu zaszcześcić żaden północnokoreański psycholog. Ją samą zaskakiwało pożądanie, jakim go darzyła, a potem zdziwił smutek po jego śmierci. W Libanie odrodziła się na nowo, a transformacja ta rozbu-

dziła w niej młodzieńczą pasję i niczym nie skrępowane pożądanie młodych nastolatkom w głowach, pożądanie, którym nie darzą już późniejszych kochanków. Pomiędzy dniem, kiedy Husajn wysiadł w obozie z zakurzonego dżipa, a dniem, kiedy odjechał mniej więcej w ten sam sposób, Martina łudziła się nadzieją, iż w jakiś sposób ucieknie, zostawi jej kartkę z błaganem o wybaczenie tchórzostwa, że wyzna Jej miłość większą niż do Allacha, że obieca spotkanie w jakimś odległym miejscu.

On jednak zabił się zgodnie z planem. Przeszedł próbę, zostawiając po sobie młodą żonę.

Wydarzenie to wstrząsnęło Mussa Hawatmehem, zbudził się z transu ślepego oddania Hezbollahowi i, choć świętował u boku Martiny, w samotności obydwójce opłakiwali Husajna. Postanowili, że już nigdy nie pozwolą manipulować sobą niewidzialnej ręce, uciekli z najbardziej zaufanymi ludźmi najpierw do enklawy na południu, gdzie brali udział w tych bitwach, które sami wybrali, a potem wyjechali z Libanu. Mussa jednak nie mógł uciec przed dogmatami islamu - teraz on ponosił odpowiedzialność za Martinę, wdowę po Husajnie.

Martina wiedziała, że gdyby dalej żyli na Bliskim Wschodzie, miałyby obowiązek poślubić Mussę. Lecz o ile ona wcale o tym nie myślała, on denerwował się za dwoje. Czy ją kochał? Chyba nie, ale z całą pewnością kochał pamięć po Husajnie i przerażała go myśl, że Martina ma pójść do łóżka z innym mężczyzną, nawet dla dobra sprawy...

Patrzyła na dno szklanki, a w ustach czuła jeszcze smak wódki.

Minęło ładnych parę lat, odkąd po raz ostatni uwodziła mężczyzn. Figurę miała wciąż doskonałą. Niemniej, niczym snajper na emeryturze, nie miała pewności, czy potrafi jeszcze strzelić w dziesiątkę.

Orkiestra zagrała wiedeńskiego walca, a Martina spostrzegła, że stoi przed nią wysoki, elegancki mężczyzna i podaje jej ramię.

- Czy mogę panią prosić?

Fizycznie nie pasował do jej celów, ponieważ zbyt przerośnięty. Pomiędzy jego ciemnoblonde włosy wkradała się siwizna, nosił czarny mundur saperów Armii - mógł się jednak nadać na rozgrzewkę.

- Chętnie. - Odstawiła szklankę i wzięła go pod rękę.

Partner Martiny sprawiał wrażenie człowieka dostojnego, wyniosłego i szybko utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie. Miarowo unosili się i opadali w taktach na trzy czwarte. Tańczył w milczeniu, jak żołnierz z innego pokolenia. Pomieszczenie zaczęło wirować jej jak w kalejdoskopie, a czarny strój i oszroniona skroń oraz wyprostowana sylwetka przypomnially jej taniec z ojcem...

Twarz ojca pozostała na zawsze w jej pamięci i nie zatarała się jak oblicza innych ludzi -

zapomnianych kochanków, porzuconych towarzyszy, a nawet Husajna. Chociaż gdy popełnił samobójstwo, skończyła ledwie pięć lat, jego obraz na trwałe wyrył się w jej pamięci. Pamiętała, jak stawiała pantofelki na jego wyglansowanych, brązowych butach, jak przytulała się policzkiem do jego brzucha, jak patrzyła na ojca mającego być jej księciem z bajki, na jego unoszącą się i opadającą brodę, na okulary odbijające światło zyrandola i na uśmiech w kącikach oczu. Nigdy jednak nie tańczyli tak jak teraz, a ona zawsze żałowała, że ojciec już nie żyje i nie może być dumny ze swej dorosłej córki.

Teraz wiedziała już o nim dużo więcej, albowiem mając kilkanaście lat poszukiwała każdego szczegółu na jego temat. Jej matka wprowadziła ją, lecz po śmierci ojca popadła w alkoholizm mający zagłuszyć wspomnienia i sprzecznymi informacjami doprowadzała Martinę tylko do frustracji.

Ojciec Martyny zajmował na Uniwersytecie Humboldta prestiżowe stanowisko prodziekana wydziału fizyki, kiedy NSDAP zaczęła trząść niemiecką nauką, oferując utalentowanym naukowcom wybór: nieograniczone fundusze na badania nad sprzętem wojennym albo wydalenie z uczelni. Choć nie robiły na nim wrażenia mundury ani wysokie stanowiska, był niewolnikiem własnej ciekawości naukowej. Któż odrzuciłby propozycję zamiany starego stołu z poplamionymi próbkami na stanowiska z palnikami Bunsena dla personelu złożonego z pięćdziesięciu naukowców? Toteż poszedł do pracy jako jeden z *Wunderkinder* Alberta Speera, pracując pod bezpośrednim nadzorem Karla Saura, szefa Departamentu Techniki w Ministerstwie Uzbrojenia.

Ministerstwo stanowiło dla fizyków prawdziwy raj, gdzie zachęceni zachwytemi Adolfa Hitlera nad systemami tajnej broni, wpadali na pomysły naprowadzanych telewizyjnie pocisków i inteligentnych torped. Klump wraz z kolegami rysował projekty, konstruował modele, przeklinał z powodu porażek i skakał z radości, kiedy jakiś szalony pomysł naprawdę zadziałał. Pozostawał w bezpiecznej nieświadomości w Nordhausen, podczas gdy jego wynalazki powielały tysiące pracujących niewolniczo robotników.

Po wojnie z pupilką Fuhrera doktor Otto Klump stał się uchodźcą. Korpus kontrwywiadu amerykańskiej Armii wdarł się na spaloną niemiecką ziemię niczym anioł zemsty i architektów nazistowskiej maszyny wojennej po kolei wyłapywał oraz poddawał *Selektion* - zaczęły się przesłuchania, procesy, więzienia, egzekucje. Otto Klump nie miał zamiaru uciekać, wysłał tylko Katharinę na południe do siostry mieszkającej w Bawarii, a sam czekał na młodych Amerykanów noszących trencze i czapki z daszkami.

Prawie cały rok spędził w Chesnay, na terenach Wersalu zamienionych w ośrodek dla zatrzymanych przez Armię amerykańską. Wielu niemieckich naukowców przeszło przez ten czyściec, gdzie aliancy śledczy uznali, że mogą wykorzystać naukowców w ewentualnym konflikcie ze Związkiem Radzieckim. Dzięki współpracy można było zasłużyć na udział w projekcie Overcast - tajnym programie mającym na celu przeniesienie wartościowych Niemców wraz z rodzinami do Ameryki i anonimowe zatrudnienie w przemyśle zbrojeniowym. Alternatywę stanowiło znalezienie się ze słuchawkami na uszach w kabinie oskarżonego w Norymberdze. Kiedy przyszedł czas na doktora Klumpa, doskonale odegrał swoją rolę, przekazując wszystkie projekty zapięte na ostatni guzik.

Obiecanej nagrody nigdy jednak nie otrzymał. Prezydent Truman, wpuściwszy w łaskawe progi Ameryki tysiąc byłych nazistów, postanowił zamknąć drzwi. Klump dostał dwa tygodnie na opuszczenie Europy (ponieważ Amerykanie nie chcieli zostawiać Rosjanom tego, czego sami nie mogli mieć) i skontaktowano go z organizacją zajmującą się przetrzaniem Niemców do Argentyny. Zasugerowano, iż nie powinien znajdować się bliżej USA niż tam.

Kogo innego ogarnęłaby gorycz, Klump jednak uważał się za szczęściarza. Żył, cieszył się wolnością i znów był z Kathariną. Wkrótce poczuli się filarami rozrastającej

się w Buenos Aires społeczności uchodźców niemieckich. Rząd Juana Peróna odnosił się do nich z sympatią, a jego przemysł zbrojeniowy łaknął talentów doktora. Gdy w 1955 roku

przyszło na świat ich pierwsze i jedyne dziecko, wiodło im się wspaniale. Alianci traktowali Ottona i jego ziomków z taką obojętnością, że zapomnieli oni o innych, mniej im sprzyjających, sędziach. O Żydach. Natomiast Izraelczycy wygrzebawszy się z ran po holokauście i zwyciężywszy swoich sąsiadów, wzięli się za nich. Pewnego dnia zniknął nagle Adolf Eichmann, by pojawić się w szklanej klatce na sali sądowej w Jerozolimie. Klump zrozumiał, iż nie istnieje dla niego na świecie miejsce, do którego mógłby uciec. Uciekali jego przyjaciele, znikali podwładni, optymizm gdzieś się ulotnił i Klump doszedł do wniosku, że jedyne rozwiązanie stanowi dla niego kula.

Uśmiechnięty brzdąc, nazywany przez niego *kleine Prinzessin*, został - nie licząc bezradnej matki ze złamanym sercem - sam...

- Pani prowadzi.

Martina podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, że partner uśmiecha się do niej.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale powinniśmy to jakoś ze sobą uzgodnić.

- Och, przepraszam bardzo. - Podniosła rękę do ust i zmusiła się do dziewczęcego chichotu. - Zaszłuchałam się i poniosły mnie nogi. - Z uległością podała mu rękę. - Proszę.

- Jest pani Francuzką? - zapytał oficer, powoli zaczynając taniec.

- Tak - odparła. - Czasami miewam też francuskie maniery.

Roześmiał się, znów wpadł w rytm, a Martina powróciła do swoich myśli. Nie skończyła jeszcze ze wspomnieniami, więc postanowiła, jak zawsze, zmówić za ojca cichą modlitwę o przebaczenie.

Przez wiele lat, należąc do podziemnej, ekstremalnej niemieckiej lewicy, odrzucała wspomnienia o ojcu. Kobiety dowodzące nią przekonały ją, iż nazistowskie Niemcy zdominowali mężczyźni, rasiści, a zatem przeciwnicy ich poglądów głoszących światowe wyzwolenie. Kiedy jednak dojrzała, doszła do wniosku, że wszystkie polityczne organizacje mają taki sam charakter. Kilku liderów to idealisci, a większość żołnierzy, zabijając na ich konto, żyje zgodnie ze swą naturą mordercy. Jej *Papa* nie należał ani do jednych ani do drugich. On był po prostu profesorem, dobrym człowiekiem, którego zaszczytano na śmierć...

Nagle po drugiej stronie zatłoczonego parkietu dostrzegła obiekt swych pragnień. Oficer Marynarki w wyjściowym mundurze: czarnej, dwurzędowej marynarce z błyszczącymi, mosiężnymi guzikami i baretkami na piersi. Miał gładką, ciemną skórę oraz krótkie, błyszczące włosy. Nie odznaczał się zbyt wysokim wzrostem i tańczył z rozgadaną brunetką w taki sposób, jak gdyby modlił się o zmianę muzyki na dyskotekową.

Gdy partner Martiny po raz kolejny odwrócił ją, znalazła się w polu widzenia oficera Marynarki i zaczęła się wpatrywać w niego tak intensywnie, że aż spojrzał w jej stronę. Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo ze współczuciem, a on poczerwieniał, odwzajemnił się uśmiechem i odwrócił oczy.

Po obrocie w tańcu Martina spojrzała przez ramię i dostrzegła, że oficer Marynarki znów na nią patrzy. Pragnęła tylko, żeby walc się skończył i nowy obiekt miłości nie zdołał jej uciec. Później jednak uspokoiła się wiedząc, że po takim uśmiechu nigdzie nie umknie.

Poczuła dziwne podniecenie, jak podczas pamiętnych wieczorków w Argentynie. Wówczas też często adorowała żołnierzy, częściowo ze względu na ich prostactwo, a częściowo ze względu na dziecięce pragnienie chwały. Wszyscy wojskowi puszą się jak pawie.

Wyjątek stanowił Benjamin Baum.

Ta *Schwein* była tchórzem należącym do światowej siatki wojskowych szpiegów -równie łakomych na awanse i władzę jak dowódcy czołgów, lecz bojących się ryzykować skórę w bezpośredniej walce. Łgarz, który zostawił mundur gdzieś w Jerozolimie, a tu przybrał kostium ojca, przyjaciela i kochanka, i łudzi się, że Bóg obdarował go licencją na zdradę dla dobra podejmowanych misji.

Grzechotnik, któremu brakuje przyzwoitości, żeby grzechotać. Dziesięć lat minęło, odkąd wpadła w Bad Reichenhall. O wiele mniej czasu zajęło jej poskładanie wszystkich

fragmentów w całość i uświadomienie sobie, że epizod, który doprowadził ją niemal do śmierci, od samego początku stanowił misterną intrygę uknutą przez Hansa-Dietera Schmidta, Hugo Kleina lub Benjamina Bauma - wszyscy trzej to ta sama osoba z izraelskiego wywiadu wojskowego.

Nie przez przypadek przeniesiono ją z Niemieckiego Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie początkowo została osadzona, do kobiecej sekcji więziennego kompleksu Justizvollzugsanstalt we Frankfurcie. Nie ma zwyczaju odsyłania tam terrorystów, za których głowę wyznaczona jest nagroda pięćdziesięciu tysięcy marek. Nie było to jakieś odległe, odizolowane miejsce, lecz ogrodzony podmiejski blok w północnej części miasta. Tam też na kobiecym oddziale przystrojonym bez gustowną dekoracją, w umalowanym na czerwono pokoju nie przypadkiem po raz pierwszy usłyszała zza krat przez bawełniane zasłony niesione wiatrem swoje imię. Weszła na pryczę, wytknęła nos na powietrze i wtedy usłyszała głos wyraźnie jak wystrzał karabinu. Degeneraci zamknięci w masywnym bloku sekcji dla mężczyzn walili w ścianę i śpiewali bez ustanku: Martina Ursula Klump, Martina Ursula Klump, Mar-ti-na Ur-su-la Klump. Przeczytali o niej w gazetach? Usłyszeli w radiu lub w telewizji?

Nie. Nie, do jasnej cholery! To dalsza część intrygi Bauma. Prokurator został ostrzeżony, że RAF może próbować ją odbić i powinna zostać przeniesiona.

A ten cały pomysł, żeby przetransportować ją do Bruchsal, częściowo rozwalonej ceglanej fortecy otoczonej masywnymi wałami obronnymi z średniowiecznymi wieżyczkami dla uzbrojonych w karabiny maszynowe strażników? Czy tak bardzo doskwierał jej wtedy brak ojca, że jej odwagę uszczupliła fałszywa uprzejmość człowieka z jego pokolenia? To Baum wymyślił to skrajne poniżenie, osadzając ją obok morderców i gwałcicieli, pozbawił ją godności, zamknął ją w celi bez prawa do wspólnych posiłków.

A potem - nagroda. Układ. Najgorsza zniewaga. Major Benjamin Baum - wybawca przybywający ją oswobodzić. Nic ci się nie stanie, mówił, wszystko zostało zorganizowane, zapewniał, faceta eskortującego cię na boisku piłkarskim powalisz kopnięciem w jądra, znad północnej ściany nadleci śmigłowiec nie dotykając ziemi, a po dwudziestu sekundach będziesz już wolna.

Częściowo uwierzyła mu wtedy, a powinna wykazać się większym cynizmem. Znajdowała się jednak w odizolowanej celi, a Baum ciepłym głosem po niemiecku mówił o dzieciach, opowiadał monachijskie dowcipy i przysięgał, że jeśli mu zaufa,

porozmawia z nim o sprawach swej niedawnej przeszłości, to uwolni ją i będzie mogła zacząć życie od nowa.

Jeśli tylko mu zaufa...

Potem biegła przez tereny do ćwiczeń, zimny wiatr smagał twarz, jej wiara odżyła lecz nagle na wieżycze dostrzegła sylwetkę strażnika przeładowującego karabin maszynowy, a potem poczuła, jak w brzuch wbijają się jej pociski. Wykrzykiwała jego nazwisko, przeklinała go, poślizgnęła się i upadła w kałużę własnej krwi.

Gdyby tylko nadarzyła się okazja, nauczyłaby Bauma co znaczy miłość i strata...

Walc nareszcie się skończył. Partner uklonił się Martinie. Odpowiedziała uśmiechem.

- Może napijemy się drinka? - zaproponował.

- Muszę pójść do toalety - powiedziała, przepraszając rozkładając ręce, pomachała mu i odeszła. Ruszyła w kierunku rufy, lecz prawie natychmiast zawróciła i zaczęła obchodzić parkiet dookoła. Znalazła swoją ofiarę, popijał drinka przy barku. Trzymał równo złączone stopy w skórzanych butach, a ciemnymi oczami wodził po parkiecie. Łatwo jej było wyobrazić go sobie na mostku kapitańskim. Poprawiła sukienkę i wyprostowała ramiona. Zatrzymała się po lewej stronie, uśmiechnęła i wskazała na trzymaną pod pachą marynarską czapkę.

- Już wychodzimy?

Oficer spojrział na czapkę, a potem przeniósł wzrok na nią.

- My?

Martina roześmiała się szczerym głosem.

- To europejski angielski. Chodziło mi o to, czy pan wychodzi. Uśmiechnął się. Miał białe równe zęby.

- No cóż, pomyśleliśmy, że mamy nudną tancerkę i przydepnęliśmy już wystarczającą ilość palców jak na jeden wieczór.

- Czyżby? - Martina okazała rozczarowanie. - Myślałam, że dobrze panu się tańczy z tamtą panią. - Wyraźnie starała się spojrzeć na palce jego lewej dłoni. - To pańska...?

- Nieznajoma - odpowiedział oficer, a zrozumiawszy o co jej chodzi, starał się spojrzeć jej w oczy.

Po chwili spojrział na swego drinka i odwrócił się do barku.

- Krwawą Mary - zamówił tonem, który skojarzył się Martinie ze „ster prawo na burt”.

Barman szybko go obsłużył, a on zaproponował zimną szklaneczkę Martinie. Wzięła drinka do lewej ręki, a prawą wyciągnęła przed siebie.

- Sandra Russel - powiedziała, ściskając jego silną, ogorzałą dłoń.

- Rick Delgado.

Tręcili się szklaneczkami. Zlizwała resztkę pomidorowego soku z górnej wargi. - Podporucznik?

- Nie, porucznik.

- Przepraszam. Gubię się w stopniach.

- Domyślam się w takim razie, że nie pracujesz w wojsku. - Wziął ją pod ramię odeszli kilka kroków od tłumu przy barku.

- Przyznaję.

- I nie jesteś ze Stanów.

- I co tutaj robisz? - Westchnęła jak gdyby męczyło ją powtarzanie wciąż tego samego tekstu. - A więc tak. Ojciec jest Anglikiem, matka Francuzką, a ja pracuję we francuskim konsulacie dla attache prasowego i on nalegał, żebym wzięła zaproszenie, i zawróciła w głowie paru jego amerykańskim znajomym.

- I jak ci leci?

- Nogi mnie boją! - Nie bolały, lecz schyliła się, zdjęła szpilki, wzięła w dwa palce jak złapaną mysz i sieknęła: - Uff.

W głośnikach rozległ się nagle głos jednego z muzyków:

- Proszę państwa, zebrało się nas tutaj ponad tysiąc osób, więc można założyć, że co najmniej troje spośród nas obchodzi dzisiaj imieniny. - Kelner obserwował tańczących, trzymając wysoko nad głową białe ciastko z błyszczącymi owocami. Jubilaci na scenę! - krzyknął muzyk, a tłum odpowiedział mu aplauzem.

Martina wzięła Delgada pod rękę.

- Darujemy sobie ten? - zapytała jak gdyby cały wieczór razem tańczyli.

- Jasne.

Popijając drinki ruszyli spacerkiem w stronę dziobu przez fragment hangaru pełen rozmaitych eksponatów. Modele statków w dużej skali pobłyskiwały w szklanych gablotach, a ziarniste fotografie wojennych bitew ozdabiały ściany. Na plakacie z początku lat czterdziestych umięśniony robotnik podnosił zaciśniętą pięść. Pomścić 7 grudnia!

- Nadal jeszcze bywają sprawiedliwe wojny - stwierdziła Martina, patrząc na kolorowe druki.

- Naprawdę? - Delgado uśmiechnął się ironicznie.

- Mój dziadek służył w OSS - odpowiedziała. - Zginął w 1944 niedaleko Paryża. Porucznik zatrzymał się. - To rzeczywiście była sprawiedliwa wojna.

- A w Zatoce Perskiej?

- Pod pewnymi względami też.
- Brałeś w niej udział?
- Na niszczycielu.

Przysunęła się do niego, przestępując z nogi na nogę, jakby chciała im ulżyć.

- Nauczyłam się, żeby wojskowym nie zadawać za dużo pytań. Przez swoje tajemnice robią się... jak by to powiedzieć? Nerwowi.

- Nie znam zbyt dużo tajemnic.
- Zobaczymy.

Doszli do przedniej części hangaru. Większość powierzchni zajmowały doskonale zachowane samoloty, bombowce torpedowe *Curtiss* i *Hellcat*. Pod skrzydłem *Hellcata* wisiały uchwyty do rakiet, a w cieniu przy samolocie kapral obściskał dziewczynę.

Delgado chciał się odwrócić, lecz Martina przytrzymała go silnym uściskiem zapalonego podglądacza. Przyglądali się dłuższą chwilę, a potem Martina stanęła na palcach i przyłożyła mu usta do ucha.

- Czy to się nazywa amerykańska miłość? - szepnęła, a Delgado zaczął się śmiać tak mocno, że musieli odejść. Gdy wchodzili do pomieszczenia tanecznego, gdzie orkiestra przygrywała „Moonlight Serenade”, wciąż się śmiali.

- Teraz grają bardziej w moim guście - powiedział, gdy obserwowali leniwie kołyszące się pary.

- Tylko jeden taniec - powiedziała Martina - i pozwolę ci odejść.
- Nie spiesz mi się.

Odstawili drinki na krzesło, Martina wzięła Delgado za rękę i weszli na parkiet. Odwróciła się twarzą do niego i cały czas z butami w palcach zarzuciła mu ręce na ramiona i spojrzała prosto w oczy. Żadne z nich już się nie śmiało, Delgado położył ręce na jej talii, czapka dotykała do pośladków Martiny. Zaczęli tańczyć.

Przegasły dyskotekowe światła. Ułożywszy policzek tuż przy kołnierzyku Delgado, Martina owiewała mu szyję ciepłym oddechem. Przyłgnęła do niego piersiami i uśmiechnęła się do siebie, czując napierającą na brzuch erekcję.

- Dokąd musisz pójść? - zapytała szeptem.
- Donikąd - odpowiedział zachrypniętym głosem. - Do poniedziałku mam przepustkę.
- A więc nikt za tobą nie będzie tęsknić, poruczniku Delgado.
- Nikt. - I czując, że sprawy szybko posuwają się naprzód, dodał: -Ale mieszkam w

koszarach Marynarki na Brooklynie.

- Masz kogoś w pokoju?
- Tak.

- A ja nie.

- Gdzie mieszkasz, Sandro?
- Całkiem niedaleko.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu. Entuzjazm porucznika nie gasł ani na chwilę.

- Najpierw musisz mi powiedzieć o dwóch rzeczach, poruczniku - powiedziała poważnym tonem.

- Pytaj śmiało.
- Czy dasz sobie radę z pasem od pończoch?
- Boże. - Na myśl o tym prawie odebrało mu mowę. - Chyba jakoś dam radę.
- I jeszcze jedno. - Podniosła głowę i dotknęła go palcem do policzka. - Czy uprawiasz bezpieczny seks?

- Tak - odparł z oczami ziejącymi ogniem jak u torturowanego zwierzęcia.

- To dobrze. Ja też. - A gdy przyciągnęła jego głowę do siebie i, zanim złączyli się ustami, dodała szeptem: - Nienawidzę kochać się podczas skoków z opóźnionym otwarciem spadochronu.

Jazdę taksówką urozmaicały długie pocałunki i pieszczoty. Martina prawie nie odrywała ust od warg Delgado i całowała go z taką namiętnością, że zaczął wątpić, kto tu jest marynarzem. Dotknął jej piersi, a gdy zbliżyła się do niego bardziej, opuścił dłoń na kolana, podciągnął sukienkę i przesuwając dłoń po udzie w stronę satyny wilgotnej od autentycznego podniecenia. Taksówkarz wożący już setki takich par jak oni, ze znużeniem obserwował ulicę.

Chwilę później leżeli już na łóżku w nowocześnie urządzonej mieszkanie San-dry Russel, a pognieciony, spoczywający na krześle mundur przypominał przewróconego stracha na wróble. Usypany na dywanie stosik z czapki i butów wieńczyły halka Martiny oraz pas do pończoch.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła jego umięśnione ciało, postanowiła się nie spieszyć. Ona zdecydowała o czasie, więc usiadła na przykrytym narzutą łóżku,

przyciągnęła do łona jego głowę ściągając górą sukienkę, potem położyła się na plecach i poprosiła go o zajęcie się resztą. On pośpiesznie ją rozebrał i wszedł w nią. Sama się zdziwiła, że wcześniej niż on osiągnęła orgazm; przez chwilę nawet go kochała w taki sam sposób, jak myśliwy kocha ptaka trzymanego na muszce.

Po tym jak doszedł z okrzykiem, do którego zachęcił go alkohol oraz zachowanie Martiny, przewróciła go na plecy i szybko doprowadziła do kolejnej erekcji.

Podnosiła się i opadała, wbijając palce w mięśnie jego klatki piersiowej. Poruszała się coraz szybciej i szybciej, chociaż wcale już nie była podniecona. Delgado źle interpretował jej minę, pławiąc się w swym niewiarygodnym szczęściu i obserwując jej usta wyrzucające najpierw delikatne pojękiwania, a potem głośniejsze i dłuższe okrzyki, aż wreszcie donośne wołanie:

- *Jetzt! Jetzt! Jetzt!*

Znajdujące się ledwie o dwa metry od łóżka drzwi do mieszkania otworzyły się nagle i do środka wtargnęło trzech zamaskowanych mężczyzn. Bóg jeden wie, co Delgado myślał, gdy pierwszy z nich jednym ciosem dłoni zrzucił Martinę na podłogę. Trójka napastników zajęła jej miejsce i bili go pałkami po głowie, aż stracił przytomność.

Skrępowali mu ręce i nogi taśmą klejącą, zakleili usta. Potem dwa razy wstrzyknęli mu niemal śmiertelną dawkę pentotalu sodu. Następnie włożyli jego bezwładne ciało do plastikowego worka, zostawiając kilka centymetrów odpiętego zamka. Zamknęli go w garderobie zaskakująco puste jak na mieszkanie eleganckiej kobiety.

Złożyli mundur Delgado, zabrali buty i zajrzeli do portfela. Znajdował się w nim prawdziwy skarb - dokumenty wystawione przez Marynarkę USA. W końcu wszyscy trzej zdjęli kominiarki. W środku pokoju stał Mussa i wełnianą czapką ocierał pot z czoła. Ciężko oddychał, a zaczesując ręką wilgotne włosy spojrzał na Martinę z satysfakcją i pogardą zarazem. Owszem, jej sposób zadziałał, lecz on udowodnił sobie, że nie mylił się nazywając ją *szarmutah*.

Miała na sobie niebieski, jedwabny szlafrok, założyła ręce na piersi. W miejscu, gdzie zegarek Mussy przeciął skórę, bolał ją policzek, ale nie gniewała się.

Gniew ogarnął ją z powodu jego wyrazu twarzy oraz min dwóch pozostałych mężczyzn patrzących na nią baranim wzrokiem. Mieli okazję widzieć swojego dowódcę w sytuacji, w jakiej nie powinien widzieć dowódcy żaden żołnierz.

Pozostało tylko kilka sekund na odzyskanie kontroli nad sytuacją. Podeszła do Mussy i uderzyła go w twarz z taką siłą, że upadł plecami na łóżko.

Powoli podniósł się na łokciach, dotknął twarzy i popatrzył na nią ze zdumieniem oraz niedowierzaniem.

- Nie chciałabym, żeby praca przynosiła wam za wiele radości.

7

Wydział Policji Nowego Jorku

Sekcja dochodzeniowa dla północnej części miasta zajmowała większą część pierwszego piętra budynku wznoszącego się przy Zachodniej 54. Ulicy, a ci jej pracownicy, którzy marzyli o karierach w Nowym Jorku, powoli radzili sobie z początkowym rozczarowaniem. Żadne studio filmowe nie przysyłało tu na rekoniesans swoich ludzi, nie dałoby się tu nakręcić żadnego policyjnego programu, bo pomieszczenia nie pomieściłyby sprzętu nagraniowego; nie przychodził żaden fotograf szukający ujęć typowych dla policjantów przy pracy. Pomieszczenie sekcji posiadało wszystkie cechy publicznego liceum zamienionego na poprawczak.

Nie było ścian pokrytych boazerią, ani potężnej balustrady, ani skrzypiących desek na podłodze, ani półokrągłego sklepienia, ani łukowych okien, przez które Wpadałyby znad rzeki promienie słoneczne oświetlające kłęby papierosowego dymu. Pomieszczenie sekcji wyłożone zostało linoleum, chropowatą powierzchnię ścian pokrywała żółta farba, a wąskie okna i rzędy metalowych biur z krzesłami przywodziły na myśl podupadłe biuro obrotu nieruchomościami. Wszystkie lampy na biurkach miały takie same, karbowane nóżki i fluorescencyjne żarówki wydzielające ciepło niczym aparaty rentgenowskie u dentysty.

Żadnych fotografii, żadnych kolorowych plakatów, ani nawet typowego obrazka Cieszącego oko - wymuskanego policjanta z Nowej Anglii przeprowadzającego dziecko przez ulicę.

W rezultacie pomieszczenie sekcji dochodzeniowej stanowiło - według opinii wygłaszanych przez psychologów pracy - miejsce nie budzące w ludziach motywacji do działania. Trudno byłoby odróżnić je od biura, gdyby od czasu do czasu komuś zza paska nie wystawała rękojeść pistoletu i gdyby nie cela o powierzchni trzech metrów kwadratowych.

Umundurowana policjantka w zimowym stroju wyglądała z pałką, kajdankami i kaburą jak rycerz bez konia, gdy wlokła się po schodach, minawszy przy wejściu dwie wystrojone, czarnoskóre kobiety spisujące na maszynach raporty. Skręciła w prawo i nieśmiało zapukała do drzwi z wizytówką, na której widniało tylko jedno słowo SIERŻANT.

- Wejść. - Od okrzyku zadrżała szyba w drzwiach.

Nie licząc gabinetu pani porucznik, pokój Michaela O'Donovana był jedynym prywatnym pomieszczeniem na piętrze. Trudno byłoby go nazwać gabinetem dowódcy, mieściło się tu bowiem tylko biurko, stojący wentylator, niewielka półka z książkami, metalowa kartoteka i krzesło dla „gości”. Okratowane okno wychodziło na resztę biura, a widok ograniczały przyłączone po drugiej stronie szyby listy gończe oraz portrety pamięciowe. Pod oknem stały dwa podłączone do sieci komputery i dopóki O'Donovan nie wywiesił na kłamec tabliczki z hotelu „Sheraton” głoszącej NIE PRZESZKADZAĆ, kobiety często przeciskały się koło jego biurka, aby sprawdzić czyjaś tablicę rejestracyjną albo odciski palców. Dwa niewyraźne wydruki na papierze pełniły funkcję

wizytówek, na jednej wypisane zostało SIERŻANT O'DONOVAN, a na drugiej SIERŻANT RAMOS, bo z nim to właśnie O'Donovan dzielił się zadaniami. Papierowe, zamazane wizytówki przypominały, że nie powinno się w tym pomieszczeniu znajdować nic mosiężnego, ponieważ od tego zależy bezpieczeństwo pracy.

- Wiadomość do pana od sierżanta dyżurnego - powiedziała umundurowana policjantka.

O'Donovan przeczytał błękitny formularz i dołączył go do niewyjaśnionych zabójstw. Odstawił segregator i mruknął:

- Dziękuję.

Policjantka odwróciła się do drzwi.

- Chwileczkę - odezwał się O'Donovan.

- Tak, słucham?

- Proszę zostawić otwarte. - Uśmiechnął się do niej. - I proszę trochę się u nas ogrzać. Zacerwieniła się, skinęła głową i wyszła.

O'Donovan wyduł wargi, zastanawiając się, dlaczego wszystkie mundurowe policjantki w

jego dzielnicy wyglądają jak trolle, a kobiety z One Police Plaža przypominają aniołki Charlie'ego. Zaraz przestał się zastanawiać. Wiedział dlaczego.

Przeczytał staranne pismo sierżanta dyżurnego, zmarszczył brwi, mruknął coś pod nosem, a potem zgniótł papier i wyrzucił do kosza na śmieci.

- Co ja tu, do cholery, robię?

Rzucił formularz na biurko, złożył ręce za głową i przeciągnął plecy aż chrupnęły chrząstki. Spojrzał na niski sufit i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrze.

Michael O'Donovan miał tak dużo pracy, że na myśl o dodatkowym zajęciu robiło mu się niedobrze. Jako sierżant w sekcji dochodzeniowej musiał sam ciągnąć cały wózek, chociaż funkcję szefa pełniła pani porucznik. Tak jak w wojsku, ciągle zrzucała całą pracę na niższych rangą. Do zadań O'Donovana należało przydzielanie spraw, nadzorowanie przebiegu śledztw, wydawanie decyzji drogą radiową, opieka nad sprzętem, wymiana samochodów, aktualne prowadzenie papierkowej roboty i kontaktowanie się z innymi sekcjami mogącymi pomóc w śledztwie. Spośród dwu i pół tysiąca spraw rocznie, jak się zdawało O'Donovanowi, coraz mniej dawało się rozwiązać, zamknąć i wysłać do sądu. Wraz ze wzrostem przestępczości, zalewem taniej broni w rękach młodych i szalonych socjopatów, całą masę grabieży i zabójstw zaliczało się do kategorii niezakończonych spraw.

W 1980 roku został zwolniony z wojska, chociaż jako dwudziestotrzylatek z całego serca pragnął poświęcić życie karierze w Armii. Powrócił do rodzinnego Nowego Jorku, a uzyskawszy dyplom na Uniwersytecie Johna Jaya poszedł prosto do Akademii i ukończył sześciomiesięczny kurs z drugą lokatą w grupie. Potem przyszły dwa lata w służbach mundurowych, rok po cywilnemu w sekcji kradzieży samochodów, aż w końcu uzyskał złotą odznakę detektywa. O'Donovan zmierzał na szczyt, chciał służyć w jednostkach antyterrorystycznych. Nie chciał dołączyć do tych próżniaków, którzy zaciągają się do służby, odwalają swoje dwadzieścia lat i wyjeżdżają z emeryturą na Florydę.

Minęła już połowa z tych dwudziestu lat, a nadal służył tutaj. Niedawno zaprzepaścił szansę, gdy obrabowano miejscowy oddział banku i sześciu uzbrojonych mężczyzn postrzeliło starego strażnika, uciekając z prawie milionem dolarów. O'Donovan nie popuścił, pracował dzień i noc, aż w końcu przyszpilił bandytów w Brooklynie. Ktoś

z głównego oddziału śledztw zwrócił na to uwagę, zaproszono O'Donovana do podjęcia jakichś kroków. On jednak grzebał się ze swoją sekcją w zaległych sprawach i zmagał z wypełnianiem rubryk. Wolne miejsce w głównym oddziale śledztw zajął ktoś inny.

A teraz zaczął się sezon zachorowań na grypę. Przez puste miejsca w harmonogramach O'Donovana mogły przejeżdżać ciężarówkami. Często prowadząc śledztwa brał udział w scenkach typowych dla filmów kryminalnych, na które nie chodził już od lat. Zdrowy, w pełnej formie, jakiej można by się spodziewać po byłym sierżancie Sił Specjalnych, przeklinał własny los. Sierżant z oddziału siedemnastego zachorował na zapalenie płuc, więc O'Donovanowi polecono ustalić harmonogramy za niego, co okazało się podwójnie trudne, albowiem jedną trzecią sekcji siedemnastej wykradł oddział do spraw przestępczości zorganizowanej. Dlatego też musiał zająć się sprawą wybuchu w izraelskim konsulacie, choć właściwie podlegało to jurysdykcji Siedemnastki.

- Cześć, O'Donovan. - Zza futryny drzwi wychynął Jeny Binder. Był to muskularny czterdziestopięcioletek, który nigdy nie rezygnował z codziennej porcji wypychania na ławeczce stukilogramowej sztangi. - Jadłeś już lunch?

O'Donovan wskazał kciukiem na wiklinowy kosz pełen formularzy DD-5.

- Nie mogę się spod tego wygrzebać.

- Daj spokój - kusił Binder. - Skoczymy na kilogram wyśmienitej wołowiny z ryżem. - Binder również służył w Siłach Specjalnych, przez co od razu zaprzyjaźnili się ze sobą.

- Nie da rady, Binder - powiedział. - Podrzucisz mi coś. Binder przekroczył próg, poprawił krawat i popatrzył z urazą.

- Ty chyba nie jesteś z Sił Specjalnych - oświadczył. W jego świecie istniały tylko dwa rodzaje ludzi. Ci z Sił Specjalnych i Wszyscy Inni, a zaliczenie do tej drugiej kategorii stanowiło najgorszą obrazę.

- Nie ma mowy.

Pokręcił głową, gdy O'Donovan ostatecznie odmówił wyjścia na wołowinę.

- Chciałbym zobaczyć twoją DD-214. - Chodziło mu o książeczkę wojskową.

- Zobaczysz ją razem z lufą trzydziestkiósemki, jak się zaraz nie zabierzesz z mojego biura.

- A właśnie, dobrze, że mi przypomniałeś. Kiedy, do ciężkiej cholery, dostaniemy te dziewięćmilimetrówki?

- Nie potrzeba żadnych dziewiątek - powiedział z uśmiechem O'Donovan. - Przecież tak naprawdę ta sfluwa tylko ci zawadza.

Nie do końca był to dowcip. Przestępcy na widok nachylającego się nad nimi ogromnego Bindera zazwyczaj poddawali się i służbowego pistoletu nie trzeba nawet wyciągać.

- *Itchy Bahn* - odparł Binder. Opanował ten zwrot podczas dwóch tur w Wietnamie i teraz używał go jak pasującego do wszystkich celów „dobra”.

- Hej, Jerry - zawołał ktoś z daleka. - Dziesięć jeden twoja żona. - Co w policyjnym kodzie oznacza: „telefon z domu”.

Binder odwrócił się.

- Ze mną ma zawsze dziesięć, Mancuso - powiedział. - A chciałaby chociaż o jeden mniej.

- No, no - napomniał go O'Donovan. - Tutaj są damy.

Do Bindera podszedł Frank Mancuso. Był smukłym trzydziestoletnim potomkiem Włochów z północy, miał ciemnoblond włosy, zadbane wąsy i często się śmiał, dzięki czemu na każdym przesłuchaniu odgrywał rolę „dobrego policjanta”.

- Nie pękaj, O'Donovan - rzekł Mancuso. - Lou jest na Martynice, czy gdzie tam, do diabła, pojechała.

Dowodząca nimi porucznik wyjechała na urlop, co zawsze równało się pozwoleniu na wszelkiego rodzaju profanacje.

- Nie nazywaj ją Lou. - O'Donovan pogroził mu palcem. - Pamiętasz, co było ostatnio.

- Taaa. - Przypomniawszy sobie gafę, Mancuso wyglądał na naprawdę przerażonego.

- Nigdy nie zostaniesz sierżantem - powiedział Binder, idąc odebrać telefon.

- Cześć, sierżancie. - W drzwiach O'Donovana pojawił się Tim Griffin. Ten wielki Irlandczyk dawno temu wyemigrował z Bostonu, i wszyscy uważali, że dzięki swoim białym włosom i różowej cerze po odejściu na emeryturę będzie mógł grać gliniarza w operach mydlanych. Griffin odsłużył już dwadzieścia pięć lat, ale lubił swoją pracę i nie spieszyło mu się opuszczać kolegów. - Co słyhać w sprawie brody? - W gwarze nowojorskich policjantów brody oznaczają Żydów.

- W której sprawie brody? - O'Donovan wyglądał na zniecierpliwionego. Ich sekcja działała w dzielnicy, gdzie handlowano brylantami i do tej kategorii można było zaliczyć co najmniej połowę prowadzonych przez nich spraw.

- W sprawie wybuchu - odrzekł Griffin.

- Dopiero zaczęli.

- A co mówią patolodzy? - zapytał Mancuso.

- Fragmentacja ciał, kompresja, same bzdury, jak zwykle - powiedział O'Donovan. - Zamachowiec był w kawałkach, ale medycy wyciągnęli z niego i z dziewczyny fragmenty ładunku. Sam ją widziałeś.

Mancuso skrzywił nos. Wolał nie pamiętać za wiele z tego, co zobaczył.

- A laboranci?

- Większość materiałów zabrało FBI. Ci z Podpaleń i Wybuchów chcą się tym zająć, ale nasze laboratoria nie dorównują waszyngtońskim. - O'Donovan wzruszył ramionami. -

Pewnie dotrą do nas przestarzałe wiadomości.

- Taaa - przyznał Griffin z cynizmem weterana. - Nie wiem w ogóle, po co antyterrorysty pozwolili nam się tego tknąć.

- Nasze trupy, nasze śledztwo - rzekł O'Donovan.

- Niezupełnie - poprawił go Mancuso. - To sprawa Siedemnastki.

- Ale na razie ja kieruję tą sekcją, więc sprawę zatrzymujemy.

- Szczęściarze z nas - rzekł Griffin. - Zabezpieczyliście ząb?

- Jaki ząb? - zapytał niewinnie.

- Hej, detektywie, zabezpieczyliście, czy nie?

- Ja byłem na miejscu - Mancuso stanął po stronie O'Donovana. - Nie pamiętam żadnego zęba.

Griffin przyjrzał im się uważnie i wolno pokręcił głową.

- Uważajcie, żebyście nie przegięli.

Tim Griffin tak bardzo przypominał O'Donovanowi ojca, że gdy w głosie wielkiego Irlandczyka pojawiała się przestroga, poczuł się jak pięcioletni chłopiec, który ma za moment dostać lanie.

- Hej, Griff - odezwał się O'Donovan, żeby stłumić w sobie to uczucie.

- No?

- To sobie zabezpiecz. - Podniósł pięść z wyprostowanym środkowym palcem. Mancuso roześmiał się, ale Griffin pozostał poważny. Znow pokręcił głową.

- Dobra, żołnierze! - Binder klasnął w dłonie, gdy ponownie się pojawił. - Odfaj-kowałem co moje, a teraz coś wtrząchniemy.

- Idziesz na lunch? - zapytał Mancuso O'Donovana.

- Pewnie, zrób sobie przerwę - wtrącił się Griffin.

- Nie, nie idę na żaden cholerny lunch - powiedział O'Donovan. - Szykujecie mi jakieś niespodziewane przyjęcie?

- Czy ma pan dzisiaj urodziny, panie sierżancie? - zapytał Binder.

- Nie.

- To wcinaj sobie hamburgera tu za biurkiem. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, zasalutował i dodał: - Sir.

Trzej detektywi odeszli, żeby założyć płaszcze i rękawiczki. O'Donovan zajął się harmonogramami, a słysząc na schodach rozmowy kolegów pokręcił głową.

- A skoro mowa o przyjęciach, to co z Bożym Narodzeniem?

- Pewnie służba - rzekł z goryczą Mancuso. Binder zaczął śpiewać.

- Pada śnieg, pies się wściekł, Charlie wcina zupę... Możesz zabrać sobie gwiazdkę, wsadzić sobie w dupę...

Śmiech odbił się echem po klatce schodowej, a chwilę później trzasnęły drzwi.

Zazwyczaj żarty poprawiały O'Donovanowi humor, coraz bardziej jednak czuł się przeciążony odpowiedzialnością. Patrzył na leżącą przed nim niebieską kartkę i po raz kolejny czytał: Jenkins, Timothy M/W/24 zabity z ręcznej broni, 1 września 1990. Do teczki z aktami przypięte było spinaczem kolorowe zdjęcie robione na stacji metra Columbus Circle, cztery kółka narysowane kredą na peronie wokół zużytych łusek, kałuża krwi, żółta taśma odgradzająca gapiów, sylwetki bezradnych mundurowych i detektywów szukających odpowiedzi wokół swoich butów. Na fotografii zrobionej Polaroidem brakowało ciała, ponieważ przyjaciele młodego turysty szybko wnieśli go schodami do góry i zabrali taksówką do szpitala St. Luke's-Roosevelt.

Sekcja dochodzeniowa zajęła się tym śledztwem i wkrótce złapała czterech z sześciu czarnych wyrostków, którzy zabili Jenkinsa, żeby zdobyć pieniądze na potańcówkę w Roseland. Żaden z nich nie skończył piętnastu lat.

Wyjaśnienie sprawy wybuchu w konsulacie izraelskim mogłoby przyczynić do jego awansu,

gdyby tylko potrafił odpowiednio zatroszczyć się o przeniesienie. Wiedział, że chociaż praca w oddziałach do zadań specjalnych wygląda ponętnie, jest zbyt nerwowa i frustrująca, jednak myśl o możliwości skoncentrowania się tylko na jednym aspekcie śledztwa zakłócała spokój jego duszy.

Ojciec O'Donovana przez trzydzieści lat patrolował ulice i zawsze powtarzał synowi, że aby awansować na wyższy szczebel, trzeba być kimś więcej niż dobrym gliniarzem. Trzeba wiedzieć komu uścisnąć rękę, komu postawić piwo, kiedy powiedzieć komplement, a kiedy ugryźć się w język.

Ojciec nigdy nie zdjął munduru. O'Donovanowie nie umieli gryźć się w język.

Jednak być może O'Donovanowi uda się jako pierwszemu dostać do wydziału antyterrorystycznego...

Kiedy właśnie skończył z Siedemnastką i sprawdzał harmonogramy poprzedniej zmiany, dostał wiadomość. Mundurowi policjanci z patrolu przy Drugiej Alei usłyszeli wybuch, pobiegli na miejsce i zdyszani złożyli doniesienie drogą radiową. O'Donovan szybko wydał polecenia, opuścił biuro i, nie zważając na przepisy drogowe, pognął na miejsce. Zaraz za nim pędzili Binder i Mancuso. Zatrzymali się przed numerem 800. Z wieżowca, zasłaniając chusteczkami usta, wychodzili cywile w samych koszulach.

- Frank! - O'Donovan krzyknął do Mancuso. - Zadzwoń po straż pożarną.

- Już to zrobiłem. - Mancuso prawie wysiadł zza kierownicy, lecz nadal trzymał w ręce mikrofon.

- Przyślij tu paru mundurowych. - To był ostatni rozkaz O'Donovana i zaraz potem razem z Binderem przepchnęli się do budynku. Nie liczyli na złapanie zamachowca. Jednak jeśli w grę wchodziło przestępstwo, O'Donovan powinien zapanować nad sytuacją i kontrolować ruchy zarówno cywilów jak i policjantów. Lekkomyślny intruz może zniszczyć ważne ślady.

Binder i O'Donovan sforsowali ochronę budynku, błyskając odznakami, ale na dole musieli się zatrzymać, bo windą pojechali sanitariusze.

- Wy policja? - kiepską angielszczyzną zwrócił się do nich młodzieniec, więc pokazali mu odznakę. - Za mną. - Pobiegł za róg, otworzył drzwi i wpadł na klatkę schodową. Binder i O'Donovan gnali za nim. O'Donovan zauważył, że młodzieniec nosi przy pasie pistolet, i wtedy uświadomił sobie, że ma do czynienia z czymś innym niż kolejna, zwyczajna sprawa.

Zaden z detektywów nie narzekał na kondycję, lecz izraelski dzieciak brał po trzy schodki i nie widać było po nim zmęczenia. Gdy dotarli do ósmego piętra, Binderowi udało się wysapać:

- Nie... cierpię... młodych...

Początkowo w labiryncie konsulatu ogarnęła ich głucha cisza przerywana stłumionymi okrzykami, płaczem dzieci i własnymi oddechami. Długim holem doszli za ochroniarzem do sekcji wiz i paszportów. Dwaj sanitariusze i trzech cywile podnosili z podłogi krwawą masę. Szare kłęby dymu z płonących sztucznych tworzyw unosiły się pod sufitem i wylatywały przez wybite okna. Po prawej stronie, z miejsca będącego najprawdopodobniej epicentrum wybuchu, wyłoniło się dwóch ludzi. Mieli na sobie czarne, gumowe maski przeciwgazowe i nieśli czerwone gaśnice.

Jeden z nich upuścił gaśnicę, ściągnął maskę i powiedział:

- *Kus szel ha'ima szel ha ben-zonah.*

Drugi z mężczyzn zdjął maskę, podszedł do wybitego okna, wychylił głowę i odetchnął świeżym powietrzem. O'Donovan zorientował się, że mówi coś do niego i Bindera.

- Skurwysyn zabił dziewczynę.

- Gdzie? - O'Donovan ruszył w jego stronę.

- W poczekalni. - Izraelczyk odwrócił się przez ramię.

- Jaki skurwysyn? - zapytał O'Donovan. Hannan Bar-El odwrócił się od okna.

- Ten rozerwany na kawałki - odezwał się z żydowskim akcentem.

Spojrzał na twarz rannego mężczyzny niesionego na noszach. Mruknął coś do nieprzytomnego człowieka, a potem zwrócił się do O'Donovana.

- Niewykluczone, że łądak wykończył też jednego z moich ludzi.

Wtedy skończyła się cisza. Z dołu doleciało ich wycie syren, szcęk rozkładanego sprzętu, potem wpadli strażacy wyposażeni w aparaty tlenowe i policjanci w mundurach.

Znajdowali się na terenie O'Donovana, więc natychmiast nad wszystkim zapanował, wezwał do siebie Mancuso, a Binder wykonywał wszystkie jego rozkazy. Kiedy już ogłoszono, że teren jest bezpieczny i do dzieła zabrała się dochodzeniówka, wpadł Jack Buchanan ze swoimi ludźmi.

O'Donovan po trosze spodziewał się, że głównodowodzący będzie chciał go odsunąć, lecz został mile zaskoczony.

- To pański teren? - zapytał Buchanan.

- Tak, nazywam się O'Donovan. Jestem z sekcji dochodzeniowej tego rejonu.

- Buchanan. Brygada antyterrorystyczna. Macie tu zabójstwo, tak?

- Jak do tej pory dwa. Jednej z ofiar może uda się przeżyć.

- Zna pan nasze zasady działania?

O'Donovan znał. Brygada antyterrorystyczna działała wspólnie z detektywami i agentami FBI. Ostatnie zdanie należało do ludzi z brygady, pewne śledztwa mogli też przejmować sami, na przykład te, które miały coś wspólnego z polityką.

- Tak - rzekł O'Donovan.

- W porządku. - Buchanan stanowczo skinął głową. - A więc zajmijmy się wszystkim z wyjątkiem trupów. Wy je przejmiecie. Porozumiemy się w sprawie postępów. Potrzebuje pan jeszcze jakichś wyjaśnień?

- Nie, wszystko jest jasne.

- Rozsądny z pana facet. Może pan powtórzyć nazwisko?

Najwyraźniej O'Donovan wywarł na Buchananie dobre wrażenie, ponieważ w sobotę rano, przed sprzeczką z izraelskimi służbami bezpieczeństwa, nachylił się do detektywa i szepnął;

- Jak wszystko dobrze pójdzie, sierżancie, to dam panu szansę zrezygnowania na dobre z łapania drobnych złodziejasków. Mamy braki w personelu. - Mruknął okiem i odszedł.

Zadzwoił telefon, a O'Donovan drgnął. Chwilę patrzył na aparat, aż wreszcie podniósł słuchawkę.

- Sekcja dochodzeniowa.

- Detektyw O'Donovan?

- Przy telefonie.

- Tu Jack Buchanan.

O'Donovan wyprężył się i po raz kolejny pomyślał o twarzy swojego ojca. „Nie wywołuj wilka z lasu”, mawiał.

- O co chodzi, sir?

- Co znaleźliście do tej pory? - zapytał Buchanan.

- Mamy numery rejestracyjne samochodów parkujących w okolicy konsulatu. Sprawdziliśmy połowę, ale na razie nic. Przesłuchaliśmy też czterech świadków i wszyscy twierdzą, że gość działał sam. Wiem, że według Izraelczyków był przebra-

ny za chasyda, ale myślę, że powinniśmy sporządzić portret pamięciowy i rozesłać chociaż po Brooklynie.

- Portret pamięciowy? Na jakiej podstawie?

- Izraelczycy mają taśmę wideo z nagraniem, panie Buchanan.

- Mów mi Jack. Nie dałoby się wyciągnąć kopii od tego pułkownika, jak mu tam?

- Bauma?

- No właśnie, Bauma.

- Ma tu dzisiaj przyjść. - O'Donovan starał się nie okazać w swych słowach niesmaku. -

Właśnie dostałem wiadomość.

- Popracuj nad nim, Mike. Nie myślę się z imieniem, prawda?

- Nie, sir. Mam na imię Mike.

- A więc popracuj nad nim. Podejdz do tego tak, jakbyś ty sam prowadził to śledztwo. A potem podeślij mi taśmę, dobra?

- Dobrze.

- Równy z ciebie gość. Buchanan przerwał połączenie.

O'Donovan odłożył słuchawkę, czuł nieprzyjemny ścisk w gardle. Nie miał pojęcia, czy agent FBI uważał go za obiecującego kandydata do swojego zespołu, czy za zwykłego wyrobnika, o którym można zapomnieć po osiągnięciu celu.

Uznał, że nie ma to większego znaczenia. Dowództwo zaaprobowало wspólną akcję, a głównodowodzący właśnie wydał wyraźny rozkaz: zdobyć taśmę.

A co z Arthurem Rosellim, agentem CIA, który wyraźnie lekceważył Buchanana? Czy Buchanan zapomniał o układzie, zgodnie z którym Roselli miał być łącznikiem między nimi a Żydami? Nie, człowiek taki jak Buchanan nie zapomina, gdy ktoś nadeptnie mu na odcisk. On po prostu pomija Roselliego i na jego miejsce stawia O'Donovana.

On jednak nie potrafiłby tak łatwo pominąć czy zapomnieć Arthura Roselliego. Przeżyli razem coś, czego nie są w stanie zniweczyć między nimi nawet najostrejsze konflikty...

Piasek i wiatr, środek nocy. Wydmy piaskowe i kurz pustynny wirujący pod wpływem burzy wywołanej wirnikami nośnymi. Strumień drobinek skalnych bombarduje mu twarz, wypełnia każdą szparę pomiędzy szyją i kołnierzykiem, dostaje się pod mankiety związane na guziki. Brakuje tlenu do oddychania, wokół tylko dławiące morze kurzu zapychającego nos, dostającego się pod powieki i powodującego zbieranie się gliniastych grud między zębami.

Grzmot. Nieziemska siła dwunastu turbin napędzających sześć ogromnych helikopterów *RH-53D* piechoty morskiej, wprawiając w ruch wirniki, łączy się z wyższym dźwiękiem szesnastu turbośmigłowych silników czterech samolotów transportowych *C-130*. Wibrujący po irańskich odludziach chór żelaznych „Walkirii” nastrojonych na taką wysokość sprawiał, że kolana stawały się jak z waty, a jelita zamieniały się w płynną masę. Dźwięk był tak gęsty, że prawie namacalny. Zagłuszał wszystko jak ryk tajfunu puszczonego komuś w stereofonicznych słuchawkach przez szalonego sadystę.

A O'Donovan cały czas się uśmiechał.

- Jesteśmy tu - powiedział, choć nikt go nie słyszał, ani on nikogo nie słyszał. - Jesteśmy tu i zrobimy to.

Dochodziła druga nad ranem 24 kwietnia 1980 roku. Przez niemal sześć miesięcy pięćdziesięciu obywateli amerykańskich przetrzymywano jako zakładników w Teheranie.

Wszyscy z zawiązanymi oczami, zakuci w kajdany, szturchani i kopani przez szaleńca o nazwisku Chomeini. Początkowo niezmierna moc Wielkiego Szatana okazała się bezsilna wobec zardzewiałych karabinów irackiego tłumu. Jednak za niecałe czterdzieści osiem godzin wspólnota narodów miała sobie przypomnieć, że Ameryka nie jest dla Trzeciego Świata chłopcem do bicia. Oddział Delta wylądował nocą na odludnych, słonych równinach Posht-e Badam. Operacja Szpon Orła została rozpoczęta, a gdy się skończy, izraelska akcja w Entebbe będzie wyglądać przy niej jak skok na piaskownicę.

Początkowo sierżant Michael P. O'Donovan nie był członkiem Delty. Odpowiadał za karabiny maszynowe w dwunastoosobowej drużynie z 10. Grupy Powietrznej Sił Specjalnych, będącej częścią 1. batalionu, stacjonującego nieopodal Bad Tólz w Niemczech. Mike oczywiście chciał pójść do Delty - tak jak każdy młody zapaleniec z Sił Specjalnych - gdy usłyszał, że pułkownik Charles A. Beckwith, „Szarżujący Charlie”, szykuje coś specjalnego za palisadą Fort Bragg. Dowodzący 10. Grupą Othar Shali-kashvili zachęcał swoich chłopców do próbowania sił u Beckwitha, lecz trzeba było mieć skończone co najmniej dwadzieścia jeden lat, a do urodzin O'Donovana pozostawało jeszcze wiele czasu.

Musiał więc czekać, czuł się jak chłopak z młodszej klasy obserwujący grających w piłkę starszych kolegów, którzy nie wzięli go do drużyny. Był świadkiem jak zawodowi żołnierze Sił Specjalnych, chorążowie i kapitanowie, weterani mający na koncie po trzy tury w Wietnamie, wracali z kursu selekcyjnego z nadwzruszonym poczuciem własnej wartości i roztrzęsionymi rękami, a bez przydziału. Do Delt udało się dostać tylko jednemu człowiekowi z 10. Grupy, więc w końcu Mikę odsunął w niepamięć marzenia o elitarnym oddziale.

Gdy po dwóch latach przygotowania do operacji Szpon Orła weszły już w zaawansowaną fazę, wywiad dostarczył niepokojącą informację. Nie wszystkich pięćdziesięciu zakładników przetrzymywano w amerykańskiej ambasadzie przy ulicy Talleggha-ni. Trzech ludzi - charge d'affaires L. Bruce'a Laingena, oficera prawnego Victora Tomsetha i oficera ochrony Michaela Howlanda - uwięziono oddzielnie w Irańskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, kilka przecznic na południe od ambasady. Beck-withowi brakowało dostatecznej ilości wyszkolonych członków Delt do skutecznego przeprowadzenia akcji Szpon Orła, więc zwrócił się do 10. Grupy Powietrznej Sił Specjalnych o wsparcie operacji Specjalną Drużyną Szturmową. „Shali” wyznaczył do tego zadania drużynę O'Donovana.

Szkolenie zaczęło się pod koniec listopada 1979 roku. W Bad Tólz istniała dostateczna ilość sprzętu do budowania próbnego celu, ale oni podróżowali całą noc w oddzielnych samochodach z cywilnymi tablicami, ubrani w stroje do wspinaczki, a broń i sprzęt trzymali w kolorowych plecakach. Kierowali się na południe drogą na Lenggries, skręcali na zachód w stronę Jachenau na górską drogę i tam, w trzypiętrowym opuszczonym budynku fabrycznym z oknami powybijanymi przez bawarski wiatr, trenowali atak. Zawsze przed świtem wracali do Bad Tólz, kilka godzin spali, a później rozpracowywali cały problem na papierze. Kapitan dostarczał nowych „informacji wywiadowczych”, lecz, w przeciwieństwie do zwykłych zajęć, nie chodziło mu wyłącznie o normalne urozmaicenie.

- Jest trzech więźniów i dwunastu strażników, wszyscy na pierwszym piętrze -ogłaszał i wychodził. Po chwili wracał. - Poprawka. Czternastu strażników, sześciu na

pierwszym piętrze, ośmiu na drugim. - Drużyna od nowa rozpracowywała plan, potem wyjeżdżała i trenowała całą noc, a następnego dnia czekały ich kolejne niespodzianki. - Rozpatrzcie tak jak poprzednio. Mamy trzech więźniów, wszyscy na drugim piętrze, dwaj w pomieszczeniu noszącym na waszych planach nazwę „Cień”, a jeden w pomieszczeniu „Zachód”. Dwaj strażnicy w „Cieniu”, dwaj w „Zachodzie” i pięciu w „Świcie” oraz pięciu w „Ciosie”. Przeciwnik posiada G-3 i może kilka czter-dziesiątek.

Budynek w górach również się zmieniał. Pewnej nocy zastali okna na drugim piętrze zasłonięte metalowymi balkonami, więc zarzucili na nie powlekane gumą kotwiczki, żeby przymocować do nich linę. Kolejnej nocy ogłoszono, że metalowe balkony przestały być stabilne, toteż zastosowali szybko rozkładające się aluminiowe drabinki zbudowane z rozkładanej podstawki oraz pojedynczej rurki z odstającymi od niej szczebelkami w kształcie litery L.

Nie zdarzały się komentarze ani złośliwe żarty, które towarzyszyły zawsze taktycznym zmianom, ponieważ kapitan podawał wiadomości bez zwykłego sobie zgryźliwego humoru. Poza tym na samym początku dał do zrozumienia, że jeśli ktoś wspomni o ich „problemie” komuś z zewnątrz, nawet dowódcy Dziesiątki, natychmiast wróci do swojej zwykłej jednostki. Ktoś przysyłał prowokatorów, aby sprawdzać dyskrekcję drużyny. Byli to przeważnie ludzie z Bad Tólz, a ich prowokacje spotykały się z uprzejmym „spieprzaj”.

Wówczas to, pewnej zimnej nocy w lutym, rozwiały się wszystkie szeptane po cichu spekulacje. Przy zaimprovizowanym celu pojawił się sam dowódca operacji w towarzystwie „gościa po cywilnemu”, którego przedstawił kapitan:

- To jest Arthur, z Langley. Nie ma nazwiska. Pracował na terenie operacji, zna naszych trzech więźniów osobiście i wie, co jest grane. - Kapitan odkasznął i dla efektu zrobił

chwilę przerwy. - Panowie, dzisiejszej nocy jesteśmy oficjalnie przydzieleni do Delt. Jedziemy do Iranu uwolnić zakładników.

Kiedy już ucichły wivaty, Art Roselli został trzynastym członkiem drużyny O'Donovana. Pokazał im całe pliki fotografii - więźniów i ich więzienia, Teheranu, Pustyni Jeden, Pustyni Dwa - oraz bogatą wiedzę uzyskaną podczas dwóch lat spędzonych w ambasadzie w Teheranie. Dzięki swojemu chłodnemu, a jednocześnie pełnemu humoru podejściu oraz umocnieniu w drużynie poczucia ważności misji, niemal natychmiast stał się członkiem rodziny.

Następnego dnia amerykański kucharz wojskowy przygotowujący posiłki w Bad Tólz popełnił błąd, zasięgając języka na temat wyjazdu. Roselli i O'Donovan sięgnęli za aluminiowy kocioł z zupą, wyciągnęli kucharza za kłapy kurtki i rzucili na podłogę. Potem nie pojawiły się już żadne pytania.

Helikoptery przyleciały bardzo późno, a gdy w końcu zjawiły się w punkcie Pustynia Jeden, okazało się, że tylko sześć z ośmiu maszyn przetrwało lot z USS „Nimitz” przez burzę piaskową. Wszystkie jednak zatankowały z ogromnych, gumowych zbiorników we wnętrzach *C-130*, a O'Donovan wraz z drużyną rozpoczęli pierwszy etap akcji Szpon Orła pełni nadziei, nie przejmując się omenami. Ani strzałem z granatnika przeciwpancernego na drodze Yazd-Tobaz, który trafił w irańską ciężarówkę z paliwem, a łuna płonącej benzyny oświetliła ludzi z Delt niczym ogromne światła dyskotekowe. Ani tym że napadnięto na autobus z cywilami i ponad

czterdziestką podstarzałych Irańczyków oraz dzieci znalazła się na muszkach amerykańskich komandosów.

Cała drużyna szturmowa ubrana była w jednakowe kominiarki, czarne kurtki polowe, niebieskie dżinsy i wojskowe buty. Plakietki z amerykańską flagą na ramionach aż do rozpoczęcia ataku zakrywała taśma klejąca, a bez dystynkcji i na wpół oślepieni burzą wywołaną obracającymi się wirnikami musieli się blisko nachylać, aby rozpoznać się nawzajem i wydawać rozkazy. Przypominało to trochę napad na lotnisko w koszarze sennym.

O'Donovan kuląc się próbował chronić swojego Colta *Commando*, będącego skróconą wersją karabinu szturmowego *M-16*, przed wciskającym się wszędzie pustynnym żwirem. Żałował, że nie może owinąć go jakimś szczelnym materiałem. Większość drużyny siedziała na ziemi w oczekiwaniu na rozkaz wsiadania do helikopterów, lecz Mike mógł wytrzymać tylko kilka minut na siedząco, a potem wstawał, przechadzał się, obserwował wszystko, i jeszcze raz powtarzał w myślach plan całej operacji. Wolałby znaleźć się już w stosunkowo cichym i spokojnym *RH-53D* w drodze do Pustyni Dwa, do doliny nieopodal Gamsaru, gdzie mieli przeczekać aż do zapadnięcia następnej nocy. Potem Specjalna Drużyna Szturmowa oddzieli się od Delt, przejedzie do Teheranu minibusem Volkswagena, zaparkuje przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych i... dalej starał się nie myśleć. Przecież powtarzali to wszystko już tysiące razy.

Wysoki oficer wywiadu położył dłoń na ramieniu Mike'a i przysunął mu usta do ucha.

- Nie podoba mi się to! - krzyknął Roselli.

- Co? Powiedz jeszcze raz.

- Powiedziałem, że to wygląda nieciekawie. Czerwono-niebiescy zaczynają się lądować, ale Orzeł rozmawia satelitą z Młotem i nie sprawia wrażenia zadowolonego.

Roselliemu chodziło o to, że członkowie Delt zaczynają wsiadać do helikopterów, lecz pułkownik Beckwith rozmawia za pomocą systemu łączności satelitarnej z generałem brygady Jamesem Vaughtem, dowódcą sił antyterrorystycznych, bo dzieje się coś niedobrego.

- Wiadomo co? - wrzasnął O'Donovan.

- Kłopoty z hydrauliką. Tylko pięć śmigłowców nadaje się do latania. O'Donovan podniósł głowę i patrzył na Roselliego. Agent CIA kiwnął głową.

Operację Szpon Orła przygotowano przy użyciu minimalnej ilości wyposażenia, ale bez niego nie mogła się udać. Potrzebowali sześciu helikopterów, a nie pięciu.

Potem wszystko działo się bardzo szybko. Pojawił się dowódca O'Donovana i bez słowa nachylając się do każdego z ludzi, wykonywał dłonią ruch imitujący podcinanie gardła. Pomijając przekleństwa na połykany żwir, nikt nie wypowiedział ani słowa, gdy wstawali, zbierali sprzęt i szli za dowódcą do ciemnego wnętrza samolotu.

Śmigłowiec Marynarki, który zatankował z *Herculesa C-130*, zaczął się unosić w chwili, gdy O'Donovan stawiał nogę na stalowej pochylni prowadzącej do ładowni i zamknął oczy przed chmurą piasku wzbijanego obrotami śmigła. Nagle wirniki helikoptera zafurkotały nienaturalnie blisko i rozległ się przeraźliwy dźwięk, przypominający piłę łańcuchową tnącą blachę. O'Donovan otworzył oczy i ujrzał ogromną białą, ognistą kulę lecącą wprost na ludzi siedzących w *C-130*. Piloci zniknęli w ogniu płonącego paliwa i amunicji.

O'Donovan poślizgnął się i poleciał w tłum krzyczących mężczyzn, upuścił torbę ze sprzętem. Zaraz podniósł się i zobaczył machające ręce - niektóre nadpalone -należące do komandosów, którzy próbowali wydostać się z wraku. Pobiegł w tamtą stronę. Znalazł się obok Arta z Langley, który trzymał człowieka miotającego się jak tonący pływak i krzyczącego:

- Moja broń! Moja broń! - Próbował wrócić w ogień. W tej samej chwili pociski *Redeye* poszybowały w ciemną noc niczym ogromne fajerwerki.

Jakimś cudem wszystkim ludziom z Deltę oraz z drużyny O'Donovana udało się ująć z życiem. Wielu z nich tarzało się w piasku, gasząc płonące ubrania; zrzucali kominiarki z głów. Wyciągnęli krzyczących marynarzy z rozbitego helikoptera. W piekielnym ogniu pozostało trzech ostatnich żołnierzy oraz pięciu członków załogi, którzy-jak mieli nadzieję - zginęli zaraz po pierwszym wybuchu.

O'Donovan niezbyt wyraźnie pamiętał, co działo się dalej. W snach powraca do niego wnętrze kadłuba *C-130* wybuchające falą białego płomienia. Tutaj zazwyczaj koszmary się kończyły, gdyż całą resztę, powolne, pełne oszołomienia czołganie się, jak wszyscy inni, O'Donovan ukrył gdzieś na dnie duszy. Niekończący się lot na należąca do Omanu wyspę Masirah, pełne gniewu przemowy Charlie'ego Beckwitha, kolejny lot do Wadi Kena w Egipcie i wreszcie długi powrót do bazy lotniczej Langley w Wirginii. Pozostały tylko zamazane wspomnienia przygarbionych sylwetek, pozbawionych życia kroków, kiwań głowami i nic nie wartych pocieszeń. Zupełnie jak na pogrzebie.

O'Donovan powrócił do Niemiec, wiedział jednak, że jego kariera w Siłach Specjalnych dobiega końca. Gdyby pozostał, już zawsze starałby się zmasać hańbę po Pustyni Jeden, a doszedł do przekonania, iż nie ma na to sposobu. Dziesięć lat później, gdy żołnierze wyruszali na Pustynną Burzę, nie czuł już żalu.

O'Donovan patrzył niewidzącym wzrokiem na powracających do biura sekcji kolegów. Binder wpadł do gabinetu i postawił na biurku papierową torbę.

- Jeszcze nie jadłeś, prawda? - powiedział, jak matka zatroskana o syna.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Wołowina. Aha, sierzancie?

- Co takiego?

- Czas powrócić do świata żywych. - Binder uśmiechnął się i wyszedł. Pogwizdując po drodze, zdejmował skórzaną kurtkę.

O'Donovan uśmiechnął się, otwierając torebkę, a potem jego uśmiech zbladł na nagłą myśl o domu. Powrócić do świata żywych, do życia. Miał kiedyś życie, lecz cóż to teraz może znaczyć? Dla kogo on się tak męczy? Większość z tych mężczyzn ma tutaj rodziny. Na pierwszym miejscu stawiają żony i dzieci, a pracę daleko w tyle. O'Donovan ożenił się kiedyś z dziewczyną spotkaną na Uniwersytecie Johna Jaya. Była słodziutką Irlandką, wprost wymodloną przez jego matkę. Terry jednak nigdy nie słyszała o syndromie stresu

pourazowego i jej przystojny, ponury żołnierz przez niecały rok zdążył ją tak bardzo przestraszyć, że wyprowadziła się z domu. Teraz Mikę O'Donovan mieszka sam i unika wszelkich związków.

Życie.

W drzwiach O'Donovana pojawił się sierżant dyżurny Komack. Ogromny policjant wypełniał swoim ciałem niemal całe przejście. Chwycił dłońmi futrynę, jak Samson kolumnę na uczcie Filistynów.

- Sierżancie, goście.

O'Donovanowi udało się dać znak podniesionym kciukiem zaciśniętej ręki, a Komack zrobił dziwną minę, wytrzeszczył oczy, podniósł brwi i wyszedł.

W pomieszczeniu sekcji stał izraelski pułkownik o nazwisku Baum. Miał na sobie tę samą skórzaną kurtkę co przedtem, dłonie wciśnięte w kieszenie i z lekkim uśmiechem na wargach lustrował pomieszczenie, jak gdyby wspominał coś z nostalgią. Staromodny, brązowy kapelusz na dużej, łysej głowie niezupełnie pasował do wizerunku. Powinien to być szary, tyrolski kapelusz z zielonym piórkiem.

O'Donovan podniósł się z krzesła, podszedł do otwartych drzwi i nagle stanął zdumiony.

Obok Bauma stała młoda kobieta. Patrzyła w drugą stronę, ale gdy detektyw wbił w nią wzrok, odwróciła się do niego. Miała na sobie brązowe Martensy, niebieskie dzinsy i płaszcz z wielbłądziej wełny, na który rozsypywały się długie, kasztanowe włosy. Oczy w kolorze karaibskiego błękitu, kształtne policzki zaczerwienione z zimna i zaokrąglone usta. Spojrzała na O'Donovana spokojnym wzrokiem, a w wyrazie jej twarzy nie zaszła żadna zmiana.

W pierwszej chwili pomyślał, że to zazdrośnie ukrywana przed innymi dziewczyna mająca związek ze śledztwem któregoś z detektywów. Mogła być wezwana - choć zupełnie bez potrzeby - przez takiego playboya jak Mancuso. Przypominała onieśmielającą piękność, której ukradziono ulubionego pudełka.

- Dzień dobry, detektywie O'Donovan - Baum odezwał się jowialnym tonem, robiąc krok naprzód i wyciągając rękę.

- Mike - sierżant poprawił go, skoncentrował się z powrotem na Baumie i uścisnął mu rękę.

- *Ja*, Mike - rzekł Baum. - Jak leci?

- Ciągłe praca, pułkownika. - O'Donovan typował już w myślach szczęściarza podrywającego tę młodą dziewczynę, kiedy Baum położył jej dłoń na ramieniu.

- Pozwól, że przedstawię ci moją córkę, Ruth. Ruth, to jest detektyw O'Donovan. - Ostatnią część zdania wypowiedział takim tonem, jakby z trudem powstrzymywał się od uwagi „Bądź grzeczna i uściśnij panu rękę”.

O'Donovan jeszcze raz spojrzał na dziewczynę i zmrużył oczy.

- Słucham? - Nachylił się do niej z myślą: Jak, do diabła, możliwe, że płynie w niej jego krew?

- Ruth - podała mu rękę, uścisnęła dłoń stanowczo i chłodno. - Jak w Biblii.

Na dźwięk jej głosu poczuł, że niemal uginają się pod nim nogi i nie potrafił zachować w zupełnej tajemnicy tego stanu, ponieważ policzki dziewczyny przybrały ciemniejszy kolor.

- „Pytają mnie, skąd wiedziałem...” - Binder, wkręcając formularz do maszyny, podśpiewywał początek „Zauroczenia”. O'Donovan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i Binder zamilkł.

Benni Baum zignorował iskierkę, która przeskoczyła między jego córką i Amerykaninem.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać... - Objął Ruth ramieniem.

- Nic a nic - odparł O'Donovan.

- To dobrze. Porozmawiamy?

Gdy rozmieszczając gości w swoim biurze poszedł po dodatkowe krzesło, dostrzegł, że Binder zasłania dłońią usta, a Mancuso zakrywa sobie oczy. Griffm wrzucił bezradnie

ramionami jak ojciec opóźnionych w rozwoju dzieci.

O'Donovan zamknął drzwi i z trudem przecisnął się za biurko. Baum zdjął kapelusz i kurtkę, powiesił je na stojącym wieszaku. Izraelczyk usiadł i chusteczką przetarł łysinę. Ze względu na jasnobłękitne oczy, płaską twarz i kołnierzyk wyłożony na sweter, przypominał Rosjan z Rockaway Beach, którzy w jednej chwili, w zależności od potrzeby, mogą przeistoczyć się ze Świętego Mikołaja w Rasputina.

- Panno Baum? - O'Donovan zaproponował, że weźmie od Ruth płaszcz.

- Nie, jeszcze mi zimno - powiedziała. Usiadła obok ojca, założyła nogę na nogę i skrzyżowała ramiona.

- Ruth studiuje tutaj na Columbii - powiedział z dumą Benni.

- O, naprawdę? - O'Donovan próbował odgadnąć jej wiek. - Jaki kierunek?

- Psychologię - powiedziała Ruth. - Na wydziale filozoficznym. - Mówiła wyraźnie z obcym akcentem, jednak prawidłowo wymawiała angielskie głoski.

- Zazwyczaj nie przyprowadzamy ze sobą gości - odezwał się Benni. - Ruth jednak to co innego. - Córnka spojrzała na niego i lekko się uśmiechnęła. - Ponieważ służyła w wywiadzie, może nam się przydać - poklepał ją po kolanie, a O'Donovan próbował wyobrazić ją sobie w mundurze. Zaraz potem powstrzymał się przed wyobrażaniem sobie, jak zdejmuje mundur.

- Interesujące - powiedział O'Donovan, chcąc jak najszybciej mieć za sobą rozmowę wstępną. - A zatem wszyscy jesteście weteranami. No dobrze...

- Panie O'Donovan, proszę mi powiedzieć - Ruth przyglądała się tablicy informacyjnej wiszącej nad jego głową - czy detektyw musi mieć wyższe wykształcenie?

- Niekoniecznie. Ale ja ukończyłem Uniwersytet Johna Jaya.

- A zatem - ciągnęła, spoglądając na wydrukowaną „wizytówkę” - mogę zapytać, dlaczego jest pan tylko sierżantem?

- No cóż... - O'Donovan zrobił skrzywioną minę. Już miał wdać się w wyjaśnienia dotyczące różnic pomiędzy stopniami w służbach cywilnych a zakresem obowiązków dowódców w policji, gdy wyczuł, że dziewczyna chce go zapędzić w ślepy zaułek. - W mojej rodzinie często brali ze sobą ślub krewni - powiedział poważnym tonem. - Stąd się pewnie wziął niski iloraz inteligencji.

Przez chwilę Ruth przyglądała się jego kamiennej twarzy, a później wybuchnęła śmiechem, odchylając głowę do tyłu i jednocześnie przykładając dłoń do piersi. Baum również się śmiał.

- Przepraszam cię, Mike - powiedział Benni. - Znasz trochę Żydów?

- Nie za bardzo.

- Jak widzisz, jesteśmy nieco bezceremonialni. Ale także szczerzy. Często uważają nas za upartych i aroganckich. - Podniósł dłoń. - I mają słuszość. Na naszą korzyść przemawia jednak brak fałszywych manier i powierzchownej uprzejmości. Kiedy mówimy komuś „Wpadnij do nas”, to liczymy, że się u nas naprawdę pokaże. A nasze przyjaźnie zazwyczaj zrywa jedynie śmierć.

O'Donovan oparł się o poręcz krzesła. Może powinien jeszcze raz przemyśleć, czy wszystkich ludzi mieszkających na wschód od Grecji należy zaliczać do jednej kategorii.

- Ostrzegano mnie - powiedział z uśmiechem.

Ruth odwróciła się do ojca i powiedziała: - *Ben-adahm nichmahd*. - Co mniej więcej znaczy „Równy gość”. Benni przeszedł do rzeczy.

- No dobra, Mike. Jak tam postępy?

- Cóż, panie pułkowniku...

- Mów mi Benni, proszę - rzekł Baum. - Traktujmy naszą sprawę jak operację wywiadu. Żadnych stopni, zgoda?

- Postaram się. - O'Donovan wzruszył ramionami. Nigdy nie zwracał się do amerykańskiego pułkownika inaczej niż „sir”. - Jak na razie nie ma jakichś wyraźnych kierunków śledztwa. Ludzie z sekcji antyterrorystycznej węższą pośród swoich kapusiów,

starając się o jakieś wieści z któregoś z arabskich ugrupowań.

- Chodzi mu o informatorów - zwrócił się do Ruth Benni.
- Wiem, *Abba* - odpowiedziała wyrozumiale.
- Sekcja antyterrorystyczna? - rzekł Benni. - Czyżby pan Jack Buchanan?
- Tak.

- Hm. - Benni pociągnął się za ucho. - A jaki jest twój udział? - O'Donovan nie wykazał się rozmownością, gdy podrzucał Bauma do Columbii.

- Ja się zajmuję zabójstwem. Zwykła robota dochodzeniowa. Naszkicowanie portretu zamachowca albo odnalezienie kogoś, z kim był powiązany.

- No widzisz? - Ruth trąciła ojca łokciem, ale on zignorował ją.

- A ładunek wybuchowy? - zapytał Benni.

- Większość materiału trafiło do laboratorium FBI i ludzi z Redstone Arsenal, ale ponieważ zwłoki są w naszej kostnicy, lekarze sądowi w Nowym Jorku też popatrzą na odłamki.

- Co do tej pory macie?

- Hm... - O'Donovan przez chwilę wahał się, lata spędzone w Siłach Specjalnych zaszczyliły mu ostrożność w udzielaniu takich informacji. Baum jednak potrafił z odległości dziesięciu kilometrów wyczuć, że coś się przed nim ukrywa, a jeśli O'Donovan niczego mu nie da, niczego nie dostanie w zamian.

- Mamy *Semtex* ze śladami RDX, więc sądzą, że za detonator posłużyła spłonka z fulminianem rtęci. Przy ciele zamachowca nie znaleziono żadnych mikroprocesorów ani odbiorników, jedynie ślady jakiegoś kwasu z baterii. Według mnie zamachowiec sam zdetonował ładunek.

- Tak, z tym bym się zgodził - rzekł Benni. Rano rozmawiał z Hannanem Bar--Elem. Technicy z Tel Awiwu doszli do tych samych wniosków. - Widać, że znasz się na materiałach wybuchowych, Mike.

- Z Armii - rzekł detektyw.

- A co dokładnie robiłeś w wojsku? - zapytała Ruth. O'Donovan spojrzał na nią, zawahał się i powiedział:

- Obawiam się, że niewiele.

W stwierdzeniu tym było zawarte tyle żalu, iż Ruth zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej na temat życia O'Donovana. Obserwowała skupione na niej jasne oczy oraz jego rudawe brwi formujące się w niewielki łuk ponad mostkiem nosa. Ciemno-blond włosy, gęste jak futro psa rasy Husky oraz meszek zostawiony na policzku przez żyletkę wyzwalaly w niej chęć dotknięcia jego twarzy.

- A ekspertyza stomatologiczna? - naciskał Benni.

- Lada chwila powinna być gotowa. Możesz otworzyć drzwi? Benni posłuchał, a O'Donovan krzyknął do pomieszczenia sekcji:

- Binder, przyslij mi tu Davisa.

- Tak jest, sir - odpowiedział żartobliwie Binder, ale szybkim krokiem przeszedł do tylnej części pomieszczenia i wkrótce w drzwiach pojawił się Aaron Davis. Wysoki, czarnoskóry, czterdziestokilkuletni mężczyzna nosił okulary w złotej oprawce i miał upodobania do garniturów od Armaniego. Sprawiał wrażenie inteligentnego, eleganckiego detektywa, o wiele bardziej dojrzałego niż reszta brygady. O'Donovan nie miał pewności, czy Binder lub Mancuso potrafią poprawnie zachować się w obecności Ruth. Davisa natomiast zupełnie nie interesowały białe kobiety.

- Czym mogę służyć? - odezwał się operowym basem Davis.

- Gdzie byłeś? - zapytał O'Donovan.

- Na tyłach autobusu. - Davis często zaszywał się na końcu pomieszczenia i tam pracował nad swymi raportami. O'Donovan uśmiechnął się.

- Aaron, poznaj Benjamin i Ruth Baumów. Są z Izraela.
- Miło mi. - Davis uklonił się z myślą: „Ci biali oszaleli i zenią się z nastolatkami”.
- Davis, sprawdź faks. Powinna być dla mnie przesyłka od Epsteina. To ma być lista odczynników chemicznych.

- Już się robi.

Przez chwilę O'Donovan i Baumowie siedzieli w niezręcznej ciszy. Wtedy O'Donovanowi zabulgotało w brzuchu, więc położył rękę na żołądku i powiedział:

- Cicho.
- Zjedz coś. - Ruth wskazała ręką na torebkę z restauracji „Stage Delf”.
- Wszystko w porządku, mogę poczekać.
- Jeśli się wstydzisz, ja się przyłączę. Ojciec mnie ze sobą zabrał i nie miałam czasu na lunch.

- Skoro tak... - O'Donovan zabrał się za otwieranie torebki.

- Kolejny minus dla moich powinności rodzicielskich - westchnął Benni.

- Ja nimi zapisałam już całą księgę - powiedziała Ruth. Wstała, odpięła płaszcz i rzuciła go na krzesło. Pod spodem miała ciemnozielony golf, a gdy O'Donovan zobaczył górną część jej ciała, szybko zajął się odwijaniem kanapki z papieru. - Ale ty na pewno już jadłeś, prawda, *Abbal* - dodała.

- Znasz mnie, Ruti. - Baum uszczypnęła się w brzuch. - Zawsze noszę pełne kieszenie ciastek.

Ruth uśmiechnęła się i podeszła do biurka O'Donovana, który podzielił kanapkę i dał jej potowe.

- *Beteyavon*. - Usiadła z powrotem i ugryzła kanapkę.
- Słucham? - O'Donovan otworzył puszkę Coli.
- To znaczy *Bon appetit*. Zawsze jesz żydowskie specjały?
- Binder nas nawrócił. To dobry szabes goj. - Zaskoczone spojrzenia Baumów rozśmieszyły O'Donovana. - Pracujemy w dzielnicy handlarzy i szlifierzy brylantów. Przejmujemy slang.

Ruth gryzła bułkę i lekko przytakiwała głową, jak gdyby zbierała na jego temat dane do akt.

Ponownie pojawił się Aaron Davis, przyniósł stronę faksu.

- To musi być to.
- Dziękuję. Nie odchodź jeszcze, - Davis oparł się o framugę. Na faksie napisane było jedynie:

Labolatorium do sekcji dochodzeniowej.

Analiza struktury i składników: szkliwo 8%; zębina 47%; miazga 23%; wypełnienia stopami metali 21%; w ich składzie zawarte są: nikiel, beryl, srebro, kobalt. Znikome ślady węgla. Grupa krwi A Rh-.

Lista kończyła się dwoma słowami w prawym dolnym rogu: **WNIOSKÓW BRAK**. O'Donovan rozsiadł się wygodnie i westchnął.

- Fatalnie - mruknął. Podał wydruk Baumowi, a on szybko przejrzał tekst i wskazał palcem na telefon.

- Mogę zadzwonić?
- Proszę bardzo, czuj się jak u siebie.
- Na inny kontynent?
- Odbezpieczone - rzekł O'Donovan. Ruth uniosła brwi. Każda profesja ma swój żargon. Benni wstał i nachylił się nad biurkiem, wystukując liczby na bezowym aparacie.
- U mnie szybko by zablokowali.
- „U mnie”, czyli gdzie? - O'Donovan postanowił przejąć otwarty sposób bycia swoich

gości.

- A ty gdzie służyłeś w wojsku, Mike? - skontrolował pytaniem Baum, czekając aż ktoś w Jerozolimie odbierze telefon.

- W Siłach Specjalnych.

- Właśnie stamtąd jestem - rzekł Benni. Potem zaczął szybko rozmawiać po hebrajsku. Podniósł ołówek z biurka i zapisał numer na kartce z notesu O'Donovana, a potem odwiesił słuchawkę. Skinął na wydruk. - Jeśli pozwolisz, chciałbym to przefaksować.

- A nie może im pan tego przeczytać, panie Baum? - zapytał Davis.

- Rozmowy prowadzone przez otwarte łącza satelitarne łatwo można podsłuchać, panie Davis. - Baum z uśmiechem zwrócił się do wytwornego detektywa. - Sprzęt służący do przechwytywania faksów dużo kosztuje i lubi się psuć. Więc w taki sposób zmniejszam ryzyko.

Davis podniósł ręce do góry w geście kapitulacji.

- To już nie moja liga - powiedział. Spojrzał na Ruth, a potem na O'Donovana. - Może twoja też już nie, Mikę.

- Aaron, pokaż pułkownikowi faks. - No i tyle zostało z manier Davisa. Wysoki detektyw wyprowadził Bauma z gabinetu. Ruth napiła się Coli i podała

puszkę O'Donovanowi, patrząc, czy wytrze wierzch, czy od razu przyłoży usta.

- Jaką masz na ten temat teorię, Michael? - powiedziała, zginając serwetkę i wyrzucając ją do kosza.

- Uczciwie? - O'Donovan napił się z puszki.

- I profesjonalnie.

- Zamachowiec ubrany był jak chasyd. Może był chasydem. Może wyznawał zasadę Ockhama, że nie trzeba mnożyć bytów, jeśli to niekonieczne.

- Tak, najbardziej oczywisty wniosek to często i tak dalej, i tak dalej. - Ruth kiwnęła głową. - A motywy?

- Na pewno nie osobiste. Może religijne? Może powiązania z jednym z waszych prawicowych ugrupowań?

- Takich jak JDL?

- Na przykład.

- Zakompleksieni chłopcy z jesziwy - zadrwiła Ruth jak cyniczny psycholog.

- Nawet ludzie niekompetentni mogą być niebezpieczni.

Przyjrzała mu się uważniej, przestawiła krzesło, aby siedzieć na wprost niego i zaczesła za ucho kosmyk włosów.

- Coś ci powiem na temat Żydów - odezwała się z uśmiechem. - Potrafimy się umartwiać, ale nie wysadzamy siebie w powietrze.

O'Donovan roześmiał się.

- To szczerza prawda - nalegała Ruth. - Jestem o tym przekonana.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał udowadniać twojego błędu.

- Zakład?

- Słucham?

- Możemy się założyć.

- Przyjmuję. O ile?

- O kolację.

Uśmiech zniknął z twarzy O'Donovana. Poczul, jak czerwieni się stopniowo od samej klatki piersiowej aż po policzki.

Ruth spojrzała na swoje ręce, a potem pokręciła głową.

- Przepraszam - powiedziała. Wszystko przez to, że bardzo przypominał jej, młodych Izraelczyków za którymi tęskniła. Ludzi mających w życiu cel, ludzi z pewną rezerwą, a jednak pełnych humoru. Był przystojny i posiadał jakąś utajoną siłę, podobnie jak koledzy jej

ojca. Przypominał jej Eytana Ecksteina. Podniosła wzrok. -Nie powinnam była, ale nie nosisz obrączki, a żonaci policjanci trzymają zazwyczaj na biurkach zdjęcia żon albo dzieci.

- Nic się nie stało.

- Wiesz, pochodzę z kraju, który prowadzi wojnę. Życie może się okazać bardzo krótkie.

Czasami się śpieszymy.

- Ruth-przerwał jej.-Zakład stoi. Przyglądała mu się przez chwilę.

- Jesteś bardzo uprzejmy.

- Nie, ale chciałbym być tak odważny jak ty.

- Świetnie. - Klepnęła się w kolana. - Jeśli ja wygram, ty gotujesz. Fatalny ze mnie kucharz. Jeśli ty wygrasz, pójdziemy gdzieś zjeść. Może być?

O'Donovan znów się roześmiał. Pod wpływem łobuzerskiego uśmiechu Ruth zrobiło mu się lżej na duszy.

Baum wrócił z Davisem, zacierając pulchne dłonie.

- Poszło - powiedział. - Mamy bardzo utalentowanych ludzi od ekspertyzy stomatologicznej. W piętnaście minut potrafią określić miejsce pochodzenia.

O'Donovan popatrzył na niego z odrobiną wątpliwości, podobną minę zauważył u Davisa, przecierającego okulary purpurową chusteczką.

- A jakie ty masz przypuszczenia? - zapytał O'Donovan.

- Cóż... - Benni wydał wargi. - Mogę zapalić?

O'Donovan wysunął szufladę i wyjął na biurko szklaną popielniczkę. Baum wyciągnął paczkę papierosów i zapalił.

- Kusi mnie, żeby wskazać na Hezbollah. - Benni zaczął spacerować po niewielkiej przestrzeni. Oczywiście najchętniej całkowicie wykreśliłby Partię Boga z listy podejrzanych, bo ogromne nadzieje wiązał z operacją Księżyc. -Ale to byłoby pójście po linii najmniejszego oporu. - Zatrzymał się i przez chmurę dymu spojrzął na dwóch detektywów. - Znać ich?

- Osobiście nie - rzekł Davis. - Czytaliśmy o nich w gazetach.

- Marionetki Iranu - burknął O'Donovan.

- Tak - powiedział Benni. - Ale ja skłaniałbym się ku mniej oczywistym rozwiązaniom. Może Hamas? Wykazują w naszym kraju ogromną aktywność, zwłaszcza na Zachodnim Brzegu. Bardzo okrutni. Na kandydatów nadają się też Czerwone Orły i islamski Dżihad. - Szukał jeszcze jakiegoś innego rozwiązania, czegoś, co mogłoby go odwieść od własnych przeczuć. - Nadal groźny jest Abu Nidal. Ostatnio zamordował w Tunisie Abu Iyada, szefa ochrony Jasira Arafata. Zrobiłby wszystko, aby nie dopuścić do zbliżenia pomiędzy nami i OWP.

- Ja się gubię - powiedział Davis.

- Udawanie kogoś innego. Jak to się mówi, krecia robota?

- Szyć komuś buty - poprawił go O'Donovan.

- *Ja.*

- Masz coś jeszcze, *Abba* - odezwała się z drwiną Ruth.

Cała trójka spojrzała się na nią. Benni uśmiechnął się po ojcowsku.

- Ruth przedstawiła własną koncepcję - stwierdził. - Oprócz tego, że studiuje psychologię, jest antyterrorystką-amatorką.

- Amator to ten, któremu się nie płaci, *Abba* - odparła. - A biorąc pod uwagę twoją pensję, należymy do tej samej ligi.

Davis roześmiał się.

- Powiniennem częściej sprawiać jej lanie - powiedział skrzywiony Benni. Ruth zignorowała ich. - Detektyw O'Donovan uważa, że zamachowcem był Żyd.

Baum spojrzął na Amerykanina.

- Naprawdę? - zapytał w taki sposób, jak gdyby O'Donovan właśnie stwierdził uprowadzenie przez istoty z obcej planety. - Co za absurd.

- Widzisz? - Ruth wskazała palcem na O'Donovana. - Uwielbiam włoską kuchnię.
- Panno Baum - szybko przerwał jej detektyw - jeszcze pani nie wymieniła swoich podejrzanych.

Wahała się przez chwilę, a potem zwróciła się do ojca.

- *Mutar li?* - zapytała ojca o pozwolenie, czy może dorzucić swoje „dwa szekle”, lecz było to pytanie raczej na poziomie zawodowym niż odzwierciedlające uległość dziecka wobec ojca.

Benni rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Niemal natychmiast pożałował tego.

- Moja teoria jest jeszcze prostsza niż ojca. - Ruth założyła ręce na piersiach, a O'Donovan starał się nie spuszczać oczu z jej twarzy. - I sędzę, że bardziej

przystaje do linii waszego śledztwa. - Podniosła wzrok na Davisa. - Was jako detektywów zajmujących się poszukiwaniem morderców bardziej interesuje łapanie mordercy niż kojarzenie go z jakimś ugrupowaniem politycznym. Mam rację?

- Tak - przyznał Davis.

Benni wiedział, dlaczego Ruth odwołuje się do motywacji policjantów. Z powrotem zajął swoje miejsce. Wiedział, do czego zmierza, i żałował, że tak się dzieje.

- Uważam, że zamachowiec to tylko doręczyciel - stwierdziła Ruth. - Bombę wykonała kobieta.

O'Donovan nachylił się do przodu.

- Kobieta?

- Martina Ursula Klump. - Ruth złapała się za mostek nosa, zamknęła oczy i zaczęła przypominać sobie szczegóły, które niedawno przeglądała w bazie danych. - Urodzona w Buenos Aires w 1955 roku, jedyne dziecko byłego nazistowskiego fizyka. Ojciec w 1960 roku popełnił samobójstwo, na co matka zareagowała depresją i alkoholizmem. Córka bez ojca czuła się jak sierota. - Otworzyła na chwilę oczy i podniosła do góry palec. - Co ciekawe, jest to częsty wątek u radykalnych kobiet związanych z terroryzmem. - Powróciła do pozy rodem z rzeźb Rodina. - Około 1973 roku pani Klump wstępuje na Sorbonę, tam zostaje zwerbowana przez Action Directe, początkujące francuskie ugrupowanie terrorystyczne. Nie kończy studiów, przenosi się na uniwersytet we Frankfurcie, tam angażuje się w działania ASTA, Studenckiego Komitetu Głównego, pisze kilka radykalnych artykułów do „Konkretu”, niemieckiego pisma lewackiego, i zostaje zauważona przez ugrupowanie Baader--Meinhoff.

Podniosła wzrok, aby się upewnić, czy Amerykanie nadążają za nią.

- Klump odziedziczyła po ojcu talent do materiałów wybuchowych. Projektuje, buduje i detonuje liczne bomby w imieniu Frakcji Armii Czerwonej. Materiały wybuchowe kradnie zazwyczaj z europejskich baz wojskowych USA i staje się znana jako *Fraulein C-4*. - Ruth skrzyżowała palce na kształt krat. - Na początku lat osiemdziesiątych zostaje pojmana przez GSG-9.

- Komandosów Ulricha Wegenera - odezwał się O'Donovan.

- No właśnie. - Ruth uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Jednak przed procesem udało jej się uciec.

Benni zerwał się z krzesła, popatrzył na każdego po kolei i podszedł do popielniczki zgasić papierosa. W ustach córki to tylko jedno proste zdanie, a dla niego dziesięć lat koszmarów. Ale nie przerywaj jej, ostrzegał siebie. Nie teraz. Z powrotem usiadł na swoim miejscu i zapalił kolejnego papierosa.

Ruth przez chwilę przyglądała mu się. Patrzył na nią takim samym chłodnym wzrokiem jak ona na niego. Mówiła dalej.

- Zniknęła, ale potem wypłynęła w Libanie, szkoląc terrorystów. Niektórzy eksperci przypisują jej mające tam miejsce zamachy samobójcze. Opuściła Liban i ślad się po niej urywa.

- Jak po Carlosie - skomentował O'Donovan.

- Tak, tylko że Iljicz Ramirez Sanchez odszedł na emeryturę w pudle.
- A ta Klump nie? - zapytał Davis.
- Nie.
- Dlatego właśnie ją wiążesz z tą sprawą? - zapytał O'Donovan. Zaimponowała mu wiedza Ruth, choć była to wiedza czysto akademicka. Jak przypuszczał, Ruth nigdy nie prowadziła żadnego śledztwa.

- No cóż, możemy się przyjrzeć temu waszym sposobem. - Podniosła palec. -Motyw: pieniądze. Znana jest z wykonywania zadań na zamówienie. Co do polityki, to długo występowała w imieniu ugrupowań ekstremalnie lewackich i antysemitycznych. -Podniosła drugi palec. - Środki: jej udokumentowany profesjonalizm. Trzy lata temu premier Indii zginęła w zamachu dokonanym przez samobójcę i przypuszcza się, że Martina organizowała zaplecze techniczne. W zeszłym roku izraelską ambasadę w Buenos Aires - proszę zwrócić uwagę na to miejsce - zniszczyła podłożona w samochodzie bomba identyczna jak skonstruowana przez Klump dla Hezbollahu w 1984 roku. W izraelskich gazetach nawet pojawiło się jej zdjęcie, co często wykorzystują w działaniach nasze agencje wywiadowcze. Próbowali ją... jak to powiedzieć? Przydusić.

Benni milczał.

- I wreszcie... - Ruth podniosła trzeci palec - ...możliwości. Zna wiele języków i posiada prawdopodobnie co najmniej trzy legalne paszporty - argentyński, francuski, niemiecki - a do tego nie wiadomo ile fałszywych dokumentów. Bez obrazy, ale wasi urzędnicy na lotnisku Kennedy"ego równie dobrze mogliby być ślepi.

- Święte słowa - powiedział Davis i spojrzał na O'Donovana.

- Prawdopodobnie nie działa sama - dodała Ruth. - Istnieją podejrzenia, że pani Klump dowodzi komórką wolnych strzelców - jej byłych uczniów z Libanu.

- Przecież nie tak łatwo jest się tutaj dostać - powiedział na obronę O'Donovan.

- Z całym szacunkiem, Michael - odparła Ruth - ale wystarczy obcymi liniami lotniczymi przelecieć, powiedzmy do Nairobi, a tam przesiąść się do Nowego Jorku. W połowie drogi trzeba podrzeć i wyrzucić tunezyjski paszport, który na czarnym rynku kosztuje około pięciuset dolarów. Na lotnisku Kennedy"ego otrzymujesz status uchodźcy, podpisujesz zobowiązanie do stawienia się na przesłuchanie i po prostu znikasz. W ten sposób można tu sprowadzić całą armię.

- To chyba nie będzie potrzebne - rzekł Davis. Ruth najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie.

- O Jezu - szepnęła O'Donovan. Słuchał wystąpienia Ruth z coraz większym zaniepokojeniem. Wstrząsnęły nim jednak nie napływające informacje, a ich źródło. „Nie twoja liga”, jak mówił Davis.

- No! - Benni nagle klasnął w dłonie. - Jak widzicie, moja Ruth wykombinowała niezłą historyjkę. Ja jednak mogę naszkicować trzy równie przekonujące scenariusze. Wiecie...

- *Abba*, postaw pieniądze na to, co mówisz.

Baum próbował uciszyć ją spojrzeniem, ale serce go zabolowało, gdy zdał sobie sprawę, że został pozbawiony jakiegokolwiek rodzicielskiej władzy. Ku jego niezadowoleniu, Ruth niemal zupełnie nie zwróciła na niego uwagi.

- Mógłbyś nam dostarczyć najnowszych wiadomości na temat Klump. - Zaczęła przypierać go do muru.

- Mógłbyś to zrobić? - O'Donovan podchwycił pomysł.

- Cóż, przypuszczam...

- Oczywiście, że mógłby - stwierdziła Ruth. - Może mieć wszystko, co zechce.

- Łącznie z miejscem jej ostatniej przeprowadzki? - zapytał Davis.

- Tego naprawdę nie da się stwierdzić. - Zdesperowany Benni szukał drogi ucieczki.

- Chyba że się o to poprosi - nalegała Ruth.

- *Ruti*- Benni zwrócił się do niej po hebrajsku. - *Tafsiki im zeh*. Skończ z tym.

- *Lama? Mi mah atah mefached?* - Za dobrze znała swego ojca. Wystarczy oskarżyć go, że się boi, a skoczy z drapacza chmur, by udowodnić, że jest inaczej. -Wystarczy zadzwonić, *Abba*, i poprosić o ostatnią teczkę z akt - prosiła go pełnym fałszu tonem, który tak bardzo go drażnił.

Benni westchnął i wstał z krzesła. Przed oczami miał opasłą teczkę leżącą w jego sejfie. Na okładce znajdowało się tylko jedno słowo, TANGO, z czerwoną pieczęcią ŚCISLI TAJNE. Cóż to jednak może znaczyć? Tylko nieliczni wybrańcy mają dostęp do jego sejfu, a na pewno nie ma tego w komputerach AMAN-u. Czemu nie? Nic się w ten sposób nie udowodni.

Znów sięgnął po telefon O'Donovana. Jeszcze będąc posłańcem przestał kierować się emocjami, ale teraz dla kamuflażu udawał niespokojnego.

W jego gabinecie w Jerozolimie odezwał się niski, męski głos. Należał do Raphaela „Konia” Czernikowskiego. Benni wyobraził sobie jego metalowe oprawki okularów i zaciśnięte usta bez uśmiechu.

- *Sus! Maniszmah?* Koń! Jak się masz?

- Cześć, Hans - odezwał się Koń bez zbędnych powitań. Od razu zwrócił się do Bauma przybranym imieniem na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał ich rozmowę. -Szef pytał o ciebie. Chce wiedzieć, kiedy wracasz.

- Powiedz mu, że za miesiąc, to się wkurzy.

Koń się nie zaśmiał. Ulubionym hobby Bauma było rozwścieczanie Itzika Ben-Zio-na, za co zawsze płacili jego ludzie.

- Jak tam konferencja? - zapytał Koń. Oficerowie Wydziału Operacyjnego szybko uczyli się języka kodowego używanego tylko na telefonicznych liniach otwartych. Jeśli nie było umówionych nazw na pewne sprzęty, trzeba było dobierać odpowiednie słownictwo ze słownika potocznego. Benni zrobił pierwszy krok.

- Jak na razie same nudy - powiedział, a chodziło mu o to, że śledztwo nie przyniosło jeszcze żadnych efektów. - Przespałem cały wykład o twardych dyskach. Żadnych konkretnych tropów ani wniosków ze strony amerykańskiej.

- Mogę w czymś pomóc?

- Potrzebuję planu marketingowego.

- Którego? Benni odchrząknął.

- Tango.

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza. Koń w tym momencie powinien zastosować się do procedury. Nie wiedział, czy dowódca nie został pojmany i uwięziony, więc powinien otrzymać trzy sugestie, aby móc spełnić polecenie.

- Gdzie on jest? - zapytał Koń.

- W szufladzie po prawej stronie pod zdjęciem pani Schmidt.

- Jedną chwileczkę - odpowiedział Koń, chociaż wcale nie ruszył się z fotela Bauma. Zdjęcie żony Benniego w ramce stanowiło potwierdzenie, że to rzeczywiście on telefonuje, lecz żadna teczka operacyjna nie leżała w szufladzie i obydwaj o tym wiedzieli.

Baum wspominał jednak, że Tango to sprawa nadzwyczajna. Koń należał do dwóch osób z personelu AMAN-u, obok Eytana Ecksteina, którzy wiedzieli, że Tango to niedostępna teczka spoczywająca w sejfie Benniego. W niej znajdują się autentyczne i pełne teksty, podczas gdy komputery Wydziału Operacyjnego przechowują tylko okrojone wersje.

- Nie mam klucza - powiedział Koń, starając się upewnić, czy Baum ma na myśli znajdującą się w sejfie teczkę akt sprawy Tango.

- Nie potrzeba - stwierdził Baum. - Szuflada jest otwarta.

Dobrze. Benni ma więc na myśli wersję komputerową, do której mają dostęp wszyscy urzędnicy jego oddziału.

- Czy można cię złapać pod jakimś numerem? - zapytał Koń.

- Tak, jeden, zero, trzy, zero, siedem, dwa, cztery.

Koń zanotował liczby, od każdej odjął jeden i wyszło mu 0929613, wojskowy numer identyfikacyjny Benniego Bauma. Drugie potwierdzenie.

- Świetnie - rzekł Koń. Ostatnie potwierdzenie powinno być bardziej ezoteryczne. Baum powinien odwołać się do wydarzenia, w którym brał udział tylko on i Koń i,

o którym nie wiedział nikt inny w departamencie.

- Wiesz co, *Sus* - powiedział wesoło Benni. - Jest tu na konferencji taka dziewczyna.

- Tak?

- Przypomina mi trochę tę małą z Aten. Nazywała się chyba Leena.

Baum prawie widział, jak Koń się czerwieni. Analityk nie słychał ze swych seksualnych wyczynów, ale kiedyś czekając z Baumem na powrót Ecksteina z Krety zabawili się wieczorem w stolicy Grecji. Gdy popijali leniwie w hotelowym barze, pulchna młoda kelnerka zajmująca się komputerami wdała się w rozmowę z Koniem. Pod koniec zmiany zaprosiła go do swojego mieszkania, żeby pobawił się z nią laptopem. Benni i *Sus* mieszkali w tym samym pokoju i tej nocy Baum spał w nim sam.

- Tak - wykrztusił Koń. - Leena. Którą część broszurki chcesz?

- Tylko kilka ostatnich wyników sprzedaży. - Benni miał na myśli ostatnie strony komputerowego pliku zawierające najnowsze, uaktualnione dane na temat kroków

i miejsca pobytu obiektu. - Podam ci faks. - Przewidywał numer.

- To potrwa kilka minut - powiedział Koń. - *Beseder*?

- *Meya chuz*. Na sto procent. Pozdrowienia dla wszystkich.

- Nie zapomnij zadzwonić do szefa - poprosił Koń.

- Jakże bym śmiał? - zażartował Benni i odłożył słuchawkę.

Odwrócił się do detektywów, którzy uprzejmie słuchali konwersacji po hebrajsku. Ruth natomiast patrzyła na niego z pobłażliwą pogardą za dziecięce machinacje.

- Dziękuję, *Abba* - powiedziała, w pełni zdając sobie sprawę, że jej ojciec w dowolny sposób może manipulować przesłaniem danych. - Mogę się poczęstować papierosem?

Benni podał jej paczkę Time'ów i plastikową zapalniczkę. Widząc jak Ruth przypala papierosa, O'Donovan poczuł ulgę. Wiele kobiet odwracało się do niego plecami, gdy zdradził- się ze swym nałogiem.

Gwałtownie otworzyły się drzwi. Jerry Binder zaczął coś mówić, a zaraz potem zaczął rozganiać kłęby dymu wielką dłonią.

- Jezu Chryste, trzeba dzwonić po straż pożarną.

- O co chodzi, Binder? - zapytał O'Donovan.

- Chyba powinieneś ze mną pójść. Są wieści z Kierownictwa.

O'Donovan wstał zza biurka, a goście wyszli na salę, żeby mógł wydostać się na zewnątrz.

Dwaj detektywi prowadzili trzymając za drelichową kurtkę mężczyznę z dłońmi skutymi na plecach. Miał sztywne, rude włosy i dzikie spojrzenie. Gdy przechodzili obok Ruth, podniósł oczy i mruknął:

- Wydupczyłbym taką.

Jeden z eskortujących policjantów beznamiętnie uniósł stopę i kopnął go w goleń.

- O rany, przepraszam - powiedział drugi i pociągnął aresztanta w stronę celi.

Z przybudówki przyszedł Frank Mancuso, trzymając w dłoni wydruk telegraficzny i faks z hebrajskimi literami. Binder wziął faks i podał go Benniemu Baumowi.

- To dla pana - powiedział. - A reszta dla nas, bezbożników.

Ruth zrobiła krok i czytała Baumowi przez ramię. Benni, uśmiechnąwszy się szeroko, pomachał faksem jak flagą oznajmującą koniec wyścigu.

- Ha - powiedział triumfalnie. - Jeszcze nie spotkałem chasyda z zębami plombowanymi w Teheranie.

- Nie zalewasz? - Aaron Davis zrezygnował z rezerwy i wyrwał kartkę Baumowi, jakby

liczył na jakiś lingwistyczny cud.

- No dobrze, *Abba* - powiedziała Ruth, nie mogąc w pełni ukryć swego rozczarowania. - Ale to jeszcze nie wyklucza udziału Klump. - Spojrzała na O'Donovana, zdając sobie nagle sprawę, że wygrała zakład.

Detektyw nie dzielił radości Bauma. Binder, Mancuso i Griffm tłoczyli się nad pilnym faksem z posterunku na Manhattanie. O'Donovan pociągnął kartkę do siebie i spojrzał najpierw na Bauma, a potem na jego córkę.

- Właśnie ktoś zadzwonił na gorącą linię. Odebrali telefon gdzieś na przedmieściach i przesłali do sekcji zajmującej się śledztwem. - Podniósł kartkę i przeczytał: -,Odebrano: 13.45. Detektyw Frankel z posterunku policji numer 1. Dzwoniący: mężczyzna, mówiący po angielsku z akcentem bliskowschodnim. Przeznaczony dla detektywa Michaela O'Donovana". - O'Donovan odchrząknął. - „Dzwoniący: posiadam informację na temat wybuchu w konsulacie izraelskim. Frankel: czy zechciałby się pan przedstawić, sir? Dzwoniący: podam adres. Pani Katharina Klump. Wschodnia 89. Ulica. Numer 167. Frankel: sir? Czy jest pan tam, sir? Dzwoniący rozłączył się".

Przez dłuższą chwilę panowała grobowa cisza. Ani Binder, ani Mancuso, ani Griffm nie rozumieli znaczenia tego donosu, ale O'Donovan i Davis świetnie pamiętali hipotezy Ruth. Obydwaj powoli podnieśli głowy, patrząc na Ruth jak gazyli czujące w krzakach zapach lwicy.

Podniosła dłoń do ust i zdumiona słuszością własnej przepowiedni wyszeptła:

- *Elohim*.

O'Donovan odwrócił się ze zmrużonymi oczami do Bauma, a Davis odezwał się słowami wyjętymi mu z ust:

- Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. O'Donovan skinął głową.

- Oczywiście. - W głosie Ruth słychać było gniew. - To mój ojciec przyjechał tutaj, wysadził swój konsulat, a teraz, żeby zrobić dobre wrażenie, pomagamy wam prowadzić śledztwo.

- Spokojnie, młoda damo - odezwał się Binder. Spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

- Nie o to nam chodziło, Ruth - usprawiedliwił się szybko O'Donovan. Pokręciła głową.

- Panowie detektywi. Ta informacja może być jak darowany koń. - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było potwierdzenie hipotezy Ruth, ale jego misja polegała na wyjaśnieniu wybuchu i, jeśli to możliwe, pojmaniu zamachowca. Wszelkie osobiste zatargi trzeba odłożyć na bok. - Można mu zaglądać w zęby, a można też na nim pojechać.

- Pieprzone policyjne brutale! - krzyknął z aresztu aresztant. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Kim jest ta Katharina Klump? - zapytał Binder.

- Matka waszej podejrzanej o podłożenie bomby - odpowiedziała Ruth ledwie słyszalnym głosem.

- Jakiej podejrzanej, szefie? - zapytał O'Donovana Mancuso.

- Później ci wyjaśnię. - Sierżant zwrócił się do Ruth. - Mieszka w tym mieście?

- Na to wygląda. Jeśli wasz informator nie kłamał.

- Frank. - O'Donovan wręczył Mancuso nadesłany tekst. - Sprawdź personalia i adres.

- Już się robi. - Mancuso oddalił się.

- Żądam adwokata, do jasnej cholery! - krzyczał zatrzymany. - Poza tym jeść mi się chce.

- Uważaj, żebyś nie dostał na kolację po łbie - ktoś odpowiedział.

Griffin, przywołany przez innego detektywa skinieniem ręki, odszedł do drugiej części pomieszczenia. Niewielka grupka stała w milczeniu, czekając na ustalenia Mancuso. Davis trzymał popielniczkę i podsuwał ją Benniemu i Ruth jak ksiądz koszyczek z datkami na ofiarę. Obydwoje właśnie gasili papierosy, gdy Griffin wrócił z dwoma nowymi arkuszami faksowego papieru.

- Znów dobre nowiny z Ziemi Świętej - powiedział.

Ruth wzięła kartki i spojrzała na ojca, a on skinął głową ze słowami:

- *Totsee et ha'mekorot*. Pomiń źródła.

Przeczytała pierwszą kartkę hebrajskiego wydruku i zaczęła tłumaczyć, jednocześnie cenzurując tekst.

- Od 1987 roku nikt nie widział obiektu, a przynajmniej nie zostało to potwierdzone. W 1985 roku trzykrotnie widziano ją w Algierii, gdzie podobno miałyby mieć coś w rodzaju kwatery głównej. - Była to nowa wiadomość, której dotąd nie uwzględniono w kartotece Ruth. Córka Benniego, zgodnie z ostrzeżeniem ojca, przeczytała informację dostarczoną przez niemieckie BKA, pomijając źródło. - W 1986 roku jej matka zniknęła z Buenos Aires. - Ruth podniosła wzrok, upewniając się, że słuchacze przyjęli tę wiadomość. - Pomiędzy tą datą a listopadem 1987 roku Martinę widziano raz w Londynie, raz w Lizbonie i dwa razy w Hongkongu. - Oddała pierwszą stronę ojcu.

- Jeśli jesteś bizneswomen latającą na szlaku między Europą i Azją, to gdzie najlepiej mieć swoje centrum?

- Zgniłe Jabłko - stwierdził Binder.

- Słucham? - Benni spojrzał na olbrzyma.

- Nowy Jork - powiedziała od niechcenia Ruth. Wpatrywała się w wizerunki na drugiej stronie. Wraz z rosnącą popularnością faksów zeskanowane zdjęcia w komputerach AMAN-u zostały przekonwertowane i dla ułatwienia przesyłania wydrukowane w postaci czarnych i białych punkcików. Wydruki faksu miały zadziwiająco dobrą jakość.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało Martinę Ursulę Klump w wieku dwudziestu sześciu lat, a pod nim znajdowała się data: 1991 rok. Było to ujęcie en face zrobione po schwytaniu przez GSG-9. Fotografia przedstawiała krótko ostrzyżoną blondynkę

o przenikliwym spojrzeniu jasnych oczu oraz buntowniczym wyrazie ust. Pozostałe trzy zdjęcia wykonane zostały podczas inwigilacji.

Fotografia numer 1 przedstawiała młodą kobietę pijącą z kubka w ogródku ka-wiarni. Miała długie, czarne włosy, okulary słoneczne i pieprzyk po lewej stronie nosa.

Zdjęcie numer 2 przedstawiało profil zagląającej do torby z zakupami, podstarzałej kobiety w chustce na głowie.

Na zdjęciu numer 3 widać było dwie sylwetki na motocyklu. Motocyklista ubrany był w strój ze skóry, a gogle nałożone zostały na całkowicie łysą głowę. Od tyłu przytulała się do niego przestraszona blondynka w letnim ubraniu. Strzałka wskazywała jednak na kierowcę.

Ruth bez słowa wolnym ruchem podała kartkę O'Donovanowi. Po raz pierwszy w życiu czuła, że przechodzi przez ciemny tunel pomiędzy centralą wywiadu a realiami pracy w terenie, pomiędzy zaciszem baz danych a terytorium przeciwnika. Po raz pierwszy stała po stronie ojca.

Spojrzała na niego i na widok jego miny serce zabiło jej mocniej. Jego oczy zdawały się mówić: Powiniennem być zostawić cię w domu, kochanie.

- Jezu Chryste - powiedział Binder, patrząc przez ramię O'Donovana.

- Moglibyśmy postawić w stan pogotowia całą policję - powiedział Griffin. - Ale czym to uzasadnić?

- Chyba coś mam! - powiedział radośnie Mancuso. - To dom starców. Klump nie figuruje na liście mieszkańców, ale zadzwoniłem i zrobiłem wywiad. Mają tam pewną starą Niemkę reagującą na imię Katharine. Figuruje u nich jako *Frau Oberst*.

- *Frau Oberst*- powtórzyła Ruth. - Żona pułkownika. *Otto Klump, war ein Oberst?* - zwróciła się do ojca po niemiecku.

- *Du weisst es besser als ich*. - Wzruszył ramionami. - Sama lepiej wiesz - skłamał i zaczął drzeć pierwszą stronę faksu na maleńkie kawałki.

- Hej! - zaprotestował O'Donovan.

- Ojciec wszystko zapamiętał - powiedziała spokojnie Ruth. O'Donovan machnął ręką.
- Obejdzie się bez żadnego stanu pogotowia - zwrócił się do swoich ludzi. - Zainstalujemy się pod tym adresem. - Mieli rozpocząć inwigilację domu starców.

Detektywi rozeszli się po płaszcze, a w całym pomieszczeniu sekcji nagle podniosła się temperatura. Mówiono głośniejszym głosem, otwierano i zamykano szuflady, a do kieszeni trafiały kluczyki oraz zapasowe magazynki z amunicją.

- Mam się poradzić Biura? - zapytał Mancuso, mając na myśli FBI.
- Nie. - O'Donovan wszedł do gabinetu, podał ubrania Benniemu i Ruth, a sam założył ciemnoniebieski płaszcz.
- Rozesłać wiadomość do innych jednostek? - zapytał Binder.
- Na razie nie - odrzekł O'Donovan. - Nasze zabójstwa...
- Nasze dochodzenie - dokończył Binder.
- Chcesz wsparcie z Dziewiętnastki? - zapytał Griffin. - Może jakichś ludzi z Wydziału Zabójstw?
- Później - stwierdził O'Donovan. - Jeśli do północy nic nie zdziałamy.

Cała grupka, zapinając guziki zimowych ubrań, z powrotem zebrała się przed gabinetem O'Donovana.

- Jeny, weź spluwę - powiedział O'Donovan. - Jeśli ona się pokaże, może przyprowadzić też swoich kolegów.

Benni obserwował, jak wysoki detektyw wchodzi do swego pomieszczenia i wraca z pistoletem. Potem mruknął po hebrajsku:

- *Afilu bli chavreyah, zeh lo yazor l'cha*. Sierżant spojrzał na Ruth.
- To nic nie pomoże - przetłumaczyła natychmiast - nawet gdyby pojawiła się bez kolegów.

Wszyscy spojrzeli na Bauma, który w tym momencie jakby obudził się ze snu, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Ruszamy - powiedział O'Donovan. Gdy jednak Baum i Ruth poszli za nimi, nagle zatrzymał się.
- Sekundkę. - Położył Benniemu dłoń na ramieniu. - Pułkowniku, wydaje mi się...
- Przecież jestem waszym łącznikiem. Zapomniałeś? - powiedział Benni, choć nie wykazywał zbyt dużego entuzjazmu. - A poza tym, czy dowiedzielibyście się o niej beze mnie? Jeśli tak, to...

- Dobra - stwierdził detektyw. - Ale Ruth zostaje. Złapała O'Donovana za rękaw płaszcza.
- Dlaczego? - zapytała, ale on nie odwrócił się do niej. Wiedział, że nie jest na to dostatecznie silny. Utkwił wzrok w jej ojcu, który schodził po schodach.
- Pułkowniku - powiedział błagającym tonem. Baum zatrzymał się.
- Niech idzie z nami - rzekł. Spojrzał na córkę i porównał możliwość zacieśnienia więzów rodzinnych z ewentualnym niebezpieczeństwem. - Pozwól jej - wyszeptał niemal, a potem zbiegł truchtem po schodach.

O'Donovan przełknął ślinę. Ruth cały czas trzymała go za rękaw, jakby siłą chciała na nim wymusić pozwolenie. Przeczesał palcami włosy i westchnął.

- Gdybyśmy wkraczali do środka - powiedział najsurowszym tonem na jaki potrafił się zdobyć - ty zostaniesz w samochodzie.
- Zgoda.
- To może potrwać całą noc.
- Dobrze.
- Będzie bardzo zimno - zdobył się na ostatni, beznadziejny wysiłek.

Ruth wsunęła mu dłoń pod ramię i posłała mu uśmiech, którego wolałby nigdy nie widzieć.

- Zostawimy włączony silnik.

Manhattan, Nowy Jork

Tępe ostrze nocnego wiatru kłuło Martinę Klump w oczy, gdy jechała naprzeciw nadchodzącej burzy. Powietrze owiewało rękawice i wdierało się pod skórzane mankiety aż do ciała, przedostawało się pod zasłonę do oczu i ziębiło policzki, rozwiązało rzemyki przy kołnierzyku i wygrywało wściekłą melodię na sprzączce kasku.

Jednak uda pod powłoką leginsów pozostawały ciepłe tak samo jak gdyby o północy kąpała się w swej wannie na werandzie bawarskiego *schihausu*. Konie mechaniczne wielkiego, czarnego Suzuki powodowały wspaniałe drżenie.

Motocykl zapewnia przyspieszenie niedostępne dla ociężałych, luksusowych limuzyn. Umożliwia wyłamywanie się z konwencjonalnej jazdy jednym pasem, przemykanie niczym duch przez wąskie alejki, a nawet wyprzedzenie biegnących po schodach ludzi. I chociaż pora roku wybitnie nie sprzyjała jeździe na motorze, Martina nie chciała się z nim rozstawać.

Zmniejszyła gaz, skręciła w prawo w 84. Ulicę i zatrzymała się tuż za Drugą Aleją. Nie wyłączyła silnika, ponieważ miejsce dla kierowcy miał teraz zająć siedzący za nią Iyad. Spojrzała na ręce ściśnięte na swym brzuchu, ubrane w rękawiczki, a jednak wyglądające na zmarznięte. Kiedy wsiadali na motocykl, odmawiał objęcia jej w taki sposób, w jaki pasażer powinien trzymać się kierowcy. Teraz miał problem z puszczeniem.

Zeskoczyła na chodnik i przytupnęła kilka razy, wypróbując czarne Reeboki. Gdy zdjęła Iyadowi plecak, chłopak przesunął się do przodu i chwycił za kierownicę. Wsunęła rękawy motocyklowej kurtki pod paski plecaka i naciągnęła go przez głowę, a potem uniosła osłonę kasku Araba.

Ujrzała odrętwiałą twarz z wytrzeszczonymi oczami, zmarzniętą i śmiertelnie przerażoną demonem prędkości drzemającym w Martinie. Podniosła swoją osłonę

i chuchnęła na lyada, jakby czyściła okulary. On spróbował napiąć mięśnie policzkowe i uśmiechnąć się.

- *Ist et besser?* - zapytała Martina.

Skinął głową i zderzyli się osłonami kasków.

- *Gul* A teraz słuchaj. - Trzymała usta blisko jego ust, ale nikt nie uznałby ich za kochanków. - Jeśli wrócę, wszystko w porządku. Jeśli zobaczysz, że coś jest nie tak, udaj, że się przewracasz i wtedy wyrzuc torbę. - Wskazała na skórzaną sakwę przerzuconą przez bark. - Jeśli będą cię śledzić... masz ich zgubić, jasne?

Skinął głową.

Martina oddała mu swój kask i odeszła. Przechodząc przez mało ruchliwą Drugą Aleję założyła na głowę kominiarkę. Przetruchtała kawałek, aby krew z powrotem przepłynęła do nóg, a gdy dotarła do Pierwszej Alei, skręciła w prawo, biegła jeszcze kilka metrów, a potem zatrzymała się. Powoli rozejrzała się wokół siebie, jakby nagle straciła orientację, ale daleko jej było do zabłądzenia.

Na ryzykowne spotkania Martina lubiła sobie rezerwować mroźne noce i późne godziny. Po ulicach chodziło niewiele pieszych, a gdyby ktoś próbował ją śledzić, łatwo dostrzegłaby, jak się przemyka między zaparkowanymi samochodami albo kryje w cieniu budynków. Kierowcy, z wyjątkiem taksówkarzy, nie mieli powodu, aby jeździć powoli, ponieważ nawet nieposkromionym prostytutkom z Manhattanu było za zimno na uprawianie swego fachu.

Spojrzała w stronę rogu 84. Ulicy, lecz nie pojawił się w zasięgu jej wzroku żaden człowiek, ani żaden powoli jadący pojazd. Poszła na północ, skręciła w 85. Ulicę, nachylając się, żeby zawiązać sznurówkę i między nogami spojrzeć do tyłu. Skręciła w prawo znów na Drugą Aleję, a gdy spojrzała na szarą fasadę Banku Oszczędnościowego Yorkville, poczuła falę zimnego, porannego powietrza. Część metalowych liter znad zegara odpadło i pozostały tylko KV LLE. Zniknęła gdzieś duma starej niemieckiej kolonii na Manhattanie. Przetrwała jedynie u kilku dobrych dusz podtrzymujących tradycję.

Yorkville stanowiło kiedyś dumę urodzonych w Niemczech mieszkańców Nowego Jorku,

tworzyło enklawę złożoną z dziesięciu kwartałów w Upper East Side, gdzie bezustannie trwało święto *Gemutlichkeit*, gdzie stęsknieni za domem Berlińczycy i początkujący germanofile mogli posłuchać muzyki i języka ojczyzny oraz zjeść rodzime potrawy. W Yorkville zawsze można było dostać *Kartofelsuppe* i *Schminza-xen*, popić, to piwem Dunkel i posłuchać kwartetu smyczkowego Mozarta. Na dzień *Steuben* orkiestry miejskie maszerowały dumnie po Lexington Avenue, a podczas *Oktoberfest* grupki ubranych w spodnie do kolan mężczyzn tańczyły w pijackim porywie. Martina wybrała na rezydencję dla swej matki Nowy Jork ze względu na to, że leżał na przecięciu się szlaków jej podróży. Poutmierali już wszyscy przyjaciele Kathariny z Buenos Aires, a ona sama popadała w półobłąd, więc Nowy Jork wydawał się najbardziej bezpiecznym i praktycznym wyborem. Yorkville miało jeszcze dodatkowe plusey, chociaż już na początku lat osiemdziesiątych Martina zdawała sobie sprawę, że stacza się ono w przepaść.

Zazwyczaj z zachowaniem wszelkich zasad ostrożności przyjeżdżała z lotniska do domu starców „Das Edelweiss” przy 89. Ulicy, zmieniając po drodze kilkakrotnie taksówki. Teraz idąc pieszo dzielnicą dostrzegała efekty procesu starzenia się. Nadal istniał „Heidelberg Gasthaus”, ale przewyższał go aluminiowo-szklany zakład poligraficzny. Skręciwszy w lewo w 86. Ulicę przeżyła prawdziwy szok. Restauracja „Ideal”, w której kiedyś śmiała się nad przypieczonym sznyclem, a stary akordeonista śpiewał ludowe piosenki, wyleciała w powietrze od wybuchu bojlera. „Bremer House”, gdzie można było kupić strudel, skrzynkę *Pika*, a nawet Krzyż Żelazny z Liśćmi Dębu, jeśli wiedziało się jak poprosić, zamienił się teraz w rozpadającą się pizzerię.

Martina zatrzymała się na rogu Trzej Alei, gdy powiew wiatru Central Parku niósł kłęby śmieci. Schyliła głowę i zamknęła oczy, starając się odpędzić od siebie melancholijne uczucia. Zwolniła przy niej żółta taksówka, a kierowca widząc jej brak reakcji zaraz odjechał. Wyjęła ręce z kieszeni, skręciła na północ w Trzecią i poszła spacerowym krokiem.

W plecaku obok kompletnego stroju składającego się wyłącznie z różowych rzeczy, w który mogła przebrać się gdzieś w cichej alejce, spoczywała szara koperta ze stu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Martina nie denerwowała się z powodu

noszenia takiej masy pieniędzy po ciemnych ulicach Manhattanu, ponieważ pod czerwonym swetrem narciarskim w kaburze przytroczonej do paska od dżinsów spoczywał jej *P-38*.

Miała nadzieję, że tyle pieniędzy wystarczy na pokrycie kosztów mieszkania i utrzymania matki, jeśli Martina byłaby zmuszona do wyjazdu nawet na pięć lat. Gdyby została zabita, zadziała bogaty, mieszkający w Londynie, libański adwokat, który przyjął wysokie honorarium. Ponieważ *Mister Farad* posiada wpływ na policyjnego lekarza sądowego, zwłoki odpowiednio dobranej bezdomnej kobiety zostaną zidentyfikowane jako zwłoki Martiny, a wtedy matka otrzyma dwieście tysięcy funtów szterlingów odszkodowania z brytyjskiej firmy ubezpieczeniowej. Jednakże jeśli Martina zostanie pojmana, osądzona i uwięziona...

To zdarzyło się tylko raz, nigdy się już nie powtórzy.

Lecz na myśl, że jej siedząca w bujanym fotelu i spoglądająca w okno matka mogłaby już nigdy nie doczekać się córki, coś ścisnęło ją za gardło. Zaskoczyła ją taka reakcja. *Mutti*, nie opuszczę cię, obiecała milcząco, ponieważ krucha, mała osóbką z białymi lokami, pocętkowanymi policzkami i dużymi, błękitnymi oczami pełnymi zwodniczej przenikliwości, nie rozumiała już słownych zapewnień. Postradała zmysły bardzo dawno temu, jej myśli pozostały w czasach, kiedy żył jej ukochany Otto, a małeńka Marti ubóstwiała ją - i to ostatnie się nie zmieniło.

Martina przez długi czas nie umiała przebaczyć matce bezradności, jaka ją ogarnęła po śmierci ojca. Chociaż ona sama również czuła się w pewien sposób owdowiała, to młodzieńczy gniew pozwolił jej przetrwać, podczas gdy matka bez męża nie widziała dla siebie przyszłości. Początkowo Martina złościła się na picie alkoholu, przez które matka

ztracała się w sennych wizjach, sama także obawiała się popadnięcia w rozpacz. Później jednak, gdy dorosła, nauczyła się wielu rzeczy, wiele potrafiła zrozumieć i całą - może nawet większą niż niegdyś - miłość do ojca przelała na *Mutti*. Otto ubóstwiał Katharinę, a Martina musiała podtrzymać tę tradycję.

Przetarła kąciki oczu wierzchnią częścią rękawiczki i odpędziła sentymentalne myśli. Przecież nie po raz ostatni będzie się widzieć z matką. To nie może być ostatni raz.

Minęła róg 87. Ulicy, przeszła obok bezdomnego, który leżał na kracie prowadzącej do metra, chłonąc wydobywające się stamtąd ciepło. Spod brzegu wytłuszczonego, wełnianego materiału wystawały tylko oczy, kawałek czarnej skóry twarzy i czubek skórzanej pilotki.

Aaron Davis obserwował przechodzącą Martine, sięgnął po leżący między nogami radiotelefon Motorola, dwa razy nacisnął przycisk przy mikrofonie, odczekał chwilę, a potem nacisnął jeszcze dwa razy. Sygnał ten oznaczał: „mieście oczy otwarte” i nadawał go przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny dwanaście razy, za każdym razem gdy przechodziła obok niego młoda kobieta - o odpowiednim wzroście oraz odpowiedniej wadze i twarzy - która mogła się okazać niebezpieczna. Swój garnitur zdjął w furgonetce, zajął pozycję i odrzucał propozycję zmiany, z wyjątkiem jednego razu, kiedy poszedł się załatwić i zjeść kawałek pizzy. Cała reszta zespołu uważała go za szaleńca, lecz jego zdaniem ciepła krata najlepiej nadawała się na punkt obserwacyjny.

Martina tylko raz spojrzała na przejeżdżającą powoli taksówkę. Nie zauważyła nic, co świadczyłoby o tym, że pojazd przejeżdżał obok niej już przedtem.

Szła przed siebie, chciała jak najszybciej dostać się na miejsce, zobaczyć *Mutti*, zobaczyć jej uśmiech, podarować jej małe pudełko czekoladowych buteleczek z likierem, owiniętych w kolorową folię, przytulić ją, a potem odejść. Wykonując obecną misję, ryzykuje na wszelkie możliwe sposoby. Kiedy już się to skończy, będzie mogła zająć się setką innych pytań pozostających bez odpowiedzi.

Omar nie umówił się z nią na następne spotkanie, ale przecież wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie ma takiej potrzeby. Ciekawiło ją, czy anonimowi pracodawcy połknęli haczyk z przynętą, czyli jej zamiarem kradzieży pocisku z europejskiej bazy. Nie był to najważniejszy cel tej operacji, ale taka mistyfikacja mogła zapewnić jej bezpieczeństwo.

Istniała jeszcze sprawa ważnych urządzeń, ich rozlokowania i przemieszczania. Ręczny pocisk przeciwokrętowy nadal pozostawał w fazie prototypu, choć bez zarzutu przeszedł wszystkie testy. Jego konstrukcja opierała się na amerykańskim przeciwpancernym systemie *TOW* wykorzystywanym z piorunującym skutkiem przez Amerykanów i sprzymierzone z nimi wojska. W tym przypadku firma Hughes Corporation przejęła projekt z przeznaczeniem dla elitarnych jednostek komandosów morskich, na przykład SEAL. *Minnow* - tak brzmiał kryptonim prototypu - był stosunkowo nieduży, przyczepiony do ślizgacza mógł stawić czoło jednostce nawodnej.

Co roku Martina płaciła spore pieniądze za informacje na temat takich systemów obronnych. Jej źródło stanowił człowiek nazywający się Sam Tamil, właściciel firmy ochroniarsko-konsultingowej o nazwie DDS. Tamil cieszył się reputacją największego hochsztaplera zachodniego świata. Potrafił z powodzeniem sprzedawać niewidomym gogle noktowizyjne. Niemniej firma DDS posiadała bank kradzionych informacji technicznych, za które uzyskiwano kosmiczne ceny. Poza tym Tamil miał piętę Achillesową - bał się o własną skórę. Nigdy nie odmawiał przyjęcia zaliczki, nawet na ściśle tajne, prawnie zastrzeżone informacje. A gdy pieniądze znalazły się już na jego koncie, wystarczyło zagrozić mu odebraniem życia i wtedy dostarczał oczekiwane dane.

W Londynie Tamil pokazał Martinie niedostępne plany pocisku. Prawie jęknęła na widok szkiców, ponieważ dziennik jej ojca wspominał o projektach podobnego urządzenia, noszącego nazwę *Der Fliegende Fisch* - Latająca Ryba. Niemcy nie wyszli z tą bronią poza etap projektu, lecz gdy Tamil zaproponował jej *Minnow*, wiedziała, że na taką broń się

zdecyduje. Nie liczyła na to, że Tamil zdobędzie dla niej egzemplarz próbny, więc zaproponowała mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dostarczanie przez cały rok informacji na temat miejsc przechowywania i planów testowych broni. Wkrótce potem przelała pieniądze ze swego szwajcarskiego konta i ostrzegła go, że w przypadku błędnej informacji lub przecieku do jakichkolwiek władz, podyskutuje sobie na jego pogrzebie z jego synem Abrahamem. Raporty regularnie przybywały do prywatnej skrzynki pocztowej na Manhattanie.

Każdy aspekt planu wymagający zastosowania groźby, wymuszenia, oszustwa lub zaangażowania pieniędzy, został dwukrotnie sprawdzony. Była jednak tylko samotną kobietą i w przypadku tak złożonego projektu musiała zdać się na pomoc innych, i to samych mężczyzn.

Za niecałe czterdzieści osiem godzin pierwszy etap z trzyczęściowego planu powinien przebiec bez przeszkód, dzięki zgromadzeniu materiałów, szybkiemu przemieszczaniu się na duże odległości, precyzyjnemu wyliczeniu czasu oraz pewnej dozie

czegoś, czym ona pogardzała - szczęścia. Najbardziej trapiły ją czynniki, nad którymi nie można panować. Czy porucznik Marynarki Delgado żyje, czy umarł? Teraz zdawała sobie sprawę, że powinna nalegać na jego likwidację, chociaż wówczas rozumowanie wydawało jej się całkowicie logiczne: zwłoki szybko wywołają dużo zamieszania, podczas gdy nafaszerowany narkotykami człowiek i tak nie będzie mógł niczego powiedzieć. Możliwe jednak, że i odnalezienie go żywego da ludziom do myślenia.

Najbardziej jednak jej spokój zakłócała obecność Benjamina Bauma. Przebywając z nim w jednym mieście czuła się jak mysz zamknięta w jednej klatce z dusicielem. Co on tak naprawdę robił w Nowym Jorku? Czy przyjechał tu tylko ze względu na zamach bombowy? A jeśli powodem jego przybycia jest ona? Możliwe, że Yadd Allah podlegała inwigilacji. O tak, miała okazję być świadkiem, jak Izraelczycy potrafią wzbudzać w człowieku wątpliwości, podważać jego przekonania, osaczyć ofiarę i przeciągać ją na swoją stronę. Któż jednak z jej grupy zaryzykowałby zdradę, skoro wiedzą dokładnie, jak ona postąpiłaby z kimś takim? I przecież była tak ostrożna, tak przewidująca. Nikt z jej ludzi, prócz Mussy, nie wiedział o niczym więcej niż o zadaniu, które ma do wykonania, nikt nie miał pojęcia, na czym polega misja, dopóki wszyscy nie trzymali w dłoni broni i ruszali do akcji. Tylko Mussa wiedział, że matka Martiny żyje. Zdradził ją? Nie, to niemożliwe. Jest człowiekiem religijnym, a jego Bóg wymaga od niego posłuszeństwa.

Na rogu 89. Ulicy minęła białą furgonetkę z napisem MANHATTAN CABLE TV. Spojrzała do kabiny pasażera i dostrzegła kierowcę śpiącego z głową opartą na zagłówku, żółty kapelusz zsunął mu się na twarz. Był to detektyw jeny Binder przebrany za pracownika telewizji.

Po przeciwnej stronie rogu znajdował się jedyny w okolicy otwarty tak późno w nocy lokal o nazwie „Yorkville”. Za zaparowanymi szybami widać było plecy dwóch mężczyzn nachylonych nad papierowymi kubkami wydobywającymi z siebie obłoczki pary. Usłyszała zbliżający się warkot motocykla lyada jadącego po Trzeciej Alei. Szybko skręciła w 89. Ulicę.

Benjamin Baum. Kto wie, kim mogłaby zostać, gdyby go nie spotkała na swej drodze? Gdyby tylko od razu zorientowała się kim on jest i nie uległa sile jego perswazji, wtedy nie zaufałyby mu i nie pozwoliłyby na psychologiczne manipulacje jej poczuciem winy, które powodowały, że słabły bariery obronne i stawała się podatna na obietnice i pokusy. Gdyby wtedy wiedziała to, czego potem miała się tak boleśnie nauczyć - że wszyscy oni są tacy sami, po obu stronach, po wszystkich stronach. Że są takimi samymi nienawistnymi psami, które służąc swym panom, noszą błyszczące etykiety patriotyzmu, lojalności lub miłości, w gruncie rzeczy pragną tylko siły pozwalającej im kąsać i rozrywać ofiary na strzępy. Co by wówczas z nią było? Czy wyrosłaby z młodzieńczego radykalizmu? Czy zmęczyłaby się

ciągłą ucieczką i któregoś pięknego, słonecznego dnia padłaby w ramiona swej matce i pojęłaby jej prawdziwe, nieskomplikowane pragnienia? Już nigdy się tego nie dowie. To Benjamin Baum ponosi za to winę.

Szła chodnikiem, oblodzone samochody stały pośród stosów starego śniegu. Mijając szarego Farlaine'a z pracującym silnikiem, zerknęła na młodą kobietę otuloną kocem w fotelu pasażera, a potem przyspieszyła kroku. Stożące od północnej strony czteropiętrowe domy przypominały stare, czerwone oprawione w półskórek grzbiety

książek poukładanych na półce. Na wszystkich fasadach znajdowały się zardzewiałe schody ewakuacyjne, a krawędzie niewiele wyższych domów sąsiadujących z „Das Edelweiss” pozostawały w zasięgu skoku, ponieważ Martina, wybierając miejsce dla iwej matki, kierowała się nie tylko jej wygodą.

Zatrzymała się przy betonowych schodach prowadzących ku oszklonym drzwiom znajdującego się pod numerem 167 budynku o ceglanej fasadzie przeciętej metalową platformą ewakuacyjną; na mosiężnej wizytówce widniał wygrawerowany literami naśladowczymi odręczne pismo napis DAS EDELWEISS. Usłyszała za sobą Suzuki lyada. Zatrzymał się w połowie kwatera, postawił na nóżkach motocykl i wszedł do klatki schodowej po przeciwnej stronie ulicy, aby móc swobodnie prowadzić obserwację.

Rozpięła kurtkę, aby nic nie krępowano jej ruchów; odetchnęła głęboko i ruszyła po schodach do góry.

Korytarz siedziby „Das Edelweiss” wyglądał tak jak w każdej innej, przeciętnej kamienicy na Manhattanie. Drugie, również oszklone drzwi, były zamykane elektronicznie, a po jednej ze stron korytarza znajdował się długi kontuar recepcyjny przed drzwiami do biura administracyjnego. Podstarzały kierownik nocnej zmiany w niebieskim blezerze dopełniał wrażenia europejskości ośrodka. Spojrzał na Martinę znad gazety, zmrużył oczy i wpuścił ją do środka.

Na widok jego twarzy domyśliła się wszystkiego. Nie zerwał się gwałtownie, nie chwycił za telefon, ale uśmiechnął się i wyprostował na krześle. Jednak w wyrazie jego twarzy było zbyt dużo entuzjazmu. Drżały mu kąciki ust. Stary, niemiecki strażnik widząc młodą kobietę w skórzanym stroju, pojawiającą się w niedzielę o północy, powinien podejrzliwie zmarszczyć brwi.

Poczuła, że ciarki przechodzą jej po plecach i z całej siły natężyła słuch. Gdy uderzyło ją w twarz rozgrzane powietrze korytarza, zdjęła narciarską czapkę. Idąc przez kasztanowy dywan, uważnym wzrokiem obserwowała każdy cień za zielonymi fotelami i obwisłymi roślinami doniczkowymi tego zabytkowego holu.

- *Guten Abend* - powiedziała, kładąc lewą dłoń na brzeżku blatu. Prawym kciukiem podwinęła sweter, chwyciła kolbę pistoletu, a jednocześnie przysunęła się brzuchem bliżej kontuaru. Wystarczy popchnąć lewą ręką, wyciągnąć broń, odsunąć się i wystrzelić.

- *Willkommen, Fraulein* - powiedział kierownik nocnej zmiany.

Czekała na atak. Nic się nie działo. Staruszek nie przestawał oglądać jej spod szkieł w grubej, czarnej oprawce, a jego siwe, potargane włosy sprawiały wrażenie, że przed chwilą zostały nerwowo przyczesane ręką. Widząc jego naturalny uśmiech, pomyślała przez chwilę, że być może pomyliła się, lecz zaraz dostrzegła, iż rogi gazety drżą jak skrzydła motyla na wietrze.

Spojrzała na ciemny korytarz w stronę windy, a potem przeniosła wzrok na drzwi wejściowe. Nic. Szybkim ruchem zdjęła plecak.

- Przyszłam tu na spotkanie z matką.

- Jest już bardzo późno. - Nocny stróż najwyraźniej uznał za stosowne zwrócić jej uwagę.

- Ona za wiele nie śpi.

- Racja. Jak wszyscy tutaj.

Martina czekała na następne logiczne pytanie, ale staruszek tylko na nią patrzył.

- Katharina Oberst - odezwała się.
- *Ach, ja.* - Odłożył gazetę i przesunął krzesło. - Pięć C?
- Pięć A - poprawiła.
- *ja, das stimmt-* powiedział takim tonem, jak gdyby błędnie udzielił odpowiedzi na pytanie quizu.

- Najpierw jednak chciałabym włożyć coś do jej skrytki.

Nocny stróż westchnął, a Martina zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Szybko otworzyła plecak i położyła na kontuarze kopertę.

Staruszek podniósł ją i wstał z krzesła. Popchnął drzwi i wszedł do biura.

- *Der Schlüssel* - powiedziała Martina. Zatrzymał się i odwrócił do niej.

- *Bitte?*

W osłoniętej rękawiczką dłoni trzymała mały, mosiężny kluczyk. Podszedł po klucz i tym razem jej lodowate spojrzenie całkowicie wyparło mu z twarzy uśmiech. Mruknął coś pod nosem, wszedł do biura, odnalazł oznaczoną numerem metalową skrytkę, w jedną dziurkę włożył swój klucz, a w drugą Martiny. Kiedy koperta znalazła się już bezpiecznie na miejscu, zauważył, że Martina stoi tuż za nim.

Schowała do kieszeni klucz i, nie patrząc na stróża, wróciła za kontuar. Teraz pieniądze znajdowały się już w stalowej skrytce i były chronione przez prawo. Mogła zabić starego, a podarunek i tak będzie już należał do Kathariny. Oczywiście nie zamierzała tego robić, ale staruszek śmierdział zdradą i to burzyło jej krew.

- Nie zapomniał pan o czymś? - powiedziała, patrząc na windę.

- *Entschuldigung?*

- Księga.

- Ach tak. - Otworzył ogromną księgę gości w odpowiednim miejscu i, podając jej pióro, spróbował się uśmiechnąć.

Odwróciła się i nie spuszczała oczu, dopóki nie cofnął się o krok. Wtedy wzięła pióro, narysowała na kartce tylko długą, czarną kreskę, rzuciła pióro i odeszła.

Kierownik nocnej zmiany usiadł, wyciągnął metalową szufladę i odszukał buteleczkę ze sznappsem. Napił się sporego łyka, a potem położył palce na guziku otwierającym drzwi. Z utęsknieniem wpatrywał się w główne wejście. Policjanci kazali mu, aby nic nie robił, ale jego kusilo, żeby złapać za słuchawkę telefonu, wykręcić 911 i uciekać.

Martina minęła błyszczące drzwi windy, z powrotem założyła plecak, a rękawiczki schowała do kieszeni kurtki. Sięgnęła pod sweter, ścisnęła zimną kolbę P-38, otworzyła drzwi klatki schodowej dla personelu i zniknęła w środku.

Nie stało się nic. Spojrzała do góry na brązowe, metalowe poręcze, czekając na pojawienie się czyjegoś cienia, na jakiś szelest wywołany nagłym ruchem.

Cisza.

Ruszyła biegiem po ciężkich schodach, patrząc cały czas do góry. Z zaciśniętymi ustami i równym oddechem mijała gaśnice i półpiętra, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szelest jej skórzanej kurtki.

Zatrzymała się na czwartym piętrze i nasłuchiwała. Zza drzwi dobiegał stłumiony głos telewizora, lecz oprócz tego nie słyszała żadnych kroków, żadnych pleców ocierających się o ściany. Weszła na korytarz.

Pusto.

Być może myliła się, być może podejrzenia wynikały wyłącznie z postępującego wieku, który i jej dawał się we znaki. Być może było to zagrożenie zrodzone z ostrożności. Bądź gotowa na wszystko, powiedziała sobie w duchu. Ale zachowaj spokój.

Znalazła się teraz na tyłach budynku, naprzeciw korytarza wyłożonego kwiecistą tapetą, z pretensjonalnymi oprawkami jarzeniówek na kremowym suficie. Opuściła rękę, wstała z lekkiego półprzysiadu i ruszyła przed siebie.

Jednopokojowe, małe mieszkanie jej matki znajdowało się na froncie, o co zabiegała Martina i za co musiała dodatkowo płacić. Przez okno widokowe Mufler mogła obserwować, co się dzieje na ulicy i cieszyć się zmieniającymi porami roku. Podeszła do drzwi. Nie były zamknięte na klucz, co jest zasadą w domach, których mieszkańcy często przewracają się, łamiąc sobie przy tym kości.

Martina przekręciła szklaną klamkę i lekko popchnęła drzwi.

Pierwsze co ją uderzyło, to unosząca się woń naftaliny i wełny rozgrzanej wysoką temperaturą otoczenia. Uśmiechnęła się, gdy do jej nozdrzy doleciał zapach mocnej, czarnej kawy parzonej ze skorupkami jaj, tak jak Muttr/ zawsze lubiła.

Zamknęła za sobą drzwi. Jedyne światło w pomieszczeniu padało z lampy na wysokim, mosiężnym statywie, stojącej przy oparciu wygodnej sofy, którą przed kilku laty kupiła Martina. Sofa stała tyłem do niej, a z boku widoczny był niski stolik do kawy z wypolerowanym do połysku blatem. Na ścianie po prawej stronie jak zwykle stała na swoim miejscu mahoniowa szafka, a dla równowagi na ścianie po lewej stronie - okrągły stolik. Na resztę dekoracji składały się oprawione w ramki obrazy przykrywające każdy skrawek pionowej powierzchni łącznie z osłonką kaloryfera pod oknem. W srebrnych, mosiężnych i tekowych ramkach znajdowały się zdjęcia tak dobrze jej znane, że nie musiała na nie patrzeć, aby wiedzieć, co przedstawiają.

Na większych prezentował się przeważnie *Papa*, a to w wełnianym garniturze i kapeluszu, a to w tyrolskich spodniach i flanelowej koszuli, a to ze zwojem liny do wspinaczki przerzuconej przez ramię. Na niektórych obejmował młodą i roześmianą Katharinę, na innych płonął z dumy pod pełnymi uwielbienia spojrzeniami swojej żony i córki z warkoczami. Czasami pozował z innymi mężczyznami nachylonymi dumnie nad stołami kreślarskimi, a na wszystkich tych fotografiach - z wyjątkiem jednej czarno-białej w mundurze Wehrmachtu - szeroko się uśmiechał.

W pokoju wisiały też inne obrazki, a gdzieś tam także wycięte z książek scenki bawarskie. Nie było ani jednego widoczku z Argentyny, jak gdyby tamten okres miał zostać wymazany z historii. Na kilku portretach znajdowała się młoda dziewczyna, którą mogła być Martina, ale naprawdę była to bliźniaczko podobna do niej modelka paryskiej agencji reklamowej. Wiedząc, że matce pogarsza się wzrok, Martina zastąpiła wszystkie pamiątki po sobie zdjęciami tej obcej kobiety.

Wpatrywała się w wysokie oparcie bujanego fotela kołyszącego się przy oknie, na ciemnych szybach zaczynały pojawiać się płatki padającego śniegu. Ze starego radia syczały się dźwięki Piątej Symfonii Beethovena, choć Martina wiedziała, że program ten został wybrany przypadkowo. Pokręła regulującego częstotliwość nikt nie dotykał chyba od roku.

Wolnym krokiem ruszyła przez mały, mroczny pokój w lewą stronę, z napiętymi mięśniami przyjrzała się całemu miejscu, otworzyła gwałtownie drzwi do łazienki,

a zaraz potem lekko się odprężyła. Podeszła do bujanego fotela, delikatnie zatrzymała go i z uśmiechem spojrzała w dół.

- *Grub Gott, Mutti*- szepnęła wesoło, pochylając się i całując matkę w bielutkie włosy. Katharina podniosła wzrok znad robótki ręcznej i, nie przestając podśpiewywać

do taktu Beethovena, ani nie okazując nic więcej ponad umiarkowane zadowolenie, uśmiechnęła się.

- *Grub Dich, Schatzi* - powiedziała Katharina, jak gdyby córka właśnie wróciła z popołudniowych zakupów. - *Ein schöner Abend, stimmt's?*

- Tak, *Mutti* - przyznała Martina. - Przepiękny wieczór.

Nie chcąc zbyt długo wystawać przed oknem, przyklękła na podłodze i odwróciła do siebie fotel. Matce ta nagła przejażdżka sprawiła przyjemność, a Martina zauważyła, że Katharina robi na drutach gładką kapę, niebieską z dużymi otworami pośród grubych splotów.

- Jak się czujesz? - Martina położyła dłonie na kościstych kolanach przykrytych różową,

flanelową podomką.

- Jak? - Zapytała Katharina jak gdyby to pytanie było częścią stałym elementem powtarzanej gry. - Staaaro - zaśpiewała, pochylając się i przykładając swoje czoło do czoła Martiny.

Roześmiały się, a Martina mimo przesadnego śmiechu patrzyła twardym wzrokiem. Wpatrywała się w oczy matki, które błyszczały teraz zapewne takim samym błękitem, jak przed wielu laty w alpejskim powietrzu. Szukała w nich smutku, domysłów o kłopotach córki, o jej samotności, o grożących niebezpieczeństwach. Niczego takiego nie znalazła.

- Ale nie aż taaak staro - dodała matka. Martina pocałowała ją w policzek, a potem szybko zdjęła plecak, pogrzebała w środku i wyjęła długie pudełko czekoladowych buteleczek z likierem.

- Coś ci kupiłam - powiedziała, kładąc pudełko matce na kolanach, lecz Katharina nawet na nie nie spojrzała. Zamiast tego wyciągnęła przed siebie kościstą dłoń i dotknęła twarzy córki.

- *Meine Liebste* - powiedziała.

Martina położyła dłoń na jej ręce i na moment zamknęła oczy, starając się zachować w pamięci ten dotyk. Zakładając z powrotem plecak poruszyła się i poczuła ucisk lufy pistoletu na pachwinie. Przypomniała sobie, że nie ma chwili czasu do stracenia. Wzięła do rąk dłoń matki.

- *Mutti* - powiedziała, starając się dotrzeć do ostatniego skrawka świadomości matki. - Będę musiała wyjechać.

- *Ja, natürlich*. Pamiętaj przynieść ze sobą ciasto do kawy, Marti.

- Nie, *Mutti* - Martina ścisnęła ją odrobinę mocniej. - Wyjeżdżam być może na dość długo.

- Ależ tak, ja to wiem, moja droga. Ale przecież zawsze wracasz, prawda?

- Tak, *Mutti*. Wrócę.

- I sprawisz mi jakąś słodką niespodziankę?

- Postaram się przywieść coś naprawdę specjalnego.

- I odwiedzisz mnie chociaż na chwilę?

- Przecież zawsze cię odwiedzam, *Mutti*.

- Tak, dobra z ciebie dziewczynka. Twój przyjaciel też tak mówił.

- Tak?

Martina poczuła ból w piersiach. Jej przyjaciel? Jaki przyjaciel? Nie ma żadnych znajomych, których znałaby jej matka. Na jej twarzy nie drgnął jednak ani jeden mięsień, a jej głos pozostał niewzruszony.

- *Ja*, bardzo miły mężczyzna. - Matka wesoło pogroziła jej palcem. - *Ein* džentelmen - powiedziała to takim tonem, jak gdyby ostrzegała Marti, aby nie dała sobie złamać serca.

- Tak, džentelmen. - Martina zmusiła się do uśmiechu. - Też tak uważasz?

- *Ach, ja* - zachichotała Katharina.

- To *Herr* Franz - powiedziała Martina z ostatnią krztą nadziei, że ów przyjaciel zrodził się z matczynej wyobraźni.

- Tak - odparła matka, ale zaraz pokręciła głową. - Nie! *Herr* Klein. Martina wstrzymała oddech. Klein. Hugo Klein.

A więc był tu Benjamin Baum.

A potem, starając się uspokoić krew i skoncentrować na dźwiękach dobiegających z budynku, usłyszała to. Wyczuwała już wcześniej, ale zignorowała to jak stary Kalifornijczyk lekceważący mikrowstrząsy tektoniczne. Odgłosy szybkich kroków z odległej klatki schodowej.

Podniosła się, podeszła do drzwi, na jej ustach pojawił się dziki grymas. Wyciągnęła *P-38*. Już miała wyskoczyć za drzwi, gdy usłyszała za sobą skrzypnięcie bujanego fotela. Matka podniosła się i poszła za nią.

- Marti? - Katharina nadal mówiła wesołym głosem, nie wyczuwając diametralnej zmiany nastroju.

Martina odwróciła się, opuściła pistolet do prawego uda, a drugą ręką sięgnęła do podbródka matki.

- Usiądź, *Mutti* - szepnęła, a każda milisekunda opóźniała jej działanie. - Idź usiąść. - Mocno pocałowała ją w czoło. - Zaraz wrócę.

Odczekała aż Katharina powróciła do okna. Wtedy otworzyła drzwi.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi z mieszkania po prawej stronie i zza futryny wyłoniła się sylwetka młodego mężczyzny. Był to wysoki blondyn ubrany w długi płaszcz oraz krawat i przez chwilę Martina myślała, że śledził ją aż do tego miejsca agent niemieckiego BKA. W prawej dłoni trzymał chromowany pistolet wycelowany w podłogę, a w lewej mały radiotelefon, na jego pasku błyszczała złota odznaka. Patrzył Martinie prosto w twarz, a potem spojrzął jej przez ramię. Wiedziała, że obecność z tyłu jej matki paraliżuje działanie tego człowieka. Podniosła *P-38*, wycelowwała w otwarte ze zdziwienia usta i odbezpieczyła, a echo kliknięcia rozniosło się po korytarzu.

O'Donovan cofnął się do pustego mieszkania, upadł na drewnianą podłogę, a radiotelefon potoczył się na bok. Udało mu się stopą zahaczyć o brzeg drzwi i zatrzasnąć je. Z pistoletem trzymanym oburącz między kolanami leżał na plecach i wstrzymał oddech.

Martina, celując w podłogę, sięgnęła za siebie lewą ręką, znalazła klamkę i zamknęła mieszkanie matki.

W odległym końcu korytarza otworzyły się drzwi prowadzące na klatkę schodową i wyłoniły się dwie postacie. Martina wycelowwała do nich z pistoletu, a oni oświetleni światłem jarzeniowym zamarli w bezruchu.

Benni Baum ubrany był w zniszczoną, wojskową kurtkę polową oraz ciemną, wełnianą czapkę. Za nim wynurzyła się ogromna postać Jerry"ego Bindera, jego żółty kapelusz stanowił doskonały cel do strzału, a on zupełnie o nim zapomniał.

Benni nie miał broni. Powoli rozłożył ręce, pokazując puste dłonie. Widział lufę pistoletu Martiny - maleńki wylot wydawał mu się wielki jak tunel kolejowy. Skierował uwagę jednak na Martiny oczy, te jaskrawo-błękitne szkiełka błyszczące po obu stronach nosa niczym rozszalałe morze. Usta miała mocno zaciśnięte.

- Benni, odsuń się - wyszeptał Binder przez zaciśnięte zęby. Trzymał pistolet w taki sposób, żeby nie widziała go Martina. - Ja się nią zajmę.

- Nie - natychmiast odrzekł Benni. - Nie tutaj.

Postąpił jeden krok naprzód tak wolnym i opanowanym ruchem jak tancerz baletowy. Poruszył palcami, aby dać do zrozumienia, że nie ukrywa niczego w rękawach. Odezwał się do niej po niemiecku.

- Martina - powiedział najłagodniej jak potrafił, chociaż jego serce już odczuwało uderzenie nadlatującej kuli. - Posłuchaj mnie.

Przez jedną sekundę miał nadzieję, ponieważ Martina nie poruszyła się. Później jednak spochmurniała i podniosła podbródek.

- *Nein*. - krzyknęła. - Nigdy więcej! Nie ciebie!

Gdy huk strzału wypełnił korytarz, Binder złapał Benniego za kołnierz i, przewracając się na plecy, pociągnął go za sobą. Oślepił ich błysk, rozległ się złowieszczy świst, kula przeleciała nad ich głowami i utkwiała w ścianie. Przeturlali się przed siebie. Binder wstał i wycelowwał pistolet w cień, podczas gdy Martina zdążyła zniknąć za drzwiami po swej lewej stronie. O'Donovan wyskoczył ze swego mieszkania, a na widok pistoletu Bindera przyłgnął do ściany.

Na ulicy strzał Martiny był tylko przytłumionym stuknięciem, nie głośniejszym niż skrzypnięcie w garderobie z ubraniami. Ktokolwiek jednak spodziewał się go, wiedział, co to jest.

Ruth znieruchomiała, słysząc przygłuszony strzał; wpatrywała się w „Das Edelweiss”. W jednej chwili, gdy wyobraziła sobie osuwające się ciało ojca, ogarnęła ją panika i ruszyła w stronę wejścia do budynku. Poślizgnęła się na oblodzonej ścieżce, ale Aaron Davis powstrzymał ją mocnym uściskiem.

- Puść mnie! - krzyknęła, lecz wysoki mężczyzna nie rozluźnił uścisku. Również patrzył na budynek, z radiotelefonu rozległ się nagle zakłócany trzeszczeniem szept O'Donovana.

- Aaron, wezwij antyterrorystów. Mogą się pojawić zakładnicy.

- Zrozumiałem - odpowiedział szeptem Davis.

Razem z Ruth odwrócili głowy na dźwięk silnika potężnego motocykla. Zgodnie z instrukcjami Martiny, Iyad miał odciągnąć uwagę, jednak gdy znalazł się w centrum uwagi Franka Mancuso - który miał za zadanie obserwować obstawę Klump - spanikował. Mancuso ubrany w czarną kurtkę narciarską i baseballową czapkę wypadł z klatki schodowej domu po drugiej stronie ulicy i pobiegł między parkującymi samochodami. Wyciągnął rewolwer i krzyknął coś, gdy wielkie Suzuki odjeżdżało z piskiem opon.

Iyad przypomniał sobie nagle, że miał pozbyć się sakwy. Chciał ją wyrzucić, lecz Martina surowo zabroniła mu zostawiać fałszywy ślad w tak ostentacyjny sposób.

Postanowił więc ruszyć motocyklem i w ten sposób zgubić torbę, popełnił jednak błąd, oglądając się za siebie. Tylne koło wpadło w poślizg na skrawku śniegu i cały pojazd przewrócił się ciężko na prawą stronę. Osłona silnika poszorowała po bruku i motocykl wpadł pod podwozie zaparkowanego Jeepa Cherokee.

Iyad krzyknął, czując, że pęka mu lewa nogawka spodni. Szamotał się chwilę jak uwiązany rumak, ale po chwili udało mu się uwolnić. Pociągnął z całej siły za kierownicę, lecz motocykl zablokował się pod samochodem. Iyad wstał i pobiegł w stronę Drugiej Alei, po drodze zdjął i wyrzucił kask.

W ciemnym mieszkaniu, znajdującym się obok mieszkania matki, Martina zauważyła na tacy plastikowy talerz. Złapała go, odwróciła do góry nogami, rzuciła na podłogę i wbita kopnięciem pod drzwi.

Usłyszała dobiegający z sypialni słaby, przestraszony głos.

- *Was ist das? Was ist das?*

Podbiegła do okna w salonie i pchnęła dłonią drewnianą futrynę. Świeżo malowane ramy nawet nie drgnęły, więc Martina odwróciła się do pokoju, a jej wzrok padł na drewnianą skrzynkę z przyborami do robienia na drutach. Instynktownie wyczuwając, co się dzieje na korytarzu, wycelowała pistolet w drzwi, zamknęła oczy, żeby nie oslepił jej błysk, i wypaliła po raz kolejny. Schowała P-38, podniosła skrzynkę i, obróciwszy się wokół własnej osi niczym dyskobol, rzuciła ją w okno, rozbijając szybę i rozrzucając kolorową wełnę w ciemnościach nocy.

O'Donovan i Binder przyciskali plecy do ściany, każdy z innej strony drzwi. Po lewej stronie Bindera stał Benni i wszyscy trzej patrzyli na wykładzinę upstrzoną drzazgami powstałymi z dziury po strzale Martiny. Drzwi do mieszkania jej matki zaczęły się bardzo powoli otwierać, ale O'Donovan sięgnął za klamkę i zatrzasnął je. Detektywi trzymali oburącz broń, a na dźwięk rozbijanego szkła, O'Donovan skinął głową.

Binder uniósł zgiętą w kolanie nogę i kopnął w drzwi. Otworzyły się i zakotływały luźno na zawiasach. Ze środka dobiegał krzyk starszej osoby; O'Donovan z bronią przed sobą wskoczył do mieszkania.

Przez rozbite okno wpadał wiatr, na czarnym tle nocy odznaczały się białe płatki śniegu.

- Jeny, weź schody - rozkazał O'Donovan.

- Tak jest! - powiedział Binder, odwracając się do Bauma. Izraelczyk jednak biegł już korytarzem, więc podążył za nim ciężkim krokiem.

Na ulicy Ruth i Davis, słysząc szcęk rozbijanego szkła, pobiegli do zachodniej części „Das Edelweiss”, gdzie od sąsiedniego budynku dzieliło go ponad trzy i pół metra. Dołączył

do nich zdyszany Mancuso z sakwą i cała trójka przypatrywała się z daleka nogom Martiny nikiącym za ostatnim szczeblem żelaznej drabinki prowadzącej na dach.

Davis przyłożył do ust radiotelefon.

- Mike, ona idzie na górę.

- Gówno prawda - padła ostra odpowiedź, a zaraz potem O'Donovan stanął na platformie ewakuacyjnej. Zaczepił płaszczem o resztki szyb i znów szkło posypało się na ziemię. Trzymając się blisko ceglanej ściany, szybko podszedł do drabiny. Spojrzał do góry, a potem na twarze ludzi zgromadzonych na dole. Miał potargane

włosy, a rozpięty płaszcz powiewał niczym peleryna, gdy chował radiotelefon do kieszeni. Podniósł lewą rękę do góry i zaczął się wspinać.

W drzwiach do „Das Edelweiss” pojawił się Benni i Ruth dostrzegła na jego twarzy, tę samą zaciętość, którą okazywał podczas weekendowych rozgrywek piłkarskich. Jednak bez radosnej bez troski wyglądał przerażająco. Minął Ruth i pomknął pod górę w stronę Trzej Alei, tuż za nim biegł Binder.

- Davis! - krzyknął zdyszany Binder, zaskoczony szybkością masywnego Izrael-czyka. - Idźcie z Mancuso drugą stroną!

Davis i Mancuso natychmiast pobiegli we wskazanym kierunku, a Griffin zawrócił na jezdni taksówką i pojechał za nimi. Ruth została sama. Przez chwilę rozglądała się, nasłuchując zbliżających się syren, widziała światła zapalające się w pobliskich budynkach. Zdecydowała się ruszyć za ojcem.

Martina nie wahała się ani trochę. Przebyła tę drogę już wcześniej i teraz musiała tylko biec szybciej. Odległość od tyłu „Das Edelweiss” i budynku przy 19. Ulicy była zbyt duża do przeskoczenia, lecz od budynku stojącego po stronie wschodniej dzieliły ją tylko niecałe trzy metry. Rozpędziła się po ubitym śniegu, przeskoczyła murek i znalazła się na sąsiednim dachu.

Słyszała za sobą kroki policjanta, zwolniła w połowie dachu, dobiegały ją rozwiewane przez wiatr okrzyki, odbiła trochę w lewo, znów nabrała prędkości, odbiła się od okapu i poszybowała nad czarną przepaścią. Na drugim dachu wykonała idealne lądowanie spadochroniarza - gdy jej stopy zetknęły się z podłożem, impet skoku rozłożył się na łydki, uda, biodra, a potem upadła na bok i przetoczyła się. Uklękła, wyciągnęła pistolet i słuchała coraz szybszych kroków policjanta przygotowującego się do powtórzenia jej skoku. Potem nagle skoczyła na równe nogi i podniosła P-38. Policjant szeroko otworzył usta, zamachał rękami i osunął się na plecy, wypuszczając kłęby białej pary. Martina nie musiała strzelać. Wystarczyło, że wytrąciła go z rozpędu.

Biegąc zygzakami, na wypadek gdyby próbował strzelać, przemierzyła dach i zatrzymała się przy krawędzi dachu budynku numer 210 przy Wschodniej 19. Wychyliła głowę i z wysokości kilku pięter spojrzała na zachód, a potem na wschód. Jeszcze nikogo. Ale na pewno nadejdą.

Schowała pistolet, chwyciła za oszronioną drabinę i, przesuwając stopy po pionowych drążkach, spuściła się na pierwszą platformę wyjścia pożarowego. Potem podbiegła do metalowych schodów i, przeskakując nad poręczami, w ciągu dziesięciu sekund znalazła się na najniższej platformie. Nie zwracając uwagi na ból dłoni, zeskoczyła z wysokości trzech metrów na chodnik.

Zza rogu wyłonił się Baum, za którym biegli Binder i Ruth. Martinie nie zostało do przebiegnięcia już daleko.

Po drugiej stronie ulicy, trzydzieści metrów od chodnika, stał smukły wieżowiec Rupper Tower. Do jasnego, oszklonego holu prowadził kręty, asfaltowy podjazd z murkiem sięgającym człowiekowi do piersi. Za murkiem rozciągał się prywatny park ze ścieżkami wykładanymi ceglami i bezlistnymi drzewkami tworzącymi mały, miejski lasek.

Ona jednak czekała po południowej stronie ulicy z lewą ręką przy ośnieżonym kufrze

samochodu, przechylona na tyle, żeby nie można było do niej wycelować z pistoletu, ale zbyt mało, żeby stracić ją z pola widzenia. Trójka nadchodząca z góry

ulicy skręciła w jej kierunku. Z prawej strony dwóch mężczyzn, poruszając zgiętymi w łokciach ramionami, biegło pod górę, a za nimi podążała żółta taksówka.

Martina ciężko oddychała - bardziej jednak ze złości niż ze zmęczenia ucieczką. W domu mojej matki! - prawie krzyknęła. W domu mojej matki! Powstrzymała się przed pokusą wyjścia na ulicę i otworzenia ognia. Czekać, rozkazywała sobie. Czekać. Musi zmniejszyć dzielącą ich odległość.

Baum znajdował się o cztery długości samochodu od niej, a mężczyźni nadchodzący z prawej strony byli niewiele dalej. W tym momencie Martina, angażując wszystkie swe siły, rzuciła się na drugą stronę ulicy. Grymas rozkoszy pojawił się na jej twarzy, gdy usłyszała z góry pełen złości krzyk policjanta, który ścigał ją wyjściem pożarowym. Uderzenia jej butów o podłoże oraz szelest skórzanej odzieży mieszały się z krzykami goniących ją ludzi. Opierając jedną rękę na murku przy podjeździe, podskoczyła, znalazła się po drugiej stronie i pobięła przez park.

Na czele grupki cały czas biegł Benni, Jerry Binder starał się dotrzymać pułkownikowi kroku. Niedaleko za nimi podążała Ruth, nie wiedząc do końca, po co bierze udział w gonitwie. Davis i Mancuso zbliżyli się do Bindera i Bauma, biegnących z pistoletami uniesionymi jak olimpijskie pochodnie.

Benni dotarł do murku, oparł dłonie, odbił się od ziemi i, przelatując bokiem nad murem, zeskoczył po drugiej stronie na nogi. Binder w końcu dogonił go, również przeskoczył przeszkodę i we dwójkę pobiegli za uciekającą sylwetką. Dyszeli jak lokomotywy, a ich serca mężczyzn w średnim wieku dawały do zrozumienia, że wkrótce trzeba będzie przerwać pościg.

Pomiędzy pniami drzew widzieli wysokie metalowe ogrodzenie kończące park. Z lewej strony łączyło się z bokiem Ruppert Tower, a z prawej prowadziło z powrotem do ulicy. Za ogrodzeniem była już tylko ciemność, wysoko położony park kończył się głębokim uskokiem. Binderowi zaświtała nadzieja, że Martina Klump wreszcie popełniła błąd i znalazła się w pułapce. Jednak Benni nie łudził się.

Rozpędzona Martina dobiegła do ogrodzenia i, nie wahając się ani chwili, złapała za poziomy drążek, weszła na niego niczym pająk, stanęła wyprostowana i poruszając ramionami jak dający susa do wody nurek, skoczyła. Gdy doleciała do znajdującego się o prawie dwa metry od ogrodzenia słupa lampy, rozległ się głuchy dźwięk. Obrotowym ruchem spuściła się na dół.

Binder uświadamiając sobie, że nie powtórzy wyczynu kobiety, uderzył wielką dłonią w płot i ryknął:

- Kurwa mać!

Benni dobiegł do Amerykanina, spojrział w dół, a potem osunął się plecami na świeży śnieg, starając się złapać oddech...

Sześć metrów niżej Martina dotknęła podeszwami butów nisko położonej alei rozwidlającej się na parking pod wieżowcem oraz w drugą stronę do 91. Ulicy. Ruszyła biegiem i stawiając jak największe kroki, starała się trzymać blisko budynków.

Trasa ucieczki sprawdziła się, lecz satysfakcję Martiny zakłócały emocje sprawiające, że na jej twarzy malowała się szaleńcza wściekłość.

- Chcesz się bawić w rodzinne gry, Benni? - wyszeptwała, biegnąc przez noc. - Ja też to potrafię.

9

Lexington Avenue, Nowy Jork

Podpułkownik Benjamin Baum spojrział na swoje dłonie. Spoczywały na brzegu niewielkiego stolika. Odwrócił je wnętrzem do góry, a porośnięte włoskami grzbiety legły na

białym obrusie. Ręce miał szorstkie, palce grube i pękate jak tanie cygara, linie papilarne dłoni przypominały spękane dno wyschniętego koryta rzeki. Płaska, złota obrączka ślubna zablokowała się za kostką serdecznego palca i nie dałaby się zdjąć bez rozcinania metalu albo ciała.

Zastanawiał się, jak nieżyjący już od dawna rodzice mogli marzyć, że te ręce będą pomykać nad delikatną klawiaturą fortepianu albo jak kobieta, którą kiedyś poznał, pozwoliła tymi łopatomy pieścić swoje piersi. Te dłonie nadawały się do ściskania pistoletu, wystukiwania numeru na klawiaturze radiotelefonu, poszturchiwania roztrzęsionego podwładnego lub łapania przeciwnika za klapy. Przechodziły przez nie setki różnych walut. Niektórym uratowały życie, a innym odebrały z taką samą łatwością, z jaką strzepywały kurz z nogawek spodni.

Tak jak ręce sławnego aktora, dłonie te należały do jednego człowieka, a swym gestem prezentowały innego. Były rękami małego dzieciaka nazywanego Bibi i potężnego byka, którego nazywano Benni. Należały do Hansa-Dietera Schmidta, Hugo Kleina, George'a Harringtona, a także do Antoine'a Arbre'a, Maxwella Pine'a i Nigela Trunka. Parę z tych osób już nie żyło, inne przebywały czasowo w stanie spoczynku, lecz tożsamości ich wszystkich przetrwały w sejfie wraz z popełnionymi przez nie czynami - morderstwami, aktami bohaterstwa, oszustwami i uwiedzeniami - układającymi się w tak logiczną historię, jak gdyby tych sześć osób było prawdziwymi ludźmi z krwi i kości, którzy przeżyli swoje lata od narodzin do śmierci.

Wszyscy oni mieli tę samą parę rąk i Benni, patrząc teraz na tę swoją osobistą broń, której pozazdrościłby mu niejeden mistrz Tae Kwon Do, wpadał w prawdziwe zdumienie. Na stoliku przed nim stał duży biały talerz ze wspaniałym soczystym stekiem i porcją opiekanych ziemniaków. Kunsztowne garni dopełniło kompozycji tego dania wyglądającego jak prosto z czasopisma dla smakoszy. Dania, które pozostawało nietknięte.

Po raz pierwszy odkąd sięgał pamięcią, stracił coś, czego nie pozbywało się żadne z jego wcieleń, pomimo napięć, niebezpieczeństw, a nawet nieuleczalnych chorób.

Stracił apetyt.

Wolnym ruchem podnosząc nóż i widelec, delikatnie ścisnął rękę. Jednak ten stołowy ryzsztunek odmawiał udziału w walce i Benni siedział nad swoim talerzem, jak więzień protestujący w stołówce zakładu penitencjarnego.

Podniósł wzrok i rozejrzał się po niewielkiej sali restauracyjnej, szklanki z wodą drżały pod wpływem przejeżdżającego metra, biznesmeni emocjonowali się najważniejszymi tego dnia transakcjami, przejęciami firm i rozmowami. Długi owalny bar z drewna tekowego stanowił barykadę broniącą setek butelek wina i piwa stojących na półkach niczym stalaktyty. Żadna ściana nie dzieliła restauracji od holu hotelu „Loew's Summit”,

więc Benni obserwował dwóch zmęczonych pilotów linii El Al w czapkach naciągniętych na siwe włosy, jak ciągną firmowe walizki do kontuaru recepcyjnego. „Loew's” zajął miejsce „Lexingtonu” i teraz on spełniał funkcję nieoficjalnego miejsca kwaterunku przedstawicieli izraelskiego rządu przyjeżdżających do Nowego Jorku. Budynek ten był odnowiony i wyszykowany na wysoki połysk, lecz Benni tęsknił za „Lexingtonem”.

Zwrócił uwagę ogromny odbiornik telewizyjny ukazujący obraz pomarańczo-wobrazowych piasków pustynnych. CNN donosiła o impasie w działaniach ONZ--owskich inspektorów do spraw broni nuklearnej w Iraku. Najwyraźniej nikogo z zjadających obiad nie interesował ten dramat. Wszyscy jednak podnieśli wzrok, gdy na ekranie pokazały się notowania giełdowe.

Benni skapitulował i odłożył sztucce. Podniósł palec i w jednej chwili pojawiła się kelnerka w zapiętym pod szyją białym kołnierzyku.

- Czym mogę służyć, sir?
- Chciałbym się czegoś napić. - Usiłował się uśmiechnąć.

- Perrier?
- Nie. Poproszę Becka.
- Oczywiście.

Odruchowo sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Skrzywił się na widok białoczerwonego pudełka Marlboro, bo przypomniał sobie, że skończyły się jego izraelskie papierosy.

Na długo przed świtem zbudził go telefon od Itzika Ben-Ziona. Nie przeszkadzała mu akurat taka pora, bo w swoim zawodzie przyzwyczał się do tego, że niepokoiono go we śnie. Chodziło mu raczej o to, co powiedział Itzik i jakim to zrobił tonem.

- Dosyć tego, Baum - warknął generał bez powitania. - Jutro masz wracać.
- Itzik, tu robi się gorąco - nalegał Benni bez większej nadziei. - Wydarzenia nabierają bardzo ciekawych kształtów.
- Widziałeś się z córką?
- Tak.
- A z Ben-Czecho?
- Tylko raz. Dzisiaj znów idę na widzenie.
- W porządku. Na twoje miejsce wysłałam specjalny oddział.
- No wiesz, Itzik...
- Nie muszę ci chyba przypominać o priorytetowym znaczeniu twojej misji. Masz wracać jutro. To rozkaz. - Trzask słuchawki.

Nie było sposobu na wyjaśnienie komendantowi, z jakich powodów wybuch bomby okazał się tak ważny. Aby to uczynić, musiałby wyjaśnić wiele skomplikowanych kłamstw, a nawet wówczas generał mógłby słusznie powołać się na „priorytet”.

Na obrusie przed nim kelnerka ustawiła szklankę i szybkim ruchem nalała do niej piwa z zielonej butelki. Benni przyglądał się jej dłoniom, myśląc o tym, że Niemcy uczynili z nalewania piwa długi rytuał, a Amerykanie chcą nalewanie mieć jak najszybciej poza sobą, podczas gdy Izraelczycy zawsze piją prosto z butelki.

- Nie smakuje panu? - zapytała kelnerka z troską w głosie.
- Wszystko w jak najlepszym porządku - uspokoił ją Benni.

Mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona pokiwała mu ręką i odeszła. Na twarzy Benniego znów pojawiło się zatroskanie.

Pożegnalna wizyta u Mosziko nie poprawiła mu humoru. Chłopak już w pełni zdawał sobie sprawę z odniesionych obrażeń, a przyjmowanie leków tylko na jakiś czas przynosiło ulgę i uwalniało od świadomości amputowanej ręki i straconego oka. Błędny dowcipy o niepohamowanych seksualnych i politycznych osiągnięciach Mosze Dajana. Ben-Czecho przeniesiony został do oddzielnego pokoju i mógł już wstawać. Teraz, kiedy zdobył pewność, że przeżyje, czekające go życie kaleki nie było losem, za który mógłby dziękować.

Za mniej więcej tydzień będzie mógł być przetransportowany do Izraela na rehabilitację w Tel Haszomer. Benni obiecał, że zadzwoni do swego starego przyjaciela Naftaliego Rossmana, okaleczonego na wojnie dowódcy jednostki medycznej, który potrafił czynić cuda z młodymi Izraelczykami po podobnych przejściach. Nie wspominając ani słowem o Martinie Klump, zapewnił też chłopaka, że śledztwo posuwa się w przyzwoitym tempie.

Młoda i piękna, choć przemęczona Kathleen, przeglądała izraelskie broszurki turystyczne, które jakaś dobra dusza przyniosła jej z konsulatu. Obrazy tamtego obcego kraju i innej kultury upewniały ją tylko w przekonaniu, że już nigdy więcej nie zobaczy swego ранnego wojownika. Obserwowała go, jak przechadza się przy oknie, z nerwowo poruszającą się ręką pod szpitalnym strojem, jak spogląda na śnieg. Ich miłość osłabła pod wpływem narastającej przepaści, która wynikała z braku wspólnych przeżyć...

Benni zaciągnął się głęboko Marlboro, rozsunał zęby i wciągnął nosem wstążeczkę dymu przypominającą dzina wracającego do swej lampy. Kobieta siedząca po drugiej stronie

zmierzyła go wzrokiem, ale ponieważ siedział w części dla palących, wytrzymał jej spojrzenie, napił się piwa, a ona odwróciła się zdegustowana.

Być może alkohol przywróci mu apetyt. Brak ochoty do jedzenia to u niego dziwne zjawisko, lecz dobrze wiedział, czym zostało spowodowane. Opuszczał pole działań i czyn ten kojarzył mu się z akuszerką wychodzącą na obiad podczas trudnego porodu.

Znów poczuł uwierający ból w okolicach przełyku, lecz to nie wybujale ego dawało znać o sobie, gdyż Benni nigdy nie uważał siebie za solistę. Na tym etapie odwołałby się do specjalistów, podzielił role i zorganizował centrum dowodzenia. Nawroty poczucia winy wywoływała dwoistość uczuć, jakimi darzył Martinę Klump.

Jej udział w podłożeniu bomby nie ma żadnego sensu. I mieć nie musi, powiedział do siebie w duchu, wypijając resztkę piwa z dna szklanki. Ten czyn może stać samotnie, jak okrutne dzieło sztuki rzeźbiarskiej w ogromnej galerii bliskowschodnich polityków. Jednakże, jak twierdziła Ruth, dzieło sztuki bez podpisu autora nie ma wartości.

Zaplanowanie ataku na krótko przed wymianą więźniów mogło tylko być *tziruf mikrim* - komplikowaniem wypadków, jak Hebrajczycy określają zrządzenie losu. Podobnie jak wszyscy dobrzy rabini i profesjonaliści z wywiadu, Benni nie wierzył w zbiegi okoliczności.

- Martina - poruszył lekko ustami, odstawiając na stół pustą szklankę. Poczł, że papieros przypala mu palce i odpalił następnego od niedopałka. - Gdybym tylko mógł z tobą porozmawiać.

Rozumiał jej pragnienie zemsty, bo gdyby był na jej miejscu, taki sam ogień trawiłby mu serce. Co ją jednak mogło skłonić do wyciągnięcia wniosku, że wybuch

bomby w Nowym Jorku mógłby ugodzić w niego, skoro przebywał w Jerozolimie? Jeśli wiedziała o więzach łączących Benniego z Mosziko, mogła znać harmonogramu służb w konsulacie, żeby wysłać żywą bombę akurat w godzinach pracy chłopca. A nawet jeśli udałoby jej się dotrzeć do tych informacji, to atak na miejsce tak oddalone od Benniego nie licował z jej odwagą.

Gdyby tylko mógł z nią porozmawiać, przeprosić ją i wszystko wyjaśnić. Wystarczyłoby mu kilka krótkich minut, aby przekonać ją, że incydent w Bruchsal był straszliwą pomyłką. Bez względu na wszystko, co ona myśli, nie rzucał słów na wiatr. Nie obiecywał jej bezpiecznej ucieczki przy jednoczesnym nasyłaniu na nią snajpera. Wystarczyłaby jedna prośba wystosowana przez jego rząd, a bez problemu dostałaby dożywocie. Można też było wysłać Bernarda Lokojewskiego na krótką konferencję i popełniłaby w celi „tragiczne samobójstwo”.

Rozumiał jej rozgoryczenie, a nawet to, że związała się z libańskimi terrorystami. On miał dość władzy, mógł spowodować, aby zapomniano o jej zbrodniach, lecz aby do tego doszło, ona musiała go posłuchać. Czuł się jak ojciec córki, która wstąpiła do radykalnej sekty, i krótkie wysłanie jej na obóz rehabilitacyjny nie może za wiele zmienić.

Akta Tango. Przeklinał teraz tę grubą tekę raportów, transmisji i komentarzy podwójnie zakodowanych i nierozszyfrowywalnych dla nikogo prócz niego. Spoczywała teraz w jego sejfie, niczym mumia zawinięta w zgniłe bandażę kłamstw. Jakże żałował teraz, że nie podzielił się tymi informacjami z nikim, nawet Itzikem Ben-Zio-nem, ponieważ sam musiał teraz dźwigać ciężar wstydu i odpowiedzialności. W tym samym, pozbawionym powietrza grobowcu, leżały także inne akta - operacji Księżyc. Były to szczegóły na temat wymiany jeńców, która, jak się zdawało, miała przebiec rutynowo, lecz Benni wyczuwał, że wisi nad nią jakieś niebezpieczeństwo, którego nie potrafił sprecyzować.

Benni ujrzał przed oczami pewien obraz, rozparł się na krześle i zgasił papierosa w maselnicy. Tango pod Księżycem. Połączeni ze sobą w jakiś dziwny sposób, obejmują się i posuwają, jakby tańczyli jakiś gorący taniec, przybliżają się do siebie, potem odstupują, pieszczą się, ale w dłoniach ukrywają sztylety.

Jaki to wszystko ma ze sobą związek? Gdyby tylko był teraz z nim Eytan Eckstein,

wspólnie potrafiliby coś wymyślić. Ileż razy udawało im się to w różnych obcych stolicach i slumsach, gdy pochłaniając dzbanki kawy i wdychając chmury papierosowego dymu, błądzili w ciemnościach, aż wreszcie znajdowali drogę w labiryncie? Spróbował przywołać głos przyjaciela przebywającego na drugiej półkuli.

- *Nu*, Martina wysłała zamachowca - stwierdził Eckstein z wyobrażeń Benniego.

- Skąd wiesz? - skontrował w milczeniu Baum.

- Rozpatrujemy taką możliwość.

- Po co?

- Benni, przestań się opierać.

- No dobra. Jakie miała motyw?y?

- Nie prywatne. Nie mogła mieć pewności, że wybuch dotknie ciebie osobiście.

- A zatem w grę wchodzi motyw polityczny.

- Świetnie.

- Ale dlaczego nikt się do niego nie przyznał, Eytan?

- No dobrze. Może wiązał się z czymś poważniejszym.

- Z czym takim?

- Z wymianą jeńców.

- Ona nie może o tym wiedzieć.

- A jednak wie, Benni. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Okay. Ale kto za nią stoi?

Wyobrażał sobie jak Eckstein zastanawia się, zaczesał do tyłu blond włosy.

- Za nią już nikt nie stoi - odezwał się głos Ecksteina. - Działa w swoim imieniu.

- W porządku, ale kto ją w takim razie finansuje?

- Może Hezbollah?

- To nielogiczne.

- W takim razie Jabril, Nidal, Abbas, Palestyńczycy.

- To się ma nijak do wymiany więźniów. Wróćmy do tego, że to pojedynczy, nie związany z niczym zamach. Nie zapominaj, Eytan, że napastnik był Irańczykiem.

- Właśnie odpowiedziałeś sobie na swoje pytanie.

- Irańczyk? - Benni pomasaował nos, zamknął oczy i dalej dyrygował swą cichą symfonią.

- Dlaczego oni? Kontrolują Hezbollah, na pewno musieli zatwierdzić wymianę i jeśli nawet guzik im zależy na szejku Saidzie, to chcieliby otrzymać sprzęt wojskowy.

Głos Ecksteina nie pojawił się od razu.

- Muszą mieć jakąś inną motywację - wyszeptał w końcu.

Benni nie potrafił już jednak wymyślić jaką. Nie umiał podzielić się i skutecznie odgrywać dwóch ról jednocześnie.

Starał się myśleć samodzielnie. Jeśli wybuch rzeczywiście miał na celu zaszkodzić wymianie, to ten cel nie został osiągnięty. Czy zatem dojdzie do kolejnych prób? Itzik ma rację. Benni powinien wracać do domu i spojrzeć na sprawę „od wewnątrz”.

Niemniej rósł udział Martiny w tych wszystkich wydarzeniach. Była jeszcze sprawa motocyklisty, który zostawił swój pojazd i uciekł. W znalezionej sakwie znajdowało się kilka nic nie znaczących drobiazgów osobistych i jeden ślad, którego nie można zignorować. W środku był podniszczony plan Bostonu, z kółkiem zakreślonym wokół izraelskiego konsulatu w tym mieście. Chociaż Baum twierdził, że, znając ostrożność Martiny, taki ślad jest na pewno prowokacją, to Hannan Bar-El nie miał wyboru i musiał traktować go jako nowe zagrożenie.

Przybył już nowy zespół z Tel Awiwu i Benni zdał im w hotelu sprawozdanie z wydarzeń. W większości byli to ludzie z Mossadu, gdyż Ben-Zion zgadzał się z „cywilami”, że sprawy na obcych ziemiach podlegają jurysdykcji wywiadu, a AMAN ma co innego do roboty. Większość z tych młodych, izraelskich agentów urodziła się w Wielkiej Brytanii,

zaimponowali Benniemu doskonale skrojonymi garniturami i angielskim opanowaniem. Przypomnił sobie lata sześćdziesiąte, kiedy to „Instytut”, jak nazywano Mossad, wysyłał absolwentów szkolenia na kursy, żeby nauczyli się wiązać krawat i popijać aperitif.

Podziękowali mu za sprawozdanie, a potem porozumieli się z partnerami z Sza-baku i Nowojorskiego Wydziału Policji, i rozpoczęli przygotowania przed wyjazdem do Bostonu. Benni musiał tłumić swój egoizm oraz pobożne życzenie, aby ponieśli porażkę, a jego z powrotem przydzielono do tej sprawy.

- *Szvitser* - zbeształ się w jidysz za swój narcyzm. Myślał już jak emeryt, który zazdrości młodym wigoru i entuzjazmu.

Postanowił jeszcze raz wziąć się za jedzenie i nałożył sobie na widelec sporą porcję ziemniaków. Były zimne, smakowały jak wilgotny gips, więc zwrócił na siebie uwagę kelnerki i wskazał jej palcem na pustą szklankę po piwie.

Jeśli już musi wyjechać, to chciałby zrobić to od razu - pojedzie prosto na lotnisko Kennedy'ego i wsiądzie w najbliższy samolot na Ben-Gurion. Jednak pewne zdarzenie Odsunęło jego wyjazd i przedłużyło cierpienie. Tuż po porannym telefonie Itzika, w hotelowym pokoju jeszcze raz odezwał się dzwonek telefonu. Tym razem dzwonił generał Avraham Yaron, attache wojskowy przy ambasadzie Izraela w Waszyngtonie. Yaron powitał Bauma jak starego kumpla z wojska, nie bez powodu zresztą, ponieważ trzydzieści lat temu dowodził plutonem Bauma podczas ćwiczeń wojskowych. Ścieżki ich karier często się ze sobą krzyżowały i zapraszali się wzajemnie na śluby, ceremonie obrzezania i bar micwy.

- *Akszev!* Baczość! - krzyknął Yaron do słuchawki.

- *Avraham!* - Benni uśmiechnął się pomimo fatalnego humoru.

- Nie odwiedziłeś mnie, Baum - powiedział z żartobliwą urazą generał.

- Przysięgam, że byłeś na mojej liście, ale właśnie Itzik wezwał mnie do domu.

- *Jobnik*. - Yaron określił dowódcę Bauma wojskowym terminem oznaczającym dekwownika. - No cóż, będziesz jednak musiał mnie odwiedzić.

- Jak to? - W pełni rozbudzony Benni usiadł na brzegu łóżka.

- Po pierwsze, Hannan Bar-El odezwał się do naszego szefa bezpieczeństwa. Wspominał coś o Bostonie, które według mojej mapy znajduje się w Massachusetts, a on mobilizuje naszych szabakników, jakby spodziewał się inwazji Syryjczyków. Wiesz coś o tym?

- Tak.

- Tak myślałem. Chciałbym, żeby opowiedział mi o tym ktoś trzeźwo myślący. Ale nie po to musisz do mnie przyjechać.

- *Nu?*

- Nocny posłaniec przyniósł mi przesyłkę - powiedział Yaron. - Zaadresowaną do ciebie.

- I co z tego? - zapytał Benni. - Niech ktoś ją odeśle do Jerozolimy. Generał zaśmiał się.

- Nic z tego, Baum. Przesyłka bez adresu zwrotnego, sporo waży i jest oklejona znaczkami. Libańskimi znaczkami.

Benni wiedział, że takiej paczki nikt nigdzie nie odeśle przed zbadaniem.

- Bez zwrotnego adresu?

- Dlaczego pytasz? - odrzekł Yaron. - Masz krewnych w Bejrucie? Paczka przyszła na twoje nazwisko, ale na mój adres. Dziękuję ci bardzo. Teraz paczkę mają u siebie saperzy, ale na ceremonii otwarcia chcieliby widzieć ciebie.

- Tak, rozumiem.

- Coś nowego w sprawie wybuchu w konsulacie?

- Być może.

- No dobra, wpadnij do mnie. Pewnie będziesz chciał zajrzeć do środka, o ile wcześniej paczka nie wyleci w powietrze.

- W porządku - westchnął Benni. - Dzisiaj wieczór jeszcze się wstrzymam. Będzie jutro jakiś lot?

- No pewnie! - krzyknął Yaron. - To Waszyngton, a nie Petach Tikva. - Zawahał się na chwilę. - Aha, Baum.

- Słucham?

- Wcale nie miałeś zamiaru mnie odwiedzić, prawda?

- A idź do diabła, Avraham.

- Trzydzieści! - Generał roześmiał się nawiązując do starych czasów, kiedy mógł torturować Bauma pompkami...

I teraz jeszcze to, pomyślał Benni, gdy kelnerka nalewała mu piwa do szklanki. Nie chciał nawet domyślać się, co może być w przesyłce, lecz miał niejasne przeczucie, że daje się wodzić Martinie za nos.

Cała ta seria wydarzeń, które miały miejsce w tak krótkim czasie, wyrwała go z normalnego toku działań. Planował poświęcić ten ostatni wieczór Ruth i zjeść z nią cichą kolację, przy której mogliby omówić panujące między nimi stosunki. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że gdy zaczął usuwać przeszkody dzielące go od córki i zawadzające od tak wielu lat, musiał rozstać się z nią przed zawarciem nowego paktu.

Ten czas spędzony razem daleki był od ideału i trudno go porównać z biwakiem nad Jeziorem Galilejskim, gdzie mógłby, patrząc w gwiazdy, przyznać się do swoich ojcowskich błędów. Brali jednak wspólnie udział w operacji i mogli obserwować swoje dobre i złe strony. Pewnie teraz ona trochę lepiej go rozumie, a on być może bardziej poznał jej rozczarowania. Zawsze ją kochał, zawsze był z niej dumny, ale dopiero teraz wiedział, że rodzic, choćby nie wiadomo jak bardzo zajęty był swoim życiem zawodowym, musi umieć okazać dziecku uczucia. Nie można wymagać, żeby samo zauważało miłość i wsparcie. O tym też powinien Ruth powiedzieć.

Próbowała dać mu do zrozumienia, że nie jest jeszcze za późno, że może przebaczyć mu dwadzieścia lat ignorancji. Dawała mu jeszcze jedną szansę. Teraz jednak tracił okazję porozmawiania z nią prosto z serca i nie był pewien, czy ona będzie w stanie dalej okazywać cierpliwość.

A co z Yoszem i Amosem, jego dwoma synami służącymi w wojsku? Czy wychował ich w takiej samej atmosferze przyjacielskiej obojętności? Był pewien, że tak. Czy zrozumienie jego powołania do służby wystarczało, aby uśmierzyć ich samotność podczas jego nieobecności? Głęboko w to wątpił. Czy wezmą z niego przykład i, sami stając się ojcami, również będą całować swe dzieci w biegu, a zaraz potem wskakiwać w wojskowe buty i wracać do pracy? Jeden służył w jednostce desantowej, a drugi był kandydatem na pilota. Benni nauczył ich przedkładać poświęcenie ponad rodzinne ciepło.

Benni nigdy nikomu się nie zwierzał, nawet Mai - zwłaszcza Mai - że najbardziej obawia się przedwczesnej śmierci któregoś z dzieci. Będąc młodym ojcem budził się w nocy po straszliwym śnie o wypadkach samochodowych, uduszeniach i atakach terrorystycznych na jego pociechy, i jak każdy żołnierz, który chce przeżyć, tłumił w sobie te obawy, robiąc z nich swoją tajemnicę.

Ruth żyła w mieście pełnym tyłu tragedii, że Jerozolima wygląda przy nim jak cicha wioska w Vermont. Poza tym istniała jeszcze Martina i chociaż Ruth znajdowała się na peryferiach całej sprawy, w Bennim na nowo rodziły się obawy.

Gdyby tylko O'Donovan zareagował odpowiednio, kiedy miał ku temu okazję, nie doszłoby do tego całego koszmaru.

To była kolejna sprawa, która burzyła spokój Benniego. O'Donovan. Uwagi Bauma nie uszedł fakt, że pomiędzy Ruth a tym Amerykaninem coś się rodziło. Jako ojcu trudno mu było zaakceptować, że córka może prowadzić życie seksualne, a tu do zmartwień doszedł jeszcze ten potencjalny związek, wyrażający się słownymi potyczkami i pożądanymi spojrzeniami. Tylko tego trzeba Benniemu, żeby córka poślubiła irlandzkiego katolika i do końca życia osiedliła się w Ameryce.

Ruth O'Donovan. Brzmiało to według niego bardzo żałośnie.

- Nie widziałem cię tak ponurego, odkąd w siedemdziesiątym dziewiątym Macca-bi Tel Awiw stracił puchar.

Benni podniósł wzrok i ujrzał stojącą po przeciwnej stronie stolika Ruth. Przyłapanie ojca w bezbronnej pozycji sprawiało jej przyjemność.

- Dobry wieczór, moja śliczna. - Ten komplement powiedział szczerze, ponieważ gdy wysuwała krzesło i siadała na nim, zauważył, że bardziej zadbała o swój wygląd - umyła włosy, pod beżowym płaszczem miała błękitną, jedwabną bluzkę.

- Cześć, tato. - Przechyliła się nad stolikiem i pocałowała go w policzek. Perfumy, 1 rozpięta bluzka. Benni zajrzał pod stół i spojrzał na jej nogi.

- Nosisz sukienki?

- To dzinsowa spódnica, *Abba*.

- Wyglądasz bardzo pięknie. - Rajstopy? Niemożliwe. To chyba nie Ruth.

- Dziękuję. - Położyła skórzaną torebkę na stole i wskazała palcem na talerz. - Zamówiłeś już chyba drugą porcję. - Nigdy nie widziała, żeby stek zbyt długo przetrwał w obecności jej ojca.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Zjadłem już spaghetti z owocami morza.

Ruth z powątpiewaniem podniosła brwi. Jak większość Izraelczyków, jej ojciec nie przepadał za owocami morza.

- Czy napije się pani czegoś? - Tuż obok pojawiła się kelnerka.

- Poproszę o dżin z tonikiem - powiedziała Ruth, przechodząc na angielski. Potem znów zwróciła się do ojca. - A więc znowu razem, *Abba*.

- Tak mi przykro, Ruti. - Benni przypuszczał, że Ruth będzie robić mu wyrzuty z powodu nagłego wyjazdu. - Bardzo żałuję, że...

Położyła dłoń na jego zaciśniętej pięści i powstrzymała go uśmiechem.

- Wszystko w porządku, *Abba*. Naprawdę. - Wzięła jego paczkę Marlboro i wyciągnęła papierosa. - Wiesz, przez ostatnie trzy dni spędziliśmy ze sobą więcej czasu niż przez poprzednie pięć lat.

Benni pokiwał głową i wstrzymał oddech jak adwokat, w chwili gdy przewodniczący ławy przysięgłych wstaje ogłosić werdykt.

- Było bardzo miło. - Ruth nie spuszczała z niego wzroku. - Nigdy bym się nie spodziewała.

Kusiło go bardzo, żeby przytulić córkę. Siedział jednak na swoim miejscu, zdumiony jej wspaniałomyślnością.

Zapaliła papierosa, oparła się o poręcz krzesła i wypuściła obłok dymu.

- Ach - westchnęła z rozkoszą. - *Hu-kanah*. Najlepsza marka.

Benni uśmiechnął się. *Hu-kanah* znaczy dosłownie „kupione przez kogo innego”.

- Dużo miałaś dzisiaj pracy? - zapytał, chcąc podtrzymać przyjazną atmosferę.

- Jak przystało na grzeczną dziewczynkę, odrobiłam wszystkie zadane lekcje. - Sięgnęła na podłogę i posunęła w jego stronę małą torbę z zakupami. - Masz tutaj perfumy dla *Eema'y*. I parę drobiazgów dla Yosza i Amosa. Tylko nie zostaw gdzieś na lotnisku.

- Nie zostawię.

- Przyniosłam ci też wstępny egzemplarz mojej pracy dyplomowej. Łatwiej ci będzie zasnąć w samolocie - dodała skromnie.

- Nonsens. Bardzo dziękuję, na pewno będę zafascynowany. Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po sali.

- Zjesz coś? - zaproponował Benni.

Znów spojrzała na niego i z wahaniem w oczach powiedziała:

- Domyślam się, że zaraz będziesz musiał iść.

- Tak, to prawda.

- Nie ma sprawy - powiedziała szybko. - Później coś zjem.

Wyczuł w jej głosie zakłopotanie. Nie próbował jednak wyciągnąć z niej, o co chodzi.

- Miałem lecieć do domu wieczornym lotem, ale muszę jeszcze wpaść do Waszyngtonu.

- Naprawdę? A o co chodzi? Dała o sobie znać?

- Nie. - Nie chciał mówić o Martinie. - Naprawdę bardzo mi przykro, że nie możemy razem zjeść kolacji.

- *Abba*, przestań już. W ciągu dwóch minut przeprosiłeś dwa razy. Zaczynam się martwić.

Benni zmusił się do uśmiechu. Dlaczego jest taka układna? Gdzie się podziała jej złość, jej dziecięce pretensje? Bardziej swojsko czuł się w obecności tamtych emocji niż teraz, gdy tak podejrzenie łatwo pogodziła się z jego odlotem. Zdawało mu się nawet, że prawie nie może się doczekać jego odjazdu.

- Ruti? - powiedział nagle wesoło i odsunął od siebie talerz z zimnym posiłkiem. Złożył ręce i nachylił się do przodu.

- Tak?

- Może pojechałabyś ze mną?

Tuż nad jej noskiem pojawiła się maleńka zmarszczka.

- Do Waszyngtonu?

- Nie - powiedział z uśmiechem. - Do domu.

- Teraz nie mogę się wyrwać, *Abba*. W środku sem...

- Nie chodzi mi o odwiedziny - powiedział Benni, nadal łudząc się optymizmem. - Na stałe.

Ruti wolnym ruchem zmieniła pozycję na krześle i spojrzała na ojca tak, jakby z ust zaczęły wyrastać mu kły.

- To znaczy zupełnie do domu - powiedział Benni, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze oznaki na twarzy córki. - Mogłabyś pójść na uniwersytet w Jerozolimie. Kupilibyśmy ci mieszkanie.

- *Abba* - zaczęła, kręcąc głową.

- W Scopus mają wspaniały program nauczania. Mój wydział korzysta z usług tamtejszych psychologów.

- *Abba* - powiedział Ruth bardziej stanowczym głosem, cedząc słowa zza zaciśniętych zębów. - Niszczysz wszystko.

- Dlaczego? - rzekł nalegającym głosem, wiedziony teraz emocjami, czyli strachem. - Dlaczego nie chcesz?

- Bo nie. - Ze złością zgasiła papierosa. - Nie jestem dzieckiem, żeby mi mamusia z tatusiem patrzyli na ręce.

- Nie o to chodzi.

- Dokładnie o to chodzi.

- Nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństw.

- Jakich niebezpieczeństw?

- Byłaś ślepa przez te trzy dni?

- Nie, *Abba*, nie byłam ślepa. - Z żarem w oczach pochyliła się w jego stronę. - Wcale nie byłam ślepa. Przez cały czas, na każdym kroku, próbowałeś traktować mnie jak dziecko. Wkurzałeś się za każdym razem, gdy chciałam wziąć udział w akcji.

- To nieprawda. - Benni pokręcił głową. - Ty tego nie rozumiesz. - Nie potrafił jej wyjaśnić, w jak kłopotliwym jest położeniu. Nie potrafił się obronić przed Ruth.

- Rozumiem - warknęła Ruth. - Jesteś chyba zazdrosny. Nie możesz znieść tego, że mogę z tobą konkurować.

- Nonsens. - Benni położył rękę na stole aż zabrzączały sztućce.

W środek sprzeczki weszła kelnerka, podając Ruth drinka. Dziewczyna podniosła szklanekę, upiła dzinu z tonikiem i otarła usta.

- Obawiam się, że to wcale nie nonsens - powiedziała z wyższością psychologa.
- Ruti - Benni spróbował jeszcze raz, ignorując jej prychnięcie, gdy pierwszy raz nazwał ją tym dziecięcym zdrobnieniem. - Chodzi mi tylko o twoje dobro. Możesz uważać, że dramatyzuję, ale ta bardzo groźna kobieta przebywa na wolności. Dobrze mnie zna i może być niebezpieczna.

- Ech, przestań proszę! - Ruth zaśmiała się sarkastycznie. - Od tylu lat jeżdżę nowojorskim metrem, a tobie wcale to nie przeszkadzało! - Podniosła głos, przyciągając wzrok innych klientów restauracji. Nie rozumieli ich słów, ale kłótnia to kłótnia, bez względu na język.

Benni usiadł wygodniej i opuścił głowę.

- Tak, to prawda - wymamrotał, a reszta pozostała wyznaniem nie zwerbalizowanym. Umierałem ze strachu. Zawsze. Każdego dnia i w każdej minucie od chwili twoich narodzin.

Nagle zdał sobie sprawę ze swojej ułomności. Na zawsze pozostanę głupcem, myślał, jeśli marząc o długotrwałym pokoju, nie potrafię wytrzymać nawet trzech dni z własną córką bez kłótni. Jakie mam prawo być tak cholernie arogancki?

Ze wstydu zarumienił się. Mógłby przeprosić, powiedzieć to wszystko teraz, ale ona nie patrzyła już na niego. W ich stronę szedł przez salę detektyw Michael O'Donovan. Amerykanin wyraźnie nie był na służbie, bo miał na sobie czarny golf, niebieskie džinsy, wełnianą, baseballową kurtkę z zielonymi, skórzanymi rękawami. Benni od razu zwrócił uwagę na ten swobodny strój, a jego optymizm szybko przemienił się w oburzenie z powodu najścia.

Podchodząc do stolika, O'Donovan unikał wzroku Ruth, a ona nie spuszczała oczu, z jego twarzy.

- Dzień dobry, pułkowniku - powiedział, wyciągając nad stołem rękę.

Benni wyciągając do niego dłoń, zahaczył o szklankę z piwem, która zaczęła spadać. O'Donovan złapał ją błyskawicznym ruchem lewej ręki.

- Dobry refleks - pochwaliła go z uśmiechem Ruth.

- Nic takiego - powiedział skromnie detektyw, wysuwając krzesło.

- *Aval lo maspeek tovot.* Ale nie za dobry - mruknął Benni. Ruth rzuciła mu takie spojrzenie, że włosy stanęłyby mu dęba, gdyby jeszcze jakieś miał.

- Witam - powiedział O'Donovan wesoło do Ruth. Doskonale sobie zdawał sprawę z napiętej atmosfery, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Dzień dobry.

Benni zwrócił uwagę na ich spojrzenia. Posiadał umiejętność odczytywania podtekstów, tutaj jednak nie musiał się trudzić, bo wszystko miał jak na dłoni.

- Napije się pan czegoś? - zapytała kelnerka.

- A co to jest? - O'Donovan wskazał na szklankę Ruth.

- Dżin z tonikiem - odpowiedziała.

- Poproszę to samo.

Benni poczuł ucisk w żołądku.

- Przykro mi, pułkowniku - O'Donovan nachylił się do przodu - że tak nagle pan wyjeżdża.

Nie wątpię, pomyślał zdegustowany Benni, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Służba nie druźba.

- Taa - rzekł O'Donovan. Dopóki kelnerka nie przyniosła drinka, panowała długa cisza, a potem O'Donovan wznosił toast. - Za to, o czym wszyscy wiemy aż za dobrze.

Ruth trąciła się szklanką z O'Donovanem. Benni zignorował toast i nagle spokojnym, oschłym tonem zapytał:

- Michael, dlaczego, do diabła, nie zastrześliłeś jej?

Ruth i O'Donovan zamarli w bezruchu ze szklankami przy ustach. Amerykanin opuścił szklankę i nie miał już przyjaznej miny.

- Już panu mówiłem, pułkowniku.

- *Abba* - ostrzegawczym tonem odezwała się Ruth.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie Benni, nie ośmielając się spojrzeć na córkę. - Tak, mówiłeś, biegła zygzakiem. Ale gdybyś przezwyciężył te swoje sentymenty...

O'Donovan otworzył usta i popatrzył ze zdziwieniem. Potem zdusił złość, zdobył się na spokojny uśmiech i spojrzał Baumowi w oczy.

- Benni, powiem ci wprost.

- Nie. - Ruth położyła dłoń na przedramieniu O'Donovana, określając, po czyjej jest stronie. A potem nachyliła się do ojca. - Nie mam wątpliwości, że ty sprawdziłbyś się w takiej sytuacji, *Abba*, i zastrzelił córkę na oczach matki!

Benni zmrużył oczy, zacisnął usta i pokiwał głową. Wstał z krzesła. Podniósł stojącą przy nodze walizkę i dołączył do niej małą torbę z zakupami. Stał chwilę nieruchomo, podczas gdy Ruth obserwowała swe zaciśnięte pięści. O'Donovan nie spuszczał wzroku z Bauma.

- Wybaczcie staremu żołnierzowi - powiedział łagodnie Benni, podnosząc głowę. - Nie starzejemy się z wdziękiem. - Podszedł do krzesła Ruth, spojrzał na nią,

pochylił się i pocałował we włosy. Nie poruszyła się. - Muszę jechać do Waszyngtonu powiedział, gdy O'Donovan podniósł się. Tym razem Benni wyciągnął rękę z niemymi przeprosinami.

O'Donovan rozumiał, że wybuch Benniego niewiele ma wspólnego z nim, z Marti-ną Klump, ani z kimkolwiek poza Ruth. Zrobiło mu się szkoda Bauma, chociaż czuł ulgę, że zabierze ze sobą otaczającą go ciemną aurę.

- Powodzenia, pułkowniku - powiedział, ściskając dłoń Benniego. - Praca z panem była zaszczytem.

- Wzajemnie - odparł Benni.

- Postaramy się, żebyś był z nas dumny.

Benni mocno ścisnął dłoń detektywa i spojrzał mu prosto w oczy.

- Ja już jej nie mogę ochraniać - powiedział, nie wskazując na Ruth. - Ale ty możesz.

Odczekał, aż O'Donovan skinie głową. Potem puścił jego dłoń i wyszedł z restauracji.

Na Lexington Avenue Benni nie musiał szukać taksówki. Przy krawężniku obok wejścia do hotelu stał cały rząd żółtych limuzyn. Wieczór był zimny, lecz Benni stał przez chwilę na chodniku, próbując chłodnym powietrzem uśmierzyć ból w sercu.

Na ulicy panował ruch, jak to w roboczy dzień wieczorem, masa ludzi robiła przedświąteczne zakupy, korzystając z dłuższych godzin otwarcia sklepów.

Nikt mu się nie przyglądał, żadna postać nie czaiła się w oddali, udając brak zainteresowania. A jednak na karku jeżyło się ostrzegawczo kilka siwych włosków. Benni słyszał w duszy szept Ecksteina: - Coś tu się święci.

Ale przecież mógł nie zauważyć, że ktoś go obserwuje. Tracił wprawę, lecz z jakichś powodów nie martwiło go to tak bardzo, jak powinno. Odczuwał takie samo, pełne gorczy zrezygnowanie, jak wszyscy starzy wojownicy, którzy budzą się pewnego dnia i są na spokojnej, uwłaczającej im emeryturze, żałując, iż nie zginęli w bitwie. Podjechała do niego pierwsza z taksówek. Zgodnie z rutynowymi środkami ostrożności, zrezygnował z kursu.

Wsiadł do drugiej, pojechał na lotnisko, aby odlecieć do Waszyngtonu, a co za tym idzie - w nieznane.

10

Restauracja „Grill”, Manhattan

Ojciec Ruth odszedł, ale pozostała po nim otoczka rodzicielskiego uporu, unosząca się ponad stolikiem jak obłoczki dymu, który widziała kiedyś na własne oczy na ogarniętych wojną wzgórzach Libanu. Patrząc w dal, zastanawiała się, czy nadejdzie kiedykolwiek czas, że będą mogli porozmawiać ze sobą jak równy z równym. Czy ktoś, kto w dzieciństwie zmieniał jej pieluchy, spojrzy kiedyś na nią jak na samodzielną istotę ludzką? I czy ona kiedykolwiek znajdzie sposób na rzeczywiste przecięcie pępownicy, i nauczy się traktować

jego dezaprobatę wobec niej ze spokojem?

Ile jeszcze minie czasu? Benni nie jest już młody i wszedł w tę fazę życia, kiedy mężczyznom mającym obsesję na punkcie swojej pracy wysiadają z przemęczenia serca. Czy już niedługo będzie musiała stanąć przy jego łóżku i po raz ostatni postarać się dotrzeć do tych wielkich, głuchych uszu złożonego chorobą człowieka?

Zamknęła oczy, przełknęła ślinę i, przypomniawszy sobie, że nie jest sama, zmusiła się do uspokojenia emocji. Jeszcze będzie szansa, pomyślała. Na początek nieźle nam poszło...

Wczoraj jednak wystarczyłby jeden strzał, żeby nie było dla niego już żadnej przyszłości, a w zawodzie ojca jutro może zdarzyć się to samo. Jego styl życia polega na ciągłym unikaniu przedwczesnej śmierci. Najpierw ją to rozzłościło, potem przestraszyła się, a na koniec ogarnęła ją rozpacz.

Poczuła na przedramieniu delikatny dotyk palców. Był przy niej Michael O'Donovan z rudawymi brwiami ściągniętymi z pełnym współczucia przejęciem. Ruth spojrzała na jego celtycką twarz i zachciało jej się uciekać. Co ona tu, do diabła, robi? Cóż za dziecięcy pęd „ku lepszemu” kazał jej wyobrazić sobie, że coś między nimi istnieje? Cały dzień musiała odpędzać od siebie obrazy seksualnych zabaw z tym mężczyzną, a potem jak debiutantka spędziła pół godziny na strojeniu się. I po co to wszystko?

Wolnym ruchem wyciągnęła rękę spod jego palców i położyła dłoń na kolanach.

- Przykro mi, Michael. - Spróbowała uśmiechnąć się uprzejmie. - Chyba nastrój przysł. Nie okazał ani krzty niezadowolenia, ani śladu urażonej dumy. Skinął tylko wolno głową.

- „O, wy, dobrzy Bogowie. Uleczcie tę wielką wadę jego obelżywej natury” -zacytował swobodnie, bez żadnych uniesień, jak gdyby nowojorscy policjanci zawsze sypali z rękawa cytatami z Szekspira.

- Słucham? - Ruth zwróciła uwagę, że na jego usta powrócił uśmiech i poczuła, że jej także się udziela wesołość.

- To z „Króla Leara” - odpowiedział natychmiast O'Donovan.

- „Króla Leara”?

- Taaa. Szekspira.

- Michael, znam autora. Zaskoczył mnie tylko aktor. - Pomimo nastroju postanowiła nie zamykać się przed tym Irlandczykiem. Sięgnęła po drinka. - Tego uczyli was w akademii policyjnej?

- Mój ojciec był miłośnikiem Szekspira. - O'Donovan również uniósł szklankę. -Był dobrym gliniarzem i patrolował ulice. Nienawidził telewizji i co wieczór po kolacji zbierał nas na godzinne czytanie. Jego ulubioną sztuczką było karanie jajogłowych za wykroczenia drogowe. Przez chwilę pozwolił im się wygadać, a potem wypisując mandat, recytował kwestie z „Henryka VI”.

- Wesoły z niego facet. - Ruth uśmiechnęła się.

- Tak, był wesołkiem.

- O, tak mi przykro.

- Pokój jego duszy - powiedział detektyw swym irlandzkim akcentem i wysoko podniósł szklankę. - Jego i matki.

Znów zrobiła się poważniejsza atmosfera i Ruth przypomniała sobie o niebezpieczeństwach czyhających na Benniego.

- A więc taki ci się wydaje mój ojciec? Stary, biedny Lear dręczony przez córki, zmagający się z burzą?

- Nie - odparł O'Donovan z zaskoczeniem w głosie. - To ciebie tak postrzegam. Jak błądzącą Kordelię, która próbuje dotrzeć do swego ojca.

Z pewnym zdumieniem zastanowiła się nad jego słowami. Przyzwyczajona do obwiniania się o wszystko, nie była przygotowana, że ktoś ją może zrozumieć. Oprócz tego wsparcie

nadeszło z niespodziewanej strony; od ledwie poznanego mężczyzny, policjanta, który stykając się codziennie z okrucieństwem, powinien już dawno stracić wrażliwość. Zdążyła jednak poznać amerykańskich mężczyzn. Czytali kobiece pisma i wiedzieli, co kiedy powiedzieć.

- Nie mów mi, Michael, że jesteś wrażliwym, pełnym współczucia człowiekiem - powiedziała ze zważeniem.

O'Donovan uniósł brwi.

- Hm, o to chyba trzeba by zapytać moich ludzi. Odpowiedzieliby ci śmiechem.

- Też tak myślę.

- Nie znaczy to, że snuję jakąś intrygę.

- Nie? A co? - Cały czas czuła jeszcze gorycz i miała ochotę na kłótnię.

- Może po prostu chcę cię poznać - rzekł. - Przypuszczam, że wychowywaliście się w podobnych domach.

- Tak sądzisz? - Wątpiła, aby ktokolwiek mógł zrozumieć dzieciństwo z wiecznie nieobecny ojcem.

- Chyba poczułaś się zagrożona. - Mówił neutralnym, pozbawionym prowokacji tonem.

- A według ciebie, dlaczego?

- Tego nie wiem, Ruth. - Wzruszył ramionami. - Ty jesteś psychologiem. Napila się dzinu z tonikiem i popatrzyła na szklanekę. Poczwała, że rośnie w niej złość, lecz potem nagle przypomniała sobie, jak ojciec niecałą minutę temu zareagował na jej drażliwą uwagę. Zupełnie jak twój stary, co Ruth? Prawda w oczy kole?

Odgarnęła kosmyk włosów za ucho i spojrzała na niego zakłopotanym wzrokiem. Odpowiedział jej uśmiechem, a ona zrozumiała już, dlaczego chce uciekać. Przygotowała się na prymitywne atrakcje, a nie na dyskusję z mężczyzną mającym nie tylko rozum, ale i serce.

- Wiesz co, O'Donovan? - odezwała się. - Chyba nie dorosłam do ciebie. Grasz w wyższej lidze.

- A to zabawne. Jeden z moich ludzi sugerował to samo. Tylko w przeciwną stronę.

- A więc obydwójce zostaliśmy ostrzeżeni.

- Zlekceważmy to - zaproponował.

- Świetnie. - Machnęła ręką, jak gdyby strząsając wszystko to, co było dotąd nieprzyjemne. - No to jak? Zdaje się, że jesteś mi winien kolację.

- Sprawa jeszcze jest otwarta.

- E tam, daj spokój.

- Może zamachowiec był irańskim Żydem? - starał się mówić poważnym tonem.

- Dobrze, już dobrze. - Złożył ręce. - Zamówmy coś.

- Właściwie to nie jestem głodna.

- Jezu! - Przymknął oczy i cmoknął z oburzeniem. Ruth roześmiała się.

- Coś ci powiem. Wypijemy po jeszcze jednym drinku i wybierzemy jakieś inne miejsce.

- Zgoda. - Skinął na kelnerkę i pokazał puste szklanki.

Do „Grill” wchodziło z ulicy coraz więcej zgłodniałych po zakupach ludzi. Z torbami pełnymi towarów i opakowanych prezentów tworzyli przy wejściu kolejkę i z zazdrością spoglądali do sali jadalnej. Z baru dolatywała składanka starych kolęd Perry Como, a kelnerka przyniosła dwa drinki z rachunkiem, dając do zrozumienia, że albo zamawiają obiad, albo do widzenia.

O'Donovan wznosił toast.

- Wesołych Świąt.

- Szczęśliwego Chanuka - sprzeciwiła się Ruth, unosząc swoją szklanekę. - Chociaż trochę jeszcze na to za wcześnie.

- Co roku jest gorzej - stwierdził O'Donovan. - Kiedyś dojdzie do tego, że kolędy zaczniemy śpiewać już w lipcu.

- W moim kraju Chanuka nie zostały jeszcze skomercjalizowane.
- I tak powinno być.
- Nie ma się czym zachwycać. W Yom Kippur większość z nas wyjeżdża na piknik na plażę.
- No cóż, my katolicy potrafimy docenić kreatywną profanację.
- Pamiętam jak w 1973 roku, kiedy byłam jeszcze dzieckiem - wspomniała Ruth - podczas Yom Kippur połowa kraju szła do synagogi. Arabowie wykorzystywali to i pod wieczór cała armia prosto z domu modlitwy szła do boju. - Wzruszyła ramionami. - Tam się nauczyłam pokazywać Bogu „fuck you”.
- Ostrożnie - ostrzegł O'Donovan.
- A bo co? - powiedziała szyderczo. - Co mi może zrobić? Wylać do Libanu? O'Donovan zachichotał. Binder często mówił w ten sam sposób, tylko że miał na myśli Wietnam.
- Michael. - Ruth spojrzała na niego figlarnym wzrokiem.
- Tak? - Przesunął się na krześle, gotów odparować następnym ciosem.
- Masz papierosa?
Z ulgą zanurzył rękę w kieszeni baseballowej kurtki.
- Tylko Camele.
- Wielbłąd pójdzie tam, gdzie Mercedes nie da rady.
- Co takiego?
- A, takie powiedzenie z rodzinnych stron. - O'Donovan zapalił jej papierosa, a potem sobie przysunął ogień. - Mogę zadać ci osobiste pytanie?
- Tylko mnie nie przestrasz.
- Jak wygląda twoje życie seksualne?
Detektyw zakrzuszył się. Zwlekał z odpowiedzią, a Ruth szeroko się uśmiechnęła.
- Przepraszam, ostrzegałam cię wczoraj.
- Tak, wiem. Delikatnie jak przecinakiem.
- Słucham?
- To takie narzędzie. - Już chciał je opisać, ale w końcu machnął ręką. - Nieważne.
- Zadałam pytanie.
- Tak, jasne. - Jeśli ponownie podniosła temat, to nie mógł się już od niego wyłgać. - Moje życie seksualne. - Zastanowił się chwilę. - Można o nim powiedzieć, że jest... karnawałowe.
- Karnawałowe? - Ujrzała przed oczami orgie poprzebieranych ludzi.
- No tak. Czasami od święta poszczęści mi się.
Roześmiała się z jego skromności. Miała pewność, że stać go na więcej niż sporadyczne randki.
- A twoje? - zapytał O'Donovan, spodziewając się krótkiego: „Nie twój cholerny interes”.
- Moje? - Oparła się na łokciu i położyła brodę na dłoń. - Można je opisać jako wybiórcze.
O'Donovan pokiwał głową i paląc papierosa unikał jej wzroku. Wybiórcze. Co to ma znaczyć? Czy ma na myśli, że jest jednym z nielicznych, czy też, że nie powinien robić sobie nadziei?
- Zmieńmy temat - powiedziała Ruth.
- Świetnie - zgodził się ochoczo.
- Porozmawiajmy o twojej karierze w wojsku. Optymizm zniknął z jego twarzy.
- No to może już lepiej wrócimy do seksu.
- Później. Najpierw wymienimy się wrażeniami na temat wojska. O'Donovan spojrzął na swoje dłonie.
- Musimy?
- Chyba tak.
Wiedział, o co jej chodzi. Wojsko miało tak ogromny wpływ na życie Żydów i na ich

charaktery, że nie mogli zbyt długo omijać tej kwestii. Rozejrzył się po sąsiednich stolikach, a później przysunął bliżej krzesło. Ruth również się nachyliła.

- Jak miałem dziewiętnaście lat wstąpiłem na ochotnika do 82. Dywizji Powietrznodesantowej - zaczął. - W wieku dwudziestu lat dostałem się do Sił Specjalnych...

Opowiedział powierzchownie o nieciekawych aspektach wojskowego życia, bo z całą pewnością Ruth doświadczyła tego samego, co on. Jednak gdy doszedł do

zdarzenia, o którym myślał czasami leżąc w łóżku podczas tych strasznych nocy, do tego okropnego lądowania w punkcie Pustynia Jeden, historia ta wydała mu się jeszcze niebezpieczniejsza niż zwykle. Rozgadał się na ten temat, wyrzucił z siebie wszystkie skrywane obrazy, zapachy i nie związane z wydarzeniem szczegóły, ponieważ przeczuwał, że będzie lepiej zrozumiany niż przez jakiegokolwiek księdza czy kolegę z wojska. Do tej pory przemilczał sprawę cierpienia. Teraz jednak przed kobietą pochodzącą z wojowniczego szczerpu poddał się ułudzie, że Bóg w końcu przysłał mu doświadczonego w bojach anioła, który zrozumie go i być może rozgrzeszy. Wreszcie mógł się wygadać.

Gdy po jakimś czasie skończył, trzymał nieruchomo ręce, a papieros zamienił się w popiół. Tym razem Ruth położyła palce na jego przedramieniu.

- To straszne, Michael - powiedziała łagodnym głosem.

- Tak-szepnął.

- Już kiedyś to-słyszałam.

- Cóż, to żadna tajemnica.

- Nie, ja słyszałam to na własne uszy. Tamtej nocy AMAN przejmował wszystkie transmisje z irańskiej pustyni. Ja jeszcze wtedy nie służyłam w wojsku, ale przesłuchiwałam taśmy. Straszne.

Nie patrzył na nią. Przymknął oczy, jak gdyby chciał zasłonić okna swojej duszy.

- Wstyd ci, Michael? - zapytała. Przysunęła twarz bardzo blisko do niego.

- Nie - skłamał. A potem dodał: - Tak. A w każdym razie było mi wstyd. I to przez długi czas. A teraz sam nie wiem. Chyba czuję rozgoryczenie.

- Smutek?

Przytaknęła głową. Przesunęła dłoń po jego skórze i zatrzymała się na palcach.

- Mogę ci coś powiedzieć? - zapytała, chociaż wcale nie potrzebowała pozwolenia. - Należysz do wyjętej spod prawa części waszego społeczeństwa. Może wojna w Zatoce Perskiej to zmieni, nie wiem. Tutaj twoje przeżycia są czymś niespotykanym, dlatego cała sprawa stała się twoją wstydliwą tajemnicą. - Położyła mu na dłoni drugą rękę i mówiła dalej: - Byłam oficerem wywiadu. Pracowałam w kwaterze głównej w Tel Awiwie i zajmowałam się nadzorowaniem postępu misji. Rzadko mówimy światu o naszych porażkach, lecz na każde Entebbe, o jakim słyszałam, zdarzyły się trzy małe tragedie. Na każdy udany wypad komandosów, który trafiał na pierwsze strony gazet, słyszałam o pół tuzinie porażek.

O'Donovan poczuł na dłoni ciepło jej ręki i dostrzegł błysk w jej oczach.

- Przyprawiający o wymioty spokój ruszających do akcji dowódców, a potem krzyki, strzały z karabinu, zgiełk i zamęt. Chciało mi się krzyczeć, zatykać uszy, uciekać z tego przekłętego centrum operacyjnego. Uciekać z wojska. Uciekać z kraju. Słyszałam helikoptery, krzyki pułkowników, błagania sierżantów o pomoc medyczną, bo ich podwładni wykrywają się na śmierć. A czasami, kiedy nie mogłam już tego znieść, kiedy czułam się jak bezczelny podglądacz, brałam ze sobą jakiegoś innego poruszonego oficera, jechaliśmy do szpitala, spotykaliśmy się z rannymi, odbieraliśmy ich ze śmigłowca, żeby nie oszaleć do końca.

Z prawego oka poleciała jej łza, Ruth nie otarła jej, więc kropelka zleciała po policzku i zrobiła plamkę na błękitnej bluzce tuż ponad piersią. O'Donovan obserwował dziewczynę bez ruchu.

- Nie jesteś na świecie sam jeden, Michael. - Wolnym ruchem kręciła głowę z jednej

strony na drugą. - Po prostu nie spotkałeś jeszcze bratnich dusz. - Zamrugła oczami, zabrała rękę, otarła palcami twarz i przełknęła spory łyk drinka.

Przez jakiś czas panowało milczenie, obserwowali krzątanie kelnerów, słuchali szczerku srebrnych sztućców oraz śmiechów dobiegających z tłumu ludzi. O'Donovan poczuł przypływ ulgi. Nie musiał już trzymać swoich sekretów zamkniętych na klucz w strachu przed cudzym osądem. Wiedział już, że istnieją na świecie takie kobiety, których nie przerażają jego koszmary, ponieważ mają swoje. Życie z kimś takim jak ona toczyłoby się na zupełnie innej płaszczyźnie. Jak wspaniale byłoby, myślał, bez skrupowania popadać w ponury nastrój wspominkowy. „O co chodzi?” - pytałaby, a on odpowiadałby: „O Iran.” Ona kiwałaby ze zrozumieniem głową, a może nawet całowała swymi pięknymi ustami. „Rozumiem”, mówiłaby.

Nagle w jednej chwili fantazja zamieniła się w przygnębienie i zdał sobie sprawę, że myśli o utopijnym świecie. Z całą pewnością przestawała się nim już interesować i wkrótce też pewnie opuści Nowy Jork. Tutaj satysfakcji mogła szukać z równym skutkiem jak szczęścia w obozowisku Beduinów. Romans z nią przypominałby flirt na pasażerskim statku - ulotny, powodowany okolicznościami, muzyką grającej orkiestry i światłem księżyca odbijanym od powierzchni wody. A potem trudny powrót do rzeczywistości, ostre światło dnia i stały ład. Ruth O'Donovan. Pokręcił głową. Równie dobrze mógłby się zakochać w Marsjance.

- Chcesz porozmawiać o swym ojcu? - zaproponował, pragnąc znaleźć temat, który rozwiałby intymny nastrój.

Ruth spojrzała na niego i uniosła brwi.

- A może lepiej o krwawiących wrzodach?

- Nie. Mówię poważnie.

- Ja też. - Pokręciła głową. - Nie.

- W porządku.

- Jakoś sobie poradzę.

- Pewnie. Westchnęła.

- Chociaż może powinnam mieć to za sobą. - Złożyła ręce na piersi. - Często nie było go w domu. W przypadku większości izraelskich dzieci to nic nadzwyczajnego. Mam dwóch braci. Obydwaj służą w wojsku. - Podniosła torebkę, znalazła chusteczkę, wytarła nos i zgmiotła chusteczkę w kulkę. - A kiedy już przyszedł do domu, zachowywał się jak każdy ojciec z napiętym rozkładem zajęć. Nigdy nie opowiadał o swojej pracy. - Zacisnęła pięści i spojrzała na O'Donovana. - Wiedzieliśmy, co robił, ale on nam o tym nie opowiadał. Nie mógł, ale nas to i tak boleło. Przynajmniej mnie. - Machnęła ręką i zmarszczyła brwi. - Niemądra, dziecięca psychoza.

- Tylko dlatego, że wiesz, jak nazwać problem - powiedział O'Donovan - nie znaczy wcale, że jest on trywialny.

Ruth już chciała odpowiedzieć, ale powstrzymała się z myślą, że żaden *szagitz* nie ma prawa być tak wspaniały, tak mądry, mieć tak wielkiego serca, tak potężnych barków i tak niebieskich oczu. Jak śmiał być tak zuchwały, żeby w ciągu tych kilku minut stać się kimś więcej niż kandydatem na noc lub dwie noce przyjemnej zabawy? Dokąd to wszystko ich zaprowadzi?

Wyciągnęła do niego rękę i delikatnie dotknęła do jego miękkiego, wygolonego podbródka.

- Zapamiętaj sobie, Michael - szepnęła z surowością w głosie, jak gdyby chciała wymóc na nim przysięgę. - Kimkolwiek jesteś, cokolwiek się stanie, z jakąkolwiek kobietą będziesz miał dzieci, to zawsze one mają być dla ciebie najważniejsze.

- O ile do tego dojdzie - rzekł, ledwie poruszając ustami.

- Dojdzie. Obiecuj mi.

- Obiecuję. - Podniósł rękę i złapał ją za nadgarstek. - Jeśli i ty to zrobisz.

- To znaczy co?

- Obiecasz, że twoje córki, jeśli będą takie jak ty... nie będą łapać w ten sposób mężczyzn i tak z nimi rozmawiać.

Zrozumienie tych słów zajęło jej kilka sekund. Podniosła się z krzesła i przychyliła do przodu. Zawahała się, gdy zbliżyli się do siebie ustami, a ich serca przyspieszały puls. Zamknawszy oczy zetknęli się ustami, czuli swoje oddechy i niewiarygodnie delikatne ciepło.

Ruth powoli odsunęła się i odgarnęła włosy z twarzy. On cały czas miał zamknięte oczy, a ona nie mogła doczekać się, kiedy je otworzy. Głęboko zaczerpnął powietrza, położył sobie prawą dłoń na sercu i mruknął coś.

- Słucham? - Nadstawiła ucha.

- Dzwon pod dziewięćset jedenaste - powtórzył, trzymając się za piersi. Potem uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu tym samym.

- Sama cię odwiozę na pogotowie.

- Hm.

Odwrócili się na dźwięk przeproszającego chrząknięcia. Młody człowiek w oliwkowej, dwurzędowej marynarce i krótkim, brązowym krawaciku stał taktownie kilka kroków od nich. Uśmiechnął się.

- Dobry wieczór państwu. Skinęli mu głowami.

- Jeśli pragną państwo zamówić kolację, to czy nie zechcieliby państwo przejść do dwuosobowego stolika? - Wskazał ręką na drugi koniec sali. Mike i Ruth popatrzyli na siebie, próbując nawzajem czytać sobie z oczu. - A jeśli mają państwo ochotę na jeszcze jednego drinka, to ośmielę się zaproponować bar tuż obok, w tym samym budynku. - Mężczyzna cały czas się uśmiechał, chociaż Mike i Ruth narażali jego lokal na straty finansowe.

O'Donovan mógł błysnąć mu pod nosem odznaką, jednak ojciec nauczył go, że tego typu zachowanie zniechęca ludzi do policji.

Zapłacił kierownikowi sali tyle, że starczyło na suty napiwek.

- Bardzo dziękuję - szepnął młodzieniec i ruszył do odejścia.

- Wesołych Świąt - powiedział O'Donovan.

- Masz pomysł na jakieś inne miejsce? - zapytała Ruth.

- Nie za bardzo. Jak tam z twoim apetytem? Spojrzała na sufit.

- Chyba trochę się poprawił.

- Może coś włoskiego?

- Sama nie wiem. - Starła się zrobić niewinną minę. - Coś ci powiem. Nawet jeśli przegrałeś, nie będę cię zmuszać do gotowania.

- Słuszna decyzja.

- Jest na West Side dobra chińska restauracja. - Świetnie.

Obydwoje wstali, zapięli okrycia i założyli rękawice. Ruth wzięła go pod rękę i podniosła głowę.

- Mieszkam tam niedaleko - powiedziała. - Może weźmiemy jedzenie na wynos? - Do ciebie? - Wolał się upewnić, niż robić sobie zbytnie nadzieje.

- Pokażę ci swoje pliki w komputerze. Uśmiechnął się szeroko.

- To współczesne zaproszenie na „posłuchanie płyt”? - Nie wiem, co masz na myśli.

- Później ci wyjaśnię.

- Dobra. Prowadź, Macduffie.

- O! Cytujesz Barda!

- Przecież jestem studentką.

Przytuleni do siebie, trzymając się pod rękę, wyszli z „Grill”.

Przy końcu barku w „Grill” siedział na wysokim stołku niski mężczyzna i dotykał palcami skóry nad górną wargą, jak gdyby próbował odczytać coś Braillem z dopiero co ogolonego miejsca. Fouad czuł się dziwnie, ponieważ przez całe dorosłe życie nosił gęstą, czarną brodę.

Misja jednakże wymagała gładkiej, ogolonej twarzy, więc pocieszał się tylko nadzieją, że kiedyś zostanie mu to wybaczone.

Można by pomyśleć, że ogarnęła go gorączka, gdy obserwował, jak wysoki Amerykanin, bezwstydnie obejmując pretensjonalną Żydówkę, wychodzi na ulicę. Spojrzał na salę jadalną, podniósł zieloną, oszronioną butelkę bezalkoholowego piwa O'Doul's i przyłożył ją sobie do czoła.

Dziesięć metrów od niego siedziały przy stoliku trzy osoby. Dwaj elegancko ubrani mężczyźni zwróceni byli plecami do sali, a naprzeciw nich zadowolona ze swej „podwójnej randki” świetnie bawiła się kobieta. Miała długie włosy z grzywką przyciętą tuż ponad brwiami oraz pomalowane na bordowo usta. Sukienka z szarej dzianiny sięgająca do kostek kończyła się lamówką.

Kobieta trzymała w palcach długiego papierosa zataczając nim łuki, gdy z ożywieniem rozmawiała ze swą obstawą. Od czasu do czasu popijała z kieliszka wino. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że odebrała sygnał nadawany z barku przez Fouada, chociaż chwilę po tym, bawiąc się złotą, elektroniczną zapalniczką, zapaliła ją dwukrotnie.

Fouad rzucił dziesięciodolarowy banknot na barek, zsunął się ze stołka i pośpieszył za odchodzącą parą. W szklanej fasadzie hotelu widział, jak wsiadają do jednej ze stojących przy chodniku taksówek.

Dobrze się składało, bo zdąży wsiąść do samochodu Muhammeda, zanim ten spanikuje i odjedzie sam.

Kobieta przy stoliku sięgnęła po torebkę. Wyjęła pager i podniosła go do oczu, by wyraźniej widzieć ciekłokrystaliczny ekran.

Spojrzała na dwóch potężnych młodzieńców i prawie roześmiała się, ponieważ nie przestawali się głupio uśmiechać, do czego byli zobowiązani, słuchając od godziny jej pozbawionego znaczenia gadania. Jednemu z nich przyniesiono właśnie duży talerz sałatki z kurczaka, a drugiemu spaghetti. Dania jednak pozostały nietknięte.

- Teraz poczekamy - powiedziała Martina. Mężczyźni popatrzyli na nią i znieruchomieli. - Zjedzcie to.

Podnieśli umięśnione ręce i z radością spełnili jej polecenie, jak gdyby głodziła ich.

- Nie ma pośpiechu - szepnęła Martina, a oni zwolnili pochłanianie jedzenia. Zastanawiała się, czy Centralna Agencja Wywiadowcza określając jej ludzi jako HOG-s, Wieprze, nawiązywała jakoś do ich manier przy stole. Potem, przypomniawszy sobie goniącego ją O'Donovana i córkę Benjamina Bauma, uśmiechnęła się.

Nie ma się co spieszyć, pomyślała. Zanim zaczną się pieprzyć, będą tańczyć.

Ruth i Mikę jednak nie tańczyli.

Po długiej jeździe taksówką na północ, gdy zbliżali się do okolic mieszkania Ruth, rozmowa się urwała i obydwójce czekali aż zostaną sam na sam. Wstąpili na Broad-wayu do chińskiej restauracji o nazwie „Ping Tung”, a czekając na potrawy, stali przed ogromnym akwariem i wpatrywali się w złote rybki z wybałuszonymi oczami, chociaż żadne z nich nie myślało o podmorskim świecie.

Skuleni przed wiatrem, doszli do domu Ruth. Mikę trzymał w dłoni brązową torbę z zakupami. Pod numerem 550 znajdował się duży, stary budynek bez portiera. Ruth niosła dwie butelki z wodą sodową, przekręciła w drzwiach klucz i popchnęła je ramieniem. Staroświecką windą wjechali na drugie piętro.

W znajdującym się na końcu długiego korytarza mieszkaniu obydwójce odetchnęli z ulgą. Dzięki trzeszczącym i szumiącym kaloryferom w pomieszczeniu było ciepło, a Mikę zdejmując kurtkę odczuł podobieństwo do swojego apartamentu znajdującego się dwadzieścia budynków dalej. Wszystko pomalowane było na taki sam jak u niego beżowy kolor, jak gdyby właściciele domów na Manhattanie nabierali farby z tego samego, komunalnego kurka. W pokoju gościnnym na dużym, perskim dywanie stały nowoczesne, niepasujące do siebie

meble. Nad brązową, skórzaną sofą wisiało oprawione w ramki lotnicze zdjęcie Jerozolimy. Stolik do kawy ugiął się pod skryptami psychologicznymi i luźnymi papierami. W sześciu doniczkach rosły zeschnięte kwiaty i rośliny, jak gdyby nikt nie miał czasu lub ochoty ich podlewać.

Mike'ę spojrział przez wąski salon na otwarte drzwi prowadzące do dwóch, oddzielnych sypialni.

- Mieszkasz z kimś?

- Tylko teoretycznie - odpowiedziała Ruth, wieszając kurtki. Potem odebrała od Mike'a torbę.

- Gdzie ona teraz jest? A może on?

- Chwilowo jej nie ma. - Pociągnęła za sznurek stojącej lampy i przeszła pod zwieńczonym łukiem otworem w ścianie do kuchni. - Zakochała się.

- Lubisz ją?

- Czy ją lubię? - Ruth zatrzymała się przed wejściem do kuchni, zmarszczyła czoło i odwróciła do Mike'a. - Jest wesoła, bezkonfliktowa, jest Żydówką, a poza tym rzadko bywa w domu. Na miejscu faceta ożeniłabym się z nią.

Uśmiechnął się na widok rozgardiaszu na stoliku. Ruth podeszła do stolika, przechyliła go i zrzuciła wszystkie książki oraz kartki na podłogę. Na blacie położyła torbę, zatarła ręce i uśmiechnęła się do Mike'a.

- Podano do stołu - powiedziała podniosłym tonem.

- Zbędna etykieta. - Ruszył w stronę sofy. - Wolę bardziej nieformalne spotkania.

- A właśnie - powiedziała Ruth, spoglądając na spódnicę. - Muszę się przebrać.

Zaraz wracam.

Gdy Mike'ę wyjmował zawartość z poplamionej tłuszczem torby, Ruth ubierała się w swej sypialni w sportowe dzinsy i luźną, szarą koszulkę. Wróciła do salonu boso. Według niego nie wyglądałaby powabniej nawet w jedwabnym bikini z salonu „Victoria's Secret”.

Włączyła mały telewizor i, usiadłszy razem na sofie, zaczęli oglądać wiadomości lokalne, demonstrując przy tym brak umiejętności jedzenia pałeczkami. Chociaż wybuch bomby w izraelskim konsulacie zdarzył się ledwie cztery dni temu, to doniesienia na jego temat pojawiły się dopiero w trzeciej kolejności po informacjach o powiązaniach Białego Domu z Contras i bardziej lokalnymi migawkami dotyczącymi wyjazdu miejscowego burmistrza na urlop połączony z grą w tenisa. Ani słowa nie powiedziano o strzelaninie, która miała miejsce zeszłej nocy na East Side. Nie ma rannych, nie ma o czym mówić. Ulubieniec Ruth, Gabe Pressman, poruszył w końcu kwestię wybuchu bombowego. Zdecydował się jednak przeprowadzić wywiad z dziennikarzem „The Village Voice”, Robertem I. Friedmanem, którym Ruth pogardzała ze względu na to, że zrobił karierę na demaskowaniu tych, którzy darzą go nienawiścią. Stwierdził on, iż wybuch był dziełem fanatycznych Żydów, a Ruth wygwizdała go przed telewizorem.

Spróbowała wieprzowiny z fasolą Mike'a.

- Faj! - wykrzywiła się.

W rewanżu Mike'ę spróbował jej homara, a potem wypił pół szklanki wody mineralnej.

Wyłączyła telewizor i puściła płytę kompaktową z nostalgicznymi, ludowymi pieśniami izraelskimi w wykonaniu Arika Einsteina. Gdy w tle pobrzmiwała żalosna tęsknota żołnierza za dziewczyną i domem, Ruth tłumaczyła słowa Mike'owi.

Miałem dziewczynę imieniem Ruti, Czeka na mnie na tamtym wybrzeżu...

Dalszych zwierzeń i opowieści z wojska nie było. Opowiadając sobie o paru zwykłych przeżyciach z dzieciństwa, poszukiwali między sobą podobieństw, chociaż wcale ich nie mieli. Gdy doszli do wieku młodzieńczego, kiedy to obydwójce zaczęli interesować się tą dziwną płcią przeciwną, zapadła cisza.

- Co powiesz na odrobinę błota? - zapytała Ruth po skończonym posiłku. - Proponujesz mi maseczkę na twarz czy zapasy w błocie? - Nie, kawę. Po turecku. - I ty ją przyrządzasz? - Bez przesady. Wyszła do kuchni, a Mikę siedząc na sofie z przyjemnością oddawał się słuchaniu gitarowej muzyki i pieśni w jej języku. Wokalista śpiewał ciepłym tonem przypomi-

nającym głosy Greków i Włochów. Mikę spodziewał się arabskich zawodzeń i zrobiło mu się teraz trochę wstyd. Wiedział, że tego wieczoru nie naprawi już swej ignorancji. Przez wejście do kuchni obserwował plecy Ruth i włosy opadające jej na ramiona. Krzątając się przy kuchence co jakiś czas podnosiła i opuszczała mosiężny, zwężający się ku górze czajniczek, a potem odstawiła go, zanim wykupiał. Gdy włożyła do *finjon* łyżeczkę i zaczęła mieszać, a jej pupa zaczęła się kołysać niczym dyrygent orkiestry symfonicznej, Mikę musiał odwrócić wzrok.

Gdy znów razem siedzieli na sofie i popijali kawę, Ruth wskazała palcem drugi koniec pokoju.

- Oto mój potwór.

Mikę do tej pory nie zauważył komputera. Sprzęty takie stały się teraz czymś równie zwyczajnym jak półki w łazience. Komputer stał na małym biurku pod półką.

Ruth wysunęła krzesło i włączyła komputer. Rozprężyła palce jak pianistka i zaczęła uderzać w klawisze.

- Pokażę ci co pikantniejsze kawałki - powiedziała, czekając na wgranie systemu operacyjnego. Ile czasu mu to zajmie? Stukała palcem o brzeg klawiatury. Ja już raz go pocałowałam, drugi raz tego nie zrobię. Gdyby był Izraelczykiem, zrobilibyśmy to przed jedzeniem, żaliła się sobie w duchu. - Potrzebuję szybszego procesora. -Z drugiej strony, gdyby był Izraelczykiem, to dziesięć minut i byłoby po wszystkim, a potem narzekałby na zimne potrawy. - No i jesteście. Przyjrzyjmy się pani Klump. - Zaczęła wystukiwać instrukcje: Znajdź - Terror, Znajdź - Niemcy, Znajdź - RAF. Może to przez czosnek? Przesunęła językiem po zębach, robiąc błąd w wyrazie, zastukała w klawiaturę i napisała raz jeszcze. No dalej, Michael. Powiedz coś, zrób coś albo zabieraj się!

- Na miłość boską, to po hebrajsku.

Ruth znieruchomiała. Mike stał za nią. Czowała jak ociera się ciałem o jej plecy, czowała na czubku głowy drżenie jego głosu.

- Nie na miłość boską - stwierdziła - tylko dla bezpieczeństwa.

- Hm, w każdym razie nie potrafię tego przeczytać. - Położył jej dłoń na ramieniu.

- Mogę przetłumaczyć - zaczęła mówić szeptem. Ostrożnie, żebyś potem nie żałowała, myślała ostrzegawczo. Zrobiło jej się gorąco na twarzy, ale niepokój tylko wzmógł pożądanie. - To bardzo delikatne sprawy, sam wiesz.

Poczuła, jak Mike odgarnia włosy z jej ramienia, a potem dotyka palcami szyi i posuwa dłoń w stronę twarzy. Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w górę.

- A więc tak wyglądasz bez maski - szepnęła, nachylając się nad nią. Pocałował ją. Na początku dotykali się ustami niepewnie, bez namiętności, bez

ruchu. Wtedy Ruth odpychając się bosą nogą od podłogi odwróciła krzesło, znaleźli się twarzami naprzeciw siebie, rozłączyli usta, spojrzeli sobie w oczy i znów zaczęli się całować. Ona złapała go za głowę i przyciągnęła do siebie, a on uklęknął pomiędzy jej nogami.

Teraz już nie mogli się powstrzymać, pieścili się po twarzy, oczach, włosach. Ruth rozszerzyła wargi i rozkoszowała się ciepłym kłębowiskiem smaków jedzenia, kawy i słodkich napojów. Odsunęła jego głowę do tyłu próbując go objąć, a potem uniosła się i zaczęła całować go po oczach, brwiach, włosach. Gdy jego wargi znalazły się na szyi Ruth, zsunęli się na podłogę.

Mike znalazł się na plecach, a ona na nim, jej włosy rozlały się kaskadą na jego twarzy. Nachyliła się nad nim. Czuł, że krew odpływa mu do krocza, ale teraz chciał dotykać jej twarzy - pragnął tego od pierwszej sekundy ich spotkania. Teraz było mu wolno, wyzwolił się

z więzów przyzwoitości i gdy się całowali, przesuwając palce po jej policzkach, aż do karku. Potem chwycił ją za ramiona i delikatnie odepchnął od siebie, chcąc jeszcze raz spojrzeć jej w oczy. Ruth podniosła powieki. Oczy wyglądały na jeszcze bardziej niebieskie niż poprzednio i otwierały się szerzej przy każdym oddechu. Usiadła wyprostowana, odgarnęła mu z czoła włosy. Obydwoje drgnęli, gdy dotknęła go.

- Ciepły jesteś - powiedziała cichym głosem. Podniósł ramiona, gdy sięgnął w dół, zaczęła zdejmować mu przez głowę golf. Spojrzała na rude włoski na jego piersiach.

Równocześnie złapali za dolny brzeg jej bluzki.

Ruth wyprostowała się. Miała na sobie biały, skromny stanik, lecz kształtów jej figury nie mogła zakłócić żadna bielizna.

- O Boże - szepnął Mike, obserwując jej luźne kosmyki włosów opadające na zarumienioną twarz, pępek wystający z nad sprzączki paska.

Nie spieszyło mu się, chciał sprawić jej przyjemność. Wiedział, że wyczuje, kiedy ona będzie już gotowa na przyjęcie go. Niech to będzie jej decyzja. Chciał być cierpliwy, delikatny, chciał, aby odczuła, że liczy się przede wszystkim ona, a on dopiero potem.

Ona jak gdyby czytała mu w myślach.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała. - Wiem, do jakich należysz mężczyzn. - Delikatnie go pocałowała. - Nie potrzebuję cierpliwości. Pragnę cię od razu.

Przycisnęła usta do jego warg, sięgnęła ręką za plecy i biały, bawełniany stanik spadł. Dokończyli rozbierania, nie przestając się całować. Sierść dywanu zaczęła drażnić ich uwrażliwioną skórę i Ruth nagle wstała, wzięła Mike'a za rękę i poprowadziła do sypialni. Rzucając mu się na ramiona, wyłączyła światło.

Stali przez chwilę przy łóżku delikatnie dotykając się ustami. Potem jak kochankowie ekwilibryści spadający z trapezu na siatkę, przewrócili się na białą pościel Ruth. Później obydwójce z westchnieniem, odczuwając ulgę w napięciu, połączyli się ze sobą.

Po krótkiej chwili - nie dłuższej niż, jak się zdawało, błysk ognia - leżeli już skąpani w słabym blasku, ze splecionymi nogami i rękami, wsłuchując się w echo własnych oddechów, odbijające się w niewielkiej sypialni. Jej wilgotne włosy kleiły się do jego karku i ramion. Patrzyli na swe rozmazujące się w ciemności twarze i każde z nich powątpiewało, że partner mógł w tak krótkim czasie doznać orgazmu. Wszystko przypominało trochę wypadek drogowy - nagły wybuch energii, po którym pozostały tylko ulotne obrazki toczących się zdarzeń, resztki wstrząsu fizycznego i podwyższony poziom adrenaliny.

Jak u wszystkich kochanków będących ze sobą po raz pierwszy, napięcie minęło, wątpliwości zniknęły. Teraz nie musieli się już spieszyć i mogli spokojnie z powrotem zmierzać na szczyt.

Po raz drugi rozpoczęli lekkimi dotykami, pocałunkami przechodzącymi od ust w inną stronę, aby poznać smak innych części ciała. Po dłuższej chwili znów

zetsknęli się ustami. Ruth unosiła się lekko nad Mike'em, dotykając sutkami jego piersi zaczęła się powoli kołysać, a potem jęknęła, obejmując go i ściskając jak pędzący jeździec. Trzymał ją za głowę, całował w piersi, obserwował, wiedział, że może dać jej to, czego ona pragnie. Zaciśnęła powieki, a jej długie brwi niemal zetknęły się ze sobą w zagłębieniu ponad nosem. Odgarnęła włosy i zaczęła szeptać po hebrajsku.

- *An ba'a. Ani ba'a.*

Odciągnęła głowę do tyłu, zaciśnięte ręce stały się twarde jak kamienie, gdy drżała z rozkoszy, Mike usłyszał nagle echo jej jęku.

Był to inny krzyk. Podobny, lecz pozbawiony rozkoszy. Przeciągle wycie kobiety. Pochodziło gdzieś z zewnątrz, z korytarza za drzwiami mieszkania. Przyciągnął Ruth do siebie, ścisnął mocno, a gdy zaczęła coś mówić, uciszył ją.

Nasłuchując podniosła w oczekiwaniu głowę.

- Ja też słyszałam - szepnęła.

Leżeli nieruchomo jak myśliwi w trawie. Znów dobiegły ich odgłosy wydawanych przez kobietę jęków. Każdy dźwięk towarzyszył delikatnemu puknięciu w drzwi mieszkania Ruth.

Podniosła się na wyprostowanych rękach.

- *Yo* - szepnęła jak wszyscy Izraelczycy, gdy przyjdzie im coś na myśl do głowy. - Może to Lisa?

Zostawiła Mike'a, zamknęła drzwi do sypialni i zdjęła z wieszaka szlafrok. Szybko wsunęła go na siebie, zawiązała pasek w talii, a Mike podniósł się na łokciach.

- Nie ma kluczy? - zapytał. Bardzo dziwne wydało mu się, że współlokatorka pojawia się w domu koło północy i stuka do drzwi własnego mieszkania.

Ruth jednak, prawdopodobnie czując się pewniej w towarzystwie policjanta, ruszyła prosto do drzwi. Mike nie był taki pewien siebie i obserwował chwilę przez uchylone drzwi, jak Ruth otwiera zamek, a potem wyskoczył z łóżka i pożałował, że pistolet zostawił w kieszeni kurtki.

Światło z korytarza wpadło do salonu i przez chwilę, zanim Ruth nachyliła się i przyklękła, Mike dostrzegł niewielkie podeszwy damskich butów sportowych. Leżąca w pozycji embrionalnej kobieta wiała się z bólu.

Zrobiło mu się wstyd za swoją podejrzliwość. Znalazłszy się na dywanie w salonie widział całą długość korytarza. Nie otworzyły się ani jedne drzwi. Ach, ci nowojorczyacy, pomyślał z pogardą.

W momencie gdy przeszedł przez drzwi, z lewej strony błysnął trzydziestocentymetrowy, żelazny drążek i wylądował na jego nosie. Właściwie nawet słyszał uderzenie metalu o kość; równocześnie z potężną eksplozją wewnątrz głowy zobaczył pod powiekami błysk złotego światła. Chwiejąc się na nogach zrobił krok do tyłu i musiał przytrzymać się futryny. Następny cios nastąpił z prawej strony, nie miał pojęcia, czy była to stopa, pięść, czy kolba, ponieważ powalił go nagły ból w splocie słonecznym. Zetknięcie pleców z podłogą spowodowało kolejne uderzenie, a następne nastąpiło w chwili upadku głowy. Otworzył usta, chcąc zawołać Ruth, lecz z płuc nie popłynęło powietrze, nagie ręce znalazły się w uścisku, w mięśniach ramion poczuł przyprawiający o mdłości ból; ktoś go za sobą włókł. Ruth prawie nie miała czasu na odwrócenie głowy.

Starła się delikatnie odsunąć włosy jęczącej kobiety i przyjrzeć się ukrytej pod rękami twarzy. Widziała krew rozmazaną pod jej nosem. Leżąca kobieta ubrana była w poplamiony, szary kombinezon i czerwoną czapkę narciarską.

- Wszystko w porządku. Zaraz wezwiemy karetkę.

Mówiąc te słowa Ruth usłyszała za sobą szelest odzieży i głucho uderzenie. Odwróciwszy głowę ujrzała dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn, ciągnących za sobą Mike'a. Na ułamek sekundy zamarła w bezruchu, a potem otworzyła usta do krzyku.

Nagle, niespodziewanie zaczerpnięcie powietrza sprawiło jej trudności, bo poczuła na gardle uścisk dłoni.

Odwróciła się z powrotem do leżącej kobiety, z wytrzeszczonych oczu popłynęły łzy. Czuła, że zaciskające się jak imadło na jej szyi ręce unoszą ją do góry. Kciuk Martiny tak mocno zagłębił się w miękkim ciele, że przez otwarte usta Ruth nie popłynął ani jeden dźwięk. Machała rękami, próbowała kopać nogami, lecz Martina z zaciśniętymi zębami i miną kostuchy podniosła Ruth i wepchnęła ją przez otwarte drzwi do środka mieszkania.

Strach Ruth zamieniał się w panikę, lecz mimo to udało jej się zacisnąć pięści na włosach napastniczki i przez ułamek sekundy miała nadzieję, że angażując wszystkie swe siły uda jej się krzyknąć. Jednakże włosy wymknęły jej się z dłoni, a z gardła wydobył się tylko cichy, charczący krzyk, ponieważ te silne ręce wyrastały w pobliżu twarzy, która złowieszczo uśmiechała się na fotografii z niemieckiego więzienia.

Martina wepchnęła bezwładne ciało Ruth do pokoju, drzwi zamknęła za sobą kopnięciem, a wolną ręką wyciągnęła szklaną strzykawkę i przez szlafrok wbiła igłę w ciało Ruth tuż pod

kością obojczykową.

11

Brooklyn, Nowy Jork

Gładkie, drewniane paciorki *masbaha* grzechotały w dłoni Mussy Hawametha, a odmawiane stłumionym głosem modlitwy sprawiały wrażenie, jakby niepewny siebie, orientalny buchalter rachował na liczydło swoje zmartwienia. Mussa przekładał w palcach paciorki różańca raczej nieświadomie, nie docierało też do niego, że stawia kroki na drażniącej boso stopy powierzchni dywanu z perskim wzorem. Ze wszystkich sił powstrzymywał się przed kolejnym spojrzeniem na zegarek.

Zauważył, że w okresach życia pełnych stosowania przemocy żadne śmiertelne urządzenie nie przysporzyło mu tyłu nerwów co ten mały, obserwowany całymi ciągnącymi się w nieskończoność nocami, zegarek na nadgarstku. Usłyszawszy jada-. cy po ulicy samochód, zatrzymał się na chwilę, zacisnął pięści, uniósł głowę i nasłuchiwał. Jednak światła samochodu szybko przesunęły się po zasłoniętych oknach, a nadzieja uleciała.

Mussa westchnął i z powrotem zaczął spacerować po kryjówce znajdującej się w pokoju gościnnym zniszczonego domu stojącego w części Brooklynu zwanej Fort Greene, na rogu ulic Carlton i De Kalb. Był to jeden z wielu budynków opuszczonych przez przerażonych nasilającą się przestępczością właścicieli, którzy przeprowadzali się do słonecznych posiadłości w gajach pomarańczowych. Starsze małżeństwo z wdzięcznością przyjęło opłatę za sześć miesięcy z góry za wynajęcie domu, którego - w przeciwieństwie do Martiny Klump - nie uznawali już za bezpieczny.

Czterokondygnacyjny budynek z podniszczonych, czerwonych cegieł, kryty blaszanym dachem i otoczony zapuszczonym, przemarzniętym ogrodem oraz ogrodzeniem z czarnego, kutego żelaza, przypominał typową rezydencję nawiedzaną przez duchy. Odsobnienie odpowiadało Martinie, ponieważ nie musiała przejmować się żadnymi włóczęgami ani chuliganami, którzy z całą pewnością zdołaliby wystawić jej ludzi na próbę tylko jeden raz. O ostatecznym wyborze przesądziła masywna, zamykana na zasuwę brama kończąca długi podjazd. Brukowana dróżka skręcała z bocznej uliczki i prowadziła do dużego garażu na dwa samochody, z którego przechodziło się do kuchni.

Chociaż przebywali w swej rezydencji bardzo krótko, Martina zabroniła członkom Yadd Allah korzystania z frontowych drzwi domu. Przywilej ten zachowała dla siebie, czyli głównego najemcy, oraz dla Fouada i Lyada, którzy zawsze wchodzili i wychodzili ubrani w kombinezony malarzy. W stertę zamrożonych chwastów wbili tabliczkę z napisem: PRACE REMONTOWE - McFEE I SYNOWIE, a o kolumny frontowej werandy oparli kilka płyt ze sklejki. Wszystkie te zabiegi miały tłumaczyć dobiegające od czasu do czasu z wnętrza budynku warczenie pił i uderzenia młotków o stal.

Mogłoby się wydawać, że dla lepszego kamuflażu rozsądniej byłoby urządzić sobie kryjówkę w muzułmańskiej enklawie w Jersey City albo pośród arabskich kupców przy Atlantic Avenue, gdzie kilka nowych bliskowschodnich twarzy zniknęłoby równie łatwo jak kamienie rzucone do skalnego ogródka. Tamte okolice jednak roily się od agentów

FBI i informatorów Mossadu, podczas gdy tutaj, w zapomnianym zakątku Brooklynu, Martina i jej wojownicy pozostawali niewidoczni. Wybrała to ustronne miejsce również z powodów psychologicznych, gdyż chciała, aby w dyskomfortowych warunkach jej ludzie zachowywali czujność, zamiast rozleniwiać zmysły pośród bliskich sercu dźwięków, zapachów i potraw. Chciała ich utrzymać w takiej koncentracji, jaką wykazują się komandosi za linią wroga - w izolacji wyostrza się refleks.

Jak dotąd wyglądało na to, że postąpiła słusznie. Nosa nie wściubiał żaden serdeczny sąsiad, ani nadgorliwy policjant, nikt nie naruszał ich prywatności. Pozostała jeszcze tylko jedna jedyna godzina do pomyślnego zakończenia bezproblemowych przygotowań do operacji Skorpion. Jednak Mussa nie czuł się tym podbudowany, ponieważ sama pani

Skorpion się spóźniała.

Dał się ponieść nerwom, uniósł rękę i spojrzął na metalową tarczę zegarka. Pięć po drugiej. Na trzymanej w dłoni Motoroli nacisnął guzik nadawania.

- *Aszma kan?*- wyszeptał.

Odrywając wzrok od ciemnych okien, spojrzął w górę na wysoki sufit i próbował zgadnąć, na którym piętrze znajduje się Muhammed. Po chwili w głośniku radiotelefonu rozległy się trzaski.

- *Maszi. Nic.*

Mussa zmarszczył brwi i, rozglądając się po swojej celi, myślał, że w najgorszym razie, jeśli Martina nie wróci, zakończą akcję i każdy pójdzie w swoją stronę. Skoro taka jest wola Boga, to nie pozostanie im nic innego, jak co pewien czas zbierać się na jakimś libańskim wzgórzu i rozpatrywać „co by było, gdyby”. A jeśli Martina została pojmana, to nie ma w tym jego winy, ponieważ ostrzegwał ją; wpadła w zasadzkę z powodu własnej mściwości, a on nie potrafił przestraszyć jej opisami tego, co się jej może przytrafić.

Pośrodku gościnnego pokoju stał długi stół, a na nim, błyszcząc w świetle aluminiowego reflektora, leżał czarny mundur oficera Marynarki. Nabił, mechanik z dyplomem Uniwersytetu Kairskiego, w jubilerskich okularach na nosie sprawdzał druciki i antenki umieszczone w szwach munduru. Drobnej budowy mechanik oderwał się od uniformu i odwrócił wzrok do otwartej, czarnej aktówki, w której pod fałszywym dnem leżały kawałki matowej, żółtawej masy. Tuż obok aktówki spoczywał przerobiony elektroniczny notes adresowy z dwoma krótkimi drucikami biegnącymi do małej żaróweczki. Nabił wrócił do munduru, ścisnął coś palcami i obserwował, jak żaróweczka przepala się z błyskiem i puknięciem.

Pokiwał głową, wyłączył podręczny komputer, zabezpieczył przycisk taśmą izolacyjną i ostrożnie wymienił przepaloną żaróweczkę na dwa małe, mosiężne przewody. Następnie delikatnie zatopił przewody w żółtawej masie, przymocował fałszywe dno aktówki, poskładał druciki i włożył do środka komputer. Wsunął jeszcze plik dokumentów z godłem amerykańskiej Marynarki, zamknął aktówkę i zatrzasnął zamki.

Spojrzął znad okularów na Mussę, jednym palcem wskazał na teczkę, a drugim pogroził, jakby chciał powiedzieć: „Bądź ostrożny, mój przyjacielu”. Choć na razie urządzenie było zabezpieczone, to gdy Mussa włączy komputer, będzie niósł w dłoni śmierć.

Mussa odwrócił się w stronę mahoniowej trumny, obok której na podłodze klęczeli Salim, Ali, Jaweed i Yaccub. Mieli na sobie podkoszulki w kolorze oliwki, a na

czas modlitwy pozostawali boso. Wszyscy zgolili brody i ostrzygli włosy. Ali mający jasną cerę ufarbował sobie czuprynę na ciemny blond, a rudych włosów i piegów Jaweeda nie powstydziliby się Święty Patryk. Pozostali wyglądali na muskularnych Amerykanów z włoskich lub portorykańskich rodzin.

Z powodu chłodnego powietrza widać było skraplającą się parę ich oddechów, gdy wstawali i dobierali sobie oznaczone numerami - dla uniknięcia pomyłek - pakunki z czarnymi, żałobnymi garniturami. Na pokrytej starą, kwiecistą tapetą ścianie, kolbami do dołu, wisiało sześć karabinów M-16A1 z tłumikami. Obok leżało sześć radiotelefonów Motoroli, takich samych jak ten Mussy, która spoczywał w ładowarce.

Mussa odwrócił się do dwóch krzyżaków ciesielskich podtrzymujących długą płytę ze sklejki, pokrytą cienką warstwą pianki zszytej z nylonową tkaniną. Na środku płyty leżało pozbawione głowy ciało, a właściwie manekin doświadczalny, którego tylną część odcięto chirurgicznym skalpelem do cięcia kości. W ten sposób przednia część klatki piersiowej, brzuch, wierzch ud oraz stopy i ręce pozostały nietknięte.

Manekin wsunięty został w biały kombinezon pletwonurka, aby ciało robiło wrażenie zeszywnienia pośmiertnego. Teraz spoczywało ze złożonymi na piersiach dłońmi w białych rękawiczkach, ubrane w czarny garnitur i wystające z zagłębienia lakierki. Dzięki delikatnej,

nylonowej tkaninie otulającej go po bokach i wzdłuż nóg, łatwo mogło uchodzić za prawdziwego nieboszczyka. Z wyjątkiem jednego szczegółu. W sklejce nad pustym kołnierzykiem znajdował się otwór wielkości melona. Nieprzyjemne zadanie wsunięcia głowy w ten otwór przypadło Iyadowi. Niech Bóg ma go w swej opiece, jeśli nie uda mu się wystarczająco sugestywnie odegrać swej roli.

Czterej mężczyźni odgrywający rolę *Marines* ułożyli swoje pakunki na dnie trumny, a potem podeszli do sklejkowej płyty, podnieśli ją i umieścili w trumnie. Ostrożnie poprawili „zmarłego”, aby zwoje nylonowej tkaniny idealnie pasowały do wyściełania trumny.

Uwagę Mussy przyciągnął szum laserowej drukarki, wyszedł z pokoju gościnnego, minął kręcone schody i skierował się w stronę rozświetlonego prostokąta drzwi. W dawnej szwalni, z łokciami na rozklekotanym stole kreślarskim, siedział przy komputerze IBM PS2 i kolorowej drukarce Textronix wysoki, chudy chłopak o imieniu Fahmi. Na stole leżały ryzy kolorowego papieru i kartek z „zapożyczonymi” nagłówkami, lecz nie było ani śladu buteleczek, pędzli ani igieł jak u klasycznego fałszerza, ponieważ Fahmi był artystą wywodzącym się z nowoczesnego świata.

Ukończył już większość swoich dzieł, które - dopieszczone jak oryginały - dowodziły jego mistrzostwa. Tablice rejestracyjne jego autorstwa były nie mniejszymi dziełami sztuki niż dokumenty sfalszowane za pomocą oprogramowania graficznego. Ponieważ każdy znak rzucał cień, litery i cyfry wyglądały jak wytłoczone. Wydrukował je na grubej folii, wyciął i przykleił do aluminiowych prostokątów, które pokrył trzema warstwami przezroczystego lakieru, a na koniec uzupełnił dzieło cętkami błota.

Dokumenty Mussy nie wymagały korekty, bo należały do prawdziwego porucznika Marynarki Ricka Delgado. Fahmi wykorzystał za to niektóre jego cywilne dokumenty jako wzory. Podrobił prawo jazdy i dowód rejestracyjny limuzyny, karawanu i furgonetki Ryder oraz najnowszego modelu Chewoleta w malowaniu samochodów sztabu Marynarki.

Odtworzenie kompletu dokumentów posiadanych przez mieszkańca USA nie przysporzyło mu zbyt trudności, ponieważ Amerykanie z nawyku laminują dokumenty i nie trzeba się przykładać do precyzyjnego dobrania jakości papieru. Prawie każda oficjalna pieczęć jest powszechnie dostępna w legalnie kupowanych programach komputerowych ze zbiorami rysunków, a laserowa drukarka wystarczy do podrobienia nawet aktu zgonu wystawionego przez lekarza sądowego.

Zupełnie inną dziedzinę stanowiły paszporty. Większość agencji wywiadowczych zatrudnia specjalny „departament sztuki” do podrabiania różnorodnych włókien, znaków wodnych, znaczków świecących w promieniach ultrafioletowych i innych pułapek. Na takie przedsięwzięcia Fahmi nie miał ani czasu ani sprzętu, więc wymyślił dla Yadd Allah alternatywny, choć niezmiernie kosztowny, plan opuszczenia amerykańskiej ziemi.

Wszyscy członkowie ugrupowania przybywali przez ostatnie miesiące do Nowego Jorku i Miami jako uchodźcy szukający azylu, wykorzystując do tego celu kupione na czarnym rynku afgańskie i tunezyjskie paszporty, które natychmiast wyrzucali w samolotowych toaletach. Następnie inspektorzy urzędu imigracyjnego bez żadnych problemów wpuszczali każdego z „uchodźców”, przyjmując jedynie pisemne przyrzeczenie zgłoszenia się na przesłuchanie.

Jednakże Fahmi przyjechał do Ameryki jako doskonale ubrany francuski turysta z dokumentami zaświadczającymi, że jest mieszkańcem Paryża. W dolnym podwinięciu płaszcza miał wszyte dwanaście oryginalnych, czystych paszportów maltańskich ze złotą pieczęcią przedstawiającą dwa delfiny. Dokumenty zakupił od skorumpowanego urzędnika z Valletty za pięćset funtów szterlingów od sztuki. Teraz każdy człowiek z Yadd Allah miał wypisany paszport z pieczęcią wjazdu na teren USA zaprojektowaną przez Fahmiego.

Fahmi był zadowolony, że nadwerzężył budżet, kupując jeden paszport dodatkowo. Martina przyznała, że się przydał.

Ponieważ czas naglił, pomimo chłodu panującego w budynku, pocił się. Wytarł dłonie o

spodnie i przyglądał się właśnie otrzymanemu zdjęciu młodej dziewczyny. Mussa spisał się doskonale - robił za pomocą teleobiektywu tyle zdjęć, aż uzyskał portret *en face* z oczami skierowanymi prosto w obiektyw. Na koniec pozostała Fahmiemu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Najpierw zadał lustrzane odbicie napisu czcionką Courier, dobrał w nazwie miesiąca odpowiedni odcień czerwieni, a potem wydrukował pieczętkę urzędu celnego i imigracyjnego, zaświadczającą o przekroczeniu granicy na lotnisku Kennedy'go. Jeszcze ciepły wydruk szybko pokrył cienką warstwą spirytusu i przyłożył napis do pustej strony paszportu, a następnie energicznym ruchem potarł kartkę kawałkiem marmuru. Kiedy odjął kartkę, odbita pieczętka niczym nie różniła się od tej, którą metalowym stemplem wbiłby urzędnik. Wypełnił piórem rubrykę nad napisem DATA, po czym pomachał paszportem, aby wyschł czarny atrament. Uśmiechnął się do Mussy.

Ten ukłonem wyraził podziw dla jego artyzmu, z trudem zdobył się na ciepły uśmiech i zaraz potem wyszedł z powrotem na korytarz. Po raz kolejny spojrzął na zegarek i skrzywił się. Była druga dwadzieścia dwie.

W wielkim domu panowała dziwna atmosfera beczynności. Ciężkie tkaniny oraz czarne zasłony ciemniowe wisiały na wszystkich oknach nie tylko po to, żeby chronić

poczynania Yadd Allah przed wzrokiem ciekawskich, lecz także, aby tłumić dobiegające z wewnątrz odgłosy. Aluminiowe reflektory rzucały strumienie żółtego światła, w którym tańczył dym papierosowy, a jeśli dodać do tego dźwiękowy podkład składający się z arabskich nawoływań, wszystko to przypominało Mussie syryjski szpital polowy, którego bynajmniej nie wspominał z sentymentem.

Drgnął pod wpływem czyjś dotknięcia, a gdy się odwrócił, ujrzał Nabilę trzymającego - niczym ordynans - marynarkę munduru. Mussa chrząknął, a następnie, uważając na przewody, ostrożnie wsunął ręce do rękawów. Inżynier sprawnym ruchem założył mu marynarkę i pozapinał mosiężne guziki.

- Jesteśmy już prawie gotowi - mruknął Nabil, po czym wyjął szczotkę i zaczął czyścić marynarkę. - Z całym szacunkiem, ale po raz kolejny muszę stwierdzić, że raczej staniemy się męczennikami niż załatwimy konwój amerykańskiej piechoty morskiej.

Podniósł lewą rękę Mussy, zgiął ją w łokciu, przekręcił w nadgarstku i odwinął mankiet rękawa. Ze szwu wystawało przytrzymywane nitką małe, metalowe kółeczko, przypominające zawleczkę ręcznego granatu.

- Mussa, kiedy naciśniesz włącznik kalkulatora - Nabil mówił ostrzegawczym tonem - walizeczka zostanie odbezpieczona. Później musisz tylko wsunąć palec w kółeczko i bardzo mocno pociągnąć. - Podniósł rękę i stuknął w lewą kieszeń na piersi marynarki, gdzie Mussa wyczuł podłużne, metalowe pudełko. - Stalowy kabelek zwolni sprężynkę przymocowaną do nadajnika. Jest przylutowana i nie wysunie się, ale powinieneś uważać na kółeczko, zanim odbezpieczysz walizkę włącznikiem kalkulatora... - przerwał, wzruszył ramionami i spojrzął na sufit.

Mussa nie przejmował się specjalnie, ponieważ w pełni wierzył w zabezpieczenia Nabilę. Nie podzielał też wątpliwości inżyniera.

- Trzeba wierzyć - powiedział, kładąc Nabilowi dłoń na ramieniu. - Jeśli szczęście nam dopisało, to Amerykanie koncentrują się teraz na zabezpieczaniu Bostonu.

- O ile nabrali się na zagrywkę Iyada - rzekł pełen wątpliwości Nabil, zeskubując nitkę z marynarki.

- Na pewno się nabrali. Teraz analizują zdobytą informację.

- Ale ten młodzian stracił motocykl.

- Owszem, tylko że pójdzie za śladem motocykla zajmie im trochę czasu. A wtedy nas już tu nie będzie.

- Z tego czy innego powodu - uśmiechnął się Nabil ze swym wisielczym humorem. Nagle zmarszczył brwi. - Mussa, gdzie ona jest? Po co to odstępstwo od planu? Nikt z nas niczego

nie rozumie.

Mussa spojrział na innego mężczyznę, który pieczołowicie niszczył wszystkie odpadki - części manekina, dodatkowe ubrania i wyuczone na pamięć mapy.

- Leila ma swoje powody, aby podążać tą drogą - stwierdził, choć sam nie zgadzał się z wieloma stosowanymi przez nią metodami. - Poza tym my nie możemy przegrać. - Uśmiechnął się do inżyniera. - Jeśli zostaniemy męczennikami, trafimy do raju. Jeśli wszystko nam się uda, rezultat będzie taki sam.

- *Insz Allah* - powiedział Nabil.

Na znak, że czas wynurzeń minął, Mussa poklepał inżyniera po policzku. Nabil skinął głową, westchnął i wrócił do pracy. Nawlókł nitkę i pochylił się nad stojącym przy jego stole jasnyniebieskim dziecięcym wózkiem.

Mussa spojrział na swe odbicie w lustrze odziane w dopasowany mundur i, nieodpowiednie w tej sytuacji, boso stopy wystające ze spodni. Prawdę powiedziawszy, nie za bardzo wierzył w swoje pełne otuchy słowa. Chłodny profesjonalizm Martiny zastąpiła osobista obsesja. Ogarnęło ją jakieś zakorzenione w przeszłości pragnienie zemsty i, gdy pojawił się izraelski oficer AMAN-u, straciła zimną krew. Mussie wydawało się, że zna całą jej przeszłość, więc gdy po zamachu bombowym na konsulat pojawiła się tamta postać, został wytracony z równowagi. Patrząc ponownie na zegarek, pokręcił głową. Cóż, pomyślał, to przynajmniej czysta sprawa. Gdy spostrzegł, która godzina, z zaniepokojenia wytrzeszczył oczy. Sięgnął po Motorolę i już miał nacisnąć guzik, gdy usłyszał głos Muhammeda.

- Idzie!

Mimo złości odetchnął z ulgą, podszedł do stołu, podniósł *Berettę* 92-Fi schował ją za plecami - albowiem nadchodzącego przyjaciela zawsze może śledzić wróg. W oddali otworzyły się kuchenne drzwi prowadzące do garażu i Martina przeszła korytarzem do pokoju gościnnego. Za nią podążali Riyad oraz osiłkowaty Youssef.

Na widok swej przywódczyni wszyscy osłupieli. Wyglądała na amerykańskiego mężczyznę w każdym calu - przystrzyżone blond włosy układały się na głowie dzięki żelowi, miała lotnicze okulary, a nawet niewielki wąsik. Ubrana była w baseballową czapkę nowojorskich Yankees, w ciemną, wełnianą kurtkę ze skórzanymi naramiennikami, narzuconą na kombinezon mechanika. Mussa nie miał wątpliwości, że gdyby znalazła się na lotniskowcu, nikt z załogi nie powstrzymałby jej przed uruchomieniem myśliwca.

Stała w wejściu i zdjęła okulary.

- *Zuruck na die Arbeit*. - krzyknęła. - Wracać do pracy.

Po krótkiej chwili zapomnienia wszyscy zajęli się nerwowo pracą.

- Za trzydzieści minut - znów odezwała się podniesionym głosem Martina - musimy być w drodze!

Zdjęła czapkę i podeszła do Mussy, który wzdrygnął się, gdy gwałtownym ruchem zerwała sobie wąsik. Stała tuż przy jego twarzy, zrobiła krok w tył i przyjrzała mu się uważnie.

- Bardzo ładnie. - Odwróciła go wokół osi, niczym krawiec oceniający pracę ucznia. - A gdzie buty?

- Mielśmy się modlić - stwierdził Mussa, patrząc jej w oczy.

- Możecie się modlić w myślach. Teraz nie ma czasu.

Odeszła, zdjęła kurtkę, rzuciła ją na podłogę i zajęła się pakunkiem, w którym znajdował się przeznaczony dla niej mundur. Z wyjątkiem Mussy nikt nie ośmielił się podnieść wzroku, gdy rozpięła kombinezon, zdjęła go, została jedynie w staniku oraz majtkach i zaczęła wciągać spodnie.

Zapięła rozporek i z zatorowaniem popatrzyła na wolną przestrzeń między paskiem spodni a brzuchem. Przez minione cztery dni straciła kilka kilogramów, na co nie powinna sobie pozwolić. Palce ją zawiodły, gdy próbowała wsunąć koniec parcianego paska w sprzączkę.

- *Scheiber*- zakłęła.

Kiedy w końcu udało jej się włożyć pasek w sprzączkę, ścisnęła się tak mocno, że aż ją zabolęło.

Szybkim ruchem włożyła przez głowę oliwkowy podkoszulek, spojrzała na zegarek i spróbowała ostudzić swój niepokój. Mieli jeszcze jednak dużo do zrobienia i kawał drogi do przejechania. Z całych sił pragnęła wyruszyć w drogę natychmiast, ponieważ w namierzonym miejscu nie miała nikogo, kto mógłby się z nią skontaktować i dodać jej otuchy. Przed nimi tylko jedno jedyne podejście. Muszą to rozegrać z niezmierną precyzją.

- Nabił, strój Mussy już gotowy? - Siedząc na podłodze, zakładała zielone wojskowe skarpety.

- Ma go na sobie - odparł Nabił stłumionym głosem, ponieważ głowę cały czas trzymał w dzieciennym wózku.

- Odpowiadaj na pytanie! - warknęła Martina. Nabił podniósł głowę i mrugnął oczami.

- Tak jest, Leila.

- A źródła zasilania?

- We wszystkim są nowe baterie.

- I wszystko działa?

- Idealnie - stwierdził bez wahania.

- *Gott helfe dir*- ostrzegła, choć wiedziała, że to próżna groźba. Niech Bóg i mnie ma w opiece, pomyślała. Zawsze działała uważnie, metodycznie, przewidywała wszystkie posunięcia i reakcje. Teraz jednak czuła się osaczona przez swą daleko idącą ostrożność.

- Gdzie Fahmi? - zapytała, wsuwając nogi w buty.

- Tu jestem. - Usłyszała za sobą głos.

- Jak z dokumentami?

- Wszystko zrobione.

- Gdzie są?

- Prawa jazdy i dowody rejestracyjne w schowkach w samochodach. Pasporty w kieszeniach strojów podróżnych.

- A mój?

- W twoim płaszczu. Wisi na kołku w furgonetce razem z bluzką i spódnicą.

- Tablice rejestracyjne?

- Są przy wszystkich pojazdach. Plus dodatkowe komplety w bagażnikach. Podniosła głowę i spojrzała na wysokiego chłopca. Na jego twarzy malowała się

wiara we własny profesjonalizm. Martinie chciało się wstać i uściskać go, lecz jedynie aprobującą skinęła głową. Choćby wszystko pozostawało w najlepszym porządku, nie dało się stłumić uczucia niepewności.

Była już teraz w stu procentach przekonana, że ktoś chciał zrzucić na nią odpowiedzialność za zamach bombowy na konsulat i że główną rolę w tym przedstawieniu odgrywa Benjamin Baum. Przyszłość i bezpieczeństwo jej matki stoją pod znakiem zapytania, Amerykanie i Izraelczycy deptają po piętach, a ona sama ma niewiele możliwości obrony przed nimi. Trzymała w rękawie jednego asa, ale cała ta intryga wydawała się jej teraz szyta grubymi nićmi, a nawet rozpaczliwa. Nerwowym ruchem zarzucając cętkowaną kurtkę, czuła że z trudem powstrzymuje się od łez. Nie! Nigdy! Nie pozwolę, żeby mnie zobaczyli w takim stanie!

- Mussa? - sprawdziła ton swego głosu. - Co z samolotem?

- Zarezerwowany.

- Jesteś pewien, że przesyłka dotarła?

- Wysłałem specjalnego kuriera. Twój „przyjaciel” pojechał do Waszyngtonu z całą pewnością nie zamierza zwiedzać zabytków.

Martina przerwała ubieranie i spojrzała na Mussę. Taki młody, taki odważny i gotowy

podzielić los własnego brata. Włożył skradziony mundur amerykańskiego oficera i nie wahał się przed dokonaniem czynu, za który w przypadku wpadki mógł liczyć wyłącznie na krzesło elektryczne.

- Zabrałaś perłę? - zapytał Mussa, chociaż łudził się jeszcze, że Martina zrezygnowała z tej szalonej polisy ubezpieczeniowej.

- Jest limuzynie.

- Sama?

- Nie, Fuad robi za niańkę.

Odwróciła się w stronę drugiego końca salonu, gdzie przy broni zebrali się jej ludzie. Ponieważ Youssef i Riyad przyszli dopiero teraz, razem z nią, Ali, Jaweed, Yaccub i Salim w pośpiechu pomagali im założyć mundury.

- Salim! - krzyknęła Martina, a wysoki Libańczyk odwrócił do niej głowę. -Dlaczego reagujesz na to imię? - spytała z pretensją, gdy ruszył w jej stronę. - Istnieje jakiś amerykański marynarz o imieniu Salim?

- Nie, sir - odparł Salim z akcentem wytrenowanym podczas oglądania filmów wojennych.

- A ty? - wskazała na Yaccuba, barczystego, muskularnego dwudziestosześcioletka urodzonego w Syrii.

- Anthony Fazio. Trzy, dwa, pięć, siedem, sześć, jeden, siedem, zero, jeden -wyrecytował Yaccub zachrypniętym głosem. - Pluton drugi, kompania Braw. Służba bezpieczeństwa.

Pozostali skoncentrowali uwagę.

- Ej, ty - zwróciła się do Jaweeda. - Weź mundur i szoruj do naszego człowieka w limuzynie.

- Tak jest - rzekł Jaweed i chwycił torbę podpisaną nazwiskiem Foster.

- Nie zauważyłam samochodu sztabowego. - Chciała znaleźć jakiegokolwiek uchybienie, ponieważ wytykając braki, mogła przypomnieć, kto tu jest szefem.

- Zaparkowałem dwie przecznice dalej - odezwał się Nabil.

- Dwie przecznice dalej? - huknęła na niego Martina. - Czyś ty zwariował?

- Sam podjąłem tę decyzję - stwierdził odważnie i wyprężył plecy. - Nikt nie powinien widzieć, że taki samochód tutaj wjeżdża albo wyjeżdża.

- A jak go ktoś ukradnie? - zapytała.

- Jest blokada na kierownicy.

- A jeśli ktoś poprzecina opony? - Martina stanęła tak blisko Nabili, że prawie stykali się nosami.

- Mamy w garażu cztery zapasowe koła. - Inżynier ani drgnął, czuł się jak człowiek z pełznącą po karku tarantulą.

Martina nie spuszczała z niego wzroku. Po chwili uniosła prawą dłoń i dotknęła jego policzka. Mussa skrzywił się, bo myślał, że Nabil dostanie w twarz za samowolną decyzję, ale Martina przysunęła się bliżej i nagłym ruchem go pocałowała. Zrobiła krok do tyłu, uśmiechnęła się i wszystkich dokoła ogarnęło rozluźnienie.

- Wyśmienicie - szepnęła. Powstrzymała się jednak przed nowymi komplementami i przeszła do dalszych spraw. - Gdzie mój płaszcz i kozaki?

- W walizce - stwierdził Nabil z dumnym rumieńcem na policzkach. - Położę ją na tylnym siedzeniu samochodu sztabowego. Nie chciałem, żeby ktoś ją ukradł.

- Oczywiście - powiedziała Martina. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju gościnnym i jej wzrok padł na błyszczącą trumnę. Gdy wolnym krokiem szła w tamtym kierunku, jej podwładni napięli mięśnie. Podniosła ciężkie wieko, przez moment zaglądała do środka, po czym delikatnie zamknęła trumnę z powrotem. Stała wpatrzona w wypolerowane drewno.

- Gdzie głowa? - spytała prawie mimochodem.

Nikt nie odpowiedział; zapanowała grobowa cisza. Martina uniosła dłoń i walnęła w wierzch trumny.

- Gdzie głowa?! - krzyknęła. - I gdzie ten idiota lyad?!
- Zaraz przyjdzie - próbował ją uspokoić Mussa. - Trochę się spóźnia.
- Spóźnia? - zwróciła się do Mussy. Uniosła ręce i klapnęła się po udach. Przeklęty kretyn, pomyślała i zaczęła spacerować po pokoju. Przychodzi na spotkanie bez żadnej konspiracji, trajkocze po arabsku, a do tego stracił jeszcze ten cholerny motocykl. Nie mogła sobie darować, że nie wyrzuciła go zaraz po pierwszych wpadkach. Najpierw podsunął kradziony motor władzom, które pójdą jego śladem, a teraz nie dostarczył najważniejszej rzeczy potrzebnej do ucieczki Yadd Allah. Położyła dłoń na ostrzyżonych włosach i starała się coś wymyślić.

Dokładnie w tej samej chwili w radiotelefonie Mussy odezwał się głos Muhamme-da, a zaraz potem rozległ się gwałtowny rumor przy drzwiach wejściowych. Mussa pobiegł do drzwi, pociągnął za klamkę i na korytarz wpadł lyad.

Włosy sklejały mu się w strąki od deszczu oraz potu. Sapał ciężko i choć czuł na sobie wzrok Martiny, unikał spoglądania na nią, wodząc oczami po towarzyszach.

- Przepraszam - potrząsnął głową i nerwowo rozejrzał się dokoła. - Przepraszam.
- Postawił na podłodze czarną, lekarską torbę i zdjął płaszcz, spod którego wyłonił się zielony uniform szpitalnego strażnika. - Nie udało się. - Rozłożył roztrzęsione ręce. - Po sali sekcji zwłok cały czas kręcili się lekarze - mówił rozpaczliwie. - W kostnicy ruch jak na dworcu kolejowym. - Wyłuskał z kieszeni papierosa i powoli zapalając go zapalką, próbował opóźnić gromy przekleństw, które za moment miały na niego spaść.

- Nowojorscy kierowcy są gorsi niż Libańczycy. Dzisiaj było mnóstwo wypadków.

Idąc w jego stronę, Martina zignorowała go, koncentrując wzrok na czarnej torbie. Podniosła go i otworzyła. W środku nie zobaczyła nic. Był pusty. Puściutki.

Rzuciła torbę i odwróciła się. Rytmicznie zaciskała i rozluźniała dłonie, jakby pompowała czarną gruszkę aparatu do pomiaru ciśnienia krwi. Powiodła wzrokiem od trumny, przez urządzenia na prowizorycznym warsztacie Nabiła, aż po odległe przejście do kuchni. Tam, na stoliku do krojenia, pomiędzy dwoma dużymi zlewami, dostrzegła pusty, metalowy cedzak, który Nabil przyspawał do stalowego statywu. Obok stał wykorzystywany w zakładach pogrzebowych zestaw, składający się ze spirytusu, płynów balsamicznych i przyborów do makijażu. Makabryczne narzędzia błyszczały w ostrym świetle kuchni.

Jeżeli nie dokończą kompozycji w trumnie, jeśli nie skompletują całego ciała, nie mogą ruszyć z miejsca.

Spojrzała na zegarek i poczuła nowy przyptyw energii. Przez takie drobne zaniedbanie? - zadała sobie w duchu pytanie. Czowała coraz silniejszy ucisk w piersiach. Przez jeden taki błąd mam być skończona?

- Przykro mi, Leila.

Wydawało się, że szept Iyada przeleciał jej mimo uszu. Wyglądała nadzwyczaj spokojnie, nie poruszała się. Ręce swobodnie opadały po bokach. Ugięła palce, ale zaraz z powrotem je wyprostowała. Czyżby miała zamiar mu przebaczyć? - zastanawiali się obserwujący ją mężczyźni. Martina przyglądała się Muhammedowi, który zatrzymał się w połowie drogi ze schodów i, spoglądając zza poręczy, przypominał przestraszone dziecko podczas kłótni rodziców.

Wolnym krokiem podeszła do zajmowanego przez Nabiła stołu, gdzie stała otwarta duża, prawie pusta butelka z lemoniadą Gatorade. Martina uniosła ją, zajrzała przez plastikową ściankę do środka, a potem przyłożyła do ust i dopiła resztkę Zielonego napoju.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do lyada, pustą butelkę ścisnęła w dłoni. Wszyscy członkowie Yadd Allah patrzyli na Martinę wzrokiem pływaka sparalizowanego widokiem rekina. Ona jednak uśmiechnęła się i z pewnym współczuciem zmrużyła oczy.

- Przepraszam - po raz kolejny powtórzył lyad. Ponieważ Martina nie wybuchła, poczuł się rozluźniony. - Nie tak łatwo o ludzką głowę - powiedział prawie z pretensją.

- Nie ma sprawy - odezwała się, podnosząc prawą dłoń. - Wszystko w porządku. Zatrzymała się metr od niego, a on z uśmiechem wzruszył ramionami i opuścił głowę. Martina sięgnęła za pas, wyciągnęła P-38, wsunęła lufę głęboko w otwór plastikowej butelki po Gatorade, przyłożyła dno do piersi lyada i strzeliła.

Wygięte w łuk ciało lyada przeleciało kawałek w powietrzu, papieros wypadł mu z ust, a na sekundę przed zetknięciem z drewnianą podłogą korytarza ręce rozwarły się na boki. Z płuc wyleciała resztką powietrza, kilka razy drgnęły nogi, aż w końcu ciało zamarło w bezruchu.

- Wszystko w porządku - powtórzyła szeptem Martina, chowając pistolet za pasek spodni. Machnięciem ręki odpędziła od siebie niewielki obłoczek dymu. - Twoja będzie w sam raz.

Zwodnicze zimowe słońce zalewające Potomak białym blaskiem wzbudzało fałszywe oznaki wiosny, przez co kilka oszukanych ptaków z Marylandu przedwcześnie rozpoczęło popisy wokalne. Poranne niebo, otaczając błękitem czarne nadrzeczne drzewa, wywoływało złudzenie, że w jakiś sposób można przeskoczyć - tak jak igła w rowkach starej płyty gramofonowej - pozostałe trzy miesiące chłódów. Niemniej na dębach rosnących od południowej strony nie pojawiły się jeszcze pączki, oddechy koni na wypasie przypominały kłęby dymu buchającego z lokomotywy, a żaden marynarz służący w Centrum Uzbrojenia Nawodnego Marynarki w Indian Head nie zamierzał pozbywać się ciepłej, wełnianej bielizny na rzecz letniej odzieży.

Jak większość poranków w Marylandzie, ten był dość chłodny, więc w białych, drewnianych barakach dla utrzymania równowagi personel Centrum Uzbrojenia popijał z kubków gorącą kawę. Ośrodek ten różnił się od typowych baz Marynarki tym, że zamieszkiwali go w większości naukowcy, inżynierowie i oficerowie noszący

baretki świadczące o marynarskiej przeszłości. Wiedli cywilizowane życie, całe dnie mijały im w laboratoriach i o tej porze w ogrodowych alejkach oraz na parkingach panowała jeszcze cisza. Najmniejsze zakłócenie spokoju natychmiast było odnotowywane przez grupę ludzi, których praca polegała na zabezpieczaniu tajemnic. Jak zawsze pierwsi na nogach znajdowali się *Marines*.

Przez trójkątny park stanowiący podjazd do Centrum jechały wolno dwa pojazdy z delikatnie pomrukującymi silnikami. Przeniesienie tajnego prototypu z Indian Head do bezpiecznej przystani w pobliżu Dahlgren odbywało się bez żadnych fanfar, ale obecność pojazdu eskortującego zdradzała doniosłość misji. Terenówka *Humvee* nadal nosiła piaskowy kolor, na jaki pomalowano ją podczas krótkiego występu w operacji Pustynna Burza. Samochody te mają skłonności do koziołkowania, co i temu zdarzyło się na kuwejckiej wydmie, i teraz dzięki rysom oraz wgnieceniom wyglądał na pojazd uczestniczący w wyścigu wojskowych samochodów dostawczych.

Za *Humvee* podążała bardziej konwencjonalna sześciokołowa ciężarówka z przyczepą pod brezentową plandeką. W samochodach jechało sześciu uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej oraz jeden technik z laboratorium ośrodka. Technik drzemał w kabinie *Humvee*, a eskorta *Marines* siedziała na swoich miejscach w pozach przypominających psy obronne podczas transportu - przymknięte oczy, palce zaciśnięte na karabinach *M-16*.

Starszy szeregowy Mark Milliken przejechał na dwójce obok brązowej rzeźby przedstawiającej indiańskiego wodza w pióropuszu, która stanowi powitalny znak Centrum Uzbrojenia. Zatrzymał się obok ceglanej strażnicy, w której potężnie zbudowany, czarnoskóry sierżant z wydziału policji okręgu Charles otworzył przed nim drzwi. Milliken poprawił czapkę, odsłaniając ostrzyżone najeża blond włosy. Wręczył sierżantowi rozkaz.

- Miły poranek, prawda? - zagadnął policjant, a potem sięgnął po parujący kubek i podniósł go do ust.

- Dobrze, że śnieg nie pada - zauważył Milliken. Część *Marines* nie była zadowolona z decyzji dowództwa, aby na warcie przy bramie ośrodka stali gliniarze. Milliken nie narzekał. Policjanci byli grzeczni i uprzejmi nawet w trudnych sytuacjach, a on mimo to widział, jak

kiedyś potraktowali intruza nie mniej ostro niż ich koledzy z miejskiej brygady antynarkotykowej.

- Cel wyjazdu? - zapytał sierżant.
- Centrum w Dahlgren.
- Plan trasy?

- Najpierw pojedę drogą 210, potem 225, dalej 625, a później 6 i 301. Jak nie będzie tłoku na moście, wszystko pójdzie gładko. Powiniem się uwinąć w godzinę.

- Aha. - Sierżant obejrzał rozkazy i teraz sprawdzał trasę. - Co wieziecie? Milliken uśmiechnął się szeroko. Chociaż tego typu transporty należały do zajęć

rutynowych, nie wolno mu było rozmawiać na temat natury swej misji i policjant dobrze o tym wiedział. Żołnierz spojrział na technika chrapiącego na siedzeniu dla pasażera, a potem z powrotem odwrócił się do sierżanta.

* *Naval Intelligence Service* - wywiad Marynarki USA [przyp. red.].

- Jednego jajogłowego, sześciu wojaków i jednego wielkiego sztucznego fiuta. Sierżant roześmiał się.

- Przyjąłem. - Wystukał coś na konsolce urządzenia nadawczo-odbiorczego. -Odezwiście się, jak dotrzecie do celu.

- Jasne - rzekł Milliken i wrzucił pierwszy bieg. Zgodnie ze standardową procedurą powinien utrzymać łączność radiową z siecią radiostacji Marynarki, on jednak wolał pozostawać w kontakcie z policjantami. W razie jakichś kłopotów na drodze policjanci zjawiali się o wiele szybciej niż żandarmeria.

Lewą ręką Milliken dał znak, aby ciężarówka pojechała za nim i, stopniowo nabierając szybkości, skierował się trasą 210 na północny wschód. Poranny wiatr smagał pojazd, więc Milliken zamknął wszystkie okna i zaczął delektować się słonecznymi krajobrazami Marylandu.

Służba w Centrum Uzbrojenia była dość nudna. Pułkownik starał się trzymać swych ludzi na baczności z powodu raportów NIS*, dotyczących zagrożenia napadami terrorystycznymi na transporty wojskowe. Jednakże tego typu przypadki mają czasami miejsce w Europie, Ameryce Środkowej lub na Filipinach. Tutaj łatwiej zderzyć się z krową niż stać się ofiarą napadu.

Milliken miał za sobą prawdziwą wojnę. Większą jej część spędził pocąc się w transportowcu przy kuwejskich plażach, jednak w końcu pozwolono *Marines* zejść na ląd. Widział kilka głośnych potyczek, chociaż przeważnie jego kompania wygrzewała się na słońcu, pilnując jeńców. Niemniej będzie miał o czym opowiadać dzieciom.

Dla porównania Maryland stanowił nudny obszar bez żadnych rozrywek, o których warto byłoby wspomnieć. Wszystko dookoła wydawało się takie samo - schludne uliczki pomiędzy domami z czerwonej cegły, restauracje Pizza Hut, sklepy z napojami alkoholowymi, wypożyczalnie kaset wideo. Na pocieszenie pozostawała tylko spora liczba znudzonych licealistek, którym wystarczało inteligencji, aby podziwiać ciało chłopaka potrafiącego zrobić sześćdziesiąt pompek w przeciągu sześćdziesięciu sekund. *Marines* nigdy się nie męczą - podobnie jak Susie Upham. Podczas służby Milliken uśmiechał się za każdym razem, kiedy pomyślał o nadchodzącym sobotnim wieczorze z długonogą maturzystką. Na najbliższą sobotę zaplanowali wypad na motocyklu.

Przed skrzyżowaniem z drogą numer 225 zwolnił, upewnił się, że ciężarówka jedzie za nim i minął tawernę „Lone Star”, gdzie razem z Susie spędzili wiele wieczorów, kołysząc się w takt muzyki płynącej z szafy grającej.

Brezentowa plandeka przyczepy w niewielkim stopniu chroniła przed wiatrem. Chociaż tkanina szczelnie przylegała do boków skrzyni, wiatr wdzierał się przez nieszczelności na szwach i szalał po całym pomieszczeniu.

Postawny czarnoskóry marynarz, zajmujący miejsce po prawej stronie na rozklekotanej

ławce, wysunął głowę na światło dzienne przez niewielki trójkąt. W momencie gdy konwój skręcał z drogi numer 225 w 210, zauważył, że w tę samą drogę skręciły jadące z przeciwka czarna limuzyna i karawan. Zaciągnął połą, postawił kołnierz kurtki, usiadł z powrotem na swoim miejscu i ścisnął kolbę karabinu *M-16* stojącego między nogami.

- Niezły dzień na pogrzeb - mruknął.

- Co mówisz? - zapytał niski, szeroki w ramionach, dobrze umięśniony żołnierz z przeciwległej ławki.

- Jedźcie za nami limuzyna i karawan - czarnoskóry *Marinę* podniósł głos, aby przekrzyczeć hałasującą ciężarówkę.

- Ty, Humason, to zawsze umiesz poprawić człowiekowi humor - zakpił niższy.

- Taka robota, mój drogi Del Ray. Del Ray uśmiechnął się.

- Zagrożają bezpieczeństwu? Powinniśmy się nimi zająć? ;

- Przecież już są martwi. Del Ray pokiwał głową.

- A ty mógłbyś odwrócić ten karabin - zwrócił uwagę Humasonowi. - To nie siekiera. Chyba nie chcesz przestrzelić silnika?

- Nie, nie. - Humason spojrzał na broń. - Myślałem raczej o przestrzeleniu sobie stopy. - Podniósł ciężki but i ustawił go na szerokiej, mniej więcej półtorametrowej tubie z włókna szklanego spoczywającej na stojaku. Przód przypominał kształtem muszlę małża, z tyłu natomiast znajdowała się osłona dyszy. Mniej więcej w połowie wystawał jakiś przyrząd optyczny zabezpieczony czarną, rozciągliwą folią. Pod spodem znajdowała się gumowa podstawka, otaczająca tubę niczym bułka parówkę hod-doga. Całe urządzenie przymocowane było do drewnianego stelaża za pomocą stalowych zacisków.

- No co ty, przecież życie nie jest takie złe - stwierdził Del Ray. Wskazał na but Humasona. -I ściągnij tego cholernego kulasa z własności rządowej. Jak magazynier zobaczy rysy, to nie tylko tobie, ale i mnie dobierze się do tyłka.

Humason z ociąganiem zdjął stopę z rury i wyciągnął nogi w drugą stronę.

- Panowie - podniósł swój basowy głos Yalie, naśladowując nosowy ton ich pułkownika - dostarczcie to cacko na miejsce. Nie zgubcie go, ani nie sprzedajcie.

Del Ray roześmiał się i klasnął odzianymi w rękawiczki dłońmi.

- Nieźle, nieźle - powiedział.

- Pieprzony, zapyziały dupek - rzekł Humason.

- A co myślałeś? Przecież to oficer.

- Właściwie to co to za gówno? - zagadnął Humason, pokazując żółty napis na tubie: MARYNARKA STANÓW ZJEDNOCZONYCH - TAJNY PROTOTYP.

- Nie wiem. - Del Ray wzruszył ramionami. - Wygląda jak *Dragon*.

- Raczej jak kutas mojego ojca.

- Chciałbyś - zakpił Del Ray.

- Nie wierzysz? - Humason wskazał palcem swoje krocze. - Chcesz zobaczyć udoskonaloną wersję?

Ignorując go Del Ray odchylił połą plandeki, aby wyjrzeć na zewnątrz. Dwupasmowa, czarna droga wiła się pomiędzy lśniącymi lasami sosnowymi. Jakies sto metrów z tyłu, niknąc na zakrętach, migotały słabe światła limuzyny oraz karawanu. Del Ray zasłonił połą.

- Jesteśmy na 425 - powiedział. - Połowa drogi.

- W połowie drogi to ja będę dopiero za sześć miesięcy.

- A ja za trzy miesiące będę w Norfolk - stwierdził Del Ray. On także chciał wyrwać się z piechoty morskiej, ale po to, by dostać się do bardziej elitarniej jednostki.

- Jasne - rzekł z przekąsem Humason. - Jak ty się dostaniesz do SEAL, to ja zostanę profesorem.

- Ty, Humason, przecież wojsko jest dla ciebie dobre. Dzięki niemu dostaniesz może nawet pracę.

- Ciekawe jaką? Strażaka?

Humason wykonał ruch naśladujący masturbowanie, zamknął oczy i oparł głowę o rozchybotaną ściankę platformy...

Jadący w Humvee Milliken zredukował prędkość, choć kusiło go, aby dalej mknąć suchą nawierzchnią krętej trasy 425, która prowadziła teraz po grani. Ponieważ środek ciężkości terenówki znajduje się dość wysoko, przy zbyt gwałtownym zakręcie mogłoby dojść do dachowania, a nawet uszkodzenia cennego ładunku, co z kolei oznaczałoby areszt i rozwianie marzeń o erotycznej wycieczce z Susie. Spojrzawszy w tylne lusterko, zauważył Chucka Normana, kierowcę ciężarówki, starającego się nadążyć za nim, więc zwolnił jeszcze bardziej i sięgnął po mikrotelefon *PRC-104* umieszczony pomiędzy fotelem kierowcy a pasażera.

- Bravo Dwa, nie siedź mi na ogonie. - Milliken uśmiechnął się do nadajnika. - Ostrzejszy zakręt i polecimy obaj.

- Przyjąłem - odpowiedział z trzeszczącego głośnika *PRC* głos Normana. Ciężarówka zaczęła zostawać z tyłu.

Następne dziesięć kilometrów jechali otwartą przestrzenią; zimowa trawa rozciągała się po brzdach czarnej ziemi, a połacie twardego śniegu kurczyły się pod wpływem słońca.

Zacienionym odcinkiem pojazdy zbliżyły się do skrzyżowania. Pracownikowi laboratorium Centrum Uzbrojenia coś przeszkodziło w drzemce, więc mruknął i podniósł głowę. Przetarł oczy zaciśniętymi pięściami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Ironsides - rzekł Milliken, zatrzymując pojazd i wrzucając luz. Przed nim rozciągała się, łącząca wschód z zachodem, szosa numer 6. Na południowo-zachodnim rogu skrzyżowania stała tabliczka z namalowaną wieżą oraz strzałką wskazującą drogę do kościoła baptystów w Nanjemoy. Na południowo-wschodnim rogu natomiast wznosił się biały, zrujnowany dom, który wyglądał na opuszczony, jednak z komina buchały kłęby dymu, a na podwórkowym sznurku suszyła się pościel.

- To zadupie ma nazwę? - zapytał laborant.

- Jak wszystko, co stworzył Bóg - stwierdził Milliken.

Zatrzymał się, bo z zachodu zbliżała się do skrzyżowania żółta ciężarówka firmy Ryder. Chociaż miała pierwszeństwo, jej kierowca przepuścił wojskowe pojazdy. Milliken kiwnął z podziękowaniem ręką i zauważył, że odpowiedział mu ruch rękawa oliwkowego koloru.

- Też wojak - powiedział, wrzucając pierwszy bieg.

- Pewnie przeprowadza się z rodziną - rzekł laborant.

- Jak ma szczęście, to w lepsze strony - stwierdził starszy szeregowy.

Po skręcie w lewo spojrział na zegarek i postanowił zaoszczędzić trochę czasu. Ciężarówka jechała dość blisko za nim, więc gdy droga przez Ironsides biegła z góry, wcisnął mocniej pedał gazu. Mieścina świeciła pustkami. Niedaleko drogi, po lewej stronie, stała biała, cicha remiza ochotniczej straży pożarnej z jednym garażem

i zardzewiałym dystrybutorem benzyny, który najwyraźniej przestał działać już dawno temu. Nie było widać żywej duszy.

- Daleko jeszcze? - zapytał laborant, gdy wjechali do wioski.

- Jeszcze Hilltop, Welcome i będziemy na 301 - odparł Milliken i poruszył dźwignią zmiany biegów.

- Wskoczmy gdzieś na kawę?

- Jak będziemy wracać, zahaczymy o „Port Tobacco”.

Mijając małą, szarą chałupę po prawej stronie drogi, już miał przyspieszyć, ale powstrzymał się i zawołał:

- Jasna cholera! Ni stąd, ni zowąd pojawiła się jakaś kobieta. Od stóp aż po szyję była zasłonięta

długą, czarną peleryną, na głowie miała zawiązaną czerwoną chustkę, a z powodu

czarnych, przeciwsłonecznych okularów jedyną wyraźnie widoczną częścią jej twarzy był biały nos. Milliken wpadłby w przerażenie już na widok jej samej przed samochodem, a tu jeszcze na dodatek pchała przed sobą duży, niebieski wózek dziecięcy.

Milliken nadepnął na pedał hamulca. Przekręcając kierownicę, cały pochylił się w lewą stronę. Przód samochodu był posłuszny kierowcy, ale tylne koła na odrobinie mokrego piasku wpadły w poślizg i stalowy korpus wozu zarzuciło na prawo. Laborant wyrzucił ręce w górę, a *Marinę* na platformie *Humvee* upadł na podłogę.

- Kurwa mać! - wrzasnął Milliken, gdy opony znów złapały przyczepność. Sylwetka kobiety znajdowała się o trzy metry od prawego zderzaka i choć pojazd zdążył gwałtownie zahamować, kobieta upadła. Milliken zauważył, że ciągnąc za sobą wózek, przewróciła się na prawą stronę, jak gdyby wytrącił ją z równowagi pęd wiatru.

Znów usłyszał pisk opon i, odwracając głowę, spodziewał się tuż za sobą zobaczyć ciężarówkę wojskową. Jednak zatrzymała się kilka długości za *Humvee*, a jeszcze dalej stanęła wielka ciężarówka Ryder. Wtedy zorientował się, że to piszcząły opony pojazdu nadjeżdżającego z przodu.

Zza wzgórza od wschodniej strony nadjechał i zatrzymał się zielony, wojskowy samochód sztabowy. Kiedy Milliken, ściskając kierownicę, starał się złapać oddech, otworzyły się drzwi kierowcy i z samochodu wyszedł porucznik Marynarki w wyjściowym mundurze. W dłoni trzymał aktówkę i gdy zbliżał się do kabiny było widać, że wprost kipi gniewem.

- Kurwa, już po mnie - wyszeptał Milliken, wpatrzony w nadchodzącego oficera. - Susie, odwiedzisz mnie w ciupie.

Nagle zdał sobie sprawę, że powinien jakoś pomóc poszkodowanej kobiecie, bo zostanie dodatkowo oskarżony o zaniedbanie obowiązków służbowych. Odpiął pas bezpieczeństwa, chwycił za klamkę i otworzył drzwi.

- Zostańcie na miejscu - powiedział oficer i podniósł rękę jak policjant drogowy. Pociągnął za drzwi, prawie wepchnął starszego szeregowego do środka i energicznym ruchem wcisnął mu aktówkę. - Trzymajcie.

Gdy porucznik odchodził, Milliken zamknął drzwi i ostrożnie położył aktówkę na metalowej obudowie nadajnika *PRC*. Spojrzał na dyszącego i trzęsącego głową laboranta.

- Stary, jestem skończony - wymamrotał, a zaraz potem zaczął się modlić w duszy, aby tamtej kobiecie nic się nie stało.

Mussa przeszedł przed samochodem. Martina leżała skulona obok dziecięcego wózka - trochę za blisko samochodu, ale już nic nie można było na to poradzić. Mussa przyklęknął i nachylił się nad nią. W szklach okularów przeciwsłonecznych

odbijała się jego biała czapka, usta Martiny pozostawały bez wyrazu, jedną ręką ściskała pistolet maszynowy opatulony kocykiem w wózku. Mussa całym ciężarem przycisnął Martinę, a jednocześnie wsunął palec pod mankiet swego lewego rękawa, odnalazł kółeczko zamontowane przez Nabiła i pociągnął.

Przez sekundę nic się nie działo, a później na drodze rozległ się głuchy huk. Kadłub wozu odkształcił się jak otwierane pudełko z mlekiem, korek wlewu paliwa wystrzelił w niebo, a drzwi gwałtownie się otworzyły. Z wnętrza wysączyły się czarne smużki dymu, przez strzaskaną przednią szybę buchnęły pomarańczowe ogniki, lecz szczątki samochodu nie rozleciały się po okolicy. Nabił spisał się na piątkę. Zastosował tyle plastiku, ile było potrzeba. Ani za mało, ani za dużo.

Pod wpływem wybuchu Martina nie skuliła się. Zanim detonacja odbiła się echem od rzadko rozsianych budynków, wyczołgała się spod Mussy, wyciągnęła z wózka broń i odbiegła od wraku samochodu. Zatrzymała się dziesięć metrów dalej na drodze i, ściskając oburącz pistolet maszynowy, rozejrzała się dokoła. Później wyprostowała się, aby podbiec do płonącego *Humvee*. Wyglądała jak kura domowa biorąca udział w napadzie na bank.

Mussa wstał i na widok płonącego pojazdu nabrał pewności siebie. Nie słyszał żadnych

krzyków, a do działania zmusiła go seria z pistoletu maszynowego. Na widok nadchodzącej Martiny okrążył *Humvee* i ruszył za nią, po drodze wyciągając z kabury *Berettę*.

W kabinie ciężarówki z rozdziawioną twarzą siedział Chuck Norman. Na przedniej szybie ujrzał pajęczynkę pęknięć, a podniósłszy rękę zorientował się, że nie ma okularów. Podczas wybuchu pękły mu na nosie i czuł teraz płynącą stróżkę krwi. To co się działo, wykraczało poza jego wyobraźnię. Niczego nie rozumiał.

- O kurwa mać! - Na nic więcej nie mógł się zdobyć. W jednej chwili Millikem zatrzymywał się, żeby nie przejechać tej kobiety, a w następnej rozpętało się piekło. W stronę kabiny Normana zbliżał się teraz porucznik Marynarki. Z prawej strony za obłoczkami dymu tamta kobieta - najwyraźniej zdrowa jak ryba - ścisnęła pistolet maszynowy. We wstecznym lusterku zamajaczyły mu sylwetki uzbrojonych sylwetek wybiegających z za ciężarówki.

I nagle zrozumiał.

Odwrócił się do pasażera, dziewiętnastoletniego dzieciaka ledwie po unitarce w Quantico.

- Perris! - krzyknął. - Wypierdalaj stąd!

Zdezorientowany młodzieniec chciał poprosić o wyjaśnienie. Jednak Norman wyciągnął już z kabury na pasku broń i wyskakiwał z kabiny. Perris mruknął coś pod nosem i, ściskając karabin, popchnął drzwi, postawił nogę na stopniu, a potem zeskoczył na drogę.

Martina podeszła jak najbliżej przyczepy, żeby nie uszkodzić przypadkiem jej cennego ładunku i wystrzeliła do Perrisa. Młodzieniec rozłożył ramiona i upadł twarzą na drogę. Martina przeszła nad ciałem, wystrzeliła z za ciężarówki i ruszyła dalej w lewą stronę, skąd od Rydera biegli Ali, Salim i Yaccub. Dalej po tej samej stronie biegli Jaweed, Youssef i Riyad.

- Ostrożnie z ładunkiem! - zawołała za nimi Martina.

Po drugiej stronie ciężarówki rozległ się pojedynczy strzał, później seria z karabinu, a potem usłyszała krzyk Mussy:

- Droga wolna!

Del Ray i Humason nie mieli szans. Byli dobrymi *Marinę* i walczyliby jak lwy, gdyby wiedzieli, co się dzieje. Nikt im jednak nie wydał rozkazu i nagle stanęli twarzą w twarz z sześcioma żołnierzami piechoty morskiej celującymi do nich z karabinów.

- Znowu, kurwa, ćwiczenia - mruknął Humason, odwijając połą, a potem położył ręce na głowie, kopnął zamek i z hukiem otworzył klapę.

- Srać na ćwiczenia - powiedział Del Ray, zeskakując na ziemię obok spoglądającego rozwścieczonym wzrokiem Humasona.

Del Ray ledwie się wyprostował, gdy Jaweed uderzył go w szczękę kolbą *M-16*. Jednak ten amerykański karabin nie został zaprojektowany do walki wręcz, toteż drewno pękło z trzaskiem, gdy nieprzytomny Del Ray padał na ziemię.

- Ej, jak ci zaraz... - zaczął krzyczeć Humason, ale jego głos zamienił się w jęk, gdy Ali pchnął go lufą w splot słoneczny. Potężny mężczyzna usiadł całym ciężarem na drodze, poleciał na plecy i przewrócił się na bok.

- Unieszkodliwić go - rozkazała Martina, odwróciła się i zaczęła biec z powrotem pod górę.

Ali odbezpieczył broń, cofnął się trochę i władował Humasonowi kulę w udo.

Martina pobiegła w kierunku samochodu sztabowego. Chustkę i okulary rzuciła nat drogę, jej jasne włosy kontrastowały z czarną peleryną.

Mussa przyspieszył, szybko wskoczył do samochodu sztabowego, zawrócił nim i zwolnił, żeby Martina mogła wsiąść na miejsce dla pasażera.

Opanowana przez nowych właścicieli ciężarówka ruszyła do przodu i powoli objechała płonącego *Humvee*. Ciężarówkę prowadził Riyad, ominął płonący samo-chód szerokim łukiem, a potem nabrał prędkości i pojechał za wozem Mussy.

Zza skrzyżowania wyjechała czarna limuzyna, minęła Rydera z lewej strony, objechała ciało i migoczące kawałki szkła, po czym dołączyła do konduktu. Tuż za nią podążał

karawan.

Humason wolnym ruchem przewrócił się na brzuch i podparł się na łokciach. Po jego wielkich policzkach spływały łzy i kapały na asfalt. Spojrzał na zniszczoną kabinę ciężarówki z otwartymi drzwiami, a potem przeniósł wzrok w miejsce, gdzie przedtem znajdowała się platforma z prototypem pocisku. Na drodze leżał na plecach Del Ray, na jego pełną spokoju twarz padały promienie słońca. W oddali z cienia wystawały buty Chucka Normana. Ten nowy - jak on się nazywał? - leżał na podwójnej żółtej linii, spod jego ciała wypływały trzy błyszczące stróżki krwi.

Poprzez coraz gęstsze kłęby zaczynającego palić się na dobre *Humvee* Humason dostrzegł na czele konwoju morderców samochód sztabowy znikający właśnie za odległym wzgórzem. Z okna po stronie pasażera wyleciała czarna peleryna, zafurko-tała chwilę na wietrze niczym piracka flaga, a potem upadła na drogę.

Humason sięgnął lewą ręką po futerał z radiotelefonem, udało mu się ją wyciągnąć i starał się ignorować ból promieniując z uda. Przyłożył czarne pudełko do ust i przycisnął guzik nadajnika.

- Tu Bravo Dwa do Bazy Bravo - szepnął. - Mamy tu ognisko. - Biorąc głęboki oddech starał się, żeby mu nie opadła głowa. - Powtarzam. Mamy tu ognisko.

A potem stracił przytomność.

Jednak nie miało to znaczenia. Radiotelefon nie działał. Nikt go nie słyszał.

12

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Zabarykadowaną siedzibę ambasady izraelskiej powoli spowijała otulina mgły, powstałej z wciśniętych pomiędzy płyty chodnikowe smużek śniegu, parującego pod wpływem rzadko spotykanego o tej porze roku słońca. Powiew porannej bryzy spychał białe płatki za żelazny płot do ogrodu pod czujne oko działających przy każdej pogodzie kamer, aż wreszcie wylądowały na granitowych ścianach.

Na rogu International Drive i Van Ness, siedząc z tyłu taksówki, Benni Baum zmęczonymi oczami spoglądał na budynek. Silnik pracował, kierowca pukał palcami w kierownicę, działał taksometr, a Baum ani drgnął.

Wystawna rezydencja przedstawicieli jego państwa przypominała mu otomańskie fortece. Pomimo nowoczesnych okien w kształcie półksiężyca i izraelskiej flagi trzepoczącej na wietrze, budynek kojarzył się z więzieniem izolującym Izraelczyków od reszty dyplomatycznej społeczności. Dla Bauma był to już ostatni przystanek przed radosnym powrotem do zwyczajnego, rutynowego trybu życia, jednak wyczuwał, że pomiędzy tymi ścianami czekają na niego sekrety, których lepiej byłoby nie ruszać.

Z niepewnością patrzył na swe pogniecione spodnie. Wymięta niebieska koszula i rozluźniony krawat sprawiały wrażenie, że ich właściciel spał w ubraniu na fotelu, co było szczerą prawdą.

Minionej nocy w ramach zemsty zameldował się w hotelu „Ritz-Carlton”. Przez większą część swej kariery, ku zadowoleniu księgowych AMAN-u, zatrzymywał się w tanich pensjonatach i motelach, jednak teraz, gdy leciał do Waszyngtonu, postanowił zrobić Itzikowi Ben-Zionowi na złość. Generał się wścieknie na widok rachunku, ale Benni każe mu iść do diabła.

Zainstalowawszy się w pokoju, przypomniał sobie, że w Waszyngtonie należy ubrać się w garnitur. Granatowa marynarka była pognieciona, ale wyglądała bardziej oficjalnie niż sprana sztruksowa bluza, więc razem z koszulą wyjął ją z walizki, założył na siebie i przez dziesięć minut stał tak ubrany w łazience, puszczając gorący prysznic w pustej kabinie. Niestety, parowe zabiegi na niewiele się zdały, za to Benniemu zaczęło brakować tchu, wrócił więc do pokoju, rzucił się na fotel i wyciągnął spomiędzy swych map oraz notatników pracę magisterską Ruth.

Siedząc tam, ze zdziwieniem czytał każdą stronę, zachwycał się płynnością angielskiego, a także dogłębną analizą psychologii terrorystów. Kiedy naszła go nagła chęć zadzwonienia do niej, zauważył, że jest już pierwsza w nocy, więc zrezygnował z powziętego zamiaru i wrócił do lektury. W pewnym momencie zasnął. Śniła mu się Ruth najpierw jako szczęśliwa dziewczynka, potem kłopotliwa nastolatka, a w końcu pełna gniewu kobieta. Później zamieniła się w kogoś jeszcze innego, a gdy Benni się obudził, ujrzał promienie słońca, pełną popielniczkę, poczuł w ustach smak szkockiej i ból w skroniach...

Teraz, spoglądając na ambasadę, próbował stłumić w sobie niechęć. Wjazd dla dyplomatów zamknięty był masywną czarną bramą na kółkach. W zasięgu wzroku Benniego pojawił się policjant Dystryktu Columbia i stanął pomiędzy taksówką a bra-

mą. Izraelczyk zdał sobie sprawę, że jeżeli dalej będzie się tak wahać, może trafić na posterunek w celu przesłuchania.

Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Wiatr wiał mu w przekrwione oczy, gdy ciągnąc sfatygowaną walizkę, próbował się uśmiechnąć do policjanta. Gliniarz kiwnął głową, zmierzył walizkę wzrokiem, ale postanowił się nie wtrącać. Wolał zdać się na ludzi z ambasady.

W bramie znajdowała się furtka dla gości. Benni już miał nacisnąć guzik interkomu, gdy elektromagnetyczny zamek zabrzączał. Podniósł wzrok w stronę przyciemnionych okien i doszedł do wniosku, że rozkaz musiał wydać generał Avraham Yaron.

Przemierzywszy rozległy dziedziniec, wszedł do budynku i wsunął paszport do szuflady w budce ochrony. Nie rozstawał się z przesądem, że przynosi pecha młodym żołnierzom, toteż nie chciał wdawać się w pogawędkę z oficerem Szabaku zza pleksiglasowej szyby.

- Może chce pan zostawić u nas walizkę? - zaproponował strażnik.

- Dobrze - odpowiedział krótko Baum i po chwili pojawił się drugi szabaknik, żeby uprzejmie odebrać bagaż.

Benni minął następne drzwi zamykane na elektromagnes i znalazł się w przestronnym holu ambasady, który został zaprojektowany z myślą o konferencjach prasowych, koktajlach, a nawet występach filharmoników izraelskich, lecz dzisiaj wyglądał jak pusty hangar. Na balkon prowadziły symetryczne schody z obu stron.

- Baum!

Benni podniósł głowę i ujrzał przechylonego przez balustradę Avrahama Yarona.

- Bo - rozkazał generał, machając ręką, a Baum ruszył po schodach, nie mogąc jednak zmusić nóg do pokonywania kolejnych stopni ze stosownym entuzjazmem.

Dzięki swym rozmiarom biuro attache wojskowego pozwalało przyjmować wielu partnerów z Pentagonu jednocześnie. Przy dużej pluszowej sofie stał długi stolik, a obok drewniane fotele oraz wózek z kawą i innymi bezalkoholowymi napojami. Biurko Yarona wyglądało okazale, co kłóciło się z gustem, jakiemu hołdował w domu, gdzie najlepiej się czuł pomiędzy stołkami ze skrzynek po amunicji i stalowymi szafami na kartoteki. Za rzędem czterech telefonów leżały równo uporządkowane zielone papiery, na ścianie wisiały mosiężne odznaki kilku jednostek wojskowych Izraelskich Sił Zbrojnych oraz oprawione w ramki zdjęcia izraelskich systemów uzbrojenia.

Generał ubrany był w rzadko spotykany rodzaj munduru, przydzielany jedynie oficerom przyjmującym obcych dygnitarzy, więc najwyraźniej tego dnia miał wyznaczone ważne spotkanie. Rozglądał się właśnie po swoim biurze, gdy na twarzy Bauma dostrzegł cień uśmiechu.

- Zgrywasz klauna? - zapytał Yaron.

- Nie, Avraham, taka gadka nie jest w twoim stylu - rzekł Benni.

- O, nie wiedziałem, że mam jakiś styl.

- Nie masz - przyznał Baum. Uśmiechnęli się do siebie i uścisnęli sobie dłonie. Yaron miał już swoje lata, lecz prawie wszystkie włosy nadal pozostały ciemnobrązowe i tylko na

skroniach pojawiały się ślady siwizny. Rysy twarzy, utwardzone całymi latami wystawiania na słońce, urozmaicały dwie długie blizny biegnące wzdłuż lewego policzka. Uśmiechał się powściągliwie i jeśli ktoś go nie znał, to nie mógł być pewien intencji kryjących się pod wygięciem warg rozerwanych kiedyś odłamkiem granatu.

Gestem ręki generał wskazał sofę, a Benni wycofał się kilka kroków i zajął miejsce. Sfatygowany wygląd gościa skłonił Yarona do napełnienia dwóch kubków kawą, po

czym usiadł na krześle i oparł nogi na szklanym stole.

- Fatalnie wyglądasz, Baum.

- *L'chaim* - rzekł Benni i napił się czarnego napoju.

- Mówię poważnie. - Yaron wyjął paczkę Time'ów, zapalił jednego i rzucił papierosy Benniemu, który westchnął na ich widok z wdzięcznością, jakby właśnie ktoś uratował mu życie. - Bardziej byłeś odprężony na Wzgórzach Golan po sześciogodzinnym ostrzale.

Benni wypuścił z płuc obłoczek dymu i spojrzął w sufit.

- Wtedy życie było prostsze, nie sądzisz?

- A dla niektórych z nas o wiele krótsze, pamiętasz? Dłuższą chwilę palili w milczeniu.

- Wiesz, Avraham - odezwał się w końcu Benni - niedługo idę na emeryturę.

- No pewnie - rzekł zgryźliwie Yaron. - Itzik cię wykopie.

- Nie. Mówię serio.

- Mów sobie co chcesz, *Bibi*. - Yaron nie uwierzył w scenariusz, który Benni wymyślił sobie kiedyś podczas wylegiwania się na plaży. - Ale to ja odchodzę na emeryturę.

- Wiem. - Benni skinął głową.

Wyżsi oficerowie mający za sobą pracę na ważnych stanowiskach ISZ, na przykład szefa wojsk desantu i piechoty, często na zakończenie swojej kariery zostają wysyłani na placówki zagraniczne. Nie ma lepszego stanowiska niż attache wojskowy w Stanach Zjednoczonych. Wyżej już zajść nie można.

- No to może zajmujemy się wspólnie biznesem - zaproponował Yaron.

- Firma ochroniarska? - zaproponował z niesmaczonym tonem Benni. Tak samo zareagowałby każdy inny pułkownik ISZ, którego próbowano by wmanewrować w podobne przedsięwzięcia.

- Myślałem raczej o szyciu bikini - rzekł Yaron i obydwaj wybuchnęli śmiechem.

- Ale wracajmy do naszych spraw. - Zdjął nogi na podłogę i zgasił papierosa. - Znowu dzisiaj rano dzwonił Ben-Zion. Wymusił na mnie obietnicę, że wsadzę cię do najbliższego samolotu.

- Ach, nareszcie do domu - powiedział Benni z entuzjazmem osoby, której grozi ekstradycja.

- Pracujecie razem nad jakąś ważną sprawą?

- Trochę sobie spiskujemy.

- Nic mi o tym nie mów - mówił Yaron. - Zaraz robię się zazdrosny i zacznę mieć ochotę na jakieś dowództwo.

- Nie masz czego zazdrościć - rzekł Benni. Wiedział, że Avraham wcale się nie spodziewa wtajemniczenia w służbowe sprawy.

- Zajmijmy się twoją przesyłką. - Generał podszedł do otwartych drzwi i krzyknął: - Szeila!

Po chwili pojawiła się tęga brunetka w spodniach i zakiecie koloru brzoskwiniowego. Jej rysy twarzy przypomniały Benniemu, że żona generała nalegała, aby jego sekretarki zawsze były mato urodziwe. Taktyka ta miała swoje dobre i złe strony - generał nie popadał w zaślepienie na punkcie atrybutów innych kobiet, lecz za to w jego biurze zawsze panowała oficjalna atmosfera.

- O co chodzi? - zapytała Szeila.

- Zawołaj Nadava.

- Już idzie. Widziałam go na schodach.

Yaron machnął ręką jak książkę odprawiający poddanego, a Szeila wycofała się bez słowa.

Do biura generała wszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Miał na sobie „mundur” szefa ochrony za granicą: uszyty z taniego materiału garnitur, buty na gumowej podeszwie i krawat od Searsa. Przybysz miał jasnorude włosy i mnóstwo piegów pociemniałych od lat pracy na polach kibucu.

Nadav zatrzymał się w drzwiach, położył dłonie na futrynie, jak gdyby chciał wyskoczyć przez właz C-130.

- *Boker tov*. Dzień dobry - powiedział żwawym tonem.

- Nadav, to jest Benni Baum - rzekł Yaron.

- A, nasz „adresat” - powiedział funkcjonariusz Szabaku, nawiązując do podejrzanej przesyłki. Ruszył w stronę Bauma, który lekko podniósł się z sofy, a gdy uścisnęli sobie dłonie, z powrotem usiadł na miejscu. - Pan jest znajomym Uri Badasza. - Nalał sobie kubek kawy i usiadł obok Bauma. - Wspominał o panu w teleksie.

- Tak - westchnął Baum. - Zdaje się, że ma na mnie oko. Chyba bierze mnie za szpiega.

- Możliwe - powiedział Nadav. Uri Badasz, szef kontrwywiadu Szabaku, ma za zadanie podejrzewać każdego i o każdej porze. - A jest pan? - zapytał żartem.

- W każdym razie dzieci traktują mnie jak agenta - powiedział utyskliwym tonem Baum. Yaron roześmiał się.

- Takie jest ich zadanie.

- Wywiązują się z niego znakomicie. - Przypadli sobie nawzajem do gustu.

- No, Benni - powiedział szef ochrony - przebadaliśmy w piwnicy tę przesyłkę. - Została prześwietlona promieniami rentgenowskimi i sprawdzona przez detektor materiałów wybuchowych. - Niczego nie znaleźliśmy, ale mój saper jeszcze się nią zajmuje.

- A zatem wszystko z nią w porządku? - zapytał Yaron.

- Teoretycznie tak. - Nadav sięgnął po paczkę Time'ów i wyjął papierosa. Rzucił palenie, bo codziennie musiał prowadzić treningi ze swoimi ludźmi, którzy należeli do wschodzącego pokolenia niepalących. Bawił się więc tylko trzymanym w palcach papierosem. - Ale nigdy nic nie wiadomo. Teraz robią pistolety ze sztucznego tworzywa i szpikują *Semtexem* kartki pocztowe.

- Więc mimo wszystko może wybuchnąć? - zapytał Benni.

- Jak się panu wydaje, dlaczego tutaj siedzę i piję kawę? - skontrował pytaniem Nadav. Yaron i Baum uśmiechnęli się do szabaknika; wiedzieli, że tak długo naciskał na swego sapera, aż prawdopodobieństwo detonacji spadło niemal do zera.

- Co tam za zamieszanie na północy? - zapytał Yaron Bauma.

- Cóż... - Baum pobieżnie zrelacjonował najnowsze wydarzenia, ale nie wspominał o tajnej wymianie więźnia, ani o swoich scysjach z Martiną Klump, a imienia Ruth nie wymienił ani razu. Kiedy opowiadał ze szczegółami o znalezionym planie Bostonu, Nadav niecierpliwie poruszył się na miejscu.

- Jeśli plan ma skierować podejrzania na Boston - powiedział funkcjonariusz Szabaku - to za bardziej prawdopodobny cel uznałbym Waszyngton.

Baum popatrzył na niego i nagle zdał sobie sprawę, że sam powinien zrobić identyczne założenie.

- Avraham, wystawię tych dodatkowych ludzi - powiedział Nadav. Na wieść o wybuchu bomby postawił waszyngtońską jednostkę Szabaku w stan najwyższego pogotowia, a teraz informacja Bauma dodatkowo zaostrzyła u niego objawy zawodowej paranoi. Wstał z sofy.

- Gościmy dzisiaj ludzi z Kapitolu - ostrzegł Yaron. - Lepiej, żeby nie wyglądało tu jak w więzieniu Spandau.

Nadav zignorował uwagę generała i skierował się do drzwi. Wojsko ma swoje troski, dyplomaci swoje, a i Szabak musi odwalać robotę.

- Nie przejmuj się. Będzie wyglądać jak Ansar. - Wymienił nazwę izraelskiego zakładu karnego, w którym więzieni są palestyńscy terroryści. - Zrewidujemy senatorów podczas lunchu.

- Nadav, wyluzuj się trochę. - Yaron powstrzymał się przed dalszymi uwagami na widok młodzieńca, który rzadko zapuszczał się na piętra zajmowane przez dyplomatów. Był to technik systemów komunikacyjnych, pracujący w odległym gabinecie na najwyższym piętrze ambasady. Należał do zespołu zajmującego się wysyłaniem i odbieraniem z Tel Awiwu zaszyfrowanych wiadomości. Poza tym zajmował się nasłuchem korespondencji radiowej.

Młodzieniec był zdyszany. Zdjął okulary i wycierając je w poplamiony, brązowy krawat, zamknął za sobą drzwi do gabinetu. Zawahał się na widok pytających spojrzeń trzech starszych rangą rodaków.

- *Nu?*- zapytał Yaron, zrywając się na równe nogi.

- Ech, Awaham - wyjąkał młodzieniec. Nieformalny zwrot miał mu pomóc się rozluźnić w obecności generała. - Właśnie odebraliśmy wiadomość mogącą... Chyba panowie chcieliby ją usłyszeć.

- Tak, słuchamy. - Yaron oparł zaciśniętą pięść na biodrze.

- Wszystkie amerykańskie siły wojskowe w okolicy postawione są w stan gotowości. Trudno tego nie podsłuchać. Cały czas trąbią o tym w eterze. - Wyglądał trochę jak zakłopotany chłopiec przyłapany na podglądaniu.

- O co chodzi? - Yaron wyraźnie się zaniepokoił. - Znowu atakują Zatokę Perską? Młodzieniec miał coraz większe trudności z wysłowieniem się, żałował, że nie przekazał tej informacji za pośrednictwem wewnętrznego telefonu.

- Najwyraźniej grupa terrorystów zaatakowała konwój z bronią amerykańskiej Marynarki. O ile dobrze zrozumiałem te ich szyfry, wielu *Marines* z eskorty nie żyje.

Technik opuścił ręce, wyrzucił z siebie wszystko, jakby w końcu zdecydował się przyznać do rozbicia samochodu ojca. Nie wracał jednak do siebie, oczekiwał porady, instrukcji albo rozkazu.

Nadav spojrział na Yarona. Podejrzenia, że znaleziony plan był dezinformacją właśnie okazały się prawdą.

- Prawdopodobnie te sprawy nie łączą się ze sobą - rzekł Yaron.

- A mój kutas nie łączy się z jajami - odparł Nadav.

Benni nie mówił nic, podniósł się z miejsca i ścisnął papierosa pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, dym kłębił mu się ponad ręką. Zamknął oczy. Pragnął stanąć po stronie Yarona, przyjąć założenie o zbiegu okoliczności - ale nie mógł.

Głuchy dźwięk zmusił go do otwarcia oczu. Ktoś walił do drzwi Yarona.

- *Kaness!* - krzyknął generał. Technik systemów komunikacyjnych usunął się na bok, a do gabinetu wszedł mężczyzna ubrany w dżinsy i kamizelkę kuloodporną. Spocone włosy kleiły mu się do głowy, ale najwyraźniej hełm zostawił gdzie indziej. Saper miał ze sobą dużą kopertę, a na niej płaskie białe pudełko z wystającym papierem, jak gdyby w środku znajdowała się męska koszula. Nieświadom właśnie przyniesionych dramatycznych wieści, promieniał taką radością, jakby po raz kolejny udało mu się przegnać kostuchę.

- No, który tu ma urodziny, co? - zapytał.

Yaron kiwnął głową w kierunku Bauma, a saper ruchem kelnera zbliżył się do Benniego i podał mu pakunek. Izraelczyk starał się opanować drżenie palców, gdy sięgał i powoli rozwijał papier.

Na dnie pudełka leżała książka. Oprawiona w twardą okładkę z czarnym, błyszczącym grzbietem. U góry pierwszej strony okładki wyraźnie widać było czoło, czarne brwi i szerokie, gniewne oczy kobiety. Patrzyła na niego znad ciemnej woalki zasłaniającej usta i nos. Na dolnej części okładki błyszczały litery układające się w tytuł.

NAJPIERW ZASTRZELCIE KOBIETY.

Benni przyglądał się podarunkowi. Ledwie zdawał sobie sprawę z obecności zgromadzonych przy nim mężczyzn, chcących obejrzeć książkę. Była to opublikowana rozprawa naukowa na temat historii kobiecego terroryzmu.

- Bestseller miesiąca? - zażartował saper, ale Benni nie słyszał nic prócz krwi pulsującej w uszach. Odsunął ręce od przesyłki, wolnym ruchem schował je do kieszeni spodni i gdy wpatrywał się w oczy na okładce, zaczął mu się zamazywać obraz.

- Avraham! - ktoś wołał Yarona.

Yaron odwrócił się w stronę korytarza, gdzie odbijał się echem głos Szeili.

- Co jest? - odkrzyknął.

- Na miłość boską, telefon do ciebie!

Dopiero teraz zgromadzeni w gabinecie mężczyźni zdali sobie sprawę, że na biurku generała brzęczy telefon. Yaron ruszył odebrać, gdy znów rozległ się krzyk Szeili:

- Centrala cię połączyła.

- Tak? - Yaron przycisnął słuchawkę do głowy i zatkał sobie palcem drugie ucho. - Co? Kto?

Później, odwracając się do Bauma, podał mu słuchawkę.

- To do ciebie.

Idącemu przez biuro Izraelczykowi wydawało się, że ma na nogach ciężkie narciarskie buty. Wyciągnął z kieszeni rękę, wytarł ją z potu o koszulę i wziął czarną słuchawkę od Yarona. Wolnym ruchem przyłożył ją do ucha i zamknął oczy.

Na początek usłyszał zgrzyty charakterystyczne dla przekazu satelitarnego, odległe piski i warkoty.

- Baum?

Był to damski głos o przyjaznym tonie. Przez chwilę Benni miał nadzieję, że dzwoniący wyciągnie go z tej spirali strachu, zabierze go z rozchybotanej łajby rzucanej przez sztormowe fale, że będzie to ktoś inny, obojętnie kto, tylko nie ona.

- Słucham-wyszeptał.

Odezwała się po niemiecku, a nadzieja rozwiała się w pył.

- Tym razem - powiedziała Martina Klump głosem tak zniekształconym, jakby dochodził z dna kopalnianego szybu - tym razem ty jesteś moim więźniem. Jeżeli coś zrobisz, cokolwiek: wyjedziesz z Waszyngtonu, odwołasz wymianę lub wezwiesz swoich żołnierzyków, to przysięgam, że żona nigdy ci tego nie wybaczy.

Potem połączenie zostało przerwane i na elektronicznych łączach pozostał pusty szum. Benni spojrzął na słuchawkę i odłożył ją na widełki. Z trudem stłumił w sobie zwierzęcy krzyk, który zaczął mu się wyrwać gdzieś spod garniturowej marynarki.

- Co się stało? - zapytał Yaron na widok strachu bijącego z twarzy przyjaciela. -

O co chodzi? - Wyciągnął rękę, aby położyć Benniemu dłoń na ramieniu, które jednak uciekło przed jego przyjaznym gestem.

- Międzymiastowa - wykrztusił Benni. - Międzymiastowa! - Kartkował notesik z telefonami, niczym makler giełdowy spodziewający się nagłej utraty fortuny.

- Czerwony telefon - wskazał Yaron. - Łączy bezpośrednio.

Gdy Benni poszedł we wskazaną stronę, Abraham odwrócił się do Nadava i ruchem warg polecił mu wezwać lekarza. Funkcjonariusz Szabaku zawahał się, ale Abraham Yaron znał Benniego Bauma przez całe swe dorosłe życie i jeszcze nigdy nie widział u niego tego typu reakcji.

- Zuz!- krzyknął generał, a Nadav skoczył do drzwi.

Benni wykręcił numer mieszkania Ruth na Manhattanie. Słuchając długich sygnałów, przysunął się do biurka, oparł się o brzeg, rozluźnił krawat i próbował złapać powietrze. Gdy po siódmym sygnale nikt się nie zgłosił, rzucił słuchawkę na widełki

i znów zaczął kartkować notesik.

- Benni? - Tym razem łagodniejszym tonem próbował zagadnąć go Yaron. Jednak Baum tylko pokręcił głową.

Wykręcił kolejny numer.

- Posterunek Śródmieście - odpowiedział sierżant dyżurny.

- Z detektywem O'Donovanem - warknął Benni.

- Kto mówi?

- Benjamin Baum - przedstawił się, a potem jeszcze raz przesylabizował: -

Ben-ja-min-Baum.

- Jedną chwileczkę.

Po upływie dwudziestu sekund w słuchawce rozległ się zmęczony głos Aarona Davisa.

- Pułkownik Baum? - Czekał chwilkę na odpowiedź Benniego. - Tutaj Aaron Davis. Panie pułkowniku?

- Tak? - szepnął Baum.

- Mike O'Donovan leży w szpitalu. Próbowaliśmy się z panem jakoś skontaktować. Benni nie mógł z siebie wykrztusić ani słowa. Dłuższą chwilę słuchali swoich oddechów, aż w końcu Davis opanował zdenerwowanie.

- Panie pułkowniku, jest jeszcze gorsza sprawa. - Detektyw westchnął, a potem w jego głosie słychać było przeprosiny. - Pańska córka została uprowadzona.

Część druga

Nylon

13

Etiopia

Oczy majora Eytana Ecksteina były równie błękitne jak wody jeziora Tana, a porównanie to stawało się tym bardziej precyzyjne, że woda sunąca powoli w bezwietrznym upale w kierunku wodospadów Tessissat odbijała afrykańskie słońce wznoszące się już na poziom oznajmujący schyłek poranka. Po drugiej stronie rozległego zbiornika, który w innych krajach mógłby uchodzić za morze, przeciwległy brzeg zasłaniała żółtawa mgielka będąca tym samym pyłem, który osiadł na brwiach Ecksteina. Papirusowe słomki dryfowały po płyciźnie odbijającej różowe żyłki powstałe ze zmęczenia ukrywanego częściowo pod przymrużonymi powiekami.

Przez pół nocy jechał w kierunku południowym z Asmary, jedyne miasta w kraju Lwa Judy, w którym zachował się nastrój stworzony przez europejskich zdobywców. Nappełnił zbiornik paliwa w swoim terenowym Renault koloru leśnej zieleni, a potem zjadł pełną miskę mącznej potrawy, ale pomimo dużego zastrzyku kalorii, pomimo brezentowej osłony samochodu i pomimo wełnianego swetra, gdyż w górach prowincji Gondar zapanował conocny chłód, nie mógł powstrzymać się od szczykania zębami. Jednak zimno było sprzymierzeńcem zmęczonego kierowcy i dzięki niemu Eckstein zachowywał przytomność, i nie wpadł do wąwozów przełęczy Wolkefid.

Teraz rozpętało się piekło kolejnego dnia, październikowy upał osiągał apogeum, dach samochodu leżał zwinięty na poprzecznym wsporniku, a sweter znalazł się na tylnym fotelu. Pomimo oślepiających promieni słonecznych, pomimo bijącego w przednią szybę powietrza przypominającego wydmuch z odrzutowych dopalaczy, Ecksteinowi wcale nie chciało się spać, ponieważ upalny dzień bliższy był jego sercu niż przejmująca chłodem noc.

Jako oficer terenowy wywiadu Izraelskich Sił Zbrojnych nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród swoich kolegów z innych oddziałów - nie nosił wypucowanych brązowych butów, ani oliwkowego munduru z epoletami, ani też zawadiacko przekrzywionego na bakier czerwonego beretu, który przypominałby mu czasy spędzone w lotnictwie przed wstąpieniem do oddziału Operacji Specjalnych AMAN-u. Do opisu jego włosów dobrze pasuje określenie „brudny” blond - zakurzyły się bowiem na górskich drogach, a były już na tyle długie, że za pomocą czarnej gumki dały się związać w kitkę

sięgającą karku. Rękawy szarego podkoszulka były ucięte przy samych ramionach, a wyblakły czerwony napis na piersiach został przedzielony otworem umożliwiającym przepływ powietrza. Szorty koloru khaki kończyły się w połowie spalonych słońcem ud, a brązowe płócienne buty nie przypadkiem miały francuską metkę. Czapeczka baseballowa nowojorskich Jankesów, okulary słoneczne Ray-Ban w czarnej oprawce i niebieska torba fotograficzna Domke, leżąca teraz na fotelu pasażerskim, stanowiły całość wymaganego tutaj wyposażenia wojskowego.

Jednak pomimo braku munduru, zarówno Eckstein jak i wszyscy jego współpracownicy, nadal uważali się za żołnierzy. Zawodowcy z AMAN-u rzadko kiedy używali

terminu agent, chyba że w odniesieniu do swych kolegów w cywilu. Słowo to zawierało bowiem zabarwienie kojarzące się z poszukiwaniami teatralnych talentów i sprzedawcami nieruchomości oraz polis ubezpieczeniowych na życie.

Eckstein wolno posuwał się jedyną arterią komunikacyjną prowincji Gondar, rozciągającej się na północ od jeziora Tama. Kilka parterowych, glinianych budynków krytych bielonymi deskami tworzyło „miasteczko” niewiele większe niż pchli targ *Szuk Hapiszpiszim* w Tel Awiwie. Na drodze rządziły przechadzające się zwierzęta i spacerujący ludzie, toteż Eckstein musiał ograniczyć prędkość i powoli lawirować pomiędzy drewnianymi wózkami zaprzęgniętymi w muły i ludźmi wzniecającymi kurz swymi zdeformowanymi *dula*.

Kiedy dotarł do południowych rogatek miasteczka i nabrał prędkości, spojrzął w lusterko wsteczne i doszedł do wniosku, że żaden pojazd nie pojechał za nim, ani nie czeka na jedynej drodze prowadzącej przez *wayna dega* - płaskowyż składający się z brązowych równin i niewielkich oaz zieleni, przypominających trochę południową część pustyni Negew. Drobny, łysy chłopiec pokiwał mu ręką i posłał uśmiech typowy dla domniemych potomków króla Salomona i Saby, królowej starożytnej Etiopii. Według Ecksteina, mieszkańcy tego kraju o surowym klimacie byli nadzwyczaj piękni, a w ich szczyrych oczach dało się wyczytać ciężki los. Teraz jednak, odwzajemniając się chłopcu machnięciem ręki, pomyślał z pewnym zmartwieniem

o tym, że jego biała twarz i pojazd stały się w tych okolicach zbyt dobrze znane. Zastanawiał się czasem, czy miejscowi pasterze nie nadali mu jakiegoś ludowego przezwiska, bo jeśli tak, dni jego misji są już policzone.

W Addis Abebie, w Bachir Dar i w Asmarze, ci co kontaktowali się z Ecksteinem, znali go jako Anthonyego Hearthstone'a, fotografika urodzonego w Wielkiej Brytanii

1 dorastającego w Monachium, który posługuje się znakomitą angielszczyzną z lekkim akcentem *Hochdeutsch*.

Anthony to jego imię, którego używał już wcześniej wraz z nazwiskiem Eckhardt, gdy pracował na kontynencie europejskim. Jednak Komisja Bezpieczeństwa Wewnętrznego uznała, że pan Eckhardt powinien już odpocząć na emeryturze, dlatego należało wymyślić inne nazwisko łatwe do skojarzenia z Ecksteinem. „Cornerstone”, czyli kamień węgielny, było zbyt dosłownym tłumaczeniem, toteż w dowództwie wymyślono Hearthstone, a więc „kamień z kominka”.

Wszyscy, którzy znali go w Afryce, uważali go za miłego i przyjacielskiego fotoreportera współpracującego ze „Sternem”. Wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat, chociaż skończył już trzydzieści osiem, a dla niemieckiego magazynu miał ilustrować ciężkie życie w Etiopii. To czyniło go niedobitkiem po powodzi dziennikarzy radiowych, telewizyjnych i prasowych, którzy krążyli tutaj jak pustynne muchy, kiedy susza pociągnęła za sobą największą liczbę ofiar, a potem szybko przenieśli się do Zatoki Perskiej i już nigdy nie wrócili. Dziennikarze opuścili Etiopię, a głód pozostał.

Prawdziwym celem pobytu Ecksteina w Etiopii był właśnie głód i jego wpływ na pozostałe grupki tutejszych Żydów, którzy nie przenieśli się do Izraela podczas lotów organizowanych w ramach operacji Salomon. Izraelski rząd nadal uważał opiekę nad Żydami za granicą za

misję priorytetową, toteż pracownicy wywiadu często bywali odsuwani od operacji antyterrorystycznych po to, by zająć się ewakuacją żydowskich enklaw z odległych i wrogich okolic.

Eckstein przebywał w tym kraju już ponad dwa miesiące jako dowódca drużyny Operacji Specjalnych, wypełniając zadanie ewakuacji jednej z grup *Beta Israel*, czyli etiopskich Żydów znanych powszechnie jako falasze. Przeprowadzenie tej operacji wymagało pokonania wielu przeszkód, jednak dzisiaj zapominał o wszystkich kłopotach i jechał w pośpiechu, jakiego wymagała od niego odebrana w Asmarze informacja.

Każdej nocy punktualnie o dwunastej, bez względu na zmęczenie i na miejsce pobytu, Eckstein szukał w okolicy wysoko położonego punktu. Na najwyższym piętrze rozwalającego się hotelu albo na szczycie pobliskiego wzgórza ustawiał swój mały odbiornik Panasonic, przykładał antenę do konara drzewa albo metalowej rurki kanalizacyjnej, zakładał słuchawki na uszy i dostrajał częstotliwość do Światowego Serwisu BBC. Przez pięć minut naprawdę słuchał wiadomości, ponieważ informacje z pierwszych stron gazet mogły mu się przydać. Jednak dokładnie cztery minuty i pięćdziesiąt sekund po północy przestrajał odbiornik i przez kolejne pięć minut czekał na inne wiadomości.

Przeważnie wtedy w nocy wpatrywał się w ciemność i wysłuchiwał ciszy w eterze, zagryzając przy tym gorzkawym ciastkiem zwanym *injera* lub popijając piwo *talla* nie zawierające prawie alkoholu. Potem składał niewielki odbiornik i wracał do swoich spraw.

Lecz poprzedniej nocy pięć minut po dwunastej, siedząc w ciemności na balkonie swego pensjonatu, zamarł nagle w bezruchu i z wrażenia niemal nie zerwał słuchawek z uszu. Nie mogło być wątpliwości. Zakłócany nocnymi szumami ledwie słyszalny głos z amerykańskim akcentem zwracał się wprost do niego.

- Bawaria, tu Dzieło Modiglianego. Daj znać jak widzisz kulę, koleś, na dwa-dzie-więć-zero, dwa-siedem-sześć, dwa-cztery-jeden-cztery. Powtarzam...

Eckstein nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni po notatnik i ołówek, zapisał odpowiednią nazwę oraz cyfry. Informacja została przekazana jeszcze dwa razy, on natomiast zamknął oczy i starał się wsłuchać w każdy niuans słów konkurujących z górskimi wiatrami. Później wróciła cisza w eterze, a Eckstein został przy odbiorniku jeszcze pięć minut, chociaż właściwie wcale nie spodziewał się dalszych transmisji.

Bawaria.

Wiadomość z całą pewnością skierowana była do niego, ponieważ takiego kryptonimu używał od bardzo dawna, właściwie przez cały okres swej burzliwej kariery. Jednakże wiedziała o tym tylko nieliczna garstka uprzywilejowanych kolegów, a ten basowy amerykański głos dolatujący z przestworzy nie dał się przypasować do nikogo ze znanej mu listy głosów.

Dzieło Modiglianego.

Rozmówca przedstawił się w taki sposób, jakby liczył, że Eckstein go rozpozna. Jednak mimo najszczerzych chęci nie mógł sobie przypomnieć kontaktu z takim dziwnym pseudonimem - nazwa kojarzyła mu się tylko z wystawami muzealnymi, lecz tam zwrotu tego używano z większym poszanowaniem.

A „daj znać jak widzisz kulę, koleś”? Powtórzył szeptem ten zwrot, lecz kojarzył mu się on tylko z typowym radiowym poleceniem dla zbliżających się do lotniskowca pilotów, oznaczającym, że pilot wszedł na prostą przed lądowaniem. Ale jakim cudem taki zwrot mógł pasować do jego sytuacji?

I na koniec liczby: 290-276-2414. Nie przypominały numeru telefonicznego z żadnego kontynentu, lecz zgodnie z praktyką swego wydziału Eckstein dodał jedynekę do każdej cyfry i wyszło mu: 301-387-3525.

Siedząc na betonowym balkonie, wyciągnął miniaturową latarkę i, zasłaniając dłonią żarówkę, przyglądał się cyfrom. Trzy zero jeden. Numer strefowy w Ameryce, a dalej jeszcze

siedem cyfr.

I nagle doznał olśnienia.

Dzieło Modiglianiego. Włoskie dzieło sztuki. *Mian Art!* Ilu znał ludzi, którzy pasowaliby do tego określenia? Tylko jednego. Art Roselli, dawny rezydent CIA w Jerozolimie.

I nie chodziło o żadną kulę. Gdy Eckstein to sobie uświadomił, puknął się w czoło i po cichu zaklął na siebie po hebrajsku, a więc w języku, którego nie używał od sześćdziesięciu dni.

Musiała to być pilna wiadomość, ponieważ pojawiła się na częstotliwości zarezerwowanej wyłącznie dla niego, a jej autentyczność potwierdzało zastosowanie bardzo tajnego kryptonimu. Pomiędzy milionami krążących impulsów pojawiła się wiadomość od Arta Roselliego, żeby zadzwonić do Benniego Bauma pod numer telefonu w Stanach Zjednoczonych.

Zdumiony trochę odszyfrowaną wiadomością zdjął słuchawki, odczepił antenę i schował Panasonika do pudełka. W myślach kotłowało mu się wiele pytań. Co się stało, że Benni zdecydował się skontaktować z nim tutaj w Afryce? Baum nie brał udziału w operacji Jeremiasz, więc zapewne chodzi o coś innego. Poza tym gdyby Baum odkrył coś związanego z misją Ecksteina, wówczas zastosowałby standardowy szyfr i skontaktował się przez Jerozolimę.

Chociaż Itzik Ben-Zion oddzielił Benniego od Eytana, to ci bliscy przyjaciele porozumiewali się i wspierali nawzajem niezależnie od misji, do których byli przydzielani. Obydwaj jednak wiedzieli, że do nawiązania kontaktu może dojść tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Czyżby coś się stało w rodzinie Eytana? Wzruszył ramionami, lata pracy w wywiadzie nauczyły go powstrzymywać się przed paniką. Dlaczego dzwoniło do niego ze Stanów Zjednoczonych? Co Baum tam robi? Przecież powinien siedzieć teraz po uszy w operacji Księżyc, o czym Eckstein nie powinien nic wiedzieć. No i w końcu dlaczego w imieniu Bauma dzwonił stary druh Arthur Roselli? Może kontakt nawiązał Roselli, bo tylko on miał dostęp do odpowiednich urzędów nadawczych?

Eckstein przestał snuć przypuszczenia. Miał pełne dwanaście godzin na wybór bezpiecznego miejsca kontaktu. Zgodnie ze standardową procedurą agent w terenie po otrzymaniu wiadomości miał na zareagowanie pół dnia, ponieważ *mahfil* -nawiązujący kontakt - nigdy nie znał dokładnego położenia wzywanego. Gdyby w angielskim przekazie znalazło się hasło „owoc granatu”, wówczas Eytan porozumiałby się z członkami swej drużyny, zniszczył sprzęt i poprowadził przyspieszoną ewakuację z Afryki. Lecz nic nie wskazywało na podobny alarm.

Planował położyć się spać, a potem udać się w długą podróż do Addis Abeby, lecz po szybkich kalkulacjach postanowił kuć żelazo póki gorące i odjechać natychmiast. Do południa mógł już dotrzeć do Bahir Dar na południowym krańcu jeziora Tana. Nawet jeśli wszystkie linie telefoniczne na prowincji były pozrywane, musiało funkcjonować cyfrowe łącze na lotnisku w Dar.

Spakował sprzęt fotograficzny, wrzucił do plecaka bieliznę na trzy dni, zabrał coś do czytania i wyjechał z pensjonatu...

Teraz jechał niższymi partiami gór, zbliżając się do Addis Zemen, spod butów naciskających pedały gazu i sprzęgła co chwila wydobywały się niewielkie kłęby kurzu, rączka dźwigni zmiany biegów kleiła się do dłoni pod wpływem mazi wytworzonej z pyłu i potu.

Po szerokim zboczach wznoszącym się ku drodze młody pastuszek prowadził dwa osły obciążone zeschniętym chrustem na opał. Na dole czekała na niego dwójka dorosłych, osłaniali się przed słońcem parasolem ze słomy: mężczyzna w wyblakłej chuście *szamma* i kobieta w białej sukience *k'ami*.

Podjeżdżając bliżej, Eytan zauważył uśmiechy na twarzach rodziców, którzy byli dumni ze

swego syna znakomicie radzącego sobie ze zwierzętami. Poczul w sercu bolesne klucie i, starając się z powrotem skoncentrować na drodze, ujrzał przed oczami czarne, kręcone włosy Simony wokół jej błękitnych oczu, a także głębokie dołeczki na policzkach syna pod potarganą szopą blond włosów. Oren miał już czwarty rok i Eytan cieszył się, że ostatnie przydziały nie zmuszały go do opuszczania na dłużej Jerozolimy, nie licząc oczywiście ostatniej misji. Żonę zawsze darzył głębokim uczuciem, nawet w chwilach konfliktów. Jednak po przyjsciu na świat Orena oddanie i miłość Eytana przekraczały wszelkie wyobrażenia i nie studziły ich ani obecne kłopoty, ani wybuchy odziedziczonej przez syna krnąbrności, ani dzielące ich tysiące kilometrów, ani tygodnie rozłąki.

Często wyobrażał sobie Simonę leżącą samotnie w ich łóżku i jej ciało oproszone jerozolimskim światłem księżyca. Obraz powracał codziennie, tak samo jak obraz skaczącego radośnie Orena z plecakiem w kształcie myszki na kościstych ramionach. Eytan wiedział, że chociaż podczas nieobecności ojca Simona potrafiła zapewnić dziecku radość i komfort, to nieuchronnie musiała wysłuchiwać zadawanych słodkim, cieniutkim głosikiem pytań chłopca wpatzonego w czarno-białą fotografię Eytana na stoliku w salonie: „Kiedy tatuś wróci do domu?”

Jednakże wszyscy żołnierze, jeżeli chcą przetrwać w swym zawodzie, muszą się nauczyć wyrzucać z duszy takie emocjonalne rozdarcia. Jeśli przestaje ci się to udawać, to nadszedł już czas odejścia na emeryturę. Częstotliwość, z jaką myśli o rodzinie przesłaniały Ecksteinowi wszystko inne, zmuszała go do zweryfikowania swoich planów na przyszłość. Za dwa lata obchodzi dwudziestolecie służby w Izraelskich Siłach Zbrojnych. Wielu oficerów odchodzi wtedy na emeryturę i w stosunkowo młodym wieku lat czterdziestu rozpoczyna nowe życie i nową karierę. Poza tym wtedy niebezpieczna praca w terenie jest już całkowicie ochotnicza i można poprosić o wyłączenie z takich akcji oraz o „oblatywanie biurka”, jak kiedyś Benni Baum dowcipnie określił wojskową służbę w biurze. Jednakże Eckstein doskonale zdawał sobie sprawę ze swego usposobienia i wiedział, że w jego żyłach wciąż płynie ta sama krew, która skłoniła go do zgłoszenia się na ochotnika do wojsk desantowych, a potem do komandosów w Operacjach Specjalnych.

Wpłynął na niego jeszcze jeden czynnik, a mianowicie postanowienie o odejściu na emeryturę Benniego Bauma. Prawdę powiedziawszy, ich separacja całkowicie zmieniła reguły gry i entuzjazm Eytana do służby znacznie osłabł. Nie przestał wierzyć w swe misje, lecz zdolność do wykonywania zadań bez „lepszej połowy” była

wystawiana na poważne próby. Wydawało mu się, że on i Baum zostali stworzeni do wspólnego działania, a choć żaden z nich nie zdobył się jeszcze na odwagę, żeby wyznać to na głos, to Eytan gotów był postawić wszystkie premie za pracę w terenie, że Baum czuje to samo.

Benni Baum nigdy by się nie przyznał, że do działania potrzebuje wsparcia towarzysza, ale prośby do działu personalnego o zawsze ten sam skład zespołu, nieodmiennie z Eytanem jako zastępcą, świadczyły same za siebie. Eckstein i Baum stanowili dwie półkule jednego mózgu, który w separacji pracował na zwolnionych obrotach. Ich związek był czymś więcej niż zżyciem syna i ojca, który chce przekazać następcy dobrze prosperującą firmę rodzinną. Właściwie byli sobie zbyt bliscy, żeby dało się rozsądnie wytłumaczyć ich stosunki i właśnie dlatego teraz Eytan mknął drogą w stronę Bahir Dar.

Pędząc przez następne pół godziny, wyczerpał ostatnie zapasy sił, więc musiał w końcu zwolnić, co skwitował westchnieniem ulgi. Zbliżał się właśnie do rogatki najdynamiczniej rozwijającego się miasta Etiopii i widział przewody wysokiego napięcia nad niskimi budynkami fabryki tekstylnej przyciągającej robotników zmęczonych już ciągłą walką z ziemią. Spojrzał na zegarek z zadowoleniem - zostało mu jeszcze sporo czasu. Lecz pamiętał, że nie można zbyt wiele polegać na tutejszej telefonii, więc rozpoczął poszukiwania pierwszego aparatu. Gdyby nie udało mu się połączyć, musiałby jechać dalej na lotnisko, gdzie być może

z większą regularnością dokonuje się konserwacji sprzętu.

Przy drodze, po tej samej stronie co jezioro, pojawiła się niewielka stacja benzynowa i Eckstein postanowił spróbować. Zauważył, że z dachu różowego, parterowego budynku w stronę pobliskiego słupa biegnie przewód telefoniczny. Nad otwartymi drzwiami wisiał plastikowy szyld zapraszający jaskrawoczerwonym napisem w języku Ahmarów do przydrożnej kawiarenki. Eytan miał nadzieję zatankować, napełnić burczący brzuch i być może rozwiązać swe obawy.

Zaparkował samochód spory kawałek od starych dystrybutorów, wyłączył silnik i wystawił nogi na poplamioną olejem ziemię. Siedział minutę, rozrnasowując sobie długie, różowe blizny na prawym kolanie. Minęło już prawie pięć lat odkąd na drodze pomiędzy Monachium a lotniskiem Riem seria ze *Skorpiona* zrobiła z niego częściowego inwalidę; wydobrał już całkowicie, brał nawet udział w organizowanych spontanicznie meczach piłkarskich z miejscowymi. Jednak przebywanie zbyt długo w jednej pozycji nadal wywoływało ból w stawie. Wysiadł z samochodu, stłumił jęk, zdjął czapkę i otarł koszulą spocone czoło. Później sięgnął po plecak oraz torbę fotograficzną i pomaszerował do budynku.

Przechodząc z ostrego światła dziennego do delikatnego mroku kafejki, przez chwilę nic nie widział. Słyszał szum elektrycznego wentylatora, a w tle urywane dźwięki *waszint* - długiego fletu stosowanego przez pasterzy do uspokajania bydła. W stosunkowo chłodnym pomieszczeniu poczuł ulgę. Okulary słoneczne zawisły na szyi na czarnym sznurku.

W lokalu znajdowały się tylko cztery drewniane stoliki, dwa po lewej i dwa po prawej stronie, otoczone krzesłami z metalowych, pordzewiałych prętów. Obok metalowej framugi okna wisiał na ścianie kolorowy plakat przedstawiający katarakty Nilu. Wpadające przez okno promienie ostrego słońca tworzyły kratkę na betonowej

podłodze. Stojąca przy tylnej ścianie drewniana lada pełniła funkcję baru, zza którego wystawały ramiona i głowa młodego chłopca. Miał czarne, kręcone włosy, był ubrany w jasnoniebieski, bawełniany podkoszulek z plamami po zaschniętym pocie i całkowicie oddawał się grze na flecie. Na widok Ecksteina uśmiechnął się, a później odsunął instrument od ust z namaszczeniem cudownego dziecka przed recitalem.

Eckstein podszedł do lady. Nie było tam kasy, tylko drewniana szuflada z przegródkami. Niewielki wiatraczek powoli odwracał się z jednej strony na drugą. Nigdzie nie było widać telefonu, ale to nie zmartwiło Eytana.

- Cześć, kolego - powiedział rześkim tonem Eckstein. Liznął trochę ahmaryjskiego, najpopularniejszego dialektu etiopskich Żydów, ale pozostali obywatele tego kraju posługiwali się szczepowymi narzeczeniami, toteż w większości miast porozumiewano się zubożałą wersją angielskiego.

- Cześć, *mister*. - Chłopiec się uśmiechnął. - Potrzeba benzyny?

- Chyba najpierw coś bym zjadł.

- Lubisz war? - Wspomniana potrawa stanowiła pikantną mieszankę soczewicy, grochu i fasoli, a gdy komuś dopisało szczęście, dodawano do tego jajko i kilka kawałków tajemniczego mięsa. Eckstein marzył o talerzu kugelu i butelce schłodzonego piwa Maccabee, ale tutaj było to nieosiągalne.

- No pewnie - powiedział, a chłopiec odłożył długi flet i zniknął za półokrągłym przejściem do „kuchni”, która wyglądała jak brezentowy namiot rozbity za budynkiem.

Eckstein podszedł do najbliższego stolika i położył plecak oraz torbę ze sprzętem na podłodze.

- Przyjacielu - krzyknął w stronę zaplecza po powrocie do lady.

- Tak, *mister*? - chłopiec wyszedł z kuchni, wycierając dłonie w bawełnianą ścierkę.

- Masz tu przypadkiem telefon?

Chłopiec sięgnął pod ladę i postawił przed Ecksteinem staroświecki europejski aparat z taką dumą, jakby właśnie wręczał komuś złotą koronę króla Salomona.

- Cudownie - rzekł Eckstein, choć istnienie starego aparatu o niczym jeszcze nie świadczyło. Etiopczycy często lubią gromadzić różne urządzenia, bez względu na to czy działają czy nie. Eytan sięgał do kieszeni i wyciągnął zwitek amerykańskich oraz etiopskich dolarów. Chłopak machnął ręką.

- Później zapłacisz - powiedział.

- Dzwonię na koszt rozmówcy - powiedział Eckstein. Była to zwyczajowa procedura stosowana po to, aby numer i koszt rozmowy pojawił się wyłącznie na rachunku przywoływanego. - Tobie chcę zapłacić tylko za skorzystanie z telefonu.

Chłopiec zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Będzie płacić tamta strona. - Starał się wyjaśnić Eckstein, wskazując ręką w dal. - A ja chcę zapłacić tobie. - Chodziło mu właściwie o to, żeby chłopak nie przeszkadzał podczas rozmowy. Zamachał plikiem banknotów niczym handlarz narkotyków. - Nie pękaj, bierz forszę.

Oczy chłopca rozszerzyły się jak piorą w pawim ogonie. Popatrzył na Ecksteina, który tylko uśmiechnął się i pokiwał głową. Chłopiec chwycił dwadzieścia amerykańskich dolarów, żeby obcokrajowiec czasem się nie rozmyślił, a potem roześmiał się radośnie i wrócił do kuchni.

Eckstein wyciągnął z kieszeni mały notesik oraz automatyczny ołówek i położył je na ladzie. Podniósł słuchawkę i na okrągłej tarczy wykręcił zero. Kiedy telefonistka w Bahir Dar odebrała, Eytan wyłożył swą prośbę i odczytał numer, a potem czekał prawie minutę, wyobrażając sobie, jak telefonistka szuka wolnej linii na staroświeckiej centralce. W tle słyszał wypowiedaną w języku angielskim z akcentem ahmarijskim prośbę do amerykańskiej telefonistki, a później ciszę, podczas której po drugiej stronie linii ktoś wyrażał zgodę na pokrycie kosztów rozmowy.

- Halo? - pomimo licznych zakłóceń nie sposób było nie rozpoznać głosu Benniego Bauma.

- Zdaje się, że mówiłem, żebyś tutaj do mnie nie dzwonił - odezwał się po angielsku Eytan, czując ogarniające go poczucie ulgi.

Po drugiej stronie linii panowała cisza.

- Szefie? - Eytan zmarszczył brwi, nie wiedział, czy Benni będzie chciał rozmawiać szyfrem, więc zwrócił się do niego powszechnie stosowanym określeniem.

- Cześć, Tony. - Słysząc było westchnięcie Benniego. - Dzięki, że dzwonisz.

- Co się stało? - zapytał Eytan.

- Cóż, robi się interesująco.

Przez chwilę Eytan nic nie odpowiadał. Przez wiele lat wspólnie podejmowanych działań wypracowali sobie prywatny szyfr uzupełniający hasła obowiązujące w biurze. Sytuacja określana jako interesująca była groźna i mogła pociągnąć za sobą jak najgorsze konsekwencje. Sprawa uznana za „nudną” związana była z trudnościami zwyczajnymi dla ich profesji. Na wieść o wyraźnym niebezpieczeństwie, Eckstein poczuł zaciskające się mięśnie.

- To chyba dobrze - odparł oschłym, pozbawionym jakiegokolwiek entuzjazmu tonem. - Życie zawsze powinno być interesujące - dodał, chociaż myślał całkiem odmiennie.

- Hm - mruknął Benni. Był to dźwięk tak przygnębiający, że niepokój Eytana uległ zwielokrotnieniu.

- A właściwie to gdzie jesteś? - zapytał.

- W szpitalu.

- Tak? A kto jest chory? -Ja.

Eytan milczał wsłuchując się we własny oddech i próbując tłumić złe przeczucia.

- Już wszystko dobrze - powiedział Benni. -Jutro wychodzę.

- W czym więc problem?

- Nie gniewaj się, Tony - mówił Benni - ale chciałem wprowadzić kilka zmian do cennika

sprzętu medycznego. Masz katalog?

Wpatrując się w widelki aparatu, Eytan prawie nie zwrócił uwagi na młodego Etiopczyka, który właśnie przyniósł z kuchni parującą miskę *wat* i postawił ją na jego stoliku. Benni chciał prowadzić zaszyfrowaną rozmowę. Cokolwiek się działo, musiało być na tyle niebezpieczne, że Baum bał się o bezpieczeństwo połączenia telefonicznego. Oczywiście nie chodziło mu o żaden prawdziwy „sprzęt medyczny”. Uwaga na temat zmian w cenniku oznaczała po prostu, że Eckstein będzie musiał zapisać serię liczb. „Katalog” oznaczał książkę kodową schowaną w plecaku.

- Tak, mam. - Eytan przygotował się do pisania.
- Możesz pisać? - zapytał Benni.
- Mogę.
- Dobrze. Zaczniemy od strony sześćdziesiątej czwartej, potem...

W lewym górnym rogu czystej kartki notatnika Eytan zapisał liczbę 64, potem przeniósł ołówek na prawą stronę kartki i małymi literkami zapisywał pionowo liczby dyktowane przez Benniego.

- Dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, osiem, sześć, jedenaście, zero... - Baum przeczytał kolejne dwadzieścia cyfr i westchnął. - Teraz bandaż.

Eckstein przerzucił kartkę i z prawej strony zapisał dalszych czternaście liczb.

- Strzykawki - oschłym tonem mówił Baum, a Eckstein jeszcze dwa razy przerzucał kartkę na hasło „narzędzia chirurgiczne” oraz „antybiotyki”. Szybko zapisując liczby, myślał, że Benni postąpiłby rozsądniej, gdyby wybrał artykuły bardziej związane z jego fotoreporterskim kamuflażem. Potem jednak zdał sobie sprawę, że Baum rozważał taką możliwość, ale doszedł do wniosku, że rozmowa obcokrajowca z Zachodniej Afryki dotycząca pomocy medycznej mniej zwraca uwagę podsłuchujących niż kwestie obiektów, klisz i lamp błyskowych.

Wreszcie Benni skończył dyktować.

- To wszystko? - zapytał Eytan.
- Na razie chyba tak.
- Daj mi jakieś piętnaście minut - rzekł Eckstein. - Wtedy będę mógł ci powiedzieć, czy damy radę wprowadzić te zmiany.
- Świetnie.
- Będziesz czekał przy telefonie? - zapytał niepewnie Eckstein, jak gdyby miał wątpliwości co do stanu Bauma.

Benni potwierdził i odłożył słuchawkę.

Ani jednego dowcipu, pomyślał Eckstein. Ani jednej złośliwej uwagi świadczącej o tym, że Baum nad wszystkim panuje. Ani jednego żartu, który, pomimo niebezpiecznych sytuacji, zawsze udawało mu się wtrącić. Eckstein miał wrażenie, że głos Niedźwiedzia jeszcze nigdy nie wydawał mu się tak obcy.

Podniósł głowę i zauważył, że chłopiec z ciekawością zagląda mu do notatnika. Uśmiechnął się.

- Masz tu wodę?
- Butelkowaną?
- Tak.
- Nie. - Chłopiec wzruszył ramionami, a później uśmiechnął się w nadzieję w oczach. - Ale mam Pepsi.

- To super. - Eckstein puknął w ladę i podszedł do stolika. Usiadł plecami do tylnej ściany kafejki i przyciągnął do siebie glinianą miskę *wal*. Niecierpliwość przed odszyfrowaniem wiadomości od Bauma przytłumiła uczucie głodu, lecz mimo to wziął dużą, metalową łyżkę i podniósł do ust sporą porcję soczewicy z sosem. - Ummmm, pycha - powiedział, gdy uśmiechnięty chłopiec przyniósł mu do stolika puszkę z ciepłym

napojem. Przed dystrybutor paliwa zajechała żółta furgonetka i zasłoniła słońce wpadające przez okno do kafejki. Chłopiec w pośpiechu rzucił się do drzwi. Eckstein podniósł plecak, otworzył boczną kieszeń i wyciągnął kieszonkowe wydanie „Pożegnania z bronią” Ernesta Hemingwaya, wydane w 1975 roku w pomarań-

czowej serii wydawnictwa Penguin. Książka były mocno zniszczona, a właściwie już raz się rozleciała, lecz Eckstein naprawił okładkę przy użyciu czarnej taśmy izolacyjnej, a kartki na nowo skleił klejem stolarskim. Oczywiście mógł sobie kupić jakieś nowsze wydanie, ale nie byłoby ono identyczne z tym, które posiadał Benni Baum, toteż musiał zrezygnować z walorów estetycznych.

Książkę kodową zalicza się do najstarszych i najprymitywniejszych narzędzi w wywiadowczym fachu, lecz wciąż należy do najbezpieczniejszych metod przekazywania wiadomości. Dwaj agenci posiadają dwa identyczne egzemplarze jakiejś publikacji - może to być „Newsweek”, „Vol de Nurt” albo Biblia - i wówczas stosunkowo bezpiecznie mogą szyfrować i rozszyfrowywać wiadomości.

Wysyłający zapisuje na początek swoją informację z góry na dół tak, jakby wpisywał słowa i zdania „poziomo” do krzyżówki. Następnie wybiera dowolną stronę publikacji i zaczyna szyfrowanie, starannie dopasowując każdą literkę swojej wiadomości do pierwszej takiej samej znajdującej się w linijce tekstu i wynotowuje jej numer kolejności w wersie, wliczając w to znaki interpunkcyjne, ale pomijając odstępy między słowami. Jeżeli w danej linijce zabrakło akurat odpowiedniej litery, wówczas szyfrujący zapisuje zero i kontynuuje pracę. Otrzymane liczby można dalej szyfrować za pomocą działań matematycznych, ale rzadko kiedy bywa to konieczne. W razie gdyby ktoś przechwycił szyfry i chciał je odczytać, uzna to za niemożliwe, ponieważ litery w wersach nie pojawiają się na tych samych pozycjach, a więc bez klucza nie ma szans na poznanie treści informacji.

Od cyfr pierwszej liczby - 64 - określonej przez Bauma jako numer strony „katalogu”, Eckstein odjął po jeden i otworzył na 53 stronie autobiograficzną powieść Hemingwaya o amerykańskim kierowcy karetki służącym we Włoszech podczas pierwszej wojny światowej.

Rozdział dziesiąty

Na oddziale szpitala polowego zakomunikowano mi, że po południu będę miał gościa. Tego dnia panował skwar i...

Zwrócił uwagę, że słowo szpital w pierwszej linijce dodatkowo nawiązuje do wybranej przez Benniego metody szyfrowania. Przyłożył pierwszą kartkę notatnika do marginesu książki i rozpoczął odczytywanie szyfru. Rzadko stosował ten sposób, posiadał jednak umiejętność szybkiego liczenia polegającą na grupowaniu liter i zwalnianiu dopiero wtedy, gdy zbliżał się do pożądanego numeru. W pierwszej linijce dwudziesta dziewiąta była litera k. W drugiej dwudziesta trzecia była s. W trzeciej dwudziesta czwarta - i.

Pięć kolumn zapisanych liczb korespondowało z pięcioma następującymi po sobie stronami, a o przejściu z jednej na drugą Benni informował prośbą o nowy rodzaj artykułu. Cała procedura zabrała Eytanowi niecałe pięć minut, podczas których nawet nie próbował czytać zdań formułujących się w notesie, za to spoglądał uważnie w stronę drzwi, gdzie widział młodego Etiopczyka gawędzącego z kierowcą furgonetki.

Eckstein zamknął książkę. Na okładce pod tytułem znajdował się czerwony krzyż i fragment fotografii z pierwszej wojny światowej przedstawiającej Hemingwaya siedzącego w mundurze na wózku inwalidzkim podczas rekonwalescencji po zranie-

niu w nogę. Na ten widok Eytan przypomniał sobie długą rehabilitację i przepojone niecierpliwością wędrówki na wózku po słonecznych terenach wojskowego szpitala.

Gdy młody właściciel wracał do kafejki, Eckstein schował książkę do plecaka i zamknął notes.

- Jest dobrze? - zapytał chłopiec, idąc z plikiem banknotów w garści.

Eckstein pokazał mu kciuk skierowany do sufitu, otworzył Pepsi i wypił na raz połowę

puszki. Chłopiec uśmiechnął się, sięgnął za ladę po resztę, a potem znów wyszedł na dwór.

Eckstein wstrzymał oddech, otworzył notes i w pośpiechu przeczytał pięć odszyfrowanych kolumn.

Mrużył oczy i wielokrotnie odczytując tekst, zastanawiał się, czy mógł popełnić jakiś błąd. Nawet jeśli pomylił się raz czy dwa razy, to nie zmienia to istoty informacji. Czuł walenie pod lewą piersią, spocona koszula kleiła mu się do ciała, miał wrażenie dziwnego mrowienia na rękach, upał nagle stał się niezwykle dotkliwy, nie pomagał cień panujący w kafejce, ani wiatraczek brzęczący jak krwiożercza mucha.

Księżyc w toku.

Wymiana więźnia miała nastąpić, lecz nie została ujawniona konkretna data. Wróciła Błękitna Królowa.

Z dobrowolnego wygnania wróciła Martina Klump, a użycie jej starego pseudonimu świadczyło o tym, że nadal działa po przeciwnej stronie barykady.

Uprowadziła Ruth.

Eckstein nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie mógł w to uwierzyć, ale jeśli to nieprawda, to jedyne wytłumaczenie stanowi utrata zmysłów Benniego. Piękna i pociągająca Ruth Baum, wobec której Eytan żywił nie zawsze wyłącznie ojcowskie uczucia. Kiedy wyrosła na kobietę, cieszył się, że dzieli ich tak duża różnica wieku i że stosunki pomiędzy nim a Bennim powstrzymują go przed zbyt daleko posuniętymi wyobrażeniami. Kiedyś, gdy Ruth była jeszcze nastolatką, wyraźnie poinformowała go, że zamierza wyjść za niego za mąż, lecz w końcu stanął jej na przeszkodzie jego ślub z Simoną. Ruth wyjechała na studia do Nowego Jorku. Benni też był teraz w Ameryce. Ale jak, na litość boską....?

Uciekła na twój teren.

Martina Klump porwała Ruth i uciekła z nią na teren Eytana? Do Etiopii? Nie, Benni musiał użyć uogólnienia. Pewnie gdzieś do Afryki. Ale gdzie?

Jestem zgubiony. Tutaj nie było czego tłumaczyć.

Benni był wyraźnie załamany. A Eckstein nigdy nie słyszał, żeby komukolwiek -czy to na piśmie, czy w rozmowie - zwierzał się z tego, choćby zipał ostatkiem sił.

Elohim ba'szamayim ayzeh faszlah, wyjaśnił sobie w milczeniu po hebrajsku: „Boże w niebiosach, co za pasztet”. Desperacko próbował logicznie ułożyć napływające myśli. Wymiana więźnia, lata wspólnych wysiłków izraelskiego wojska, dyplomacji i wywiadu wojskowego oraz Bauma jako koordynatora wkrótce miały przynieść owoce. Jakimś cudem Martina Ursula Klump, zapomniana tak samo jak akta Tango schowane w sejfie Bauma, znów pojawiła się na horyzoncie i z jakichś powodów ma to związek z operacją Księżyc i jej szczęśliwym finałem. Przeznaczenie znów skrzyżowało drogi Benniego i Martiny. Może Baum próbował popsuć szyki Błękitnej Królowej, a ona wykonała kontrposunięcie i zabrała mu ważnego pionka? Oczywiście, że Benni jest „zgubiony”. Ma po mistrzowsku związane ręce. Każda reakcja może spowodować śmierć córki.

Eckstein spojrział na zegarek. Piętnaście minut minie już wkrótce, chociaż nie miał najmniejszej wątpliwości, że Benni siedziałby nawet kilka godzin w oczekiwaniu na jego ponowny telefon. Przyłapał się na tym, że szuka po kieszeniach papierosów, a potem przypomniał sobie, że przecież rzucił palenie. Aż nadto dobrze wiedział, że Benni wciągając go w tę sytuację, stawia go między młotem a kowadłem. Gdyby Eytan zdecydował się na rozmowę z Itzikim Ben-Zionem w sprawie pomocy wydziału, generał mógłby po prostu odmówić albo odwołać wymianę. A nie znając na razie intencji Martiny, Eytan nie mógł przewidzieć jej reakcji. Czy taki rozwój wypadków działałby na korzyść Ruth, czy też doprowadziłby do jej śmierci? Czy w tym ciemnym tunelu istnieje chociaż iskierka nadziei na ujrzanie światła? Zostały jej godziny czy tylko minuty? A jeśli Eckstein nie zwierzy się ze swych kłopotów Itzikowi, to czy nie dojdzie do tragedii izraelskiego jeńca, Dana Sarela?

Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia jego własnej misji, operacji Jeremiasz. Zarówno on

jak i cały jego oddział nudzili się w oczekiwaniu na przybycie dwóch ważnych osobistości z Europy, ale nie mógł tak po prostu odjechać i zostawić rozgrzebanej operacji Jeremiasz bez nadzoru. Takie działanie stanowiłoby niewybaczalne zaniedbanie, zagrożenie dla towarzyszy broni i powód wezwania przed sąd wojskowy.

Obraz twarzy Ruth Baum nagle uniemożliwił mu rozsądne myślenie. Widział ją jako młodą dziewczynę na służbie wojskowej, pojawiającą się z dumną miną na swej pierwszej przepustce przy drzwiach domu Benniego. Rysy jej twarzy zmuszały człowieka do uwierzenia w cuda opisane w Księdze Rodzaju, jej uśmiech w bezksiężycową noc mógłby promieniować światłem.

Potem ujrzał grymas na jej twarzy i lufę pistoletu.

Wstał od stolika i rzucił się do lady, gdzie młody Etiopczyk właśnie brał się za chowanie telefonu na swoje miejsce. Eckstein chwycił aparat i w odpowiedzi na zszokowane spojrzenie chłopca szybko wyciągnął plik gotówki, wysupłał dwadzieścia dolarów amerykańskich i powiedział:

- Jeszcze raz, okay?

Etiopczyk wziął banknot, roześmiał się i znów zniknął w kuchni.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim w słuchawce ponownie rozległ się głos Bauma.

- Jaka jest twoja reakcja na te ceny? - zapytał Baum.

- Wstrząsająco wysokie, o ile dobrze zapisałem.

- Dobrze zapisałeś. Eckstein głęboko westchnął.

- Stanowią pewien problem.

- Owszem. Nie przeczę.

- Mam pewne pytanie.

- Słucham?

- Czy ten astronomiczny plan jest bezpośrednio związany z nagłą zmianą pogody? - Pytał, czy Księżyc ma jakiś związek z Martina, a więc także z porwaniem Ruth.

- Tak - rzekł krótko Benni.

- Więc w razie zaćmienia księżyca możemy nie ujrzyć Wenus?

Lata wspólnej pracy umożliwiały im porozumiewanie się improwizowanym szyfrem. Znaczenie księżyca było oczywiste, Wenus mogła oznaczać tylko Ruth.

- Tak, możemy nie zobaczyć tej planety - głos Benniego drżał. Wstrzymując na chwilę rozmowę, Eytan próbował wyobrazić sobie głębokie

cierpienie Bauma.

- Rozumiem - powiedział. - To mnie właśnie napawało obawami.

- Ach, obawy. - Baum wypowiedział to słowo z pogardą. - Jest na to precyzyjniejsze określenie.

Trwoga i przerażenie, pomyślał natychmiast Eytan.

- Cóż - powiedział w końcu - Wybieram się na wakacje.

- Chwileczkę... - zaczął Benni, ale Eckstein zamierzał mu narzucić swoją decyzję.

- Dzisiaj wieczorem opuszczam stolicę - z tonu Eytana jednoznacznie wynikało, że jego decyzja jest nieodwołalna.

- Masz swoją pracę - zaprotestował Benni mało przekonującym głosem. Nadzieja nie pozwalała mu na ostry protest.

- Praca może poczekać. Za dwadzieścia cztery godziny będę tam, gdzie Rick po raz ostatni spotkał się z Osą.

Gdyby Baum nie zorientował się natychmiast, że Eckstein ma na myśli Casablanke, wówczas zagorzały miłośnik Bogarta, Art Roselli, natychmiast by mu pomógł.

Przez chwilę Benni nic nie mówił, a Eytan zastanawiał się, czy stary przyjaciel już się załamał, czy strach uczynił go kaleką, czy też jeszcze raz pokaże, na co go stać. Kiedy w końcu Baum się odezwał, tym razem po niemiecku, Eytan słyszał w jego głosie tłumione

emocje.

- Stary zdegradowuje cię do kaprala - ostrzegł szeptem.
- Cóż - odpowiedział w tym samym języku Eytan. - Każdy stopień ma swoje dobre strony. Odłożył słuchawkę na widełki, zabrał plecak oraz torbę i ruszył do samochodu.

14

Bethesda, Maryland

- Wykrztuś to, Baum!

Głos Jacka Buchanana przypominał swym brzmieniem powolne skrzywienie damskiego paznokcia o suchą tablicę. W tle pomiędzy skrupulatnie wypowiedzianymi pojedynczymi słowami słychać było z rozmysłem uwydatniany charkot, jak gdyby ktoś złośliwie podarował jakiemuś desperatowi rozstrojone skrzypce i smyczek.

- Masz mi to natychmiast powiedzieć! Wszystko, co wiesz. Wtedy oszczędzimy sobie przykrych formalności.

Buchananowi nie wolno było krzyknąć i ten zakaz wyraźnie kłócił się z jego charakterem. Choć jego stanowisko w FBI potrafiło forsować bariery zarówno stanowe jak i federalne, to „przesłuchanie” odbywało się w prywatnej sali oddziału kardiochirurga Państwowego Ośrodka Zdrowia Marynarki i on w pełni zdawał sobie sprawę z obowiązujących tu zasad protokolarnych. Personel szpitala Bethesda składał się wyłącznie z oficerów Marynarki Stanów Zjednoczonych oraz Korpusu Piechoty Morskiej i placówkę tę uważano za okręt, na którym służą umundurowani lekarze, pielęgniarki i sanitariusze. Szpital ten znajdował się pod dowództwem admirała. Służący kiedyś w *Marines* Buchanan podchodził z pokorą do prawa morskiego i starał się zachowywać, jak dopiero co przepuszczony przez trap cywil.

- Przecież wiecie to samo, co ja - kłamał Baum. Kiedyś w Lipsku przez cały tydzień przesłuchiwali go agenci Stasi, więc teraz miał ochotę śmiać się z pogroźek Buchanana. Jednak najwyraźniej opuścił go cyniczny humor, którym zazwyczaj tryskał w takich momentach.

Leżał na dużym, pneumatycznym łóżku i cały czas kociło go, żeby się ubrać i uciec z tego przybytku na lotnisko, a właściwie obojętnie gdzie, byle w stronę Ruth. Trzymając rękę na gołej piersi, wpatrywał się w czerwone i żółte paski pomiędzy kremowymi ścianami a gładkim sufitem. Z wiszącej na stojaku plastikowej torebki biegła do jego nadgarstka rurka, a na wygolonej skórze nadal przyłączone były elektrody EKG, choć urządzenie zostało już odłączone.

Pod kocem w lewej dłoni ścisnął kartkę z notatnika, na której kodował wiadomość do Ecksteina. Żałował, że dotąd jej nie zniszczył, ponieważ po telefonie Eytana o trzeciej nad ranem nie spał przez wiele godzin i z łatwością nawet wbrew sobie mógł teraz zapaść w drzemkę.

Nagle wtargnięcie zaraz po śniadaniu Buchanana ze świtą, a potem cały ten cyrk kompletnie zaskoczyły Benniego. Na nocnym stoliku w zasięgu wzroku leżał jeszcze egzemplarz „Pożegnania z bronią”. Jednakże spoczywająca w spoczonej dłoni kartka z szyfrem za chwilę zamieni się w nieczytelny, bezkształtny, mokry zwitek.

- Łiesz! - warknął Buchanan. Wstał z czerwonego, plastikowego krzesła stojącego w nogach łóżka, wsunął ręce do kieszeni spodni i podszedł do szerokiego okna. Nagłym ruchem hałaśliwie podniósł żaluzje i wyjrzał na dwór, jakby stamtąd spo-

dziewał się oświecenia. Na sali nadal panował lekki półmrok, jak gdyby deszczowy dzień nie mógł sobie dać rady z nocą.

- Jack, może mi dasz spróbować?

Benni odwrócił głowę. Słowa te wypowiedział mężczyzna ze szczeciniastą brodą, opierający się o zamknięte drzwi do łazienki. Miał na sobie znoszone dżinsy, czarne wojskowe buty i wojskową kurtkę polową, jednak wsunięte za pasek kciuki odsłaniające kolbę pistoletu zdradzały, że nie jest to bynajmniej robotnik budowlany. Zgodnie z

prezentacją nazywał się Denny Baylor i był agentem NIS. Nie licząc Buchanana, na sali znajdowało się jeszcze sześciu mężczyzn. Stali lub siedzieli z notatnikami i ołówkami niczym dziennikarze na ważnej konferencji prasowej. Jednakże wszyscy mieli wygląd bezwzględnych, głodnych psów gończych czekających na sygnał swego pana.

Benni współczuł im frustracji. Właściwie nawet nie całkiem rozumiał, jak im się udaje zachować uprzejmość. Gdyby zaistniały takie okoliczności, że porwano by broń izraelskiej marynarki, a do tego zginęliby izraelscy marynarze, on sam osobiście wyrywałby informacje prosto z gardła, nie patrząc czy ma do czynienia z pacjentem szpitala czy nie.

Jego emocje rozpadły się na dwoje i w tej schizofrenicznej sytuacji jego lojalność huśtała się na boki niczym mysz na wahadle. Problem był wyraźny, lecz w żaden sposób nie dało się go rozwiązać kierując się zdrowym rozsądkiem. Z jednej strony znajdowali się jego pognębieni sojusznicy i, pomagając im w kontruderzeniu, mógł być może uratować Dana Sarela.

Z drugiej znajdowało się życie Ruth.

Wybór był prosty, chociaż w tej chwili każde słowo i każde działanie gmatwało jego położenie. Wiedział, że w końcu będzie miał dosyć oszukiwania. Spojrzał na Baylora i wzruszył ramionami.

- Możecie mi dać zastrzyk - zaproponował. - Ale na pewno zdobyliście już mój życiorys, co? Nudny i po hebrajsku. Jak tam z pańskim hebrajskim, panie Baylor?

Agent NIS wyprostował środkowy palec zaciśniętej prawej ręki, lecz zamiast pokazać obraźliwy gest, podrapał się po nosie.

Pozostali mężczyźni nie zareagowali z takim pobłażaniem. Naprężyli plecy i Benni zaraz pożałował swego zaczepnego tonu, bo atmosfera na sali zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Jack masz rację. On kłamie. - Agent specjalny Charles Gold, czarnoskóry zastępca Buchanana, stał oparty o ścianę tuż obok krzesła swojego szefa. Rozłożył skrzyżowane na piersiach ręce i wycelował palec w Benniego. - Ściągnijcie do Białego Domu jego attache. Trzeba coś zrobić, nie mamy czasu.

Zachęcony wystąpieniem zastępcy Buchanan odwrócił się od okna.

- Baum, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co tu się stało?

- Tak.

- Został skradziony prototyp tajnej broni. Zostali zamordowani ludzie. - Buchanan pochylał tułów do przodu, jakby powstrzymywał się przed podejściem do łóżka. - Napad zorganizowała kobieta. Kobieta, którą ty znasz.

- Ja wszystko rozumiem - starał się go uspokoić Benni. - Także konsekwencje tego wydarzenia.

- Nie, drogi panie, nie rozumie pan - powiedział inny agent NIS, który chodził w tę i z powrotem przy drzwiach sali. W odróżnieniu od Baylora był ubrany w garnitur,

białą koszulę i krawat z godłem pułku. Peter Cole pełnił funkcje dowódcy Baylora i ze swymi krótkimi czarnymi włosami, okrągłą twarzą i powolnym sposobem mówienia mógłby zostać gwiazdorem muzyki country. - Nic a nic. Albo zupełnie to pana nie obchodzi, bo to nie byli pańscy ludzie.

Benni chwycił za drążek przy łóżku i uniósł górną część ciała.

- Przepraszam, jeśli odnieśliście wrażenie, że nic mnie to nie obchodzi. Nie w tym rzecz.

- Wszystko wskazuje na to, że jednak w tym - huknął Gold.

- Panowie, nie próbujcie odczytywać moich myśli. To wam się nie uda. Chciałbym dostać tę kobietę w swe ręce tak samo mocno jak wy.

- No to zacznij w końcu śpiewać! - Buchanan był bliski krzyku.

- Wiecie tyle samo, co ja. - Benni znów kłamał, czując przy tym wyrzuty sumienia. - Tyle samo, co Niemcy i Interpol. Na pewno wszystko macie w aktach.

- Ale jakie są jej cele? - Trzeci urzędnik FBI na sali nazywał się Hal Novak i pełnił funkcję łącznika pomiędzy Biurem a Pentagonem. Siedział na drugim łóżku tyłem do Izraelczyka; pomimo gniewu panował nad swym głosem. - Co ona ma zamiar z tym zrobić?

- A skąd ja to mam, do diabła, wiedzieć? - Benni podniósł głos. Czuł się urażony ich zachowaniem. Traktowali go jak kasiarza z wieloletnim stażem, który chował swe łupy w tajnych zakamarkach, a potem nagle doszedł do wniosku, że odniesie korzyści z ujawnienia niektórych skrytek. - Chcecie mi powiedzieć - mówił spokojnie i z niekłamana troską - że ten prototyp działa? Że może zostać użyty przez jakiegoś ambitnego złodzieja?

Nikt na sali nie udzielił mu odpowiedzi, chociaż uważnie spoglądał na ich twarze w poszukiwaniu cienia potwierdzenia. W kącie na lewo od szerokich drewnianych drzwi znajdował się stalowy zlew, a nad nim półka z lekami oraz pudełkiem z rękawicami chirurgicznymi. Pewnego nie przedstawionego z nazwiska mężczyznę najwyraźniej mało interesowało „przesłuchanie”, bo bawił się robieniem baloników z gumowego palca. Był bardzo potężnie zbudowany, ubrany w granatowy golf i brązowy płaszcz przeciwdeszczowy, ponad szeroką twarzą miał zaczesane do góry gęste siwiejące nieco włosy, spięte w kitkę. Benni przypuszczał, że to przedstawiciel oddziału do zadań specjalnych, przydzielony do odzyskania marynarskiej broni - być może oficer SEAL. Sądząc po wyglądzie, życie izraelskiej dziewczyny nie figurowało na liście przeszkód mogących powstrzymać go przed działaniem.

Na brzegu drugiego pustego łóżka, bliżej Bauma, siedział jeszcze jeden człowiek. Był niski, łysy i, mimo schludnego stroju, przypominał Benniemu Konia, który teraz w Jerozolimie z nerwów na pewno rwie sobie włosy z głowy. Doktor Werner Carswell pełnił funkcję dyrektora projektu *Minnow* w Ośrodku Broni Naziemnej Marynarki w Indian Head. Miał przy sobie pękata teczkę z dokumentami, jakby gdzieś pomiędzy nimi mogła się znajdować recepta na odzyskanie jego uprowadzonego „dziecka”. Bawiąc się nerwowo grubą oprawką okularów, spoglądał na Petera Cole'a w oczekiwaniu na sygnał. Dostrzegł ostrożne skinięcie głową.

- Panie pułkowniku - Carswell westchnął z niechęcią - możemy powiedzieć, że *Minnow* została zaprojektowana tak, aby była prosta w obsłudze. Aby była funkcjonalna. W sumie jednak jest to niesłychanie skomplikowana konstrukcja zawierająca

niektóre cechy *TOW*, na przykład goniometr sprzężony z lampą podczerwieni; jego sygnały zmieniają położenie stateczników, a obsługa może celować optycznie. Z drugiej jednak strony posiada też cechy *Hellfire RB-17*: podwójny tryb przeciwwstrząso wy oparty o szperacz podczerwieni, który włącza się automatycznie, jeśli obsługujący nie utrzymuje stabilności. No i oczywiście głowicę bojową zdolną zatopić niszczyciel.

Grymas na twarzy Benniego wywołał uśmiech na ustach Denny'ego Baylora i rumieniec doktora Carswella, który zdał sobie sprawę, że trochę za bardzo dał się ponieść entuzjazmowi.

- Znakomicie, doktorze - powiedział Peter Cole - ale zdaje się, że pułkownik spodziewał się prostego „tak” lub „nie”.

- Oczywiście. - Doktor Carswell odchrząknął. - Cóż, staraliśmy się ułatwić obsługę. Może zwykły żołnierz łatwo by sobie z tym nie poradził, ale już komandos z SEAL nie powinien mieć problemów.

Potężny mężczyzna z kitką wydał z siebie bolesny jęk, co potwierdziło przypuszczenia Bauma o jego specjalizacji wojskowej.

- A więc twierdzi pan, panie doktorze... - Benni zakasłał - ...że terroryści bez trudu mogą rozpracować działanie *Minnow* i wykorzystać ją.

- Izraelscy żołnierze używają naszego *Dragona* - powiedział Carswell. - Gdyby podsunąć ją komuś niewyszkolonemu, dałby sobie z nim radę?

- Na wyrzutni jest przyklejona instrukcja obsługi - rzekł Baum.

- Tylko ogólnikowa. - Carswell wzruszył ramionami.

- A na tej cholernej *Minnow* też jest instrukcja? - zapytał z niedowierzaniem Buchanan.

- Sir, prototyp projektuje się tak, żeby można go było poddać wszelkim próbom. - Carswell przyjął obronny ton.

- Jezu Chryste - wyszeptał Charles Gold.

Dłuższą chwilę Benni odnosił wrażenie, że wszyscy na sali starają się powstrzymywać rozwolnienie. Do zgromadzonych odezwał się Hal Novak, którego praca polegała na wyszukiwaniu luk w systemach obronnych:

- Panowie, założę się, że ona już potrafi się tym posługiwać - mówił ponurym tonem. - Na pewno już wie na ten temat wszystko. Żadna sprytna kobieta nie kupuje brylantu, jeżeli nie obejrzy go przedtem pod jubilerską lupą. - Wstał z łóżka i odwrócił się twarzą do Benniego. Ubrany był w trzyczęściowy, brązowy garnitur z kieszonkowym zegarkiem na łańcuszku. Siwe włosy i wąsy przywodziły na myśl obraz surowego sędziego z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka na Wschodnim Wybrzeżu. Stanowisko pełnione w kontrwywiadzie wymagało od niego cierpliwości, podejrzliwości i rozumu. - Uważam, panie pułkowniku, że Martina Ursula Klump posiada skradzione nam wewnętrzne informacje. Wiedziała, czego chce, wiedziała też gdzie i kiedy to zdobyć.

- Zgadzam się z panem - rzekł Baum. - Poszukiwania powinniście więc najpierw zacząć wśród personelu Ośrodka Broni Naziemnej.

- Tak się panu przyglądam - powiedział Novak, nie fatygując się ukrywaniem swych intencji.

- No to się panu obraz zamazuje. - Benni podniósł głos i przewrócił się na lewy bok.

Delikatny, podwójny gong na korytarzu oznajmiał, że zaczyna się obchód. Bennie-mu wydawało się, że to sygnał do rozpoczęcia następnej rundy, bo Amerykanie przypuścili kolejny atak.

- Baum, po co tutaj przyjechałeś? - zapytał Buchanan.

- Dobrze pan wie, panie Buchanan. W ramach śledztwa w sprawie wybuchu w konsulacie.

- Wie pan coś o udziale Martiny Klump? - wtrącił Charles Gold.

- Nie jestem jeszcze całkowicie przekonany do tej hipotezy - odparł Benni. - Podłożenie bomby i kradzież wyrzutni mogły zbiec się w czasie, ale mogą być czystym przypadkiem. - Nie wierzył w to, nie istniały jednak żadne logicznie wytlumaczalne związki pomiędzy tymi wydarzeniami. Po co Martina miałaby postępować tak bezsensownie?

- Panie pułkowniku, zdaje się, że wiedział pan o jej pobycie tutaj - oskarżyciel-skim tonem odezwał się Hal Novak. - I o celu tego pobytu.

- Popieram tę opinię - rzekł Peter Cole.

- *Gon im Himmel*- mruknął Baum. Wyjął spod koca lewą rękę i skrzyżował ręce na piersi. Papierowa kulka zamieniła się już do tej pory w wilgotny zwitek celulozowej masy i Benni uznał, że może ją jawnie miętosić w dłoni. - A więc naprawdę myślicie, że izraelski oficer, sojusznik, przyjechał do waszego kraju z pełną świadomością, że ma zostać skradziona tajna amerykańska broń, i nie ujawnił tej informacji Departamentowi Obrony? Gdzie tu jakiś sens?

- Wasi chłopcy lubią chodzić własnymi drogami - powiedział Baylor w taki sposób, jak gdyby Baum był głową mafijnej rodziny rządzącej się zupełnie innymi prawami moralnymi.

- A w osiemdziesiątym trzecim w Bejrucie - wtrącił Novak - wyleciało w powietrze dwustu pięćdziesięciu naszych *Marines*, podczas gdy wasi ludzie na pewno doskonale wiedzieli o przygotowanej akcji terrorystów.

- Ostrzegliśmy was setki razy! - wrzasnął w końcu Benni. Czuł, że teraz broni honoru swego narodu, a nie interesów własnej rodziny. - Jak wysyłacie ludzi do strefy wojennej i nie pozwalacie im używać ostrej amunicji, a potem wylatują w powietrze, bo jakiś maniak wjeżdża do nich ciężarówką wyładowaną trotylem... To sami martwcie się o swoje dusze!

- Święta racja - bąknął z kąta sali postawny komandos SEAL, który najwyraźniej podzielał opinię o śmiesznym zakazie używania ostrej amunicji.

- Ale, tak gwoli ścisłości - zaczął znów Jack Buchanan. - Baum, wiedziałeś, że ta Klump

ma chrapkę na *Minnow*?

Benni głęboko westchnął, przywołując ostatnie rezerwy cierpliwości i opuszczając dłonie na brzuch.

- Panie Buchanan - zaczął powoli - już panu brakuje argumentów. Prawda wygląda tak, że o istnieniu żadnej *Minnow* nie miałem zielonego pojęcia aż do chwili, gdy tutaj w tej sali postanowiliście mnie łaskawie wtajemniczyć.

Buchanan patrzył w oczy Baumowi, a pozostali mężczyźni spoglądali po sobie, zastanawiając się, kto zbierze cięgi za ten przeciek.

Baum mówił prawdę. Nie wiedział nic o *Minnow*, ani o zamiarach Martiny, chociaż posiadał pewne całkiem prywatne podejrzenia. Oczywiście, nie ujawnił wiedzy o jej

przeszłości zawartej w aktach Tango, gdyż wkrótce mogły one odegrać bardzo ważną rolę. Tak czy inaczej informacja, że naukowiec Otto Klump opracował projekty tego typu broni na długo zanim technologia umożliwiła jej wyprodukowanie, nadal pozostawała tajemnicą. Nie można było wkładać pomiędzy fantazje przypuszczeń, że Martina będzie chciała jakoś wykorzystać ironię tej sytuacji.

- Ale zgadzam się z panem Novakiem - ciągnął Benni - że ona wiedziała o tej broni. Takie wnioski łatwo wyciągnąć każdemu z nas, jesteśmy przecież oficerami wywiadu. Albo macie u siebie wtyczkę, może nawet płatnego informatora, który sprzedał tę informację Martinie, albo sami już zawarliście z kimś wstępną umowę na sprzedaż *Minnow*. Może z jakimś krajem Trzeciego Świata? Albo nawet z krajem arabskim?

Tak się złożyło, że obydwie te przypuszczenia były prawdziwe, choć drugie z nich mogli potwierdzić tylko doktor Carswell i Peter Cole. Cole postanowił jednak oponować.

- Głupoty pan gada - warknął, kładąc pięści na biodrze.

- Czyżby? - zdziwił się Baum. - Jak na detektywa, który powinien prowadzić dochodzenie w takich właśnie kierunkach, trochę za bardzo pan protestuje.

- A ja uważam, że pan próbuje odwracać kota ogonem - rzucił z lekceważeniem Cole.

- I to bardzo sprytnie, Baum. - Buchanan pokręcił głową. - Bardzo sprytnie. Benniemu wrócił spokój.

- Panowie - powiedział cichym głosem - staram się z wami współpracować, ale panująca tutaj atmosfera skłania mnie do wyciągnięcia smutnych wniosków, że nieodzowne staje się wezwanie radcy prawnego mojej ambasady.

Kilku z wpatrzonych w niego mężczyzn uznało, że taki obrót sprawy nie byłby najlepszy. Wszyscy naśladowali styl Jacka Buchanana, zamieniając się tym samym w sforę wilków. Nikt nie wpadł na pomysł, żeby wcielić się w banalną rolę „dobrego policjanta”, więc teraz mieli przed sobą zaszczutą ofiarę, której nie wolno zbyt mocno przyprzeć do muru. Bezimienny oficer SEAL uznał, że w innych okolicznościach potraktowałby deklarację współpracy Bauma za zachętę do zorganizowania wspólnych ćwiczeń z izraelskimi komandosami. Natomiast Peter Cole nie wiedział, kiedy sprawa staje się za bardzo zawiślana, ani kiedy należy zmienić taktykę.

- Chce pan porozmawiać z adwokatem, panie pułkowniku? - zapytał zaczepnym tonem. - Mamy świetnego prawnika w Departamencie Sprawiedliwości. Szkolił się na Pollardzie.

Aluzja Cole'a do amerykańskiego analityka wywiadu, którego skazano za szpiegowanie na rzecz Izraela, stanowiła kroplę przelewającą czarę goryczy. Benni odwrócił się do Cole'a z błyskiem sztyletu w oczach.

- Potraktuję tę uwagę jako oficjalne naruszenie protokołu dyplomatycznego - powiedział. - A w sprawie działalności głęboko zakamuflowanych na naszej ziemi amerykańskich agentów, którym uprzejmie pozwalamy bawić się swoimi zabawkami, poinformuję naszego premiera, że pozbycie się ich nie stanowi najmniejszego problemu.

Benni blefował, ponieważ mniej ważne sprawy kontrwywiadu należały do Uri Badasza i Szabaku, ale spostrzegł nagle błądność twarzy Hala Novaka, której przycy-

ny mógł się tylko domyślać. A Novak krzyczał w duszy STOP!, ponieważ całkiem niedawno odkrył, że supertajna organizacja szpiegowska Agencja Wspierania Wywiadu działająca na łonie Departamentu Obrony prowadzi dwóch głęboko zakamuflowanych agentów, służących obecnie w elitarnych jednostkach Izraelskich Sił Zbrojnych.

Rozległo się pukanie do drzwi i Peter Cole poszedł otworzyć. Benni dostrzegł rękaw marynarskiego munduru strażnika, ale zaraz poczuł w sercu spokój, gdy nieśmiałym krokiem weszła do sali pielęgniarka. Nie patrząc na nikogo, przemierzyła salę ogarniętą ciszą gęstą jak budyń, wsunęła Baumowi elektroniczny termometr do ust i czekała na odczyt.

Gdy Benni położył się nieruchomo na poduszce, opadły z niego emocje. Gdzie, do diabła, podział się Arthur? Zastanawiało go, dlaczego Roselli nie przyszedł mu pomóc w odpieraniu ataków Buchanana. Wychodząc zeszłego wieczoru ze szpitala, agent CIA zasugerował, że ma pewien plan dotyczący najbliższych działań Bauma. Jednak ' Benni leżał samotnie na sali osaczony przez ludzi chcących zrobić z niego kozła ofiarnego i zastanawiał się, czy poprzedniego ranka nie pomylił się czasem przy spontanicznym wyborze taktyki...

Telefon Martiny wstrząsnął nim do żywego, a wiadomość o porwaniu Ruth dosłownie zwała go z nóg. Gdy w gabinecie Avrahama Yarona fala skurczowa uniosła się od brzucha i uderzyła do głowy, upadł na podłogę. Jednak nawet kiedy Yaron wołał lekarza ambasady, Benni był w stanie prowadzić w myślach kalkulacje. Nie zamierzał jednak wyjawić prawdy nikomu, nawet Avrahamowi. A krótka hospitalizacja mogła trochę ostudzić nalegania zniecierpliwionego Itzika Ben-Ziona na jego powrót.

Benni zdołał podać Yaronowi numer kontaktowy w Langley do Roselliego i po kilku minutach karetka pędziła już po Connecticut Avenue na północ, wioząc go do szpitala Bethesda.

Benni bynajmniej nie udawał. Potwierdzili to lekarze pogotowia, zakładając mu plastikową maskę tlenową po zmierzeniu ciśnienia krwi. Dożylny środek uspokajający ostudził jego rozszalałe myśli. Słabo pamiętał drogę do szpitala i stłumione przekleństwa kierowcy, kiedy zauważył, że wjazd awaryjny zablokowały karetki z pacjentami w poważniejszym stanie.

Karetka zawróciła do głównego wjazdu i zatrzymała się przed szklaną fasadą odbijającą ostre promienie rzadko widywanego zimą słońca. Baum mrużył powieki, gdy wyciągano go z karetki na wózek. Przed oczami majaczyła mu zmartwiona twarz Arta Roselliego, a potem dołączająca do niego głowa Avrahama Yarona. Słyszał w oddali huczący wirnik helikoptera, syk hermetycznych drzwi i wykrzykiwane rozkazy. Z balkonu otaczającego przestronny hol zwisała amerykańska flaga, ciekawscy cywile wstawali z foteli obejrząc rozgrywający się dramat, na niebieskim tle kwadratowej tablicy wypisane było szpitalne motto: OPIEKA TO NASZA SPECJALNOŚĆ.

Większą część dnia spędził na oddziale intensywnej terapii, przypięty do wysokiego łóżka w sali za szklaną ścianą. Badania nie wykazały żadnych groźnych uszkodzeń mięśnia sercowego, więc Avraham poszedł poinformować o sytuacji Itzika Ben-Ziona i zająć się swymi kongresmanami, a Roselli pozostał na miejscu.

Kiedy w końcu lekarze uznali stan Benniego za stabilny, mógł naradzić się z Arthurem, który okazał się lekko zaskoczony usłyszanymi faktami, bo gdyby

przedstawiał je ktoś inny, można by je uznać za majaki. Życie Roselliego polegało na demaskowaniu różnych intryg, więc nauczył się panować nad emocjami, jednak w pewnym momencie w jego czarnych oczach pojawiło się pełne gniewu współczucie.

To on wpadł na pomysł skontaktowania się z Eytanem Ecksteinem i to on zaproponował wykorzystanie urządzeń nadawczych Langley. Benni podał mu częstotliwość i godzinę transmisji, a Arthur przy odrobinie pośpiechu zdążył jeszcze na szesnastą, ponieważ czas w Addis Abebie wyprzedza czas amerykański o osiem godzin. Zanim jednak wyszedł ze szpitala, obiecał wrócić przy najbliższej sposobności po zorganizowaniu kilku rzeczy, które uważał za potrzebne.

- Na razie przygotuj się na przybycie szakali - powiedział. - Na pewno przyjdą. Opuściwszy oddział intensywnej terapii, porozmawiał z lekarzem i załatwił Bennemu przeniesienie do sali w trzecim skrzydle zachodnim. Zapisał sobie numer sali oraz prywatny telefon, a potem ujawnił dyżurnemu oficerowi tożsamość Benniego. Podkreślił, że izraelski pacjent powinien zostać przeniesiony do wyznaczonej sali i że warto postawić przed nią wartownika.

Późnym popołudniem Benni został przetransportowany do swej nowej kwatery. Był pod wpływem lekkich środków uspokajających i nie wiedział, że Jack Buchanan oraz Charles Gold już przybyli z Nowego Jorku, a przesłuchanie musieli odłożyć do rana, bo powstrzymał ich kategoryczny zakaz lekarzy: „Żadnych gości!”. Zaraz po kolacji, której Baum nie tknął, zadzwonił Roselli, sprawdzając linię i upewniając Benniego, że wysłał „telegram”, oraz stwierdzając tajemniczo, że „porusza niebo i ziemię”.

W nocy, gdy zimowe chmury zasłoniły niebo, Benni nabrał dość sił, żeby zwlec się z łóżka. Trzymając w dłoni torebkę z podłączoną kroplówką, przetrząsnął walizkę dostarczoną mu przez jednego z ludzi Nadava i wyciągnął notatnik oraz „Pożegnanie z bronią”.

Ułożenie wiadomości do Ecksteina i zaszyfrowanie jej zabrało mu sporo czasu. Miał trudności ze skoncentrowaniem myśli, a gdy w końcu udało mu się zakończyć szyfrowanie, całkowicie opadł z sił.

Jednak nie zasnął. Czuwał przy zapalonych światłach, bo bał się, że dzwonek telefonu może go nie obudzić. Spędzone w ten sposób godziny stanowiły pełną tortur podróż przez całe życie; myślał o rodzinie, podczas gdy jego drugie ja, zawodowe, planowało bitwę, starało się rozumować logicznie, opracowywać plan, obmyślić kontruderzenie i unikać wszelkich zasadzek. Był sam.

O drugiej w nocy pomysły mu się wyczerpały, a wszystko inne przesłonił obraz Ruth; Benni modlił się, żeby jeszcze żyła. Raz, może dwa razy usłyszał swój szloch, a potem przykładając dłonie do policzków, czuł na skórze wilgoć. Przetrwał w takim stanie aż do telefonu Ecksteina; potem był drugi telefon i zastrzyk nadziei, która pozwoliła mu na odrobinę ukojenia. Na litość Boską, to przecież nie sen...

- Normalna - powiedziała pielęgniarka, wyciągając termometr. Szybkim krokiem minęła mężczyzn o kamiennych twarzach i wyszła z sali.

Po jej zniknięciu jeszcze chwilę panowała cisza.

- Pułkowniku Baum - zaczął Buchanan, po raz pierwszy siląc się na przyjazny ton - nasze spory dają przewagę naszemu przeciwnikowi.

Benni spodziewał się kolejnej napaści, więc lekko uniósł wzrok.

- Zgadzam się. Każda minuta oddala od nas Martinę.

- I to z prędkością Macha - dodał Charles Gold.

- Domyślam się, że odleciała samolotem. - Baum patrzył na zastępcę Buchanana.

- Wynajęła odrzutowiec - rzekł Buchanan. - Ale chyba nie z pilotami. Prawdopodobnie przez Atlantyk pilotowała sama. - Odwrócił się od okna i rzucił zniecierpliwione spojrzenie oficerowi NIS. - Wyjaśnij to, Cole.

Rysy twarzy Cole'a stężały, jak gdyby zamierzał odmówić, jednak przerzucił kartkę w notatniku i wyrecytował miarowym głosem:

- Napadli na nasz pojazd transportowy w Ironsides, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od jednostki. Najpierw jechali na północ, a potem skręcili na szosę 225. -Spojrzał na Bauma i przypomniał sobie, że to obcokrajowiec, więc dodał: - To jest do Marylandu.

Baum skinął głową, a Cole kontynuował:

- Na małym lotnisku obok Pomonkey pokazali się czyści i wystrojeni. Mieli limuzynę, karawan, paszporty, przeszli przez odprawę, załadowali trumnę i odlecieli.

- Trumnę - szepnął Benni, czując ciarki na karku.

- *Minnow* z łatwością mieści się w trumnie - powiedział doktor Carswell i Benni dopiero

wtedy zaczął znów oddychać.

- Przeszli przez odprawę? - Charles Gold pochylił głowę. Loty czarterowe rzadko kiedy są poddawane kontroli celnej, a i to tylko wtedy, gdy celnicy mają powód do rewizji. - To jest lotnisko międzynarodowe?

- Nie - odparł Cole - ale zarejestrowali lot do Malagi i, nie chcąc prawdopodobnie wpakować się w niepotrzebne kłopoty, sprowadzili celnika.

- Sami? - Hal Novak wytrzeszczył oczy.

- Sami - potwierdził Cole.

- Niezła jest - szepnął z uznaniem Denny Baylor.

- Czy można zdjąć odciski palców w ciężarówce i w tym samochodzie sztabowym? - zapytał Novak.

Cole pokręcił głową.

- Powycierali albo nosili rękawice. Żołnierz piechoty morskiej, który przeżył, twierdzi, że samochód prowadził porucznik Marynarki, ale mamy pewność, że mundur był kradziony. W szpitalu uniwersyteckim leży w śpiączce młody chłopak pasujący do opisu porucznika, który nie wrócił z przepustki. Znalezione go w worku na ciała.

- Boże - odezwał się Buchanan, jak gdyby słyszał o tym po raz pierwszy.

- A co z tym karawanem i z limuzyną? - pytał dalej Novak.

- Odjechały - powiedział Cole. - Jeszcze ich nie znaleźliśmy.

A więc zostawiła tutaj swoich ludzi, pomyślał Benni i instynktownie spojrzął w kierunku okna. Martina nie rzucała czczych pogroźek. Mogła kazać go śledzić i będzie wiedzieć, kiedy opuści terytorium Stanów Zjednoczonych.

- Mogę o coś zapytać? - powiedział Benni, odwrócony tyłem do swych gości. - Co wiadomo na temat ludzi, którzy odlecieli?

- To dwie kobiety oraz dziewięciu mężczyzn - odpowiedział Cole.

- I żadnych więcej szczegółów? - Benni starał się panować nad głosem.

- Pokazaliśmy zdjęcie Klump personelowi lotniska i zidentyfikowali ją. O drugiej kobiecie nie wiemy nic. Większość mężczyzn pochodziła z Bliskiego Wschodu. „Brudasy”, jak ich określił rozlewacz benzyny przy pasie.

- To wieprze - doleciał głęboki głos z wnętrza przy drzwiach. Wszyscy odwrócili się zobaczyć, kto wypowiedział to dziwne określenie.

Przy drzwiach z rękami w kieszeniach niebieskiego płaszcza ze śladami deszczu stał Arthur Roselli. Na różowej elastycznej rurce wisiały mu na szyi okulary słoneczne nie pasujące do ponurej pogody, ale sugerujące, że ich właściciel przyjął styl instruktora narciarskiego.

Benni usłyszał, że Jack Buchanan gwałtownie wciąga powietrze nosem, ale powstrzymał się przed protestem. Natomiast Baum odetchnął z ulgą.

Roselli rozejrzył się po sali. Z agentami FBI miał już do czynienia, ale nie znał ludzi z NIS, ani Carswella, ani małomównego oficera SEAL. Wyciągnął więc z kieszeni legitymację, otworzył ją i mruknął:

- Roselli, z Langley. - Posługiwał się tą legitymacją tak, jakby był to karnet do klubu studenckiego. - Ludzie Klump to Wieprze, drodzy panowie, czyli HOG-s. Na początku lat osiemdziesiątych Martina Klump wstąpiła w Libanie do Hezbollahu. Potem opuściła ich z grupą własnych ludzi. Są wolnymi strzelcami. Nazywają siebie Yadd Allah, Dłoń Boga. Rozumiecie? *Hand Of God, Hogs, Wieprze.* - Spojrzął prosto na Buchanana i najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć, dodał: - Ale zakładam, że wszystko to już wiesz, Jack.

Buchanan musiał dokonać wyboru. Mógł albo zapomnieć o swej nienawiści, albo przesunąć jej wybuch na jakiś bardziej odpowiedni moment. Konflikt z Rosellim trwał już prawie dwadzieścia lat, od czasu kiedy Biuro zapragnęło zainstalować w Langley własnych poszukiwaczy szpiegów, a CIA zareagowała jak żona, której mąż postanowił zatrudnić młodą

i seksowną pokojówkę.

- Zgadza się - powiedział Buchanan. - Mam mniej więcej takie same informacje. - Pomasował swój kanciasty podbródek. - Ale o nazwie „Wieprze” nie słyszałem.

- Taka agencyjna nomenklatura - powiedział Roselli cieplejszym tonem i uśmiechnął się. - Panuje moda na kryptonimy.

Buchanan chrząknął, próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu raczej grymas świadczący o niezadowoleniu.

- Co tam słyhać po drugiej stronie rzeki? - zapytał Charles Gold.

- Nic, mamy wyłącznie przecucia - mówił Roselli. - Wiemy tylko, że nie ukradła broni, żeby ją odsprzedać.

- Na jakiej podstawie wysnuliście takie wnioski? - zapytał doktor Carswell z nadzieją w głosie.

Roselli spojrział na naukowca. Nigdy wcześniej nie widział tego człowieka, ale celnie określił go w myślach jako zaprzysiężonego członka smutnego gremium mózgowców.

- *Minnow* to prototyp - mówił Roselli. - Istnieje tylko jeden egzemplarz. To nie *Redeye*, które można spotkać wszędzie dokoła, bo rozdawaliśmy je Afgańczykom jak cukierki.

Peter Cole uniósł brwi; był wstrząśnięty, że Roselli publicznie kwestionuje oficjalną politykę agencji.

- Ktoś trzeci, kto przejmuje taką broń, wie, że wszystkie siły koncentrujemy na jej poszukiwaniach - kontynuował Roselli. - I żeby odzyskać *Minnow*, każdy z naszych gotów jest popełnić morderstwo.

Wrota litości zostaną zatrzęsnięte, pomyślał bezimienny oficer SEAL. Zrobił dyplom w Annapolis.

- A jeśli ktokolwiek użyje jej podczas ataku na okręt - wtrącił Carswell - będzie możliwe zidentyfikowanie *Minnow*, choćby nawet rozleciała się w drobny mak.

- No właśnie. - Roselli spojrział na Buchanana. - A wtedy wy najprawdopodobniej bez trudu przyskrzycicie strzelającego. - Komplement nie był bezpodstawny, ponie: waż nikt nie mógł konkurować z FBI w wyposażeniu laboratoriów.

- Jak amen w pacierzu - powiedział Gold.

- A więc Martina nie sprzeda *Minnow* - konkludował Roselli. - Użyje jej sama, bo gówno ją obchodzi, czy ją ktoś zidentyfikuje.

- Niezła jest - powtórzył szeptem Denny Baylor, żując kawałek tytoniu.

- Masz inną koncepcję? - Roselli zwrócił się do brodatego agenta.

- Nie, podziwiam tylko nerwy tej kobiety.

- A, rzeczywiście jest twarda - pokiwał głową Roselli. Później po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Bauma: - Wszystko w porządku, panie pułkowniku?

- *Knollen* - Benni wypowiedział niemieckie przekleństwo.

Ponownie otworzyły się drzwi i Baum zaczął się zastanawiać, czy do jego sali zamierza się przenieść cały Pentagon. Gdy ujrzał, że do środka wchodzi detektyw Michael O'Donovan, ze złości zrobił się czerwony na twarzy. O'Donovan przyrzekł troszczyć się o jego córkę i nie sprawdził się w roli zwykłego ochroniarza. Mieć na nią chrapkę to umiał, ale mieć na nią oko, to już przerosło jego umiejętności. Nagle zdał sobie sprawę, że kieruje gniew w złą stronę i dokonuje projekcji własnej winy na detektywa. Gdy się trochę opanował, ogarnęło go poczucie zagrożenia, ponieważ O'Donovan mógł przy wszystkich wyjawic, że Ruth została uprowadzona.

Poczucie zagrożenia szybko jednak minęło, bo chociaż O'Donovan patrzył na niego przepaszającym wzrokiem, ostrożnie przyłożył palec do warg, dając do zrozumienia, że będzie milczał.

- O'Donovan! - Jack Buchanan spojrział spod okna. - To ty? Roselli odsunął się z nadzieją, że detektyw nie okaże się gadułą.

- Tak, ale poszatkowany na kawałki - powiedział O'Donovan. Na mostku nosa miał przyklejony biały pasek, a purpurowa skóra pod okiem wyglądała jak posmarowany maścią obrzęk na policzku boksera.

- Kto to jest? - zapytał Charles Gold.

- O'Donovan, z posterunku Śródmieście-Północ - powiedział z niedowierzaniem Buchanan, a potem znów zwrócił się do detektywa.

- Co ci się stało?

- Kraksa samochodowa - powiedział słabym głosem O'Donovan.

- Gliniarz? - zapytał Peter Cole, chcąc zrozumieć, co go łączy z Buchananiem.

- Z Nowojorskiego Departamentu Policji - odpowiedział Buchanan za O'Donovana. - Pracował nad wybuchem bomby w konsulacie.

- Ma dostęp? - zapytał Cole.

- On jest ze mną - powiedział Roselli.

- Ale czy ma dostęp? - powtórzył za swym szefem Denny Baylor. Roselli zmierzył wzrokiem młodego agenta NIS.

- Służył w Siłach Specjalnych. To wystarczający dostęp. - Wszyscy w branży wiedzieli, że ludzie z Sił Specjalnych mają prześwieclaną przeszłość równie dokładnie jak wysoko postawieni funkcjonariusze Agencji. - Byliśmy razem w Pustynia Jeden - dodał dla efektu. - A gdzie ty wtedy byłeś?

Baylor tylko spuścił oczy. W 1980 roku poszedł dopiero do liceum.

- Wiesz co się stało, O'Donovan? - zapytał Buchanan.

- Wiem - odparł detektyw.

- I to dokładnie - wtrącił Roselli.

- No to wiesz, co jest grane. - Buchanan patrzył na O'Donovana wrogim wzrokiem. Niezbyt był zadowolony z widoku człowieka, którego do niedawna traktował jak zwykłego sługusa. - Szkoda, że w zeszłym tygodniu nie przyszpiliłeś tej dziwki. Teraz przygotowywalibyśmy się do procesu, a nie do pogrzebów.

O'Donovan zmarszczył brwi, gest ten sprawił mu fizyczny ból.

- Ja pracowałem nad sprawą zabójstwa, pamiętasz? - powiedział trochę ostrzejszym tonem. - Terroryzm to twoja działka, Jack.

Buchanan poruszył bezgłośnie wargami, a potem się zamknął.

- Teraz nie ma na to czasu - wtrącił się Hal Novak. - Roselli, jaka jest pańska koncepcja? Ludzie czekają na rozkazy.

Art Roselli rozmasował brodę i spojrzał na Benniego. Mieli dokładny plan przeprowadzenia tej części rozmowy, a teraz trzeba było go zastosować w praktyce.

- Cóż, musimy zakładać, że każdy amerykański okręt pomiędzy naszym wybrzeżem a Morzem Czerwonym jest narażony na ryzyko. Każdy okręt płynący po otwartych wodach przekraczających powiedzmy... Jaki jest minimalny zasięg *Minnow*?

- Do uzbrojenia się potrzebuje stu metrów - powiedział doktor Carswell.

- A więc okręt na wodach otwartych na przestrzeni stu metrów - dokończył Roselli.

- Cholera - zaklął Cole. - Mamy setki takich okrętów.

- Psss. - Oficer SEAL wydał z siebie dźwięk naśladujący szasowanie zbiorników balastowych okrętu podwodnego. Jego ludzie w żaden sposób nie dadzą rady zabezpieczyć tyłu zagrożonych miejsc.

- Ale wydaje mi się - rzekł Roselli - że nasz gość potrafiłby zawęzić zakres naszych poszukiwań. - Założył ręce na piersi i spojrzał na Benniego.

- Panie Roselli, mówiłem już chyba, że to ryzyko ponosimy tylko my - powiedział przez zaciśnięte zęby Baum. - To sprawa Izraela.

- Może zagrożony obiekt jest wasz - powiedział Roselli - ale broń nasza.

- O co tu chodzi? - zapytał sfrustrowany Buchanan. - Rozmawialiście już na ten temat?

- I mieliśmy różne poglądy. - Roselli postarał się, aby w jego tonie zabrzmiała nutka niechęci.

- Jakoś mnie to, kurwa, nie dziwi - rzekł Buchanan.

- Przestań, Baum - powiedział z naciskiem Roselli. - Powiedz im, bo wszyscy będziemy niepotrzebnie tracić czas.

Taki przebieg rozmowy zaplanowali sobie już wcześniej, chociaż Baum miał pewne opory przed wprowadzaniem w błąd amerykańskiego wywiadu i wojska. Był

niemal absolutnie pewien, gdzie Martina wyląduje. Musiała wybrać miejsce, z którego będzie mogła przeszkodzić w sfinalizowaniu operacji Księżyc na Morzu Śródziemnym. Ze swoją nową amerykańską zabawką nie mogła lecieć do jakiegoś europejskiego czy afrykańskiego kraju, gdzie wyraźnie zaznacza się obecność Amerykanów lub gdzie Izraelczycy mogą swobodnie prowadzić działania.

Algieria zajmowała wrogie stanowisko wobec obydwu tych krajów, a gdy jeszcze wziąć pod uwagę nastawienie algierskich fundamentalistów islamskich i akta Tango, to istniało duże prawdopodobieństwo, że Martina już zorganizowała sobie bazę właśnie na algierskiej Saharze. Benni mógł o tych domysłach nie wspomnieć przesłuchującym go ludziom, a wysłanie do Algierii grup zwiadowczych bez podawania konkretnych przyczyn leżało w zakresie władzy Roselliego. Mimo to Baum czuł jednak niechęć do okłamywania sojuszników.

Tak czy inaczej Arthur uznał, że aby działać skutecznie, muszą przemilczeć przed Amerykanami sprawę tajnej wymiany więźnia i porwania Ruth. Trzeba im było podsunąć jakiś alternatywny cel.

- No dobrze - powiedział z rezygnacją Baum. - No dobrze. - Spojrzał na sufit, jakby tam szukał przebaczenia za zbliżające się wyznania. - Martina Klump ma na pieńku z nami, czyli z Izraelem, oraz z niemieckim rządem. Jak wiecie, była poszukiwana kiedyś za członkostwo we Frakcji Czerwonej Armii. Wspólna operacja Niemiec-ko-izraelska doprowadziła do pojmania i uwięzienia Klump. A ona poprzysięgła zemstę.

Zabrzmiało to trochę nazbyt dramatycznie, ale prawda rzeczywiście tak wyglądała. Głęboko zaczerpnął powietrza, jak gdyby potrzebował więcej sił.

- Pomiędzy Bonn a Jerozolimą zawarto porozumienie, które właśnie ma wejść w życie - kłamał. - Izraelska marynarka wojenna nabyła od Niemiec dwa podwodne okręty. Mamy je odebrać w przyszłym tygodniu w Bremerhaven. - Rozkładając ręce, pokazał, że nic więcej nie ma do ukrycia. - Najprawdopodobniej Martina Klump zamierza zaatakować któryś z tych okrętów. Albo obydwu.

Udając zniesmaczenie swoim brakiem dyskrecji, klepnął dłońmi o koc. Po krótkiej chwili ciszy zgromadzeni na sali mężczyźni zareagowali jak drużyna koszykarska, która jest bliska przegranej z powodu faulu jednego z zawodników. Ktoś puknął się w czoło, ktoś zachrzakał, zabrzmiały ciche przekleństwa.

- Cholera, Baum! - Znów z zaciętością w głosie odezwał się Buchanan. - I ty chciałeś to przed nami zataić?

- Mógł pan oszczędzić nam tego całego cyrku - mruknął Cole.

- Panie pułkowniku, my naprawdę potrafimy zachować dyskrecję - rzekł Hal Novak.

- Mówiłem panu, panie Baum - dodał Roselli. Benni zdecydował się odpowiedzieć Novakowi.

- Wierzę w waszą dyskrecję. I przepraszam. Musicie jednak zrozumieć w jak drażliwej znaleźliśmy się sytuacji. Przyrzekliśmy Bonn, że nikomu nie powiemy o tej transakcji. W niemieckim rządzie bardzo poważne wpływy ma lewica i w wypadku ujawnienia transakcji mogłoby dojść nawet do zgłoszenia wotum nieufności. - Zamilkł na chwilę. - Przyznaję, mogłem powiedzieć wam o tym wcześniej. Ale nie

było mi wolno.

- I tak dziękujemy za „zaufanie” - wycedził Buchanan. Poprawił mu się humor, bo nie byli zagrożeni Amerykanie.

- Sprawa komplikuje się jeszcze trochę bardziej - Baum dalej realizował swój fortel. - Nie możemy ostrzec Niemców o niebezpieczeństwie, bo gotowi wycofać się z umowy. A my potrzebujemy tych okrętów, I w związku z pewnymi dawnymi przeciekami - ciągnął, spoglądając smutnym wzrokiem - przysięgliśmy nie prowadzić działań na terenie Niemiec.

Roselli odebrał sygnał do przejścia pałeczki.

- Chcesz nam powiedzieć, że na miejscu nie będzie izraelskich oddziałów? Nawet do celów obronnych?

- Tylko najpotrzebniejsi ludzie z załogi okrętów - rzekł Benni. - Nikogo więcej.

- No dobrze - powiedział Buchanan, w zadumie wydymając wargi. - Mamy przynajmniej czym się zająć. - Spojrzał na Roselliego. - A wasze samoloty niczego nie namierzyły?

- Na razie nie. Zbieramy też informację przez Federalny Zarząd Lotnictwa, ale oni nie otrzymali sygnału od żadnego sektora na Atlantyku. A do tego jeszcze wczorajsza pogoda uniemożliwiła wyraźne połączenia. Chaos w eterze.

- A informacje od agentów? - zapytał Peter Cole.

- Sprawdzamy każde ewentualne dojście przez Europę. Oczywiście w granicach rozsądku. Wam radzę zrobić to samo.

- Zrobimy - powiedział Cole i trochę się nadał. Odwrócił głowę do oficera SEAL i chciał coś powiedzieć, ale człowiek z kitką wyszedł z sali. - Gdzie on poszedł? - bąknął.

- Może naostrzyć miecze - zażartował lekceważąco Denny Baylor. Sam też chciał kiedyś wstąpić do SEAL, ale odpadł podczas tygodnia „piekiełka” w Coronado.

- Gold - zwrócił się Buchanan do swojego zastępcy. - Chyba powinniśmy skontaktować się z naszymi ludźmi w Niemczech. Jakie większe miasto leży najbliżej portu?

- Hamburg - wyjaśnił Benni. Obserwując jak Amerykanie łykają jego i Roselliego przynętę, chciał, żeby jak najszybciej zniknęli; dręczyły go wyrzuty sumienia. Przynęął rękę do guzika wzywającego lekarza i nacisnął.

- Skontaktuję się z tamtejszym konsulem - powiedział Gold.

- Trzeba wysłać faksem do Niemiec rysopisy - dodał Buchanan. - Albo nie. Lepiej zabierz personel Pomonkey do Waszyngtonu i zróbcie portrety pamięciowe.

- Tak jest - powiedział Gold i zapisał coś w notatniku.

Benni poczuł lekki dreszcz na myśl, że wizerunek Ruth będzie rozprowadzany z portretami pozostałych „podejrzanych”.

- Chyba pojedę do Pentagonu - rzekł Hal Novak, zakładając brązowy płaszcz. - Ciekawe, czy będą mieć jakieś propozycje.

- Dobra myśl - powiedział Buchanan trochę zbyt władczy tonem, a Novak posłał mu karcące spojrzenie.

Nagle otworzyły się drzwi. Tym razem zamiast nieśmiałej pielęgniarki weszła kobieta w oliwkowych spodniach i mundurowej bluzie z naramiennikami. Była wysoka, surowa, krótkie brązowe włosy okalały jej ładną twarz. Podeszła do łóżka Bauma z dużym notesem w dłoni.

- Co się stało, panie pułkowniku? - zapytała, spoglądając na kartę choroby.

- Nic, pani doktor - powiedział Benni, jakby niechcący nacisnął dzwonek. - Tylko czuję się trochę zmęczony.

Podeszła bliżej, chwyciła go na nadgarstek, dwoma palcami odszukała puls i spojrzała na zegarek. Po dziesięciu sekundach, nie podnosząc głowy, powiedziała:

- Proszę wszystkich o opuszczenie sali.

Doktor Carswell zerwał się ze swego miejsca i zaczął nerwowo zbierać dokumenty, jakby się obawiał, że lekarka zaraz go zbeszta. Inni mężczyźni popatrzyli na siebie z niepewnością w oczach, ale również ruszyli do drzwi. Roselli i O'Donovan zrobili przejście.

- Musimy wracać do pracy - powiedział Buchanan, a potem już przy drzwiach odwrócił się

do Bauma. - Na razie nigdzie nie wyjeżdżaj. - Podejrziwym wzrokiem spojrzął na Roselliego.

- Ani mi się śni. - Na te słowa Buchanan kiwnął głową i zniknął na korytarzu.

- Puls w porządku. - Lekarka puściła mu rękę. - Coś pana boli?

- Nie - powiedział Benni.

- Oddycha pan swobodnie?

- *Aye, aye, sir.*

- Widzę, że zna pan żargon amerykańskiej Marynarki. - Prawie się uśmiechnęła. - To dobrze. Jak to powiedzieć po hebrajsku?

- *Szlili*

- *Nachon* - odpowiedziała w tym samym języku, a na widok zdumienia w oczach Bauma wyjaśniła: - Trzy miesiące z Trzecią Flotą w Hajfie.

- No, no - powiedział z uznaniem Roselli. - Widzisz Baum? Ostrożności nigdy za wiele.

Lekarka krzywym wzrokiem spojrziała na dwóch pozostałych gości.

- Panowie też - powiedziała, pokazując palcem drzwi. - Pacjent musi odpocząć.

- Chcę z nimi porozmawiać - poprosił Benni. - Tylko chwilkę.

- Ale naprawdę chwilkę - powiedziała pani kapitan, idąc w stronę drzwi. - Tutaj, panie pułkowniku, pańskie serce należy do mnie.

Baum uśmiechnął się i zasalutował.

- „Pańskie serce należy do mnie” - powtórzył z uśmiechem Roselli.

Benni wzruszył ramionami, a uśmiech na twarzy oficera CIA zniknął, gdy przypomniał sobie szczegóły sprawy, na którą ledwie poprzedniego dnia Baum tak gwałtownie zareagował. Każda z kwestii - porwanie *Minnow*, uprowadzenie Ruth i tajna wymiana więźnia - stanowiła poważny problem, ale wszystkie razem wzięte uniemożliwiały Baumowi jakikolwiek manewr.

Michael O'Donovan stał w nogach łóżka i wpatrywał się w swoje buty. Baum przyjrzał się ranom wyźłobionym na bladej twarzy detektywa. Dostrzegwał szczere cierpienie skruszonego kochanka. Już miał coś powiedzieć, gdy O'Donovan podniósł głowę.

- Panie pułkowniku, nie wiem jak to powiedzieć...

- No to nie mów nic, Michael - rozgrzeszył go Baum. - Co się stało, to się stało. O szczegółach opowiesz nam później, jeżeli będą mogły nam w czymś pomóc. Teraz musimy działać i to szybko.

O'Donovan spoglądał na niego dłuższą chwilę.

- Dobrze - powiedział.

Benni skinął na Roselliego, żeby podszedł bliżej, ponieważ naprawdę był zmęczony i musiał położyć się na poduszce.

- Arthur, co teraz robimy? - zapytał prawie szeptem. - Eckstein jedzie do Casablanki i Bóg wie czego się po mnie spodziewa. - Złapał się za czubek swego pękatego nosa, jakby nie chciał dopuścić do siebie przyływu emocji. - Zdaje się, że powinienem się stąd ulotnić.

O'Donovan przysunął się do łóżka i również zaczął mówić ściszym głosem.

- Naprawdę myśli pan, panie pułkowniku, że ona przysłała tu swoich ludzi?

- Michael, przecież agenci to potwierdzili. - Benni westchnął. - Zostawiła w Ameryce wspólników.

- To prawda - przyznał mu rację Arthur. - Musimy się z tym liczyć. - Sięgnął po telefon i wybrał numer.

- No to dlaczego po prostu ich nie zgarniemy? - zapytał niecierpliwie O'Donovan. - Na pewno gdzieś tu się kręcą w pobliżu.

- Nie można ich tak po prostu aresztować, bo to może skłonić Martinę do działania... - Baum przerwał i spojrzął na swe zaciśnięte pięści.

- Moi ludzie mają swoje sposoby - powiedział Roselli, a potem odezwał się do telefonu: -

Okay, Tripot. - Odłożył słuchawkę. - Można tu zapalić?

- Jeśli chcesz umrzeć w bliskim sąsiedztwie kobiety - mruknął Baum, mając na myśli lekarkę.

- Bywają gorsze sposoby umierania. - Roselli roześmiał się, ale schował paczkę Marlboro z powrotem do kieszeni.

Chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy trzej zmagali się z myślami.

- Michael - odezwał się w końcu Benni. - Nie musisz wracać do Nowego Jorku?

- Jestem na chorobowym - rzekł O'Donovan.

- Aha. - Potem dodał rozdrażnionym tonem: - *Ani muchrach livroach me po*. Muszę się stąd wydostać.

- *Savlanut*. Cierpliwości - powiedział Roselli, czym zaskoczył O'Donovana, który nic nie wiedział o pobycie agenta CIA w Jerozolimie.

Wtem otworzyły się drzwi, wartownik stanął na baczność, a do sali weszło pewnym krokiem trzech mężczyzn. Mieli na sobie gładkie, zielone mundury oficerów piechoty morskiej. Benni zaklął bezgłośnie, bo nie spodziewał się takiej delegacji. Już sięgał po guzik dzwonka wzywającego lekarza, gdy Roselli chwycił go za rękę.

- Witam na pokładzie, panowie - powiedział Roselli z wesołym uśmiechem. Twarze przybyłych również pokraśniały, jeden z nich zasalutował i strzelił obcasami, naśladując Chaplina. Baum i O'Donovan patrzyli ze zdziwieniem.

Pierwszy z oficerów miał stopień podpułkownika, drugi majora, a na pagonach trzeciego błyszczały belki kapitańskie. Wszyscy nosili czapki i wyraźnie byli do siebie podobni z wyglądu. Żaden nie przekraczał metra osiemdziesięciu wzrostu, wszyscy byli muskularni i szerocy w ramionach. Na gładko wygolonych, błyszczących od deszczu twarzach malował się wyraz kpiny i ironii.

- Pamiętasz operację Flet? - zapytał Bauma Roselli, spoglądając z zadowoleniem na swoich ludzi. - Posłużyłem się tym samym pomysłem.

Zerkając z zakłopotaniem na przyjaciela, Benni przypominał sobie akcję z 1986 roku, kiedy to zacieśniły się łączące ich więzi. Nagle zrozumiał, na czym polega podstęp Roselliego i odwrócił głowę w stronę trzech *Marines*.

- Przebieranka - powiedział Roselli, a potem zwrócił się do trzech przybyszów. - Panowie, to jest Michael O'Donovan, a ten niedysponowany to podpułkownik Benjamin Baum.

Wszyscy uprzejmie skinęli głowami. Byli zatrudnieni w Agencji i od wielu lat pracowali z Rosellim przy różnych tajnych akcjach.

- Ja nazywam się Me - powiedział z uśmiechem „kapitan”. Stojący obok niego „major” uniósł rękę.

- Ja jestem Lary.

- No to ja chyba jestem Curry - powiedział trzeci, zdejmując czapkę pułkownika. Jeśli nie liczyć kilku siwych kosmyków nad dużymi uszami, był całkowicie łysy.

Zarówno O'Donovan jak i Baum nie mogli wyjść z podziwu nad uderzającym podobieństwem agentów CIA do Benniego.

- Dzisiaj rano się ogoliłem - powiedział „pułkownik”, gładząc się po policzku. - Żona mnie takiego nie znosi.

Dwaj pozostali wybuchnęli śmiechem. Roselli poszedł w ślad za nimi, również Baum i O'Donovan nie mogli się powstrzymać.

- Według mnie wyglądasz całkiem atrakcyjnie - powiedział Benni. - Naprawdę. Śmiech rozluźnił trochę atmosferę i powiało umiarkowanym optymizmem. Gdy

jeden z tęgich oficerów wystąpił przed szereg, wydawało się, że dwaj podobni bracia ostrożnie podchodzą do siebie po długich latach rozłąki.

- Panie pułkowniku - rzekł agent, odpinając guziki munduru i kiwając głową w stronę materaca. - Mam nadzieję, że łóżko jest wygodne.

Wybrzeże Afryki Północnej

Luksusowy odrzutowiec dyspozycyjny *Falcon 900* ciął zimne, nocne powietrze. Jego błyszczący, brązowy kadłub połyskiwał na wysokości jedenastu tysięcy metrów, gdy stalowe skrzydła pochylały się to na prawo, to na lewo pod wpływem atlantyckich prądów powietrznych. Gładki nos i wypucowana przednia szyba tego mechanicznego sokoła odbijały ostre światło księżyca, a fale wiatrów wiejące od stratosfery powodowały, że długa smuga kondensacyjna ciągnąca się za ogonem przyjmowała kształt linii krzywej.

Falcon unosił się w powietrzu bez wysiłku, ale nie dorównywał lekkością duchowi Martiny Ursuli Klump. Obserwując odbitą w iluminatorze swą uśmiechniętą twarz, dostrzegła rozluźnienie napięcia, które towarzyszyło jej od paru miesięcy. Jednakże wpatrzona w powierzchnię czarnego morza za rzadkimi chmurami, z trudem panowała nad ciałem.

Siedziała rozparta w fotelu z kremowej skóry, który prawie wszystkich pasażerów potrafił ukołysać do snu, lecz ona rytmicznie poruszała stopą, nie rozluźniając mięśni ukrytych pod długą, czarną, wełnianą suknią. A gdy w słuchawkach zabrzmiało crescendo z allegro IX Symfonii Beethovena, zaczęła dyrygować. Miała teraz zamknięte oczy, kiwała głową, kosmyki czarnych włosów opadały jej na czoło i, kiedy podnosiła zaciśniętą pięść, Londyński Chór i Orkiestra Festiwalowa należały do niej. Pokazywała, jak mają grać, zmuszała ich do posłuszeństwa, wyciągała z nich wszystko, co najlepsze, aż w końcu wspólnie osiągnęli zapierający dech w piersi niemiecki orgazm.

Ze wstrzymanym oddechem zmieniła pozycję na fotelu, zdjęła słuchawki, otworzyła oczy i po drugiej stronie kabiny ujrzała znieruchomiałego na fotelu Salima, który ze zdumieniem przyglądał się swej szefowej. Odginając głowę do tyłu, zaczęła się histerycznie śmiać.

W końcu się uspokoiła, złożyła ręce jak do modlitwy i przeciągnęła się. Na umieszczonym u góry ekranie wideo widać było trasę *Falcona*. na elektronicznej mapie biała kreska zbliżała się do Cieśniny Gibraltarskiej. Obok monitora w przeszklonej wnęce migotały diody odtwarzacza CD. Przez otwarte drzwi widziała spoczywające na podłodze kabiny pilotów stopy Mussy, którego ciało kryło się za oparciem fotela drugiego pilota. Za butami Mussy feeria błyszczących lampek tablicy przyrządów okalała białe koszule pilotów.

Martina usiadła wygodniej i rozejrzała się po samolocie. Wyczarterowała tę zbudowaną we Francji maszynę wyłącznie ze względu na rozmiar i zasięg, choć ów pałac ze skrzydłami przeznaczony był głównie dla ludzi zamożnych.

Udało mi się. Klepnęła się dłońmi po udach, na co Salim znów wychylił się ze swego fotela. Uśmiechnęła się, wskazując wzrokiem pozę śpiącego naprzeciw Salima Muhammeda, któremu ręce zwisały z fotela i zaczepiały palcami o czerwony, kosztowny dywan. Wszystkich ich zrobiłam w konia, uciekłam przed pościgiem stu

amerykańskich psów gończych, zabrałam im cenną zabawkę i zostawiłam ich skaczących sobie do gardeł.

Odwróciła się w stronę części rufowej i z uznaniem popatrzyła na mężczyzn, którzy swobodnie czuli się wśród otaczających ich luksusów. Ściany kabiny wyłożone były kremową tkaniną o nieregularnej fakturze przypominającej skórę zwierzęcia. Na półokrągłym suficie znajdowały się wykładane złotem panele z lampkami do czytania i nawiewami powietrza; dolne części ścian pokrywały drewniane szafki pokryte polerowaną żywicą. Przymocowany do lewej części kadłuba stolik do posiłków otaczały cztery wyściełane skórą krzesła. Na jednej połowie Yaccub, Jaweed i Ali grali w karty, a na drugiej Nabil cichutko stukał w klawiaturę laptopa Compaq. W pomieszczeniu było chłodno, więc wszyscy mieli jeszcze na sobie „pogrzebowe” uniformy.

Za nimi pokładowa groź przesłaniała prawie całą sypialnię *Falcona*, lecz mimo to Martina widziała tam czarne spodnie na nogach Riyada i Youssefa, a naprzeciwko nich na sofie obitej tapicerką pasującą do dywanu - podeszwy butów dziewczyny.

Kiedyś Baumowi zaufałam, wspomniała, a słodycz zemsty wyparła rozgoryczenie. Teraz go załatwiłam. Otworzyła wieczko złotej popielniczki, zapaliła cienkiego Du Mauriera, nacisnęła przycisk rozkładający fotel i oddała się rozpamiętywaniu sukcesu pierwszego etapu operacji Skorpion.

Wszyscy jesteśmy żywi, cieszyła się, jak dowódca wojskowy, któremu dopisało szczęście. Nagle na myśl o Iyadzie zmarszczyła czoło. No może nie wszyscy. Jego głowa znajdowała się tuż obok, lecz jego ciało wciśnięto do lodówki stojącej w piwnicy bezpiecznego domu w Nowym Jorku. Jednak teraz jest z Iyada więcej pożytku, niż gdyby żył. Uśmiech powrócił na twarz Martiny, gdy przypomniała sobie, jak amerykański inspektor celny na moment podniósł wieko trumny, a potem zaraz je opuścił, jakby ujrzał zwłoki samego księcia Drakuli.

Oczywiście nie do końca prawdą było również to, że wszyscy lecą z nią samolotem. Fouad i Fahmi musieli zostać, żeby odprowadzić limuzynę i karawan, ponieważ, po pierwsze, pojazdy te łatwo rzuciłyby się w oczy bystrym pracownikom ochrony lotniska, a po drugie w takiej sytuacji Baum wiedział, że na amerykańskiej ziemi pozostał ktoś, kto może go obserwować. Istniało pewne ryzyko, że mogą zostać pojmاني, ale nie było potrzeby o tym wspominać. Martina miała pewność, że wszyscy się razem spotkają. Jeszcze wypiją miętową herbatkę na balkonie hotelu „Imperial” w Bejrucie, będą wygrzewać twarz na słońcu unoszącym się ponad Morzem Śródziemnym, będą się śmiać i snuć wspomnienia.

Wszystko szło gładko jak w hollywoodzkim filmie, a nie w prawdziwych misjach, podczas których zazwyczaj trzeba przewycięzać nieprzewidziane trudności. Znowu przypomniała sobie, jak szła przez czarny dym płonącej ciężarówki, jak parła do przodu niczym czołg. Widziała biegnących za sobą swoich ludzi, ciągnęła ich jej siłą, odsuwali na boki przeszkody z ludzkich ciał i robili, co do nich należało. Wiatr rozwiewający jej sklezione potem włosy, hulał po sztabowym samochodzie, gdy uciekali z miejsca napadu.

Kiedy zjechali z drogi do ustronnego zagajnika za starą stodołą, zmienili stroje, a mundury z przymocowanymi ciężarkami i broń zatopili we wcześniej upatrzonym stawie. Zdjęli *Minnow* z podstawy, wsunęli ją do trumny, a trumnę umieścili w samochodzie. Wtedy mogli spokojnie wrócić na drogę i pojechać w stronę lotniska.

Na poboczu zatrzymali się jeszcze raz, bo Martina osobiście musiała się upewnić, że wszystko jest w porządku, więc obeszła samochody dookoła i popatrzyła przez okna, czy niczego nie przeoczyli.

- Popraw sobie krawat - poleciła Javeedowi. - Masz zabłocone buty - poinformowała Riya. - Nie zwracajcie uwagi na dziewczynę - ostrzegła wszystkich. Ruth była przytomna, ale jej zażawione oczy i opuszczona głowa groziły omdleniem, co stanowiłoby aż nazbyt melodramatyczny gest właśnie osamotnionej młodej wdowy. - Złap ją pod ramię i przypomnij, że strzelałam przy najmniejszej próbie oporu. - Poddała Aliemu kapsułkę z amoniakiem, żeby złamał ją przed nosem dziewczyny. Niemal przepaszającym tonem zwrócił Martinie uwagę, że przekreśliła jej się peruka. Podziękowała mu i przez ostatnie minuty przed wjazdem na lotnisko poprawiała włosy, gdy cała reszta czyściła ręce i twarze ściereczkami nasączonymi alkoholem.

Słabo pamiętała wejście do samolotu, tylko skrawki pojedynczych obrazów - zupełnie tak samo jak ze swojego ślubu. Wszystko odbywało się bardzo powoli, ponieważ ona tak właśnie zarządziła. Byli przecież orszakiem pogrzebowym, a nie grupą bankierów wybierających się na weekend na Karaiby. Personel lotniska nie miał wprawy w obsłudze bogatych klientów, ani samolotów wielkości *Falcona*, jednak ze względu na poważny charakter sprawy, piloci z samolotów rolniczych oraz weekendowi lotnicy na *Cessnach* zostali poproszeni o trzymanie się z daleka. Rozmawiali tylko Martina i Mussa. Choć piloci *Falcona* wątpili, czy trumna zmieści się w tylnej ładowni, Nabil wymierzył wszystko precyzyjnie z dokładnością do centymetra. Wcześniej kupił składany, metalowy stojak pod elektryczne pianino, postawił go przy tylnej grodzi ładowni i dzięki temu, że można było oprzeć na nim trumnę, która teraz

przyjęła pozycję ukośną, dało się zamknąć pneumatyczne drzwi.

Z poczuciem dumy przypominała sobie pełne zrozumienia twarze Fouada i Fah-miego, jak stali z uniesionymi podbródkami przy karawanie oraz limuzynie i obserwowali jej wejście po schodni do samolotu. Nie mogła pomachać im na do widzenia, nie mogła przytulić ich do siebie, tak jak chciała, ale w ostatnich sekundach znalazła pretekst i podeszła do nich wręczyć „napiwek”, co licowało z odgrywaną przez nią rolę. A gdy rozdzieliła już studolarowe banknoty, uścisnęli sobie ręce z taką siłą, że ona nie zapomni o tym nigdy.

Kiedy zamknęły się drzwi, *Falcon* rozpoczął kołowanie, a ona wstrzymała oddech aż do momentu, gdy unieśli się w powietrze i mogła z góry spojrzeć na oświetlone porannym słońcem sosny Marylandu.

Przez zasłonę papierosowego dymu znów spojrzała na małą, dziewczęcą stopę na sofie w kabinie rufowej. Jej widok przypominał o bolesnej, niedokończonej sprawie, o bezbronnej matce pozostającej samotnie w Nowym Jorku. Jednak *Mutti* najprawdopodobniej bezpiecznie snuje sobie teraz swe starcze fantazje. Być może Amerykanie ją przesłuchiwali, ale na pewno szybko zdali sobie sprawę, że niewiele się od niej dowiedzą. Zdominowany przez adwokatów amerykański system prawny nigdy nie uznałby jej matki za wiarygodnego świadka, na którego zeznaniach można polegać. Amerykanie mogą nadal ją obserwować, ale po wielu bezowocnych wysiłkach i zawiedzionych nadziejach będą musieli w końcu zrezygnować.

Pilotów *Falcona* nie dziwiło specjalnie ekscentryczne zachowanie pasażerów, ani dziwny skład grupy, ani też niezwykle instrukcje, które wydała im wiodąca prym

kobieta. Pracując dla Jetstar Aviation, Inc., człowiek jest tylko wysokiej klasy szoferem. Jetstar zajmuje się czarterowaniem odrzutowców i na wynajęcie pilotów może sobie pozwolić każdy posiadacz odpowiedniej ilości gotówki. Przy zleceniu piloci mają nowych pasażerów i nowego szefa lub nową szefową z prawem do wydawania rozkazów. Bywają osobliwe wymagania kulinarne, kuriozalne gusta filmowe - zamówienia od Disneya po pornografię; zdarzają się także antynikotynowi fanatycy, którzy wymagają sterylizacji popielniczek, jak również tłuszciochy zamawiające całe pudełka cygar Macanudo.

Siedzący po lewej stronie Joe Dawson latał w Wietnamie na *Skyhawkach*. Chip Bergh pilotował *Phantomy* w Siłach Powietrznych, ale był za młody na udział w „południowoazjatyckich gierkach”. Żaden z nich nie chciał pracować na regularnych liniach, dlatego też zdecydowali się na miejsce pracy przypominające im trochę lata spędzone w wojsku - nigdy nie wiedzieli, gdzie będą musieli lecieć następnym razem.

Obecne zlecenie było jednak nieco dziwniejsze od wszystkich poprzednich. Po pierwsze, zawsze latali w towarzystwie stewardes zajmujących się pasażerami. Po drugie, powiedziano im, że z lotniska Salisbury w Marylandzie mają polecieć do hiszpańskiej Malagi, toteż w Baltimore zatankowali do pełna, Dawson wprowadził do programu nawigacyjnego cel i początek podróży, po czym odczytał, że 3.250 mil morskich przy wietrze o prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pokonają na wysokości 11.250 metrów w niecałe siedem godzin. Jednakże tuż przed odlotem start przeniesiono do Marylandu na lotnisko nie figurujące nawet na mapach. Bergh szybko przejrzał przewodniki Jeppesen Airway i udało mu się odnaleźć lotnisko Pomonkey, które, jak się okazało, posiada półtorakilometrowy pas z nawierzchnią tłuczniową. Gdy pokazał to Dawsonowi, ten zwrócił uwagę na ostrzeżenie: „Uwaga, po placu manewrowym mogą wałęsać się psy”.

Spojrzeli po sobie.

- Wałęsające się psy?

- Hau, hau - zaszczekał Bergh.

Byli kiedyś pilotami myśliwców. Wzruszyli więc tylko ramionami i polecili do Pomonkey.

Zaskoczyła ich trumna, jednak pasowała do ładowni zaprojektowanej do przewozu przede wszystkim walizek. Dawson z zasady godził się na przewóz wszystkiego z wyjątkiem broni i

narkotyków. Urzędnik celny uspokoił jego obawy i oszczędził mu zadawania pasażerom kłopotliwych pytań. Poza tym klienci naprawdę wyglądali na kondukt pogrzebowy, toteż obydwa piloci ukryli swe kpiarskie charaktery pod maskami powagi i polecili w kierunku Hiszpanii.

Kobieta była bardzo uprzejma, rzeczowa i piękna. Przypominała Dawsonowi kobiety na stanowiskach oficerów w Marynarce, kobiety potrafiące odnaleźć się w środowiskach zdominowanych przez mężczyzn. Tuż po starcie przysłała do kabiny pilotów i wydała kuriozalne polecenia. On i Bergh mieli zdjąć słuchawki i słuchać rozkazów płynących z głośnika zainstalowanego w kabinie, a odpowiadać do mikrofonu na tablicy przyrządów. Wszystkie komunikaty z zewnątrz miały być przełączane na słuchawki w kabinie jadalnej, natomiast z uwagi na chorobę jednej z pasażerek piloci zostali uprzejmie poproszeni o uprzedzenie, jeśli będą chcieli skorzystać z toalety. Jeszcze jeden z tych rozkosznych lotów, pomyśleli.

Po wyjściu pasażerki wymienili się spojrzeniami. Bergh przewrócił oczami, dając do zrozumienia, że trafił im się kolejny zwariowany klient. Przez ułamek sekundy zaświeciła mu w głowie myśl o porwaniu, lecz szybko doszedł do wniosku, że nie ma sensu uprowadzanie samolotu, jeśli lecą nim sami swoi. Tamta kobieta nie musiała ich do niczego zmuszać, bo przecież i tak to ona wydawała polecenia, a oni lecieli tam, gdzie sobie zażyczyła. W szarych oczach Dawsona, wokół których nie było jeszcze zmarszczek, pojawiło się to samo lekceważące nastawienie, dzięki któremu z trudem można było określić jego wiek. Już miał rzucić uwagę o „Kobiecie Batmana”, gdy klientka pojawiła się ponownie, tym razem w towarzystwie śniadoskórego mężczyzny. Ten ponurak usiadł na fotelu dla stewardesy, założył ręce na piersi i nadzorował ich czynności. Przez sześć godzin nie ruszył się ze swego miejsca, nie wychodził nawet do łazienki.

Po jakichś dwóch godzinach lotu nad Atlantykiem Dawson spróbował wciągnąć go w rozmowę. Uwielbiał *Falcona 900* i chętnie prezentował go pasażerom, jednak wiedział o pewnej drobnej wadzie tego akurat modelu. Wada ta niezawodnie potrafiła rozśmieszyć każdego klienta. System automatycznych ostrzeżeń został zaprogramowany przez lekko sepleniącego konstruktora. Tak więc po naciśnięciu klawisza umożliwiającego wypróbowanie ostrzeżeń odzywał się lekko przetworzony głos programisty. I zamiast *Don't sink!* „Nie obniżać pułapu” słyhać było *Don't think!* „Nie myśleć”. Przy każdym ręcznym włączeniu tej funkcji klienci wybuchali śmiechem. Jednak ten facet nawet nie drgnął.

W wejściu do kabiny pilotów pojawiła się Martina. Stała bokiem i wyjrzała przez szerokie okno.

- Jak przebiega lot, panowie?

Dawson odwrócił głowę. Pasażerka mówiła niskim, pełnym głosem z odrobiną ostrego, francuskiego akcentu. Czarne włosy zasłaniały większą część twarzy.

- Wszystko w porządku - odpowiedział. Dziwił go trochę krzyk drugiej z kobiet na pokładzie, poza tym zauważył, że prowadzono ją do łazienki. - Co z tą młodą damą?

- Nic jej nie będzie. - Martina nie przestawała wyglądać przez okno. - To tylko choroba lokomocyjna. Miała koszmary senne.

- Przykro mi - mówił Dawson - ale będziemy nabierać wysokości i znów może zacząć trząść. To ona została wdową?

- Tak.

- Co za strata. - Pokręcił głową. - Młody?

- Tak. Wylew krwi do mózgu - odparła Martina. Mussa zmienił pozycję na fotelu.

- Rany - odezwał się ze współczuciem Chip Bergh.

Martina przyłożyła dłoń do ust i Dawson dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ona pali papierosa.

- Proszę pani, jestem zmuszony poprosić o niepalenie w kabinie pilotów - powiedział

nieśmiało.

Martina spojrzała na niego pustymi, błękitnymi oczami, aż poczuł ukłucie w dolnej części brzucha.

- Niech pan prosi - powiedziała spokojnie.

- Proszę nie palić w kabinie - rzekł z pełną świadomością, że Jetstar słono za to zapłaci.

Uśmiechnęła się samymi ustami. Nie pokazała zębów, jej oczy nie zmieniły wyrazu. Potem odwróciła się, podeszła do umywalki i w nieskazitelnie czystym zlewie dogasiła papierosa, a następnie wróciła do swej poprzedniej pozycji.

- Nieopatrzne upuszczenie papierosa może spowodować, że piloci będą musieli wykonywać w ogniu poważne czynności związane z lotem - wyrecytowała tonem inspektora kontroli lotniczej.

- Zgadza się - rzekł Dawson. - Cieszę się, że pani to rozumie.

- Ale lecimy z włączonym autopilotem. Mam rację?

Rzeczywiście samolot sunął z gracją przed siebie, chociaż urządzeń nawet nie dotykała ludzka ręka. Od samego Marylandu komputery Honeywell FMS nadzorowały lot zgodnie z planem. Piloci obserwowali tylko monitor nawigacyjny i zegarowe wskaźniki wysokości, ciśnienia, paliwa, pogody oraz prędkości. Kontrolę nad maszyną musieli przejmować podczas trudniejszych manewrów oraz pół godziny przed lądowaniem.

- Tak - przyznał Dawson. Z niewytłumaczalnych powodów czuł zaniepokojenie. - Technika idzie naprzód.

- Gdzie jesteście? - zapytała Martina.

- Jakies sto mil od Gibraltaru - odrzekł Chip Berg. Nie patrzył na pasażerkę. Zastanawiał się, czy Dawsona też przyprawia ona o dreszcze na plecach.

- Zmieniamy kurs - powiedziała.

- Słucham? - zapytał Dawson, pochylając głowę, jakby miał przytępiony słuch.

- Zmieniamy kurs - powtórzyła. - Nie lecimy do Malagi.

- Nie lecimy - potwierdził pilot.

- Kierujemy się na Oran - oznajmiła Martina.

Bergh spojrzał na Dawsona, brwi zeszyły mu się nad nosem.

- To miasto w Algierii - wyjaśniła. - Na północnym wybrzeżu.

- Czy mamy zawiadomić Malagę? - zapytał Dawson, chociaż przepisy wcale tego nie wymagają. Nie był to lot liniowy i na pasażerów nie czekali na lotnisku zaniepokojeni krewni.

- Nie - powiedziała Martina. - Chyba że czekają na was w domu żony. Piloci przemilczeli tę uwagę. Nie od razu też wzięli się za zmianę kursu. Martina weszła do środka kabiny, a Mussa zabrał nogi, żeby zrobić jej miejsce.

- Panowie - powiedziała władcym tonem, wskazując palcem na poziomą konsolę pomiędzy fotelami pilotów. - Czy ja mam to za was zrobić? - Skinęła na klawiaturę Honeywella. - Po prostu wprowadźcie nowy cel, podajcie pozycję, wciśnijcie AP, żeby uruchomić autopilota, potem NAV, żeby rozpocząć nawigację, a ta wspaniała maszynka odwali za was całą resztę.

Na twarzy Joe Dowsona pojawił się purpurowy kolor, na jaki potrafiły się zdobyć tylko jego nastoletnie dzieci. Musiał bardzo się starać, żeby zachować spokojny głos.

- Widzę, że zna się pani na lataniu.

- To moje hobby - powiedziała Martina i wyprostowała plecy. - Oran znajduje się niemal dokładnie na zachód od Gibraltaru. Wystarczy niewielka poprawka. Przelecimy dodatkowo tylko dwieście czterdzieści mil morskich.

- Będziemy potrzebowali zezwolenia na lądowanie - rzekł Dawson.

- Nie. Właściwie nie będziemy lądować tam, tylko jakies czterdzieści mil wcześniej skręcicie w prawo i polecimy na małą wycieczkę.

- Dokąd dokładnie? - Spojrzał na pięść Bergha zaciśniętą na kolanie. W Jetstar pracuje

trzynastu pilotów, a akurat oni musieli trafić na Amelię Erhart*. - Dalszy lot na południe będzie wymagał uzupełnienia paliwa.

Nagle Martina zacisnęła mu rękę na ramieniu, pochyliła głowę i uśmiechnęła się. Musiał zaangażować całą siłę woli, żeby jej się nie wyrwać, ale pomyślał, że ona z pewnością należy do kobiet, które lubią kochanków krzyczących w niebogłosy.

- O wprowadzenie nowych poleceń do komputera nie musi się pan troszczyć, panie Dawson. - Jej oddech był przeniknięty kawą i papierosami. - Jeden z moich ludzi rysuje dla was nowy plan lotu. - *Ruh* - zwróciła się do ponurego młodzieńca słowem, którego Dawson nie umiał przypisać do żadnego ze znanych sobie języków.

Mussa wstał i szybkim krokiem wyszedł z kabiny, a jego miejsce zajęła Martina. Założyła nogę na nogę, oparła łokieć na kolanie i, bawiąc się perłami na szyi, przyglądała się pilotom, którzy - tak jak się spodziewała - byli zdenerwowani.

Głośnik został ściszony do minimum, lecz gdy *Falcon* zbliżał się do Morza Śródziemnego, dobiegało coraz więcej szmerów, jak na widowni w broadwayowskim teatrze podczas przedłużającej się przerwy w spektaklu.

Zarówno Dawson jak i Bergh w milczeniu wypełniali instrukcje, chociaż każdy z nich w duchu pragnął wyłączyć autopilota, przejąć stery, wylądować w Maladze i poszukać sobie innej pracy. Może przy doręczaniu przesyłek? Listy i paczki nie mogą człowiekiem pomiatać. Nie po raz pierwszy Dawson żałował, że nie potrafi porozumiewać się z drugim pilotem w jakimś obcym, nie znanym klientowi języku. Z drugiej jednak strony rozumiał, że choćby mamrotali teraz z Berghiem w swahili, to i tak zdenerwowaliby tę kobietę.

W wejściu do kabiny pojawił się Mussa. Wręczył Martinie dwa egzemplarze wydruku z laptopa Nabiła, który na twardym dysku miał zainstalowane oprogramowanie nawigacyjne. Nowy plan lotu składał się z trzech prostych odcinków z określonymi wzajemnie kątami, długościami, czasami przelotu, prędkościami lotu, wymaganą ilością paliwa i minimalną prędkością lotu. Pierwszy z odcinków zaczynał się nad Gibraltarem, a kończył przed Oranem, skąd trasa prowadziła na południe ponad Tlemcen, po czym kończył się drugi odcinek i zaczynał trzeci prowadzący na południowy zachód do miejsca o nazwie Skorpion.

Martina zastanawiała się kilka minut, bezwiednie wachlując się kartkami, jakby potrzebowała odrobiny ochłody.

- Dobra - powiedziała po niemiecku do Mussy. - Przygaś światło w kabinie i każ wszystkim zachowywać czujność.

Mussa pośpieszył wykonać zadanie, natomiast Martina wróciła do wyglądania przez okno. Nie interesowała jej jednak ciemność nocy. Gdyby amerykańskie wojsko namierzyło ich lot, to zaraz koło nich zjawyłyby się myśliwce Marynarki, która ma na Morzu Śródziemnym swoje lotniskowce oraz wsparcie licznych baz wojsk alianckich. Z tyłu jasno oświetlona kabina pasażerska zamieniła się w zalaną purpurą pieczarę. Jeden egzemplarz wydruku Martina wręczyła Dawsonowi.

* Pierwsza kobieta, która w pojedynkę przeleciała przez Atlantyk (1932) i z Hawajów do Kalifornii (1935) [przyp. red.].

- Zejdź na sześć tysięcy metrów - rozkazała niczym dowódca okrętu podwodne go. - Na pierwszym odcinku stopniowo obniżajcie pułap.

Właściwie Dawsonowi i Berghowi ulżyło, że wyręczą komputer Honeywell w kontrolowaniu maszyny. Czuli się lepiej, własnoręcznie panując nad białą gałką przepustnicy, niż bezwolnie obserwując działania bezdusznego urządzenia.

- Nastaw częstotliwość wieży w Oranie - powiedziała Martina. - Jeden jeden siedem koma jeden.

Bergh dostroił nadajnik.

- Mikrofon.

Dawsona kusiło aby zawołać „tak jest, kapitanie”, ale powstrzymał się i w milczeniu podał

mikrofon.

- Oran, Oran! - powiedziała do mikrofonu Martina. - *Ici Vol Nanci Neuf Zero Zero France Jardin.*

Mówiła po francusku z paryskim akcentem, a Dawson pomimo czterech lat nauki tego języka w liceum rozumiał niewiele. Z sympatycznej, niemal wesołej odpowiedzi z wieży w Oranie łatwo można było się domyślić, że pozwolono jej na wlot w przestrzeń powietrzną Algierii.

- *Nanci Neuf. Fin* - powiedziała na zakończenie, a oddając mikrofon Dawsonowi, na moment położyła mu nadgarstek na ramieniu. - Możecie zejść na dwa tysiące metrów.

Schodząc na coraz niższy pułap, piloci zwracali baczniejszą uwagę na działanie silnika, dokładniej też sprawdzali temperaturę i ciśnienie oleju. Jednostka napędowa *Falcona* zawodzi rzadko, lecz lotniczy przesąd głosi, że złe krasnoludki przeszkadzają w najmniej oczekiwanych momentach.

- Następny zakręt też będziemy robili pod pani dyktando? - zapytał Dawson. Nie chciał, aby to pytanie zabrzmiało szyderczo, ale Martina ugodziła w jego poczucie godności.

- Za sarkazm zapłaci pan premią, panie Dawson - stwierdziła. - Proszę trzymać się planu.

Chip Bergh nosił klasyczną kapitańską czapkę z Insygniami Jetstar. Teraz przesunął ją do tyłu, podrapał się po czubku głowy, po czym zdjął czapkę i położył ją przy prawej nodze. Spoglądał wyczekująco na wskaźnik paliwa, aż udało mu się w ujrzeniu na szkiełku odbicie twarzy Martiny. Gdy odwróciła głowę, żeby krzyknąć coś do swoich „żałobników”, szybkim ruchem powiesił czapkę na czerwonej, metalowej osłonie po prawej stronie.

Dawson spojrzał na drugiego pilota, który teraz patrzył tylko niewinnie przed siebie. Na ułamek sekundy kąciaki ust Bergha uniosły się w uśmiechu.

Czerwona obudowa nad kolanem Bergha ochraniała dźwignię z funkcjami nadawczymi zasłoniętymi teraz czapką. W razie wypadku sygnały o niebezpieczeństwie wysyłane są automatycznie. Jednak również sam pilot może przesunąć dźwignię i spowodować regularne wysyłanie bezgłosowych sygnałów na międzynarodowej częstotliwości awaryjnej 121,50 MHz.

Większą część pobytu w wojsku Bergh służył w amerykańskich bazach lotniczych na południu Europy. Nadal miał w pamięci dokładne mapy zarówno tamtego rejonu, jak i Afryki Północnej. Wiedział więc, że kierując się na południe, po minięciu

wybrzeża algierskiego, bardzo szybko dolatuje się do pustyni. A za Beachar nie ma żadnych lotnisk. Kończyło im się paliwo, a silniki odrzutowe *Falcona* były wrażliwe na piasek.

Przez kolejne dziesięć minut Dawson utrzymywał kurs. Dawson pocieszał się myślą, że im szybciej dostarczą na miejsce tych zwariowanych ludzi, tym szybciej będą mogli wrócić do Oranu, zatankować, przespać się i o świcie wyruszyć do rodzinnego Baltimore. A jeśli ekscesy tej kobiety doprowadzą do całkowitego opróżnienia zbiorników, sama będzie musiała wyciągnąć kartę płatniczą i pokryć koszty paliwa.

Rozciągające się pod nimi północnoafrykańskie wybrzeże spowijały zimowe, śródziemnomorskie chmury, zasłaniając miejskie światła niemrawo próbujące przebić się przez to kłębowisko. *Falconem* zaczęło porządnie trząść. Dawson słyszał, że w kabinie pasażerskiej spada i toczy się po podłodze puszcza z napojem. Na kobiecie siedzącej w fotelu za ich plecami turbulencje nie wywierały wrażenia. Nie zapięła pasa, nie zamierzała też stosować się do żadnych zaleceń. Dawson odnosił wrażenie, że choćby wykonywali w powietrzu becзки, ona siedziałaby tylko i uśmiechała się jak naćpany narkoman.

Pięć mil morskich przed Oranem Dawson wykonał ostry skręt o dziewięćdziesiąt sześć stopni i znalazł się na nowym odcinku trasy. Kobieta zabrała się do dzieła.

- Świetnie - powiedziała. - Teraz, jak widać na planie, do kolejnego punktu zwrotnego pozostały jeszcze dwa czterdzieści dwa koma cztery mil morskich. - Wstała ze swego miejsca i kucnęła między fotelami pilotów. - Przy obecnej prędkości powinniście pokonać ten odcinek

w niecałe pół godziny.

- Powinna pani zapiąć pas - rzekł Chip Bergh. - Przy przelocie przez chmury będzie jeszcze bardziej rzucać.

- Nie potrzebuję opieki. Proszę się zająć pilotowaniem.

A żebyś tak wyleciała przez to cholerne okno, pomyślał, ale skinął głową jak manekin.

- Pod koniec tego odcinka trasy musicie zejść na tysiąc metrów - poinstruowała Martina.

Czujnym wzrokiem spojrzała na urządzenia nawigacyjne i sprawdziła czy wszystko przebiega zgodnie z planem. Jeśli nie liczyć weteranów z Wietnamu, Dawson znał niewielu ludzi, którzy potrafiliby tak długo przetrwać w pozycji kucznej. Na okrytej ciemnością pustyni, pod skłębionymi chmurami, Dawson ujrzał oczyma duszy kroczącą po piasku kobietę ubraną w szaty Lawrence'a z Arabii i białe nakrycie głowy. W połowie ostatniego odcinka uniosła się na chwilę i krzyknęła w głąb kabiny pasażerskiej w języku, który wydał się Dawsonowi jakąś odmianą arabskiego. Ktoś podał jej czarną torebkę i z powrotem przyjęła swą małą kobiecą pozycję, a pierwszy pilot zastanawiał się, czy zamierza przypudrować sobie nos; potem zaczął zgadywać, jaką nosi bieliznę - o ile w ogóle nosi.

Do utrzymania kursu podczas drugiej połowy tego odcinka potrzebne były wszystkie cztery ręce pilotów. Boczne wiatry próbowały zepchnąć ich na południowy wschód. W innych przypadkach podczas przewozu bogatych pasażerów przy takich turbulencjach zawsze podnoszą się krzyki. Teraz z zaciemnionego kadłuba nie słychać było nawet szeptów. Z uwagi na rozciągające się pod nimi jałowe tereny para

była gęsta jak zupa małżowa, więc piloci kierowali się wskazaniem przyrządów w nadziei, że komputerowy spec od nawigacji nie zapomni o jakimś skalistym szczycie. Nagle rozległo się stukanie w przednią szybę i Dawson natychmiast sięgnął do włącznika wycieraczek, ale powstrzymała go dłoń Bergha.

- Joe, to piasek.

- Jezu Chryste.

- Wiatr podnosi go z pustyni.

- Fatalnie. Trzeba założyć filtry na wloty.

- Spokojnie, panie Dawson - powiedziała Martina. - Za trzysta metrów wylecimy" z tego piasku.

Dawson zacisnął pięści i to wcale nie z gniewu, lecz ze strachu. Chętnie poderwałby teraz maszynę i spowodował, żeby ta kobieta poleciała do tyłu i uderzyła głową w grodz.

Ale ona i tym razem miała rację. Nagle wydostali się z chmur i chociaż piasek nadal stukał o szybę, a wiatr wcale nie zelżał, ujrzeni pod sobą ziemię. Po prawej stronie postrzępione grzbiety pasma górskiego najpierw oddalały się, a potem powracały, tworząc kształt przypominający ogromnego, przypalonego banana. Na lewo ciągnęła się w nieskończoność owalna niecka upstrzona brązowymi falami. Pustkowie z tej wysokości wyglądało na nieszkodliwe, ale cienie świadczyły o tym, że wydmy są ogromne.

U stóp pasma górskiego biegła wąska czarna linia znikająca w oddali. Na całym widocznym pod spodem terenie dostrzegli co najwyżej pięć oświetlonych miejsc. Mogły to być miasteczka, hotele albo - co najbardziej prawdopodobne - ogniska Beduinów.

- Wejdźcie w skręt - rozkazała Martina.

Falcon delikatnie pochylił się w prawo, zmienił kurs o czterdzieści pięć stopni i znalazł się na ostatnim odcinku.

- Do lądowiska pozostało sześćdziesiąt jeden mil - mówiła. - Można z powrotem dodać ciągu.

- Nie potrzebuję opieki - odburknął Dawson, nie mogąc już dłużej się opanować. Ku jego zdziwieniu, kobieta parsknęła śmiechem.

- Remis - powiedziała. - Proszę nastawić częstotliwość jeden jeden jeden koma dwa.

Dawson podał jej mikrofon. Zaczęła coś mówić, tym razem po arabsku, a on wyciągał

szyję w poszukiwaniu świateł pasa startowego. Nie widział nic, tylko czarną wstążkę pomiędzy górami a wydmami.

- Gdzie jest ten cholerny pas? - Zaczynał mieć już gdzieś dbałość o wizerunek firmy Jetstar.

- Za minutę go zobaczymy - powiedziała Martina. - Z podejściem nie będzie żadnych kłopotów. Ale fowlery się przydadzą.

Dawson odwrócił głowę i dokładniej przyjrzał się pasażerce. Odrzutowiec *Falcon* został wyposażony w dodatkowe klapki zwane fowlerami, podnoszone tylko w warunkach zmuszających do nadzwyczaj krótkiego lądowania.

- Jak długi jest pas? - zapytał ostro.

- Wystarczająco długi.

- To nie jest lotnisko?

- Nie w pańskim pojmowaniu tego słowa.

- Nie ma wieży?

- Jest dwupasmowa tafla. Idealna pod względem szerokości, prosta i można na niej spokojnie wylądować - powiedziała.

Jeszcze chwilę nie odrywał od niej wzroku, a potem odwrócił się do swoich przyrządów. Po minie można było poznać, że podejmuje ważną decyzję. Spojrzał na Bergha i delikatne skinienie głowy drugiego pilota utwierdziło go w postanowieniu.

- Nie zrobię tego, proszę pani - powiedział.

- Nie robi pan? - Sprawiała wrażenie szczerze zdumionej.

- Nie - powtórzył ze stanowczością w głosie. - Żadnego z tych manewrów nie zgłaszała pani w Jetstar. - A potem dodał tonem służącego: - Tego nie ma w umowie.

- Rozumiem - powiedziała w zamyśleniu Martina. - A zatem dobrze. Będzie pan tak uprzejmy i podgłośni mnie?

Bergh odwrócił się do głośnika na kokpicie. Uśmiechał się. Wygrali. Dawson ostrożnie skręcił w lewo. Kierowali się z powrotem na północ.

- Skorpion - mówiła Martina. - Tu Śmierdziel. Jeśli mnie słyszysz, odpowiedz po angielsku. Odbiór.

- Śmierdziel, tu Skorpion - padła odpowiedź poprzez szumy w eterze. - Słyszę cię głośno i wyraźnie. Odbiór.

- Skorpion, powiedz mi, czy znasz samolot *Falcon 900*? - zapytała natychmiast.

- O tak, proszę pani - odpowiedział z entuzjazmem głos.

O tak, proszę pani, Dawson w milczeniu zacisnął wargi. Miał już szczerze dosyć tej zabawy.

- A zatem - kontynuowała Martina - jeśli zabiję pilotów, dam radę samodzielnie wylądować?

- Z całą pewnością, proszę pani. Ta maszyna ląduje praktycznie sama. Zarówno Bergh jak i Dawson lekko odwrócili głowy, najpierw opadły im szczęki,

a potem mocno zacisnęli zęby. Martina zdjęła perukę. Piloci ujrzeli tę samą kamienną twarz, lecz tym razem w otoczce krótko ostrzyżonych blond włosów. Kobieta trzymała w dłoni pistolet.

- Kurwa mać - prychnął Bergh i z powrotem zajął się przyrządami. Dawson nie spuszczał wzroku z pasażerki.

- Pani postradała zmysły - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Z całą pewnością - zgodziła się Martina lodowatym głosem. - I mam polisę ubezpieczeniową obejmującą także katastrofy lotnicze. Z równą łatwością mogę cię pocałować co zastrzelić. I wybrałabym to drugie.

Dawson jej uwierzył.

- Za takie gównno nam nie płacą - powiedział, wracając do obsługi samolotu.

- A teraz kontynuuj ten manewr - mówiła - aż zatoczysz pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. I uważaj, bo mamy mało paliwa.

Za niecałą minutę wrócili na pierwotny kurs.

- Odbij w lewo i trzymaj się drogi - poleciła, gdy znaleźli się na wysokości sześciuset metrów.

Dawson posłuchał wskazówki. Księżyc świecił jasno, ale i tak było za mało światła, żeby lądować. Nie myślał już o drinku w hotelu i miękkim materacu. Teraz starał się tylko zachować panowanie nad sobą i maszyną.

- A co z samochodami?

- Na drodze nie ma ruchu.

- Potrzebne jest nam oświetlenie.

- Nie wydziwiaj, Dawson. Zmniejsz prędkość i wysuń podwozie. Koła wysunęły się.

- Nie włączać świateł pozycyjnych - rozkazała Martina. Bergh wzruszył ramionami i zabrał rękę od włącznika świateł na skrzydłach.

Martina powiedziała coś po arabsku do mikrofonu. Po chwili, jakieś tysiąc metrów przed nimi, drogę zalało żółte światło dwudziestu latarni lotniskowych.

- No, teraz to jakoś wygląda - szepnął Dawson, a Bergh rozpaczliwie starał się utrzymać *Falcona* w linii prostej. Kiedy z całych sił zaciskali dłonie na drążkach, Bergh szybkim ruchem włączył urządzenie radiolokacyjne. Dawson był zbyt zajęty, żeby to zauważyć. On miał już dosyć lądowania na lotniskowcach i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Znaleźli się poniżej szczytów gór rozciągających się po prawej stronie, mijali zbocza, pęd powietrza próbował podbijać lewe skrzydło. Dawali sobie z tym radę, ignorując wiązki piasku wijące się po powierzchni drogi i opuszczali *Falcona*. Lądowanie zapowiadało się gorąco, nie wiedzieli, ile mają przed sobą miejsca, choć gdyby wylądowali od razu, na wyhamowanie potrzebowaliby jeszcze jakichś tysiąca trzystu metrów.

Droga nie była płaska. Boki nawierzchni chyliły się ku dołowi, więc Dawson skorygował lot, aby koła okrakiem objęły wybrzuszenie. Trzymał nos uniesiony, aż już absolutnie konieczne było opuszczenie na smaganą wiatrem powierzchnię tłuczniową. Silniki zaczęły pracować w rewersie, kadłub wydał z siebie taki dźwięk, jakby ktoś rzucił w niego małymi kamieniami. Przy wtórze piasku stukającego o szybę piloci lekko wciskali hamulce aż do chwili pojawienia się ostatniej latarni, przy której w końcu zahamowali z całej siły. *Falcon* z piskiem opon zatrzymał się, chociaż zarzuciło go trochę na lewo. Obłok kurzu opadł na skrzydła.

Cisza. Nikt z tyłu nie bił im braw.

Dawson i Bergh siedzieli nieruchomo, aż w końcu odetchnęli głęboko przez nadal zaciśnięte zęby.

- Bardzo ładnie - powiedziała Martina takim tonem, jakby zwracała się do dwóch studentów, którzy miło ją zaskoczyli.

- I co teraz? - mruknął Dawson.

Nie odpowiedziała, tylko wskazała palcem do przodu.

Za wysokiej wydmy wjechała na drogę furgonetka i ustawiła przedni zderzak przodem do *Falcona*. Na tylnym fotelu odkrytego wozu siedział mężczyzna w ciemnej kurtce. Na głowie miał czarną kafiję, której jeden róg był zaciągnięty na twarz. Na kolanach trzymał *Kalasznikowa*.

Na tylnej części furgonetki znajdowała się przymocowana spora tablica z drewnianej sklejki pomalowanej na biało z dużym, czarnym napisem po angielsku: JEDŹ ZA MNĄ.

Pomagali Ruth przy zejściu po trapie *Falcona*. Narkotyk obecny w żyłach, brak jedzenia i dodatkowa porcja adrenaliny wydzielona podczas lądowania znacznie osłabiły mięśnie jej nóg. Zniecierpliwiony jej niezdarnością Youssef wrócił do trapu, wziął ją pod pachy i

zestawił na ziemię jak dziecko.

W kabinie odrzutowca panowała ciemność, jednak bezkresne przestrzenie Sahary były jeszcze ciemniejsze. Księżyc zniknął za kłębamii chmur nad wybrzeżem i znikąd nie było widać światła zapalonych przez człowieka. Ruth błędziła na oślep, co przypominało jej pływanie o północy w wodzie nieoświetlonego basenu.

Jednak pustynię potrafiła poznać po zapachu. Zgasły silniki odrzutowca, a zimny suchy wiatr rozwiewał spaliny, które mieszały się z ledwie wyczuwalnym, lecz stale obecnym, zapachem suchych skał i wypalonych krzewów cierniowych. Spokoju pustynnej nocy nie da się porównać z niczym innym w naturze, ponieważ nie szeleszczą tu liście i nie brzęczą owady. A jeśli już słyhać jakiś ślizg, to wówczas gdy wąż dotarł już do twoich stóp.

Ruth nie miała pojęcia, na której spośród tysięcy pustyni się znajduje. Pewna była tylko tego, że to nie Negew.

Ruszyła przed siebie, gdy usłyszała wciąganie trapu do samolotu. Piloci nie zostali wyprowadzeni, ale Ruth sądziła, że należą do „załogi” Martiny. Po lądowaniu samolot dłuższy czas kołował po piasku ubitym szpadlami i łopatami. Tutaj jednak, na skraju wyschniętego terenu, piasek był już bardziej sypki i grząski. Ruth usłyszała dźwięk zapinanej klamry, a potem pisk obracanego kołowrotka. Samolot znów się poruszył, kamienie chrzęściły pod oponami podtrzymującymi ciężki, ogromny kadłub przypominający wyrzuconego na plażę martwego wieloryba.

- Oczyszczyć wloty i założyć na nie siatki.

Ruth odwróciła się na dźwięk głosu w języku niemieckim. Widziała coraz lepiej. Stała u wylotu szerokiego wąwozu otoczonego wydmami wielkości parterowego domu. Gładki teren wewnątrz wąwozu dorównywał powierzchnię boisku piłkarskiemu. Po drugiej stronie u podnóża gór znajdował się rząd wystających nad powierzchnię kopców przypominających świeże groby. Każdy z kopców miał niewielką, metalową pokrywę w kształcie stożka porównywalnego z chińskimi kapeluszami. Ruth zwróciła uwagę na postać Martiny sunącą po ubitym piasku.

Zadrżała. Pomimo południowych upałów, żadna pustynia nie utrzymuje temperatury zbyt długo po zachodzie słońca. Zimą skoki temperatur bywają tak niebezpieczne, że mogą spowodować trwałą hipotermię lub śmierć na skutek ataku serca. Youssef puścił na chwilę Ruth, zdjął garniturową marynarkę i okrył jej ramiona. Potem złapał ją z powrotem jeszcze mocniej niż poprzednio, więc nie miała złudzeń co do uprzejmości porywaczy.

Po drugiej stronie wąwozu ujrzała poruszające się zdecydowanym krokiem sylwetki. Z tyłu usłyszała sapnięcie kilku mężczyzn, jak gdyby podnosili jakiś ciężar. Potem przeszli obok niej, niosąc na ramionach długie pudło. Martina ich zatrzymała.

- Zabierzcie to do kanału, połóżcie w samolocie i wyciągnijcie Iyada, przygotujcie mu pogrzeb. Potem uszczelnijcie drzwi, żeby nie dostawał się tam kurz. Wieczorem sprawdzę elektronikę.

Mężczyźni z ciężarem odeszli. Nie poszli w stronę odrzutowca, ale w zupełnie innym kierunku. Czyżby znajdował się tu jeszcze inny samolot? Potem zdała sobie sprawę, że Martina użyła innego słowa. Powiedziała *Hubschrauber*.

- *Willkommen*.

Na twarzy Ruth pojawił się grymas, gdy odwracała głowę w kierunku, z którego dobiegał głos. Spory kawałek od niej stała Martina. Było za ciemno, żeby odczytać wyraz jej twarzy, ale blond włosy wyraźnie odcinały się od ciemności. Miała na sobie pogrzebową suknię. Stała z opuszczonymi, rozluźnionymi rękami. W prawej dłoni trzymała pistolet równie beztrzesko, jakby była to suszarka do włosów.

- Kwatera dla ciebie zaraz będzie przygotowana - powiedziała Martina. Kwatera? Ruth rozejrzała się dokoła. Nie widziała nic, co przypominałoby budynek, barak lub choćby namiot.

- Jesteś nieoczekiwanym gościem - wyjaśniła Martina.

Z jakichś nieokreślonych powodów po tej uwadze Ruth poczuła się lepiej. Działanie tej kobiety trudno było nazwać improwizacją, ale najwyraźniej nie miała w planie jej uprowadzenia. Szybko jednak zgasł błysk nadziei. Jaką bowiem tu i teraz może to dla niej stanowić różnicę?

- Mogę zapytać, gdzie jesteśmy? - Usłyszała swój głos.

- Możesz - powiedziała Martina, chociaż wcale nie czuła się zobligowana do udzielenia odpowiedzi. Odwróciła się i spojrzała w kierunku holowanego *Falcona*, a Ruth podążyła za nią wzrokiem.

W ich stronę zbliżały się sylwetki pięciu ludzi. Dwaj w środku poruszali się niezgrabnie z rękami związanymi przed sobą, a pozostała trójka podtrzymywała ich. Wiatr niósł urywki amerykańskich słów wypowiedzianych w złości. Gdy mężczyźni się zbliżyli, Ruth rozpoznała białe koszule pilotów pod rozpiętymi marynarkami lotniczymi. Wynikało z tego, że jednak nie są ludźmi Martiny.

- Droga pani, przekroczyła pani razem ze swoimi kolesiami wszelkie cholerne granice! - krzyknął Joe Dawson, gdy popchnięto go do przodu i przytrzymano silnymi ramionami.

- Widzę, że na ziemi wykazuje pan więcej odwagi niż w powietrzu, panie Dawson - powiedziała Martina.

Ruth spojrzała na nią, gdy usłyszała w jej głosie wesołą nutkę.

- Niech was szlag trafi! - krzyknął Chip Bergh. Martina roześmiała się.

- I tak macie dużo szczęścia - powiedziała, a potem przeszła na niemiecki. - Riyadh, weź ich na długi spacer na wschód. Co najmniej pięć kilometrów.

Ruth znów odwróciła się twarzą do mężczyzn. Zbiry Martiny były uzbrojone w pistolety maszynowe. Początkowo myślała przez chwilę, że będzie jej raźniej przebywać w niewoli razem z pilotami. Jednak gdy Amerykanie zostali od niej odciągnięci, ze zgrozą wytrzeszczyła oczy. Zabierali ich na egzekucję, a w Ruth zadziały instynkty przetrwania.

- Nie! - krzyknęła, a potem zawyla, gdy poczuła żelazny uścisk dłoni Yousefa. Dawson odwrócił głowę, ale został popchnięty i upadł na kolana. Potem Riyadh

podniósł go na nogi i pluton egzekucyjny podązał dalej w stronę wydm, a pustynny wiatr przynosił echa przekleństw i stóp grzęznących w piasku.

Z powodu bólu w ręce Ruth prawie upadła, szybko jednak Martina złapała ją za przednią część sukienki i z zadziwiającą siłą przyciągnęła do siebie.

- Nie zabijaj ich - błagała Ruth. - Przecież nie musisz. Po co ich zabijasz? Nie rób tego!

Słowa utknęły jej w gardle, gdy Martina odwróciła się i pociągnęła ją za sobą. Chociaż Ruth traciła grunt pod nogami, Martina trzymała ją tak mocno, że w szybkim tempie posuwały się naprzód.

- Nie zostaną zabici - powiedziała terrorystka.

- Błagam cię, nie rób tego! - prosiła Ruth, nie przyjmując do wiadomości oświadczenia Martiny. - Oni mogą mieć rodziców, dzieci, nie wolno ci...

- Powiedziałam, że nie zostaną zabici! - Martina zatrzymała się nagle i zbliżyła twarz do twarzy Ruth, przez co Yousef niemal się przewrócił. - Zostaną wypuszczeni na wolność.

Nie zmieniała pozycji, aż Ruth się rozluźniła. Dziewczyna pociągnęła nosem, a gdy spuściła głowę, Martina z podziwem pomyślała o jej śmiałości.

Martina wzięła Ruth za rękę i żwawym krokiem poprowadziła ją w stronę północ-no-zachodniego krańca wąwozu.

Ruth opadła z sił. Zapasów energii pozbawił ją wybuch emocji i teraz zapadła w odrętwienie. Szła bezwolnie, czując uścisk dłoni Martiny i silnych łap przytrzymujących ją za plecy. Teren przed nimi nagle stał się pochyły. Zeszły do ciemnego rowu, a skromne resztki światła zniknęły teraz całkowicie po minięciu siatki zasłaniającej przejście.

Może i piloci nie zostaną zamordowani z zimną krwią, może nawet rzeczywiście zostaną

wypuszczeni na wolność, jednak na pustyni obydwie te warianty oznaczają to samo.

- Zamarzną na śmierć - wymamrotała Ruth w ostatnim, niemrawym proteście. Do jej uszu dotarł zgrzyt zardzewiałych zawiasów i w dali pojawił się prostokąt światła. Martina wciągnęła Ruth do słabo oświetlonego pomieszczenia, a w jej głosie znów pojawiła się nutka wesołości.

- Moja droga, muszę wytargować jeszcze tylko jedną rzecz - powiedziała.

16

Casablanca

Hans-Dieter Schmidt przechodził swą tysięczną odprawę paszportową.

Jako dyrektor do spraw marketingu koncernu farmaceutycznego z siedzibą w Monachium, przez większą część ostatnich dwudziestu pięciu lat pozostawał poza krajem, zabiegając o zagranicznych klientów i teraz przekraczanie granicy nie powinno wywoływać w nim emocji większych niż wyprawa na miejscową pocztę. Stojąc w ogromnej kolejce zmęczonych i przestępujących z nogi na nogę pasażerów, przybrał pozycję i minę wyrażające kompletny brak zainteresowania. Niezależnie od tego, czy wjeżdżał do Larnaki, Londynu, Sofii czy Sajgonu, do kraju demokratycznego, czy też do państwa, w którym rządziła dyktatura, nauczył się ignorować arogancję aparatczyków z kontroli celnej i świdrujące spojrzenia strażników w butach z wysokimi cholewami. Sprawiał wrażenie spokojnego, nikomu nie wadzącego gościa, toteż rzadko przeszukiwano mu bagaże.

Z tego powodu poranne przybycie na lotnisko Mohammeda V w Casablance nie powinno spowodować większego wydzielania adrenaliny niż przejazd pociągiem z Salzburga do Wiednia, jednakże Schmidt wiedział, że jest to dla niego najważniejsze przekroczenie granicy w życiu i zastanawiał się, czy bijące jak młotem serce może go zdradzić.

Nieskończenie długie korytarze prowadzące do ruchomych schodów pełne były stojących dwójkami ubranych w spodnie koloru khaki strażników granicznych, którzy bacznie lustrowali każdą twarz. Na dole schodów, gdzie kończyła się kolejka rozsierdzonych przybyszów zmierzających do bramek kontroli celnej, z półokrągłego sufitu sterczał gigantyczny złoty obelisk przypominający gilotynę, i chociaż Schmidt niczego nie przemyślał, oczekiwanie na sprawdzenie wizy i prześwietlenie ręcznego bagażu powodowało pojawienie się na czole kropelek potu.

Być może sytuacja ta kojarzyła mu się z dzieciństwem w Dachau, kiedy jego los zależał od łaski oprawców i zawsze starał się znaleźć właściwą odpowiedź na pytanie, które mogli mu zadać. Czytając ponownie pierwszą stronę „France Soir”, coraz bardziej złościł się na biurokrata, który leniwie porównywał twarz ze zdjęciem, a potem sprawdzał informacje w komputerze. Jednak później, gdy miał za sobą już kliknięcie stempla z wizą i zwyczajowe *Bienvenu*, uznał, że jego wzburzenie było całkowicie nieuzasadnione.

Odetchnąwszy z ulgą niczym oswobodzony skazaniec, odebrał walizkę z karuzeli, zmieszał się z tłumem i ruszył prosto do okienka kantoru wymiany walut. Uzbroidł się w pięćset dirhamów, podszedł do informacji i przeglądał broszurki na temat krajów Maghrebu, czekając aż przez odprawę przejdzie Amerykanin wyróżniający się spośród miejscowych. Wysokiego blondyna trudno było nie zauważyć, gdyż Afryka Północna nadal cierpiała z powodu zamierania turystyki wywołanego wojną w Zatoce Perskiej.

Podążając za nim, Schmidt wyszedł szklanymi drzwiami na przyjazne północno-afrykańskie słońce. Amerykanin kiwnął na nastolatka, który zaoferował przeniesienie

bagażu, Niemiec zrobił to samo i w końcu obaj znaleźli się przed rzędem taksówek marki Mercedes.

- Może pojedziemy jedną? - zapytał Amerykanin.

- Czemu nie? - odrzekł Schmidt.

Taksówkarz bez pytania uznał, że chcą dotrzeć do centrum Casablanki i odjechali. Rozmowę zainicjował tęgi Niemiec.

- Bliskowschodnie słońce ogrzeje mi kości - powiedział Benni Baum do szczupłego Amerykanina.

- W porównaniu z nim Nowy Jork to lodówka - rzekł Mikę O'Donovan. Benni pokiwał głową.

- L'hotel „Sheraton”, *s'il vous plait* - powiedział do kierowcy i przez resztę drogi prowadzili konwersację, jaką ucina sobie w sypialni małżeństwo u progu rozwodu.

Samo w sobie pojawienie się Benniego Bauma na marokańskiej ziemi nie niosło ze sobą wielkiego ryzyka. Maroko uznawane było przez Izrael za najmniej konfliktowy ze wszystkich krajów arabskich, który tylko teoretycznie popiera społeczność arabską, a jego gazety niezbyt zdecydowanie opowiadają się za Palestyńskim Kongresem Narodowym. W sali *mitzaim* (sztabowej) w siedzibie głównej Operacji Specjalnych AMAN-u wisiała na ścianie mapa świata z obszarami grożącego izraelskim agentom ryzyka określanego różnymi odcieniami czerwieni. Maroko było ledwie lekko różowe.

Od wielu lat Izrael i Maroko utrzymywały skrywane kontakty. Oddziały Szabaku szkoliły osobistą ochronę króla Hassana, izraelscy doradcy z ramienia Banku Światowego sekundowali ministerstwu finansów, a Itzak Rabin potajemnie odwiedził nawet pałac Hassana przebrany w perukę i ciemne okulary - kostium ten nadal stanowił temat wielu dowcipów w Mossadzie.

Kiedy oddziały Operacji Specjalnych AMAN-u uczą się postępowania na ulicy, najpierw doskonalią się w tym rzemiośle w miastach izraelskich, a potem przenoszą się do europejskich stolic. Wszyscy, którzy wykażą się talentem w śledzeniu, pozbywaniu się „ogona” i rozpływaniu w tłumie, awansują do „nieprzyjacielskich” miast niskiego ryzyka, na przykład do Casablanki i do Tunisu. Jeśli ktoś nie potrafi sobie poradzić w Tangerze, to nie ma czego szukać w Damaszku. Te stosunkowo mało szkodliwe praktyki nie oznaczają oczywiście, że marokańskie Surete Nationale przyjaznym okiem patrzy na działania izraelskich agentów wykonujących misję na ich suwerennym terenie. Dla dobra sprawy, gdy taki agent został już odkryty, trzeba go było ukarać uwięzieniem. Nieszczęśnik mógł oczywiście liczyć na ekstradycję, ale dopiero po odsiedzeniu jakiegoś czasu w cuchnącym więzieniu marokańskim.

Kiedy Eytan Eckstein przez dwa lata był dowódcą sekcji szkoleniowej Operacji Specjalnych, zwrócił się do Benniego Bauma o pomoc w przeszkoleniu trzech drużyn w Casablance. Wówczas obrali sobie za siedzibę hotel „Sheraton” i choć teraz wcale nie byli tam umówieni, pułkownik doskonale wiedział, czego może się spodziewać po swoim majorze...

Jeśli chodzi o Michaela O'Donovana, to w Siłach Specjalnych przeszedł szkolenie wojskowe i kurs obracania się wśród miejscowej ludności na danym terenie, ale rzemiosła wywiadowczego nie uczył się nigdy. Niemniej przez dziesięć lat spędzonych na ulicach Nowego Jorku zdobył więcej doświadczenia niż większość agentów terenowych gromadzi podczas nieregularnych przydziałów do różnych akcji. Mówił

trochę po niemiecku oraz po francusku i, chociaż nie wiedział dokładnie, co Baum i Roselli szykują w Afryce Północnej, chciał być z nimi.

Na miejsce poczucia obowiązku wobec nowojorskiego Departamentu Policji pojawiła się głęboka odpowiedzialność i pragnienie uratowania kobiety, która na krótko zajęła miejsce w jego sercu. Ich chwilowe zjednoczenie ciał i umysłów pozwoliło mu mieć nadzieję na coś więcej i choć w pełni zdawał sobie sprawę, że ten związek może nie wytrzymać nawet krótkiej próby czasu, rozpaczał, jak gdyby Ruth została potrącona przez pirata drogowego. To on pozwolił na to uprowadzenie i nie spocznie, póki nie ujrzy jej jeszcze raz.

Początkowo Baum nie chciał mu pozwolić na udział w misji, ale O'Donovan wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza siedzieć w domu. Zagroził, że będzie go szukał po całym świecie, a jeśli go nie znajdzie, pokrzyżuje mu plany, zwracając się do Jacka Buchanana i podejmując działania z ramienia policji, które nie będą Baumowi na rękę, ale na pewno

odniosą skutek.

- No cóż... - Baum w końcu zmiękł. - Pewnie wkurzony nowojorski gliniarz też na coś się przyda.

Art Roselli w błyskawicznym tempie wyposażył O'Donovana w nowy paszport i inne dokumenty na nazwisko Michaela Connolly'ego, doradcy prawnego z Nowego Jorku, specjalizującego się w podejmowaniu wspólnych przedsięwzięć farmaceutycznych. Postarał się również o zaświadczenie lekarskie zabraniające na trzydzieści dni udziału w jakichkolwiek działaniach policyjnych i zostało ono dostarczone jego pani porucznik. Szefowa natychmiast zadzwoniła do O'Donovana, ale odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka.

Ogólnie Casablanka niewiele zmieniła się od ostatniego pobytu Bauma, nadal najpierw rzucały się w oczy duże arabskie budowle miejskie i białe śródziemnomorskie fasady. Pomiędzy nimi kiełkowały nieliczne nowoczesne wieżowce biurowe; bulwary we francuskim stylu wiodły w kierunku Azemmour i Rabatu, a znajdujące się na nich palmy rosły dziko bez opieki ogrodnika. Lecz całe miasto nadal przypominało nieśmiertelną wdowę po kapitanie statku, która coraz bardziej przybliżyła się do morza. Pachniało słoń bryzą, spalinami i suszonymi na słońcu sieciami rybackimi.

Chociaż większość krajów Maghrebu skłaniała się ku tradycyjnym zwyczajom muzułmańskim, to wydawało się, że Maroko będące przedsiönkiem Półwyspu Iberyjskiego dla dobra handlu dostało od imamów dyspensę. Rozkwitająca Casablanka afiszowała się swoją schizofrenią. Górujący nad miastem meczet Hassana H stanowił dowód liczonego w miliardach dolarów oddania monarsze i Allachowi, natomiast koszerne restauracje gromadziły klientów, którzy nie musieli już dłużej obawiać się żadnych represji. Owszem, niektóre muzułmanki chodziły nadal w tradycyjnych zasłonach na twarzy, ale wiele z nich wybierało galabije w tęczy kolorach lub chodziło całkowicie bez nakrycia głowy, a nie należały do rzadkości kobiety w zachodnich kostiumach z nieskromnymi spódnicami. W przeciwieństwie do Teheranu, nie działała tu policja religijna, która ma prawo zastrzelić kobietę ze szminką na ustach lub cieniami na powiekach.

Na rogu alei Forces Armees Royales i ulicy Colberta O'Donovan i Baum weszli do ciemnego holu hotelu „Sheraton”. Był już późny poranek i w barze serwującym kanapki oraz kawę zbierali się biznesmeni. Woda fontanny pluskała i bulgotała, piski

papug mieszały się z płynącym przez głośniki jazzem, przez co całe pomieszczenie sprawiało wrażenie skrzyżowania sali tanecznej z karaibskim zoo.

Baum i O'Donovan poszli na drugi koniec holu do kontuaru recepcyjnego z kamiennym blatem sięgającym do piersi, za którym stali mężczyzna i kobieta w niebieskich uniformach. Goście wypełnili formularze rejestracyjne, a Baum miał zapłacić złotą kartą Visa na nazwisko Schmidt z konta założonego we Frankfurcie. O'Donovan z zainteresowaniem przyglądał się krzątaniu panującej w hotelu, natomiast Benni starał się nie spoglądać w stronę sklepienia z pamiątkami. Tam wisiała na ścianie skrzynka pocztowa, do której wrzucał list wyglądający po europejsku mężczyzna w czarnych dżinsach i amerykańskiej kurtce lotniczej. Ciemnoblonde włosy miał spięte w kitkę.

Recepcjonista podał Benniemu dwa plastikowe klucze do pokoju.

- Siedemset jedenaście, *Herr Schmidt* - powiedział recepcjonista.

- My palimy papierosy - ostrzegł Benni.

- Tak jak większość naszych gości. - Recepcjonista uśmiechnął się szeroko. - Maroko to jeszcze cywilizowany kraj.

- *Merci beaucoup.*

- *Avec plaisir.*

Młody portier zabrał ich bagaże, ale gdy całą trójką zbliżyli się do wind, Benni wręczył mu dwadzieścia dirhamów i powiedział po francusku:

- Dziękujemy, przyda nam się trochę ćwiczeń. Chłopak wycofał się z dłonią przyłożoną do piersi.

Do windy wsiadł także Eytan Eckstein, ale, nawet nie patrząc na Benniego, stanął z tyłu kabiny przy lustrze. O'Donovan spojrzął na odbicie spalonej słońcem twarzy pozbawionej wyrazu i okularów słonecznych kryjących oczy. Wiedział, że Baum ma zamiar spotkać się tutaj z oficerem AMAN-u, ale ten człowiek nie wyglądał na majora. Przypominał raczej niemieckiego terrorystę lub w najlepszym razie szwedzkiego perkusistę rock and rollowego.

Benni i O'Donovan wysiedli na siódmym piętrze, a gdy doszli do numeru 718, Benni zatrzymał się przy drzwiach i wsuwał plastikową kartę, natomiast Amerykanin odwrócił głowę i nagle ogarnęło go napięcie.

Szybkim krokiem nadchodził mężczyzna z windy. O'Donovan rzucił Benniemu ostrzegawcze spojrzenie. Jednak Baum tylko od niechcenia mruknął:

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej wilgoci jak w Tangerze.

Gdy otworzył drzwi, chwycił Amerykanina za łokieć i ostrym ruchem wciągnął do środka. Mężczyzna z kitką wszedł za nimi. Kopnięciem nogi Benni zamknął drzwi, a kiedy padli sobie z intruzem w ramiona, napięcie opadło.

Baum i Eckstein uściskali się bez słowa, po czym Benni podszedł prosto do telewizora stojącego na połyskującym stoliku.

- Całkiem tu w porządku - powiedział, nie rozglądając się po pokoju. Włączył telewizor, wybrał europejski kanał muzyczny i w hotelowym pomieszczeniu zabrzmiał „Sledge Hammer” Petera Gabriela.

- Łóżka też wyglądają na wygodne. Co o tym myślisz, Michael?

- Tak - rzekł detektyw, pojmując w końcu o co chodzi. - Zupełnie przyzwyczajcie. Eckstein nie miał pojęcia, kim może być ten wkurzony Amerykanin, ale był

podwładnym Benniego, a pułkownik Baum nie po raz pierwszy pojawiał się na

spotkaniu w towarzystwie *toméh* - jest to określenie oddziału Operacji Specjalnych na obcokrajowca będącego lojalnym współpracownikiem. Eckstein zdjął okulary, podszedł z uśmiechem do O'Donovana, pokazał palcem, żeby nic nie mówił, a potem gestem ręki zaprosił go do zajęcia miejsca na jednym z dwuosobowych łóżek. O'Donovan wzruszył ramionami i usiadł. Pomimo doświadczenia w nowojorskiej policji czuł się teraz jak dzieciak podczas pierwszego dnia w liceum.

Przedstawienie trwało nadal - Baum i Eckstein poruszali się w szybkim tempie, jak gdyby powtarzali wyuczone role grane stale podczas teatralnego tournée. Ich zachowanie przypominało O'Donovanowi rekonesans na miejscu przestępstwa.

Właściwie żaden z Izraelczyków nie sądził, aby marokański Mukhabarat wykazywał aż tyle zainteresowania ich działalnością, jednak w Casablance grasują także różne inne agencje, a Martina Klump z całą pewnością nie czerpie funduszy na swą działalność z zysków restauracji McDonald's. Ktoś musi za nią stać i niezależnie od tego, czy jest to rząd syryjski, iracki czy libijski, może jej zapewniać doskonałe wsparcie techniczne. Tak więc obydwaj profesjonaliści z nawyku prowadzili poszukiwania, jak piloci sprawdzający samolot przed startem.

Benni zaczął od zasunięcia zasłon na szerokim oknie, a potem wyjął z kontaktu wtyczki wszystkich lamp, przez co w pokoju zapanował półmrok rozjaśniony jedynie wpadającym z korytarza światłem oszczędnej żarówki.

Pomimo popularnej opinii o możliwościach nowoczesnej techniki w zakresie miniaturyzacji i o istnieniu pokojowych pluskiew na wieczne baterie, większość działa jeszcze na normalny prąd elektryczny i jest ukrywana w zwyczajnych urządzeniach. Toteż wyciągnięcie wtyczek z kontaktów w pewnej mierze redukuje ryzyko. Inna popularna opinia głosi, że zasilane prądem mikrofony bywają chowane wewnątrz gniazdek za plastikową osłoną. Benni nie miał zamiaru odkręcać wszystkich kontaktów, więc podszedł do walizki i

wyciągnął ze środka celofanowy pakietek. Nie było nic dziwnego w tym, że handlowiec w średnim wieku wozi ze sobą zapas wkładek korekcyjnych do butów. Teraz ściągał osłonkę po kolei z każdej wkładki i delikatnie naklejał je na gniazdko.

Eckstein wyszedł z łazienki, gdzie puścił prysznic, a potem ręcznie sprawdził oświetlenie, rury i miejsca za zlewem, bidetem oraz muszlą klozetową. Beztroscy agenci często sądzą, że zamknięta łazienka stanowi bezpieczne miejsce do dyskusji, toteż miejsce to często bywa znakomitym punktem do zainstalowania urządzeń podsłuchowych. Poszukiwania Ecksteina mogły być tylko pobieżne, więc żeby wyeliminować ryzyko, odkręcił wodę, wyszedł z łazienki i zamknął za sobą drzwi.

O'Donovan obserwował Bauma i Ecksteina lustrujących pokój. Obydwaj żalowali, że nie przemycili ze sobą podręcznego wykrywacza, który znacznie oszczędziłby im wysiłków. Na wyposażeniu AMAN-u znajduje się bardzo wyrafinowany model składający się głównie z wielozakresowego odbiornika, skanera częstotliwości i kierunkowej anteny. Korzystający zakłada na uszy słuchawki, puszcza wcześniej nagraną muzykę z przenośnego magnetofonu i bada każdą ścianę, każdy dywan i każdy mebel. Jeżeli działa jakiś przekaźnik, to skaner wychwytuje jego częstotliwość, a do uszu poszukującego za pośrednictwem słuchawek dociera muzyka z jego własnego magnetofonu. Jednakże urządzenia te są bardzo drogie i choć łatwo mogą uchodzić za walkma-

na lub odtwarzacz CD, agenci terenowi mogą ich używać tylko za zgodą swego komendanta. Wydziałowi kontrolerzy wolą nie ryzykować, aby jakiś celnik z krajów Trzeciego Świata skonfiskował kosztowne urządzenie dla swojej nastoletniej córki jako walkmana.

Eckstein i Baum jak dwaj zmęczeni bokserzy przenieśli się na drugi koniec pokoju i rozpoczęli poszukiwania od nowa.

Przy użyciu latarki Eckstein przejrzał szafy, a później z ulgą ustalił, że lustro wisi na haczyku i łatwo można je zdjąć ze ściany. Baum otworzył grzejnik pod oknem, zdjął poduszki z sofy, sprawdził szwy tapicerki, a potem położył się pod stolikiem na plecach niczym mechanik samochodowy. Eckstein stanął na krześle i skierował światło latarki w otwór klimatyzacyjny, a Baum wyciągał szuflady sekretarzyka, przejrzał je, odłożył na miejsce, a potem postawił telefon na łóżku i ostrożnie przykrył go dwiema poduszkami. Obydwaj Izraelczycy uklękli i na wzór ślepców poszukujących spinek mankietowych centymetr po centymetrze obmacywali dywan, wchodzili pod łóżka, gładzili meble, parapety okienne i ramki obrazków z czułością, jakiej od dawna nie okazywali żadnej kobiecie.

Wszystkie te zabiegi zajęły niecałe dwadzieścia minut, lecz gdy dobiegły końca, obydwoj byli zmordowani. Wystarczyło im rozsądkiem, aby pochopnie nie uznawać, że już są bezpieczni. Ale zrobili, co mogli, mając do dyspozycji tylko spryt i doświadczenie. Benni otworzył barek, wręczył Eytanowi sok pomarańczowy i otworzył na stole puszkę z wodą mineralną. Skinął na O'Donovana, żeby też się poczęstował. Brytyjski prezenter gadał bzdury i paradował przed kamerą. Benni podgłośnił i wraz z Ecksteinem zajęli miejsce w kąciu przy zasłoniętym oknie.

Benni oparł się o parapet i, patrząc na młodego partnera, zdał sobie sprawę, że gdyby ich zawodowa współpraca nie została przerwana, najprawdopodobniej nie znalazłby się w takim położeniu. Życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Zapewne Ruth przygotowywałyby się teraz w swoim mieszkaniu do zajęć, nie miałyby pojęcia

o istnieniu O'Donovana i nadal pozostawałaby w wygodnym dla siebie wrogim nastawieniu do ojca. Byłaby bezpieczna. Rzeczywistość wyglądała jednak okrutniej

i w rozmowie z Ecksteinem trudno było Benniemu panować nad głosem. Prowadzili pełną podtekstów konwersację po hebrajsku.

- *Asur l'cha l'hiot kahn*. Nie powinno cię tu być - powiedział Benni z wymuszonym uśmiechem.

- Ciebie też, przyjacielu. - Eytanowi chodziło o to, że Benni nie powinien znaleźć się w tak strasznym położeniu. - Kim jest ten pokiereszowany?

- Detektyw z Nowego Jorku - rzekł Benni. Eckstein spojrział na O'Donovana, który właśnie palił papierosa i nieobecny wzrokiem spoglądał w ekran telewizora. -Zajmował się zamachem bombowym w konsulacie. Itzik posłał mnie do Nowego Jorku właśnie w tej sprawie.

W telegraficznym skrócie Baum przedstawił resztę szczegółów. Wolałby nie wspominać o związku pomiędzy Michaelem a Ruth, ale fakt ten był bardzo istotny dla całego porwania. Eckstein starał się nie zareagować nazbyt gwałtownie, lecz natychmiast zamajaczyły mu w głowie obrazki erotyczne i siłą rzeczy musiał spojrzeć na Amerykanina innym okiem. Detektyw miał jeszcze plaster na nosie i czerwone ślady pod oczami. Bandaż na głowie przypominał turban Sikhów.

O'Donovan spojrział na Ecksteina, który złączył wszystkie koniuszki palców lewej dłoni i wykonał ruch, jakby chciał zerwać owoc winogrona, co dla Izraelczyka oznaczało: Za minutę do ciebie dołączymy.

- Mam nadzieję, że nie poczyniłeś żadnych kroków - rzekł Benni.

- Nie znałem faktów, ale musiałem odwołać się do infrastruktury.

- Jak zwykle musisz postawić na swoim - gderliwym tonem powiedział Benni. -Ja znam fakty, a nie skontaktowałem się z nikim prócz ciebie. „Mafia” też robi, co będzie mógł.

Baum wspominał o Arcie Rosellim, a Eckstein zorientował się, że jego przyjaciel wstępne kroki poczynił poza oficjalnymi kanałami. Spojrział na Bauma, aby się upewnić, czy pułkownik może działać w stanie takiego zdenerwowania. Już miał się podzielić swymi wątpliwościami i wyjawic, jakie podjął działania, gdy rozległo się nagłe pukanie do drzwi.

Baum wstał, aby odprawić pokojówkę - bo mogła to być tylko ona - ale Eckstein powstrzymał go gestem dłoni. W jego oczach dało się wyczytać przeprosiny.

- Nie zawsze jestem takim luzakiem, za jakiego mnie uważasz - powiedział i sam podszedł do drzwi.

Gdy je otworzył, do pokoju wszedł generał Itzik Ben-Zion.

Szef wywiadu Izraela minął przedpokój z pochyloną głową. Przejście nie było za niskie, ale dotychczasowe doświadczenia wyrobiły u niego odruch obronny. Ubrany był w perłowo-szary garnitur z dwurzędową marynarką, białą koszulę, miał też jedwabny, niebieski krawat. Zausznik okularów słonecznych ginął wśród upstrzonych siwizną sztywnych włosów. Itzik miał też ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy, jak gdyby w Casablance w każdej chwili mogła zaatakować zima.

Benni od wielu lat nie widział Itzika w terenie, a zwłaszcza bez munduru. Generał wyglądał jak sycylijski *don* w drodze na konferencję rodzin mafijnych. Jednakże nie wygląd dowódcy zwracał uwagę Bauma. Bardziej obchodziło go to, że najwyraźniej Eckstein o wszystkim zameldował szefowi, łącznie z porwaniem Ruth, narażając ją tym samym na jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyż teraz jej los został uzależniony od ambicji Itzika. Czuł się zdradzony, ogarnęło go zdumienie i złożywszy ręce na piersiach świdrującym wzrokiem próbował wdrzeć się do duszy Ecksteina.

- Benni, musiałem - powiedział Eytan. - To zbyt skomplikowana sprawa, w grę wchodzi kilka rzeczy, między innymi operacja Księżyc. - Baum milczał. - Ryzyko jest o wiele większe, stawką jest życie wielu ludzi - kontynuował Eckstein. - Wiedziałeś, że trzeba będzie o wszystkim zameldować, a nie było czasu, żeby dokładnie porozmawiać.

Twarz Bauma pozostała nieruchoma, chociaż pod powłoką gniewu zaczynał zdawać sobie sprawę, że Eytan ma rację. Sam nie wziął pod uwagę nikogo ani niczego prócz Ruth. Gotów był poświęcić Dana Sarela. Ktoś musiał za niego pomyśleć logicznie, bo chwilowo on sam miał z tym kłopoty.

Ben-Zion podszedł do swych podwładnych, zatrzymał się i odwrócił głowę w kierunku

O'Donovana, który zsalutował mu od niechcienia, a potem wrócił do oglądania telewizji.

- Kto to jest? - zapytał Itzik, jak gdyby Amerykanin był gumową lalką.

- *Tomeh* - rzekł Eckstein.

- *Niflah*. Wspaniale - mruknął sarkastycznie Itzik, rzucając płaszcz na oparcie małej sofy. - Uwielbiam świadków.

- On jest pewny stuprocentowo. Poza tym nie zna hebrajskiego - zapewnił Eckstein. Ben-Zion zignorował go i odwrócił się do Bauma. Domyślał się, że jego ludzie

przetrzęsnęli pokój, ale w telewizji akurat zrobiło się cicho, więc zbliżyli głowy jak obrońcy ustalający w sędzie taktykę działania. Generał powinien używać ich pseudonimów, ale chciał ostro ruszyć do ataku. Zdjął okulary.

- Baum, Eckstein mówił, że masz mi coś do powiedzenia na temat akt Tango. Lepiej wal prosto z mostu.

Benni podniósł głowę, żeby spojrzeć w oczy górującemu nad nim szefowi. Wyczytał z nich ostrzeżenie „nie wciskaj kitów” - ostrzeżenie wywołujące drżenie kolan u wszystkich pracowników sztabu dowództwa. Na chwilę rzucił okiem w stronę Ecksteina, którego mina i lekkie skiniecie głową miały zachęcać do zwierzeń. A więc to już koniec. Czuł, że wiek, kłamstwa i brzemie tajemnicy powodują, że cały rozpada się na strzępki jak pocięta gumowa piłka. Człowiek, który wytrzymał najcięższe przesłuchania bez zdradzenia najdrobniejszego sekretu, teraz czuł, że będzie śpiewać jak z nut.

- Martina Ursula Klump była po naszej stronie - powiedział Benni do Itzika. Podszedł do sekretarzyka, podniósł popielniczkę i powróciwszy do sofy oparł się

o zagłówek. Itzik spojrzał z góry na pułkownika, a Eckstein spoglądał na zasłony, jak gdyby chciał zobaczyć przez nie port Casablanki.

- Wróciła? - zapytał Ben-Zion, mrużąc oczy i pochylając głowę.

- Ona była nasza. - Benni zapalił papierosa i kącikiem ust wypuścił dym.

- Co to znaczy „nasza”? - Itzik coraz bardziej się niecierpliwił. Benni popatrzył mu prosto w oczy.

- Była moją agentką. Odwróciłem ją.

Ben-Zion zamrugał powiekami. Chociaż zaczynała już do niego docierać waga tego wyznania, próbował nie dopuścić do siebie wynikających z niego implikacji. Generał żył w otoczeniu tajemnic, lubił je odkrywać i stosował je zarówno w polityce jak

i w pracy. Szczycił się znajomością tajemniczych skarbów wszystkich jednostek, które całą prawdę przekazywały tylko jemu. Niemożliwe, aby któryś z jego ludzi, nawet jeden ze Strasznych Bliźniaków, mógł ukryć przed nim takie rzeczy.

Wyprostował plecy i odwrócił się do młodszego ze swych podwładnych.

- Eckstein, o czym on mówi? - zapytał, jakby Baum zwracał się do niego w dialekcie kantońskim.

- Posłuchaj go - odparł krótko Eytan.

- Itzik, to było już prawie dwadzieścia lat temu - powiedział Benni, wpatrzony w rozżarzony koniuszek papierosa. - Zanim przyszedłem od cywilnych. - Wspomniał o swej wywiadowczej karierze w Mossadzie, zanim dowódca AMAN-u, Szlomo Gazit, zaangażował go do pomocy w formowaniu w wywiadzie wojskowym oddziału Operacji Specjalnych o pierwotnej nazwie Jednostka 509. - Pracowaliśmy w Paryżu, próbując spenetrować Action Directe. Ona przyjechała właśnie z Buenos Aires na studia na Sorbonie. Jej ojcem był nazistowski inżynier. Zwerbowałem ją, kiedy była jeszcze lewackim rekrutem.

Ben-Zion doskonale znał taki przebieg wypadków. Podczas studenckiej rewolty na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dorosłały dzieci faszystów byłej Osi. Były zagubione, wstępowały do radykalnych partii politycznych, sympatyzowały z Trzecim Światem, z działaniami antyimperialistycznymi, jednak w głębi duszy czuły przera-

żenie, gdy arabscy terroryści mordowali izraelskich uczniów, przypominając tym samym

zbrodnie ich rodziców. Bez trudu można było grać na ich wyrzutach sumienia.

Itzik pokręcił głową, zapalił papierosa i z westchnieniem zaciągnął się dymem. Wiedział, że czeka go jeszcze dużo, dużo więcej.

- I pewnie kupowałeś jej lody w Yad Vaszem - powiedział z ironią. Muzeum holokaustu w Jerozolimie to obowiązkowy przystanek izraelskich przewodników turystycznych oprowadzających wycieczki gojów.

- Dwa razy - przyznał Benni. Nadal do popularnych praktyk należy sprowadzanie współpracowników z zagranicy w celu przeprowadzenia potajemnej izraelskiej indoktrynacji. Są często fotografowani w towarzystwie umundurowanych oficerów, co ma stanowić polisę ubezpieczeniową chroniącą przed „podkupieniem” ich przez przeciwników.

- *Ya' Allah* - szepnął Ben-Zion, zdając sobie sprawę, że Baum nie mówi o krótkim burzliwym okresie w jej życiu, kiedy kilka razy zmieniała nazwiska i adresy. Nie była zwykłym *szinker*, jak Izraelczycy nazywają prowokatorów. Została zwerbowana, wyszkolona i była prowadzona przez Bauma. - *Kfulah amitit?* Naprawdę była podwójną agentką? - zapytał z niedowierzaniem.

- Na sto procent - powiedział Eckstein. Odwrócił się plecami do okna.

Itzik czuł się dotknięty. Próbował poukładać sobie zasłyszaną historię w spójną całość. Martina Ursula Klump, niemiecka terrorystka podejrzana o liczne ataki w Europie, specjalistka od ładunków wybuchowych w RAF, działająca w Libanie. Czy może być prawdą, że tuż pod jego nosem, kieruje jej działaniami ktoś z jego podwładnych? Starał się zapomnieć o zranionej dumie i pomyśleć, co on mógłby na tym zyskać. Czy to możliwe, że kiedy Klump znajdowała się w Mossadzie na szczycie listy osób do eliminacji, była prowadzona przez Bauma? Fantastyczna sprawa. Niemiecka fanatyczka, za której głowę wyznaczono nagrodę, to w rzeczywistości współpracowniczka AMAN-u! Za coś takiego sam premier okazałby mu serdeczność.

- Jak tego dokonałeś? - zapytał Benniego, kryjąc strach w głosie.

- Czego?

- Jak ją odwróciłeś?

Benni nic nie mówił, zrobił się czerwony na twarzy i spojrzał na Eytana z prośbą o pomoc.

Oczy Itzika wędrowały od jednego oficera do drugiego.

- O co chodzi? - Pomyślał o szantażu i torturach. - Co jej zrobiłeś? Benni westchnął.

- Zastosowałem bardzo naturalny sposób - powiedział, wpatrzony w podłogę.

- Uwiodłeś ją? - Itzik otworzył ze zdziwienia usta.

- Wtedy jeszcze miał włosy - wtrącił Eytan.

Ben-Zion złapał się za czoło i obrócił się wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni.

- A niech cię. - Z całą pewnością seks znajdował się na pierwszych miejscach spisu technik rekrutacji, jednak zazwyczaj pozostawiano go ekspertom, wydziałowym żigo-lakom i *femmes fatales*. Myśl, że jego podobny do buldoga pułkownik miałby kogokolwiek zaciągnąć do łóżka, nie mieściła mu się w głowie. - Niech mnie szlag!

Jednakże Benni nie potrafił wspominać tamtych wydarzeń z lekkim sercem. Aż do tej chwili tajemnicę o odwróceniu Martiny znał tylko Eckstein. Benni wiedział, że żadne patriotyczne obowiązki nie pozwolą mu przebaczyć samemu sobie. Nie

zawsze był otyłym, łysym, groźnym dowódcą. Pamiętał, jak w wieku trzydziestu kilku lat, kiedy miał prężne ciało i gładką twarz, gdy wokół oczu nie pojawiały się jeszcze zmarszczki, swoim delikatnym urokiem potrafił zaślepić niejedną kobietę. Pamiętał, jak znalazł się sam na sam z młodą niedoświadczoną Niemką w swym paryskim mieszkaniu. Na wizytówce widniało nazwisko Schmidt, za wynajem płacił izraelski rząd, a ona krzyczała podczas orgazmu. Właśnie wtedy Ruth zaczynała chodzić do szkoły, a Maja w Jerozolimie opiekowała się trójką dzieci. Zastanawiał się wtedy, czy ta sytuacja to cena służby, czy też

nagroda za nią.

Ben-Zion wsunął dłoń do kieszeni spodni i przechadzał się pomiędzy oknem a sofą. Strząsnął popiół z papierosa na podłogę, a potem przemówił do swych butów.

- Okay. Odwróciłeś Klump, ale dlaczego Eckstein mówi, że ona już nie szaleje na twym punkcie? Proszę szybko o dalszą część sprawozdania.

Eytan wiedział, że teraz zacznie się najgorsze.

- Benni prowadził ją aż do 1982 roku - powiedział. - Przeniosła się z Paryża do Frankfurtu i przyłączyła się do Baader-Meinhoff. Nie była już w centrum wydarzeń, ale czasami dawała o sobie znać. Kontakty się ochłodziły, dostarczała jednak naprawdę gorący towar.

Przecieki na temat działań terrorystycznych dzieliły się na kategorie według temperatury. Jeżeli agent twierdzi, że jego informacja jest „gorąca”, to zwierzchnicy muszą ją traktować jako prawdziwą, lecz nie mogą zidentyfikować jej źródła. To pociąga za sobą trudną decyzję, czy działać pod wpływem przecieku i ryzykować wpadkę na konto anonimowego agenta, czy też zignorować informacje i modlić się o jak najmniejszą ilość ofiar.

- Tak, tak. - Ben-Zion nie przestawał spacerować. - A kiedy ty się o tym dowiedziałeś?

- Później - powiedział Eckstein. - Pod sam koniec.

- Hm - mruknął generał. Znowu to samo. Znowu tych dwóch *manyakim* na własną rękę pichci w jego kuchni, a on smacznie sobie śpi w sypialni. Widać zostali stworzeni po to, aby doprowadzić go do zawału. - Pewnie wszystko zaczęło się gmatwać - powiedział nie bez satysfakcji.

- Ona była bardzo głęboko zakonspirowana - kontynuował Eckstein. - Wydaje nam się, że było jej za ciężko. Zaczęła zrywać kontakty, nie pojawiała się na spotkaniach. Potem w „Sternie” ukazało się jej zdjęcie i słuch o niej zaginął.

- Postanowiłem ją wyciągnąć - szepnął Benni. Po chwili odchrząknął i dalej mówił pełnym głosem: - Czuję, że może się posunąć za daleko.

Itzik zatrzymał się i spojrzał na Bauma. Stłumił w sobie uwagę: „A może znowu chciałeś mieć ją w łóżku”. Powstrzymał się od jej wypowiedzenia na widok wymyzonej twarzy Bauma.

- Udało mi się szyfrem nawiązać z nią kontakt - kontynuował Baum. - To się działo na początku osiemdziesiątego drugiego roku. Byliśmy wtedy w Niemczech, pamiętasz?

Itzik pomasował czoło nad zamkniętymi oczami.

- Wspólna akcja z BKA - przypomniał Eytan. - Przyskrzynienie siatki Jabrila. Generał pokiwał głową, Benni mówił dalej.

- Było bardzo trudno. Musieliśmy ją wysledzić i skontaktować się na ulicy. Zabrało to wiele czasu, ale Zvi Pearman spisał się na medal. - Na moment Benni

zamilkł. Pearman już nie żył i wszystkim im go brakowało. - Minął cholernie długi tydzień, ale odpowiedziała.

- Nie wiem, czy pamiętasz - Eckstein zwrócił się do Ben-Ziona - ale ludzie z GSG-9 zatrzymali ją w Bad Reichenhall. To właśnie zaplanowaliśmy razem z BKA. Cała reszta: proces, wyrok, przeniesienie do Bruchsal, wszystko to był kamuflaż.

- Naprawdę? A kto z Wiesbaden tak chętnie z wami współpracował? - zapytał Itzik, próbując dowiedzieć się o kontakt w niemieckim kontrwywiadzie.

- Lokojewski.

- Uuu. Kolejny renegat. Wiecie, że jego ojciec był pułkownikiem SS.

- Syn z nawiązką odkupił jego winy - powiedział Benni.

- A jej ucieczka? - naciskał Itzik. - To akurat pamiętam.

Benni westchnął, ręce mu ciążyły, gdy zapalał kolejnego Marlboro.

- Ja to spieprzyłem. Trzymali ją w podziemiach Bruchsal, gdzie mają cele dla psychicznych. Nikt nie wiedział o jej pobycie. - Wtedy ujrzał ją ponownie, ubraną w lniany strój, z pustką w oczach. - Podczas procesu nie nawiązywałem z nią kontaktu, więc

początkowo mi nie ufała. Ale przeszło jej. Obiecałem standardowe przywileje. Powiedziałem, że może sobie zorganizować ucieczkę przy udziale RAF-u, to wtedy zaufają jej już do końca. Po drodze my ją mieliśmy przejąć, miała dostać nowe papiery i wszystko inne. Gdyby zechciała, mogłaby przez resztę życia wylegiwać się na plaży w Netanya i urządzać pikniki z Wolfgangiem Lodzem. - Głos Benniego znów przeszedł w szept. - Itzik, ja jej to przysiągłem. I zamierzałem dotrzymać słowa...

Ben-Zion patrzył na Bauma i było mu go naprawdę żal. Dla niektórych ludzi z branży utrata agenta równa się utracie dziecka.

- W ostatniej chwili nastąpiła zmiana niemieckich strażników - zakończył Eckstein. - Obejmujący służbę nie był uprzedzony i otworzył ogień. Trafił ją, ale wstała i udało ją się zabrać do helikoptera.

Dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Eckstein żałował, że nie ma papierosa. Spojrzał na O'Donovana, który z nogami na podłodze położył się na łóżku i zasnął. Widać, że były żołnierz, uznał Eytan.

Ben-Zion odwrócił się i oparł o parapet, odpiął guziki marynarki i złożył ręce na piersi. Wpatrzony w sufit, zaczął powoli kiwać głową, jakby pogrążał się w modlitwie, a w myślach odtwarzał dalszy rozwój wypadków.

- Rozumiem, Baum - powiedział w końcu. - Prowadziłeś tę dziewczynę, teraz już kobietę, przez wiele lat. Może jest w tobie zakochana, a może nie, ale siedziała w tym bardzo głęboko i ty stanowiłeś dla niej szansę na wydostanie się. Ty jednak nie wyciągnąłeś jej z tego, prawda? Zostawiłeś ją tam.

- Była niezastąpiona - powiedział Eckstein, chociaż nie było potrzeby obrony linii postępowania Benniego. Itzik własną matkę zostawiłby w Bagdadzie, gdyby mogła przekazywać mu gorące materiały. - Jej informacje uratowały życie setce ludzi. Może nawet więcej.

- Potem wszystko się urwało - ciągnął Ben-Zion. - Zakamuflowała się, ale tobie jeszcze raz udało się z nią skontaktować i zdobyć jej zaufanie. Wtedy dostała kulkę i od tego czasu ma cię za dwulicowego żydowskiego łajdaka, który wystawił ją na cel. Jak dotąd dobrze zrozumiałem, prawda?

Benni nie mówił nic, chociaż Itzik i tak nie zadał pytania po to, aby wysłuchać odpowiedzi.

- Później zniknęła na zawsze. Związała do Libanu, do Hezbollahu, a potem do Yadd Allah.

Benni wiedział do czego zmierza generał, ale cierpliwie starał się zachować milczenie. Eckstein i Baum nie poinformowali o swoich działaniach dowódcy, który teraz słusznie całą odpowiedzialność zrzucił na nich.

- Doszło do tego, że na świecie nie ma tyle krwi, aby ostudziła jej gniew - mówił Itzik. - Chyba że jest to twoja krew, Baum. W końcu znów ją odwróciłeś. Stała się tym, kogo przez dziesięć lat tylko udawała. Zaprzysięgłym wrogiem Izraela.

- To brzmi trochę zbyt dramatycznie - rzekł Eytan.

- Czyżby? - Ben-Zion spojrzał z góry na majora. - Eckstein, młody przyjacielu, zaciekłość nie ma kresu nawet w piekle. Najlepszym tego przykładem jest moja żona.

Przemówił sędzia, przemówiła ława przysięgłych. Nagłym ruchem Itzik zerwał się na równe nogi, podszedł do barku i przejrzał butelki. Potem wrócił i otworzył na stoliku puszkę piwa Imperial.

- Lepiej wytłumacz mi teraz, jak się to wszystko ma do akt Tango - powiedział i napił się.

- Tango to Martina - mruknął Benni.

Itzik zatrzymał rękę w połowie ruchu. Spojrzał znad puszek i oblizał pianę z górnej wargi.

- Słucham?

- Tak - potwierdził Eckstein.

Twarz Ben-Ziona nabierała koloru zwiastującego niebezpieczeństwo. Istniała standardowa procedura kamuflowania tożsamości informatora, zwłaszcza podwójnego agenta. Nazwiska i

sposoby działań ulegały zmianom, a czasami nawet akta stawały się „niewidzialne” i trafiały do sejfu. Wszystkie poczynania związane z Tango Baum i Eckstein konsultowali - przynajmniej pozornie - ze swoim dowódcą. Meldowali o utracie agenta płci męskiej, Belga działającego w europejskich strukturach terrorystycznych, który najprawdopodobniej został pojmany i zamordowany. We wszystkich raportach mowa była o mężczyźnie, a w jednym znalazł się nawet jego rysopis. Złość jeszcze bardziej zalała generała, gdy przypomniał sobie, jak przechwalał się agentem Tango przed kolegą z Mossadu.

- No to kim, kurwa, był Paul Krimmant? - warknął.

- To jest anagram - powiedział Eckstein. - Z liter jej imienia i nazwiska. Ben-Zion najpierw wbił wzrok w Ecksteina, a potem odwrócił się do Bauma. Tym razem wpadli, ale Bóg jeden wie, ile jeszcze spraw prowadzili za jego plecami.

- Wiecie, że was obydwu nie znoszę - powiedział wprost. - Naprawdę. - Wyciągnął palec wskazujący w kierunku Benniego. - Gdyby nie była wplątana w to Ruth, obydwu was zaciągnąłbym za łby do domu, a potem postawił przed sądem wojennym.

Benni i Eytan przyglądali się, jak generał odchyła głowę do tyłu, jednym, długim łykiem wypija piwo i gniecie puszkę swym wielkim łapskiem. Rzucił aluminiowy śmieć do pustego kosza, ale odgłos został zagłuszony przez nawijającego bez przerwy prezentera MTV. Ben-Zion oparł dłonie zaciśnięte w pięści na biodrach i ogłosił werdykt.

- Spieprzyłeś to, Baum, więc teraz musisz sobie z tym poradzić. A Księżyc ma się odbyć zgodnie z planem.

Waga tego oświadczenia nie umknęła jego oficerom. Ich dowódca starał się utrzymywać wizerunek pozbawionego emocji wojownika, ale i on miał dzieci. Dla dobra Ruth nie zmienił miejsca ani czasu wymiany więźnia.

- Teraz twoja była dziewczyna, Baum, ma niebezpieczną zabawkę. Lepiej żeby jej nie użyła.

Benni wytrzeszczył oczy. Skąd Itzik wie o *Mimowi* Benni jeszcze nie wspominał o tym Ecksteinowi.

- Awaham Yaron pracuje dla wojska - rzekł Itzik na widok zdziwienia Benniego. - Nie dla ciebie. Przesyła nam z Waszyngtonu informacje.

Benni pokiwał głową. Nie mogło być mowy o zdradzie. Gdyby Avraham wiedział o Ruth, trzymałby gębę na kłódkę.

- Teraz posłuchajcie, jak to się będzie odbywać - kontynuował Itzik. - Do wymiany dojdzie zgodnie z planem, a wy powinniście do tej pory uporać się ze swoim problemem. - Zdjął rękę z biodra, spojrzął na zegarek i pokiwał palcem. - Ja nie chcę nawet o tym słyszeć. No, chyba że dopiero w przyszłym miesiącu na ślubie Bena-Lewiego. - Nawiązał do uroczystości czekającej jednego z szyfrantów. - Macie niecałe siedemdziesiąt dwie godziny. Kogo i co użycie, wasza sprawa, ale nie wolno wam brać nikogo ze służby czynnej.

- Jasne - powiedział Eckstein. Z jednej strony Ben-Zion dawał im wolną rękę, chociaż z drugiej strony krępował im ruchy, nie pozwalając na wykorzystanie wsparcia AMAN-u. - Ale będziemy potrzebowali kilku rzeczy. I to drogich.

- Masz tę cholerną złotą kartę! - krzyknął generał.

- Itzik, daj spokój - powiedział Benni.

- No dobrze, Baum. Ile wynosi twój fundusz emerytalny?

- Sam dobrze wiesz, ile.

- Racja, wiem. - Generał w zamyśleniu pokiwał głową. - Czy Koń został o tym poinformowany?

- Może do pewnego stopnia - wtrącił Eckstein.

- Dobra - mówił Itzik. - Od tej chwili zawieszam go w czynnościach. Jeśli przypadkiem pojawi się tutaj ze stoma tysiącami, to będą one pochodzić z twojej kieszeni, Baum. A jeśli później jakimś cudem pan Paul Krimmant zwróci koszty, to ja o niczym nie wiem.

- Dziękuję, Itzik - wyszeptał Baum.
- Nie dziękuj! Mógłbym was obu zamordować i jeszcze dostałbym za to medal. Itzik wyprężył się, zapiął marynarkę i zabrał płaszcz. Benni uniósł głowę, żeby spojrzeć na dowódcę, Eytan stanął u jego boku. Mieli ochotę uściskać generałowi rękę, ale bali się niszczyć jego pieczołowicie kreowany we własnych oczach wizerunek. Itzik wyjął z kieszeni i założył na nos okulary słoneczne. Skinął głową i ruszył do drzwi. W połowie pokoju zatrzymał się i odwrócił głowę.
- Stworzyliście potwora, panowie.
- *Es ist unser Ebenbild*- mruknął po niemiecku Benni.
- Co on powiedział? - zapytał Itzik Ecksteina.
- Na swój obraz i podobieństwo - powiedział Eytan. Generał chrząknął i odszedł.

17

• Casablanca

Około północy właściciel „Cafe de France” zwykle związał swój interes. Czterech kelnerów w liberiach złożonych z czarnych spodni, oliwkowych blezerów i kamizelek, białych koszul i czarnych krawatów powinno wilgotnymi ściereczkami wycierać blaty czterdziestu stołów, znosić zmęczonemu barmanowi sterty naczyń i czyścić setki popielniczek pełnych petów. Zazwyczaj opuszczali też metalowe rolety dzielące lokal od chodnika i wciągali do góry ogromną czerwoną tablicę z logo Coca-Coli, która przez cały dzień stała między wysokimi kolumnami przy samej jezdni.

Mogli też w końcu uwolnić z butów zmęczone stopy, lecz chociaż zegar na placu Mohammeda V wybił już godzinę duchów, nic takiego się nie działo. Daleko, daleko, w strefie, gdzie było jeszcze pół dnia wcześniej, marokańska drużyna piłkarska toczyła bój z Brazylią. W „Cafe de France” znajdował się pokaźny ekran telewizyjny, a klientów było tylu, co w porze lunchu.

Benniemu Baumowi nie przeszkadzał tłum. Wprost przeciwnie, dobrze się czuł w otaczającym go stuku naczyń, wśród dźwięków wytwarzanych w chwili zetknięcia marokańskich języków z podniebieniem miękkim, w stłumionym warkocie Renaultów, skuterów i *petit taxis* kręcących się po przestronnym skwerze w centrum Casablanki. Wiatr trzepoczący czerwonymi chorągiewkami przynosił do lokalu pełny wachlarz zapachów morza i spalin, które mieszały się z aromatem tytoniu oraz *cafe no/r*. Co jakiś czas rozlegały się pełne nadziei okrzyki kibiców.

Wśród izraelskiej społeczności wywiadowczej było powszechnie wiadomo, że więcej planów operacyjnych opracowano w publicznych lokalach niż w dźwięko-szczelnych salach konferencyjnych. Tradycja ta opierała się na założeniu, że przeciwnikowi trudniej jest założyć podsłuch w miejscu zaimprovizowanego spotkania niż na ustalonym zebraniu w bazie. W rezultacie księgowy AMAN-u całkiem poważnie zaproponował kupno restauracji, co uwolniłoby go od cotygodniowego pliku rachunków pojawiających się w piątce na jego biurku.

W głównej sali lokalu panował ścisk, co również odpowiadało Baumowi, ponieważ kelnerzy musieli umieścić go na balkonie ponad kręconymi schodami. Pojawiali się tam jedynie ci klienci, którzy musieli w przerwie meczu wyjść do toalety, ponieważ nie było stąd widać całego ekranu telewizyjnego. Jednak wyraźnie można było obserwować całe wejście, a wszyscy zaproszeni przez Bauma goście stawali w drzwiach kafejki z taką samą miną. Najpierw przeszukiwali wzrokiem salę główną, a nie widząc nikogo znajomego, podnosili w końcu głowę i dostrzegali kiwającego palcem Ecksteina.

Wyglądali na grupkę wędrowców zdobywających góry Atlas - ktoś inny mógł nosić jasne swetry, jaskrawe torebki przy paskach i kurtki z kapturami - zgromadzoną wokół trzech złączonych ze sobą stolików. Pojawienie się nieznanego wstrzymało na chwilę snucie planów wyprawy „turystycznej”; mężczyzna ów rozłożył na balkonie dywanik z wielbłądziej

welny, uklonił się w kierunku Mekki i wyrecytował *rakatin*. Siedzący przy jednym ze stołów Benni rozparł się na żelaznym krześle

i stukał palcami w kolano. Kiedy w końcu pobożny Marokańczyk wstał i zwinął dywanik, Benni uśmiechnął się do niego i skłonił głowę w geście szacunku.

Towarzystwo Bauma nie zebrało się jeszcze w pełnym komplecie, więc czekali, aby nikomu nie trzeba było niczego powtarzać. Benni chętnie by już zaczynał, lecz do jego nękanego zmartwieniami serca powróciła odrobina spokoju, ponieważ właściwie nie spodziewał się, że tak szybko uda mu się skompletować zespół. Spojrzał na przeciwległy koniec zestawionych stolików, gdzie Eckstein, siedząc na krześle i podpierając głowę na ręce, udawał, że ogląda mecz, choć w gruncie rzeczy bacznie obserwował wejście.

Benni pożałował wcześniejszego wybuchu i wytykania Ecksteinowi, że zdecydował się po drodze z Addis Abeby wstąpić do Tel Awiwu. Przeprosił jednak, gdy major wyjaśnił, jakie podjął działania podczas krótkiego pobytu na izraelskiej ziemi. Eytan tak szybko opuścił kraj, że nie zdążył nawet zobaczyć się z żoną i synem.

Karierę wojskową Eytan rozpoczynał jako oficer spadochroniarzy i tamte lata spędzone w armii wyrobiły w nim nawyk dokładnego przygotowywania misji. Tam też częściej niż gdzie indziej w ostatniej minucie operacje były odwoływane, ale można było się nauczyć przygotowywać ludzi i sprzęt na pierwszą wieść o zbliżającej się akcji. Jeżeli padał rozkaz odwołania działań, to jedyną ceną poniesioną przez żołnierzy stanowiło kilka litrów potu.

Ecksteinowi brakowało informacji do opracowania odpowiedniego planu, ale wiedział, że Martina Klump przetrzymuje Ruth Baum gdzieś w Afryce Północnej. I to wystarczyło, żeby skrzyknąć ludzi, posiadających wojskowe doświadczenie oraz... podwójne obywatelstwo, gdyż posiadacze izraelskich paszportów mają zakaz wjazdu do krajów Maghrebu. Słusznie również założył, że Itzik Ben-Zion nie przekaże zasłyszanej wiadomości swoim zwierzchnikom, ponieważ wywołałaby ona zbyt wielkie zamieszanie. Wymiana więźnia - akcja która miała wywindować Itzika na stanowisko szefa sztabu - mogłaby zostać odwołana. A gdyby liczni przyjaciele Bauma z wysokich stanowisk wojskowych poparli oficjalną akcję odbicia jego córki, taki plan musiałby zdobyć poparcie rządu. Właściwie Ruth już nie podlegała ustawie o uprowadzonych Żydach, ale kto wie, do jakich intryg politycznych doszłoby na korytarzach Knessetu? Dlatego też Itzik postanowił pozwolić na akcję odbicia dziewczyny, ale tak, żeby mógł się potem tego wyprzeć. Eytan, zanim jeszcze zobaczył się ze swym szefem, zadzwonił do ludzi, którzy oficjalnie nie pozostawali już na służbie.

Spora część izraelskiej armii składa się z rezerwistów, czyli kobiet i mężczyzn mogących w każdej chwili znaleźć w swej skrzynce na listy brązową kopertę z wezwaniem na trzydziestodniowe ćwiczenia. W wypadkach nadzwyczajnych mogą również zostać wezwani umówionym szyfrem, przekazywanym drogą radiową i telewizyjną. Członkowie małych elitarnych jednostek często bywają nieformalnie wzywani telefonicznie przez swego oficera, który mówi wtedy tylko: *anu zazim*, wyruszamy.

Eckstein bez trudu mógł się skontaktować z większością kandydatów na uczestników akcji, nawet z tymi, którzy znaleźli zatrudnienie w Europie. Większość tych ludzi przebywała w Izraelu, więc wszystkie rozmowy były krótkie i przebiegały mniej więcej jednakowo.

- Didi, mówi Eytan.
- *Ma-enyanim, ben-adam?! Jak się masz, stary?*
- Świetnie. Słuchaj, jesteś zajęty?
- Jak diabli, normalnie. O co chodzi?
- Wielka rzecz. Zajmie minimum trzy dni.
- Cholera. Jutro prowadzę rozprawę sądową.
- Benni potrzebuje twojej pomocy.
- I tak miałem olać tę rozprawę. Idę z tobą.
- Okay. Jedź na Ben-Guriona, odbierz bilet na lot 883 TWA do Paryża na szóstą

dwadzieścia.

- Mam sam zapłacić?
- Już zapłacone. Masz bilet na nazwisko David Lerner.
- *Hucpa.*

- Tam przesiądziesz się na najbliższy samolot do Casablanki. Za to już będziesz musiał sam zapłacić. Może będą zwroty kosztów.

- Uua, wakacje na własny rachunek.
- Zamelduj się w „Hotel de Paris” przy ulicy Branly. Jutro o północy przyjdź do „Cafe de France” na placu Mohammeda. Reszty dowiesz się w biegu. Mam powtórzyć?
- Nie obrażaj mnie. Właśnie spałem pięćdziesiąt uchybień wobec kodeksu cywilnego.

Brak jakiegokolwiek sprzeciwu w reakcjach na niejasne wezwanie Eytana nie powinien go dziwić, jednakże zawsze z przyjemnością przekonywał się od nowa, że w izraelskich żyłach nadal krąży płyn zawierający lojalność i poświęcenie. Pomimo dziesiątek lat wojen nie zmniejszyły się kolejki młodych ludzi zgłaszających się na ochotnika do niebezpiecznej służby, a dojrzały weterani nadal błyskawicznie reagują na zawołanie „Pójdź za mną!”. Eckstein w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że tajne negocjacje pokojowe powoli przynoszą rezultaty na frontach, zastanawiał się jednak, czy pokój - jeśli naprawdę nadejdzie - zmieni charakter narodu izraelskiego na lepsze czy na gorsze...

Benni zapalił Casa Sport, miejscowego papierosa bez filtra, gryzącego jak gaz łzawiący i śmierdzącego jak zeschnięte owcze bobki. Spojrzał na zegarek i postanowił dać ostatniemu z ludzi jeszcze pięć minut, a potem zaczynać bez niego.

Siedzący na prawo od niego Koń powrócił w końcu do swego zwykłego stanu ponurej refleksji. Przez ostatnie dwanaście godzin ów drobny analityk przeżywał prawdziwą emocjonalną huśtawkę.

Najpierw, jeszcze w Jerozolimie, został wezwany do telefonu od samego dowódcy, który podniesionym głosem gdzieś z daleka oznajmił mu rzecz nie pozostawiającą żadnych wątpliwości. Ben-Zion poinformował go, że od tej chwili zostaje zawieszony bez prawa do pensji i ma opuścić miejsce pracy. Ponieważ Benni Baum przebywał za granicą i nikt nie mógł się za Koniem wstawić, pozostawało mu tylko modlić się o jak najszybsze wyjaśnienie sprawy. Gdy z przygarbionymi plecami włókł się w stronę głównego wyjścia z budynku Operacji Specjalnych, zatrzymał go jeden z *ksamim*, specjalista z podziemnych warsztatów, gdzie narzędzia potrzebne w wywiadowczym fachu, na przykład minikamery, przekaźniki i detonatory, przybierały wygląd zegarków, walkmanów i wiecznych piór.

Mężczyzna ten wręczył mu aktówkę z paskiem na ramię, która na pierwszy rzut oka była pusta.

- Uważaj na siebie - powiedział specjalista. - W szwach jest sto tysięcy dolarów. Idź prosto do domu.

Dręczony całkowitym mętlikiem w głowie Koń wszedł jak zwykle do autobusu do Gilo, lecz zanim wszedł do domu, natknął się na samochód z dwoma goryłami z wewnętrznej służby bezpieczeństwa Operacji Specjalnych.

- Idź na górę i spakuj się - powiedział bysiowaty kierowca. - Wypad na trzy dni, klimat jak w Jerozolimie. Nie śpiesz się, masz dziesięć minut.

I chociaż Koń dosłużył się już stopnia kapitana, spełnił rozkazy posłusznie jak rekrut. Ochroniarze zawieźli go na lotnisko Ben-Guriona; podczas szalonej jazdy dostał pakiet podróży zawierający węgierski paszport na przybrane nazwisko, odpowiednie dokumenty, bilet na krótki lot El Al do Kairu i na drugi liniami Egyptair do Casablanki. Trzy razy kazali mu powtarzać instrukcje, ale ani stawem nie wspomnieli o Baumie i w chwili wlatywania w marokańską przestrzeń powietrzną był ogarnięty paranoicznym przeświadczeniem, że Itzik zrobił go jednorazowym kurierem przewożącym gotówkę. Że dostarczy pieniądze na miejsce i już nigdy nie powróci z misji do domu.

Wchodząc do „Cafe de France” z podwyższonym poziomem adrenaliny i zmarznięty od wiatru, niemal zemdleł na widok uśmiechniętej twarzy Ecksteina za balkonową poręczą. Choć przybycie tu nie było dla niego bezbolesne, teraz siedział ze swą „rodziną” przy stoliku, bezpieczny i spokojny. Przeglądał przewodnik po Maroku, Algierii i Tunezji.

Siedzący po lewej ręce Bauma nieduży, ciemnowłosy mężczyzna wcisnął papierosa do czarnej, onyksowej cygarniczki, ścisnął ją w zębach i zapalił elektroniczną zapalniczką. Podpułkownik Szaul Nimrodi, były komendant szkoły spadochronowej w Tel Awiwie, należał do nielicznych niskich mężczyzn, którzy nie czują potrzeby kompensowania niczym swego niewielkiego wzrostu. Ten najmłodszy syn irackiego rabina, który pieszo uciekł z Bagdadu do Jerozolimy, dość wcześnie odkrył, że swoim promiennym uśmiechem potrafi rozbroić przeciwnika, a przebiegłym umysłem może go zabić. Dwadzieścia pięć lat służył w wojskach powietrznodesantowych i zważywszy na to, że tysiące rekrutów skakało za nim przez każdy właz wojskowego samolotu izraelskiego, zyskał sobie coś w rodzaju ogólnokrajowej sławy. Na izraelskich lotniskach, w restauracjach i kinach rezerwiści, czasem już z brzuskami, nadal klepali go po małych, muskularnych plecach, dziękując za pomoc w przezwyciężeniu najgorszego strachu w życiu.

Opowiadano legendy o humorze dopisującym Nimrodiemu w chwilach napięć, lecz darzono go respektem z powodu dyscypliny, którą umiał zaprowadzić, oraz zdumiewającej złości, w jaką wpadał na widok niedbalstwa i braku profesjonalizmu. Potrafił przez trzy godziny trzymać na baczność na sierpniowym słońcu całą kompanię za drobne zaniedbania.

Przez cały okres swej kariery nie było ważniejszej operacji izraelskiego lotnictwa, w której Nimrodi nie odegrałby istotnej roli. Od Wzgórz Golan w 67. po Suez w 73., od Entebbe w 76. po Bejrut w 82., wzywano go zawsze, gdyż historia nie mogła czekać, aż specjaliści od składania spadochronów zajrzą do podręczników. Szef sztabu zlecał zadanie dowódcy wojsk desantowych i piechoty, który zwracał się bezpośrednio do Nimrodiego z pominięciem wszystkich pośrednich szczebli.

- Jutro o siódmej musimy przerzucić 202. batalion do Sydonu - mógł powiedzieć dowódca.

Nimrodi w oparach dymu pstrykał palcami i przedstawiał plan.

- Będziemy potrzebowali sześć C-130, każdy z jednym transporterem, sześć spadochronów towarowych G-111 na pojazd. Zrzucimy M-113 na wysokości sześciu-

set metrów, a żołnierze wylądują na pasie. Dla bezpieczeństwa i rozpoznania najpierw zrzucimy z dwóch C-47 oddział spadochroniarzy, ale właściwy desant będzie bez spadochronów. Dzięki temu zyskamy więcej miejsca na amunicję, ciężkie karabiny maszynowe i granatniki, może nawet po dwa tysiące kilo na samolot. Szacunkowo przerzut głównych sił zakończy się po trzydziestu minutach.

- To się da zorganizować do jutra? - padało pełne wątpliwości pytanie dowódcy. Nimrodi tylko się uśmiechał, a długie bruzdy tworzące się od oczu aż po samą szczękę

zawsze stanowiły dla zwierzchnika sygnał do zakomenderowania: „*Kadimah!* Naprzód!”

W stosunkowo młodym wieku czterdziestu pięciu lat Nimrodi odszedł w końcu na emeryturę, ale nie miał żadnych planów na drugą karierę. Święcie pragnął następne dziesięć lat spędzić z żoną i trzema córkami, pojeździć po świecie, grać w tryktraka na plaży, inwestować na giełdzie, a potem rozejrzeć się za skromnym interesem. Jednakże jego telefon nie przestawał dzwonić ani na chwilę, a przed drzwiami w Nes Ziona pojawiali się oficerowie zarówno w mundurach jak i po cywilnemu. Ludzie tacy jak Benni Baum, z którymi pracował przy wielu skomplikowanych akcjach, nie zamierzali pozwolić mu na pogrążenie się w wygodnym lenistwie. Obecnie pracował jako konsultant w korporacji transportowej Akorda należącej do AMAN-u, a realizującej kontrakty rządu mauretańskiego. Był wolnym agentem i przyjmował rozkazy tylko od własnego sumienia, a telefoniczne wezwanie Ecksteina skłoniło go do szybkiego przelotu do Casablanki, bo chciał sprawdzić, czy może przydać się na coś staremu towarzyszowi broni. Nimrodi spojrzął na Benniego i, podnosząc prawą rękę, pokazał

mu zegarek.

- *Baba*, jeszcze pięć minut - powiedział Baum po angielsku. Nimrodi podróżował z fałszywym irackim paszportem dostarczonym mu przez AMAN w 1991 roku, kiedy cała brygada desantowa przygotowywała się do zrzutu na zachodnią pustynię iracką, chociaż misja ta nigdy nie doszła do skutku. Dokument potwierdzał, że nazywa się Ahmed Tabri, ale od czasu operacji w dolinie Jordanu w 1968 roku, kiedy to nosił kafiję i dowodził oddziałem mówiących po arabsku komandosów, przylgnął do niego przydomek od arabskiego słowa „Tato”.

Nimrodi uśmiechnął się do Bauma, wzruszył ramionami i napił się gorącej, czarnej kawy.

- Mnie się nie spieszy, przyjacielu - rzekł zaskakująco głębokim głosem. W jego angielskim wyczuwało się francuski akcent, a z powodu wyraźnych rysów twarzy często porównywano go do Jeana Paula Belmondo. - To ty chciałbyś zacząć jak najszybciej.

- Tak - przyznał Benni. Spojrzał na rząd stołów, nad którymi pochylali głowy przyjaciele wspominający po cichu dawne misje i przygody. - Dalibyśmy sobie radę tak jak teraz, ale ten ostatni ma przynieść bardzo ważny materiał.

- Wiedza to siła - rzekł Nimrodi. - Poczekamy.

Michael O'Donovan trzymał się trochę na uboczu. Chociaż akcja była mu bliższa niż innym, czuł się kimś z zewnątrz i nie miał nastroju na dzielenie radości z siedmioma obcymi ludźmi. Stał na balkonie przy stolikach, na których leżały do góry nogami krzesła przypominające zdechłe karaluchy. Popijał piwo, palił papierosa i pustym wzrokiem spoglądał w dół na kibiców piłkarskich.

- To nie była awaria, to było odcięcie spowodowane paniką. - David Lerner zwany Didim, siedzący na lewo od Nimrodiego, szczegółowo objaśniał przypadek jego kolegów z wojska. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, mieszkał w Izraelu, a uro-

dził się w Australii. Przedwcześnie wyłysiał, ale młodzieńcza twarz sugerowała, że być może goli głowę specjalnie. Był starszym sierżantem rezerwy z Sayeret Matkal, tajnej jednostki wywiadowczej Sztabu Generalnego, która teoretycznie podlegała rozkazom AMAN-u, ale w rzeczywistości składała raporty bezpośrednio szefowi sztabu. Należał do najlepszych izraelskich ekspertów od skoków z dużych wysokości. Ostatnio otworzył nawet firmę, która zajmowała się szkoleniem spadochroniarzy--amatorów. Interes o nazwie ParaGo balansował na krawędzi bankructwa, ponieważ Lenera bardziej zajmowały skoki niż reklama swych usług podczas defilad z okazji Dnia Niepodległości. Mając na utrzymaniu żonę i dzieci, Didi postanowił zapisać się na studia prawnicze, chociaż nie wierzył za bardzo, że zbyt długo zdoła „pilotować biurko”, nie nabawiając się *kotzim ba'tachat*- kolców w tyłku.

- Ja też tak myślałem - mówił Amir Lapkin. - Nie był jeszcze zbyt daleko od samolotu, kiedy się odciął. Nie pozwolił nawet na całkowite rozwinięcie czaszy, więc wszyscy myśleli, że coś się stało.

Lapkin był w połowie Anglosasem, jak Izraelczycy nazywają ludzi, dla których angielski jest językiem ojczystym. Urodził się w Toronto, a jako dziecko został przywieziony do Izraela. Ze względu na ciemną cerę i długie wąsy przypominał meksykańskiego bandytę. W oddziale Matkal pełnił funkcję oficera, ale podobnie jak we wszystkich takich jednostkach, stosunków międzyludzkich nie określały tam stopnie wojskowe. W cywilu był ogrodnikiem, ale większość czasu poświęcał na składanie spadochronów w ParaGo oraz na utwierdzanie swej pozycji snajpera na olimpijskiej strzelnicy Herzaliya. Kamienną minę uzupełniały grzmiący głos i kompletny brak poczucia humoru.

Naprzeciwko Lapkina i Lenera siedziało dwóch pozostałych mężczyzn. Chociaż byli Izraelczykami, ich nordyckie rysy i rozmowa w *Hochdeutsch* przywodziły na myśl raczej potomków oficerów Gestapo niż ludzi, którzy przetrwali holokaust. Ari Schneller był wysokim blondynem i urodził się w Niemczech. Służył w 35. Brygadzie Zwiadu i już trzy razy brał udział z Bennim Baumem w akcjach na terenie Niemiec. Po odejściu ze służby

przeprowadził się do Wiednia, założył firmę ochroniarską zapewniającą uzbrojoną i świetnie przez siebie wyszkoloną eskortę największym tamtejszym bankom. Klienci zwiedzeni jego typowo aryjskim wyglądem czasami w zaufaniu wspominali przy nim o „starych, dobrych czasach”. Schneller ich wysłuchiwał, pozwalał się wygadać, a potem mówił im prosto w zbaraniałe twarze, że przypadkowo jest nie tylko Żydem, ale i izraelskim komandosem. Telefoniczne wezwanie Ecksteina pozwoliło mu wyrwać się z dusznego austriackiego społeczeństwa.

Schneller sprzeczał się z Rickiem Nabbe na temat *Glocka 9*, plastikowego pistoletu, który według niego nadawał się tylko dla Teksaszczyków. Nabbe miał podobne doświadczenie wojskowe do Schnellera, ponieważ także służył w Sayeret. Urodził się w Belgii, był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, brązowe włosy nosił przycięte jak Juliusz Cezar, spoglądał zza okularów w drucianej oprawce. Dopisywało mu poczucie humoru i słynął z tego, że w niebezpiecznych operacjach wcielał się w postać inspektora Clouseau.

Bezpośrednio dla Bauma jeszcze nie pracował, ale czasami bywał wzywany przez AMAN do udziału w misjach na terenie Francji. Kiedy francuscy inżynierowie dostarczali Saddamowi Husajnowi części potrzebne do zbudowania broni jądrowej, Baum zarekomendował Nabbego w Mossadzie. Ten urodzony w Belgii Izraelczyk najbardziej szczyił się wysadzeniem w Lyonie magazynu z materiałami przeznaczonymi dla Bagdadu.

Nabbe podpisał we Frankfurcie dwuletni kontrakt jako ekspert od ochrony bezpośredniej. Czasami niemiecki GSG-9 prosił go o przeszkolenie antyterrorystów w walce wojskowej, ale większość czasu pracował jako ochroniarz gwiazd rock and rolla, od czego robiło mu się już niedobrze. Po telefonie Ecksteina sugerującym, że czekające go zadania mogą przyćmić przygody w Lyonie, błyskawicznie spakował się i popędził na lotnisko.

Ostatnim członkiem tej niewielkiej grupy „turystów” był drobny mieszkaniec kibucu ostrzyżony na jeża. Nazywano go Sadeen, co po hebrajsku oznacza „prześcieradło”. Rolnik z Galilei dorobił się takiego pseudonimu w wojsku, kiedy to zawsze w plecaku nosił ze sobą prześcieradło i przed wejściem do śpiwora szczelnie owijał się białą tkaniną. Sadeen był najmłodszym z ochotników, ledwie przekroczył trzydziestkę, ale żaden mały oddział nie mógł się obejść bez rąk tak doświadczonych jak jego. Imigrował z Urugwaju i zgłosił się na ochotnika na służbę w Chabalah Mutznachat - sekcji spadochroniarskiej zajmującej się pirotechniką. Wkrótce uznano go za urodzonego geniusza w posługiwaniu się wszelkiego rodzaju materiałami wybuchowymi, toteż szybko przeszedł szkołę oficerską i został przez wojsko wysłany na Uniwersytet Technion w Hajfie. Teraz był już kapitanem rezerwy, ale często wzywano go i przydzielano do jednostek wysyłanych w głąb Libanu. Materiały wybuchowe nigdy nie są bezpieczne; podczas zrzutu mogą eksplodować, mogą się też zepsuć. Ale nigdy coś takiego nie zdarzało się Sadeenowi. Podobno z pustymi rękami mógł pójść na pastwisko owiec i wrócić z chlebakiem pełnym nitrocelulozy.

Lubił towarzystwo, ale teraz siedział sam na końcu stołu obok Ecksteina i jak zwykle coś majstrował. Wysypał zawartość solniczki na serwetkę i sprawdzał wnętrze metalowej zakrętki.

Wszyscy ci mężczyźni, łącznie z Nimrodim, bez trudu zdobywali *Alef-Alef* -podwójne A, czyli najwyższą ocenę - na kursach w Mitkan Adam, ośrodku antyterrorystycznym 1SZ. Gdyby kiedyś wspólnie weszli pod prysznic, można by się u nich doliczyć w sumie dziewięciu blizn po kulach - gdy wyciągali broń na górskich zboczach Libanu czy w ciemnych uliczkach Europy, przeciwnik czynił to samo.

Nagle roześmiał się „Didi” Lerner.

- *Royt*, stary - zawołał z australijskim akcentem, odchylając głowę do tyłu i klepnął dłonią w stół. Amir Lapkin, który najwyraźniej przyczynił się do takiej reakcji, podkręcił węża i przyglądał się Lernerowi ciekawym wzrokiem.

Eckstein odwrócił się od sali głównej i spojrzał na swych „rekrutów”. Ci ludzie istnieli

naprawdę. Nie byli papierowymi bohaterami z książek, lecz żołnierzami, którymi szczylił się cały Izrael. Narazali się nie dla chwały czy medali, lecz dla sprawy, dla przyjaciół, dla rodzin, dla tego wszystkiego, co nazywa się krajem. Ogłuchli częściowo od lat wsłuchiwania się w ogień karabinowy, ale nadal potrafili przemaszerować sto kilometrów, a godzin przebytego szkolenia wojskowego nie policzyłby nikt. Jednakże żaden z tych powodów nie skłonił Ecksteina do wykręcenia właśnie ich numerów telefonu. Można kogoś szkolić przez lata, lecz zanim znajdzie się w ogniu walki, właściwie nic o nim nie wiadomo. Każdy z zebranych tu mężczyzn widział piekło, o północy podchodził diabła, igrał z nim wśród dymu i błysków, brał się z nim za bary.

Benni przyciągnął wzrok Ecksteina i podniósł brwi, wyrażając niepokój oraz zniecierpliwienie. Podniesieniem palca Eytan poprosił o jeszcze jedną minutę, po czym znów odwrócił się w kierunku wejścia do lokalu. Zaraz potem uśmiechnął się, uniósł prawą rękę i pstryknął palcami. Podszedł do niego O'Donovan.

- Czujesz się trochę nieswojo, co Michael? - zapytał Eckstein. Nie było sensu zaprzeczać oczywistym faktom.

- Jak pierwszego dnia w szkole - rzekł detektyw.

- Powinieneś zapoznać się z ludźmi. - Eckstein wziął od O'Donovana puszkę i, jakby chciał zademonstrować zażyłość, napił się piwa.

- Tak - powiedział Amerykanin i rzucił okiem na zebraną grupę. - Na kogo jeszcze czekamy?

- Na kuriera Roselliego. Zrobi ci się różnie, chyba go znasz.

- A kto to jest?

- Zobacz. - Eckstein wskazał podbródkiem wejście do sali.

O'Donovan położył dłonie na balustradzie i pochylił się. Nagle ze zdziwienia wytrzeszczył oczy.

W drzwiach stał detektyw Jeny Binder. Miał na sobie niemiecką parkę w liściasty wzorek i czarny sportowy plecak. Rozglądał się wokół siebie, jakby trafił do innego wymiaru.

- Niech to cholera - szepnął O'Donovan.

- Dobry jest? - zapytał Eckstein.

- Może robić za dwóch - powiedział Amerykanin, nie kryjąc radości.

- Umiesz gwizdać?

O'Donovan spojrział na Ecksteina. Wtem zrozumiał, wsunął dwa palce do ust i wydał ostry, krótki gwizd.

Binder podniósł głowę, odprawił zbliżającego się kelnera i ruszył w stronę schodów.

Gdy O'Donovan witał postawnego gliniarza na górze, jego twarz nadal wyrażała miłe zaskoczenie. Binder nie lubił odsłaniać emocji, więc energicznie uścisnęli sobie ręce i ruszyli w stronę stołu.

- Jeny! - odezwał się przytłumionym głosem młodszy z policjantów. - Skąd ty tutaj?

- A co? Myślisz, że Langley ma na liście tylko ciebie jako byłego żołnierza Sił Specjalnych? - burknął Binder, gdy Baum podniósł się na przywitanie. - Służyłem w Sfinksie, kiedy ty jeszcze sikałeś w pieluchy.

- Skąd Roselli wiedział?

- Skurnale nie dają mi spokoju. - W gruncie rzeczy był jednak dumny, że jeszcze raz został wezwany do akcji. - Potrzebowali kogoś, kto ponosi wam torby i popilnuje wam tyłka. - Wykonał palcami ruchy, jakby pisał na klawiaturze komputera. - Wpisali twoje nazwisko i wyrzuciło im mnie.

- Guzik ci wierzę - powiedział szyderczo O'Donovan. - Pojechałeś do Wirginii i zrobiłeś komuś awanturę.

- Spadaj - rzekł Binder i uścisnął dłoń Baumowi.

- Miło mi cię znowu widzieć - odezwał się Benni. - Nie jest to dla mnie niespodzianką.

- Ja też się cieszę - powiedział Binder. - Jak się do ciebie zwracamy?
- Schmidt.
- *Yawohl*. - Binder uśmiechnął się i strzelił obcasami. - Ja jestem Alicja z Krainy czarów.
- Jak się urwalesz? - zapytał O'Donovan.
- Mam urlop.
- Pani porucznik musi się wkurzać.
- Chyba przeniesie nas do Bromu.

O'Donovan roześmiał się po raz pierwszy od porwania Ruth. Pojawienie się Bindera przywróciło mu poczucie równowagi, jak gdyby błądząc w nocy po lesie natknął się na bliźniego z mapą i latarką.

Binder otworzył plecak, wyjął ze środka kopertę i podał ją Baumowi, a później wysunął puste krzesło i usiadł pomiędzy Szaulem Nimrodim a Didim Lernerem. Z onyksową cygarniczką w zębach Nimrodi uśmiechnął się do niego.

- Mów mi Ma- powiedział.
- Ja jestem Binder.
- Lepsza byłaby jakaś ksywa.
- No to Pająk.

Nimrodi najpierw spojrział na czarne włosy Amerykanina, potem na szeroką szczękę, aż wreszcie przeniósł wzrok na potężną klatkę piersiową opiętą kurtką. Nie było w nim nic z delikatnego pajęczaka.

- Masz tatuaż? - zapytał Nimrodi.
- Tak, tarantulę - powiedział, marszcząc ze zdziwienia brwi. - Na lewym biodrze.
- Po prostu zgadłem. - Nimrodi pokiwał głową. - Jesteś taki wielki.

Binder chrząknął, a potem rozejrzał się po pozostałych zebranych, którzy czekali z uśmiezkami na jego ripostę.

- Ale mam małe wymagania - powiedział.

Ari Schneller, który był wyższy, ale szczuplejszy, roześmiał się i wyciągnął rękę przez stół. Idąc w jego ślady, pozostali mężczyźni ściskali mu dłoń i wymieniali swe imiona.

O'Donovan zajął miejsce naprzeciwko Bindera, Eckstein wsunął krzesło pomiędzy Konia i Bauma, i wszyscy skupili się bliżej siebie. Nimrodi bez pytania odwrócił się plecami do nich i zajął się obserwacją.

Benni otworzył kopertę, wyjął wydruk komputerowy, trzy czarno-białe fotografie, złożoną mapę oraz mały prostokątny skórzany futerał. Sporządzony przez CIA szczegółowy plan zachodniej części Algierii graniczącej z Marokiem był bardzo duży i Benni uznał, że lepiej go na razie nie rozkładać. Wyraźne fotografie robione były z satelity *KH-11* lub z *Blackbirda SR-71*. Na pierwszy rzut oka wyglądały na dwuwymiarowe, lecz w gruncie rzeczy powstały z dwóch negatywów naświetlonych pod różnymi kątami. Na zdjęcia należało nakierować schowaną w futerałce przeglądarkę składającą się z zestawu obiektywów na wysuwanym statywie. Zapewniała ona trójwymiarowy obraz stwarzający wrażenie obserwowania ludzi, wyraźnych budowli i ukształtowania terenu z wysokości nie większej niż trzysta metrów. Na razie jednak Benni pozostawił przeglądarkę w futerałce.

- A zatem, panowie - powiedział po angielsku, odwracając zdjęcia i przytrzymując je ręką.
- Zaczynamy.

Uśmiechy zniknęły z twarzy, wszyscy pochylili się i natężyli słuch, aby nie przeszkadzały im dolatujące z dołu odgłosy meczu.

- Przede wszystkim mamy mało czasu, więc nie będę was zanudzał całą historią. Powiem tylko, że chociaż mój szef wie o tej akcji, chodzi o sprawę prywatną i że jest to czyste szaleństwo. - Benni przerwał, niepewny czy ochotnicy zdają sobie sprawę, że nie chroni ich rządowy kokon. - Jeśli coś się nie powiedzie, nie ma mowy o żadnej ekstradycji czy wymianie.

Nikt nie zareagował na tę zawołaną propozycję wycofania się. Wszyscy patrzyli na Bauma z niecierpliwością palaczy czytających na paczce papierosów ostrzeżenie ministra zdrowia.

- Istnieją dwa główne problemy - kontynuował Benni. - Po pierwsze odbijamy moją córkę Ruth, którą uprowadziła i więzi Martina Klump wraz z towarzyszami.

Aż do tej pory nikt nie wspominał nowo przybyłym o naturze misji. Wszyscy byli przyzwyczajeni do niespodzianek na odprawach, obowiązywały jednak żelazne zasady, jedna z nich mówiła, że jeśli misja ma polegać na odbiciu czyjegoś członka rodziny, to człowiek ten jest automatycznie skreślony z listy uczestników. Siedzący tyłem Nimrodi odwrócił głowę i przyjrzał się Benniemu.

- Wiem - rzekł Baum. - Druga sprawa nie jest lepsza. Klump posiada wyrzutnię przeciwokrętową skradzioną z amerykańskiego konwoju. Za niecałe trzy dni mamy u wybrzeży Maroko wymienić z Hezbollahem szejka Saída na naszego kapitana Dana Sarela. Ona zamierza przeszkodzić w sfinalizowaniu tej transakcji.

Kilku ze zgromadzonych otworzyło usta, ktoś zapalił papierosa. Sadeen odstawił solniczkę i sięgnął po puszkę z piwem.

- Tak, przyjaciele... - Benni zapalił kolejnego papierosa, zakrztusił się i spojrzał na niego jak na robaka. - Sprawa jest prosta. Nie różni się od ćwiczenia egzaminacyjnego w Bahd Echad. - Wspomniał o szkole oficerskiej ISZ. - Odbicie zakładnika i uniemożliwienie porywaczom dalszego działania.

Rzeczywiście taki problem można uznać za standardowy dla elitarnych jednostek izraelskich, lecz nikt przy stole nie zgadzał się z Baumem, że sprawa jest prosta. W żyłach zakładniczki płynęła jego krew i ewentualność jej śmierci paraliżowała zgromadzonych. Wszyscy milczeli. Benni dostrzegł w ich oczach wahanie. Musi dodać im pewności siebie, dodać im siłę, żeby za nim poszli.

- *Chevrey*- wypowiedział hebrajskie słowo „koledzy”. - Wasze współczucie jej nie uratuje. Nic nie da wasze milczenie. Do roboty.

Pierwszy ocknął się „Didi” Lerner. Opuścił pięści na stół, zatrzęsły się napoje.

- *Aworyt* - powiedział Australijczyk. - Najpierw wyeliminujemy problem numer dwa. Przełożmy wymianę.

- Słusznie - przyznał Amir Lapkin. - Pokrzyżujmy Klump plany, to zostanie nam tylko sprawa zakładniczki.

- Kto to jest ta Klump? - zapytał Sadeen z hiszpańskim akcentem.

- Niemiecka terrorystka - mruknął Ari Schneller, jakby było mu wstyd, że ona pochodzi z jego ojczystego kraju. - Naprawdę straszna kobieta.

- Maczała palce w podłożeniu bomby w naszej ambasadzie w Buenos Aires - powiedział Rick Nabbe. - To Hezbollah mścił się za zabicie przez nas Husajna Mussawiego.

- Ma na koncie więcej - wtrącił Eckstein. - Ale to teraz nieważne. Później pokażemy ci jej życiorys.

- No dobrze. - Didi napił się Pepsi z puszki. - Dlaczego wymiana nie została jeszcze odwołana?

Nikt przy stole nie odpowiedział. Wszyscy znali odpowiedź, ale woleli oglądać sobie paznokcie. Sytuację musiał rozładować Benni.

- No dlaczego? - powiedział podniesionym głosem, jak zdenerwowany nauczyciel oczekujący odpowiedzi. - Słucham.

- Bo Klump mogłaby się czegoś domyślić - stwierdził Jerry Binder. Benni pokiwał głową.

- A wtedy...?

- Zabije zakładniczkę - odważył się Rick Nabbe. Mówił to z bólem, ale ktoś musiał.

- Dobrze. - Benni uderzył w stół. - Jeśli Klump wyczuje zagrożenie, zabije Ruth. Powiedzmy to sobie wprost. Nie ma czasu na ceregiele.

Szaul Nimrodi wstał z miejsca i zaczął się przechadzać, a dym z papierosa kłębił mu się wokół głowy.

- Ma rację - powiedział. - Zapomnijcie o sercach. Myślcie tak, jak was uczono.

- Dobra - rzekł Ari Schneller, odwołując się do twardszej strony swej natury. - Gdzie znajduje się cel? Co to za budynki? Ilu ludzi jej pilnuje? Pojazdy, broń, środki komunikacji?

Koń trzymał w dłoni dostarczony przez Arta Roselliego komputerowy wydruk i porównywał go z mapką w przewodniku.

- Zainstalowali się w zachodniej części algierskiej Sahary, koło miejsca zwanego Taghit - odezwał się. Z trudem można było zrozumieć jego angielski, bo wyraźnie miał on rosyjski akcent.

- To teren zabudowany? - zapytał Lapkin.

- Taghit tak - odparł Koń. - Nasz cel jednak znajduje się na wydmach.

- Mieszkają w namiotach? - Na tę myśl Rick Nabbe aż się wzdrygnął.

- Mają pod piaskiem zakopane samochody kempingowe - powiedział Eckstein. - Jak amerykańscy biedacy.

- Boże - westchnął Binder.

- Ilu? - znów zapytał Schneller.

- Co najmniej piętnastu - rzekł Benni. - Być może dwa razy tylu.

„Didi” Lerner szybko przeliczył zgromadzonych przy stole, było jedenaście osób.

- Ilu z nas weźmie udział?

- Zostaje Koń i jeszcze co najmniej jedna osoba.

Nikt nie zauważył, że Koniowi wyraźnie ulżyło. Wszyscy spoglądali na Benniego, z którego słów jasno wynikało, iż on sam też zamierza wziąć w akcji bezpośredni udział.

- Zostaje nas dziewięciu - rzekł Sadeen.

- Nas dziewięciu na ich może czydziestu - Rick Nabbe zaseplenił jak Clouseau. - To nie fair wobec tych biednych łajdaków.

Niektórzy się uśmiechnęli.

- Nie wiemy, jaką bronią dysponują - mówił Eckstein. - Jednak musimy założyć, że mają granaty i karabiny maszynowe. Może do tego ręczne granatniki oraz noktowizory.

- A z czym my wchodzimy? - ironizował O'Donovan. - Ze scyzorykami?

- To już moja sprawa - rzekł Szaul Nimrodi. - Na razie porozmawiajmy o wspinaczce po górach Atlasu.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale zaraz zrozumieli, że chodzi mu o zmianę tematu. Od strony schodów nadchodził kelner.

- Panowie, potrzebny będzie suchy prowiant na trzy dni - powiedział Rick Nabbe.

- W klubie turystycznym przy Force Armee będą wiedzieli, gdzie kupić - dorzucił Eckstein.

- *Ca va, mes ami?* - zapytał kelner, podchodząc do stołu.

- *Oui, tres bien* - powiedział Nimrodi. - *Un cafe du cafe, si'l vous plait.*

- *Noir?*

- *Au lait*

- *D'accord.* - Kelner uklonił się i poszedł. Na dole wybuchł nagły hałas. Maroko strzeliło gola.

Kiedy zrobiło się ciszej, przemówił Binder.

- Jak daleko jest stąd do celu? - Odchylił głowę i odegnał dym z papierosa Nimrodiego.

- Daleko - powiedział Eckstein. - Ale jutro przeniesiemy się bardziej na południe.

- Do Marakeszu - wyjaśnił Benni.

- A stamtąd? - zapytał Schneller.

Koń podniósł głowę znad wydruku komputerowego.

- Do algierskiej granicy pozostaje jeszcze około pięciuset kilometrów. - Podał kartkę

Baumowi.

Lapkin zagwizdał i spróbował oszacować, ile czasu trwałaby droga lądem.

- Jaki tam jest teren?

- Zdaje się, że Marakesz od granicy dzieli Atlas Wysoki - powiedział Nimrodi. Znów obserwował schody i uczestniczył w rozmowie tyłem. - To nie były pagórki, przyjaciele.

- Jakiś dzień jazdy - odezwał się O'Donovan.

Benni czytał właśnie wydrukowaną informację od Arta Roselliego. Była to pojedyncza kartka, ale zawierała mnóstwo informacji.

01 30 GMT. Samolot wylądował na 31°15'30"N 20°17'45"W. Zgodnie z włączonym urządzeniem radiolokacyjnym od dwunastu godzin nie zmienił położenia. Obraz w podczerwieni sugeruje, że nastąpiło całkowite wyłączenie silników, trzy schrony zachowują ciepło i aktywność, dwa działające samochody, co najmniej piętnaście osób obsługi. Aktywność radiowa małego zasięgu, brak transmisji na dalsze odległości. Prognoza pogody na najbliższe 72 godziny: wiatr umiarkowany południowy i południowo-wschodni o prędkości 10 do 13 węzłów, temperatura od 18 do 28 stopni Celsjusza, możliwe przelotne opady. Ruch lotniczy niewielki, jeden przelot wojskowy i...

- Wygląda na to - mówił Benni - że Klump, część jej ludzi i zakładniczka oraz pocisk wylądowali odrzutowcem przy obozowisku. Samolot jest unieruchomiony, ale działa urządzenie radiolokacyjne, więc mamy precyzyjne namiary.

- Ciekawe, po co uaktywnili transponder? - zastanawiał się Sadeen.

- Rzeczywiście - zgodził się Binder. - Zwariowali.

- To niebezpieczne założenie - powiedział Eckstein. Rick Nabbe spojrzał na Bauma.

- Czy twoja córka... - Ugryzł się w język. - Czy zakładniczka mogła to zrobić? Benni pokręcił głową.

- Nie wiedziałyby, jak się za to zabrać.

- Idzie kawa! - ostrzegł Nimrodi.

Gdy pojawił się kelner z dużym, metalowym dzbankiem i tacką szklaneczek z grubego szkła, Nabbe zaczął improwizować.

- Proponuję wejść przez dwa dni i porobić trochę zdjęć do gazet.

- Świetnie - zgodził się Didi. - Może wtedy starczy nam na piwo. Kelner odszedł i uśmiechy z twarzy zniknęły.

- W takim razie za dźwignię pociągnął ktoś z załogi - rzekł O'Donovan.

- Wiadomo, ilu ich leciało? - zapytał Schneller.

- Dwóch - powiedział Benni. - Kapitan i drugi pilot.

- Cholera - szepnął Lapkin.

- Co jest? - zapytał Schneller.

- Nie rozumiesz? - Lapkin zwrócił się do wysokiego blondyna. - Piloci nie trzymali z Klump. Ona ich też porwała, więc włączyli transponder.

- A niech to - zaklął Binder. - Teraz mamy już trzech zakładników.

Pojawienie się nowego aspektu sprawy wywołało ponure milczenie. Odbicie żywcem jednego zakładnika to skomplikowana sprawa, ale odbicie trzech zakładników i to prawdopodobnie przebywających w różnych miejscach, to prawdziwy koszmar.

- Problemy się potroiły - szepnął Nabbe.

- Albo jeszcze gorzej - mruknął Koń, ponieważ taką miał przykrą rolę, że do niego należało odmalowywanie najczarniejszych scenariuszy.

- Opowiadaj, *Sus* - polecił Eckstein.

Najpierw Koń zdjął okulary i zaczął je czyścić serwetką, a potem głęboko westchnął.

- Być może ta pani Klump sama włączyła urządzenie radiolokacyjne. Miałoby ono przyciągać uwagę do tamtego miejsca, a ona, pocisk i zakładnicy zostali przeniesieni.

Benni oklapł na krześle. Masował sobie sprężyste mięśnie karku i pogrążał się w otchłani

nowych wątpliwości.

- Chryste, człowieku - zwrócił się do Konia Binder, a drobny analityk skurczył się, jakby ze strachu przed pożarciem. - Nie możemy tego rozpatrywać, bo dostaniemy pierdolca.

- Istnieje taka możliwość - bronił Konia Nabbe.

- Dosyć - rozkazał Benni, unosząc rękę. - Pająk ma rację. Musimy poczynić jakieś najprostsze założenia, bo inaczej nie będziemy mogli kiwnąć palcem.

- - Nadal jednak mamy trzech zakładników - rzekł O'Donovan, przypominając o dwóch bezbronnych pilotach.

- Nie - Benni starał się panować nad głosem. - Jednego. Kiedy ona będzie już bezpieczna, zajmijmy się drugą sprawą. - Wyraźnie było widać, że gotów jest poświęcić życie pilotów. Nawet gdyby Ruth nie była jego córką, jako dowódca mógłby bez wahania podjąć taką decyzję i nikt nie miałby mu za złe motywów.

- A więc przeznaczasz ich na stracenie?- nalegał O'Donovan. W głębi serca chciał, żeby Benni całkowicie skoncentrował się na Ruth, jednak te egoistyczne pobudki skłaniały go do zajęcia przeciwnego stanowiska.

Benni rzucił mu porażające spojrzenie.

- Michael, jeśli chcesz, możesz zająć się pilotami. Reszta z nas będzie postępować zgodnie z planem.

O'Donovan chwilę masował sobie szczękę, a potem skapitulował.

- Poddaję się.

- Dobra. Jeśli zdołamy, nimi też się zajmijmy.

- Ile wynosi odległość od granicy do celu? - zapytał Nabbe.

- Około osiemdziesięciu kilometrów - oznajmił Koń.

- Ciekawe, czy dałoby się skołować jakieś pojazdy? - zastanawiał się Schneller.

- Do granicy tak - rzekł Eckstein. - Ale tam musimy je zostawić i dalej pójść pieszo. A algiercy pogranicznicy nie są ani mili, ani przekupni.

- Cholera jasna! - eksplodował Jeny Binder i zniżył głos dopiero, gdy Nimrodi położył mu dłoń na ramieniu. - Ludzie, mamy sześćset kilosów przez góry, wydmy i diabli wiedzą, co jeszcze. Nawet w podrasowanych Land Roverach czy na odpornych na kurz motocyklach Suzuki nie dalibyśmy rady określić, kiedy tam dojedziemy.

Cała grupa eksplodowała pomysłami i związanymi z nimi nowymi problemami. Zbliżał się impas. Jak przy każdej operacji specjalnej, kwestia transportu wzbudzała najwięcej niejasności. Ci ludzie przygotowani byli do walki. Problem stanowił dojazd.

- *Mes ami! Mes ami!* - Rick Nabbe uniósł ręce do góry i stopniowo wszyscy się uspokoili. - Nie dajmy się zwariować. - Uśmiechnął się lekko i położył dłonie na stół.

- Wszyscy wiemy, dlaczego jesteśmy akurat my, zgadza się? Tu nie ma morza, więc nie jesteśmy płetwonurkami. Nie ma śniegu, więc nie jesteśmy narciarzami. - Spojrzał na Jerryego Bindera i zadał pytanie tradycyjnie zadawane zarówno w Fort Bragg i w Pekinie: - Kim jesteśmy? Pająk.

Na chwilę pomiędzy brwiami Bindera pojawiła się bruzda, a potem się uśmiechnął.

- Spadochroniarzami - odpowiedział oschle.

- Słusznie. Jesteśmy spadochroniarzami. - Nabbe uważnie przyjrzał się reszcie mężczyzn. - Wszyscy. - Popatrzył na Ecksteina. - Dlatego my zostaliśmy wezwani. Prawda, *monsieur* Anthony? Po to jest tu Didi. - Wskazał palcem plecy Nimrodiego. -I po to jest *Baba*. Mam rację?

Eckstein uśmiechnął się, zerknął na zegarek i, marszcząc brwi, spojrzał na Nabbego wzrokiem nieukontentowanego dowódcy plutonu.

- Całkiem niezłe, Rick - powiedział. - Dojście do tych wniosków zajęło ci tylko dwadzieścia siedem minut.

- Poszłoby mi szybciej - odparł Nabbe, wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła

- ale nie widzę samolotu.

Na kilku twarzach pojawiły się uśmiechy. Owszem, posiadali umiejętności i doświadczenie. Na pewno udaloby im się skoczyć, ale wytrzaśnięcie w tym miejscu samolotu o odpowiednim zasięgu wraz ze sprzętem do skoków z dużych wysokości wydawało się czystą fantazją.

- Może Bóg nam pomoże - powiedział Benni. On też się uśmiechał.

- Naprawdę? - zawołał Nabbe. - W takim razie... - Sięgnął po serwetkę, położył ją sobie na głowie i zaczął mamrotać modlitwę. - Samolot, piloci, spadochrony, *mon Dieu*. Samolot, piloci, spadochrony...

Znów rozległy się śmiechy, ktoś zerwał mu serwetkę z głowy.

- No dobra - Benni przywrócił grupę do porządku. - Założmy, że dotarliśmy już do celu. - Mówiąc te słowa, zdał sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza Ecksteinowi. Bez jego dalekowzroczności już w fazie rekrutacji, nie mieliby najmniejszych szans na powodzenie. Spojrzał na Eytana rozmawiającego z Didim.

- Nawet jeśli dostaniemy się do granicy - ostrzegał - to i tak przed nami jeszcze daleka droga.

- Zamiast HALO - zdecydował Didi - skoczmy HAHO.

Te dwa typy skoków znacznie się od siebie różnią. W przypadku HALO (*High Attitude Low Opening*, duża wysokość, niskie otwarcie) przez minutę do dwóch od opuszczenia samolotu należy z gwizdem lecieć w dół, a spadochron otworzyć dopiero na minimalnej wysokości potrzebnej do bezpiecznego wylądowania. Cały skok trwa wówczas zaledwie kilka minut.

Druga technika, HAHO (*High Attitude High Opening*, duża wysokość, wysokie otwarcie) wymaga otwarcia czaszy zaraz po opuszczeniu samolotu, a potem nawigacji pozwalającej przelecieć na spadochronie wiele kilometrów przed siebie.

- Świetnie - wtrącił Binder. - My skoczmy, a po pół godzinie tyłki nam zamarzną.

- To dlatego kazałeś nam zabrać dwie pary *gatke* - powiedział Sadeen do Ecksteina, używając słowa oznaczającego w jidysz kalesony. - Mam rację, *batardol*

Eckstein niewinnie wzruszył ramionami.

- Pożyczę ci swoje - zaproponował Schneller Binderowi. - Ja jestem zimnokrwisty. Binder prychnął.

- Ale odległość od granicy i tak jest za duża - rzekł Nabbe, którego rozsądek zagłuszał entuzjazm.

- Najpierw polecimy na niskim pułapie do granicy - Nimrodi odezwał się głębokim tonem w stronę schodów, ponieważ nadal siedział odwrócony, popijając kawę z mlekiem. - Potem wzbijemy się wysoko, zatoczmy szeroki łuk na terenie Algierii i wrócimy, zanim zdążą podnieść raban. - Właściwie przyszła mu do głowy pewna modyfikacja tego planu, ale uznał, że Baum nie jest jeszcze gotowy, aby jej wysłuchać.

- *Baba* - odezwał się Lapkin. - Ja chyba zaraz naprawdę uwierzę, że ten samolot istnieje.

- Będziemy mieć samolot - powiedział Nimrodi i machnął ręką.

- A spadochrony? - zapytał z powątpiewaniem Didi.

- Też. Mogą nam się przydać - bez cienia ironii powiedział drobny pułkownik. Ktoś zachichotał.

- To mój projekt - powiedział Eckstein. - Didi, skaczemy na zawleczkę, a nie na spadochron pilotujący. - Pogroził palcem Lernerowi. - Żadnej szamotaniny.

Didi odwzajemnił się uśmiechem. Doświadczeni spadochroniarze lubili rezygnować z otwierania spadochronu zawleczką i wtedy wypuszczali tak zwany spadochron pilotujący, który rozwijał się i dopiero wtedy pociągał za sobą całą czaszę. Spadochron pilotujący jest spakowany w długiej kieszeni na dole po prawej stronie zakładanego na plecy pakunku. Pewnego razu gdy Lerner i Eckstein skakali razem, Eytan sięgnął po pilotujący spadochron i

okazało się, że jest zmięty i zablokowany. Na widok zmagających Ecksteina Didi podleciał do niego i użył całej swej siły do wyciągnięcia z kieszeni niesfornej szmaty. Obydwaj otworzyli spadochrony na wysokości poniżej pięciuset metrów. Zdyszani bez słowa zeszli z lądowiska, wypalili całą paczkę papierosów i nigdy potem nie wspominali o tym wydarzeniu.

- A co z innym sprzętem? - zapytał Lapkin.

- No właśnie - dodał Binder. - Na przykład z karabinami.

- Pracujemy nad tym, przyjacielu - powiedział Nimrodi. Najwyraźniej jego „praca” polegała na szukaniu pomysłów w obłoczku dymu unoszącym się znad koniuszka papierosa.

- Warto by zrobić listę - zaproponował Schneller.

Koń wyciągnął niewielki notesik na pomarańczowej spirali przydzielany oficerom ISZ. Benni zdziwił się jego bez troską, ale w końcu Koń przecież normalnie nie pracuje w terenie.

- Ja potrzebuję latarki - powiedział Didi. - Także czarną taśmę izolacyjną, I to dużo.

- Okulary ochronne - dodał Lapkin. - Osłonki na rękawy i mankiety.

- Noże - dorzucił Schneller.

- A hełmy? - zapytał Sadeen.

- Nie - odparł Eckstein. - Wystarczą kominiarki, prawda? Wszyscy pokiwali głową. Binder przymknął oczy.

- Wysokościomierze - dodał Nabbe, ale zaraz ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że nie ma szans na znalezienie tutaj takiego sprzętu.

- Ja i Lapkin mamy swoje - rzekł Didi. - Więcej nam nie potrzeba. - Przy skokach HAHO wystarczy po prostu umówić się na policzenie do iluś po wyskoczeniu przed otwarciem spadochronu, a potem szybować za dowódcą. O ile uda się go w nocy dostrzec.

- Kompas - powiedział O'Donovan. - Każdy powinien mieć. Koń pisał z zacięciem.

- Woda. - Lapkin odgiął najpierw jeden palec, a potem następne. - Baterie, linki do wspinaczki, zapalniczki, porządna apteczka. - Unikał spoglądania prosto na Bauma. - Kto oprócz mnie ma kurs medyczny?

Nabbe, Schneller i Sadeen podnieśli ręce.

- Nosze - powiedział Benni. - W razie gdyby trzeba było kogoś nieść. - Starł się nie dopuszczać do myśli obrazu ciała Ruth spoczywającego na noszach.

- I tak dochodzimy do problemu wydostania się stamtąd.

- Na razie zostawmy to w spokoju - rzekł Eckstein. Nie chciał psuć atmosfery poruszeniem drażliwszych tematów.

- Dobrze - zgodził się Didi. - Ale nosze powinniśmy mieć.

- Maszty namiotowe! - strzelił nagle Koń, a potem zaczerwienił się na twarzy. Dokończył jednak swoją wypowiedź. - Można kupić namiot i z niego zrobić nosze.

- Świetna myśl - powiedział Benni, kładąc analitykowi dłoń na ramieniu. - Zapisz to. Będziemy też potrzebować toreb do niesienia sprzętu.

- I jeszcze futerały na magazynki albo coś innego do noszenia amunicji - rzekł Schneller i spojrzał na Nimrodiego. - Zakładając, że będziemy mieli amunicję.

- Stary, naboje możesz trzymać w magazynku - powiedział ostro Nimrodi. - Przecież nie wyczaruję specjalnych pasów.

- Możemy trzymać amunicję w torbach razem z bronią - rzekł Lapkin. - Na miejscu ją załadujemy.

Ostrożni Izraelczycy są przyzwyczajeni do skakania z bronią zapakowaną w płócienną worki, aby nie wystawały żadne metalowe części, o które mogłyby zahaczyć linki. Wyjątek stanowiły oczywiście strefy zrzutu uznane przez wywiad za „gorące”, wtedy broń przymocowywano bezpośrednio do ciała. Z kolei Amerykanie zawsze mieli w zwyczaju skoki w „kowbojskim stylu”.

- Moja broń będzie naładowana, zabezpieczona i przymocowana taśmą do ręki - powiedział Binder.

- A co ze sprzętem do komunikacji? - zapytał Didi.
- Lepiej wrócić do łączności radiowej - powiedział Binder. - Przydałby się radiotelefon ze słuchawkami.
- Dopisz przy tym, że to pomysł Pająka - powiedział Benni do Konia.
- Są jakieś szanse na noktowizory? - zapytał z nadzieją Sadeen, choć niewiele wskazywało na to, aby dano się zorganizować drogie elektroniczne wzmacniacze światła.
- Obawiam się, że tylko na te, które mamy od urodzenia - powiedział Benni, pokazując palcem swoje oko.
- Obawiasz się - powiedział Nabbe. - Ja już narobiłem w portki.
- A propos - rzekł Eckstein. - Przejdźmy do sprzętu szturmowego.
- Przydałoby się coś do rozpraszania uwagi - powiedział O'Donovan. Miał na myśli granaty oszłamiające, które hukiem i błyskiem mogą przez chwilę narobić sporo zamieszania.
- Coś wykombinuję - obiecał Sadeen.
- Tylko nic mocnego - ostrzegł Schneller. - Nie przy zakładnikach. Sadeen skinął głową.
- Co z oświetleniem miejsca walki? - zapytał Lapkin. W ciemnościach nocy może być trudno odróżnić terrorystów od uprowadzonych. Zazwyczaj w takich okolicznościach grupa szturmowa stosuje flary, które opadają powoli na spadochronach.
- Flary? - Sadeen zmarszczył brwi. - Tego obiecać nie mogę.
- Może zwykłe race ratunkowe? - zaproponował Didi. - Lepsze to niż nic.
- Dobrze - powiedział Benni.
- Zróbmy makietę - zaproponował O'Donovan. Często w przypadku wojskowych operacji specjalnych tworzono szczegółową miniaturę celu, do którego należało się dostać.
- Zrobimy. - Benni wskazał palcem fotografie. - Ale jutro. Teraz musimy podzielić się zadaniami.

Koń ostrożnie położył jedno ze zdjęć na kolanach, a potem wyjął z futerału przeglądarkę, rozłożył statyw i pochylił się nad wziernikiem.

- Zapomnieliście o czymś - odezwał się Szaul Nimrodi. Obserwował właśnie dwóch Marokańczyków wychodzących z toalety, którzy jednak szybko wrócili do oglądania meczu, więc nie zarządził ciszy.

- O czym? - zapytał Benni.
- O przeciwnikach - powiedział drobny pułkownik. - Kim są jej ludzie? Jakie mają doświadczenie?

Benni pragnął przełożyć rozmowę na ten temat aż do wypracowania pewnych szczegółów technicznych. Jeżeli istnieje przeciwnik z krwi i kości, wówczas podczas opracowywania planów zmienia się nastrój. Młodzi żołnierze wolą na temat wroga nie wiedzieć nic, podczas gdy ludzie doświadczeni chcą znać każdy szczegół.

Wszyscy spoglądali na Benniego.

- Martina Klump dowodzi małą grupą wolnych strzelców - powiedział, zapalając papierosa i wypuszczając obłok gryzącego dymu. - To nie amatorzy.

- Stanowią odłam Hezbollahu - uzupełniał wstęp Benniego Eckstein. - W Libanie zostali przeszkoleni i zdobywali doświadczenie. Z całą pewnością brali udział w akcjach w strefie bezpieczeństwa. - Chodziło mu o kontrolowany przez Izrael pas w południowym Libanie, gdzie często dochodzi do starć pomiędzy żołnierzami ISZ a fundamentalistami.

- Być może to oni przygotowali zamach bombowy w konsulacie na Manhattanie - dodał O'Donovan. - A już z całą pewnością to oni napadli w Marylandzie na konwój wiozący pocisk, wysadzili pojazd pilotujący i wymordowali większość *Marines*.

Lapkin i Sadeen unieśli brwi, natomiast Schneller mruknął w ojczystym języku: „*Schweine*”.

- A więc nie będą spieprzać jak zające - stwierdził po cichu Didi.
- Nie - przyznał Benni.

- Czy ktoś popiera te ich akcje? - zapytał Lapkin. - Nazywają się jakoś?
- Tym razem nikt - rzekł O'Donovan.
- A nazywają się Yadd Allah - powiedział Benni.

Nimrodi odwrócił do niego głowę. Wyjął z ust onyksową cygarniczkę.

- Yadd Allah?

Baum zamknął oczy i skinął głową.

- Może ktoś przetłumaczy - poprosił Binder.

- To znaczy Ręka Boga - powiedział Eckstein, a potem spojrzał na uśmiechającego się Ricka Nabbe. - Co cię tak śmieszy?

Nabbe nie odpowiedział od razu. Wbił wzrok w „Didiego” Lemera, który najwyraźniej wiedział, co Belg ma zamiar powiedzieć. Nabbe w zamyśleniu podrapał się po nosie.

- Kiedyś miałem instruktora, który twierdził, że wszyscy spadochroniarze to szaleńcy. Jedno życie to dla nich za mało, więc bez przerwy starają się zakończyć jedno i rozpocząć drugie. - Didi poczerwieniał na twarzy, a Nabbe mówił dalej. - Uważał, że skoki spadochronowe to popełnianie samobójstwa i jakby próba ratowania przez rękę Boga.

- Zdaje się - Didi upił Pepsi z puszki - że mówiłem wtedy „przez nylonową rękę Boga” - poprawił.

- Tak - przyznał Nabbe. - Tak właśnie mówiłeś, *mon ami*.

Przez chwilę panowała cisza i wszyscy zastanawiali się nad własnymi motywacjami do działania, nad stanami psychicznymi rządzącymi ich życiem, zmuszającymi do popełniania czynów nierozważnych albo bohaterskich - nazwa zależy od punktu widzenia. Krótki rachunek sumienia przerwało masowe szurnięcie krzesel o podłogę. Mecz dobiegł końca.

Koń oderwał się od przeglądania zdjęć lotniczych. Odłożył je grzbietem do góry na stole i ze zmarszczonym czołem schował przeglądarkę. Benni natychmiast zauważył zmianę nastroju analityka.

- Mów, Koń - polecił. - Po to tu jesteś.

Nie bez powodu nazywano Chernikovskiego „koszmarem Benniego Bauma”. Do jego zadań nie należało komplementowanie zalet oddziału, lecz informowanie, w co się może wkopać. W operacjach specjalnych nie stawiano piątek za to, że ktoś się stara.

- Nic z tego nie będzie - wyszeptał.

- Wyjaśnij to. - Benni skinął na pozostałych, w piersiach czuł ból.

- W taki sposób wam się nie uda - powiedział już pełnym głosem Koń. - Kryjówki Klump znajdują się pod ziemią w wąwozie z twardego piasku. Widać tylko kilka odpowietrzników i może kilku strażników. Ale nic poza tym.

Wszyscy słuchali z uwagą, nikt mu nie przerywał. Zdawało się, że zgromadzeni mężczyźni wstrzymali oddechy.

- Nie można tak po prostu zaatakować - ciągnął Koń. - Nawet jeśli dostaniecie się w pobliże, po cichu zabijecie strażników, to i tak nie wiadomo, w której kryjówce Klump trzyma dziewczynę. - Nie odważył się wymienić imienia Ruth. - Choćbyście znaleźli wszystkie drzwi i wysadzili je, to zabraknie czasu. To nie to co zwykle pomieszczenia z oknami. Oni tam mają zakopane samochody kempingowe i to najprawdopodobniej połączone tunelami. - Rozejrzał się po skupionych twarzach. Czuł się jak prelegent skazany na wygłaszanie przygnębiających wykładów. - Walka będzie przypominać wojnę w okopach, tylko że przeciwnicy pod każdym względem będą mieli przewagę. - Na chwilę przerwał i drżącą ręką podniósł czyjaś szklaneczkę z kawą. - Zakładniczki najprawdopodobniej pilnują uzbrojeni ludzie. I z całą pewnością mają odpowiednie rozkazy.

Nad całą grupą zaległa cisza przypominająca mgłę nad cmentarzem. Wydzielająca się przed chwilą adrenalina zamieniła się teraz w środek uspokajający.

- Niezły kubek chłodnej zimnej wody na głowę - szepnął Jerry Binder. Z tonu wynikało, że nie ma za złe Koniowi, lecz raczej wyraża szacunek wobec jego profesjonalizmu.

- Co dalej? - Benni przyciskał sobie palcami oczy. - Jakie wnioski? Koń wyprostował plecy.

- Przed atakiem zakładniczka musi się znajdować na powierzchni - powiedział z przekonaniem w głosie. - Klump z jakichś powodów musi ją wyprowadzić na zewnątrz. Szefie - zwrócił się do Bauma - trzeba chyba znaleźć sposób, żeby ją do tego skłonić. Ona powinna sama tego chcieć.

Szaul Nimrodi powoli odwrócił krzesło i usiadł obok Bauma. Już dłużej nie musiał się obawiać, że ktoś niepowołany może ich podsłuchać. Brakowało mu pomysłów i modlił się tylko, że umysł Bauma nadal pracuje tak znakomicie, jak kiedyś w Bejrucie, w Suezie, w zakazanym mieście Petra, kiedy byli młodzi, głupi i szybcy jak atakujące zmije.

- Masz na to jakiś sposób, przyjacielu? - wyszeptał Nimrodi.

Benni odchylił się do tyłu, zamknął oczy i złożył ręce na piersi. Próbował opanować ból w skroniach, próbował nie dopuszczać do siebie obrazu Mai płaczącej nad świeżym grobem w Jerozolimie. Martina musi wyprowadzić Ruth na powierzchnię. Sama musi tego chcieć i nie może to być gest spontaniczny, lecz zaplanowany i opracowany. A do tego może dojść jedynie wtedy, gdy Martina będzie wypełniać warunki jakiejś umowy. Gdy będzie zmuszona zastosować się do jakichś ustaleń.

- Być może istnieje jakiś sposób - powiedział.

Czuł, że wszyscy pochylają się w jego stronę i próbują telepatycznie odgadnąć jego myśli. Otworzył oczy i ujrzał swych ochotników wpatrzonych w niego jak dzieci, które rozpaczliwie chcą zadowolić rodziców. Benni ułożył dłonie na krawędzi stołu.

- Bóg wie, jak bardzo kocham córkę - mówił. -I Bóg zechciał, żeby Martina Ursula Klump kochała swoją matkę.

18

Nowy Jork

Po zachodzie słońca we wnętrzu czarnego Jeepa Cherokee zrobiło się tak zimno jak w grobowcu Eskimosów wydrążonym wśród drzew alaskańskiej tundry.

Od kilku godzin silnik pojazdu nie działał, dmuchawa była równie nieruchoma jak zardzewiała śruba zatopionej krypy i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa płyn w akumulatorze przybrał konsystencję deseru lodowego. Z powodu stanowczego zakazu używania radia samochodowego para wydobywająca się z ust unosiła się pod dach i wisiała tam w ciszy przerywanej od czasu do czasu przez stłumiony trzask dolatujący z ukrytego odbiornika. Chociaż nie minęła jeszcze dziewiętnasta, było ciemno jak o północy, a dwoje funkcjonariuszy Połączonych Sił Zwalczenia Terroryzmu patrzyło przed siebie tępym wzrokiem. Twarze mieli alabastrowe, a ciała tak sztywne jak tusze karpia w kącie szklanej gabloty na targu rybnym.

Agentka specjalna FBI, Jill Greene, przybrała pozycję półleżącą na odchylonym oparciu fotela dla pasażera, ponieważ w innym razie widoczna byłaby zbyt duża część jej sylwetki przekraczającej metr osiemdziesiąt wzrostu. Blond włosy kryły się pod czapką narciarską z nausznikami, a gruby brązowy golf zasłaniał kanciastą szczękę. Mogłaby założyć na nogi getry, ale gdyby musiała biec, czułaby się jak w stroju płetwonurka. Miała więc na sobie kombinezon narciarski i torebkę na pasku z legitymacją oraz *Smith & Wessonem*. Wydawało jej się, że jeszcze nigdy tak bardzo nie przemarzła, marzyła o tym aby rozmasować zeszywniałe ciało odzianymi w rękawice dłońmi. Jednak mogła sobie pozwolić tylko na ruszanie palcami w niebieskich butach sportowych Nike, ponieważ nie chciała zwierzać się ze swojego stanu przed partnerem.

Detektyw nowojorskiego Departamentu Policji, John de Vizio, nie był aż tak ambitny. Kulił się, siedząc na fotelu kierowcy, ubrany w zieloną parkę nałożoną na gruby sweter, pod którym miał kewlarową kamizelkę (zakładaną teraz tylko zimą) oraz bawełniany marynarski golf. Ciało osiągające już wiek średni również wbił w czarny, nieco dziecinny kombinezon

narciarski i opatulił się szarym, wełnianym kocem. Wiedział, że Greene jest przeciwna takiej maskaradzie, uniemożliwiającej podjęcie natychmiastowej akcji, podobnie zresztą jak jego elektrycznym skarpetom. Guzik go jednak obchodziło, co ona myśli. Była dwa razy młodsza od niego, a on miał dwadzieścia lat doświadczenia więcej i tysiąc razy częściej brał udział w takich torturach, szumnie zwanych przez nią i przez jej zasmarkanych koleśki inwigilacją. Klepał się po udach, przewracał to na prawo to na lewo jak tuńczyk rzucony na pokład łódki, jęczał i co jakiś czas spoglądał na swoją partnerkę. Green siedziała nieruchomo jak sfinks.

- Nie mów, że nie jest ci zimno - warknął.
- John, jest mi zimno.
- Taa, zimno ci.
- Tak.

- Przecież to już trudno nazwać zimnem. To pierdolona ciemna strona Księżycy. Green uśmiechnęła się. Nie wyrażała się w taki sposób jak John, całkowicie

wykluczyła ze swego leksykonu używane w liceum wulgarne słownictwo. Robiła karierę w FBI, a kobieta nie ma na nią szans, jeśli zachowuje się tak prostacko jak jej koleżki. Lubiła jednak słuchać jego przekleństw z przypuszczalnie taką samą nostalgią, z jaką nawrócona prostytutka ogląda filmy pornograficzne.

- Green, jak ty to robisz? - znów zwrócił się do niej de Vizio.
- Co takiego, John?
- Marzniesz tyle godzin i nawet nie drgniesz.
- Jestem kobietą - odpowiedziała, wpatrzona w wejście pod numerem 167 przy Wschodniej 89. Ulicy. - Stworzeniem wyższej kategorii. Mam dodatkową warstwę tłuszczu.
- Dodatkową warstwę tłuszczu to ja też mam na dupie.
- Rzeczywiście - przyznała.

De Vizio zrezygnował z dalszego przekomarzania się i wyjrzał przez zaparowaną szybę. W kierunku wejścia do „Das Edelweiss” podążało dwoje starszych ludzi. Wyczyścił rękawiczką okrągły fragment szyby, podniósł aparat fotograficzny Olympus z teleobiektywem o ogniskowej trzysta milimetrów. W środku miał film o czułości 320 ASA.

- Szkoda fady - powiedziała Greene. - Oni tylko tędy przechodzą.
- Jeśli tego nie zrobię, to pewnie mnie zakapujesz - mruknął de Vizio. Drżały mu ręce, ale zdołał zrobić zdjęcie. Odłożył aparat na fotel. - Siedem godzin lodówki i nic.
- John, do tego może dojść tylko raz - przypomniała mu tonem instruktora z akademii. - W każdym razie warto czekać. Tylko raz jeden z jej ludzi może się okazać beztróski i wejść nam w drogę. Odpowiedni człowiek w nieodpowiednim dla siebie czasie.
- Spędziłem z Królową Śniegu siedem godzin, a teraz jeszcze muszę wysłuchiwać jej wykładu.

- Przecież mnie lubisz, John. - Greene znów się uśmiechnęła. Nie spuszczała oczu z odległych drzwi. - Trochę cię irytuję, bo jestem za młoda, żebyś mnie podrywał, i mam za wysoki stopień, żebyś mną komenderował. Ale jestem dobra i lubisz mnie.

De Vizio nie odpowiedział, tylko wydał z siebie dźwięk, jak gdyby właśnie wdepnął w końskie łajno.

- Ja ciebie też lubię - kontynuowała Greene. - Ciągłe się wściekasz, bo potrafisz dotrzymać ci kroku.
- Jezu Chryste, znowu te stare gadki. Dotrzymujesz mi kroku?
- Tak. Chyba nie chcesz powiedzieć, że to ty mi dotrzymujesz?
- Mam z tego powodu zasranego kaca wielkości zeppelinu Goodyear.
- Tak czy siak - Greene wzruszyła ramionami - w grę wchodzi twoja duma.
- Eeee. - Zmagając się z mankietem parki, de Vizio próbował spojrzeć na zegarek. - Psychologiczne pieprzenie FBI - mruknął, wpatrując się w oświetlony cyferblat. - Ile jeszcze przed nami tej nudy?

Greene rzuciła na niego okiem, a potem szybko powróciła do obserwowania obiektu. Podczas odprawy Jack Buchanan podkreślał, jak ważne jest schwytanie przynajmniej jednego człowieka z siatki Marty Klump. Kradzież pocisku nie była

już tajemnicą, rozeszła się również wieść o ucieczce terrorystki z kraju. Podejrzewano, że na terenie Stanów Zjednoczonych pozostało co najmniej dwóch członków jej komórki, poza tym wiadomo było również o pobycie jej matki w domu starców, oddalonym zaledwie kilka metrów od Greene. O ataku terrorystów należało milczeć, nie wiedziały o nim nawet media. Jill zdawała sobie sprawę, że jeśli jej i Johnowi dopisze szczęście, to pochwały na ich temat trafią do gabinetu samego Dyrektora. Za wcześnie jednak... Ile jeszcze czasu będą tam siedzieć?

- Aż dorwiemy skurwieli - wybuchła nagle Greene.

Wolnym ruchem de Vizio odwrócił głowę w jej stronę. Greene nigdy nie odzywała się w ten sposób. Na jego zdziwione spojrzenie odpowiedziała poważnym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

- Teraz naprawdę zaczynam cię lubić - powiedział.

Po usłyszeniu słabych kroków dobiegających od strony de Vizio oboje instynktownie chwycili za broń. Nie wyciągnęli jednak pistoletów, bo ich ręce powstrzymała strefa mózgu odpowiedzialna za podejmowanie decyzji. Przyjaciel czy wróg? Niewinny przechodzień czy morderca?

Mężczyzna na dworze nie wyglądał groźnie. Był gładko ogolony, miał na głowie czarną czapkę i z zimna przestępował z nogi na nogę. Zanim jeszcze odchylił kurtkę, pokazując kamizelkę kuloodporną ukrytą pod swetrem, de Vizio uznał go za jednego ze swoich.

Detektyw otworzył do połowy okno i szeroko się uśmiechnął.

- Jeśli szukasz jakiegoś ciepłego posiłku, to masz pecha, kolego. Możemy ci zaproponować tylko mrożoną kawę.

Przybysz odwzajemnił się uśmiechem.

- Przychodzimy was złuzować.

Greene pochyliła się w kierunku otwartego okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Czy my się znamy? - zapytała, wyprzedzając typowe dla de Vizio pytanie: „Coś ty, kurwa, za jeden?”

- Jim Sprengel. - Pokazał im swoją legitymację. - Nie jesteśmy ze Zwalczenia Terroryzmu, tylko z E Street. - Główna siedziba administracyjna FBI zajmuje w Waszyngtonie cały teren pomiędzy Ulicą E a Pennsylvania Avenue, a tylko nieliczni agenci pracują właściwie całkowicie poza budynkiem J. Edgara Hoovera. „E Street” to sekretne określenie identyfikacyjne.

Sprengel obejrzał się przez ramię, a Jill Greene podążyła za nim wzrokiem i kilkanaście metrów z tyłu dostrzegła starego Chevy Malibu z rejestracją Dystryktu Columbia. O błotnik opierała się drobna sylwetka w zimowym stroju. Wyglądała na kobietę, co potwierdziło się, gdy pomachała ręką i odsłoniła torebkę na pasku, w której noszą broń wszystkie kobiety pracujące w FBI.

De Vizio wziął legitymację Sprengela, obejrzał ją i oddał.

- Buchanan chce, żebyście wrócili na miejsce - mówił Sprengel. - Dzisiaj wieczór my tu zostajemy.

Nazwisko Buchanan rozwiało większość wątpliwości w umysłach Greene i de Vizio. Niemniej nie mogli ustąpić miejsca agentom nie pochodzącym ze Zwalczenia Terroryzmu.

- Niczego nie słyszeliśmy. - De Vizio spojrzał na Motorolę pod deską rozdzielczą.

- Lepiej to sprawdźcie - powiedział Sprengel z odrobiną niecierpliwości. - Chcielibyśmy już się zainstalować i wsiąść do samochodu. Zimno jak diabli.

De Vizio sięgnął pod deskę rozdzielczą, zdjął z nadajnika mikrofon i oparł go o dolną część kierownicy. Nacisnął guzik nadawania i, patrząc na Sprenglera, powiedział:

- Teflon Jeden do bazy.

Czekał chwilę, ale prócz szumów nie rozległy się żadne inne dźwięki. Spróbował ponownie.

- Teflon Jeden do bazy. Słyszycie mnie? Odbiór.

W odpowiedzi po krótkiej przerwie znów rozległy się szумы. Wydawało się, że dyspozytor Połączonych Sił Zwalczenia Terroryzmu próbował się z nimi połączyć, ale jego głos był całkowicie nieczytelny.

- Pieprzona technika. - De Vizio przymocował mikrofon na swoim miejscu. - Nie lepiej byłoby zastosować sznurek i papierowe kubki?

Sprengel rzucił okiem na bezużyteczny sprzęt, a potem spojrzał na agentów Zwalczenia Terroryzmu, jak gdyby byli z drogówki i mieli zardzewiałe rewolwery. Potem stanął obok samochodu z wyprostowanymi plecami.

- Coś wam powiem. Róbcie sobie, co chcecie, możecie czekać do woli, ale my i tak obejmujemy posterunek.

Odwrócił się i wrócił w stronę Malibu. De Vizio zamknął okno.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Jill Greene.

- Że wszystkie te typki z Biura zachowują się, jakby kij połąkali.

- John, pytam, co sądzisz o powrocie?

- Aa. - De Vizio stuknął palcami w kierownicę. - Możemy zadzwonić z automatu.

- No to chodźmy.

Detektyw znów spojrzał na zegarek.

- Mam propozycję - powiedział. - Mieliśmy zejść z posterunku dopiero za godzinę. Skoczmy teraz do „Mumbles”, zjemy coś na ciepło, a zadzwonimy potem. Wszystko pójdzie gładko, nie powinniśmy stracić więcej niż dziesięć minut. - Uśmiechnął się figlarnie, niepewny czy partnerka zgodzi się na jego plan.

Greene popatrzyła na niego jak na małego, grubego diabełka, który szepcze jej do ucha pokusy. Zawsze postępowała zgodnie z regulaminem, ale trochę ją dotknęła uwaga o kiju i agentach FBI. Nie widziała niczego złego w krótkim wypadzie. Poza tym na posterunku pozostają ludzie z Waszyngtonu.

- No to jedźmy - powiedziała.

- Żartujesz?

- Szybko, bo się rozmyślę.

De Vizio włączył silnik. Gdy zjeżdżał na jezdnię, spojrzał do tyłu i dostrzegł, że Malibu zamrugał światłami.

- Francuska zupa cebulowa - mrucał po drodze. - Kawa po irlandzku. - Prawie czuł, że Greene, ciągnąc za dźwignię i prostując oparcie fotela, również się uśmiecha. - Będiesz mi mogła opowiedzieć wszystko o naszej miss ucieczek, Ewie Braun.

Greene dała mu kuksańca w bok.

Sprengel wjechał Malibu na krawężnik, ale nie wyłączył silnika i ogrzewanie utrzymywało we wnętrzu przyjemne dziesięć stopni Celsjusza. Ci ludzie ze Zwalcza-

nią Terroryzmu wiedzą, co to dyscyplina; tyłki zmarzły im jak rosyjskim snajperom, ale nie okazali nawet cienia zdenerwowania. Czuł niemal wyrzuty sumienia z powodu czarnego pudełeczka w kieszeni zawierającego nadajnik krótkiego zasięgu emitujący zakłócenia na częstotliwości UHF, który potrafi zamienić odbierany dźwięk w niezrozumiały bełkot. Jednak i tak na nic by się zdały ich poświęcenia. On dokładnie znał miejsce pobytu dwóch pozostałych „wieprzy” Klump i wiedział, że tej nocy nie zjawią się tu pod żadnym pozorem.

Obejrzał się na siedzącą za nim drobną kobietę. Zdjęła wełnianą czapkę narciarską i odsłoniła krótkie, brązowe włosy, po czym odpięła kombinezon. Miała kościstą, męską twarz, ale dzięki głosowi mogłaby zbić niezłą kasę w sekstelefonie. Otworzyła stojącą między nogami dużą torbę treningową.

Najpierw położyła sobie na kolanach klawiaturę komputerową z niepodłączonym przewodem. Następnie wyjęła telefon komórkowy Panasonic, położyła go na półce pomiędzy swoim a Sprengela fotelem i podłączyła kabel do samochodowej zapalniczki. Z winylowego pudełeczka wyciągnęła słuchawki z mikrofonem i założyła je sobie na uszy, a wtyczkę wsunęła w gniazdo aparatu. Na koniec wzięła mały notes z przymocowaną miniaturową lampką oraz podręczny nadajnik Uniden. Popatrzyła na Sprengela.

- Pusto? - zapytała.

Patrzył, jak czerwone światła Cherokee giną za rogiem 89. i Trzeciej.

- Pojechali.

Lane przyłączyła zasilanie do nadajnika Uniden i przyłożyła go do ust.

- Możecie wjeżdżać, Leśnik.

Nie minęło pół minuty, gdy wnętrze Malibu wypełniło światło rzucone przez karetkę pogotowia z napisem OŚRODEK MEDYCZNY CABRINI, która wtoczyła się na ulicę i stanęła przy wejściu do „Das Edelweiss”. Otworzyły się tylne drzwi pojazdu i na chodnik wyszła ubrana na biało pielęgniarka z długim, szarym płaszczem na ramionach. Sięgnęła do środka i wysunęła składany wózek inwalidzki.

Z kabiny od strony pasażera wysiadł na ulicę wysoki mężczyzna w wypucowanych butach, ciemnym garniturze, granatowym płaszczu z kaszmiru oraz w kapeluszu. W dłoni trzymał czarną, lekarską torbę, a na kołnierzyku koszuli z obu stron błyszczał stetoskop. Mężczyzna zamknął drzwi, spojrzął w kierunku Malibu i poprawił kapelusz.

Następnie podszedł do pielęgniarki, pomógł jej rozłożyć na chodniku wózek, wszedł po schodach, nacisnął dzwonek i uniósł czarną torbę. Drzwi stanęły otworem.

W Malibu Lane uniosła radiotelefon.

- Gama, tu Alfa. Leśnik jest w środku.

W odpowiedzi usłyszała dwa krótkie trzaski. Przełączyła zasilanie na Panasonika i wyświetlacz telefonu zaświecił na zielono.

Blżej środka Manhattanu, po północnej stronie 66. Ulicy, pomiędzy alejami Park a Madison, znajdował się prywatny gabinet lekarski doktora Ernsta Hoffmeyera. Lekarz poszedł już do domu, ale aż do dwudziestej pełniła dyżur recepcjonistka. Wielu z pacjentów doktora, ze względu na jego łagodne usposobienie i płynną znajomość niemieckiego, należało do podeszłych wiekiem imigrantów ze starego kraju.

Na rogu Park i 66. Ulicy, przy otwartej studziencie odgradzonej od nieuważnych przechodniów półokrągłym ogrodzeniem z tabliczką roboty drogowe, stała ciężarówka firmy telekomunikacyjnej NYNEX. Z tyłu siedział młodzieniec w białym kasku i co jakiś czas zaglądał do studzienki, jednak przede wszystkim rozglądał się dokoła groźnym wzrokiem rewolwerowca broniącego dyliżansu.

Drugi mężczyzna w kasku siedział w studziencie. Odłożył do futerału nadajnik Uniden, a następnie pochylił się nad grubym pękiem kolorowych kabli. Odnalezienie przewodów Hoffmeyera zajęło mu prawie dwie godziny, ale udało się i zdążył już nawet zdjąć osłonkę z końcówek. Przyłączył do nich dwa zaciski, sprawdził sygnał w swojej pomarańczowej słuchawce, a potem przełączył je do aparatu komórkowego, podobnego do tego jaki miała Lane, ale z niedostępną jeszcze w handlu funkcją przekazywania połączenia pod inny numer. Wcisnął klawisz zasilania i spojrzął na zegarek. W takim zimnie baterie szybko się wyczerpią.

Lekarz podchodzący do kontuaru recepcyjnego w „Das Edelweiss” nie nazywał się Ernst Hoffmeyer, ani nawet go nie udawał. Właściwie nigdy na oczy nie widział tego człowieka, którego pensjonariusze „Das Edelweiss” uważają nie tylko za lekarza, ale także za przyjaciela i powiernika. Przybyły mężczyzna przedstawił dokumenty doktora Petera Kradjela, członka zespołu kardiochirurgów Ośrodka Medycznego Cabrini.

- Dobry wieczór. - Podał legitymację lekarską stojącemu za kontuarem mężczyźnie o trupiej twarzy. - Przyjechaliśmy po panią Katharinę Oberst.

- *Guten Abend* - przytomnie odpowiedział starszy wiekiem portier. Spojrzał na legitymację i szybko ją oddał. - *Frau Oberst?* - Podniósł się z krzesła i spojrzał na wózek inwalidzki. Pielęgniarka posłała mu uśmiech, a on z powrotem usiadł na krześle. - Nic mi nie mówiła. Czy ona jest chora, doktorze...?

- Kradjel.

- *Ja*. Proszę wybaczyć, panie doktorze. - Portier przeniósł wzrok na potężne barki lekarza. Ten amerykański profesjonalista w średnim wieku musi dużo czasu spędzać na sali gimnastycznej.

- Nic groźnego - powiedział Kradjel. - Musi przejść kilka badań, EKG *und so weiter*.

- O - w oczach portiera pojawił się blask. - *Sprechen Sie Deutsch?*

- *Ein Biben*. - Kradjel uśmiechnął się.

- *Sehr gut, Herr Doktor*- powiedział portier. Przeszedł na angielski, bo nie chciał trudzić lekarza, skoro jego umiejętności językowe były minimalne. - Proszę wybaczyć moje wahanie, ale...

- Oczywiście. - Kradjel sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął kartę badań z nagłówkiem Cabrini i wyraźnie wpisanym nazwiskiem Katharina Oberst.

Portier popatrzył na dokument, chociaż machnął ręką, jakby wcale tego nie potrzebował.

- *Ja*, dziękuję. - Wcale jednak nie był przekonany. Trzydzieści lat był urzędnikiem cywilnym w Bonn i trudno mu było przeżyć jakiegokolwiek odstępstwo od procedury. - *Herr Doktor*, nie mam żadnych wątpliwości co do tych badań. Absolutnie żadnych. Jednakże...

- Czy to znaczy, że doktor Hoffmeyer pana nie poinformował?

Portier odetchnął z ulgą.

- *Ja*, no właśnie! Doktor zawsze uprzedza o takich sprawach.

- Może więc zadzwoni pan do jego gabinetu - rzekł z cierpliwością Kradjel.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Lekarz wskazał dłonią staroświecki telefon biurkowy.

- Chwileczkę, *jal* - Portier, przesuwając palec po liście umieszczonej na blacie, odnalazł i wykręcił numer.

W gabinecie doktora Hoffmeyera przy 66. Ulicy telefon nie zadzwonił. Recepcjonistka zastanawiała się nawet, dlaczego ta przeklęta centralka nagle przestała świecić jak choinka, ale ucieszyła się z chwili wolnego i zajęła się kartkowaniem „Vogue'a”.

W zimnym tunelu pod ulicą telefon komórkowy również nie zadzwonił, ale po raz piąty od kilku minut zapaliła się dioda. Zmarznięty technik trzymał kciuki z nadzieją, że tym razem jest to ten, na który czekają.

W Malibu ponownie zadzwonił telefon. Słysząc go było wyraźnie, bo Sprangel wyłączył silnik i nagrzewnicę. Lane odebrała już telefony od czterech pacjentów Hoffmeyera i zanotowała na kartce wiadomości. Natychmiast włączyła słuchawki i zaczęła stukać w klawiaturę, żeby stworzyć odpowiedni podkład dźwiękowy.

- Gabinet doktora Hoffmeyera.

- Dobry wieczór. Mówi Franz z Domu Spokojnej Starości „Das Edelweiss”.

- Czym mogę służyć? - Lane odezwała się jak niezadowolona recepcjonistka i skinęła głową do Sprenglera.

- Eee... Jest u nas pan doktor Kradjel - mówił portier - ze szpitala Cabrini.

- Doktor Hoffmeyer ma pacjenta. - Z tonu głosu Lane wynikało, że szefowi lepiej nie przeszkadzać. - Czy on chce rozmawiać z doktorem?

- Ależ nie, moja droga - rzekł portier. - Doktor Kradjel przyjechał zabrać *Frau Oberst* do szpitala na badania.

- Katharinę Oberst?

- Tak, tak.

- Chwileczkę. - Lane zasłoniła mały mikrofon dłonią, spojrzała na Sprengela i uśmiechnęła

się. Sprengel uniósł rękę jak kierownik planu w studiu telewizyjnym, a potem opuszczał dłoń, za każdym razem pokazując o jeden palec mniej. Ruchami warg bezgłośnie odliczał: cztery, trzy, dwa, jeden.

Lane odsłoniła mikrofon.

- Doktor Hoffmeyer prosi, żeby natychmiast oddać panią Oberst pod opiekę doktora Kradjela.

- Tak jest! Oczywiście! - odpowiedział portier tak, jak potrafią tylko Prusacy.
- Prosił też, żeby podziękować za pana czujność.
- Dziękuję, proszę pani. Do widzenia.
- Do widzenia.

Lane wcisnęła klawisz zasilania Panasonic i cały system zgasł. Rozparła się w fotelu i głęboko odetchnęła. Szybko jednak biorąc się w garść, podniosła nadajnik Uniden.

- Gama, tu Alfa. Kontakt został nawiązany. Można rozłączać. Odpowiedziały jej trzy trzaski w mikrofonie, po czym technik podłączył linię

Hoffmeyera. Po chwili Lane znów włączyła telefon, zdjęła słuchawki i wystukała numer do recepcjonistki Hoffmeyera. Razem ze Sprengel musieli przekazać jej przechwycone telefony. Spojrzała do notesu.

- Na początek facet - Lane uśmiechnęła się do partnera - dzwonił w imieniu żony, która ma infekcję pochwową.

- Dam sobie z tym radę - powiedział Sprengel, podnosząc słuchawkę...

Portier, uspokojony i zadowolony z faktu, że postąpił w zgodzie z procedurą, odprowadził doktora Kradjela i jego pielęgniarkę do windy, a potem wrócił na swój posterunek. Właściwie wcale nie dziwiły go kłopoty z sercem Frau Oberst. Niewątpliwie ostatnie wydarzenia z udziałem tej młodej kobiety, strzelanina i policja, solidnie nią wstrząsnęły. A z całą pewnością wypadki poruszyły całym domem. Sam Franz wołał zwyczajne, spokojne wieczory, kiedy pensjonariusze o dziewiętej kładli się do łóżek, a on mógł się zająć kolekcją swych znaczków.

Drzwi windy otworzyły się i ze środka wyszła pielęgniarka pchająca wózek. Drobną sylwetką Frau Oberst wyglądała jak duży pluszowy miś. Była przykryta grubym, wełnianym kocem, a białe loki przykrywał beret ozdobiony szpilą. Tuż za wózkiem podążał lekarz, a gdy zbliżyli się do drzwi, zwrócił się do portiera.

- Dziękuję panu za pomoc. Przywieziemy panią Oberst pojutrze.

- Miło mi było pana poznać. - Pokiwał do wyjeżdżającej pensjonariuszki. - *Auf Wiedersehen Frau Oberst! Viel Glück!*

Doktor Kradjel przytrzymał drzwi, a pielęgniarka bez słowa wyprowadziła wózek. Frau Oberst uśmiechała się, ale nie pokiwała Franzowi, bo ręce miała zajęte odpieczętowywaniem czekoladowej buteleczki wypełnionej brandy. Pod kocem na kolanach miała ich całe pudełko.

Na schody wbiegł kierowca karetki, żeby pomóc pielęgniarce znieść wózek.

- Dacie sobie radę we dwójkę? - zapytał lekarz.

- Spokojnie - odpowiedzieli pielęgniarka i kierowca.

Lekarz obszedł kabinę samochodu i wszedł do środka. Zdjął rękawice, zatarł ręce i sięgnął do apteczki po mały nadajnik Uniden, dokładnie taki sam, jaki miała Lane.

- Tu Leśnik. Zwijamy się. Wyjeżdżamy na drogę. - Przerwał, zastanawiał się chwilę, aż w końcu jeszcze raz włączył mikrofon. - Alfa, słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie - odpowiedział głos Lane.

- Zadzwoń do Bethesda. Powiedz chłopakom, że „krążek siedzi w bramce”, albo jakieś inne bzdury związane z hokejem. Odbiór.

- Przyjęłam - odpowiedział głos Lane. Słysząc było w nim radość.

- Alfa, jest jeszcze jedna rzecz - dodał lekarz. - Należy zniszczyć legitymację. Żadnych pamiątek. Słyszycie?

- Głośno i niechętnie - odpowiedziała Lane.
- Zjeżdżamy stąd.

Lekarz odłożył nadajnik do apteczki, usiadł wygodniej, odetchnął, a potem sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę Marlboro. Zapalił papierosa, otworzył okno i wypuścił na zimne, nocne powietrze obłok dymu.

Cała ta operacja była niezbyt legalna i wolał przypomnieć Sprengelowi oraz Lane o zniszczeniu wszystkich dokumentów. Stosunki pomiędzy Langley a Biurem zawsze balansowały na krawędzi wrogości i nie byłoby zbyt dobrze, gdyby personel Firmy

został przyłapany na podrabianiu dokumentów FBI. Zwłaszcza, że gdy Jack Buchanan dowie się o zwolnieniu z posterunku jego ludzi ze Zwalczania Terroryzmu, zacznie się rzucać jak małpa z podpalonym ogonem.

Wyjął z kieszeni koszuli legitymację szpitala Cabrini i zaczął mieć plastikowy prostokącik jak kartę kredytową nastolatka, który nadużywał przywilejów. W domu w Wirginii, w podłogowym sejfie, trzymał tajną kolekcję z drobnymi pamiątkami po każdym kamuflażu, w jaki przyoblekał się w swojej karierze. Jednak ta misja była równie nielegalna jak podsłuch u papieża i doktor Kradjel powinien zniknąć, nie pozostawiając po sobie ani jednego śladu.

Zastanawiał się, czy potrzebne było to ryzyko, czy zaprocentuje jakoś na pustyni odległej o sześć tysięcy kilometrów. Faks Bauma z Casablanki był dość jasny. Zawierał pełną rozpaczę prośbę, wręcz błaganie, ale całość brzmiała logicznie, więc nie pozostawało nic innego, jak spełnić prośbę. Benni Baum nie tracił bystrości umysłu. Nie mając żadnego sposobu na zaszyfrowanie wiadomości, przy użyciu angielskich liter napisał fonetycznie długi faks po hebrajsku.

„Chaver szeli. Yesz li bakaszah elechah... Przyjacielu, mam pewną prośbę...”

Dał tę wiadomość szyfrantom, żeby popatrzeć z satysfakcją, jak się nad nią pocą.

Trzasnęły tylne drzwi karetki, a kierowca wskoczył do kabiny i zapalił silnik. Z prawej strony minął ich Malibu. Gdy ruszyli, lekarz otworzył okienko z tyłu kabiny. Na bocznej ławeczce siedziała pielęgniarka. Uśmiechnęła się i pokazała mu kciuk skierowany do góry.

Widział też starą kobietę na metalowym wózku z kołami przytwierdzonymi do podłogi. Bawiła się prezentem i z emocjami myślała o czekającej ją drobnej przygodzie zapowiadającej się na odskocznicy od monotoni mijających po sobie takich samych dni i nocy.

- Roxanne, dbaj o nią - powiedział Art Roselli do pielęgniarki. - Żebyśmy nie wplątali się jeszcze w stosowanie przemocy w stosunku do staruszki. Mamy już na sumieniu uprowadzenie.

Fouad Ibn Khalid Fasjee nie spał od prawie dwudziestu czterech godzin.

Czujnymi oczami wyglądał przez przednią szybę Hondy. Zimny deszcz dudniący o dach zwielokrotniał jego ból głowy, a szlamu w ustach nie dawało się zmasać żadnym jedzeniem, które wmuszał w rozstrojony żołądek.

Bynajmniej nie chodziło mu o to, że Fahmi, jego partner, chrapie w śpiworze na tylnym siedzeniu i nie zaproponował, że też będzie w nocy czuwał. Wkurzało go, że kiedykolwiek obejmuje zmianę, czuje się jak kot w mokrym worku i ma już serdecznie dosyć wpatrywania się w dach samochodu.

Szaleństwem było parkowanie od tyłu dni na terenie szpitala amerykańskiej Marynarki. Owszem, od czasu do czasu przestawiali samochód, ale zmuszeni byli utrzymywać w zasięgu wzroku główne wejście. To też głupota, bo żeby skutecznie obstawić wszystkie wejścia do budynku, potrzeba by ze dwudziestu ludzi.

Co prawda Martina wyjaśniła im, że ich obecność przed szpitalem to bardzo istotna sprawa, że w ten sposób informuje pułkownika Bauma o swoich ludziach na terenie USA, sugerując, że Fahmi i on to jedynie czubek góry lodowej jej agentów, jednakże z upływem każdej godziny stawało się coraz jaśniejsze, że przypadła im rola ofiary.

Do tej pory Amerykanie z całą pewnością znaleźli już ukryty karawan i limuzynę, zdjęli odciski palców i zebrali dowody. Prokurator generalny zgromadził już pokaźną ilość zarzutów, a jeśli dodać jeszcze zarzuty oficera Marynarki, policjanta z Nowego Jorku, *Marines* z Marylandu i córki Bauma, to mogą zostać oskarżeni o napaść, morderstwo, uprowadzenie, kradzież, sabotaż i Allach wie, o co jeszcze.

Chwycił kierownicę i, wpatrując się w kamienny gmach szpitala, wyobrażał sobie, że z każdego zaciemnionego okna śmieją się do niego ludzie z lornetkami przy oczach.

- *Kuś ochtach* ara- zaklął pod nosem, ale zaraz skarcił się za utratę wiary. Zebrał się w sobie i odzyskał spokój, który pozwolił mu przetrwać trzy nie kończące się dni i lodowate noce.

Ani w radiu ani w gazetach nie było mowy o żadnych dramatycznych wydarzeniach, a z całą pewnością, gdyby Martina i reszta zostali złapani lub zabici, amerykańskie media świętowałyby w typowy dla siebie sposób, nawet jeśli początkowo rząd zataił informację o napadzie na konwój. A gdyby Martina chciała ich zwolnić, to mogła się bez trudu skontaktować. Lecz komórkowy telefon w Hondzie nie zadzwonił ani razu.

Milczenie mogło oznaczać tylko jedno: sytuację patową. Martina nadal ma *Minnow* i dziewczynę, a Baum wciąż leży w łóżku; nikt nie chce pociągnąć za sznurek, który spowoduje gwałtowny rozwój wypadków.

Spojrzał na telefon ukryty w małym, pomarańczowym plecaczku, z którego przewód ciągnął się do zapalniczki. Kabel ledwie było widać zza sterty niedopałków. Fouad nie palił prawie od pięciu lat, lecz po pierwszym zwariowanym dniu na terenie szpitala, kupił karton Kentów i systematycznie go opróżniał, ponieważ nie miał nic innego do roboty. Nic prócz palenia. I czekania. Owszem, mógł się skontaktować z Martina, mógł zostawić jej wiadomość pod numerem zza oceanu. Jednakże miał wyraźne instrukcje: skorzystać z tej drogi tylko wówczas, gdy Baum opuści Bethesda, co wedle jego wiedzy nie nastąpiło. A jaką inną wiadomość mógł tam jeszcze zostawić? Jesteśmy i czekamy. Powiedz, czy nas jeszcze kochasz?"

Prawie roześmiał się ze swojej słabości.

Z papierowej torby wyjął małą buteleczkę soku pomarańczowego. Postanowił, że zgasi silnik i włączy radio. Chociaż amerykańscy didżeje i huk ich bezbożnej muzyki denerwowały go, dźwięki wypełniły nieco próżnię jego samotności.

Sytuacja patowa. Nawet jeśli są barankami ofiarnymi przywiązany tutaj do drzewa, to musi to służyć jakimś celom. Bóg z pewnością wynagrodzi ich za lojalność.

Fouad rozglądał się po splukanych deszczem dachach pozostałych samochodów parkujących przy wejściu do szpitala. Zapadł już wieczór, za szklaną fasadą zapłonęły światła, w holu zrobiło się pusto, bo godziny odwiedzin dobiegły końca. Fouad znał już rytm tego budynku: wiedział kiedy przychodzi najwięcej ludzi, a kiedy najmniej; kiedy następuje zmiana wojskowych wartowników, kiedy pojawiają się i odchodzą sprzątaczkę. Wiedział, że wypisywani pacjenci zawsze są odwożeni do frontowych drzwi na wózkach inwalidzkich, bez względu na stan ich zdrowia.

W ciągu ostatnich dni ze szpitala wyprowadzono ze dwudziestu pięciu mężczyzn odpowiadających rysopisowi pułkownika Bauma. Porównując twarze ze zdjęciami

robionymi przez Lyada, większość - albo zbyt szczupłych, albo zbyt tęgich - wyeliminowali. Niektórym na spotkanie wyszły uszczęśliwione rodziny, inni mieli kończyny unieruchomione w gipsowych pancerzach. W trzech przypadkach terrorystom brakowało pewności, więc dzwoniли do szpitala z pytaniem, czy został już wypisany pan Benjamin Baum. Pewnego razu Fouad nieopatrznie wykręcił numer bezpośrednio do sali Bauma, a gdy usłyszał wypowiedziane ciężkim, zmęczonym głosem „słucham”, odłożył słuchawkę.

Jak obserwatorowi, który wpatruje się w jeden punkt, zaczynał mu się rozmywać obraz przed oczami. Próbował właśnie zmusić się do wytrzymania jeszcze jednej, trudnej godziny, gdy pewna rzecz dziejąca się za szklaną ścianą trzydzieści metrów od niego zmusiła go do

podniesienia opadającej głowy. Nie spuszczać oczu z budynku, chwycił kierownicę, pochylił się do przodu, a potem włączył wycieraczki i gumowe pióra zgarnęły wodę z przedniej szyby.

W ruchach grupki trzech nadchodzących mężczyzn było coś dziwnego. Dwaj amerykańscy oficerowie piechoty morskiej przemierzali hol i zbliżyli się do obu stron drzwi, podczas gdy trzeci z mężczyzn kroczył środkiem. Ubrany był w niebieski strój szpitalny, mankiety spodni od piżamy zawadzały mu o kapcie. Był nieco niższy od swej eskorty lub być może tylko tak wyglądał, ponieważ *Marines* mieli czapki, a on -gołą głowę.

I był tęgi.

I łysy.

- Fahmi - szepnął Fouad na widok tej trójcy. Potem, niczym człowiek zabląkany w podejrzanej okolicy, wyłączył radio, jakby cisza miała mu w czymś pomóc.

- Co tam? Co jest? - bełkotał Fahmi, zmagając się ze snem.

Wolnym ruchem Fouad wskazał scenkę rozgrywającą się za przednią szybą. Fahmi wsunął głowę między przednie fotele, przetarł oczy i zmusił je do szerszego otwarcia.

- To on? - zapytał.

Tamci trzej dotarli już do wyjścia. Otworzyli pierwsze z podwójnych drzwi.

- To bardziej niż prawdopodobne. - Fouad rozejrzał się na boki w poszukiwaniu pojazdu, który mógłby zabrać Bauma. Najwyraźniej jednak żaden z samochodów nie miał takiej roli do spełnienia.

Otworzyły się drzwi zewnętrzne i mężczyźni stanęli w strugach deszczu. Nie spojrzeli w niebo, nie poprawili płaszczy, tylko bez wahania ruszyli przed siebie.

Szli prosto w kierunku Hondy.

Fahmi zaklął po arabsku i schylił się w poszukiwaniu torby z *Berettą*, którą zostawił Mussa. Szybko sprawdził magazynek, z powrotem go załadował i odbezpieczył broń.

- Fahmi, zostaw to - rozkazał cicho Fouad. Maszerujący mężczyźni byli już coraz bliżej, od samochodu dzieliło ich tylko dziesięć metrów, lecz gdy Fahmi podniósł głowę, zrozumiał przyczynę rozkazu partnera.

Z czterech pojazdów parkujących przy Hondzie - które do tej pory wydawały się zamknięte i puste - wyszli ubrani na czarno ludzie i w milczeniu stanęli w niewielkiej odległości od samochodu Fouada.

Na głowach mieli baseballowe czapeczki, a pod rozpiętymi kurtkami ściskali oksydowane pistolety maszynowe MP-5.

Fahmi wolnym ruchem odłożył *Berettę* na fotel i podniósł do góry drżące ręce.

Dziwna trójka zatrzymała się przy lewym, przednim błotniku Fouada. Tęgi i łysy mężczyzna odczekał chwilę, aż jeden z anonimowych posiadaczy MP-5 stanie bezpośrednio przed samochodem.

Gdy łysy podszedł do drzwi, Fouad jeszcze szerzej otworzył usta. Był zdumiony, że pułkownik Baum, zważywszy na skarb w postaci jego córki pozostający w rękach Martiny, zdobywa się na takie zuchwalstwo. Izraelscy oficerowie słyneeli z beczelności, ale ten tutaj chyba całkowicie zwariował.

Wielkie palce zastukały w okno.

Fouad opuścił szybę, a przybysz pochylając się, prawie wsunął głowę do samochodu. Uśmiechał się. Nie z radości, lecz jak ktoś nie lękający się boskiej sprawiedliwości. Jak arogancki magik, któremu udało się wprawić w zdumienie gości nocnego klubu.

W żołądku Fouada dawały o sobie znać efekty nie przespanych nocy i złego odżywiania. Popatrzył na uśmiechniętą twarz, a potem przeniósł wzrok na boczne siedzenie, gdzie leżały zdjęcia wykonane przez Lyada. Po chwili znów uniósł głowę. W uchu czuł gorący oddech Fahmiego.

- Jak widzisz, młodzieńcze - łysy oficer CIA przemówił czystą, pozbawioną akcentu,

amerykańską odmianą angielskiego. Musiał podnieść głos, żeby przekrzykując dudniący deszcz. - Nie jestem pułkownikiem Benjaminem Baumem.

Fouad chciał coś odpowiedzieć, ale zrozumiał, że nie zdoła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Pułkownik Baum przebywa teraz w Afryce Północnej - kontynuował łysy. - Jutro będzie z nim także matka pani Klump. - Przerwał na moment, aby się upewnić, że wypowiedziane słowa dotarły do adresata, po czym wyjął z kieszeni białą kartkę i rzucił ją Fouadowi na kolana. - Powiedz swojej szefowej, że Baum jest skłonny do dokonania wymiany.

Fouad zmusił się do oderwania oczu od twarzy tego mężczyzny. Spojrzał na kartkę. Zawierała tylko numer telefonu.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, zniknęli wszyscy prócz jednego człowieka. Pojazdy wyjeżdżały z parkingu, a rozbijające się krople deszczu pryskały na gorącą skórę jego policzka.

Pozostał człowiek z pistoletem maszynowym, stał przodem do nich przy przednim zderzaku. Wolnym ruchem schował MP-5 pod marynarkę. Zanim jednak się odwrócił, uniósł rękę, wycelował palcem między oczy Fouada i udał, że strzela.

19

Morze Śródziemne

Jak grom z jasnego nieba spadła na generała Itzika Ben-Ziona myśl, że pogmatwane machinacje polityczne pomiędzy narodami świata w porównaniu z potęgą morza są jak mrówki pod nogą słonia.

Niemal zapomniał już o pewnym wydarzeniu sprzed wielu lat, które miało miejsce podczas wakacji dzielących ukończenie średniej szkoły od wstąpienia do wojska. Znalazł sobie wtedy pracę na pokładzie stateczku towarowego „Zim” wypływającego z Hajfy. Właśnie tam wśród zgrzytów rozklekotanej łajby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że marynarze przypominają pasażerów linii lotniczych, którzy zapominają

o logice i, ufając urządzeniom mechanicznym, wierzą w zdolność do poradzenia sobie ze wszystkimi ciosami wymierzonymi przez niebo. Pamiętał nawet sierpniowy upał, który nagle okazał się zdradliwy. Zniknęło słońce, pociemniało błękitne niebo, a letnie lustro Morza Śródziemnego pomarszczyło się milionami fal o pienistych grzywach. Teraz w środku zimy szarzielone wody kłębiły się niczym w jakimś kosmicznym mikserze.

Stał na „Aliyah”, okręcie izraelskiej marynarki wojennej klasy *Saar 4.5*, prawą ręką chwycił poręcz na sterburcie, a jego wojskowe buty trzymały się nieruchomo rozkołysanego pokładu. Lewą ręką pomagał sobie utrzymać równowagę, niebieska czapeczka baseballowa zsunęła mu się na oczy, pod szyją miał odpięty kołnierz oficerskiej bluzy

i wyglądał tak, jakby balansując ciałem, panował nad rzucanym przez wodę okrętem.

Itzik tak dużo czasu spędzał na pokładzie, że załoga „Aliyah” zaczęła go nazywać Szalonym Surferem.

Wedle wszelkich marynistycznych norm *Saar 4.5* nie należy do okrętów dużych. Ten szybki, szary jak rekin okręt szturmowy mierzy zaledwie sześćdziesiąt dwa metry od dziobu do rufy, gdzie oddział komandosów morskich trzymał swój ponton *Zodiac* i łódź szturmową *Snunit*. Pomimo kompletu czterdziestopięciosobowej załogi, czterech wyrzutni raketowych typu woda-woda *Gabriel Mark II*, wieży z działem *OTO-Melera* kalibru 76 mm, pomimo systemu obrony przeciwlotniczej *Vulcan*, wyrzutni pocisków woda-powietrze *Barak*, działek i karabinów maszynowych o kalibrach 20 mm i 7,62 mm oraz całej towarzyszącej temu amunicji, części zamiennych, radarów kontrolnych, urządzeń kamuflażu elektronicznego oraz systemów obrony przed okrętami podwodnymi, cztery silniki dieslowskie bez trudu pchały okręt z prędkością 32 węzłów. „Aliyah” potrafił także zastępować „izraelski lotniskowiec”, miał bowiem na rufie lądowisko przystosowane do przyjmowania helikoptera *Aero-spatiale AS-365 Dolphin*.

"Aliyah" należał do groźnych okrętów zaczepnych, a załoga utrzymywała, że ich łajba pływa jak nadmuchana prezerwatywa napędzana rakietą.

Itzik obserwował, jak dziób leniwie podnosi się w kierunku ciemnopurpurowego nieba, a potem opada na falę i sycząca piana wpada na pokład. Gdy śruby na chwilę znalazły się w powietrzu, okręt przechylił się najpierw na prawą, potem na lewą

burtę, a później cały proces rozpoczął się od nowa. Dźwięk uderzania fa! w kadłub przypominał klepanie gumowym młotkiem pojemnika z olejem. Z równomiernie zachmurzonego nieba nie padał deszcz, ale wiatr porywający krople z grzbietów fal tworzył coś w rodzaju poziomego opadu. Na myśl, że ekolodzy obawiają się, iż człowiek może zniszczyć Ziemię, Itzik prawie się uśmiechnął. Po godzinie spędzonej na morzu szybko można sobie uświadomić, że człowiek jest w stanie zniszczyć tylko siebie i kilka pechowych gatunków, a Ziemia nawet tego nie zauważy.

Okręt podążał północno-zachodnim kursem w kierunku Morza Egejskiego w towarzystwie dwóch mniejszych *Saar 4*, które widać było po prawej stronie nad horyzontem w postaci niewielkich punkcików. Chociaż celem tego niewielkiego patrolu był punkt nieopodal Cap Ras-Tarf w Maroku, płynęli zygzakiem, żeby dotrzeć na miejsce nie wcześniej niż godzinę przed umówionym spotkaniem.

Przez najbliższe dwadzieścia osiem godzin „Aliyah” miał od zachodu minąć Kretę, pomiędzy Maltą a Sycylią skręcić na zachód, a potem znów na północny-zachód do Sardynii i znów na zachód ku Balearom, aby wreszcie w samym środku nocy dotrzeć do umówionego miejsca o kryptonimie Złoty Krąg, oddalonego o półtora kilometra od niezaludnionego fragmentu marokańskiej plaży.

Jeżeli propozycja wymiany Dana Sarela na szejka Saída nie jest tylko irańskim dowcipem geopolitycznym, to będzie tam stał zakotwiczony mały trawler pod liberyjską banderą i transakcja dojdzie do skutku.

Zimne, przesycone solą powiewy smagały Itzika po twarzy i próbowały zerwać mu czapkę. W odróżnieniu od oficerów lądowych wzywanych od czasu do czasu do akcji na morzu, on nie wyszedł na pokład z powodu choroby morskiej. Potrzebował samotności, żeby przewidzieć, jakie czyhają na nich zasadzki, a w zatłoczonych kajutach „Aliyah” nie można było nawet marzyć o choćby chwilowym braku towarzystwa. Poza tym czuł, że zaczyna mu brakować zdrowego rozsądku i silne razy wymierzane przez Matkę Naturę mogą go otrzeźwić.

Operacja Księżyc dotarła już do punktu, z którego nie ma powrotu. Kiedy wreszcie dostał od rządu zielone światło, wydarzenia zaczęły się toczyć z prędkością śnieżnej kuli. Na okręty wezwano najlepsze załogi, komandosi morscy mieli pilnować bezpieczeństwa. Lotnictwo wyznaczyło dywizjon *F-16* do tajnego przelotu ponad Złotym Kręgiem po zatankowaniu w powietrzu. I wreszcie z pokładu *Boeinga 707* miał nadzorować akcję bezpośredni zwierzchnik Itzika, komendant AMAN-u, wraz z szefem sztabu.

Bułgotania w brzuchu nie wywołało skłębione morze, lecz powracająca myśl, że jego sukces, kariera, całe życie zależą od wyników akcji Bauma i Ecksteina.

Ach, gdyby tylko mógł postąpić tak jak powinien, gdyby zachował się jak żołnierz, gdyby zignorował uprowadzenie córki Bauma i uznał ją za ofiarę poświęconą „dla dobra ojczyzny”. Gdyby jednak kapitan Dań Sarel został uwolniony, a Ruth straciłaby życie, wówczas prasa nie zostawiłaby na Itziku suchej nitki za okrutny pragmatyzm. I niewiele zmieniłby fakt, że cenzorzy zabroniliby wymieniać jego nazwisko.

Jednak pomimo wszystko, tutaj w obliczu grzmiącego morza Itzik przyznawał, że stało się dobrze. Znał tę dziewczynę, przypominała mu jego własną córkę, przez co w jego sercu pojawił się dylemat, którego zdecydowanie wolałby uniknąć. Często wściekał się na Bauma za jego niesubordynację, ale nie mógł sobie wyobrazić siebie nad grobem Ruth patrzącego w oczy Baumowi, gdyby nie dał jemu i Ecksteinowi szansy.

A najgorsze, że o Martinie Klump, o kradzieży *Minnow*, o uprowadzeniu Ruth i o akcji Bauma - nie mógł pisnąć ani słowa przed swoimi zwierzchnikami. Gdy stał na pokładzie i okręt przechylał się na prawo, widział order za odwagę, a gdy okręt przechylał się na lewo, widział trybunał sądu wojkowego.

- Opalasz się, Itzik?

Odwrócił głowę i ujrzał Amiego Machnai idącego z CIB, czyli Centrum Informacji Bojowej, *Merkaz Yidiaht Krav*. Ami był dowódcą „Aliyah”. Do powszechnych praktyk należy dowodzenie okrętem bojowym przez byłego oficera komandosów morskich, a Ami mógł uchodzić za wzorzec. Miał gęste, rude włosy, piegowaną twarz i czysto zielone oczy mieszkańca nadmorskiego kibucu Sdot Yam. Był niższy od Ben-Ziona, ale szerszy w barach i Itzik zastanawiał się, jak Szayettet dopasowywał kombinezony do nurkowania do jego trapezoidalnej budowy. Teraz, pozostając w zgodzie ze swą naturą komandosa, ubrany był w lekkie, wojskowe spodnie, płócienne buty Palladium i koszulę odsłaniającą bicepsy. Ogniste loki częściowo przykrywała założona daszką do tyłu czapeczka baseballowa z nazwą okrętu.

- Wyszedłem zapalić. - Chociaż Ami stał tuż przy jego ramieniu, Itzik musiał przekrzykiwać huk morza.

- Powinieneś przerzucić się na fajkę - zaproponował dowódca okrętu. - To odpowiedniejsze dla marynarza. - Niczego nie musiał się trzymać. Uśmiechnął się, gdy rozpylone krople uderzyły go w twarz. - Wszyscy zakładają się kiedy puścisz pawia.

Itzik wzruszył ramionami. Na pokładzie *Saar* gości traktowano zazwyczaj z niechęcią, lecz znakomite samopoczucie Itzika przysporzyło mu w oczach załogi niespotykanego szacunku.

- Tutaj dobrze mi się myśli. Ami roześmiał się.

- W czym problem? Nie możesz myśleć w smrodzie?

Itzik także się uśmiechnął. Od rana przebywał w CIB, gdy Ami i jego zastępcy opracowywali na mapie plan trasy. Izraelska kabina nawigacyjna różniła się od przestronnych, klimatyzowanych kajut na amerykańskich okrętach, panował w niej ścisk i cuchnęło jak w ładowni z kubańskim rumem. Znajdował się tam stół nawigacyjny, radar, jednoosobowa obsługa systemu przeciwokrętowego *Harpun*, operator systemu *Vulcan*, dwaj *Lamed Alephs* (specjaliści od wojny elektronicznej) oraz inni potrzebni oficerowie. Wachty w CIB trwały długo, wymagały niesłabnącej koncentracji, a podczas rejsów nigdy nie przestawało tam śmierdzieć potem i dymem z różnego rodzaju gatunków papierosów. Często na podłodze leżały papierki po cukierkach, a na grodziach wisiały maski przeciwgazowe przypominające trofea szczepu morskich ludożerców. I chociaż wszyscy załoganci nosili słuchawki i mikrofony, preferowano przekrzykiwanie się rozkazami, co jeszcze bardziej zagęszczało atmosferę.

Załoga okrętów bojowych z goryczą akceptowała swoje miejsce w wojennej strukturze. Na służbę w marynarce wojennej nikt nie zgłasza się na ochotnika. Tam trafiali ci, którzy nie zostali przyjęci na pilotów, spadochroniarzy, czy nawet czołgi-stów. Byli sierotami ISZ, odrzutkami, co potwierdzali swobodnymi przekleństwami, bekaniem i pierdzeniem w CIB. Na swych posterunkach siedzieli na biurowych krzesłach z kółkami, toteż często przy gorszej pogodzie zdarzało się, że wjechali oficerowi na palec i dostali po głowie mikrofonem.

Itzik widział już wszystkie posterunki wojskowe Izraelskich Sił Zbrojnych, lecz nawet jego odpychała atmosfera CIB przypominająca rzymskie galery.

- Nie wiem, Ami, jak możecie tam pracować! - krzyknął, gdy rufa po raz kolejny uniosła się do góry.

- Rzeczywiście, żadna rewelacja.

- To prawda.

- Na wszystkich okrętach tak jest.

- Raczej na wszystkich naszych okrętach.

- Itzik, powiedz mi coś. - Dowódca chwycił nagle Ben-Ziona za rękę, żeby się przytrzymał, jednak zaraz go puścił. - Widziałeś wartowników w porcie?

Ben-Zion przypomniał sobie wypłynięcie z Hajfy przed świtem.

- Tak. I co z tego?

- Jak byli uzbrojeni?

- W *M-16*.

- I w wiatrówki. Wiesz, po co im one?

- No po co?

- Na szczury. - Ami uśmiechnął się z wyższością i pokręcił głową. - Co zrobiłbyś na służbie, podczas której trzeba walczyć ze szczurami?

- Postarałbym się o przeniesienie.

Ami wzruszył ramionami. - Trochę już jesteś za stary, żeby nurkować z nastolatkami. - Nawiązał do jego chwalebnej przeszłości w Szayettet. - Ktoś musi się tym zajmować.

- Pewnie tak.

- Nie wiem, jak wy tam na górze, w Jerozolimie. - Dowódca okrętu wycelował palcem w mokre ramię generała. - Ale my tutaj bierzemy przynajmniej od czasu do czasu udział w akcji.

- Święta prawda. - Ben-Zion zdawał sobie sprawę, że gdy on po cichu toczy wojnę z nerwami, Ami zмага się z bezlitosnym morzem i morskimi terrorystami najeżdżającymi izraelskie wybrzeże. Zgodnie z marynarską tradycją, jeśli załoga zniszczy łódź terrorystów, to dostaje *chupar*, prezent, którym zazwyczaj jest jakiś sprzęt elektroniczny. W kwaterze załogi „Aliyah” znajduje się nowoczesny telewizor kolorowy i magnetowid, taki sam, jaki już wcześniej trafił do kwatery oficerskiej. Do wszystkich należy też przenośny odtwarzacz CD.

Od strony rufy Itzik usłyszał ostry warkot, pochylił się przez burtę i ujrzał nad lądowiskiem kręcący się wirnik nośny *Dolphina*. Czterech członków obsługi naziemnej w jaskrawopomarańczowych kaskach kucało przy kadłubie, a gdy zwolnili linki, okręt wyrzucił helikopter w powietrze. Biało-czerwona maszyna zrobiła zwrot, ledwie unikając zderzenia z nadbudówką, a potem poleciała w kierunku dziobu. Itzik zastanawiał się, jak ci piloci wylądują potem przy takiej pogodzie.

- A to, do diabła, co? - krzyknął.

- Test *Vulcana* - odparł Ami.

Itzik spojrział w kierunku wieżyczki z wielolufowym działkiem *Vulcan* kalibru 20 mm.

- W takich warunkach? - Obserwował w oddali *Dolphina* nabierającego wysokości.

- Pogody się nie wybiera - odparł Ami. - To zostawmy Allahowi. - Ostatnie słowo wypowiedział, pogłębiając po arabsku samogłoski.

- A propos - rzekł Itzik. - Jak tam nasz gość?

Szejk Said, mułła Hezbollahu, stanowiący w wymianie izraelską kartę przetargową, zajmował kajutę oficerską pod pokładem. Usilnie nalegał, żeby się przebrać w strój, w którym pojmany został nocą w południowym Libanie. Pomimo zimowej pogody miał na sobie szarą nocną koszulę z bawełny i skórzane sandały, które zdążył założyć, gdy komandosi Sayeret Matkal wtargnęli na jego balkon.

Odzywał się rzadko, przeważnie mamrotał tylko modlitwy i nie wiadomo było, czy zbliżającą się wymianę uważa za szczęśliwe wyswobodzenie, czy też za haniebną klęskę, od której wolałby samobójstwo. Nie pozwolono mu swobodnie chodzić po okręcie, gdyż na pokładzie znajdowała się broń, jednak na znak szacunku pozostawiono mu otwarte drzwi do kabiny. Wejście obstawiali dwaj oficerowie z Sayeret HaDruzim, batalionu składającego się z mówiących po arabsku Druzów. Nie byli muzułmanami, ale z powodzeniem potrafili przypilnować islamskiego duchownego i okazywać mu przy tym szacunek należny z racji jego pozycji.

Jeżeli shejk Said cieszył się z czekającego go losu, to nie okazywał tego. Leżał na koi na

cienkim materacu i trzymał się poręczy, żeby nie spaść na kołyszącą się podłogę. Cały czas wpatrywał się w sufit, a wolną ręką skubał czarną brodę.

- Jeśli morze źle na niego wpływa, to potrafi zachować godność.

- Tak samo jak przez minione trzy lata - rzekł Itzik. Nagle z głośnika na mostku rozległo się ostrzeżenie.

- Przygotować się do testów uzbrojenia.

- Schodzisz na dół? - Kanonada z wielu luf mogła się okazać nie do zniesienia. Spojrzeniem spod gęstych brwi Itzik odmówił skorzystania z propozycji. Ami wrzucił ramionami, zaczepił nogą o słupek relingu i wsadził palce do uszu.

Wysoko w górze ze śmigłowca wypadł niewielki obiekt i powoli szybował na spadochronie. *Dolphin* odleciał na bok.

Ożyła dziobowa wieża, zaskrzypiał mechanizm, a czarne lufy podnosiły się i opadały. Nagle działko zaterkotało i choć dźwięk roznosił się w otwartej przestrzeni, to miało się wrażenie siedzenia w zamkniętej kabinie samochodu z włączoną piłą łańcuchową. Gdy pociski poleciały w niebo, zostawiając za sobą czerwone ślady przypominające płomienie lasera na koncercie rockowym, Itzik drgnął. Cel zamienił się w iskrzący proszek. Działko pracowało zaledwie sekundę, lecz Itzikowi zahuczało w głowie i czuł, jakby miał w uszach zatyczki z ligniny.

Czterech komandosów morskich pobiegło w stronę rufy do swego czarnego pontonu *Zodiac*. Byli ubrani w kombinezony do nurkowania, płetwy i kamizelki kuloodporne, lecz oprócz masek i rurek nie mieli żadnego sprzętu do oddychania pod wodą. Zeszliby na wodę, gdyby jakieś nieszczęście przytrafiło się powracającemu *Dolphinowi*

Z Motoroli na pasku Ami wyjął mikrofon, spojrzął w niebo i połączył się z mostkiem.

- Nadlatuje śmigłowiec. Zwolnić do dziesięciu węzłów.

- Jest zwolnić do dziesięciu węzłów - zaskrzeczał głośnik w radiotelefonie. Okręt wytracił prędkość, ale pokład kołysał się jak ogon bobra. Helikopter pojawił

się przy rufie i zawisł w powietrzu, jak gdyby piloci zastanawiali się, czy czasem nie uciekać na Kretę. Załoga lądowiska chwyciła zwisające liny.

- Zwi, teraz wolno i spokojnie - polecił Ami sternikowi.

Itzik pokręcił głową.

- To jakby koliber próbował przelecieć rekina.

Piloci podjęli decyzję, zmniejszyli moc silnika i zaczęli opuszczać maszynę nad lądowiskiem. Płoza ogonowa zazgrzytała po stali, ludzie z obsługi naziemnej odskoczyli na bok, a potem pokład uniósł się do góry i uderzył w podwozie śmigłowca. Pociągnięciem za liny personel przytrzymał helikopter.

- *Meturafim*. Szaleńcy - powiedział Itzik, dotykając daszka czapki.

Ami uśmiechnął się z podziwem. Minutę później od strony rufy wolnym krokiem wrócili czterej komandosi. Wyglądali na rozczarowanych, że nic się nie stało.

Itzik wrócił myślami do wymiany jeńców. Chciał mieć już to wszystko za sobą, bo cała sprawa nie pozwalała mu porządnie się wyspać.

Dwa dni temu negocjator z ramienia Hezbollahu, szejk Tafilli, niemalże zerwał umowę. Przyzwyczał się do rozmów wyłącznie z Bennim Baumem. Początkowo nieobecność pułkownika dała się załagodzić obietnicą, że pojawi się przy finalizacji sprawy. Później jednak Itzik musiał przyznać, że z powodu niedomagań serca Baum leży w szpitalu, co jedynie częściowo było prawdą. Ponieważ Tafilli się denerwował, generał postarał się o godnego następcę, emerytowanego generała urodzonego w Niemczech, byłego szefa AMAN-u do spraw europejskich. Człowiek ten prezentował zupełnie inny styl niż Baum, jednak udało mu się na Cyprze postawić kropkę nad „i”. Tafilli nie był uradowany zastępstwem, ale w końcu on też musiał zadowolić swoich szefów.

Teraz powinni mieć przed sobą już tylko dopełnienie formalności. Jednak wiszące nad nimi

widmo nieobliczalnej terrorystki - dawnej, Boże uchroni, współpracownicy AMAN-u - uzbrojonej w pocisk przeciwokrętowy najnowszej generacji nie pozwalało im spokojnie spać.

Ami ruszył właśnie do swojej „galery”, gdy Itzik położył mu dłoń na ramieniu.

- Powiedz mi, jak będzie się odbywać ta wymiana. Ami odwrócił się do generała.

- Komandosi spuszcza na wodę łodzie *Snunit*. - Na wszystkich trzech okrętach bojowych znajdował się oddział komandosów z szybkimi łodziami, wyposażonymi w wielkokalibrowe karabiny maszynowe. - Będą się trzymać poza zasięgiem wzroku, żeby nie straszyć naszych kuzynów. - Nazwał Arabów kolokwialnym słowem. - Będziemy też mieli snajperów, na wypadek gdyby ktoś wykazał się brakiem rozwagi.

- Jak, do diabła, w takim miejscu może pracować snajper? - zapytał Itzik.

- Przywożą ze sobą z Atlit specjalne statywy. - Ami wymienił nazwę niezbyt już tajnej siedziby głównej Szayettet. - Przymocowuje się je do burty i osadza na nich karabiny *M-21*. Podobne statywy stosuje się w pracy przy filmie.

- A jak będą przewożeni Sarel i Said?

- Hezbollah chciał, żeby spotkały się dwie łódki i połączyły się trapem. Ale to się nie uda, bo wody musiałyby być tak spokojne jak w Morzu Martwym.

- Co w takim razie?

- Na jednym *Zodiaku* wyprawimy Saida, a drugi wyślemy po Sarela. Itzik chwilę się zastanawiał.

- Wyślijmy najpierw ponton po Sarela, żeby przesiadali się równocześnie.

- Dobra myśl - przyznał Ami. - Widać, dlaczego jesteś generałem.

Itzik zignorował komplement.

- A co przy takich falach? - Uniósł rękę na wysokość klatki piersiowej.

- Nie ma obaw - powiedział Ami. - W zeszłym tygodniu Szayettet wysłał oddział do sprawdzenia głębokości oraz wysokości fal w Złotym Kręgu. Woda nie unosi się wyżej niż metr. - Zgodnie ze standardową procedurą grupy zwiadowcze przeprowadzają rekonesans w miejscach wszystkich ważniejszych akcji. - Ale gdyby coś się pogmatwało - dodał pokrzepiającym tonem - wyślemy śmigłowiec i ludzi z 996.

Dolphin posiadał na wyposażeniu wyciągarke, a na okręcie przebywała załoga pilotów z lotniczej jednostki ratunkowej 996. W razie potrzeby szejk Said mógłby zostać spuszczonej na pokład trawlera, a Dan Sarel posiadał odpowiednie wyszkolenie, żeby go wciągnąć na linie.

- Nie wiem, czy Sarel dałby sobie radę - powątpiewał Itzik. Nie raz już widział ludzi powracających z niewoli.

- Nie martw się o Dana - rzekł Ami. Aż do tej chwili dowódca okrętu nie wspominał, że zna Sarela osobiście z czasów spędzonych w Szayettet, ani że to on dowodził jednostką, z której Sarel odpląnął w noc pojmania. - Jak mnie zobaczy, to pewnie wskoczy do wody i przyplynie wpław.

Itzik nic nie odpowiedział. Obawiał się, że Sarel może mieć kłopoty nawet z chodzeniem.

- Ami, powiedz mi - generał starał się, aby jego pytanie brzmiało jak podyktowane wyłącznie żołnierską ciekawością. - Jakich szkód narobiłby tu pocisk? - Spojrzał na rząd tarczy sonarowych i anten radarowych.

- Jaki pocisk?

- No, powiedzmy, przeciwokrętowy.

- Przypomnij sobie „Blat”. - Ostrzeżenie to miało zmuszać do zdwojenia czujności wszystkich nazbyt pewnych siebie dowódców. W 1967 roku zatonął izraelski niszczyciel trafiony pociskiem *Sryx* wystrzelonym z egipskiej fregaty zakotwiczonej w Port Saidzie.

- Właściwie chodziło mi o inny pocisk.

- O jaki?

- Coś w rodzaju *TOW*.

- *TOW* - Ami zdjął czapkę, podrapał się w głowę i naciągnął baseballówkę z powrotem.

- Jeszcze nie widziałem czegoś takiego zamontowanego na pokładzie, chociaż cały czas instaluje się je na śmigłowcach. Strzał z poziomu wody by nas zatopił.

- Szybko?

- Dosyć szybko. Ten przeklęty kadłub jest jak z papieru. - Opancerzenie *Saar* nie było nic warte. Okręt bazował na swej szybkości, zwrotności i uzbrojeniu. - A *TOW* zabija wszystko już w chwili pierwszego kontaktu - dodał rzeczowo Ami.

- A więc, gdyby pojawiło się takie niebezpieczeństwo, gdzie na pokładzie byłoby najbezpieczniejsze miejsce?

Ami spojrzał uważniej na generała AMAN-u. W głowie mu się nie mieściło, że Itzik troszczy się o własną skórę. Ale przecież mogło mu chodzić o coś zupełnie innego.

- Pomost nawigacyjny. - Pokazał kciukiem miejsce nad CIB. - Strzał z *TOW* kierowany jest przeważnie, tak jak w naszym przypadku, w kadłub albo w podstawę nadbudówki. Ludzie z góry mają szansę na przetrwanie, chociaż grozi im wessanie przez wodę.

Itzik spojrzał na przednią, pleksiglasową ścianę pomostu nawigacyjnego. Wątpił, aby udało się nakłonić szejka do przeprowadzki w pobliże tego najbezpieczniejszego miejsca.

- Pięć mil morskich przed Złotym Kręgiem - polecił - umieścimy tam szejka Saida. Oni chcieliby go dostać w całości.

Spojrzał z góry na wpatzonego w siebie Amiego. Zadawanie dalszych pytań dowódcy okrętu stało się już niemożliwe.

- Itzik, ty coś wiesz - stwierdził bez emocji. - Mam rację?

Generał spojrzał w stronę unoszącego się dziobu. Na horyzoncie kryjące się słońce załało chmury bursztynową barwą, a u góry nad głowami ciemna noc podążała coraz bardziej na zachód.

O tej porze jednostki Mossadu w Europie powinny właśnie wchodzić do kabin ciężarówek, należących do firmy założonej potajemnie przez izraelski wywiad. Na sygnał Itzika przekazany do wspólników z Mossadu w Tel Awiwie, ludzie w Europie dostarczą anonimowym kierowcom, mówiącym w języku farsy, kilka ton umówionych części zamiennych. Taka była pierwsza część umowy, od której zależały następne, ale dla Itzika nie miała ona absolutnie żadnego znaczenia. Przejmował się tym tylko instynktownie, jak podczas rzadkich zakupów w Machaneh Yehuda, kiedy udało mu się zbić cenę u handlarza owocami, a potem okazywało się, że winogrona są kwaśne.

Już kilka miesięcy temu przełożony Itzika rozkazał całemu personelowi AMAN-u skoncentrować działania wywiadowcze na operacji Księżyc. Należało zbierać wszelkie pogłoski, doszukiwać się niedociągnięć i węszyć zasadzki. Również Mossad, działający na znacznie szerszym terenie, wiele swych wysiłków miał poświęcić tej wymianie. Wywiad cywilny powinien odkryć wszelkie niebezpieczeństwa, jakie niosła ze sobą ta z pozoru prosta umowa. Oni też dostali od rządu zielone światło, chociaż zwykle niechętnie w pełni poświęcali się jednej sprawie.

Niemniej Itzika nie opuszczało uporczywe przypuszczenie, że cała społeczność wywiadowcza została zapędzona w kozi róg. Operacja Księżyc to wspaniały wyczyn, ale obawiał się, że może to być sprawa tylko drugorzędna. Wyrobił w sobie taki sposób myślenia, ponieważ uczył się służby zaraz po wojnie Yom Kippur, kiedy to seria sprytnych arabskich sztuczek doprowadziła niemal do katastrofy.

Postępowanie Martiny Klump jakoś mu nie pasowało do przebiegu wydarzeń. Zemsta to zbyt słaby motyw jej działania, gdyż w razie sukcesu zaszkodziłaby zarówno wrogowi jak i sprzymierzeńcowi. Być może to wszystko tylko zbiegło się w czasie.

Itzikowi nie płacono za rozpatrywanie zbiegów okoliczności. A jednak...

Spojrzał na zegarek. Za godzinę będzie musiał wydać rozkaz „naprzód” i jego zespół okrętów przekroczy punkt, zza którego nie ma już powrotu.

Obserwując majaczące nad horyzontem bordowe zjawy, westchnął i odpowiedział na

pytanie dowódcy okrętu.

- Ami, jestem dowódcą oddziału Operacji Specjalnych AMAN-u. Wiem zbyt wiele, a jednocześnie nigdy nie wiem dostatecznie dużo.

20

Skorpion

Odbijające się echem od ścian małego pomieszczenia sypialnego uderzenie dłoni Martiny Klump o policzek Ruth przypominało trzask z bicia tresera lwów. Po ciosie nastąpiło oszałamiające dzwonienie w lewym uchu i głucha eksplozja w mózgu. Siła uderzenia była tym większa, że nastąpiło niespodziewanie i dziewczyna nie zdążyła się uchylić - w jednej chwili ręka Martiny spoczywała swobodnie na biodrze, a w drugiej cięła już powietrze niczym kij baseballowy.

Tuż po uderzeniu Ruth zdała sobie sprawę, że przecież były pewne znaki ostrzegawcze. Krok jakim Martina wchodziła do pomieszczenia, sposób otwierania drzwi, błysk w jej oczach, przyśpieszony oddech. Wydawała się bardzo spięta, a gdy Ruth podnosiła się z łóżka, Martina sprawiała wrażenie, że przedmiot jej myśli powoduje rumieniec na twarzy i uniesienie górnej wargi.

I nagle Ruth przemierzyła przestrzeń nieopanowanym ruchem, aż czaszka uderzyła o twarde kąty na styku dwóch ścian. Włosy w nieładzie rozsypały się wokół głowy, osunęła się na poduszkę i podkurczyła nogi jak dziecko grające w kucanego berka. Policzek zaczerwienił się jak oparzony żelazkiem, a w ustach poczuła miedziany smak krwi, ciekącej z miejsca zetknięcia śluzówki z zębami. Jednak łez płynących stróżkami nie wywołały emocje i dziewczyna postanowiła ich nie wycierać, gdy podniosła rękę, żeby odgarnąć z twarzy kosmyk włosów i zaczepić go za ucho.

- *Dein verdammter Vater!* Twój przeklęty ojciec! - wrzasnęła Martina, podchodząc do wąskiego łóżka wolnymi krokami z dłońmi próbującymi ucisnąć powietrze, jakby zamierzała udusić ducha. Miała na sobie czarny kombinezon lotniczy poplamiony olejem i smarem, o podłogę wozu kempingowego dudniły sięgające kostek skórzane, czołgowe buty ze sprzączkami. Aluminiowe drzwi pomieszczenia sypialnego pozostały otwarte i Martina musiała poczuć wzrok Youssefa spoglądającego na nią z kuchenki, ponieważ nagłym ruchem odwróciła się i kopnięciem zatrasnęła drzwi. W normalnych warunkach od takiego uderzenia ściany kempingowego pojazdu odpowiedziałyby hukami, ale ponieważ ten był zakopany pod ziemią, rozległ się tylko głuchy trzask, po którym zabrzmiał szmer osuwającego się piasku.

Ruth bała się drugiej tury wybuchu gniewu. Aż do tej chwili wydawało się, że Martina nigdy nie traci zimnej krwi, a jej opanowanie było nawet godne podziwu. Podczas tej krótkiej znajomości z Ruth była opanowana, choć niesympatyczna, a na jej twarzy pojawiał się czasami subtelny uśmiezek świadczący o tym, że jakkolwiek prowadzi grę, jest w niej górą. Z powodu pewności siebie Martiny, Ruth stopniowo traciła nadzieję, poddając się strachowi i rozpacz.

Ale teraz nastąpiła zmiana. Ojciec Ruth coś zrobił lub powiedział - albo nie zrobił czegoś - czym doprowadził Martine do furii. Pod wpływem niespodziewanego aktu przemocy po raz pierwszy od chwili uprowadzenia Ruth poczuła przyptyw sił.

Obserwowała, jak Martina zatrzymuje się i spogląda w wysokie lustro wiszące na drzwiach szafy. Podniosła rękę i rozczochrała krótkie blond włosy. Raptem nieocze-

kiwanie otworzyła szafę i wyjęła ze środka żałobną sukienkę, którą Ruth nosiła podczas podróży. Obejrzała ją, a potem złapała za ramiączka i próbowała rozedrzeć na połowę, ale tkanina nie ustąpiła.

- *Scheisse!* - wrzasnęła i nagle w jej dłoni pojawił się czarny nóż z krótkim ostrzem, którym pocięła sukienkę na pasy. Rzuciła łachman w kąt i zakłęta jak zła siostra, która właśnie postanowiła, że Kopciuszek nie pójdzie na bal.

Przesuwając plecy po ścianie, Ruth usiadła wygodniej i ułożyła stopy na szorstkim,

marynarskim kocu. Miała na sobie szare spodnie od dresu i granatowy sweter z łatami na łokciach i ramionach, ponieważ nie działało ogrzewanie i w nocy robiło się bardzo zimno. Buty jej zabrano.

Zlizwała krew z kącika ust, a potem koniuszkiem języka delikatnie sprawdziła wewnętrzną część policzka. Przycisnęła dłonie do koca i zacisnęła palce na jednej z fałd. Martina nadal trzymała nóż. Aż do tej chwili Ruth nie sądziła, że dałaby radę tej kobiecie. Jednak gdyby ostrze bardziej się do niej zbliżyło, zamierzała rzucić się na Klump, przewrócić ją na podłogę i bić ze wszystkich sił. Na tę myśl poczuła pod bawełnianym stanikiem mocniejsze bicie serca, a pod pachami popłynęły strużki zimnego potu.

Jednak Martina sprawiała wrażenie, że zapomniała o jej obecności. Nawet nie patrzyła na Ruth, która była dla niej teraz niczym więcej niż wazonem rozbitym w przyływie zdenerwowania. Odwróciła się plecami, wolnym ruchem usiadła na brzegu niskiego łóżka i, trzymając w dłoni nóż, stuknęła ręką o kolano.

- *Mutti*, przepraszam - mruknęła po niemiecku.

Ruth wstrzymała oddech i, próbując podsłuchać szepczące demony wyskakujące z ust Martiny, usiłowała sobie wyobrazić, dlaczego ona zwraca się do matki.

- Diabli go wezmą i usmażą w piekle, jeśli zrobi jej jakąś krzywdę. - Mówiła cichutkim urywanym głosem jak łkające dziecko. - Ocalę cię, *Mutti*. Przysięgam ci. Ocalę cię i rozbiję tę parszywą wymianę. A im zostaną do przehandlowania tylko krew i kości.

Ruth czuła pulsowanie w lewej części twarzy; pod włosami na miejscu, gdzie głowa zetknęła się ze ścianą, rósł guz. Po niekończących się godzinach w zimnej, metalowej jamie, czuła się zmęczona, otepiała, ale mimo to zdawała sobie sprawę z istnienia jakiejś szansy. Otworzyło się maleńkie okienko z widokiem na prawdę i Ruth chciała przez nie wyrzeć, żeby jak najwięcej się dowiedzieć. Musiała możliwie najszybciej kojarzyć fakty.

O jakiej „parszywej wymianie” mamrotała? Jaki „interes” jest dla wrogów Martiny tak ważny, że poprzysięgła przedmiot wymiany zetrzeć w pył?

Przez krótki okres swego uwięzienia Ruth nie wolno było ani na chwilę wychylić się poza przydzielone pomieszczenie. Jednak raz zimną nocą została zabrana na „przechadzkę” wokół budowli, ale nawet pobieżne spojrzenie na podziemną siedzibę wystarczyło, aby wywnioskować, że trwają przygotowania do jakiejś ważnej akcji, a porwanie Ruth to jedynie sprawa drugorzędna.

W piasku zakopane były trzy długie wozy kempingowe, takie jakich rozpieszczone gwiazdy filmowe używają na planach zdjęciowych. Jako były oficer izraelskiego wywiadu Ruth odwiedziła setki ukrytych punktów obserwacyjnych, bunkrów i podziemnych centrów komunikacyjnych, bowiem Izraelczycy upodobali sobie kopanie w ziemi. Jeden

z takich ukrytych posterunków znajdował się na granicy z Egiptem, a był tak znakomicie zakamuflowany, że Ruth nieświadomie chodziła po dachu, a jej eskorta z wojsk inżynierskich z dumą się uśmiechała. Przewody wentylacyjne kończyły się w kępkach zeschniętej roślinności, a główka peryskopu znajdowała się w szklanym kaktusie. Łatwo było sobie wyobrazić, jak jest skonstruowana siedziba Martiny.

W piasku został wykopany długi, półokrągły rów, do którego po deskach wjechały pojazdy. Za pomocą taśmy klejącej i foliowych płacht zabezpieczono piasty kół, części silnika i wywietrzniki na dachach. W tych warunkach nie udało się uruchomić silników, przewody elektryczne poprowadzono więc na zewnątrz do warczącego całymi dniami i nocami generatora spalinowego. Wyjścia ewakuacyjne w sufitach zostały usunięte, a na ich miejsca przyłączono pionowo aluminiowe rury wentylacyjne zakończone stożkowatymi kapeluszami pokrytymi tkaniną w ziemistym kolorze. Samochody zostały ustawione w trójkąt, tak że przednie drzwi każdego z pojazdów otwierały się na tylną klapę następnego. Wszystkie połączone były z szerokimi na dwa metry zbiornikami na wodę również uszczelnianymi taśmą i folią.

Kiedy samochody zasypano piaskiem, ich dachy znalazły się dwa metry pod powierzchnią pustyni.

Zejsście do pierwszego z pojazdów zostało zamaskowane siatką kamuflującą i kępami roślinności. To był wóz „operacyjny”. Na składanym stole tuż za kabiną kierowcy opracowywano plany, a większość sprzętów, w tym przybory kuchenne, usunięto, żeby zrobić miejsce na urządzenia komunikacyjne i skrzynki z amunicją. Na ściennych wieszakach wisiały karabiny *Kalasznikowa*, węgierskie *AKM*, pistolety maszynowe *MP-5* oraz dwa granatniki. Siedzący na obrotowych stołkach ludzie Martiny nasłuchiwali w słuchawkach ruchu w eterze, czyścili broń albo czytali „Al Watan Al Arabi”. Czasami przygaszały światła, gdy generator zakrztusił się kurzem, ale większość czasu przednie i boczne okna były oświetlone, dzięki czemu widać było usypany na szybach piasek. Małe czarne smużki ziemi i kamieni tworzyły wzór podsuwający myśl, że pojazdy znajdują się w trzewiach dinozaura.

Drugi pojazd stanowił pomieszczenie mieszkalne dla ludzi Martiny. Mężczyźni mieli ograniczony dostęp do wody i z zapachami żywności konkurował też typowy dla wojskowych siedzib odór zaschniętego potu. Każdą dostępną powierzchnię poziomą pokrywały zniszczone śpiwory, a dodatkowo do ścian zostały przywieszane dwa hamaki.

Ostatni samochód stanowił prywatną kwaterę Martiny. Nie było tam żadnej osobistej rzeczy, która stwarzałaby przytulną atmosferę. Ani zdjęć, ani makatek, ani nawet czajniczka do herbaty. Za to na stole leżały mapy, podręczniki dotyczące techniki samolotowej, egzemplarz niemieckiego czasopisma o broni „Visier”, zestaw do czyszczenia broni i pudełko z podpaskami. Po usunięciu stamtąd każdego przedmiotu, który w jakiś sposób porwana mogłaby wykorzystać, Martina odstąpiła swą sypialnię na celę dla Ruth. Do drzwi została przymocowana ciężka sztaba.

W całej siedzibie nie zaprojektowano ani jednego wyjścia ewakuacyjnego. Martina zakładała, że jej ludzie będą walczyć do końca.

Podczas krótkiego obchodu po tym podziemnym kempingu Ruth nie zauważyła żadnych planów akcji, nie przyłapała nikogo, kto przebierałby się za kogoś innego, ani nie wyłowiła izraelskich czy europejskich nazw miast z ich arabskich rozmów.

Wyczuła ogólną atmosferę przypominającą odliczanie przed startem, milczenie ludzi oczekujących na akcję, ludzi sporządzających rachunek sumienia. Często zdarzało jej się wyczuwać napięcie przed operacją, ale zawsze z wyrzutami obserwatora pozostającego w bezpiecznym miejscu. Teraz nie miała wyrzutów, ale i tak wiedziała, że zaraz ma dojść do jakiejś akcji.

Cokolwiek knuła Martina, uważała, że Ruth zapewni jej nietykalność. A to z kolei oznacza, że akcja mogła dotyczyć w jakiś sposób ojca Ruth albo całego AMAN-u. Z niewyraźnego mamrotania Klump można było też wnioskować, iż „interes” dotyczy jeszcze kogoś oprócz Izraela. Ale na tym Ruth musiała zakończyć domysły, bo nie miała kolejnych fragmentów układanki. Jak zwykle z powodu tajemniczości ojca błędziła jak pijane dziecko we mgle.

- O, tato - szeptała Martina, kiwając się do przodu i do tyłu, jakby próbowała tłumić ból brzucha. - Wybacz mi, proszę, *Papa*. Nie powinnam jej zostawiać w tym domu. Wiem, że to ja ją wystawiłam. Jaka byłam głupia. - Energicznym ruchem wytarła grzbietem dłoni czubek nosa. - Ale odzyskam ją. Przysięgam.

Ruth trwała nieruchomo jak lodowy posąg, a z powodu zimowej pustynnej pogody, kiedy dni nie można było odróżnić od nocy, tak też zaczynała się czuć. Zabrano jej zegarek i o porze dnia mogła się zorientować jedynie po otworze wentylacyjnym. Dziurę w suficie zasłaniała siateczka, a przez nią widać było spodnią część stożkowej osłony i gdy słońce zniknęło z nieba, światło docierające do wnętrza tuby zamieniało się w głęboki mrok. Drżała bezustannie, krew ciekła jej z nosa i unosiła głowę, żeby powstrzymać krwotok.

Martina zerwała się z łóżka, jakby usłyszała strzał z pistoletu. Spojrzała podejrzliwie na Ruth.

- Myślisz, że cię uratuje, co? - powiedziała tonem nadal przepelnionym wyrzutami sumienia. - Wydaje ci się, że przyjedzie tutaj i zabierze cię? - Parsknęła. - A może ten głupi gliniarz, co?

Ruth milczała i tylko wpatrywała się jej w oczy, chociaż Klump gestykulowała, wymachując nożem. Na samym początku, kiedy Youssef pozwolił jej skorzystać z małej toaletki pomiędzy kuchenką a jej pomieszczeniem, znalazła okazję, żeby zapytać, co się stało z Michaeliem. Odmówił odpowiedzi, a ona nie wyczytała nic z jego oczu. Za to teraz Martina sama wygadała tę wspaniałą wiadomość. A więc Michael żyje. Był gdzieś tam na wolności, może nawet z jej ojcem. Grupują siły, żeby ją ocalić. Na pewno.

- Może i przyjedzie. - Martina opanowała się i mówiła swobodniejszym tonem. - Twój ojciec ma wpływy. - Pukając ostrzem noża o paznokcie, spojrzała na sufit. - Prawda?

Ruth musiała odpowiedzieć. Musiała się odezwać, bo straciłaby przewagę, którą zyskała nie krzycząc po uderzeniu Martiny.

- Tak, to prawda - powiedziała ostrzegawczym tonem.

Kiwając głową, Martina nadal bacznie obserwowała wnętrze wozu i krzywiła się, jak dekorator wnętrz w przytułku dla bezdomnych.

- O, aż miło się słucha córki dumnej z ojca.

Ruth dostatecznie dużo wiedziała o losie ojca Klump, żeby unikać teraz wchodzenia na to pole minowe. Nie miała jednak pojęcia, że gdy Martina le-

dwie przestała być nastolatką, substytutu ojcowskiej opieki szukała u Benjamina Bauma.

- Ojcowska miłość to też ogromna siła - odezwała się ostrożnie. Martina opuściła wzrok na Ruth.

- Czyżby? - zapytała, jakby nigdy nie mając do czynienia z takim zjawiskiem, nie potrafiła go sobie wyobrazić.

- Uważam, że rodzicielska miłość jest najsilniejsza ze wszystkich - powiedziała Ruth, boleśnie zdając sobie nagle sprawę, że nie chce już żyć, nie mając własnego dziecka, które mogłaby kochać.

- Myślisz, że ojciec cię kocha?

- Tak. - Była to miłość egoistyczna, ale czy bywają inne?

Wyraz twarzy Martiny nie uległ zmianie, chociaż opuściła wzrok na usta Ruth. Dzielila je tylko długość jednego łóżka.

- Warga ci puchnie - powiedziała.

Ruth podniosła dłoń, żeby dotknąć siniaka, ale powstrzymała się w połowie ruchu i położyła rękę z powrotem na kocu.

- Powinnaś przyłożyć sobie lód - zaproponowała Martina.

- Dziękuję. Nic mi nie będzie.

- Nie mamy lodu - powiedziała oschłym tonem Martina. Machnęła ręką. - Nie pozwalam na to. Lodówki działają, ale zabraniam takich luksusów. Faceci są jak dzieci. Jak ich dobrze traktować, to zaraz robią się leniwi, czekają na zabawki, prezenty i słowa pochwały.

Ruth nic nie odpowiedziała. Wyobraziła sobie Martinę w roli matki i zrobiło jej się szkoda takiego dziecka.

- On nikogo nie kocha - odezwała się Martina. Spojrzała na swe ręce, zauważyła smar za paznokciami i zaczęła je czyścić czubkiem noża. - Twój ojciec nie jest do tego zdolny.

Szydercza arogancja prowadziła Ruth prosto do pułapki.

- Aż tak dobrze go znasz?

- Znam go o lepiej niż ty, moja droga! - krzyknęła raptem Martina, pchnęła przed siebie nożem, a Ruth znów uderzyła głową w ścianę. - O wiele lepiej!

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - odpowiedziała szybko Ruth, próbując uspokoić Klump, zanim znowu wybuchnie. Mięśnie nóg przygotowały się do odparcia ataku.

- Spostrzegawcza? - kpiącym głosem zapytała Martina. - Myślisz, że jestem jakąś wróżką

wciskającą kity? Ja go znam z własnych doświadczeń. I to wieloletnich. To nie mężczyzna. A właściwie jest mężczyzną ze wszystkimi implikacjami tego słowa. To jaszczurka ukryta za skałą. Zawodowy kłamca, zdrajca i oszust! - Przystała krzyżeć i stopniowo odyskiwała panowanie nad sobą. Potrząsnęła głową, roześmiała się i delikatnie zamknęła drzwi szafy. - Sama o tym dobrze wiesz, co? - szepnęła ze szczerym współczuciem.

- Rzeczywiście, niektóre te określenia pasują do mojego ojca - przyznała Ruth, chociaż porywczosć Martiny trochę ją strapiła i ostrzegła o jakichś dziwnych koneksjach, o których ona nie ma zielonego pojęcia. - Jest oficerem wywiadu. Szpiedzy to nie księżęta.

Martina przyłożyła rękę do lustra i ustawiła je w prawidłowej pozycji. Pewną chwilę patrzyła sobie w twarz, a potem, odchylając głowę do tyłu, znów na całe gardło wybuchła śmiechem.

- Rzeczywiście - oznajmiła w końcu ze wzruszeniem ramion. - Nie są księżętami. - Wesołość jej minęła i dotknęła palcem oka, jakby spodziewała się zobaczyć w lustrze zmarszczkę. - Ani księżniczkami. - dodała. - Lepiej by było dla ciebie, gdybyś niczego nie wiedziała. Tak jak ja, gdy byłam dzieckiem. - Obejrzała drugie oko. - Prawdy dowiedziałam się o wiele później i starałam się jakoś naprawić jego zbrodnie. A tego się nie da.

Ruth zdawała sobie sprawę, że wszelkie próby zaprzeczania Klump mogą tylko podsycać żar pod jej i tak rozpaloną złością, więc postanowiła milczeć. Poza tym wyczuwała w Martinie pragnienie dominacji, jeśli nie fizycznej, to mentalnej za pomocą trzymanyh w zanadru rewelacji. Tylko co ta kobieta mogła takiego wiedzieć o jej ojcu, czego ona miała sobie nawet nie wyobrażać? Że kogoś zabił? Że wysłał kogoś na śmierć, że kogoś torturował, aby wydobyć tajemnice? Nie chciała nigdy dopuszczać do siebie myśli o takich rzeczach, chociaż zdawała sobie sprawę z ich istnienia. Obserwowała Martinę odsuwającą zamek kieszeni na piersi, wyjmującą paczkę papierosów i zapalającą zapalniczkę. Zapewniała siebie, że Klump niczym jej nie może zaskoczyć. Dopóki Martina nie wypuściła obłoczka dymu, a jej zabrakło tchu w piersiach.

- Jak jeszcze chodziłaś do przedszkola, to przez pewien czas pieprzyłam się z twoim ojcem.

Słowa dotarły do mózgu Ruth i zaraz starała się stłumić płomień, który wznieciły, gdy pojęła ich znaczenie. Rzadko które dziecko potrafi zaakceptować fakt, że jego rodzice prowadzą życie seksualne i nawet, gdy już jako dorosłe osoby odkrywają naturę pożądania, z jakichś powodów mama i tata nie są uznawani za kandydatów na kochanków. Oczywiście ojciec był mężczyzną, ale nie prowadził życia seksualnego poza łóżkiem *Eema'y*, a i tam akt miłosny musiał trwać krótko i przebiegać niedołużnie. Ruth doszła więc do wniosku, że Martinie musi chodzić o coś innego. Zapewne chciała powiedzieć, że jakoś przechytryła ojca, pokonała, uciekła mu, gdy dopiero zaczynał karierę.

- Tak - Martina odwróciła się od lustra i pokiwała głową do uprowadzonej dziewczyny. - Chciał mnie odwrócić. - Rozejrzała się, gdzie usiąść, ale zaraz przypomniała sobie, że kazała zabrać wszystkie stołki i inne pozostające luzem przedmioty. Oparła się plecami o drzwi wejściowe, usiadła na podłodze, położyła ręce na kolanach, w prawej dłoni trzymała nóż, a w lewej papierosa. - To było w Paryżu. Byłam bardzo młoda. Młodsza niż ty teraz. - Zaciągnęła się i wypuściła dym w stronę sufitu. Nie spieszyło jej się. Słuchacze nie mogli od niej uciec. - Byłam skolowana i niedoświadczona. Jeszcze nie miałam żadnych poglądów. A wiesz jacy są mężczyźni. Wyczuwają takie rzeczy jak rekiny krew w wodzie.

Zmyśla, uznała Ruth, chociaż czuła w żołądku skurcz. Bardzo wszystko ładne, brzmi prawdopodobnie, ale to tylko okrutna zabawa. Spodziewa się, że zacznie protestować i zaprzeczać. Nie daj się w to wciągnąć.

- Uważałam go za wspaniałego kochanka. - Martina zaśmiała się z dziecięcą naiwnością. - Oczywiście do czasu. Ale przyznaję, że miał przewagę. Właśnie dlatego

starzy faceci lecą na młode dziewczyny. Takie dzieci jak ja wtedy mają niewiele

możliwości porównania ich z kimkolwiek. - Spojrzała na Ruth, delektując się jej osłupieniem.
- Gdy miałam jakieś wątpliwości, on swoim pieprzeniem zaraz mi je wybijał z głowy.

Chociaż wszystko w Ruth się gotowało, chociaż mostek ranił serce jak żelazna sztaba, nie zamierzała ujawnić przed Martiną swej reakcji. Ostatkiem sił pozostałych w bolącym policzku uśmiechnęła się, chociaż z drżącymi ustami.

Martiną odgoniła dym sprzed twarzy.

- O - powiedziała, unosząc głowę. - Nie wierzysz mi? - Wzruszyła ramionami.
- Oczywiście. - Uniosła nóż i spojrzała na czarne ostrze. - Mam ci opisać jego fiuta? Jeszcze go dobrze pamiętam, a przypuszczam, że ty też go widziałaś. - Opuściła broń. - A może nie. Zastanówmy się. Ja nigdy nie widziałam swojego ojca, chociaż oczywiście byłam bardzo mała, kiedy się zastrzelił. - Wzięła papierosa do ust i uniosła palec, jakby wpadł jej do głowy pewien pomysł. - A inne rzeczy? Na przykład jakieś stare blizny, takie, które ty widziałaś? - Przyłożyła palec do prawej piersi. - Tu ma małą bliznę po kuli. Zauważyłam, że taką samą ma na brzuchu, chociaż teraz przytył i pewnie trudno ją zauważyć. - Położyła dłonie na podłodze, podparła się, uniosła nogi, skrzyżowała je i przez powstałą szparę patrzyła na Ruth. - Gdy mnie pieprzył, zakładałam mu nogi na szyję. O, tak jak teraz. - Zamknęła oczy, uśmiechnęła się i zaczęła rytmicznie odchyłać głowę do tyłu. - Pamiętam jeszcze jego owłosione piersi, gdy napierał na mnie jak pociąg. Czasami miałam wrażenie, że chce mnie zabić. - Przesłała się poruszać i otworzyła oczy. - Zawsze się przy tym pociał.

Ruth drżał podbródek, zacisnęła powieki, ale nie mogła zasłonić sobie uszu, którymi płynęły raniące słowa. Zaciskając pięści na kocu, przywoływała na myśl obrazy mogące odpędzić ból: pachnąca purpurowa bugenwilla w Jerozolimie, pastelowe kolory letnich sukienek, bracia goniący za piłką w Parku Niepodległości i ona biegnąca za nimi, chociaż się przewraca, zdiera sobie kolana, ale potem są z niej dumni. Przypomniała sobie zapach skautowego ogniska mieszający się z aromatem sosen w jerozolimskim lesie, a potem siebie z Gabim na miękkim kocu, gwiazdy prześwitujące między konarami drzew. Mieli dopiero po szesnaście lat i choć był to jej pierwszy raz, to nie działało się nic bolesnego, ani nieprzyjemnego. Było tak pięknie, słodko, tak łagodnie, ciepło, cudowny okrzyk zjednoczył ich dusze.

Usłyszała, że ta okrutna kobieta podchodzi bliżej, a jej ciężkie buty uderzają o podłogę. Ruth nadal przywoływała obrazy z przeszłości, odpierała atak niczym mistrz tai chi przyjmujący na siebie uderzenie i łagodzący je lepszą stroną życia.

- Oczywiście penis właściwie nie ma władzy - oznajmiła Martiną, strząsając z buta jakiegoś pustynnego owada. - To prymitywna rzecz reagująca na najprostsze bodźce. Zgadzasz się ze mną?

Ruth słuchała właśnie delikatnego szumu fal Morza Śródziemnego, kojącego rozbijania fal o plażę. Na ustach czuła cytrynowy smak zimnego napoju.

- Nie można nad nim panować - kontynuowała z szyderczym żalem Martiną. - Może go podnieść cokolwiek: ciasna bielizna, ciało dziecka, a nawet powieszenie jego własnego pana. - Zatrzymała się i podniosła ręce, jakby przemawiała do zgromadzenia zagorzałych feministek. - Prawdziwą władzę ma ten, kto trzyma penisa, ponieważ pochwa to część kobiecego umysłu. Mężczyźni o tym wiedzą, moja droga, i dlatego

pieprzą z taką złością i ze strachem. Wiedzą, że są wtedy tylko słabowitymi sługusami. - Ostrze noża i rozżarzony koniuszek papierosa niemal dotykały sufitu.

Chwilę wytrwała w tej pozycji, a potem opuściła ręce. Pochyliła głowę i spojrzała na Ruth, lecz ku swemu zdumieniu dostrzegła, że dziewczyna nie doceniła jej monologu i wpatruje się w nią oczami pełnymi ognia.

- *Du verdamnte Fotze* - warknęła Ruth.

Martiną cofnęła się o krok i ze zdziwienia otworzyła usta.

- Cipa? - Cmoknęła z dezaprobatą. - Wstydz się. Widocznie nie zrozumiałaś mojego

siostrzanego wykładu.

- Głupia dziwka. - Ruth dotknęła palcem ust, jakby chciała pokazać, że cierpi tylko fizycznie. - Myślisz, że uwierzę w te brednie? Co z tego, że ojciec ma bliznę na piersi? Co najmniej dziesięć organizacji wywiadowczych ma ten fakt w jego dossier.

- Możesz nie wierzyć. - Martiną wzruszyła ramionami.

- Idź do diabła. - Ruth oparła się plecami o drugą ścianę i odwróciła głowę. - Nic nie wiesz. Dziesięć minut grzebania w papierach i takie same wymysły mogłabym snuć o twoim ojcu.

- Pewnie tak. - Martiną westchnęła. Podrzuciła nóż i chwyciła go za rękojeść. - Oczywiście. Masz rację. - Znów podrzuciła nóż, tym razem chciała, żeby obrócił się w powietrzu dwa razy. - Można pogrzebać w papierach. I z papierów dowiedziałam się o psie, którego miałaś, jak byłaś mała. O jamniku. Nazywał się *Schatzi*? Zabiła go furgonetka z mlekiem. - Koncentrowała się na nowej sztuczce. Próbowała na palcu wskazującym utrzymać nóż czubkiem do dołu. - I z dokumentów dowiedziałam się o twojej matce Mai, o Yoszu i Amosie. Oczywiście, także w aktach znalazłam trochę informacji o domu w Abu Tor. Jedno piętro i parter, styl turecki, średniowieczny. O ile pamiętam, kiedyś należał do paszy. Bardzo ładny. - Złapała upadający nóż, a drugą ręką puknęła się w czoło. - A nie! - powiedziała. - Tego nie było w aktach! Twój ojciec zawiózł mnie tam dwa razy. To bardzo nieprofesjonalnie z jego strony. Straszliwe zaniedbanie bezpieczeństwa. Ale wtedy jeszcze była faza rekrutacji. Kwiaty, łóżko, budowanie zaufania i te rzeczy. Sama wiesz.

- Zabiję cię! - wrzasnęła Ruth, zrywając się na nogi z zaciśniętymi pięściami i ze wściekłością w oczach.

Jednym susem Martiną znalazła się na łóżku i przyłożyła Ruth nóż do piersi. Jeszcze milimetr, a przebiłaby jej skórę.

- Siadaj - rozkazała. Jednak Ruth ze strachu i złości znieruchomiła i nie wiedziała, czy ma złapać Klump za nadgarstek, czy pozwolić popchnąć się w i tak już zranione serce.

- Siadaj! - krzyknęła Martiną, a pod wpływem jej głosu zamigotało światło. Przy drzwiach rozległo się stukanie Youssefa zaalarmowanego odgłosami z pomieszczenia swej szefowej. - *Hor auf!* - wrzasnęła i pukanie przy drzwiach ustało. Patrzyła Ruth prosto w oczy. - Niestety, na razie muszę cię mieć żywą. Ale w umowie nic nie ma, że nie mogę ci wypisać na tej pięknej buźce swego imienia. - Przycisnęła ostrze mocniej do ciała Ruth i dziewczyna miała do wyboru usiąść albo dać się zranić. Gdy dotknęła pośladkami łóżka, Martiną wreszcie górowała nad nią niczym dyrektor nad pracownikiem.

- Zdejmuj spodnie - poleciła Martiną.

Ruth nie mogła podnieść głowy i spojrzeć jej w oczy. Utkwiła wzrok w lotniczym kombinezonie na wysokości talii Klump i wolnym ruchem pokręciła głowę. Łzy przestały się mieścić w oczach i popłynęły po policzkach.

- Nie - szepnęła. - Nie.

- Ściągaj.

- Nie.

- Przecież cię nie zgwałcę, gówniaro! - huknęła Martina. - Jesteś tylko zbyt bezczelna. Ściągaj spodnie.

Drżącymi palcami Ruth odwiązała sznurek przy spodniach od dresu i zsunęła je do kolan. Martina pociągnęła je dalej, przez stopy i rzuciła w ką. Ruth schowała twarz w dłoniach.

Ostrzegawczym ruchem Klump przysunęła ostrze noża do dziewczyny.

- I teraz powiedz, która z nas jest głupią dziwką - powiedziała cichym głosem. - Ja, prosta kobieta bez żadnej szkoły, czy ty, studentka psychologii? Łatwy do przewidzenia obrót wypadków zamienił cię w bezmyślnego, roztrzęsionego robaka.

Ruth opuściła ręce i oparła je na łóżku. Łzy cały czas ciekły jej po policzkach, piersi podrygiwały pod wpływem łkania.

- To tylko fakty, moja droga. - W głosie Martiny pojawiło się coś na kształt nutki żalu. - To prawdziwe dziedzictwo po ojcu. Ja musiałam się dowiedzieć o nim prawdy już dawno temu. Ale ufałam mu, pozwoliłam mu się zdradzić, wysłać się między złodziei i morderców, stałam się jedną z nich. - Pokręciła głową. - A potem jeszcze raz mu zaufałam. Jeszcze tylko jeden raz. A on odsłonił swe oblicze i próbował mnie wykończyć.

Ruth pociągnęła nosem. Podniosła dłoń i dotknęła palcem do policzka.

- Ty też powinnaś się o wszystkim dowiedzieć, moja droga. - Martina westchnęła. - Taka dziewczyna jak ty wychowuje się w środowisku podobnych do siebie ludzi. Zrobią z ciebie kobietę silną i niezależną, a z drugiej strony oślepiąją i paraliżują głupawą, idealistyczną poezją.

Nie zmieniając pozycji noża, zaczęła rozglądać się za papierosem. Tlił się na podłodze, więc dogasiła go podeszwą. Potem wolną ręką wyjęła paczkę z kieszeni, wyłuskała nowego papierosa ustami i zapaliła go. Wyjęła z ust i podała przed siebie.

- Masz - zaproponowała. - Wiem, że palisz. Widziałam, jak byłeś w restauracji z tym detektywem.

Po upływie chwili Ruth wzięła papierosa w drżące palce. Zaciągnęła się i zakrztusiła.

- On do ciebie nie pasuje - mówiła Martina. - Owszem, przystojny. Może nawet szarmancki. Może nawet mogłabyś wyjść za kogoś takiego. Ale nic by z tego nie było. Takie namiętności szybko gasną. Wierz mi, ja to wiem. Powinnyśmy ze sobą trzymać.

Oddech Ruth powoli stawał się coraz bardziej rytmiczny. Nie czuła już na twarzy fizycznego bólu, ponieważ rany psychiczne zadawały ból o wiele okrutniejszy. Wyjęła papierosa z ust i próbowała skoncentrować wzrok na rozżarzonej koniuszku.

- Nie próbuj niczego takiego, proszę - ostrzegła Martina. - Już kiedyś zostałam oparzona. - Jednak instynkt kazał jej cofnąć się o krok. Mimo wszystko miała do czynienia z bystrą dziewczyną wyszkoloną przez żydowskich żołnierzy. Lewą rękę położyła na biodrze. - A więc teraz już wiesz wszystko - powiedziała. - Zastanawiasz się pewnie, o co w tym wszystkim chodzi.

Ruth miała głowę tak ciężką, jakby ktoś wpompował jej tam rtęć. Spojrzała na swe nogi. Sweter był trochę za krótki i zobaczyła biały trójkąt majtek. Zasłoniła go przedramionami; jedną rękę położyła nieruchomo, a w drugiej trzymała papierosa.

Odkąd została wrzucona tutaj jak królik do klatki, przez każdą nieprzespaną minutę zastanawiała się, o co tu chodzi. A co innego miała robić? Nie dali jej nic, czym mogłaby zapelnąć czas. Nie miała radia, bo z lokalnych rozgłośni dowiedziałyby się, gdzie przebywa. W Libanie? W Syrii? Pierwsze kilka godzin, podobnie jak większość nowych więźniów, spacerowała, próbowała stawiać opór i zrozumieć swą sytuację. Potem jednak niska temperatura zmusiła ją do wejścia do łóżka, chociaż nie miała najmniejszych nadziei na sen. Nie wiedząc nic o planach Klump, nie mogła nawet zgadywać, ile czasu tutaj pozostanie. Tydzień? Rok? Pięć? Strach przed egzekucją przemienił się w umiarkowane obawy, bo знаła wiele opowieści o zakładnikach i jeńcach wojennych. Jeśli porywacze nie zabiją kogoś w ciągu pierwszego dnia, to są spore szanse na to, że oszczędzą go i będą chcieli dzięki niemu coś zyskać. Jestem młoda, myślała, przeżyję to. Wytrwam i znów będę wolna. Oni nie spoczną, póki mnie nie znajdą.

Emocjonalne konwulsje ostatnich kilku minut doprowadziły ją niemal do załamania i pragnienia śmierci. Ale i to już miała za sobą. Teraz chciała żyć, chciała znów wachać kwiaty rosnące wokół domu, chciała czuć na policzkach promienie słońca i czułe pocałunki kochanych osób. A nawet jeśli nie miałyby innych powodów, to chciała przeżyć, żeby dowiedzieć się prawdy.

- Tak, zastanawiam się - wyszeptwała.

- Cóż, sprawa nie jest zbyt skomplikowana - powiedziała Martina zadowolona, że znów ma uważną słuchaczkę. - I nie ma powodów, żebyś jej nie poznała.

Skłonność Martiny do zwierzeń wcale nie ucieszyła Ruth. Kiedy terroryści zdejmują maski, dla zakładników nie oznacza to nic dobrego.

- Twoi krajanie bardzo się starają, żeby dokonać wymiany jeńców z Hezbolla-hem. - Znów zaczęła podrzucać nóż. -Ja oczywiście nie pracuję dla żadnej ze stron. Jestem panią samej siebie. - Nie wspomniała o trzeciej stronie, ponieważ doskwierało jej, że nie potrafi zidentyfikować swojego mocodawcy. - Moja misja polega na storpedowaniu tej wymiany. I możesz mi wierzyć, że tego dokonam.

Wpatrzona w koniuszek papierosa Ruth pokiwała głową. Wymiana jeńców. Stłumiła w sobie ciekawość. Teraz musiała martwić się o swoje życie.

- Ciebie wzięłam jako polisę ubezpieczeniową - powiedziała Martina.

Coś bliżej nieokreślonego kazało Ruth się odezwać. Być może było to szkolenie przebyte w wojsku albo tradycja podważania status quo, albo żydowski nawyk rozpytywania o wszystkie stwierdzenia, które nie całkiem satysfakcjonują. Kiedy terroryści biorą zakładnika, jego towarzysze mają chwilowo związane ręce. Można po cichu zabić zakładnika i też mieć kilka tygodni przewagi.

- Dlaczego jeszcze żyję? - zapytała. Martina przestała się bawić nożem.

- Już ci mówiłam. - Oczy jej pociemniały. - Jesteś kartą przetargową. - W tym samym momencie Martina z całą wyrazistością zrozumiała rytm i działanie tego typu zagrywek. Miała mało czasu, najważniejsza akcja już się prawie zaczęła. Mogłaby zabić dziewczynę przed przybyciem do punktu Skorpion, a ponieważ na razie nikt

by się o tym nie dowiedział, zamierzony efekt zostałby osiągnięty. Ale Martina, sama nie wiedząc dlaczego, oszczędziła ją. Dziewczyna uświadomiła sobie jej słabość i z tego powodu Klump coś ścisnęło za gardło. A teraz informacja od Fouada uniemożliwiła jej działanie wedle woli. Znów zaczęła spacerować, ale ledwie uszła krok, odwróciła się w lewo.

- Mogłam cię wypuścić - warknęła. - Ale twój zasrany tatuś myśli, że jest taki cwany! Ten łajdak dla nikogo nie ma szacunku. Przed niczym się nie powstrzyma. Moja matka jest już stara, słabowita i schorowana. Poza tym ona o niczym nie wie.

Wolnym ruchem Ruth uniosła głowę. Teraz rozumiała. Teraz kawałki układanki utworzyły całość i znów zaczęła świtać nadzieja. Życie twojej matki za moje życie! Chciało jej się krzyczeć, ale zachowała spokój. O, *Abba*. Dla mnie przed niczym się nie zatrzymasz! Widziała, że Klump traci nad sobą panowanie i ostrożnie dolała oliwy do ognia.

- Mówiłam, że ojcowska miłość... - wyszeptowała.

- Nie łudź się! - krzyknęła Martina. Skoczyła do Ruth i przyłożyła jej nóż do nosa. - Dla niego to tylko zagrywka taktyczna.

Tym razem Ruth nie zamierzała stawiać oporu. Serce trzepotało ze strachu, ale wiedziała, że każde skaleczenie na twarzy ojciec pomści w trójnasób. Kochał cię? Zadała sobie po cichu pytanie. Wykorzystał cię i wyrzucił, kiedy okazałaś się zwykłym śmieciem. Ruth była nieuzbrojona, do potowy rozebrana, a i tak czuła, że ma przewagę.

- Jeśli mnie skrzywdzisz - ostrzegła - on cię zabije.

Martina zawyla i odciągnęła do tyłu lewą rękę. Ale Ruth nie zrobiła uniku, tylko zamknęła oczy, żeby przyjąć cios. Musiała je jednak otworzyć, bo Klump złapała ją pod brodę i zaczęła palcami miażdżyć policzki o zęby. Poczowała przeszywający ból świeżych ran i ujrzała tuż przed oczami twarz Martiny.

- Dobiję z nim targu - obiecała terrorystka. - Ale nie licz, że wyjdiesz z tego żywa.

Dłuższą chwilę przytrzymała Ruth, a potem powoli zabrała rękę. Nie powodując prawie żadnego dźwięku, podniosła sukienkę oraz spodnie od dresu i szybkim krokiem wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z taką siłą, że drzwi szafy otworzyły się i zakołysały na zawiasach.

Ruth podniosła ręce i przyglądała im się uważnie. Dygotały jak jesienne liście na słabym wietrze. Ostatni raz zaciągnęła się dymem i zgasiła papierosa na ścianie.

Wolnym ruchem zaczęła ponownie oglądać celę. Centymetr po centymetrze szukała

miejsca, gdzie stał mogłaby ustąpić, szukała czegoś, co dałoby się oderwać, czym można by zabić.

Przynajmniej jedną rzecz wiedziała na pewno. Czekala tu na egzekucję. Musiała więc szukać jakiejś szczeliny, jakiegoś słabego punktu, jakiejś szansy na ucieczkę. Jakiegoś wyjścia.

Wolności na kontynencie, którego nawet nie mogła zidentyfikować.

21

Marakesz

Palce Benniego Bauma ścisnęły gardło oliwkowozielonej kobry, której pozbawiony warg otwór gębowy dotykał niemal jego ust. Z płaskiego nosa tuż przy jego uchu wydobywał się elektryzujący syk. Patrzył na główkę i żałował, że brakuje mu sił na skruszenie opornego kręgosłupa. Widział ogon wijący się wokół jego przedramienia i z trudem powstrzymywał się przed drzeniem. Oczywiście wiedział, że przedmiot jego niechęci jest tylko telefonem, lecz dostrzegał w nim zmię, którą trzymał już wiele razy i której szeptał łatwo przyjmowane kłamstwa.

Telefon służył jako środek przekazu jego kłamstw tyle razy, że nie sposób byłoby zliczyć wszystkich grzechów. Lecz to kłamstwo z całą pewnością było najgorsze ze wszystkich. Uciał sobie miłą pogawędkę z żoną za pośrednictwem biura Awahama w Waszyngtonie - bo tylko taką metodą mógł się łączyć z „zaprzyjaźnionych” krajów arabskich. Niczego nie podejrzewająca Maja wyjeżdżała właśnie z synami na wycieczkę. Westchnęła na wiadomość, że pobyt męża w Stanach się przedłuży, ucieszyła się jednak z tego, że udało mu się w końcu pogodzić z Ruth. A właśnie, jak tam nasza nowojorska studentka? O, wszystko w porządku. Uśmiechnął się do telefonu, chociaż w głowie słyszał swój krzyk „Nasze dziecko być może już nie żyje. A z całą pewnością straci życie, jeśli czegoś nie zrobię. I, Boże przebacz, ale to wszystko moja wina”.

O, wszystko w porządku...

Nagle wstał z łóżka i rzucił przed siebie słuchawkę, ale plastikowy przewód stawiał opór, słuchawka upadła nieruchomo na brązową narzutę i uparcie wydobywała z siebie szumy satelitarnych połączeń.

Benni stał, ciężko oddychał, w pokoju panowała kamienna cisza. W duszy przysięgał Bogu, że jeśli jeszcze tym razem wyciągnie go z tego wszystkiego, już nigdy więcej nie okłamie Mai.

A potem zdał sobie sprawę, że okłamuje samego Boga.

Podszedł do niego Eytan i położył mu dłoń na ramieniu, w taki sam sposób, w jaki nawiązuje się kontakt z rannym zwierzęciem. Benni nie odwrócił się. Nieruchomo spoglądał na odcisk, jaki pozostawił po sobie na narzucie. Popatrzył na dłoń, na zegarek, widział krążący sekundnik, mijały minuty.

Tuż obok, dokoła szklanego, niskiego stolika do kawy, siedzieli na hotelowym dywanie Sadeen, Rick Nabbe i Ari Schneller. Błat pokrywała mapa otrzymana od CIA. Wszyscy trzymali długopisy, ale niczego nie zaznaczali, bo byłoby to naruszeniem zasad bezpieczeństwa operacji. Zamiast tego na wybrany fragment nakładali arkusze grubej folii i rysowali swoje strzałki, kółka i ikony. Tam mieli też wyrysowane własne trasy do pokonania i indywidualne drogi ucieczki. Taką folię można podnieść do Księżyca i bez trudu odczytać albo szybko zniszczyć.

Kosz pełen był już takich foliowych arkuszy, ponieważ początkowo planowano szturm na siedzibę Martiny od północy. Teraz pod wpływem nagłego zdenerwowania Bauma wszyscy zamilkli, bawili się długopisami jak dzieci obserwujące płaczących rodziców.

Eytan zabrał rękę, a Benni wziął się w garść. Przecież tak być nie mogło. Musiał zapomnieć o współczuciu, zapomnieć o wyrzutach sumienia, ukryć własny strach i rozpacz, bo w taki sposób mógł tylko zarazić swych ludzi. Musiał dowodzić. Odwrócił się, minął

Ecksteina, stanął przy stole i, spoglądając na mapę, wyjął z kieszeni paczkę Rothmansów. Zapalił papierosa. Można je palić i nie zakrzusić się na śmierć, przynajmniej do pewnego czasu. Oparł pięści na biodrach, a gdy Sadeen zaczął coś mówić, uciszył go. Dowódca pracował.

Zanim zmusił się do rozmowy z Mają, odebrał długo oczekiwany telefon od Arta Roselliego. Rozmowa powinna spełnić pragnienia, o których bezustannie myślał podczas porannej podróży pociągiem ekspresowym z Casablanki do Marakeszu.

- Owoce są w chłodni - powiedział skromnym tonem Arthur. - Ale nie wytrzymają zbyt długo.

A więc Roselliemu udało się porwać matkę Klump. Ponościł ogromne ryzyko, dał dowód prawdziwej przyjaźni. W każdym razie początkowo Benni wcale nie miał zamiaru porwać staruszki i wymieniać jej na córkę. Ale teraz musiał zastosować ten manewr. Martina kupiła „towar”, ale jeśli nie zostanie on dostarczony, jej wściekłość nie będzie miała granic.

- Twoja przyjaciółka godzi się na zaślubiny - powiedział Arthur. - O pierwszej jej strefy czasowej u niej. Trzydzieści sześć godzin od tej chwili.

Wymyślony przez Roselliego plan ucieczki Benniego ze szpitala Bethesda również zadziałał. Bauma właściwie nie interesowało, w jaki sposób nakłonił Wieprzy Martiny do skontaktowania się z szefową. Był pełen podziwu dla profesjonalizmu oficera CIA i zaświtało mu w głowie, że mogliby razem przejść do sektora prywatnego. Może podjęliby pracę gdzieś w Miami? To bardzo miłe, spokojne, neutralne miejsce do pracy, chociaż jeśli ktoś straci córkę, to już nigdzie na świecie nie ogrzeje go słońce.

Godząc się na wymianę, Martina powinna dokonać zmiany planów. Jasno to wynikało z informacji płynącej z Langley. Niemniej wybór miejsca i czasu wymiany matki na córkę - zaledwie pięć godzin przed operacją Księżyc - sugerowały, że Klump nie zamierza rezygnować ze swego celu. Arthur nalegał, aby wraz z Ruth oddała *Minnow*, ale ona zaproponowała tylko, żeby spróbował dokonać niemożliwego do wykonania aktu miłosnego z samym sobą. Całą godzinę trwała w pokoju dyskusja na temat wyboru metody postępowania, a w końcu zdecydowano, że po tym, jak cała grupa zajmie już pozycje, drogą z Ben Zireg do Taghit przyjedzie samochód. Taki plan wymagał, żeby samochodem pojechało co najmniej dwóch ludzi - jeden jako kierowca, a drugi przebrany za starą kobietę. Podstęp będzie działał aż do momentu, gdy pojazd zbliży się na bardzo małą odległość. Nie była to taktyka szczególnie oryginalna; zastosowano ją już w Entebbe, gdzie podjechał Mercedes z Izraelczykiem przebrany za Idi Amina. Jak w przypadku każdej burzy mózgow początkowo plan wydawał się znakomity, ale uważniejsza analiza ujawniła pewne niedociągnięcia.

Benni spojrział na O'Donovana siedzącego przy niskim biurku. Opierał na ręce nieogoloną brodę. Nie miał już bandaża, a rozcięcia na twarzy przykrył makijaż, ale nadal z powodu guza na nosie wyglądał jak dubliński Żyd.

Baum wyjrzał przez szklaną ścianę w bardziej oddalonym krańcu pokoju. Z parteru hotelu „N'Fis” wychodzi się na ukwiecony pasaż. Znajdujący się dalej rozległy basen nie przyciągał zimą zbyt wielu amatorów kąpieli, niemniej z holu wyszła smukła Francuzka w czarnym bikini i zgrabnie wskoczyła do szmaragdowej wody.

Obserwujący ją zza rozsuwanych szklanych drzwi Koń trwał w napięciu, jakby brał udział w pogrzebie, na którym balerina tańczy piruety między grobami.

- Koń! - zawołał Benni i zaklaskał w dłonie. - Dlaczego, do diabła, nic nie mówisz? Drobny analityk nie poruszył się, tylko westchnął.

- Przecież dobrze wiesz, co chcę powiedzieć.

Właściwie wszyscy doszli już do takich samych wniosków, co Koń, ale wszyscy odkładali na później przyznanie się do własnych błędów.

- Więc dlaczego pozwalasz nam gadać takie głupoty? Za co ci płacę?

Koń odwrócił się od okna, ale zanim zdążył przemówić, Nabbe spróbował rozładować

napięciu.

- Mam pomysł - powiedział Belg. - Zastrzelmy Konia i zapomnijmy o jego przestrofach.

Nikt się nie roześmiał. Koń wzruszył ramionami, jakby w ten sposób akceptował swój smutny los.

- Okay - rzekł. - To śmierdzi.

- Oczywiście, że to śmierdzi! - rzekł Benni, jakby wiedział już o tym od dawna. - To nie zadziała. Musielibyśmy pojechać ciężarówką przez Figuig, a zważywszy na odległość, trzeba by wyruszać już w tej chwili.

- Zgadza się - powiedział Koń.

- No to dlaczego po prostu nie uprowadzimy jakiegoś samochodu na miejscu? - zaproponował Schneller.

Nabbe mruknął, jakby też już się nad tym zastanawiał.

- A jeśli o tej godzinie nie ma tam ruchu? - rzekł Koń. - Jeśli wszyscy Algierczycy zgromadzą się przed telewizorami i będą oglądać mecz?

- Ma rację - powiedział Eytan, który stanął na miejscu Benniego przy łóżku. Potem uklęknął i zaczął skubać koniuszek swej kitki. - Klump musi być przekonana, że dostarczamy jej przesyłkę, a nie może wiedzieć o naszej akcji.

- Racja - potwierdził Benni. Złożył z tyłu ręce i ruszył w stronę szklanych drzwi. Trzeba było poczynić jeszcze wiele przygotowań, a czas naglił. Martina może nie wyprowadzić Ruth, dopóki nie zobaczy odpowiedniego pojazdu. - Zostawmy to i zacznijmy od początku.

Nagle Sadeen podniósł głowę znad mapy.

- Uwaga - ostrzegł Nabbe. - Inżynier myśli. Szybkim ruchem Sadeen podniósł się z podłogi.

- Jest w Casbah jakiś ślusarz?

- Na północ od Djemaa el Fna - odparł Eckstein. - Dlaczego pytasz?

- A nic. - Saper założył na ramiona mały plecak. - Chyba znajdę.

- Zgubisz się - ostrzegł Eytan. - Lepiej weź z kafejki Mustaffę. - Na uliczkach starego miasta w Marakeszu obcokrajowiec nie może się poruszać bez przewodnika. - Ale powiedz nam najpierw, o co chodzi.

- No właśnie. - Benni odwrócił się od okna z nadzieją w głosie. - Co ci chodzi po głowie?

- O tym etapie możecie zapomnieć. - Sadeen uśmiechnął się i ruszył do drzwi. - Ja się z nim uporałem. Zostawcie go i jedźcie dalej.

Zanim ktokolwiek zdołał mu zadać dalsze pytanie, zniknął z pokoju.

- Sostafcie go i jećcie dali - Nabbe sparodiował hiszpański akcent Sadeena.

- Daj mu spokój - wtrącił się Schneller. - Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby coś obiecał i nie dotrzymał słowa.

- Panie Hearthstone? - Benni poprosił o ocenę partnera. Był jeszcze czas, żeby zatrzymać Sadeena.

Eckstein uniósł obie ręce.

- Wszyscy żyjemy w cholernym raju głupców. - Nadal wtrącał do wypowiedzi akcenty brytyjskie pozostałe z etiopskiego kamuflażu. - A niech sobie tam coś kombinuje.

- Dobrze - rzekł Benni z ulgą, że przynajmniej jeden problem mają już z głowy.

- Wy powinniście już wyruszać - zwrócił się do Nabbego, Schnellera i O'Donovana. - Spotkamy się o osiemnastej. - Zmierzył wzrokiem wyznaczoną trójkę. Ponieważ słońce mocno przygrzewało pustynną oazę, zdjęli z siebie kurtki, ale nawet w kolorowych podkoszulkach, dzinsach i sportowych butach wyglądali jak komandosi na wakacjach. - Przydałyby się jakieś kobiety - mruknął.

- Benni! - Schneller odchylił do tyłu głowę. - *Du altes Schwein.*

- Dla zmyłki, idioto - powiedział Eytan.

- Cóż, może uda nam się poderwać jakieś szwedzkie blondyneczki - z entuzjazmem

zapropował Nabbe.

- Ani się waz. - Benni pogroził palcem. - Tobie się będzie wydawać, że je podrywasz, a to one wezmą cię na przynętę. - Marokańska Surete wyspecjalizowała się w łapaniu ludzi z Zachodu na miłosną przynętę.

- *Oui, mon colonel.* - Nabbe zaszalutował, a potem udając Clouseau, zwrócił się do Schnellera. - Za mną, Kato.

Benni ich zatrzymał.

- Schneller, najpierw niech idzie Michael. Wy z Nabbe go obstawiajcie. - Znow ruszyli do wyjścia. - Aha, Michael - zawołał Benni, gdy O'Donovan był już w drzwiach.

- Pij tylko wodę butelkowaną. Nie jedz owoców. Twój żołądek może nie tolerować tutejszych mikroobów.

O'Donovan prawie się uśmiechnął.

- Dobrze, *Abba* - powiedział. Spojrzeli sobie w oczy. Obydwaj pamiętali, kiedy po raz ostatni słyszeli te słowa z ust Ruth.

Benni powstrzymał się od dalszych przykazań i kiwnął ręką, żeby już sobie poszli. Eckstein spojrzął na zegarek i wstał.

- Gdzie, do diabła, podziewa się Didi? - mruknął. W Marakeszu było wystarczająco ciepło, żeby zdjąć czarną, skórzaną kurtkę lotniczą, pozostał tylko w koszulce z literami NYU, czarnych dżinsach i płóciennych butach. Podszedł do sekretarzyka, poniosł notatnik Konia i po raz dziesiąty przejrzał listę zakupów.

- Nie przejmuj się - rzekł Koń. - Na pewno trafił na korki. - Skorzystał z okazji, żeby dla odmiany kogoś pocieszyć.

- Jesteś pewien, że załatwi tę sprawę? - zapytał Benni Ecksteina. Nalał sobie czwartą filiżankę kawy.

- Oczywiście - powiedział Eytan. - Jeśli zaczną się targować, może im trochę dorzucić.

Pomiędzy odjazdem Itzika Ben-Ziona z Casablanki a spotkaniem o północy w „Cafe de France” Eckstein nie próżnował. Udało mu się zebrać znakomity oddział,

ale nie mogli skakać na wyznaczone miejsce na prześcieradłach i sznurkach od bielizny. Mógł poprosić Lenera i Lapkina o przywiezienie spadochronów, ale istniało za duże ryzyko konfiskaty na lotnisku. Dlatego musiał zdobyć sprzęt na miejscu.

Każdy kraj posiadający jednostkę desantową ma na swoim terenie co najmniej jeden cywilny klub spadochronowy, ponieważ niektórzy weterani nie mogą wyrwać się z nałogu. W instytucji *Sindicat d'Initiative* przy bulwarze Mohammeda V uprzejma kobieta poinformowała „Anglika”, że taki klub istnieje na cywilnym lotnisku w Tit Melil, choć nie miała pojęcia, czy nadal prowadzi działalność. Tit Melil znajdowało się zaledwie dziesięć kilometrów na południowy wschód od Casablanki.

Nie wypożyczył samochodu, bo przy tak niewielkiej ilości czasu musiałby prosić o wskazanie drogi i zostawiałby ślad przy każdym otworzeniu ust. Wynajął więc tylko jednego świadka - Abderrahima, taksówkarza z firmy *Grand Taxi*.

Abderrahim tryskał wiedzą na wiele różnych tematów, podsuwając po kolei domysły, po cóż „Anthony” traci czas na jazdę do Tit Melil. I chociaż Eckstein należał do ludzi cichych i spokojnych, jako oficer wywiadu potrafił przeistaczać się w zupełnie inne osoby. Umiał przywołać rozbijający uśmiech i rozmawiać beztróskim tonem, toteż gdy Abderrahim prowadził Mercedesa po magistrali *Moulay Ismael*, zdążył nawet zaprosić Ecksteina na wesele swojej siostry.

Żartowali po francusku o kobietach, Abderrahim pukał dłonią w perski dywan pokrywający deskę rozdzielczą, trąbił na pojazdy oczyszczające miasto i na wozy ciągnięte przez konie. Po niedługim czasie skręcili w gruntową drogę i zaparkowali przed jednopiętrowym, białym budynkiem. Abderrahim wysiadł z samochodu, zabrał czerwoną poduszkę i poszedł się zdrzemnąć w cieniu drzewa.

Eytan minął czarne śmigło przed wejściem i po betonowych schodach wbiegł na piętro. Po lewej stronie w budynku aeroklubu znajdował się bar i gdy Eckstein zauważył plakat ze spadochroniarzem, poczuł przypływ nadziei.

- *Bonjour, mon ami*- przywitał barmana, wycierającego szklaneczkę do kawy.

- *Bonjour.*

- *Ou est le club des parachutistes?*

Barman uśmiechnął się, choć był to raczej wyraz żalu.

- *La-bas.* - Pokazał palcem.

Eytan wyszedł z budynku i, idąc kamienną ścieżką, minął skromną wieżę kontrolną ze srebrną anteną. Długi na około tysiąc metrów pas startowy z nawierzchnią tłuczniową znajdował się pomiędzy dwiema płaszczynami zaoranej ziemi uprawnej. Można było wylądować tu nawet *C-47*, ale na płycie stały tylko dwie *Cessny 150*. Eytan zszedł po schodkach do dużego hangaru ze wspaniałym znakiem przedstawiającym skrzydła i słowami AERO-CLUB ROYAL DE CASA BLANCA.

W hangarze trzech mężczyzn grało w karty.

- Witam panów - z uśmiechem odezwał się po angielsku. Ludzie zazwyczaj uważają, że jeśli masz kłopoty z językiem, to prawdopodobnie jesteś bezbronny.

- *Allo* - odpowiedział najmłodszy z całej trójki. Jak większość Marokańczyków nosił cienkie, czarne wąsiki. Ubrany był w oliwkową bluzę lotniczą.

- Gdzie tutaj jest klub spadochroniarski?

Młodzieniec podniósł się z krzesła i Eytan wyszedł za nim na dwór.

- Tam. - Pokazał pobliski hangar z zamkniętymi wrotami i małą czarną tabliczką ponad skoblem. Eytan zmrużył oczy. Klub spadochronowy także był „Royal”. - Ale zamknęliśmy.

Informacja ta trochę strapiła Ecksteina, ale użycie pierwszej osoby było nieco bardziej obiecujące.

- Zbyt duży wiatr? - zapytał.

- *Non, mon ami.* - Marokańczyk roześmiał się. - Gorzej. Zepsuł się nam samolot.

- Kiepska sprawa - rzekł ze współczuciem Eytan, chociaż samolot do niczego nie był mu potrzebny. Tym problemem zajął się Nimrodi.

- Jest pan spadochroniarzem? - zapytał młodzieniec, spoglądając na okulary Ray-Ban.

- Czasami. - Eytan wyciągnął rękę. - Anthony Hearthstone.

- Hakim Azziz. - Uścisnęli sobie mocno ręce.

Eytan otworzył kieszeń lotniczej kurtki i podał Hakimowi wizytówkę. Widniały na niej złote skrzydła spadochroniarskie oraz napis: GRUPA OPERACJI POWIETRZNO-DESANTOWYCH, a także londyński adres i telefon. Telefon należał do biura eksportowo-importowego na West Endzie, ale był automatycznie przełączany na faks i automatyczną sekretarkę w Jerozolimie.

- W przyszłym tygodniu moi przyjaciele spotykają się w Beni Mellal - powiedział Eytan. - Chcielibyśmy pożyczyć trochę sprzętu. Paru z nas przyjeżdża z bardzo daleka.

- Wypożyczyć? - Brwi Hakima uniosły się ponad okulary słoneczne. Zrozumiał słowo, ale taki pomysł wśród skoczków spadochronowych wydawał mu się nienormalny.

- No, sam wiesz - Eytan rozłożył ręce w zakłopotaniu. - Chłopaki robią się trochę starzy i leniwi.

Hakim wzruszył ramionami. Ruszył w stronę hangaru, szukając po kieszeniach kluczy.

- Mamy kilka spadochronów - powiedział do podążającego za nim Ecksteina. - Ale nie ma samolotu, nie ma skoków. Nie mogę wypożyczyć sprzętu, bo nie ma członków.

- Cóż, oczywiście zapłacimy za wypożyczenie - powiedział Izraelczyk, gdy Hakim otwierał dużą kłódkę. Wyciągnął łańcuch i podniósł wrota z falistej blachy.

W hangarze panował mrok. W powietrzu unosił się zapach oleju. Większą część przestrzeni zajmował biały samolot do skoków *Norman Islander*. Jego silnik leżał na betonowej podłodze

niczym uszkodzone sztuczne serce.

Hakim zaprowadził Eytana za skrzydło do drewnianej palety ze stosem ciemnych pakunków. Kopnął jeden z zapakowanych spadochronów, a Eytan się skrzywił.

- Widzisz? - powiedział Marokańczyk. - Będzie tego ze dwanaście sztuk. Kilka uczniowskich *Telesis*, parę *PD Sabre* i *Glide Path Nova*. Ale ich wypożyczenie byłoby chyba nielegalne.

- Możemy zapłacić po pięćset na tydzień za sztukę. - Eckstein zastanawiał się, od jak dawna spadochrony leżą w tak wilgotnych warunkach. - Potrzebujemy dziesięciu. - „Didi” Lerner miałby więc przynajmniej jeden zapasowy.

- Po pięćset? - Hakim odwrócił się do nowo poznanego, bogatego znajomego.

- Amerykańskich dolarów - powiedział Eytan. - Razem to będzie pięć tysięcy. Hakim pogładził się po wąsie.

- Musiałbym pogadać z członkami klubu.

- No i oczywiście zostawiłbym depozyt - nalegał Eckstein. - Pełna suma na wypadek zniszczenia.

- Albo kradzieży?

- Nigdy nic nie wiadomo. - Niewinnie wzruszył ramionami. - Ale gdyby coś takiego się stało, będziesz mógł dać kolegom po dwa tysiące za sztukę i powiedzieć, żeby sobie kupili nowe, no nie?

Patrzył na Hakima, który choć zdjął słoneczne okulary, to i tak w mroku nie mógł odczytać wyrazu oczu Anglika. Możesz też, dodał w myślach Eckstein, rozwalić kłódkę, powiedzieć przyjaciołom o włamaniu i kupić sobie sportowy samochód.

Hakim doszedł do wniosku, że musi zapalić. Eytan łagodnie wziął go za ramię i odciągnął od stosu spadochronów.

- Coś ci powiem. - Eckstein wyjął z kieszeni kurtki spory zwitek pieniędzy i odliczył pięćset dolarów. - Weź to jako zaliczkę. Jutro rano o siódmej będzie tu mój kolega z resztą pieniędzy. - Nie bał się, że Hakim i cała reszta mogą spróbować wyrolować Didiego. Raczej byłoby mu ich żal, gdyby wpadli na taki pomysł. - Umowa stoi? - zapytał. - Jak spadochroniarz spadochroniarzowi.

Hakim znalazł się w niewygodnej sytuacji. Ale nie miał nic do stracenia. Anglik na pewno był *toque*, może nawet kryminalistą. Hakim mógł zadzwonić do Surete. Ale wtedy straciłby pokąźną fortunę.

- Umowa stoi - powiedział, z dumą wypinając pierś.

- Świetnie - rzekł Eytan. Poklepał Hakima po ramieniu. - A więc jutro o siódmej. - Puścił Marokańczyka i energicznym krokiem ruszył do wyjścia. Na odchodne jeszcze raz się odwrócił: - Nie spóźnij się. I nie wciskaj nam brudnej bielizny.

Hakim uśmiechnął się i pokiwał ręką. Spojrzał na pieniądze i podniósł banknot do słońca. Nie wciskać brudnej bielizny. Co to, w imię Allacha, ma znaczyć...?

Podekscytowany Koń zaczął gestykulować, a Eytan odwrócił się od sekretarzyka. Od strony hotelowego holu recepcyjnego przez rozległe patio szedł Didi, odwracając łysą głowę w poszukiwaniu odpowiedniego numeru. Ujrawszy Konia, skręcił w lewo do ogrodu i minął sadzawkę ze złotymi rybkami. Koniowi udało się otworzyć drzwi tuż przed wtargnięciem Didiego.

- Cholerna kupa złomu z tego Mitsubishi - rzucił Lemer. Usiadł na dywanie i zajął się wylewaniem z buta wody, której mu naleciało w sadzawce. Miał na sobie szorty koloru khaki i czarny podkoszulek z napisem Blue Sky Ranch oraz rysunkiem trzech nagich spadochroniarzy trzymających się za ręce. Podkoszulek kleił się do spoconego ciała.

- Dobrze, że wpadłeś. - Benni uśmiechnął się.

Lerner zrzucił brezentową torbę, położył okulary słoneczne na fotelu i ruszył prosto do lodówki. Wyciągnął butelkę soku pomarańczowego, wypił do połowy i grzbietem dłoni otarł

usta.

- Skąd wytrzasnąłeś tę pieprzoną brykę? - zwrócił się do Ecksteina.

- Od Abderrahima, taksówkarza. - Eytan uśmiechnął się. Skoro Didi psioczy tylko na środek transportu, to wszystko inne musiało pójść dobrze.

- A kto to taki? - zapytał Lerner. - Jakiś twój cholerny kuzynek?

- Nie sądzę, żebym miał przodków wśród Berberów. - Eytan przyłożył palec do ust. - Ale będę musiał sprawdzić.

- Zdobyłeś sprzęt? - zapytał zaniepokojony Benni.

- Oczywiście, że tak. A co, jechałbym pięć godzin z Casablanki z pustym wozem? - Lerner zabrał butelkę z sokiem pomarańczowym i usiadł na fotelu, ale natychmiast się podniósł, bo pod pośladkami poczuł okulary. Wyciągnął je i spojrzał na powyginane oprawki. - Cholera! - warknął. - I nie myśl sobie, *Herr Schmidt*, że przywozłem jakąś resztę z twoich dolarów. - Zwrócił się do Ecksteina. - Niezły cwaniura z tego twojego Hakima.

- Nie szkodzi. - Benni skrzyżował ręce w nadgarstkach i pomachał dłońmi. - Koń, schowaj resztę do sejfu.

Koń zabrał miękką aktówkę i podszedł do rozsuwanej szafy w przedpokoju. Benni wybrał „N'Fis” głównie dlatego, że jedynie hotele najwyższej klasy posiadały prywatne sejfy w pokojach. W tej operacji fundusze stanowiły podstawę działania i nie chciał, aby ludzie chodzili z dużymi sumami przy sobie albo wzbudzali zdziwienie recepcjonisty ciągłym oddawaniem pieniędzy do depozytu.

- Szkoda, że nie widziałeś tych spadochronów - mówił Didi. - Co za kolory. Będziemy wyglądać jak podniebny cyrk.

- Ale myślisz, że są sprawne? - Eytana nadal bawiła rozzłoszczona mina Lenera.

- A skąd ja mam wiedzieć? Będę musiał wszystko przepakować i mam nadzieję, że nie będę potrzebował igły z nitką.

Po chwili zastanowienia uśmiech zniknął z twarzy Ecksteina. Będą potrzebować dużej przestrzeni i jakiegoś czystego podłoża, żeby poskładać spadochrony od nowa.

- Zajmiemy się tym jutro wieczorem - powiedział. - Znajdź pod miastem jakieś miejsce.

- To nam zabierze minimum trzy godziny. Mnie i Lapkinowi. - Zmarszczył brwi i spojrzał na Ecksteina. - Ty już pewnie nie pamiętasz, jak to się robi, co?

Eckstein nie skakał od trzech lat. Skoki wojskowe nie są trudne. Wystarczy się rzucić w dół, a lina zrobi resztę. Skoki z opóźnionym otwieraniem spadochronu to rzecz bardziej skomplikowana, ale umiejętności Ecksteina powinny wystarczyć. Potrafił utrzymać stabilność, skręcać w prawo i lewo, trzymać się kierunku i rozwijać czasę. Ale nie zaufałyby sobie w sprawie prawidłowego pakowania spadochronu. Wzruszył ramionami.

- Niezguła - mruknął Didi. - Dobra, zapasowych nie ruszam. Będziemy musieli zagrać w rosyjską ruletkę.

- A nie możecie głównych też nie ruszać? - zapytał naiwnie Koń, wracając z przedpokoju.

- Widziałeś samochody na tutejszych drogach?! - krzyknął Didi, aż Koń zrobił skrzywioną minę. - Przecież ten sprzęt należy do skoczków marokańskich. - Samochody na drodze stanowiły świadectwo arabskiego podejścia do urządzeń mechanicznych. Zatłoczone miasta i zakurzone autostrady pełne były charkoczących, niedbale naprawianych wraków.

- Didi, przepakuj tylko główne - zgodził się Eytan.

- Dobra jest - powiedział Australijczyk i dokończył sok.

- Gdzie jest samochód? - zapytał Benni. Didi wskazał kciukiem za ramię.

- Przed hotelem. Dałem odźwiernemu stówę zielonych i powiedziałem, że jutro dostanie dwa razy tyle, jeśli nikt nie tknie tej kupy złomu.

- A nie powinniśmy tam kogoś postawić? - zapytał Koń Benniego. Bał się spojrzeć na Lenera.

- Będzie trzeba - rzekł Baum.

- Taa - odezwał się Lerner. - Nie jesteśmy Strażą Przyboczną Królowej.
- No dobra. - Eytan spojrział na zegarek i strzelił palcami. - Do roboty. - Podniósł swój etiopski plecak i idąc do drzwi, zarzucił go sobie na plecy. Dołączył do niego Benni. Pułkownik miał białą koszulę safari. Eytan otworzył jedną ze swych kieszeni i wsunął do środka listę zakupów.
- No co? - Benni zwrócił się do Lenera rozpartego w fotelu. - Wy dwaj macie chyba co nieco do roboty.
- Tylko pięć minut - obiecał Didi - i wychodzimy. - Spojrział na Konia; nie stanowili idealnej pary z tęgawym, niskim analitykiem.
- A co z moimi zakupami? - zawołał Koń za Bennim.
- Racja. - Benni zatrzymał się i odwrócił. - Dawaj listę.
- Trzcinowy cukier, sól, mąka, pietruszka, barwnik spożywczy. - Koń popatrzył na palce. - Aha, i jeszcze spory kawałek twardego sera. I biały klej.
- Dobra jest - powiedział Eckstein i wyszli z Bennim. Lerner spojrział uważnie na Konia.
- Po co ci to wszystko? - zapytał, odwracając podkoszulek na lewą stronę. Analityk poskładał mapę terenu. Miał też posprzątać pokój i dopilnować, żeby nie pozostał po nich żaden demaskujący drobiazg. Z zasady czuł się onieśmielony, gdy rozmowa toczyła się o działaniach terenowych, ale gdy wkraczano w jego dziedzinę, bywał zaskakująco opryskliwy.
- A piekę, cholera, ciasto - bąknął.

Miasto Marakesz leży w południowym Maroku u stóp gór Atlas, których granie błyszczą bielą nawet latem, a w grudniu pokryte są grubą warstwą śniegu. Białe, niskie budynki wznoszą się na szerokiej rozłożystej płaszczyźnie, na której można znaleźć zarówno gęste gaje, jak i gołe, piaszczyste skrawki, jakby sułtan Youssef Ibn Tachfin nie mógł się zdecydować, czy założyć miasto w ogrodzie, czy na pustyni. Mury starej medyny, między którymi ciągnie się niemożliwy do przebrnięcia labirynt uliczek, są wysokie, grube i idealnie symetryczne, a ich pomarańczoworóżowe wyblakłe kolory wyglądają w słońcu Maghrebu tak zachwycająco, że większość otoczonych przez nie budynków z zazdrości zaczęło przybierać takie same wypłowiałe barwy. Innym dominującym w Marakeszu kolorem jest szmaragdowa zieleń, ponieważ podziemny system irygacyjny *khettara* stale nawadnia parki i ogrody zimną, górską wodą.

Były w Maroku inne miasta położone bliżej granicy z Algierią - na przykład Ouarzazate i Er-Rachidia - i stanowiły nawet lepszą bazę wypadową. Ale leżały na skraju terytorium spornego, stale krążyły tam patrole Polisario, a na ulicach pełno było żołnierzy. Natomiast Marakesz stanowił Mekkę turystów, a mieszkańcy nastawiali się na sprzedaż wszystkiego, za co chcieli płacić ludzie z Zachodu. Benni uznał, że ta mieszanina kulturowa będzie stanowić naturalny kamuflaż dla jego ludzi, a gdzieś wśród tutejszych straganów powinno się kupić wszystkie składniki potrzebne do zbudowania zaimprovizowanych narzędzi wojskowych.

Jeny Binder cieszył się z przyjazdu do Marakeszu, a przynajmniej z pozbycia się uczucia klaustrofobii. Rzekomy „ekspres” z Casablanki zatrzymywał się w każdej najmniejszej wiosce, na każdym skrzyżowaniu, więc gdy w końcu wyskoczył ze starego, czerwono-żółtego wagonu, przysiągł znaleźć Crosbyego, Stillsa i Nasha, i powystrzelać całą grupę, ponieważ nie mógł się pozbyć z mózgu ich starej hipisowskiej melodii.

Binder szybkim krokiem szedł po betonowym peronie na dworcu w Marakeszu z dużą, wypchaną torbą na ramieniu, w której miał schowany plecak i niemiecką parkę. Kiedy nie był na służbie w posterunku Śródmieście-Północ, lubił się ubierać na czarno: kowbojskie buty, dzinsy i ciasny podkoszulek uwydatniający tors. Jednak Baum zauważył że za bardzo wygląda na Rambo, więc przerzucił się na niebieskie dzinsy, Reeboki i biały golf. Wyglądał jak trener w drodze do pracy w jednym z wielkich hoteli.

Kierowca brązowej taksówki wrzucił bagaż Bindera na tylne siedzenie i z radością

wysłuchał polecenia Amerykanina, który umieścił swą kupę mięśni na przednim fotelu.

- Wież pan do „Mamounia”.

Hotel „Maumonia” należał do miejsc luksusowych i wożenie jednego z tamtejszych gości przez kilka dni może wystarczyć na miesięczną opłatę za wynajmowanie mieszkania.

Jechali szybko szeroką magistralą Avenue de France. Binder prawie wcale nie odpowiadał na zagajenia taksówkarza, uśmiechnął się dopiero na widok otwartych wrót w umocnieniach wokół medyny, przy skrzyżowaniu el Yarmouk i el Fetouaki, które wyglądały dokładnie tak, jak opisywał Eckstein. Jerry rzadko zastanawiał się nad swoim stosunkiem do judaizmu, ale szczerze podziwiał izraelską machinę wojskową, bo jak na razie ci wojacy są bez zarzutu.

Taksówkarz przywiózł go na półokrągły podjazd przed hotelem. Binder poczekał aż taksówka odjedzie, a potem zarzucił bagaż na ramię, wyszedł na aleję Hoummana i ruszył pieszo przed siebie. Torba nie była lekka, ale często dźwigał o wiele więcej i na większe odległości.

Czekał w Casablance do rana na otwarcie sklepu ze sprzętem kempingowym i wcale go nie zaskoczyło, że nawet harcerze mieliby tu kłopoty z zaopatrzeniem się w potrzebne przedmioty. Niemniej udało mu się kupić mocną torbę turystyczną, dziesięć pasków z zapinkami i dwie plastikowe menażki w futerałach. Kupił też siedem tanich kompasów, bo innych nie było. Dostałby również poręczne plecaki, ale Eckstein zapewnił go, że na bazarze w Marakeszu można przebierać w rozmaitej wielkości plecakach z wielbłądziej skóry. Później Binder szybko skierował kroki do sklepu elektronicznego przy Allal ben Abdallah, gdzie wypatrzył trzywątowe radiotelefony z wysuwanymi antenami, które na wydmach powinny im wystarczyć. Ogołocił sklep aż z czterech kompletów. Nie miały gniazdek wyjściowych, ale Binder i tak kupił słuchawki, licząc, że Sadeen podłączy je jakoś do głośników. Zignorował sprzedawcę desperacko usiłującego mu wcisnąć Discmana i ruszył do stacji kolejowej Casa-Port.

Teraz szedł spacerkiem po el Fetouaki, zgodnie z zaleceniami Ecksteina minął z lewej strony meczet Koutoubia i kierował się prosto w stronę ronda. Zacięty wyraz twarzy pod słonecznymi okularami zniechęcił kilku gorliwych chłopców oferujących usługi przewodników. Znalazł w końcu stację benzynową na otwartym placu, a przy niej budynek hotelu „Al Charaf”.

- Wreszcie w domu - powiedział do siebie z satysfakcją.

Wręczył recepcjonistce sześćdziesiąt pięć dirhamów za pokój z widokiem na ulicę, wszedł na piętro i obrzucił wzrokiem kwatery bez prysznicy. Wsunął torbę pod łóżko, zabrał plecak i zamknął za sobą drzwi. Uszczęśliwił recepcjonistę wręczając mu czterdzieści dolarów.

- Słuchaj, Mohammed, kolego - powiedział Binder, a recepcjonista się uśmiechnął. - Jutro idę na wspinaczkę w góry Atlas. Jak ktoś ruszy moje rzeczy...

Przesunął palec po szyi i wydał z siebie gulgoczący dźwięk. Recepcjonista się roześmiał, ale Binder uniósł okulary, pokazując oczy, na co młodzieniec tylko gorliwie pokiwał głową.

Na dworze przed hotelem Binder dostrzegł O'Donovana opierającego się o lampę. Gdy go mijał, powiedział:

- A skoro mówimy o podcinaniu... I ruszyli razem w wąskie uliczki.

Djemaa el Fna nie da się porównać do żadnego innego rynku miejskiego na świecie. Na południowej stronie wznoszą się szacowne budowle banków, aptek i poczty, a trzy pozostałe strony pozostawiono przedsiębiorcom prowadzącym niezbyt legalne przedsiębiorstwa. Parking z wyblakłym od słońca asfaltem mógłby swoją rozległością konkurować ze stadionem, ale żaden pojazd nie byłby w stanie manewrować tam z łatwością, ponieważ po el Fna stale kręci się pełno zaklinaczy węży, magików, sprzedawców dziwnych leków, zonglerów, przewodników i uzbrojonych w sztylety handlarzy haszyszem. Tłum sunący przez środek placu ogląda po kolei wszystkich „artystów”, podczas gdy dokoła stoją stoły pod brezentowymi namiotami, skąd sprzedawane są kawałki pomarańcz, serca kurczaków, ogony

jaszczurek, rosół z żółwia, a wszystko to dzieje się przy akompaniamencie bębenków *tareejah*, fletów zaklinających kobry i nawoływań muezinów z odległych minaretów.

Amir Lapkin i Ari Schneller sporo musieli się nachodzić, żeby kupić wszystko z listy poza granicami el Fna. Najpierw w pokoju hotelowym Lapkina opróżnili torby, a potem wyruszyli na targowisko. Szybko znaleźli nastolatka, który za sto dirhamów miał być ich „ochroniarzem”.

Lapkin napełnił swoją torbę puszkami zupy z soczewicy, lnianymi torebkami, plastikowymi zapalniczkami, pięcioma pudełkami z foliowymi torebkami na kanapki i puszką oleju kuchennego. Schneller kupił latarki, czarny szpagat, baterie, czarną taśmę izolacyjną, pastę do butów, dwa tuziny lizaków w czerwonym celofanie, pędzelki do golenia, sporą rolkę przewodu w izolacji, kilka miniaturowych śrubokrętów, pięć małych puszek oleju silnikowego i trzy flanelowe piżamy w paski.

Ich przewodnik rozczarował się, ponieważ marzył o wysokich napiwkach, jakie mu się w końcu trafią na ulicze jubilerów, ale klienci wcale tam nie poszli. Lapkin dał mu dalsze sto dirhamów za odganianie much i razem ze Schnellerem, brzęcząc torbami, poszli do hotelu „De Foucauld” znajdującego się na południe od el Fna.

Usadowili się na różowym balkonie na pierwszym piętrze i zaczęli działać.

Na początek Lapkin miał zrobić *guznikim*, prymitywne, ale skuteczne lampy, których żołnierze ISZ używają niemal do wszystkiego - od oznaczania celów, do wytyczania lądowiska dla helikopterów. Otworzył szwajcarskim scyzorykiem puszkę z zupą, wylał zawartość do toalety i taśmą izolacyjną przymocował do każdej zapal-

niczce. Potem wyciął dziesięć lnianych kwadratów i upchał je w puszkach, które potem uszczelnił foliowymi torebkami śniadaniowymi. Wieczorem zamierzał napełnić puszkę piaskiem tak, aby wystawał kawałek lnu i nasączyć zawartość olejem jadalnym. Za pomocą takiego *guznik* można coś oświetlić, a potem przygasić ją nogą, poczekać aż ostygnie, po czym znów włożyć do plecaka.

Schneller zajmował się przygotowywaniem zestawów do czyszczenia broni, chociaż Nimrodi nie dostarczył jeszcze nawet spłonki. Rozłożył dziesięć torebek śniadaniowych i do każdej włożył mały śrubokręt oraz metrowej długości drut z oczkiem na końcu. Przy użyciu nożyczek ze scyzoryka Lapkina wyciął ściereczki z flanelowych piżam i obciął pędzelki do golenia tak, że pozostała tylko sztywna szczecina. Do co drugiej torebki dołączył puszkę oliwy. Partnerzy będą się musieli podzielić.

Potem obydwaj zajęli się ulepszeniem latarek. Jedną należało przymocować do lewego nadgarstka skoczka, żarówką w stronę palców, aby podczas opadania światło było widoczne dla następnego w formacji. Drugą latarkę musieli zamknąć w kieszeni i zabezpieczyć szpagatem przywiązany do dziurki na guzik, podobnie zresztą jak kompas i inne przedmioty, które mogłyby wylecieć. Żarówki w latarkach były białe, toteż Lapkin i Schneller ssąc lizaki, przyklejali na szkiełko latarek czerwony celofan. Każdy zestaw oświetleniowy został uzupełniony o taśmę izolacyjną, dodatkowe baterie i trzy metry szpagatu.

Znad wykonywanego zajęcia Schneller spojrzął przez kraty balkonu. Łysa czaszka Benniego Bauma połyskiwała wśród drzew, gdy pułkownik wraz z Ecksteinem szli aleją Mouahidine.

- *Eskon l'mizdar hamefaked*- powiedział Schneller po hebrajsku. - Przygotuj się na inspekcję dowódcy.

- Uważaj, jakim mówisz językiem - ostrzegł po angielsku Lapkin.

Gdy rozległo się pukanie przy drzwiach wejściowych, Schneller i Lapkin zeszli z balkonu.

- Hasło? - Uśmiechnął się przez zamknięte drzwi.

- Kanada to tylko przedmieście Detroit - doleciał głos Ecksteina.

- Spieprzaj. - Lapkin zachichotał i otworzył zamek.

Eckstein wszedł do środka. Widział, że Schneller i Lapkin pracowali na balkonie, ale

szybko o tym zapomniał, bo musiał się zatrzymać, żeby obejrzeć pokój. Łuszcząca się na ścianach łososiowa farba odślaniała gdzieś białe plamy, przypominając poparzoną słońcem twarz mieszkańca Skandynawii. Z sufitu na kablu zwisała pojedyncza żarówka, a na dwóch małych, wojskowych, żelaznych łóżkach leżały szare koce. Nie było żadnych plakatów ani obrazów.

Eytan zdawał sobie sprawę, że każdy z wybranych ludzi wiele razy bywał w tego typu miejscach. W barakach, bunkrach i zniszczonych bombami budynkach na terenie różnych krajów. Tak samo jak on kładli się na nie swoich posłaniach, patrzyli w nie swój sufit i oczekiwali na sen, zastanawiając się, czy to czasem nie ostatnia sypialnia w życiu. To on ich tutaj przywiódł i ciężąca odpowiedzialność kazała mu przysiąc, że wycofa się z tej gry i już nigdy nikogo nie będzie wzywał na ochotnika.

Lapkin, jakby czytając w myślach Ecksteina, położył mu rękę na ramieniu.

- Przynajmniej nie ma błota. Wyszli na balkon.
- Mam stanąć na baczność? - zapytał stojący nad stosikiem pakunków Schneller.
- Trzydzieści pompek - odparł Eckstein i pochylił się, aby obejrzeć zestawy do czyszczenia broni. - Nieźle.
- Było się w Sanur. - Wymienił nazwę bazy treningowej spadochroniarzy, gdzie rekrutów uczy się poszanowania dla sprzętu.
- Przed chwilą byliśmy w „Galii” - rzekł, wstając Eytan. „Gallia” była kolejnym tanim hotelikiem obok medyny. - Didi już prawie skończył nosze. Zrobił je z dwuosobowego namiotu.
- Urodzony krawiec - skomentował Lapkin. Lerner słyszał z tego, że potrafiłby ze spadochronu uszyć suknię ślubną.
- A Koń robi ciastka - dodał Eckstein.
- *Entschuldigung?* Słucham? - Schneller często w rozmowie z Ecksteinem wtrącał słowa w ojczystym języku.
- Robi makietę naszego celu - wyjaśnił Eckstein. - Trzeba to zobaczyć. Założę się, że w domu bawi się kolejką.

Lapkin uśmiechnął się na myśl o Koniu układającym tory w jerozolimskim mieszkaniu.

Właściwie Eckstein nie miał już tam nic do roboty. On i Benni jako dowódcy chodzili od jednego miejsca do drugiego, koordynując prace i nadzorując postęp. Lerner i Schneller nie potrzebowali nianieki, więc nie pozostawało im nic innego jak sobie pójść.

- Potrzebujecie czegoś?
- Broni - powiedzieli chórem, a potem spojrzeli po sobie i roześmieli się.
- Proce mogą być? - zapytał z kamienną miną Eckstein.
- Wystarczą części: patyki, kondomy i kamienie - stwierdził Lapkin.
- Może do jutra wieczór. - Eckstein uśmiechnął się. - Zobaczymy się o osiemnastej. Benni i Eytan odeszli aleją el Mouahidine, od czasu do czasu ustępując drogi jakiemuś motorowerzyście wjeżdżającemu swą buczącą maszyną na chodnik i przyczepiającemu go do stojaka dla skuterów. Chociaż obydwoj wyglądałi na Europejczyków, żaden z miejscowych młodzieńców nie narzucał im się, ponieważ szli pewnym krokiem i nie zwracali uwagi na egzotyczne otoczenie. W przeszłości często przed niebezpieczną akcją żartowali na jej temat i udawali różne sprzeczki, teraz jednak szli w milczeniu, skoncentrowani na problemie, jakiego nie wymyśliłby najbardziej sadystyczny planista z ISZ. Dzięki swemu doświadczeniu potrafili przewidzieć każdy ruch, ale obydwoj wiedzieli, że wiele zależy od szczęścia.

- Nic jej nie będzie - odezwał się cicho Eckstein, gdy dotarli do ronda na rogu Bab Agnou.

Benni nic nie odpowiedział.

- A jeśli nie - ciągnął Eytan - my pójdziemy za nią.

Na te słowa Benni się zatrzymał, zmuszając młodszego partnera do tego samego. Spojrzeli

sobie w oczy. Czy to możliwe, żeby Eytan powiedział na głos to, do czego Benni jeszcze bał się przed sobą przyznać? Że jeśli Ruth umrze, jej ojciec nie wróci do domu żywy, a Eckstein to zrozumiał i zamierza się przyłączyć do tego rytualnego samobójstwa? Nie, to niemożliwe. Nie do wiary, żeby życie Ruth było mu aż tak drogie, nawet jeśli darzy ją braterską miłością. Ale przecież widział już Ecksteina popełniającego akty heroicznej samożagłady i zastanawiał się, czy jakiś terapeuta kiedykolwiek się dowie, jakie ukryte emocjonalne cierpienia kryją się w Eytanie, który

żyje dotąd tylko dlatego, że nie znalazł jeszcze odpowiedniego pretekstu do zejścia z tego świata. Nie. Jemu po prostu chodziło o to, że uwolni Ruth albo będą próbować aż do śmierci. To rzecz normalna. To można zaakceptować. Eckstein wskazał na zielone zasłony „Cafe Glacier la Victoire”.

- Będę tam przekraczał dopuszczalne dawki kofeiny - powiedział i odszedł. Benni przeszedł przez rondo do „Grand Hotel Tazi”. W porównaniu z kwaterami

reszty zespołu, „Tazi” rzeczywiście zasługiwał na swą nazwę. Pokoje były stosunkowo obszerne, a Sadeen potrzebował do pracy odpowiedniej ilości miejsca.

Saper otworzył drzwi do swego pokoju na pierwszym piętrze. Agenci działający na terenie obcego kraju w miarę możliwości starają się nie mieszkać na wysokich piętrach. W razie wypadki łatwiej wydostać się na ulicę.

- *Hola, Padre.* - Sadeen uśmiechnął się, a Benni wszedł do środka. Pokój wychodził na północny zachód i popołudniowe słońce przebijało się przez okienne osłonki z kutego żelaza. Żółty podkoszulek kleił się Sadeenowi do pleców, na bosych nogach miał spodenki gimnastyczne, a na brązowych włosach było znać ślady po zaczesywaniu brudnymi palcami. Ukłękł na podłodze i wrócił do pracy.

Pokój wyglądał jak pracownia anarchisty. Złączone łóżka zostały odsunięte na bok, odsłaniając gołą podłogę, gdzie Sadeen rozłożył składniki do swych „sztucznych ogni”. Stały tam długie rzędy różnych pojemników - puszki z gazowanymi napojami, płyny do mycia urządzeń sanitarnych, puszki z warzywami, dezodoranty - niektóre już pocięte lub przewiercone, a ich zawartość tworzyła w plastikowym koszu na śmieci trudną do wyobrażenia papkę. W trzech miseczkach do zupy leżały różne wkręty do drewna, a dalej pudełko ze skrobią kukurydzianą, tubka ze smołą do krycia dachów, kółka z taśmą izolacyjną, trzy torebki dzieciennych szklanych kulek, kilka rolek papieru toaletowego, tuzin gumowych piłeczek, szczypce, nożyczki i nóż do cięcia wykładzin. Benni spojrzał na łóżko, na którym leżały dwie czarne galabije i duża foliowa torba z materiałami wybuchowymi. Petardy sprzedawane są na Dje-maa el Fna zupełnie otwarcie, ale zdziwiły go dwa pudełka nabojów do *Winchestera*.

- Skąd wytrzasnąłeś te naboje? - zapytał.

- Od Mustaffy - odpowiedział Sadeen, krojąc gumową piłeczkę. - Przecież wiesz, że Berberowie polują na ptaki.

- No tak.

- Jak Ecksteinowi udało się go tak szybko znaleźć? - Sadeen był wyraźnie zadowolony ze swego „przewodnika”.

- Eytan już tu kiedyś był - rzekł Benni. Eckstein podtrzymywał znajomość z tym górale, wysyłając mu przeróżne prezenty, podobnie jak wszystkim znajomym w obcych krajach. Policja z Marakeszu bez przerwy nęka berberyjskich przewodników i pewnego razu dzięki sutej łapówce Eytanowi udało się wyciągnąć Mustafę z więzienia.

- Domyślam się - powiedział Sadeen. - Na wspomnienie o „panu Anthony” dzieciakowi zaświeciły się oczy.

- Co z nimi zrobisz? - Benni obracał w dłoni czerwony nabój.

- Na początku chciałem zrobić zapłon elektryczny z bateriami, detonatorem uderzeniowym i jakimś żarnikiem albo żarówką błyskową w charakterze zapalnika - mówił z entuzjazmem

Sadeen. - Ale to zbyt ryzykowne, więc postanowiłem sprawę uprościć. - Uniósł pusty pojemnik po detergencie. W aluminiowym dnie był wywier-

cony otwór, przez który wystawała mosiężna spłonka karabinowego naboju. - Detonator uderzeniowy, mieszanina prochu z petard i nabojów, a na wierzchu dno warstwę skrobi kukurydzianej, żeby był lepszy wybuch.

- To ma wybuchnąć tylko pod wpływem uderzenia? - Benni zmarszczył brwi. - To wystarczy? - Znał się na tyle, aby wiedzieć, że spłonka potrzebuje silnego grota iglicy.

- A skąd - powiedział z drwiną Sadeen. Nasunął na pojemnik po detergencie rozciętą na pół puszkę po zupie, pasowała jak ulał. W dno puszeki wkręcony był wkręt do drewna, a na nim połowa gumowej piłeczki. - Jest iglica. Taka jak w zwykłym granacie oświetlającym. Tylko że ten jest odpowiednio wyważony. - Typowa bomba oświetlająca to długa aluminiowa tuba ze spłonką na jednym z końców. Wystarczy odwrócić dno z ukrytą iglicą, przyłożyć ją do spłonki, uderzyć tubą o kolano i już się pali. - Wokół spłonki przykleję szklane kulki, a żeby całość była stabilna, z drugiej strony zrobię coś w rodzaju ogona do latawca. - Pokazał na czarne galabije.

- Jasne - mruknął Benni. Wyobrażał sobie, że po akcji będą wyglądać jak wiązanki kwiatów na ślubie w kolonii trędowatych.

- Wszystkich nas pozabija, *mon colonell* - rozległ się z łazienki głos Ricka Nabbego. Benni ostrożnie przemierzył pokój i wsunął głowę do kabiny. Nabbe się-' dział na sedesie i robił z plastikowych pudełeczek do filmów wodoodporne pojemniki na zapalki. Na pokrywki od środka przyklejał draski. Z uśmiechem spojrzął na Benniego. - Wolę umrzeć z godnością.

Benni wycofał się z łazienki i zamknął drzwi. Lepiej oddzielić zapalki Ricka od prochu Sadeena.

- Jak tam z ciężarówką? - zapytał od niechcienia.

- Wszystko idzie tak jak mówiliśmy. - Inżynier uśmiechnął się, oddzielając pocisk od łuski. - Nie ufasz mi?

- A mam jakieś wyjście?

- Nie.

Benni westchnął. Ruszył do drzwi i nagle wzięła w nim górę niepewność.

- Sadeen. Czy to wszystko będzie działać?

Pirotechnik uniósł głowę i zamrugnął oczami niczym urażona debiutantka.

- *Amigo* - powiedział. - Gdybym miał jeszcze dwa dni, to zrobiłbym ci rakiety przeciwlotnicze.

Benni pokiwał głową i odszedł.

W hotelu „Al Charaf” Eckstein został wpuszczony do siedziby Bindera i O'Donova-na. Zamachał ręką przed nosem, ponieważ powietrze było aż gęste od oparów farby, ale taki smród nie wzbudzał niczyjej uwagi, ponieważ hotel znajdował się tuż obok stacji benzynowej.

Na rozwieszonym w oknie sznurku do bielizny wisiało dziesięć plecaków z wielbłądziej skóry przypominających wędzone szynki. Podłoga była wyłożona arabskimi dziennikami, na których czekało na pomalowanie dziewięć *kochmerów*, berberyjskich noży rytualnych. Binder siedział na brzegu łóżka i z zalem patrzył na noże. Był miłośnikiem białej broni, a *kochmery* prezentowały się wspaniale - miały zagiętą, srebrną pochwę, rękojeść z kości wielbłąda i srebrną zapinkę.

Binder wstał. Miał założony wojskowy pas z przypiętą menażką i jednym z noży. Odwrócił się wokół siebie jak niezdarna modelka.

- Widziałeś? - powiedział. - Arabski Pająk.

- Ślicznie - rzekł Eckstein, mrużąc oczy pod wpływem błyszczącego srebra. - Widać cię będzie z odległości trzech kilometrów.

- Przecież je pomaluję - zaczął się bronić Binder. - Chociaż szkoda mi jak cholera. -

Wyciągnął nóż i podał go Ecksteinowi. Czubek był dobry, ale ostrze tak tępe, że trudno byłoby nim ukroić nawet melona. - Trzeba tym pchać prosto w serce albo w gardło. Nie ma się co bawić w okaleczenia.

- Dlaczego nie kupiłeś zwykłych noży kuchennych? Binder zrobił zakłopotaną minę.

- Bo te budzą większy strach - powiedział, wsuwając ostrze do pochwy.

- A, podejście psychologiczne?

- Szóstka z plusem. - Podniósł puszkę farby, pochylił się nad gazetami i psiknął czarnym sprejem na noże. - Świętokradztwo - westchnął.

Z łazienki wyszedł Mike O'Donovan. Miał na sobie białą koszulę wypraną w pralni jeszcze w Casablance, spodnie koloru khaki i dopiero co kupione brązowe, sznurowane buty. Widać było, że przed chwilą umył i uczesał włosy. Dotykał dłonią blizny na twarzy.

- Lepiej już spadam, prawda? - zapytał Ecksteina. Izraelczyk spojrział na zegarek.

- Lot masz o wpół do czwartej.

- Straszne, on sobie poleci - psioczył Binder - a ja zostanę z tą całą robotą. - Wskazał dwie duże torby z zielonymi krzyżami i półksiężycami oznaczającymi, że pochodzą z apteki.

- Benni ci pomoże - powiedział Eckstein, idąc z O'Donovanem do drzwi.

- To go tu przyślij - rzekł Binder.

Kilka minut później do pokoju wszedł Benni i zamknął za sobą drzwi.

- Cześć, szefie - przywitał go Binder i wrócił do malowania pochw.

- Cześć, Pająk - odpowiedział Benni. Podniósł torby i wysypał zawartość na puste łóżko.

Potem usiadł i sortował na oddzielne kupki rolki gazy, białe tasiemki, chusty trójkątne, skalpele, maści przeciwko zakażeniom i tubki z wazeliną. Wyłożył potem dziesięć torebek z mocnej folii i do każdej przyczepił naklejkę informującą, że jest to zestaw pierwszej potrzeby.

- Mogę tu zapalić? - zapytał. Binder wzruszył ramionami.

- Pal. - Puszka zaterkotała, gdy nią wstrząsnął. - I tak oddycham samą benzyną. Benni zastanowił się nad płomieniem w oparach farby i wziął do ust niezapalonego

Rothmansa. Gumową rurkę pociął na równe kawałki, robiąc opaski uciskowe, a potem z gazy i bandaży zrobił gotowe opatrunki. Z ulicy dobiegały przyjazne arabskie okrzyki i warczenie motorowerów, a Benni starał się nie wyobrażać sobie, na jakich ranach mogą wkrótce leżeć te jego już nie sterylne okłady. Widział kiedyś postrzeloną kobietę i zamknął teraz oczy na wspomnienie postrzępionego otworu szpecącego jej gładkie ciało.

Z gumowego płaszcza przeciwdeszczowego zaczął wycinać kwadraty na rany klatki piersiowej...

Z Marakeszu do lotniska Menara było tylko kilka kilometrów po szerokiej, wygodnej drodze w kierunku Asni, jednak O'Donovan i Eckstein siedzący w na tylnym

siedzeniu taksówki chętnie skróciliby sobie drogę, prowadząc pogawędkę. Ale myśli atakujące mózg wykluczały wszelkie pogaduszki.

Eckstein zarezerwował dla O'Donovana lot u francuskiego pilota, zabierającego turystów na loty widokowe po okolicach. Jeśli Nimrodiemu uda się sprowadzić samolot transportowy, będzie musiał wylądować na Menara. Jednak budynki lotniska są kontrolowane przez Królewskie Marokańskie Wojska Lotnicze i nie można tak zwyczajnie wprowadzić na płytę dziesięciu spadochroniarzy i wsadzić ich na pokład. Samolot będzie musiał wylądować, zatankować, wzbić się w powietrze i prawie natychmiast zgłosić awarię. Potem na krótko wyląduje gdzieś w pobliżu, zabierze ludzi, a do wieży da znać, że zepsuła się tylko kontrolka na tablicy przyrządów. I polecą w kierunku Atlasu.

O'Donovan wpadł na pomysł zwrócenia się po pomoc do miejscowego pilota, bo nie mogli po prostu wejść do wieży i zapytać, gdzie tu w okolicy są miejsca, na których jest możliwe awaryjne lądowanie. A kiedy usłyszał, że pilot jest Francuzem, nalegał, żeby właśnie jego wyznaczono do dokonania rekonesansu. Eckstein przychylił się do prośby Amerykanina i teraz jechali w taksówce z otwartymi oknami, odwracając głowy w kierunku mijanych palm.

O'Donovan palił, a Eckstein żałował, że nie może.

- Dlaczego myślisz, że łatwo ci przyjdzie dogadać się z Francuzem? - zapytał Eytan. Spojrzeniem na potylicę taksówkarza dał znak, żeby mówić szyfrem.

- Sam nie wiem - powiedział O'Donovan. - Francuzi nas nienawidzą. Wiele razy uratowaliśmy im tyłki.

- I to wszystko?

- Jego ego zareaguje. Pewnie wystarczy przy nim wspomnieć Normandię, żeby go krew zalała.

- Mam nadzieję, że nie o to ci chodzi.

O'Donovan nie odpowiedział. Obserwował w gaju oliwnym otyłego turystę, który próbował wspiąć się na wielbłąda. Zwierze opluto właściciela, a on zdzielił je kijem po czole.

Zestawienie zapachu pustynnego kurzu i widoku kaktusów wywołało u Ecksteina wspomnienia o domu. Wrócił pamięcią do licznych uprowadzeń, które kończyły się akcją izraelskich komandosów. Często w takich wypadkach ginął co najmniej jeden zakładnik, ale decyzje o zrezygnowaniu z negocjacji i podejmowaniu działań bezpośrednich zyskiwały poparcie zarówno polityków, jak i opinii publicznej. W tym przypadku nikt nie zbije politycznego kapitału. Jediną nagrodą może być życie Ruth.

- Znam ją od dziecka - mruknął Eytan. Patrzył przed siebie, wiatr chłodził mu skórę na karku.

- Już nie jest dzieckiem - powiedział po chwili O'Donovan. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że odezwał się jak odrzucony zalotnik do bardzo zżytej ze sobą rodziny. - Jaka ona była? - zapytał niemal szeptem.

- Taka jak zawsze. - Przez kilka lat Eckstein poznał kilku jej chłopców. Była wybredna i wiedział, że prawdopodobnie nie poznałby Michaela O'Donovana, ponieważ cechy, które ją do niego przyciągnęły, teraz w sobie stłumi, a w nadchodzącej walce może je stracić zupełnie. - Sprytna, bezpośrednia, uparta - dodał. - Kiedy sobie zasłużysz, potrafi być czarująca. Z każdym dniem coraz ładniejsza.

- A więc się nie zmieniła - powiedział O'Donovan. Odwrócił się do Izraelczyka i przez moment miał ochotę ucisnąć mu rękę, aby zaczerpnąć z niej siły. Ale tylko wyrzucił papierosa przez okno i splótł palce na kolanach. - Mam nadzieję, że te

wszystkie wysiłki nie pójdą na marne - westchnął. Uczył na to, że Ruth będzie jeszcze żyła, kiedy tam przybędą.

- Są ludzie, którzy zaryzykowałiby życie, żeby uprowadzić z Luwru Monę Lizę. O'Donovan pokiwał głową.

- To już głupota - szepnął.

Wysoki pilot jednosilnikowej *Cessny 207* nazywał się Philippe Ducrocque i mieszkał kiedyś w Paryżu. Miał na sobie brązową bluzę lotniczą, spodnie koloru khaki i skórzane buty. Pod poprzetykanymi siwizną włosami znajdowała się kanciasta twarz, zasłonięta częściowo okularami słonecznymi Ray-Ban w złotych oprawkach. Kąciki długich ust wyginęły się nieco do góry, nadając mu wygląd ukrywającego jakąś tajemnicę jaszczura.

- Bardzo proszę, aby nie robił pan zdjęć - powiedział Ducrocque, gdy podrywał samolot. Spojrzał na aparat O'Donovana i wskazał wojskową część lotniska, gdzie na płycie stary cztery treningowe samoloty *Fouga Magistere*. O'Donovan odruchowo przytrzymał aparat, jakby urządzenie słynęło z tego, że samo wyskakuje z futerału i robi zdjęcia.

Gdy *Cessna* skręciła na zachód i promienie słońca przebiły się przez mgłę, O'Donovan zauważył czerwoną, plastikową tabliczkę przykręconą do lewej części deski rozdzielczej. Napis w języku francuskim ostrzegał: NIE PRZEKRACZAĆ 250 KILOMETRÓW NA GODZINĘ PRZY OTWARTYCH DRZWIACH.

- To samolot do skoków? - zapytał, gdy Ducrocque wyrównywał lot na wysokości pięciuset metrów.

- Kiedyś był. - Francuz wyregulował skład mieszanki paliwowej. - Ale ja zabieram ludzi tylko na loty widokowe.

Amerikanin zapłacił mu pięćdziesiąt dolarów za ledwie piętnaście minut i nie było za wiele czasu na błąkanie się bez celu. - Co chciałby pan zobaczyć? - zapytał, przekrzykując silnik.

- Właściwie tak się złożyło, że szukam miejsca do skoku.

- Do skoku?

- Tak, jestem z zamiłowania spadochroniarzem.

- Wojsko ma klub spadochronowy w Beni Mellal.

- Gdzie to jest?

- Jakies dwieście kilometrów stąd.

O'Donovan popatrzył na małe, różowe domki Marakeszu.

- Za daleko - powiedział. - Chcę skoczyć blisko miasta, żeby zaraz mógł wrócić do hotelu albo do Menara na następny lot.

Pilot wzruszył ramionami.

- Cóż, tu nie ma miejsc do skoku.

- A Amanouz? - Z mapy CIA wynikało, że dziesięć kilometrów na południowy zachód od Menara znajduje się płaska równina podzielona gruntową drogą, ale tylko pilot potrafiłby powiedzieć, czy samolot tam usiądzie, czy nie.

- Amanouz? - Ducrocque spojrzał na pasażera. - Tam jest tylko żwirówka.

- Wylądowałby pan na niej?

- W razie awarii tak, ale nie dla sportu.

- Polećmy tam.

Ducrocque już chciał spojrzeć na zegarek, gdy O'Donovan zamachał studolarówką. Francuz spojrzał na pieniądze, wzruszył ramionami, sprawdził kompas i skręcił w prawo. O'Donovan wyjął z kieszeni jeszcze jeden banknot.

- Wie pan co, *monsieur* Ducrocque? Jak wylądujemy na Amanouz, to zarobi pan dodatkowo dwieście dolców.

Najpierw Francuz się uśmiechnął, a potem odparł ostrym tonem:

- Nie ma mowy. To nielegalne, chyba że w przypadku prawdziwej awarii. Za pieniądze nie da się kupić wszystkiego.

Wyraźnie urażony skręcił i skierował się w stronę lotniska.

- Dobrze, już dobrze. - O'Donovan uniósł ręce i westchnął. Właściwie nie potrzebował zmuszać Ducrocque do brudzenia sobie opon na Amanouz, ale musiał na własne oczy ujrzeć, że wylądowanie tam jest możliwe, więc postanowił jednak nakłonić Francuza. *Cessna* była dosyć duża i mogłaby zabrać ośmiu spadochroniarzy. Jeśli manewr w Amanouz wykona *Cessna*, porodzi sobie z nim większość innych samolotów krótkiego startu i lądowania.

- Kiedyś, jeszcze w liceum, na francuskim czytałem Saint-Exuperyego - powiedział z nostalgicznym żalem. - Chyba wtedy doszedłem do wniosku, że francuscy piloci podjęliby się prawie wszystkiego.

- Saint-Exupery był bardziej pisarzem niż pilotem - odparł kpiąco Ducrocque. O'Donovan uśmiechnął się i nachylił do Francuza.

- A ty, Philippe? - rzucił zaczepnym tonem. - Jesteś bardziej pilotem czy taksówkarzem?

Ducrocque zacisnął zęby. Przez moment wpatrywał się w aroganckiego Amerykanina.

- *Suce-moi*- powiedział wyraźnie. - Wyrolowałeś mnie. - Pociągnął za drążek, ostro skręcił w lewo, aż aparat O'Donovana spadł na podłogę, i polecili w stronę Amanouz...

Niecałe dwie godziny zajęło Szaulowi „Baba” Nimrodiemu zdobycie pozwolenia na lądowanie na Menara oraz na wykorzystanie korytarza powietrznego pomiędzy Marake-szem a Ouarzazate, a potem pomiędzy Ouarzazate a Zagorą. Było to niewielkie przejście, otwarte przyszłej nocy tylko przez krótki czas, ale Nimrodi mógł mieć pewność, że Królewskie

Marokańskie Wojska Lotnicze zignorują czarny punkcik na swych radarach.

Terminal na Menara to pomieszczenie długie, przestronne z podłogą wykładaną płytkami; do tamtejszych sklepów rzadko kto zagląda, ponieważ lotnisko przyjmuje tylko dwa loty liniowe dziennie. Niedaleko głównego wejścia znajduje się mały barek z kilkoma czarnymi stolikami i krzesłami z giętego drewna. Nimrodi ubrany w szary, bawełniany garnitur, białą koszulę i czerwony krawat całą pierwszą godzinę przegadał po arabsku ze starym barmanem, Berberem przybywającym codziennie z gór do pracy, aby utrzymać dużą rodzinę.

Nimrodi mógł udać się prosto do biura planowania lotów i spróbować poprosić o pozwolenie na wylądowanie nadlatującego samolotu, lecz jeśli Marokańczycy choć trochę przypominają Izraelczyków, to z miejsca odprawiono by go z kwitkiem, a samolot zaraz po wylądowaniu zostałby skonfiskowany. Dlatego też postanowił poczekać i zwrócić się do odpowiedniej osoby z prośbą popartą odpowiednią sumą.

Przez barek przewinęło się wielu oficerów, aż w końcu pojawił się pewien podpułkownik, usiadł przy stoliku i otworzył „Le Monde”. Był szczupły, miał trzydzieści kilka

lat i dość sympatyczny wygląd; oprócz insygniów na pagonach świeżutko wyprasowanego zielonego munduru nie posiadał żadnych skrzydeł ani innych dekoracji. Ponieważ usiadł oddzielnie, Nimrodi domyślił się, że to dowódca. Barman podniósł brwi i wskazał gestem na oficera.

- *Le commandant?* - zapytał Nimrodi.

- *C'est lui*- szepnął starszy człowiek.

Nimrodi wstał, w dłoni trzymał małą skórzaną saszetkę popularną wśród Europejczyków. Oprócz pary skandynawskich turystów w barze nie było nikogo. Nimrodi podszedł do oficera, położył sobie dłoń na piersiach i wypowiedział typowe, kwieciste arabskie pozdrowienie. Wysunął krzesło i płynną francuszczyzną zaczął wciskać kit.

- *Mon cher colonel*, należę do oddziału ochrony królewskiej. - Na te słowa oficer zamknął gazetę i zaczął ze zdumieniem przyglądać się gościowi. Izraelczyk wyjaśnił, że następnego wieczoru z Atar w Mauretanii przybędzie samolot transportowy. Samolot będzie pusty, co oczywiście można sprawdzić. Nimrodi - który jeszcze nie przedstawił się z nazwiska - obiecał, że natychmiast zabierze maszynę do Algierii. Czy mógłby liczyć na współpracę pułkownika w tej poufnej sprawie?

- Oczywiście - odparł oficer, chociaż umiłowanie porządku walczyło w nim z obawą przed odmową członkowi ochrony króla Hassana. - Ale muszę poinformować o tym mojego przełożonego.

Nimrodi mlasnął językiem.

- Królowi, niech go Allah ma w swej opiece, to by się nie podobało. - Przynął się nieco bliżej. - Widzi pan, zamierzamy udaremnić morderstwo, do którego przymierzają się algierscy fundamentaliści we współpracy z irackim Mukhabbaratem. - Nimrodi wyjął iracki paszport na nazwisko Ahmed Tabri i pokazał stronę ze swoją fotografią. -Jak pan widzi, zamierzamy dostać się do nich i ich zniszczyć. Oczywiście misja jest objęta tajemnicą państwową. A mój powrót zależy od woli Allacha. - Wzruszył ramionami i schował paszport. -I oczywiście od zdolności naszych fałszerzy z Surete.

Oczy pułkownika stopniowo się rozszerzały.

- Ależ to bardzo niebezpieczne zadanie - wyszeptał.

- Podobnie jak pańskie - ostrzegł Nimrodi. - Ale żeby dodać panu odwagi i w dowód wdzięczności za współpracę, jego wysokość ufundował drobną premię. - Położył na stole saszetkę, rozsunął zamek i odsłonił plik zielonych dolarów. - To tylko dziesięć tysięcy dolarów - przeprosił. - Ale w grę wchodzi także kwestia patriotyzmu, *mon cher ami*

Oficer sięgnął po filiżankę. Trzęsły mu się ręce, gdy upił zimnej jak rzeczny szlam *cafe noir*. Mógł odmówić i prawdopodobnie groziłby mu stryżek. Mógł się zgodzić, ale gdyby się okazało, że pomógł oszustowi, czekał go taki sam los. Ale istniało jeszcze trzecie wyjście.

Mógł napisać raport, zalakować go i w obecności świadków wręczyć swemu zastępcy, a gdyby wszystko gładko się potoczyło, raport zniszczyć. Żona byłaby zadowolona, a on być może nawet dostałby z Rabatu coś błyszczącego na mundur.

Zwilżył językiem usta.

- Wypełnię swój obowiązek.

Nimrodi podał mu przewidywany czas przybycia samolotu i naszkicował trasę, pomijając oczywiście lądowanie awaryjne.

Marokańczyk skinął głową, na chwilę się jednak zawahał. Chwycił saszetkę, przesunął na swoją stronę stołu, a potem zsunął ją na kolana.

Nimrodi uśmiechnął się, ale nie za szeroko i odwrócił głowę w kierunku baru. Tam na stołku całe zajście obserwował w ściennym lustrze Eytan Eckstein. Dyskretnie pokazał uniesiony do góry kciuk.

Marokańczyk zauważył ten gest i zaczął ciężiej oddychać. Nimrodi poklepał go po dłoni.

- Proszę się nie przejmować. - Uśmiechnął się. - *C'est kascher, comme disent les Juifs*. Jest kosztowny, jak mawiają Żydzi.

Zimą wąwóz Qued Issil nie jest całkiem suchy. Wąskimi szczelinami płyną stróżki górskiej wody, a czasem po burzy potrafią się zamienić nawet w rwące strumienie. Ale tego dnia na szerokim nieboskłonie połyskiwały gwiazdy i choć od północy wiał chłodny wiatr, to ściany zapewniały dostateczną ochronę, aby nie podrywał się rozłożony spadochron.

Do wąwozu prowadzi wygodny zjazd z drogi do Had Abdullah Rhiate, tam też Didi zaparkował białego Mitsubishi. Natomiast Ari Schneller podniósł samochód na lewarku, zdjął koło i wsunął się pod błotnik, na wypadek, gdyby pojazdem zainteresowała się przejeżdżająca przypadkiem policja.

Furgonetką przyjechali tylko Didi, Lapkin i Schneller. Nabbe, O'Donovan i Binder przyszli od rogatki Marakeszu pieszo, w pewnych odstępach. Eckstein, Nimrodi i Berber Mustaffa, ich przewodnik, przyjechali do oazy Issil taksówką, a potem przez gaje palmowe poszli pieszo na południe, a gdy dotarli do wąwozu, skręcili na północ. Nikt nie wiedział, z której strony przyszedł Benni Baum - pokazał się na twardej wydmy od południowej strony.

Na równinie z dobrym widokiem na drogę Mustaffa ustawił stragan. Najpierw rozpałił niewielkie ognisko, a potem nakrył je odwróconą do góry dnem stalową miską, na której kładł placki z ciasta, wypiekając chleb Beduinów zwany *fatir*. Ognisko zwracało na siebie uwagę, ale rzeczą całkiem naturalną dla Beduina jest jedzenie o tej porze posiłku. Jednym gwizdnięciem miał przywołać „pana Antho-ny'ego” z przyjaciółmi, którzy szybko zrobiliby wokół ogniska koło, udając turystów.

Mężczyźni jeden po drugim podchodzili do furgonetki i wynosili na kamieniste zbocze wąwozu pakunki ze spadochronami. Didi i Amir ułożyli na twardej powierzchni obok płynącego strumyka płachtę grubej, plastikowej, niebieskiej folii. Z latarkami w zębach oglądali spadochrony, a Didi chrząkał i kłął za każdym razem, gdy zobaczył przecierającą się linkę, osłabiony fragment czaszy, czy zeschniętego motyla wyglądającego jak relikw z ery pierwszych chrześcijan.

Cywilny spadochron typu „skrzydło” niewiele przypomina swe okrągłe wojskowe poprzedniczki. Typowy spadochron wojskowy w niewielkim stopniu daje się sterować ustawieniem materiału i napięciem linek, natomiast spadochronem typu „skrzydło” można dość swobodnie kierować niczym paralotnią. Konstrukcja tego ostatniego jest wysoce skomplikowana, składa się z sieci szwów, linek, przewodników i hamulców aerodynamicznych tworzących płataninę równie zniechęcającą jak instalacja elektryczna w Jaguarze. Ze względu na tajną naturę podróży Didi nie mógł ze sobą zabrać pełnego zestawu do naprawy spadochronu, czyli stalowych dziurkaczy, szydeł, ciągadeł i zacisków, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie celników na lotnisku. Ale zaryzykował przewiezienie torby z gumowymi taśmami zabezpieczającymi, sporą kolekcję igieł do szycia, silnych nici i taśmę na

rozprucia. Musiał się modlić, żeby nie było poważniej-

szych usterek. Co prawda cały plecak miał wypełniony marokańskimi narzędziami stolarskimi, ale byłoby to jak naprawianie sportowego samochodu częściami do roweru.

Pomimo obaw Ecksteina Didi ucieszył się, że większość sprzętu wyposażona była w tak zwane pilociki, czyli spadochrony wyciągające. Dwie linki odbezpieczające nie miały osłonek, a pojemniczki były zapięte zardzewiałymi kawałkami zwiniętego drutu. Jutro będzie musiał dopasować linki hamulcowe od motoroweru, a uchwyty zrobić z kawałków rurki.

Ci co nigdy nie używali linek wyzwalających, będą musieli nauczyć się tego tu na ziemi. Ci co nigdy nie latali na skomplikowanych *PD Sabre*, też będą musieli potrenować na sucho. Nie ma czasu na doskonalenie skoków.

Wiele pomocy Lernerowi i Lapkinowi mógł udzielić Szaul Nimrodi, który narepe-rował w życiu tysiące wojskowych spadochronów. Wędrował dokoła z niezapalonym papierosem w cygarnicze, sprawdzał sprzęt i naklejał kawałki taśmy maskującej na miejsca wymagające uwagi Didiego. Po cichu wydawał rozkazy, kazał zakładać uprzęż i naciągał linki, żeby Didi i Amir mogli je rozplątywać.

Wszystkim doskwierało już zmęczenie. Wstali o świcie i pociągiem, autobusem oraz furgonetką przejechali z Casablanki do Marakeszu. Popołudnie zajęły im intensywne przygotowania - dwie godziny siedzieli w ciemnym kącie restauracji o nazwie „L'toile de Marrakesh” i rozpatrywali wszelkie ewentualności, podczas gdy na niewielkiej scenie w odległym końcu sali tancerka prezentowała taniec brzucha.

- A co jeśli na zewnątrz stoją wartownicy?
- Postaramy się potraktować ich nożami.
- A jeśli wokół siebie mają miny?
- Jak wystarczy czasu, to rozbroimy jedną ścieżkę. A jak nie, przegrupujemy się i pójdziemy drogą.

- A założymy, że mają kewlarowe kamizelki.
- Strzelać w nogi, a wykańczać ich dopiero z bliska. Nigdy nie celować w głowę.
- A jeżeli nie wyprowadzą Ruth?
- Benni będzie się musiał pokazać i negocjować.
- A w przypadku, gdyby nikogo nie było na zewnątrz?
- Leżymy.

Na sesję nie przybył Koń i brakowało im jego czarnych scenariuszy. Ale zabrał swoje zakupy do „N'Fis” i zajmował się dostarczonymi przez Roselliego powietrznymi zdjęciami szpiegowskimi.

Za wąskim strumykiem, na dużym kamieniu siedział Jeny Binder. Z podziwem patrzył na pracę Lenera i Lapkina, chociaż nie krył podejrzliwości wobec niektórych ich poczynań.

- Jak wyznaczą już jeden dla mnie, to go zostawcie - powiedział do Didiego. - Sam go spakuję.

- Z przyjemnością - bąknął Didi, nie podnosząc wzroku.
- Pająk, pozwól mu najpierw sprawdzić stan techniczny - ostrzegł Nimrodi.
- Tak jest, *Baba* - odparł z udawanym posłuszeństwem Binder. - A skoro już mowa o sprzęcie... Chodzi o broń. Przydałyby się jakieś zabawki na tę zasraną imprezę.

- Broń będzie na pokładzie samolotu - odparł z cierpliwością w głosie, sprawdzając jednocześnie pokrowiec *Para Flite XL Cloud*. Jest to duży wojskowy spadochron popularny przy skokach typu HALO. - I na pewno dla każdego wystarczy, przyjacielu.

- Super - rzekł Binder. - Ale nie możesz być trochę precyzyjniejszy?
- Przykro mi - powiedział Nimrodi ani trochę nie przepaszającym głosem. - Ale w telefonicznej rozmowie z Atarem, z uwagi na naturę asortymentu, nie mogłem być precyzyjniejszy. Moi kontrahenci rozumieją potrzeby i je zaspokoją.

- Rany - szepnął Binder.

Zza Bindera doleciał głos z niemieckim akcentem Ariego Schnellera, który wspiął się na zbocze wąwozu i obserwował, czy nie nadchodzi nikt z południa.

- Myślałem, że w waszych Siłach Specjalnych wszyscy jesteście ekspertami od wszelkich zagranicznych broni.

- To prawda - powiedział O'Donovan, który klęcząc na pakunku pomagał Lapkinowi. - Ale Pająk to jeszcze dziecko.

Binder wymamrotał przekleństwo.

- A gdzie nasz przyjaciel *le cheval*? - Nabbe chwycił wiązkę linek, aby Didi mógł je związać gumową taśmą. Od wielu godzin nikt nie widział Konia.

- Nic mu nie jest - powiedział Benni. Chodził po twardym zimowym piasku tuż za rozłożoną płachtą, wokół jego sylwetki jaśniała poświata od papierosa trzymanego w dłoni. Od czasu do czasu spoglądał na pracujących, ale nie proponował im pomocy, chociaż Ecksteinowi wydawało się, że to nie w stylu pułkownika. Eytan domyślał się powodów dystansu Bauma, ale nic nie mówił.

- A doktor Einstein? - zapytał O'Donovan. Sadeen opuścił „L'toile” w połowie sesji, ponieważ wywołał go Mustaffa.

- Robi ciężarówkę z pojemników na jajka - powiedział Didi, nie odrywając się od pracy.

- A może balony - zaproponował Binder. - Do nadmuchiwania. Takie jak na paradach.

- Nie - wtrącił się Nabbe. - Na pewno szuka *nacho*. Ma już dosyć jagnięciny.

- A właśnie - odezwał się z ciemności Eckstein, próbujący nawlec zagiętą igłę na nitkę. - Żebym jutro nie zapomniał kupić prowiantu. - Wcześniej wpisał na listę tabliczki twardej czekolady, surowe ziemniaki, landrynki i inne produkty zawierające dużo cukru, a mało soli.

- Jak zapomnisz - ostrzegł Nabbe - to ciebie ugotujemy, *Cordon Algerie*, chociaż jesteś nie wykastrowany i pewnie będziesz kwaśny.

Nagle od strony posterunku Mustaffy rozległo się gwizdanie na palcach. Na moment wszyscy zamarli.

- Róbcie swoje - powiedział Benni. Skinął na Ecksteina i we dwóch wyszli z wąwozu. Wpatrzony w kierunku Marakeszu Mustaffa kucnął przy ognisku. Na słomianej macie leżały świeżutkie *fatir*. Gdy Baum i Eckstein do niego dołączyli, wskazał palcem drogę wijącą się pomiędzy wystającymi skałami.

- *Ein Lastwagen* - powiedział, ponieważ w szkole uczył się niemieckiego i tym właśnie językiem porozumiewał się z Ecksteinem.

Gdy zza zakrętu wyłoniła się para świateł, Benni i Eytan musieli zmrużyć oczy. Wiatr przyniósł warkot źle wyregulowanych cylindrów i terkotanie nadwozia starej ciężarówki.

- To tylko ciężarówka - szepnął Eckstein.

- Albo dżip - ostrzegł Benni.

Pojazd przyspieszył, ale nagle zgasły światła, silnik zawył, jakby zmagając się z jakąś przeszkodą, a na pobocze wtoczyła się dziwaczna płatanina rur. Wehikuł

stanął w połowie zbocza, a Eytan u Benni zerwali się na równe nogi. Usta mieli otwarte ze zdziwienia.

Gdy podeszli bliżej, Sadeen uśmiechał się od ucha do ucha. Oglądali motorower Autobeacane ze wszystkich stron. Przez uchwyty hydrauliczne przyspawane do kierownicy została przeciągnięta i przymocowana stalowa rurka. Z kolei na końcach rurki znajdowały się reflektory, od których prowadziły przewody do akumulatora pod zbiornikiem paliwa. Z tyłu, z prawej strony, na rurze wydechowej mocna obejma trzymała pustą puszkę po oliwie z wieloma nawierconymi otworami.

Z tylnego siedzenia zsiadł Koń i z walizką w dłoni wszedł na zbocze. Był uśmiechnięty.

- Powinno zadziałać - powiedział. - W każdym razie z odległości dwustu metrów. Zatrzyma się i Klump będzie musiała się pokazać.

Benni trzymał się za podbródek. I chociaż kręcił głową, powiedział:

- Bardzo możliwe.
- A jak zrzucisz tę konstrukcję na ziemię? - zapytał sceptycznie Eckstein.
- Wszystko się rozkłada na części. - Sadeen z dumną miną uspokajająco uniósł dłonie. - Schowamy to do plecaka i ja z tym skoczę. To tak jak rozłożona pięćdziesiątka. - Zsiadł i bez trudu uniósł pojazd. - Waży mniej więcej tyle samo.

Eckstein skakał już z granatnikami, ale nigdy z pięćdziesiątką, a już na pewno nie HAHO.

- Zobaczmy, co na to powie Didi.

Pomogli Sadeenowi wtoczyć pojazd do wąwozu, gdzie rozgorzała prowadzona zniżonymi głosami dyskusja na temat przydatności wehikułu. W każdym razie Baum i Eckstein mieli okazję zaobserwować jego działanie w praktyce i sprawdzał się - przynajmniej na jakiś czas. Dyskusje zakończyło pytanie Sadeena, czy ktoś ma lepsze propozycje.

- Porwijmy jakiś wóz - nalegał Schneller.

- Ja też bym tak wolał - przyznał Sadeen. - Ale gdyby nie pojawił się żaden inny pojazd, będziemy mieli to.

Ostatnie słowo należało do mistrza kwatermistrzostwa, do Nimrodiego.

- Didi da ci największy spadochron - powiedział do Sadeena. - Wskoczysz pierwszy, ale reszta nie będzie się kierować na ciebie. W razie jakichś kłopotów, przyjacielu, odetniesz to.

Inżynier z uśmiechem uklonił się pułkownikowi.

Eckstein zagwizdał z podziwu. Przyglądał się Koniowi, który wypakowywał zawartość walizeczki na foliową płachtę. Wszyscy zgromadzili się wokół niego i z uznaniem kiwali głowami.

Model obozowiska Martiny wyglądał jak zbudowany ręką architekta. W niczym nie przypominał makiet robionych na chybcika przez oficerów wywiadu. Wszystkie pagórki, wydmy, nierówności zostały uformowane z twardego ciasta, nad podziemnymi pojazdami znajdowały się kartonowe stożki wywietrzników. Gdzie na zdjęciu był widoczny krzak lub kaktus, tam na makiecie znalazła się gałązka natki pietruszki każdą skalę reprezentował przyklejony do powierzchni kamyczek. Odrzutowiec powstał z sera i został zasłonięty siateczką pochodzącą z osłonki. Podobna siatka znajdowała się na otworze w południowo-wschodniej części obozu. Drogę dojazdową stanowiła przyklejona do powierzchni sól.

- Ekstra jak cholera - powiedział Didi i wrócił do pracy. Większość napraw miał już za sobą, ale pozostały mu do przepakowania jeszcze dwa spadochrony.

- No, skoro jesteśmy już wszyscy - odezwał się Eckstein. - Zajmijmy się tym. Pomógł Koniowi przenieść makietę na ubity piasek.

Eytan spojrział na Benniego i pokazał mu miejsce obok siebie na sporym kawałku skały. Ponad szczytami Atlasu pojawił się księżyc i oświetlił Bauma, który wpatrywał się w niego i przebiegał palcami na kolanie.

- Panowie, nadszedł czas na zwierzenia - odezwał się.

Wszyscy zamilkli i, odwracając głowy do pułkownika, zastanawiali się, co on ma na myśli.

- No dobra - O'Donovan spróbował przerwać milczenie. - Jak miałem siedem lat, buchnąłem dolca z tacki w kościele.

Nikt się nie zaśmiał.

- Nigdy w życiu nie skakałem na otwieranie ręczne - powiedział Benni. Z przerażeniem bez słowa wpatrywali się w swego dowódcę.

- *Encore?* - wyszeptał Nimrodi.

Benni lekko się odwrócił. Patrzył na buty jak uczeń. Przy intensywniejszym świetle widać byłoby jego rumieniec.

- Tel Nof to tak - Benni wspominał o typowym wojskowym kursie spadochronowym. - I od czasu do czasu dla przypomnienia. Dwa lata temu skakałem z synem. - Jeśli ma się syna spadochroniarza i wystarczająco silne nogi, można przekazywać rodzinną tradycję. - Ale na otwieranie ręczne? Co to, to nie. Nigdy.

Obserwując rysy jego twarzy, szybko zdali sobie sprawę, że Benni się nie boi. Przy takiej operacji zgodziłby się pewnie skoczyć nawet na parasolu. Obawy dotyczyły raczej tego, że może nie nadąży za wszystkimi i będzie powodował opóźnienia. Mógłby też nie otworzyć czaszy i zmniejszyć liczebność grupy albo poszybować po niebie, podczas gdy oni będą odbijali jego córkę. Bez niego.

Didi i Amir oderwali się od pracy i cichym krokiem podeszli do kręgu. Pod czujnym okiem zgromadzonych wymienili się spojrzeniami i odwrócili do Bauma. Celowo ukrywał prawdę, którą powinni byli znać. Ale nie gniewali się, bo rozumieli, a poza tym błagalny wzrok Benniego był nie do zniesienia.

- Nie przejmuj się - powiedział Didi. - Ja i Lapkin ci pomożemy. Zrobimy przyspieszony skok. - Przyspieszone skoki na otwieranie ręczne to technika stosowana w przypadku nowicjuszy, ale wymaga zazwyczaj niekończących się godzin szkolenia. - My za ciebie pociągniemy urządzenie otwierające, a ty tylko będziesz podążał za resztą.

I tyle. Decyzja została podjęta. Problem rozwiązany. Didi i Amir powrócili do pracy. Wszyscy jednak doskonale pamiętali - z wyjątkiem Konia - jak wyglądał ich pierwszy skok na otwieranie ręczne. Nie odbywał się w nocy, nie mieli ze sobą sprzętu wojskowego i z całą pewnością nie działo się to w środku ważnej akcji.

22

Północny Atlantyk

Doktor Ali-Hamza Asawi powinien być najszcześniejszym człowiekiem w Teheranie.

Przez pięć długich lat wszystkie wysiłki swojego wywiadu koncentrował na pomyślnym zakończeniu projektu Mahdi. Zlecenie to dostał od wąskiego kręgu ludzi z Rady Rewolucyjnej, która stale patrzyła mu na ręce, a od wyniku misji zależała cała jego przyszłość. Pięć lat stałego napięcia - nie licząc fazy wstępnej zanim pomysł przybrał ostateczny kształt, kiedy to doktor sześć miesięcy poświęcił na rozmyślenia, plany i analizowanie taktycznych posunięć zachodnich wywiadów, na opracowywanie scenariuszy i oddzielanie fantazji od prawdopodobieństwa.

I dopiero wówczas, gdy pewność siebie przeważała nad wątpliwościami, Larijani zaprezentował istotę sprawy Mahdiemu, doradcy prezydenta do spraw wywiadu. Aż w końcu spotkał go zaszczyt wyłożenia planu przed samym Rafsanjanim. Wstrzymywał nerwowo oddech, aż prezydenckie skinienie głowy przeważało szalę. Najwyraźniej opłacała się troska Asawiego o dobór odpowiedniego kryptonimu akcji, ponieważ imię „prowadzonego przez Boga” powiązało broń nuklearną z czymś świętym.

W końcu zaczęła się praca. Każdy etap należało dyskretnie maskować pod przykrywką działań dyplomatycznych i handlowych. Kiedy prawie wcale nie zakonspirowani urzędnicy konsularni rozpytywali na wolnym rynku o urządzenia techniczne, agenci SAVAMA fotografowali bazy wojsk raketowych w odłączających się od Rosji republikach. Kiedy minister spraw zagranicznych podpisywał w Paryżu umowę o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, ludzie Asawiego przekupywali głodnych kazachskich oficerów w Ałma-Acie. Kiedy w Hezbollah zaczął panować zamęt, a niemiecką terrorystkę skłoniono do udziału w grze cieni, bunkry w Isfahanie przygotowywały się do przyjęcia przemyczonego towaru z lasów Semipałatyńska.

Aż w końcu od ostatecznego triumfu operacji Mahdi dzieliły Asawiego zaledwie dwa dni.

Powinien teraz mieć wyprasowany dwurzędowy garnitur od Diora i wypucowane buty od Bally'ego, powinien trzymać na baczność swój personel, który wkrótce uda się na zasłużony wypoczynek. Powinien przygotować dom na przyjmowanie rządowych podziękowań oraz wyrazów uznania i z radością oczekiwać, kiedy wystąpi na prezydenckim przyjęciu w charakterze honorowego gościa. Powinien być najbardziej szanowanym oficerem wywiadu w całej stolicy Persji.

Tylko że nie znajdował się nawet w pobliżu Iranu.

Żelazny reling na trawlerze był równie zimny jak lodowy blok, ale Asawi z przyjemnością trzymał na nim ręce i tylko dbałość o dostojność powstrzymywała go od przyłożenia do poręczy także czoła. Nie musiał już pozostawać w małej, okrętowej izolatce, nie było po temu żadnych powodów. Jak można wypocząć, kiedy leżąc na postrzępionej koi, trzeba rękami i nogami zapierać się o grodzień, żeby nie spaść na podłogę? Dlatego wyszedł na pokład, żeby zaczerpnąć chłodnego atlantyckiego powietrza. Do dziąseł nadal przylegały mu resztki słonych krakersów, którym nie

udało się dobrze wpłynąć na żołądek. Spojrzał na cuchnącą rybim tłuszczem sieć wiszącą na dźwigu. Liberyjska flaga, powiewająca na drucie odciągowym, przedstawiała gwiazdę i czerwono-białe paski, jakby te afrykańskie slumsy miały jeszcze nadzieję, że zostaną państwem Wielkiego Szatana. Maszt kreślił na purpurowym niebie zwirowane ósemki.

Zdrętwiał na widok niesłychanie wysokiej, zielonej fali i zrozumiał, dlaczego początkujący marynarze często rzucają się do morza -wszystko wydawało się lepsze od pozostawania na tej rozkołysanej płaszczyźnie. Do gardła zaczęła napływać ślina, a Asawi był w stanie powstrzymać się tylko dlatego, że ubrany w czarny nieprzemakalny płaszcz wartownik z Hezbollahu z *Katasznikowem* odwrócił się z dziobu do niego i bezczelnie się uśmiechnął.

Asawi zacisnął roztrzęsione wargi i udało mu się lekko unieść kąciki. Wartownik z powrotem odwrócił głowę i Asawi spróbował zatrzymać wzrok na jego spryskiwanej kroplami wody sylwetce. Lecz w odróżnieniu od pojazdów lądowych, na statku nie da się zwalczyć choroby lokomocyjnej poprzez skoncentrowanie się na jakimś niezbyt oddalonym przedmiocie. Tutaj z każdej strony widać jedynie panoramę wzburzonej wody. Zamknął oczy, ale to pogorszyło sprawę, jakby w ciemnej sypialni leżał dręczony kacem.

Napić się. Ach, cóż by dał za szklaneczkę whisky z lodem. Ale na tej zardzewiałej łajbie z niedomytymi fanatykami nie miał na trunek prawie żadnych szans. Być może jednak powinien być wdzięczny losowi, ponieważ nie musiał przebywać na pokładzie trawlera pełnych dwóch tygodni podróży z Zatoki Omańskiej przez Morze Arabskie, Ocean Indyjski, wokół Przylądka Horn i znów na północ południowym Atlantykiem ku zimowej pogodzie zachodnioafrykańskich wybrzeży, gdzie teraz krążyli w oczekiwaniu na krótką transmisję z Bejrutu. Ludzie z Hezbollahu byli hardzi, prymitywni, a ich towarzystwo śmiertelnie nudne, ponieważ rzadko kiedy rozmawiali o czymś innym niż o Koranie. Ale nie byli głupi.

Wraz z rozwojem operacji Mahdi izraelski jeńiec został przeniesiony z doliny Bekaa do Iranu nieopodal Bandar¹ Abbas. Tam umieszczono go na statku i przewieziono w tajemnicy do Somalii, a potem ukryto w nieco przerobionej przyczepie traktora i przerzucono samolotem do Gambii, a statek dalej płynął swoją drogą. Gdyby Izraelczycy próbowali złamać umowę i napaść na nich na pełnym morzu, ich komandosi zdziwiliby się nie zastając na pokładzie swojego człowieka. Jednak niczym nie zakłócony rejs stanowił dowód ich szczyrych intencji, toteż w Banjul Dan Sarel z powrotem trafił na pokład.

Asawi nie zamierzał ani nie chciał brać udziału w wymianie. Zawsze wolał otrzymywać zakodowane raporty o postępie operacji, dostarczane przez posłańca na motocyklu, kiedy sam popijał szampana. Jednak najwyraźniej szejkowi Tafilli, negocjatorowi z ramienia Hezbollahu, znudziło się już samotne stawianie czoła znienawidzonym Izraelczykom. Tafilli przekonał dowódcę Asawiego, Saida Abbasa Mussawie-go, że irańskim sponsorom będą mogli w pełni zaufać dopiero wówczas, gdy jeden z nich - na odpowiednim stanowisku - weźmie udział w akcji.

I tak oto Asawi otrzymał niezbyt przyjemną wiadomość od samego Larijaniego. Miał natychmiast opuścić Teheran, polecieć na Cape Verde. Zabrał ze sobą tylko eleganckie ubrania, zakładając iż zakwaterowanie na statku będzie przynajmniej

przyzwoite. Ale kiedy liberyjski trawler „Wologisi” zawinął do doków w Praia i Asawi ujrzał zardzewiałe odpływy ściekowe oraz poczuł wydobywający się z nich odór, zdał sobie sprawę, że ubrał się nieodpowiednio.

- *Kif halak ya sidi?*

Irańczyk ledwie usłyszał pytanie o samopoczucie, ponieważ huk morza sprawiał wrażenie, jakby wydobywał się ze środka głowy. Jednak udało mu się odwrócić, usłyszał głuchy stukot stali i spojrzął do góry.

Przez poręcz na mostku „Wologisi” wychylał się szejk Tafilli. W porcie ubrał się dyskretnie w angielski płaszcz, czapkę i rybackie buty. Teraz miał na sobie pelerynę egipskich komandosów i czarno-białą kafiję szczelnie owiniętą wokół głowy. Na czarnej brodzie błyszczały krople morskiej wody, a zęby połyskiwały bielą niczym światła latarni morskich na horyzoncie. Asawi odnosił wrażenie, że ogląda w telewizji kablowej jeden z szowinistycznych amerykańskich filmów z Chuckiem Norrisem.

- *Ilham' dilla*- zdobył się na wypowiedzenie dwóch słów, choć w obecnej chwili nie czuł bynajmniej łaski boskiej.

- Otrzymał pan przekaz drogą radiową - zawołał Tafilli. A potem - nie do wiary - podniósł do ust jabłko i ugryzł spory kawałek.

- Jak brzmiał?

- Czerwony przyплыw.

Asawi skinął głową, odwrócił się i znów chwycił poręcz. Obserwował tworzącą się morską falę, która mogłaby wyprowadzić z równowagi australijskiego miłośnika surfing. Czerwony przyплыw. Izraelczycy wyruszyli w drogę. Teraz Żydzi będą pełną parą pędzić do punktu spotkania i bez wątplenia towarzyszy im spora armada oraz wsparcie z powietrza, bo właśnie na tym polega ich głupota, że mobilizują nadzwyczajne siły, aby odzyskać jednego żołnierza. Tak naprawdę mają dość ograniczone zasoby, a dzięki Syryjczykom cały czas muszą pilnować północno-wschodniej granicy. Dlatego też każda poważniejsza akcja zagraniczna wymaga udziału wszystkich pozostałych sił wywiadu.

Wreszcie nadszedł ostatni etap operacji, a Asawi zawsze marzył o wydaniu tego ostatniego rozkazu z podziemnych pomieszczeń nadzoru należących do Ministerstwa Obrony, gdzie miał przebywać w otoczeniu generałów Straży Rewolucyjnej. Ale wszelką radość popsuła mu podróż na rozkołysanej, śmierdzącej skorupie. Zamiast dumy odczuwał mdłości. Odwrócił się i spojrzął na szejka.

- Poślijcie im „Słoneczne światło”! - zawołał. Szejk pokiwał głową i wyjął jabłko z ust.

- Panie doktorze, a może wejdzie pan i sam nada komunikat?

Przez chwilę Asawi się zastanawiał. Tak, to byłoby słuszne, zwłaszcza, że SAVAMA może zapytać o potwierdzenie komunikatu jakimś szyfrem. Ale bał się, że wchodząc do zatłoczonego pomieszczenia, utraci panowanie nad żołądkiem, a wiedział z całą pewnością, że to wydarzenie przechodziłoby potem z ust do ust w szeregach Hez-bollahu niczym jakaś szczepowa legenda.

- Nie ma potrzeby. - Machnął ręką. - Sami to wyślijcie.

- *Mitl ma bitrid*. - Tafilli wzruszył ramionami i zniknął.

Słoneczne światło. Asawi miał nadzieję, że nie świeci ono teraz w górach nieopodal Ałma-Aty, że kazachskie szczyty spowijają chmury, a drogi są ukryte przed

wścibskimi satelitami. Czterdziestokilotonowa głowica nuklearna odłączona od poradzieckiego *Scuda-B* ruszy na ciężarówce wzdłuż kazachskiej granicy do miejsca, gdzie na wybrzeżu Morza Kaspijskiego Rosja graniczy z Iranem. Między północą a świtem przekupiony człowiek kazachskiego korpusu inżynierskiego poprowadzi głowicę przez spowity mrokiem most pontonowy do ładowni amerykańskiego niegdyś okrętu desantowego. Okręt szybko wpłynie na wody irańskie, gdzie wejdą na pokład komandosi i zanim jeszcze dotrze do Rash, zostanie wciągnięta zielono-biało--czerwona flaga.

Asawi spojrzął na przemoczoną, granatową marynarkę ze znakomitej wełny odrażającą poplamioną resztkami śniadania. Pomimo zimna nie zapiął przeciwdeszczowego płaszcza, ponieważ nad całym Atlantykiem nie ma tyle chłodu, żeby ostudzić jego gorączkę. Na

szczęście statek przestał się kręcić i po wpłynięciu na Morze Śródziemne znajdują się być może na spokojniejszych wodach. Ale jeśli on tak cierpi na otwartym pokładzie, to ciekawe co musi odczuwać izraelski komandos spędzający swe ostatnie godziny uwięzienia pod pokładem...

Kapitan Dan Sarel nie miał pojęcia, że wkrótce czeka go wolność. W ciągu ostatnich lat był przenoszony tak wiele razy, że przestał już nawet o cokolwiek pytać i nad czymkolwiek się zastanawiać. Asawi cały czas z podziwem myślał o nieugiętości Sarela i, niczym biolog posiadający jakiś fascynujący okaz, nie chciał dopuścić do tego, aby SAVAMA z niego zrezygnował, zwłaszcza że można by mieć z niego większe korzyści niż tylko bezwartościowego szejka Saida.

Z Izraelczyka pozostał strzęp człowieka, był na pół martwy i stracił wszelkie emocje, pozostał w nim tylko opór. Po fizycznych torturach, które zaprowadziły go na krawędź śmierci, nastąpiła hospitalizacja. Później przyszedł okres eksperymentów - tygodnie wystawiania go na efekty dźwiękowe przy jednoczesnym skrępowaniu w kaftanie bezpieczeństwa, żeby nie mógł zakrywać uszu. A potem długi okres niczym nie zmaconej ciszy zakończony palowaniem.

- Jak zaczniesz gadać, to cię wymienimy - obiecywali przesłuchujący. Komandos pozostawał niewzruszony. Pięć lat od dnia porwania pokazano mu błyszczący, kolorowy folder. Był to apel do międzynarodowej społeczności, na którym znajdowało się zdjęcie jego żony i sześciolatniej córki, którą znał tylko jako niemowlę. Z oczu popłynęły mu łzy, a oprawcy optymistycznie sądzili, że zacznie wygłaszać swój pierwszy monolog.

- Będzie żyć z pamięcią o martwym bohaterze, a nie w hańbie po żyjącym tchórze. Teraz gdyby można było się upewnić, że operacja Mahdi została uwieczniona

sukcesem, Asawi znalazłby jakiś sposób na przełożenie wymiany jeńców, ponieważ wiedział, że płynie na spotkanie ze śmiercią. Plan podwójnej mistyfikacji pod względem taktycznym wydawał się znakomity, chociaż Asawi wiedział już, że wdał się w niepotrzebne machinacje. Owszem, włączenie do gry Martiny Klump było posunięciem trafionym - Amerykanie i Izraelczycy gonili za nią jak szerszenie wypuszczone z gniazda. Naturalnie aż do zakończenia spawy nie można mieć pewności, czy odwrócenie ich uwagi naprawdę zapewniło bezpieczeństwo operacji Mahdi. Jednak pluł sobie w brodę z powodu własnej głupoty, ponieważ nie miał sposobu na skontaktowanie się z terrorystką i na powstrzymanie jej przed działaniem. Ona była teraz nie wiadomo gdzie i nadal pałała chęcią zniszczenia symbolicznego pomostu

zbudowanego pomiędzy starymi wrogami. A on, guru wywiadu, który zajmował się zdobyciem broni jądrowej, nie zapewnił sobie mechanizmu awaryjnego dla ratowania własnego życia!

Ironia sytuacji niemal go rozśmieszyła, a potem natychmiast zadrżały mu kolana na wspomnienie okrutnego porannego odkrycia. Gdy wsiadał w Praia na pokład, Tafilli prowadził go na „Wologisi” jak na flagowiec greckich linii. Oprócz portugalskiej załogi, przekupionej, żeby ignorowała uzbrojonych pasażerów, na pokładach i korytarzach trawlera znajdowało się trzydziestu zahartowanych w walce ludzi Hezbolla-hu. Wyposażeni w karabiny i miniaturowe egzemplarze Koranu cieszyli się *fatwą* rzuconą przez samego FadlAllacha i chwilowym złudzeniem, że Partia Boga posiada własną marynarkę wojenną.

W maszynowni Asawi zauważył zielone skrzynie z amunicją, co w tych okolicznościach nie wydawałoby mu się niczym niezwykłym, gdyby nie dziwny, biały przewód biegnący do innej części statku. W wąskim przejściu nieopodal zamkniętego na klucz pomieszczenia, gdzie trzymano Sarela, Asawi zauważył kolejne zielone skrzynie połączone białym przewodem. I wreszcie na mostku, gdzie przedstawiono go zastępcy Tafilliego, dostrzegł trzecią partię skrzyń. Biały przewód kończył się między nogami mężczyzny w schowku z włącznikiem zabezpieczonym jedynie mosiężnym kółkiem.

Asawi zaczął szybciej oddychać, gdy domyślił się do czego służy „biały przewód”, ale

mimo to zapytał o zawartość skrzyń.

- O! - Tafilli uśmiechnął się na widok obolałej twarzy Irańczyka. - Wiele, wiele kilogramów trotylu. Gdyby Żydzi nie dostarczyli szejka Saída albo gdyby próbowali nas zaatakować przed lub po wymianie, zginiemy śmiercią męczeńską i zabijemy ich tyłu, ilu się da. Zgadza się pan?

Asawi nie odpowiedział, ponieważ jego wewnętrzne ucho wołało raczej zareagować na zakolysanie się statku, po czym szybko udał się do swej kwatery.

Leżał na pryczy i ciężko oddychał. Zdumiał go fakt, że do udaremnienia wymiany wcale nie potrzebne są skomplikowane pociski Klump. Wystarczyłaby dobrze wycelowana kula lub, Boże uchoj, niedopałek papierosa bezmyślnie wyrzucony przez któregoś z tych głupców! Miał nadzieję, że jeżeli Klump wytrzymała w swych zamiarach wobec wymiany, będzie potrafiła odróżnić izraelski okręt od zwykłego trawlera. Nie był jednak pewien, czyją to coś obchodzi. Mogła dokonać wyboru na podstawie rzutu monetą.

Dźwięk pracującego silnika uległ zmianie, gdy „Wologisi” zmienił kurs i wraz z wiatrem skierował się w kierunku Gibraltaru. Asawi jeszcze mocniej zacisnął dłonie na poręczu, nad głową na ciemnym niebie gromadziły się coraz cięższe chmury. Służył rewolucji z oddaniem, ale jego poświęcenie nie było bezgranicznie jak ślepa pasja tych okrutnych prymitywów chcących się dostać do Raju. On podróżował po świecie, próbował zagranicznych win i niewiernych kobiet, ale wszystko to stanowiło drogę konieczną do osiągnięcia sukcesu. Modlił się kiedy mógł, ale oczywiście nie dokonywał samookaleczenia na *Aszura* ponieważ nie można w Rzymie z zakrwawionym czołem spotykać się z senatorami. Swoją żonę traktował z szacunkiem należnym muzułmańskiej kobiecie, rozpieszczał szóstkę swoich dzieci przy każdym spotkaniu z nimi i zawsze pamiętał o hojnych darach dla obydwu kochanek. Prawie

należał do królewskiej kasty. Posiadał hodowlę koni. A teraz w jednej chwili jego największa pasja do poznawania tajemnic znanych nielicznym lub nie znanych nikomu, miała doprowadzić do zmiecienia tego wszystkiego.

O podwójnej mistyfikacji Asawiego nie wiedział nikt z wyjątkiem Palestyńczyka Omara. Nie poinformował nawet Larijaniego, dla którego wymiana jeńców stanowiła doskonały wybieg odciągający uwagę od operacji Mahdi. Planował wyjawić prawdę tylko w wypadku, gdyby Martinie Klump udało się przeszkodzić w wymianie. Taka wiadomość skłoniłaby chyba Radę Rewolucyjną do zatańczenia w prezydenckiej sali przyjęć. Ale oni zatańczyliby nawet wtedy, gdyby jego martwe ciało właśnie obgryzały ryby.

Przylapał się na pragnieniu, żeby Izraelczykom i Amerykanom udało się to, czego on zaniedbał...

Obok rufy, gdzie kuchenny luk wychodzi na pokład pełen zwiniętych w spiralę lin, przy lewej burcie siedział na składanym metalowym krześle Omar Bin Al-Wafa. Drobną sylwetkę starego człowieka okrywał niebieski, wełniany pled, stróżki deszczu spływały mu po biece na okulary i wąsy, jednak ogólnie rzecz biorąc wyglądał na zadowolonego z rejsu. Stopami sztywno trzymał się poprzecznej belki, od czasu do czasu przy większym przechyle prostował ramiona, żeby utrzymać równowagę i czuł się jak na wycieczce z wnukami w kolejce górskiej.

Omar brał udział w wyprawie również nie z własnej woli. Ali-Hamza Asawi rozkazał Omarowi, aby mu towarzyszył. Najwyraźniej doktor dokonał projekcji swoich zaniedbań na Omara i jemu zarzucał winę za niefortunny rozwój wypadków, chociaż staruszek co do joty wypełniał rozkazy. Omar nawet wyrażał niepokój z powodu pozostawiania Marty Klump bez kontroli, ale Asawi machnęła ręką na takie obawy. Być może Irańczyk w końcu zrozumiał, że jego machinacje zrodziły potwory i za mistyfikację trzeba będzie zapłacić.

Jednakże Omar miał pewną tajemnicę. Bardzo prywatną, a jednocześnie wyraźnie dającą się zaobserwować na jego twarzy. Był szczęśliwy, prawdopodobnie bardziej niż w przez

wiele ostatnich lat. A to dlatego, że znów był młodym piechurkiem na linii frontu. I choć czekało go ryzyko, podchodził do niego z radością cechującą starszych, odważnych mężczyzn.

Nie cieszyło go, że Iran dołącza do państw posiadających broń jądrową, bo nieuchronnie musiało do tego dojść - z jego pomocą czy bez. Szczęściem napawały go raczej konsekwencje wymiany jeńców, gdyż bez względu na jej motywacje, wierzył, że takie gesty przybliżają możliwość zawarcia pokoju. On sam służył swym fundamentalistycznym panom, ponieważ nie miał wyboru, ale w głębi duszy żywił nadzieję, że palestyńscy bracia znajdą swój dom i że osiągnąć to można niekoniecznie wymazywaniem Żydów z powierzchni ziemi. Pokój - chociaż jeszcze odległy - zarysowywał się na horyzoncie. A za każdym razem, gdy przeciwnicy podają sobie ponad stołem ręce, bez względu na przyczynę, trudniej jest im sięgnąć po broń.

W przeciwieństwie do Alego-Hamzy Asawiego Omar nie miał pewności, że akcja przygotowywana przez Martinę Klump się powiedzie. Patrzył jej w oczy i widział, że nie są oknami do fanatycznej duszy, ale należą do zatroskanego, zagubionego dziecka. Z uwagi na swą nieczystą duszę łatwo mogła się pomylić, a jej przeciwnicy bez wątplenia wykorzystają słabość biednej dziewczyny.

Pochylił się na krześle, złapał za poręcz i wychylił głowę w stronę przedniej części pokładu. Mokrym końcem szalika wytarł okulary i na widok Asawiego przechylonego przez burtę cmoknął językiem. Szkoda mu było tego młodzieńca, ponieważ w pustym sercu brakuje siły. Omar był umiarkowanym wyznawcą Boga i potrafił przyjąć każdy los, jaki na niego spadał. Asawi puszył się pod wpływem politycznych frazesów, które jednak szybko ulatywały i nie pozostawało nic, z czym można by się stawić na sądzie przed Allahem. Irańczykowi imponowała jedynie siła, a tu w środku burzy, której nie byłby w stanie rozpuścić żaden człowiek, zawodziło go to, co kochał.

Nad kuchnią „Wologisi” na żelaznym wysięgniku wisiał staroświecki dzwonek. Portugalski kucharz dawał sygnał do posiłku i równomierny dźwięk dzwonu przebijał się przez huk morza oraz warkot silników.

Omar wyjął zegarek kieszonkowy. Rzeczywiście, zrobił się głodny i czas już na lunch. Z pewnym trudem wstał z krzesła, ruszył do kuchni, ale zatrzymał się na chwilę i ze współczuciem pokręcił głową.

Plecy Asawiego drgały w niekontrolowany sposób, gdy wymiotował do morza.

23

Amanouz

Najpierw wąski, różowy pasek zachodzącego słońca zamajaczył na horyzoncie niczym uśmiech budzącej się ze snu pięknej kobiety i powoli zniknął za odległą granicą Sidi Moktar, a potem szybko - jak na każdej pustyni - nastąpiła noc i ziemia zaczęła stygnąć. Światła Marakeszu stanowiły jedynie żółtą lunę na brunatno-czerwonym tle, lecz to wystarczyło, żeby dostrzec na niebie czarną sylwetkę samolotu i gdy ludzie Benniego Bauma zapalali wzdłuż drogi olejowe latarnie, z podziwem patrzyli do góry na znajomy kształt.

W erze kiedy żadne z wytwarzanych przez człowieka urządzeń mechanicznych nie jest dostatecznie dopracowane, *Douglas C-47* nie powinien nadawać się do latania. Jednak te niezdarne samoloty transportowe - zwane przez Amerykanów podniebnymi pociągami, przez Brytyjczyków i Izraelczyków *Dakotami*, a przez jeszcze innych Albatrosami - nadal latają, transportując artykuły medyczne przez afrykańskie pasma gór, tak jak kiedyś do Chin, i zrzucając spadochroniarzy nad Florydą, tak jak kiedyś żołnierzy nad Sycylią, Normandią oraz przełęczą Mitla.

Fabryki nie produkowały ich już od czterdziestu lat, a gdy siadały na płycie, prezentowały kształty i wydawały dźwięki pochodzące z innej, dawno minionej epoki, kiedy zakończenia skrzydeł i obudowy silników były zaokrąglone, pękate i gładkie. W latach powstawania

Dakoty, w dobrym tonie było mówienie o samolocie w rodzaju żeńskim, „ona” mogła uchodzić za rubensowską modelkę o pełnym ciele i leniwym spojrzeniu.

Ludzie Bauma domyślali się, że to Szaul Nimrodi dostarcza to, co obiecał. Spodziewali się raczej popularniejszego w Izraelu *Twin Ottera*. Bo *Dakota* to nie był zwykły samolot. To był wehikuł czasu, symbol sukcesu lotnictwa.

Piloci *Dakoty* ucieszyli się na widok prymitywnych oznaczeń strefy lądowania i usiedli tuż przed pierwszym *guznikiem*. A gdy kadłub minął puszki, Jeny Binder postawił na swojej podeszwę buta i szeroko się uśmiechnął.

- Nimrodi, ty sukinsynu - powiedział.

Spod tylnego koła *Dakoty* prysnął obłok kurzu, a hamulce zatrzymały ją pięćdziesiąt metrów za ostatnią puszką. Odziani w rękawice mężczyźni pozbierali puszki i ruszyli sprintem do samolotu.

Pokrowce ze spadochronami mieli na plecach, a na nich plecaki z wielbłądziej skóry, objęły im się one o kark podczas biegu po polnej drodze w stronę wjazdu do ładowni z lewej strony ogona. Sadeen i Schneller nieśli owinięty w dywan motorower i wyglądali jak uczestnicy jakiegoś absurdałnego konkursu telewizyjnego.

Gdy zbliżyli się do maszyny, z ładowni wyłoniła się głowa Nimrodiego. *Baba* wyrzucił drabinę, która nie sięgała nawet ziemi. Pierwszy dobiegł do niej O'Donovan i zaczął zdejmować pakunki.

- Nie! Dawaj do góry! - krzyknął drobny pułkownik i w ciemności wyciągnął rękę, jednocześnie zapierając się nogami o framugę okna. Pod wpływem kurzu wzniecane-

go przez śmigła O'Donovan krzywił się, postawił czubek buta na pierwszym szczeblu drabinki i ku swemu zdziwieniu został wciągnięty do środka. Załadunek trwał dziewięćdziesiąt sekund. Wyjątek stanowił Baum, który stojąc przy drabinie, wrzucił sprzęt Nimrodiemu i odwrócił się. Na drodze obok stał Koń z dłońmi w kieszeniach i w sporo za dużej górskiej białej kurtce Bindera, która czasowo została powierzona jego opiece.

Gdy silniki wydały z siebie wyższy dźwięk, Benni kiwnął do Nimrodiego. Ten odwrócił się i policzył mężczyzn upchniętych jak naboje w magazynku.

- Lecimy! - zawołał.

Benni nachylił się Koniowi do ucha.

- Okay! - krzyknął. - Wsiadaj!

Koń odchylił głowę z wytrzeszczonymi oczami. Był przekonany, że ma zostać, wrócić do hotelu, pojechać Mitsubishi do Casablanki i udać się w drogę do domu. Może na przykład statkiem.

- A co z samochodem? - odkrzyknął.

Benni położył mu rękę na karku i przyciągnął go do siebie.

- Myślisz, że zostawię cię tu, żeby cię przesłuchali?

- Ale Benni...

- Wsiadaj! To rozkaz!

Na drodze, od strony Had Abdullah Rhiate zamigotało światło reflektorów.

- *Nu ?!*- Nimrodi krzyknął, a Baum klepnął Konia w plecy i popchnął do drabinki. Analityk znalazł się w środku, a potem pojawiły się ręce Ecksteina i wciągnęły Bennie-go. Nimrodi zwinął drabinę i zamknął właz.

Wszyscy mieli odetchnąć dopiero, gdy *Dakota* poderwie się do lotu. Ale piloci już nabierali prędkości, a chociaż zakręt na drodze znajdował się jeszcze tysiąc metrów przed nimi, na wszelki wypadek trzymali hamulce w pogotowiu.

Pasażerowie nie mieli szans na zajęcie prawidłowych pozycji czy zapięcie pasów bezpieczeństwa. Samolot nadal się rozpędzał, opony podskakiwały na nierównościach. Huk silników i walenie podwozia przypominało dźwięki motocykla uwięzionego w szopie. W pewnym momencie O'Donovana rzuciło Binderowi na kolana.

- Jerry, wiesz czego najbardziej nienawidzę? - krzyknął, gdy partner złapał go za poję kurtki.

- No czego? - Binder uśmiechnął się.

- Braku przygód.

Nimrodi odepchnął się od grodzi rufowej; podczas startu trzymał się drzwi do toalety. Teraz samolot stale się wznosił, ponieważ za Amanouz zaczynały się już pierwsze wzgórza Atlasu. Nimrodi, w za dużej parce, z trudem poruszał się przed siebie jak człowiek brodzący w bystrej rzece. *Dakota* podskoczyła i żeby się nie przewrócić, Nimrodi musiał przytrzymać się poprzecznej belki. Jak w większości wojskowych transportowców, we wnętrzu znajdowały się setki uchwytów, ponieważ kadłub zbudowany był z powleczonego metalową skórą szkieletu poprzecznych żeber i belek biegnących wzdłuż. Z kołowrotek zwisaly tobołki na linach, a inne ładunki trzymały się na pętach przymocowanych do kołków, przypominających uchwyty w staroświeckich wagonach metra.

Na początku *Dakota* ta służyła w Królewskich Brytyjskich Siłach Powietrznych podczas działań nad Arnhem, potem w Izraelskich Siłach Powietrznych, a teraz została wydzierżawiona Acordzie, firmie przewozowej, działającej w wielu krajach afrykańskich i służącej interesom AMAN-u.

Nimrodi położył rękę na ramieniu Didiemu Lernerowi, który siedział po lewej stronie najbliższej wejścia do ładowni. Nachylił się do wąskiego okienka i wyjrzał przez porysowaną szybę z Perspexu.

Płaska równina Bahira na północy wyglądała jak potężny brązowy dywan upstrzony grupkami gwiazdek Tamellit, Dar Ould Zidouh, a nawet odległego El-Borouj. Lecz miejskie światła stopniowo znikaly, gdy grube skrzydła *Dakoty* zaczęły przecinać obłoki mgły znad Atlasu, a w dole na drzewach pokazywały się śniegowe czapy. Nimrodi odepchnął się od Lenera i ostrożnie stanął na podłodze.

Na ławce po lewej stronie w miarę wygodnie usadowili się Lapkin, Nabbe, Eckstein i Baum, po prawej stronie to samo udało się Koniowi, Sadeenowi, Schnellerowi, Binderowi i O'Donovanowi. Pokrowce ze spadochronami ułożono w rzędzie, a ustawione pomiędzy nogami plecaki z wielbłądziej skóry były otwarte i ponownie sprawdzano ich zawartość. Sadeen i Schneller trzymali nogi na motorowerze.

Nimrodi precyzyjnie przeszedł przez puste posterunki nawigatora oraz radiooperatora i znalazł się w kabinie pilotów. Mężczyźni siedzący na fotelach mieli już za sobą wiek średni, ale trzymali stery pewnie i lekko niczym młodzieńcy. Pierwszy pilot urodził się w Afryce Południowej, drugi w Zimbabwie, ale obydwoj robili kariery w Izraelskich Siłach Powietrznych, a w pewnym momencie zrozumieli, że źle się czują, gdy nie latają. Nie obowiązywały ich już żadne wojskowe nakazy, toteż ubrani byli w golfy, skórzane lotnicze kurtki i czapki, spod których wystawały siwe włosy.

Drugi pilot odwrócił głowę do Nimrodiego. W Mauretanii porozumiewali się tylko po angielsku, więc teraz z nawyku odezwał się w tym samym języku.

- Właśnie łączyliśmy się z lotniskiem Menara. Powiedzieliśmy, że w cudowny sposób wszystko się naprawiło i podziękowaliśmy za wyrozumiałość.

- Świetnie - stwierdził Nimrodi. - Teraz do końca nocy mamy z nimi spokój. Pilot zdjął słuchawki, powiesił je na szyi i uśmiechnął się.

- *Baba*, z kim ty się tam zaznajomiłeś?

- Z komendantem bazy. - Nimrodi pochylił się i przez wąską przednią szybę spojrzął na dwa białe szczyty, które na pierwszy rzut oka łatwo mogłyby się stać grobem dla *Dakoty*. - Uważa, że służy swemu narodowi.

- A co z pozwoleniem na przylot? - zapytał drugi pilot.

- Już tu nie wracamy - rzekł Nimrodi. - W każdym razie nie tędy. Będę chciał, żebyście wykonali parę ciekawych lądowań.

- Parę? - Drugi pilot spojrział na wysokościomierz, a potem przeniósł wzrok na mapę przyczepioną do lewego uda.

- Tak. Wszystko w porządku?

- Cóż, wolałbym wygodnie poleżeć w łóżku - powiedział z południowoafrykańskim akcentem.

- Łżesz - rzekł Nimrodi. *Dakotą* zatrzęsło podczas wejścia w białą ścianę chmur, a po chwili znów ukazały się dwa szczyty, tym razem z bliższej odległości.

- To już Atlas - odezwał się pilot i pokazał palcem. - Ten większy szczyt to Jbel Sarhro. Wygląda niebezpiecznie, ale łatwo się go przechodzi. - Odwrócił się do okienka po lewej stronie i pokazał na dół: - Właśnie mijamy drogę z Ourzazate do Zagora. Potem biegnie prosto przez wydmy do granicy.

- I przez ten czas będziecie lecieć tak nisko?

- Trochę postraszymy Beduinów - powiedział drugi pilot. Nimrodi zatarł ręce.

- A gdzie mój towar?

- W lewym przewodzie grzewczym i za prawym panelem w toalecie - rzekł pilot. - Twoi dostawcy wyglądają jak piraci.

- Bo są piratami.

- W kabinie nawigatora jest elektryczny śrubokręt. I pośpiesz się, żeby znów zaczęło grzać.

Nimrodi ruszył do wyjścia, ale się zatrzymał.

- A właśnie - powiedział. - Czy któryś z was umie latać odrzutowcem?

Pilot i jego partner spojrzeli po sobie, a potem przenieśli wzrok na Nimrodiego.

- Umiemy latać wszystkim, co ma skrzydła i silnik - powiedział przybysz z Afryki Północnej.

- To dobrze. - Nimrodi klepnął framugę.

- *Baba*- zawołał drugi pilot. -Tak?

- *B'atslacha* - rzekł po hebrajsku. - Powodzenia. Udając zaskoczenie, Nimrodi uniósł brwi.

- *Ma? Atah yehudi? Co? Jest pan Żydem?* - Wyszedł, zostawiając roześmianych pilotów.

Pod stołem nawigatora Nimrodi znalazł dużą metalową skrzynkę i wyjął z niej śrubokręt na baterie. Wrócił do ładowni, uśmiechnął się do Benniego Bauma i pokazał sufit. Wzdłuż całej kabiny biegły dwa prostokątne, aluminiowe przewody powietrzne. Benni, Nabe i Eckstein wstali i odsunęli się, a Nimrodi wskoczył na ławę. Sprawnie wykręcał śruby i chował je do kieszeni bluzy. W końcu delikatnie zdjął fragment przewodu wentylacyjnego, sięgnął do środka i wyjął długi pakunek owinięty w brezent i zawiązany sznurkiem. Rzucił go na drugą stronę kabiny O'Donovanowi, który natychmiast zaczął rozwijać pakunek z gorliwością sierotki, która pierwszy raz dostała prezent pod choinkę.

Kiedy przewód wentylacyjny był już pusty i Nimrodi z powrotem wkręcał śruby, wszyscy gromadzili się wokół czterech *Coltów Commando CAR-15*- krótszych wersji *M-16*- oraz jednego *Mini-Uzi* ze statywem. Schneller uśmiechał się do Nimrodiego, trzymając w dłoniach brytyjski karabin wyborowy M85 firmy Parker-Hale i najwyraźniej nie przejmował się, że skok z bronią o długiej lufie może się okazać niebezpiecznym przedsięwzięciem.

Silniki *Dakoty* pracowały równomiernie, wiatry znad Atlasu smagały kadłub, toteż O'Donovan musiał krzyżeć.

- *Baba*, tu jest tylko sześć sztuk.

- I bez naboji - dodał Binder, pokazując kciukiem pusty magazynek jednego z *CAR-ów*.

- Amunicja byłaby *tres desirable* - powiedział Nabbe.

Nimrodi zignorował ich i wyszedł do toalety. Wsunął się do środka i szybko odkręcił prawy panel. Pomiędzy ożebrowaniem znajdowały się kartonowe pudełka z nabojami 5,56 mm, 9 mm i 7,62 NATO, zarówno normalne jak i smugowe, piętrzyły się od podłogi aż po pas. Wyżej leżały czarne magazynki poukładane jak cegły w murze, I wreszcie przyklejone taśmą

do ściany wisiały trzy pistolety FN *Broming High-Power* w kaburach. Nimrodi skinął na Konia, którego zabarwienie twarzy przypominało oliwkowy kolor kabiny, drobny analytyk podszedł bliżej i z rąk do rąk zaczęli przekazywać sobie amunicję.

Gdyby pasażerowie *Dakoty* siedzieli beczynn timer, skutki turbulencji już by dawały

o sobie znać. Gdyby byli wyczynowymi spadochroniarzami lub nawet żołnierzami w długiej podróży, ogarnęłoby ich dziwne zjawisko zwane drzemką skoczka, kiedy to mózg zdaje sobie sprawę, że ciało podlega nadzwyczaj nienaturalnym wpływom,

1 poddaje je nagłemu znieczuleniu, aby pograżyło się w błogim śnie. Ale teraz wszyscy zajęci byli problemami związanymi ze sprzętem i turbulencje stanowiły tylko mile widzianą przyczynę wytworzenia dodatkowej dawki adrenaliny.

Wszyscy mieli na nogach wojskowe buty, bo nie da się odbyć marszu przez piach w zwykłych butach do skoków. Nawet Binder instynktownie zabrał ze sobą buty, które nosił w wietnamskiej dżungli.

Każdy miał gruby sweter, niektórzy ostatniego dnia pobytu w Marakeszu ufarbowali go sobie na ciemny kolor; na swetry wciągnęli kurtki, w których występowali w Casablance. Binder swoją białą kurtkę pożyczył Koniowi, a na targu kupił starą, amerykańską bluzę polową.

Rękawy przykleili do dłoni taśmą izolacyjną, w taki sam sposób przymocowali latarki po zewnętrznej stronie nadgarstka i sprawdzili żarówki. Na głowy naciągnęli czarne kominiarki, a na szyjach zawiesili gogle. Aby nie zaparowywały, Sadeen wywiercił im otworki w oprawkach.

Chodząc po kabinie, Baum i Eckstein nadzorowali sesję przygotowania broni. *CAR-15* nie należały do najnowszych, ale były bardzo czyste i powinny sprawdzić się w akcji. Mężczyźni rozłożyli je i sprawdzili iglice. Wyjęli zestawy do czyszczenia i wypucowali lufy. Światowej klasy strzelec, Nabbe, chętnie przyjął *Browninga High--Power*, podobnie zresztą jak Lapkin. Trzeciego wziął Benni, który średnio strzelał z każdej broni. Okazało się, że *Mini-Uzi* to ulubiona broń Didiego i rzucił się na nią jak zachłanny dzieciak.

- Standardowe ładowanie nocne - powiedział Benni do Sadeena, który podał tę wiadomość dalej.

- A co jest dla was standardem? - O'Donovan zapytał Ecksteina. W jego pytaniu nie było ani cienia arogancji. Zarówno on jak i Binder doceniali potrzebę ujednolicenia.

- Do magazynku z trzydziestoma sześcioma miejscami - mówił Eckstein - ładujemy tylko dwadzieścia dziewięć naboii. - Izraelczycy bardzo się obawiali przeciążonych sprężyn. - Pierwsze dwa smugowe, żebyś wiedział, gdzie strzelasz. Potem trzy zwykłe, jeden smugowy i tak dalej.

- W porządku - powiedział Binder. Do jednego *CAR-a* było tylko po siedem magazynków. On wolałby dziesięć, ale i tak cieszył się, że nie wręczono mu kuszy.

- A jak mam wyregulować ten sprzęt? - Schneller spoglądał na *Parkera*. Karabin miał dołączony dziesięciokrotny celownik optyczny, ale nie było sposobu na prawidłową regulację.

- Był używany z trzystu metrów - zawołał Nimrodi. - Z takiej i krótszej odległości na pewno wcelujesz, przyjacielu.

Schneller uniósł brwi. Co ten *Baba* robił w Mauretanii? Polował na dzikie świniie?

Z załadowanymi magazynkami wstawali i starali się pochować je tak, aby nie klekotały. Nadal pełen strachu Koń nie brał udziału w przygotowaniach, ale nagle uznał, że strzępki brezentu i pudełka po amunicji wyglądają nieestetycznie, wyjął spod ławy kubek na wymiociny i zaczął do niego zbierać śmieci.

Didi wstał z ławki i stanął w rozkroku na podłodze.

- W porządku - zawołał. - Jeden magazynek można włożyć do bocznej kieszeni spodni, a pozostałe do plecaków.

Mężczyźni usiedli i z niechęcią rozstawali się ze swą amunicją. Lerner podszedł do O'Donovana, gestem polecił mu wstać i użył jako manekina. CAR 5 jest wyposażony w uprząż, którą Lerner właśnie rozwinał, przełożył przez prawe ramię O'Donovana i na ukos przez plecy, więc broń zwisała pionowo w kroczu z lufą w lewą stronę i z dala od miejsc, gdzie będzie się rozwijał spadochron. Potem Lerner przyklęknął, wziął plecak Amerykanina klapą do siebie, pomógł policjantowi wejść nogami w paski naramienne, podciągnął plecak, otworzył klapę, zapiął ją nad bronią i zaciągnął rzemienie, aż plecak znalazł się na wysokości bioder.

Następnie otworzył pokrowiec spadochronu O'Donovana, wyjął czerwony pojemniczek i wyciągnął uprząż. Pomógł mu się pozapinać, przełożył paski przez nosidelka plecaka na nogach, po czym zacisnął, aż detektyw jęknął. Zapinając pasek na piersiach, poczuł walące serce O'Donovana, czyli wszystko w porządku, bo tylko robot albo psychopata podchodziłby do tych czynności z obojętnością.

Chwycił Amerykanina za ramiona i przyjrzał mu się uważnie.

- Myślę, że wszystko w porządku, Mike - powiedział Didi, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. - A ty?

- Chyba też. - O'Donovan podskoczył i ukucnął, żeby sprawdzić swobodę ruchów. Nic mu nie zawadzało, ani nie klekotało. - Tylko przydałoby się wahadełko. - Kiedy żołnierz skacze ze sprzętem, zazwyczaj stosuje się specjalną torebkę przyczepioną do uprząży. Po otwarciu spadochronu, skoczek uwalnia torebkę, która zawisa na linie pięć metrów pod nim. Szczególne korzyści przynosi ta metoda w nocy, ponieważ słychać uderzenie torebki o ziemię, co stanowi zapowiedź zbliżającego się lądowania.

- Ja za tym nie przepadam - powiedział Didi i odwrócił O'Donovana, żeby obejrzeć go od tyłu. - Wahadło utrudnia manewrowanie, zwłaszcza przy samej ziemi. Rozstaw nogi. - O'Donovan wypełnił polecenie, a Didi sięgnął po plecak, chciał zobaczyć czy nie będzie przeszkadzał przy rozwijaniu spadochronu. - Nie próbuj lądować na stojąco, ale unikaj upadku, jeśli się da. Staraj się ślizgać tak jak na ślizgawce. Lepiej, żebyś stłukł sobie tyłek, niż żebyś połamał zebra albo nogi.

Ze swego miejsca Binder pociągnął Didiego za łokieć.

- Ej, szefie, dlaczego nie wystarczy wsunąć broni lufą pod uprząż? Chociaż Didi się uśmiechnął, było widać, że jego decyzja jest nieodwracalna.

- Bo was nie znam, panowie, więc nie mogę wam ufać. W nocy trudno przewidzieć reakcje. Możecie chcieć się odciąć i szukać tej cholernej rączki, zastanawiając się, czemu ten pieprzony zapasowy się nie rozwija.

Binder uniósł ręce w geście poddania.

Didi odwrócił się do siedzących przy drzwiach Nimrodiego i Lapkina. Obydwaj pokazali mu uniesione do góry kciuki. Podszedł do części ogonowej, odwrócił się i uniósł dłonie. *Dakota* przestała już stale zakręcać i zmieniać poziom lotu, przeleciała nad Jbel Sarhro i delikatnie sunęła w dół nad płaskowyżem Kem Kem. W kabinie wszyscy wstali i zaczęli przymocowywać sobie nawzajem broń tak jak Didi O'Donovanowi.

Nimrodi i Lapkin zajęli się tyłem kabiny, Didi - przodem. Z Baumem i Nabbe poszło łatwo, ponieważ *Browningi* schowali w plecakach. Binder dostał nosze, które Didi tak zaprojektował, że miały wielkość jednej czwartej tuby na arkusze grafików, dzięki czemu zmieściły się do plecaka. Pewien kłopot stanowił Schneller, ale Nimrodi i Lapkin uznali, że należy długi karabin wyborowy przymocować taśmą do uda lufą do góry. Celownik optyczny zabezpieczyli taśmą izolacyjną i poradzili Schnellerowi, aby przy lądowaniu upadł na prawą stronę.

Wreszcie cała trójka pomocników, drapiąc się po brodach, stanęła przy Sadeenie. Wszyscy żalowali teraz, że nie sprzeciwili się skakaniu z motorowerem, bo wiązało się z tym wiele niebezpieczeństw. Początkowo Didi zastanawiał się nad przymocowaniem ramy do dwóch

punktów na uprząży, a z trzeciego punktu w okolicach pępka chciał poprowadzić linki do nóg. Sadeen mógłby odciąć złącza i pozwolić, żeby motorower pałętał mu się pod nogami. Teraz jednak Australijczyk zaczął się wahać. Kiedy Sadeen skoczy, dywan owijający motorower zacznie łąpać wiatr i inżynier może koziołkować.

- Dajmy sobie z tym głównym spokój - powiedział Didi.
- Nie możemy - odparł mu do ucha Lapkin. - To pokrzyżowałoby plan i zniszczyło morale.
- Ale przecież to może go zabić - ostro powiedział Didi.
- Zgadza się - rzekł Nimrodi. - Musimy znaleźć inny sposób.

Spoglądając na nich, Sadeen stracił wiele ze swej odwagi i teraz czekał tylko na werdykt.

- Jest jeszcze to. - Uniósł plecak i pistolet.
- Panowie, przepraszam bardzo.

Didi i Amit odwrócili się ku bladej twarzy Konia. Analityk przysłuchiwał się dyskusji, a ponieważ nie rysowało się żadne wyjście, postanowił wysunąć własną propozycję.

- Sadeen ma duży spadochron, prawda?
- Taa - rzekł Didi. - Dałem mu *Cloude*. I co z tego?
- Ma skoczyć pierwszy, zgadza się?

- *Sus*, powiedz w końcu, o co chodzi. - Do grupy dołączył Baum. Koń poprawił okulary na nosie.

- Może niech skoczy tak jak Amerykanie ze śmigłowców? Przymocujemy plecak i broń, a na to motorower. Posadzimy Sadeena przy drzwiach z dłonią na lince wyzwalającej. Wytoczy się, polecą kawałek i pociągnie za wyzwalacz. Co wy na to?

Przez chwilę nikt nic nie mówił, a potem Nimrodi chwycił Konia i ucałował w policzki niczym de Gaulle wręczający Krzyż Wojenny. Didi poklepał Konia po plecach i zawołał:

- Ty mały cwaniuro! Stawiam ci skrzynkę piwa!

Koń uśmiechnął się nieśmiało i zatrzymał dla siebie mdlące uczucie pojawiające się na myśl o takiej ilości piwa.

- To dlatego tyle zarabia - powiedział z dumą Benni, poprawiając sobie sprzęt. Gdy ciężki warkot *Dakoty* zamienił się w niskie dudnienie, Nimrodi kucnął przy

oknie. Przez chwilę nie widział nic z wyjątkiem pobliskich chmur, ale za moment przebili się przez sklepienie obłoków i znaleźli się w ciemności. Minęli Atlas Wysoki, przelecieli nad Zagora i Jbel Tadrart, i nadal obniżali pułap. Za nieużytkami Kem Kem rozciągała się aż po horyzont płaszczyna Hamada du Guir, na której nie dostrzegli choćby jednego źródła światła. Pustynia układała się w nierównomierny wzór wydmy i wąwozów.

Nimrodi zbliżył się do drzwi ładowni, powiedział coś do pilotów, a potem skupił uwagę wszystkich w kabinie, postukał w zegarek, pokazał palec wskazujący i zrobił nim kółko po tarczy.

Jeszcze jedna godzina.

Górne światła wyłączono i zastąpiono czerwoną, przyciemnianą żarówką używaną podczas misji. Benni rozejrzał się po kabinie. Dla ludzi czekających na takie przedsięwzięcie, godzina stanowiła całą wieczność - zbyt dużo czasu pozostawało na myślenie.

Większość dnia spędzili na dobieraniu się w pary, na powtarzaniu czynności koniecznych do wykonania, na poznawanie nawzajem swoich nawyków. Ja w ruchu strzelam z ręki; ja wrzeszczę „magazynek”, gdy brakuje mi naboju i muszę przeładować broń. Jeśli strzelasz z pozycji leżącej, a ja będę chciał obok ciebie przejść, w ten sposób klepnę cię w głowę, żebyś wstrzymał ogień. Siedzieli teraz parami: Baum naprzeciw Ecksteina, O'Donovan przed Binderem. Schnellerowi trudno było siedzieć z karabinem przymocowanym do nogi, więc rozłożył się na ławce, a Nabbe zrobił mu więcej miejsca.

Didi i Lapkin oporządzali Sadeena siedzącego na podłodze w prawym, tylnym kącie kabiny. Miał rozłożone nogi, a pomiędzy nimi plecak i broń. Specjaliści od skoków obok jego nóg ustawili odwrócone do góry dnem kubły na wymiociny i położyli na nich owinięty

motorower. Wycięli w dywanie dziury i przywiązali ramę do upręży, a potem przykleili inżynierowi taśmą nóż do lewej rękawicy. Linka, na której miał zawisnąć motorower, mierzyła jedenaście metrów.

Podczas operacji terenowej Benni powinien znaleźć czas na wygłoszenie przemowy ze słowami pełnymi otuchy, Bogiem, ojczyzną i całą resztą. Ale w chwili wytchnienia odezwało się zmęczenie, a ciężar sprzętu został podwojony wagą wątpliwości. W przeciwieństwie do pozostałych niezbyt łatwo przychodziło mu zaufanie do spadochronu. Ale jeśli nie przeżyłby skoku, to przynajmniej nie musiałby stawiać czoła horrorowi utraty Ruth. Niemniej czuł, że przeżyje i zmobilizował nieco siły dzięki przysiędze, że jeśli już umierać, to u stóp córki i ani chwili wcześniej.

- Eytan - odezwał się.
- Tak?
- Każ wszystkim, aby jeszcze raz powtórzyli umowę z partnerem. I niech zaczną twarze.
- Dobra.
- I przypomnij, że w razie czego, każdy biegnie do najbliższej drogi i pozbywa się wszystkiego z wyjątkiem paszportu. Broń i całą resztę należy zakopać.

- Pewnie.
- I jeszcze jedno.
- Co takiego?

Benni patrzył przed siebie w bliżej nieokreślone miejsce.

- Podziękuj im w moim imieniu.

Eckstein patrzył na niego przez moment, a potem przekazał rozkazy Nabbe, które przeszły po całej kabinie przez „głuchy telefon”.

Mężczyźni wyciągnęli pudełeczka z czarną pastą do butów i nawzajem mazali sobie twarze. Izraelczycy nie wykazywali się specjalnymi zdolnościami artystycznymi, za to O'Donovan i Binder zawstydziliby kameleona. Nabbe przeszedł kabinę i przyklęknął obok Schnellera. Całą minutę poświęcił na malowanie Niemcowi czoła, a potem kazał wszystkim, aby popatrzyli na jego dzieło. Wymalował po hebrajsku słowo *friar*, czyli „frajer”.

Przed Baumem pokazał się Didi. Miał już na sobie uprząż łącznie z plecakiem i pistoletem maszynowym, ale poruszał się swobodnie jak w sportowym dresie.

- Zmiana planów - powiedział. - Lepiej, żeby Amir wyskoczył ostatni, aby mógł mieć oko na tych, którzy zabłądzą. - Odwrócił się do Ecksteina. - My we dwójkę weźmiemy Benniego. Dasz radę?

Ecksteina na pewno nie można by zakwalifikować jako nowicjusza w skokach ze zwłoką, ale miał już swoje lata i wiedział, że różnie może być. Jednak nie mógł odmówić.

- Nawet nie pytaj.
- Ty pójdziesz z jego lewej strony z prawą ręką na pasku przy nodze, a lewą na rękawie. Dobrze złapiesz, to na pewno nie odleci. Będziemy pewnie koziółkować, więc staraj się tak manewrować, żebym ja mógł nam zapewnić odpowiednią pozycję. Jak pociągnę za jego linkę, ty się odłączasz i otwierasz spadochron. Dobra jest?

Eckstein skinął głową. Miał już założone rękawice, więc teraz jedną zdjął i wytarł wewnątrz dłoni o spodnie.

- Nie będziemy marudzić przy drzwiach - dodał Didi. - Ale musisz trochę stawić powietrzu opór.

Eckstein miał sobie radzić z prowadzeniem Bauma, aż Didi będzie gotowy.

- I nie ciągnij go, Eytan. Ja go wypchnę ze środka. - Didi uśmiechnął się, uszczypnął Ecksteina w policzek i odszedł.

Nabbe klepnął Ecksteina i wręczył mu puszkę pasty do butów. Biorąc pudełeczko, Eytan zastanawiał się, jak łatwo człowiek zapomina o zdrowym rozsądku i potrafi zagłuszyć instynkt samozachowawczy.

Podniósł głowę i ujrzał twarz Benniego. Patrzyli sobie w oczy i Eytan zaczął smarować twarz przyjaciela, a po pewnej chwili Benni zamknął powieki.

Didi podszedł do siedzącego przy drzwiach Nimrodiego, wziął od niego słuchawki i usiadł. Wyciągnął z kieszeni kalkulator oraz złożoną mapę od CIA i ułożył je na kolanach. Na lewym nadgarstku miał podświetlany wysokościomierz, sprawdził pułap i zajął się zasięgiem skoków.

- Cześć, koledzy - powiedział do mikrofonu. - Tu kabina.
- Jakie mamy położenie? - zapytał Didi.
- Około dwudziestu dwóch minut do granicy.
- Wiatr?

- Na pięciu tysiącach mieliśmy czterdzieści kilometrów z południowego wschodu. Benni, Abbes nadaje, że poniżej trzech kilometrów jest trzydzieści.

Didi zaczął od obliczenia prędkości postępowej wszystkich spadochronów, czyli około 5,4 metra na sekundę, a potem uwzględnił prędkość bocznego wiatru i wysokość. Gdyby lecieli prosto z wiatrem, pozostawaliby w powietrzu dwadzieścia sześć minut i przebyli ponad ziemią dwadzieścia trzy kilometry. Didi miał nadzieję na wiatr z północy na południe, bo wtedy wylądowaliby niewiele na północ od obozowiska Klump, a po drodze mogliby się przyjrzeć okolicom, ale niestety wiatr działał na ich niekorzyść.

- Przykro mi, koledzy - powiedział do pilota - ale będziecie musieli wlecieć w głąb na dwadzieścia trzy kilometry za linię wiatru w kierunku południowo-wschodnim od celu.

- Nie ma sprawy - powiedział Południowoafrykańczyk.
- Jednego człowieka chcę wyrzucić wcześniej. - Didi spojrzał na mapę. - Jakież trzy kilometry na północ od Jbel el Akhal. A resztę po kolei.

- Wszyscy z pięciu tysięcy?
- Tak.
- Pośniecie bez tlenu - ostrzegł pilot.
- W drodze na dół się obudzimy - powiedział Didi. - Jaka jest temperatura na zewnątrz?
- A zrezygnujecie, jeśli jest za zimno?
- Nie.
- No to lepiej nie pytaj.

Didi uśmiechnął się i od nowa zaczął obliczenia.

Rick Nabbe musiał się załatwić. Z całych sił chciałby wstrzymać aż do wylądowania, ale wiedział, że to się nie uda, a nie uśmiechała mu się myśl o szybowaniu z moczem marznącym na nogach. Nimrodi zauważył, że zмага się z uprzężą i ruszył mu na pomoc, ale Belg pobiegł do toalety ze spadochronem, z desperacją odszukał penisa pomiędzy płataniną pasków, aż w końcu odetchnął z ulgą. - *Mon Dieu!*

Kiedy Nabbe wrócił na miejsce i od nowa zaczął zapinać uprzęż, *Dakota* zaczęła nabierać prędkości. Didi ze słuchawkami na uszach przyglądał się wszystkim w kabinie. Ruchem lewej ręki zrobił linię na podłodze, a prawą wykonał falujący ruch. Przekraczali granicę. Skinął na Bauma i Ecksteina, a oni, zmagając się ze strojem, podeszli do niego. Widzieli, że Lapkin podnosi się i kieruje do kabiny pilotów.

Nimrodi stał w części ogonowej i trzymał się uchwytu do mocowania ładunków. Klepnął się w głowę i pokazał palcem oczy. Wszyscy opuścili kominiarki na twarze, założyli gogle, ustawili naciąg pasków i unieśli je na czoła.

Didi wstał, puknął w zegarek i pokazał jeden palec. Wszyscy pokiwali głowami, sprawdzili rękawice, mankiety spodni i zapięcia kurtek. Poruszali się urywanymi ruchami, jak w transie. Następnie Didi pokazał latarkę przymocowaną do nadgarstka i włączył ją. Wszyscy poszli w jego ślady. Na prawej ręce obok kompasu Didi miał drugą latarkę, którą też włączył i pokazał wszystkim uniesione ręce. Ja będę miał dwie latarki". Znow pokiwali głowami jak oddział głuchoniemych.

Didi uniósł dłonie do góry, a wszyscy na ten gest powstali. Lapkin stanął na przedzie szeregu i poprowadził ich na prawą stronę kabiny, gdzie tłoczyli się jak przerażone zwierzaki. Odruchowo sprawdzali sobie nawzajem sprzęt, szukali niedopiętych zapinek, wystających fragmentów pilocika, luźnych sprzączek, o które mogą zaczepić linki nośne.

Jeszcze raz wszystkich sprawdził Lapkin, przebiegł palcami po pokrowcu i przypomniał, żeby otwierali spadochron pięć sekund po wyskoczeniu, bez względu na pozycję ciała. Każdego kogo sprawdził, klepał po głowie. Jeszcze raz opuszczali i poprawiali gogle. Ciężko oddychali, a nagle podwyższenie pułapu spowodowało szybki spadek temperatury w kabinie. Mimo to na piersiach czuli stróżki potu.

Didi zdjął słuchawki i wręczył je Nimrodiemu, który miał zostać w samolocie. Naciągnął kominiarkę na twarz, założył gogle i spojrzął na wysokościomierz. Skinął do Nimrodiego i we dwójkę przesunęli drzwi.

Pod wpływem huku dostającego się do wnętrza samolotu, Koń niemal krzyknął. Wycofał się do ławki po prawej stronie i kurczowo zacisnął palce na siedzisku, lecz choćby ryczał jak wół, nikt by go nie usłyszał. Zimny wiatr wył, uderzając o drzwi. Przewrócił się kubeł na wymiociny, a kartonowe strzępki wysypały się do kabiny i zaczęły tańczyć jak złośliwe chochliki.

Nie! Nie rób tego! - chciał krzyknąć, gdy ujrzał Didiego klękającego i wsuwającego głowę do otworu niczym jakiś zwariowany gremlin. Australijczyk został przez moment w tej pozycji - patrzył w próżnię, a ponieważ wiatr chciał go wciągnąć, jedną ręką złapał się futryny, a drugą dawał znaki Nimrodiemu.

- Bardziej w lewo! - krzyknął Nimrodi do mikrofonu.

Dakota wykonała delikatny zakręt, ale jednocześnie podwyższył się dźwięk silników. Didi znów dał sygnał.

- Zostań na tym poziomie! - krzyknął Nimrodi. Pilot wykonał polecenie.

Lampka przy wyjściu paliła się na czerwono. Didi wrócił do środka i na czworaka podszedł do Sadeena czołgającego się pod ciężarem motoroweru, a Nimrodi i Lerner podtrzymywali koła. Pojazd nie chciał przejść swobodnie, więc Didi przytrzymał Sadeena pod pewnym kątem. Nogi sapersa znalazły się na zewnątrz, a powietrze natychmiast je porwało i majtało nimi jak szmacianą lalką. Nimrodi też miał na sobie spadochron, bo istniało niebezpieczeństwo, że może zostać wyssany przez powietrze w tym właśnie momencie, bo z całych sił trzymał Sadeena za uprząż. Didi wziął prawą dłoń Sadeena, umieścił ją na urządzeniu wyzwalającym, przyłożył inżynierowi usta do ucha i coś krzyknął. Saper energicznie pokiwał głową. Zgasła czerwona lampka, błysnęła zielona i Sadeen poleciał.

Didi znów padł na kolana i wychylił się na zewnątrz. Pozostali wstrzymali oddechy w oczekiwaniu na werdykt. Lerner wycofał się do kabiny i pokazał kciuki skierowane do góry.

Mieli jeszcze trzy minuty. Całą wieczność. Didi spojrzął na zegarek i gestem ręki poprosił Ecksteina o podejście.

Eytan szerokim łukiem ominął wyjście, a po drugiej stronie kabiny Nimrodi przytrzymał go za uprząż. Nie patrzył w dół, tylko do kabiny, chociaż wiatr bombardujący mu tułów groził wyciągnięciem na zewnątrz.

Didi schylił się po Bauma, przez co wypiął się tyłkiem na Ecksteina, a stopy postawił tuż przy krawędzi jak surfer - jedną z przodu, a drugą z tyłu. Obydwie dłonie Bauma położył jedną na drugiej na górnej framudze, a sam złapał go za pasek przy nodze i sprawdził, czy Eckstein zrobił to samo. Podniósł głowę, a Eytan dwukrotnie skinął mu głową.

Z największą ostrożnością Eckstein zdjął z framugi lewą dłoń, szybko położył ją na drążku ponad drzwiami i zacisnął mocno place. Wychylił się za Benniego i spojrzął na statecznik poziomy *Dakoty*. Gdy postawił obcasy na progu, wiatr natychmiast chciał go porwać. Ale za nic w świecie nie wyskoczyłby bez Bauma - zacisnął palce z maniacką siłą. Czuł kitkę uwierającą go pod wełnianym okryciem, a kiedy spojrzął na Benniego, ujrzał czarną głowę z

wystającymi goglami jak u zwariowanego motocyklisty. Na widok rozjaśnionego światłem gwiazd kadłuba i demonicznie wirujących skrzydeł śmigła, ze strachu poczuł niekontrolowane drżenie nóg. I wtedy nastąpiło coś dziwnego - Eytana ogarnęła niewysłowiona ochota do śmiechu. Nie wydobył z siebie jednak ani dźwięku, a jedyną oznaką nagłej euforii było lekkie wygięcie czarnych ust na czarnej twarzy przypominającej śmierć. W piersiach czuł rozpięającą radość i zastanawiał się, co to może oznaczać.

Nagle usłyszał, że ktoś do niego krzyczy. Ponad Baumem ujrzał twarz Didiego i odczytał z ruchu warg:

- Gotów?

Pytanie padło po hebrajsku, ponieważ podczas skoków spadochronowych jak w miłosnym akcie padają słowa tylko w języku ojczystym. Eckstein energicznie pokiwał głową.

- *Echad!* - Didi zaczął liczyć i cała trójka pochyliła się do przodu. - *Sztayim!* - krzyknął.

Nie słyszeli jego następnego krzyku, bo pociągnął ich za sobą na zewnątrz.

Ari Schneller nie wahał się. Pomimo karabinu wyborowego, natychmiast przybrał odpowiednią pozycję. Potem Nabbe, Binder, O'Donovan i Lapkin podążyli za nim jak pływacy wskakujący latem do ciepłego jeziora. Nimrodi wychylił głowę przez luk i patrzył na spadochrony aż do momentu, gdy *Dakota* weszła w zakręt. *Baba* wycofał się, wytrzepał ręce i uśmiechnął się do Konia, który wstrząśnięty cały czas siedział na ławie.

- No chodź, przyjacielu - zawołał.

Koń popatrzył na drzwi, potem na dziwnie pustą kabinę, a w końcu wstał i ruszył w stronę wjazdu. Do środka nadal wpadał silny wiatr. Nagle Koń podniósł roztrzęsiony palec, jakby prosił o małą przerwę i poczłapał do toalety. Nimrodi buchnął śmiechem...

Niektórzy spadochroniarze uważają, że skoki uzależniają nie ze względu na flirtowanie ze śmiercią, ale z powodów wręcz odwrotnych. Spełniają mianowicie wewnętrzne pragnienie odwrócenia aktu narodzin i powrotu do łona. Noworodka zmusza się do opuszczenia świata łagodnych doznań, błogości oraz przygłuszonych dźwięków i wrzuca się go w kakofonię napastliwych odczuć, otaczających go już do końca życia. Każdy skok z samolotu stanowi zwierciadlane odbicie tego pogmatwanego świata w pomniejszeniu: najpierw zatłoczona, pełna strachu, grzmiąca niesły-

chanym hałasem kabina z rozpychającymi się ciałami, a potem skok przez wąski otwór i nagła cisza, błogość, nieskończona przestrzeń, brak potrzeby mówienia i słuchania, kilka minut szumu wiatru i szeptu łopoczącej tkaniny.

Noc wywołała u Ecksteina dezorientację, bo nie mógł określić, gdzie jest dół, a gdzie góra. I wcale go to nie obchodziło. Poczuł ulgę, ponieważ znalazł się w innym wymiarze, gdzie słyszał tylko - i to stłumione przez wełnianą osłonę na głowie - furkot ubrania i pęd wiatru. Domyślił się, że leci plecami w dół, bo u góry dostrzegł czarny kadłub *Dakoty* przelatującej mu nad głową i znikającej gdzieś między stopami. On jednak koncentrował się tylko na dłoniach - pasku i rękawie ściskanych w palcach. Reszta należała do Didiego.

Ośmiornica rąk i nóg odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, Eckstein zdawał sobie sprawę, że leci twarzą w dół, ponieważ głowa odchyłała mu się do tyłu pod naporem powietrza. Puścił rękaw Benniego i wyciągnął lewą rękę, ale prawą cały czas trzymał pasek i podziwiał Benniego przybierającego pozę Supermana, czyli dokładnie taką, jaką mu polecono. Gdy spojrział na Didiego, spostrzegł, że światło prawej latarki Australijczyka unosi się nad ramieniem Benniego. Błysnęło czerwone światło, gdy Lerner chwycił za urządzenie otwierające, a potem rozległ się dźwięk rozdzierania i Baum wyrwał się Ecksteinowi z dłoni. Eytan natychmiast rozłożył ręce i poszybował na bok, po czym sięgnął po wyzwalacz spadochronu.

Karabin snajperski przeszkadzał Schnellerowi w locie z pełną gracją. Nie mógł przyjąć odpowiedniej pozycji i ściągało go na lewą stronę, co akurat pasowało, gdy wyciągał pilocika i obserwował go, jak leci do gwiazd, które potem zasłoniła piękna czasza spadochronu

głównego.

Nabbe leciał plecami w dół. W tej pozycji ustawiło go powietrze, napierające na plecak między nogami. Spróbował się odwrócić, ale właśnie doliczył do końca i zaczął otwierać spadochron. Ujrzał pilocika między nogami i już wiedział, co to oznacza. Zaciśnął zęby i w chwili otwarcia został gwałtownie przerzucony o pół obrotu. Potrząsnął skołowaciałą głową i spojrzał do góry, spodziewając się postrzępionego nylonu. Ale czasza była cała.

Binder leciał idealnie, liczył czas, lewą rękę podniósł do głowy, żeby zachować równowagę, gdy prawą sięgał w dół, i pociągnął. Wspaniale zabrzmiała eksplozja tkaniny, on czuł się znakomicie, natychmiast przejął sterowanie i ciągnął nim aż znalazł się na odpowiednim torze.

O'Donovan kręcił się jak wiatrak. Wydawało mu się, że przyjął dobrą pozycję, ale nie widząc horyzontu, nie zdawał sobie sprawy z dość szybkiego wirowania w prawą stronę. Linki poplątały się jak w drucianym zmywaku kuchennym, nie mógł podnieść głowy, uznał, że najwyższy czas, żeby się odciąć, ale nagle ciało się zatrzymało. Spojrzał w górę. Wszystko było w porządku.

Lapkin niecierpliwie cmoknął językiem. Wisiał pod spadochronem i nie rozwijał pełnej prędkości, bo nie widział wszystkich. Bardzo trudno było ich dostrzec, ale gdy minęli chmurę, sylwetki białych grzybowych kapeluszy zaczęły stawać się widoczne. Na niebie byli wszyscy. Ktoś w prawej strony wykonywał powolny zakręt i najwyraźniej nie mógł odnaleźć towarzyszy. Ktoś inny kierował się za bardzo na zachód.

Jakieś trzysta metrów dalej i niżej Didi musiał sobie zdać sprawę z kłopotów, ponieważ krzyżując ręce nad głową robił światłami znak X. Trwało to całą minutę, ale

powoli, bardzo powoli wszyscy ustawili się w rzędzie, tworząc ze spadochronów schody.

Benni nie mógł uwierzyć, że jest aż tak zimno. Po upływie kilku minut cały się trząsał. Uprząż była straszliwie niewygodna. Nogi mu zdrętwiały. Pomimo wielu warstw odzieży, pomimo swetra i kurtki, czuł się jak w bawełnianej piżamie. Wyobrażał sobie, że ktoś tak szczupły jak Eckstein po wylądowaniu będzie zmarznięty jak sople lodu. Ale udawało mu się lecieć ślad w ślad za Didim niczym wierny pies za swoim panem.

Na wysokości tysiąca metrów przestało wiać. Całkowicie. W jednej chwili wszyscy pędzili jak pociągi ekspresowe i wydmy szybko migały im pod stopami, a w następnej zwolnili do prędkości ślizgowej opadających spadochronów.

Nic się z tym nie dało zrobić. Didi wiedział jednak, że pozostał jeszcze mały wiaterek, wybrał sobie płaski fragment ziemi pomiędzy dwiema wydmami, minął go na wysokości dwustu metrów i, delikatnie do niego zawracając, podniósł głowę, aby zobaczyć, czy reszta robi to samo.

Zdawał sobie sprawę, że są zmarznięci tym trwającym całą wieczność skokiem i do prawidłowego wylądowania będą musieli wykrzesać z siebie ostatnie zasoby energii. On też zebrał siły, pół metra nad ziemią rozstawił nogi i stanął na piasku. Spadochron próbował go pociągnąć, ale Didi, odwracając się, szybko zrzucił uprząż.

Nadlatywali z wdziękiem manekinów testowanych w wypadkach, niektórzy mijali Didiego i wpadali na wydme, inni lądowali wcześniej i znikali z pola widzenia. Baum podszedł do lądowania trochę za wcześniej i poleciał w dół jak kamień, ale szybko odezwał się w nim instynkt spadochroniarza i osiadł na piasku prawidłowo. Z lewej strony Eckstein dał pokaz, gdy stopą żłobiąc w piasku wyrwę, wzniecał obłok kurzu, a spadochron trzepotał jak skrzydła ptaka dodo. Karabin uderzył Schnellera w twarz, na co Didi aż się skrzywił. Prawie wszyscy po wylądowaniu zniknęli z pola widzenia. Wyjątek stanowił Lapkin, który zawisł Didemu nad głową, a potem wylądował ledwie kilka metrów na prawo.

Uradowani z powrotu na ziemię, kuśtykali na zmarzniętych nogach, ściągali spadochrony, zdejmowali uprząż, zwijali wszystko i przysypywali piaskiem.

Didi pomachał latarką i wszyscy z plecakami oraz bronią ruszyli w jego stronę. Pierwszy z

pewnym trudem szedł Baum; rozcierał uda, ale poruszał się dość szybko.

- Musimy się policzyć - powiedział, gdy znalazł się już bliżej.
- Jeszcze nie - odparł Didi. - Daj im jeszcze minutę.

Z cienia wyłonił się Schneller. Plecak miał już na plecach i ściągał brezentową osłonę z celownika optycznego. Benni przyjrzał mu się uważnie. Twarz Niemca pozostawała nieruchoma jak kamień. Miał już zdjęte gogle, a mostka nosa płynęły na policzki dwie stróżki krwi, przypominając dzieło jakiegoś diabolicznego mistrza tatuażu. - Wszystko w porządku - powiedział do Bauma. - Przynajmniej ciepło.

Z CAR-15 oraz magazynkiem na szyi i plecakiem w dłoni przyszedł Eckstein.

Nabbe upadł przy lądowaniu i przybył od stóp do głowy ubrudzony piaskiem, a z pośladka wyciągał sobie kolce kaktusa. Binder i O'Donovan przybiegli razem.

Temperatura na ziemi była tak łagodna jak jesienny wieczór w Vermont, ale wszyscy drżeli jeszcze po skoku. Benni przejął dowodzenie.

- Ściągajcie ocieplaną bieliznę - szepnął. Na twarzy Nabbego ujrzał wahanie. - Dalej, dalej - rozkazał. - A potem wypijcie po jednej menażce na dwóch. Żeby nie

było kłopotów. - Nie protestowali. Adrenalina i nadzwyczajne zimno spowodowały odwodnienie. Benni zgasił latarkę i wszyscy poszli w jego ślady. - Podciągnąć czapki i poluzować gogle. Kto ma radiotelefon, niech wsunie słuchawkę do ucha i zabezpieczy ją plastrem. Przygotować broń i magazynki.

Benni zajął się swoim plecakiem, co stanowiło sygnał do działania. Po sześciu długich minutach Eckstein oraz O'Donovan wstali i zaczęli pomagać innym.

- Mike i Eytan - szepnął Benni, przyczepiając radiotelefon do lewego paska plecaka. - Skoczcie na tę wysoką wydnię i ustalcie naszą pozycję.

Dwóch mężczyzn z kompasami i bronią pobiegło we wskazanym kierunku. Wspinając się od północy na wydnię, musieli iść niemal na czworaka jakieś dwadzieścia metrów w górę. Klęcząc przy samym szczycie, rozejrzeli się dokoła.

Pod nimi morze wydmy pochylało się w jednym kierunku w dół, ku bliżej nieokreślonej szarzyźnie. Dalej na północnym zachodzie ponad grzbietami niskich gór wylaniały się światła gwiazd. Między nierównościami u stóp górskiego pasma biegła czarna linia - droga z Ben Zireg do Taghit. Gdzieś pomiędzy drogą a ich pozycją, wśród pagórków Sahary, znajdowało się obozowisko Martiny.

Eckstein otworzył kompas, a O'Donovan wyjął z kieszeni małą, powlekaną gumą lornetkę.

Amerikanin dojrzał niewielkie zgrupowanie budynków i słabe światła ponad ogromną górą piasku. To Wielka Wydma. A wioska stanowiła jedyny ślad obecności ludzi.

- To musi być Taghit - wyszeptał, odsuwając lornetkę od oczu. - Jeśli jesteśmy na miejscu, to powinno być gdzieś tam. - Kiwnął ręką w zachodnią stronę.

- Wiem - powiedział Eckstein.

O'Donovan popatrzył na niego, a potem wycofali się i zbiegli po zboczach... Reszta była już prawie gotowa. Kucali wokół Benniego jak harcerze przy ognisku i, słuchając jego ostrzeżeń, poprawiali plecaki i uprzęż.

- Okay - powiedział Baum. - Załadować broń.

Gdy przybiegł Eckstein i O'Donovan, Benni podniósł głowę.

- Wylądowaliśmy trzy kilometry za wcześnie - rzekł Eytan.
- Do celu pozostało jeszcze pięć - dodał O'Donovan. Benni wstał i spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka. Była północ.

Pięć kilometrów.

Po wydmach.

Bez jednego słowa przecisnął się przez grupkę ludzi i pobiegł na północ.

Reszta ruszyła za nim.

Skorpion

Nagła cisza obudziła Ruth.

Pięć dni i nocy silnik spalinowego generatora warczał w oddali. Początkowo ciągły warkot wpływał na nią okropnie, nie mogła zasnąć, czuła się nieswojo. Potem zaczęła się przyzwyczajać i była tej maszynie wdzięczna za energię dostarczaną jednemu źródłu światła w tym więzieniu. A w końcu warkot stał się jej integralną częścią i to ciągle pulsowanie gdzieś w tle, podobnie jak dźwięk oddechu, upewniały ją, że żyje.

Po „dyskusji” z Martiną nie mogła spać. Początkowo cały czas szukała ciepła w łóżku, a koc służył jej jako osłona przed rażącym elektrycznym światłem, ale osiągała tym tylko ciągły ból, ponieważ przed oczami w ślimaczym tempie przewijało jej się całe życie.

Po uderzeniu w twarz zdopingował ją przypływ adrenaliny i przez trzy godziny z zapalem prowadziła poszukiwania, ale nie udało jej się znaleźć żadnego narzędzia, które mogłoby uchodzić za broń albo pomóc jej w ucieczce, toteż w końcu dała za wygraną. Przespała całe popołudnie, na krótko obudził ją tylko zapach otwartej puszki z zimną zupą oraz trzech chlebków pita postawionych przy drzwiach. Z obojętnością zjadła posiłek i powróciła do snu.

Teraz siedziała w absolutnej ciszy. Zgasł generator, a wraz z nim światło. W pomieszczeniu panowała niemal całkowita ciemność, a wyjątek stanowiła szara smuga odbitego od piasku światła gwiazd wpadająca przez wywietrznik i rzucająca na podłogę miękką cień kratki.

Opierając się o ścianę i trzymając koc przy piersi, Ruth powoli wstała. Przez chwilę grobowa cisza wzbudziła w niej nadzieję, że została sama, a Martiną i jej Wieprze z jakiegoś powodu się wynieśli. Ale powoli zza drzwi, z zatłoczonych pojazdów, zaczęły docierać do niej inne dźwięki. Głuche odgłosy stawianych w pośpiechu ciężkich butów. Głosy niecierpliwie nawołujących się mężczyzn. Nasłuchiwała bacznie niczym pies myśliwski i wyłowiła dźwięki metalowych sprzączek, kłapnięcia sprężyn i zacisków, uderzenie dłonią o stalową ścianę i ciężkie szcęknięcia karabinowych zamków.

Wszystko to słyszała już wcześniej. Dźwięki zwiastujące śmierć.

Zrzuciła koc, wyskoczyła z łóżka i, stawiając boscie stopy na zimnej podłodze, z wyciągniętymi rękami odszukała drzwi. Przycisnęła do nich ucho, lecz zaraz odwróciła się i podniosła głowę w stronę wywietrznika.

Znów było słyhać silnik generatora. Czekala, ale żarówka się nie włączała. Wolnym krokiem podeszła do otworu i zajrzała do wywietrznika.

Warkot różnił się od dźwięku generatora. Początkowo był to tylko powolny stukot, który potem zamienił się w wysoki zgrzyt, jakby ktoś dodał gazu. Przetrzęsając myśli, próbowała dopasować dźwięk do urządzenia. Mógłby to być silnik odrzutowca, ale miarowe dudnienie zaprzeczało tej teorii.

I wtedy Ruth sobie przypomniała, że Martiną powiedziała *Hubschrauber*. Helikopter.

Czekała chwilę, spodziewając się jeszcze szybszych obrotów, a potem stopniowego cichnięcia warkotu podczas odlotu maszyny. Ale nic się nie zmieniło. Wirnik kręcił się w stałym rytmie, jakby się nagrzewał. Jakby czekał.

Zacząła chodzić po małym półkolu słabiućkiego światła. Ludzie Martiny przygotowują broń? Uruchomili śmigłowiec. Widziała już oznaki zbliżającej się akcji, a więc pewnie mają przeszkodzić w wymianie jeńców? A może po prostu przenoszą się w inne miejsce?

Jeżeli Martiną nie chce, żeby jej matce coś się stało, musi dogadać się z ojcem Ruth. A zatem może Martiną wybiera się na spotkanie z nim i zabierze Ruth ze sobą? Czyżby ojciec już tutaj jechał?

Ruth zatrzymała się i spojrzała na skórę nóg, bladą w słabym świetle celi. Gdy dotarła do niej pewna myśl, szeroko rozcapierzyła palce, jak przestraszony kot pazury. Martiną dowodzi oddziałem skorych do poświęceń fanatyków. Fundamenta-liści nie znają strachu, a terroryści nie wiedzą, co to honor. Gdy Martiną upewni się, że jej matce nic się nie stało, pozwoli tym

ludziom zabić Ruth, ojca i każdego, kto z nim przybędzie.

Michael.

- Nie! - krzyknęła mimowolnie i szybko zakryła usta. Chwyliła palcami potargane włosy i zacisnęła powieki. Dopóki siedzi w tej dziurze, dopóty działa na korzyść Marty. Była jak zastaw. Jak przynęta. Jej uwięzienie wiązało ojcu ręce i uniemożliwiało swobodne przeprowadzenie wymiany. Jej istnienie zagrażało życiu jakiegoś biednego izraelskiemu jeńcowi wojennemu. A co gorsza, każdy moment pobytu tutaj przybliżał koniec jej ojca i jej samej.

Chciało jej się wyć jak łasicy w sidłach. Musiała podjąć jeszcze jedną próbę. Nie miała złudzeń co do możliwości przetrwania samotnie na pustyni, lecz musiała uciec, choćby na jakiś czas, a wtedy na pewno pokrzyżuje Martinie plany.

Spojrzała na drzwi. Rano całą godzinę usiłowała poluzować zawiasy, ale skończyło się tylko na przekleństwach i połamanych oraz zakrwawionych paznokciach.

Wskoczyła na łóżko, pochyliła się przy ścianie i przybrała pozycję sprinterską. Opuściła głowę i z miernym powodzeniem starała się coś zobaczyć. Drzwi były z grubego aluminium. Nie rozwałą się w drzazgi jak popękane drewno. Mogłaby je jedynie poruszyć, ale kosztem złamania ręki.

Uniosła głowę, ogarnęła włosy z czoła i znów popatrzyła na wywietrznik. Metalowa kratka była zakleszczona pomiędzy dolną częścią metalowej rury, a dachem. Ruth mogłaby ją przeciąć, ale wszelkie poszukiwania jakiegoś narzędzia czy czegokolwiek ostrego okazały się bezowocne. Ale przecież nie próbowała jeszcze wyciągnąć kratki.

Zeskoczyła z łóżka, chwyciła je za brzeg i przyciągnęła do skraju słabego światła. Wskoczyła na materac, podwinęła rękawy wełnianego swetra, przykucnęła jak zawodowy pływak i podskoczyła.

Złącza zabrzęczały, gdy Ruth złapała siatkę. Metal pokaleczył jej palce, ale zagryzła wargę i zawisła. Bose nogi wisiały w powietrzu, spoglądała w wywietrznik. Pod wpływem kołysania, krata się poruszała. Powoli Ruth poprawiła uchwyt, zbliżając ręce bliżej środka. Po prawej dłoni płynęła stróżka krwi, ale dziewczyna ją zignorowała.

Zaczęła się coraz mocniej kołysać, do przodu, do tyłu, aż się rozbujała. A wtedy odchyliła się mocno do tyłu, wstrzymała oddech, poleciała do przodu i sapnęła, podciągając nogi i stawiając stopy po obu stronach otworu.

Na moment znieruchomiała, jakby ze zdziwienia, że jej się udało. Wisiała na suficie jak nietoperz w jaskini. Żeby lepiej trzymać równowagę, szerzej rozstawiła nogi. Pociągnęła.

Nic specjalnego się nie stało. Krata nieznacznie się wygięła, rozległ się szum przesuniętego piasku, ale na tym koniec. Na chwilę, żeby głowa odpoczęła, swobodnie odchyliła ją do tyłu.

- Nogi, idiotko - szepnęła. Podciągnęła głowę do klatki piersiowej i wszystkie siły skierowała do ud.

Przytomność odzyskała na podłodze. Leżała na plecach, w płucach brakowało jej powietrza. Przy pierwszym oddechu poczuła ból w potylicy, a potem ogarnęła ją radość z powodu kratki leżącej na piersiach. Palce nadal miała zakleszczone na drucie.

Kratka była wyciętym z siatki ogrodzeniowej fragmentem, nieco większym niż otwór w wywietrzniku. Leżała bezpośrednio na dachu, na niej metalowa rura, a dokoła obłożono złącze paskami brezentu chroniącego przed nasypianiem piasku. Ruth wygięła kratkę i przeciągnęła ją przez sufit. Ale brzegi podważyły skraj wywietrznika, pozostawiając otwór wielkości głowy.

Ruth z trudem podniosła się na łokcie i spojrzała do góry. Początkowo słyszała tylko cichutki szum piasku lecącego z brzegów otworu na jej sweter, niczym rozsypany cukier. I wtedy to się stało.

Dach samochodu znajdował się dwa metry pod powierzchnią Sahary i leżało na nim pół tony piachu, toteż gdy znalazł się otwór, runęła cała lawina. Piasek tryskał przez dziurę jak

czarna piana z węża strażackiego i to prosto na Ruth, zanim się odwróciła.

Skuliła się w kącie koło drzwi, pluła piaskiem, trzęsła głową, żeby się go pozbyć z oczu i uszu. Czuła ziarenka w gardle, miała mdłości, z oczu popłynęły jej łzy, które rozmazała dłońią po twarzy.

Pomimo ciemności, dokładnie wiedziała, co się dzieje w pomieszczeniu. Światło zniknęło całkowicie, ale dokładnie słyszała szelest piasku jakby tony ziaren wylatywały z silosu w kibucu. Jakby rzeka wpadała przez okno do zatopionego samochodu.

W absolutnym bezruchu czekała dwie minuty. Miała nadzieję, że w końcu piasek sam przestanie lecieć. Rzeczywiście na ułamek sekundy strumień płynął słabiej i szare światło padło na ogromny stos sięgający niemal sufitu, jednak za moment znów zapadła ciemność.

Ruth nie było już zimno. Po żebrach płynęły jej strużki potu. W gardle czuła pulsującą krew, oddychała z trudem. Próbowwała się przekonywać, że ma jeszcze dostatecznie dużo tlenu i piach w końcu musi przestać lecieć. Tak jak w zatopionym samochodzie woda sięgnie wreszcie pewnego poziomu, pozostawiając na górze przestrzeń wypełnioną powietrzem, którym można oddychać.

Ale przecież to nie woda. A poza tym pomieszczenie nie jest uszczelnione. U góry znajduje się otwór i może tu wlecieć tyle piasku, że zostanie żywcem pogrzebana. Chyba że jakoś to powstrzyma. Albo się przekopie.

Zamknęła oczy i rzuciła się na górę piasku, odgarniała drobny żwir rękami na boki, ale wysiłki zdawał się na nic, bo z dziury cały czas się sypało, na włosy, na twarz.

Powinna pozostawić stos piachu w takiej formie, w jakiej był, ponieważ czubek mógł w końcu zatkać dziurę w suficie i powstrzymać dalszy napływ. Ją jednak ogarnęła panika, odgarniała piasek na oślep, płakała, a na twarzy łzy łączyły się z pyłem w szlam.

Wreszcie cofnęła się, żeby trochę odetchnąć, z drżącymi nogami uklękła na piasku, który pokrywał już całą podłogę. Potem znów wstała i z krzykiem zaczęła walić pięściami w drzwi, a po pewnym czasie opadła z sił i przyłożyła policzek do metalu.

- *Abba* - załkała. - *O, Abba*.

W końcu odwróciła się plecami do drzwi i starała się wciągać do płuc resztki powietrza. Umrze. Tak, to się stało jasne jak słońce. Taki los wyznaczył jej Bóg. Zginie z ręki Marty albo swojej własnej.

Wolałaby tę pierwszą ewentualność.

Znów rzuciła się na górę, która teraz była już tak wysoka, że w najpłytszym miejscu piach sięgał jej do bioder. Torowała sobie drogę rozrzucając go na boki i niszcząc stożkową formę, ale góra stale rosła na nowo. Gdy weszła wyżej, opadający strumień zaatakował jej głowę, przedostawał się przez otwór w swetrze i ranił jej ciało na piersiach, dostawał się we włosy, szorował po karku. Piasek bombardował jak piekielny wodospad, walił w rozpalone mięśnie, wypierał resztki powietrza z płuc. W końcu ramiona Ruth zamarły w bezruchu, ręce opadły i poruszały się wolniej, nie mogła wyrwać nóg z uścisku potwora.

Piasek zasypywał ją jak śnieżna zamieć padłego jelenia.

Nagle się zatrzymał. Równie szybko, jak zaczął opadać. Spadła ostatnia drobinka i na tym koniec. Nic więcej. Cisza.

Ruth spróbowała podnieść rękę. Udało jej się bez trudu, rozcapierzyła palce. Nos miała zatkany całkowicie, ale w ustach pozostał niewielki otwór, górne zęby otaczał trzeszczący pył. Płuca bolały z powodu braku tlenu. Próbowwała wesprzeć się na dłoni, ale ręka wpadła jej aż po łokieć. Ponowiła próbę, opierając się całym przedramieniem i zdołała wydostać spod piasku resztę ciała.

Leżała teraz na plecach z nosem kilka centymetrów od sufitu, otwartymi ustami wciągała chłodne powietrze dostające się przez wywietrznik. Zakrztusiła się i z ust, ponad spuchniętym językiem, wytrysnęły ziarenka piasku.

Podniosła ręce do brzegu otworu i, łapiąc krawędź, zdała sobie sprawę, że ma dłonie

oblepione krwią i kurzem. Podciągnęła się na drżących rękach, wsunęła głowę w otwór i usiadła. Z włosami oblepionymi piaskiem wyglądała jak mityczny potwór powstający z lawy. Była w wywietrzniku.

Podniosła głowę ku stożkowej osłonie. Gdyby Ruth zdołała stanąć na brzegu otworu wentylacyjnego, to najprawdopodobniej udałoby jej się wypchnąć osłonę. Przez chwilę siedziała, uspokajała serce i zbierała siły.

Nagle zdała sobie sprawę, że rura stoi na dachu bez oparcia. Popchnęła ją i całe aluminiowe urządzenie upadło z brzękiem, a Ruth ze zdumieniem patrzyła w wylot.

Zaraz wszystko zrozumiała. Była na zewnątrz. Powinna więc uciekać. I to natychmiast. Oparła się dłońmi o dach i starała się wyciągnąć nogi. Ale niepotrzebnie się wysilała, ponieważ nagle jakaś ręka chwyciła ją za włosy i jednym szarpnięciem wyciągnęła na zewnątrz.

Ruth krzyknęła i próbowała się wyrwać, ale dłoń trzymała ją w stalowym uchwycie. Miała wrażenie, że jest zupełnie ciemno, lecz po chwili stopniowo zaczęła odróżniać sylwetki.

Otaczali ją ludzie Martiny. Potężni osobnicy w bojowym rynsztunku, w czarnych kafijach na głowach i z bronią w rękach. Jedyne światło stanowiły ich uśmiechy.

Nagle pojawiła się Martina.

- Witamy - powiedziała. - Waśnie miałam po ciebie schodzić.

Sadeen złamał sobie trzy żebra.

Było to głupie, zupełnie niepotrzebne i mógł tego uniknąć. Ale niemal zaraz po prawidłowym rozwinięciu wielkiego XL *Cloud*, Sadeen poddał się przesądowi, które rzadko goszczą w umyśle inżyniera. Granatowy spadochron furkotał nad głową, odgłosy silników *Dakoty* szybko rozplynęły się w nieogarnionej przestrzeni czarnej jak atrament i pozostał sam. Było ciemno, zimno i Sadeen czuł się jak astronauta wyrzucony ze statku kosmicznego. Naciągnął na usta wełniany fragment kominiarki.

Didi pozbawił jeden ze spadochronów wysokościomierza i przymocował go na pasku biegnącym przez klatkę piersiową Sadeena, a potem przykleił do niego kompas ze szkłem powiększającym. Saper spojrział na tarczę i lekko skrzywił w prawo, obierając kurs 343 stopni na północny zachód.

O dziwo nadal miał motorower przylegający do nóg. Pod wpływem swego ciężaru motorower wpełznął Sadeenowi plecak między nogi, które rozeszły się jak widelec. *CAR-15* uciskał mu kość miednicy. Nadszedł w końcu czas, żeby odciąć wiązanie trzymające motorower przy uprząży i pozwolić mu, żeby swobodnie zwisał na długiej linie. Jednak Sadee ubzdurał sobie, że jeżeli tak postąpi, straci swoją maszynę. A jeśli pozostawi ją tak jak jest, to może nie zapanować nad lądowaniem i rozbić motorower o skałę. Wszystko na nic. Po co niszczyć taką wspaniałą rzecz?

Pod nim znajdowała się szara powierzchnia chmur i nie widział jeszcze ukształtowania powierzchni, ale już się bał. Didi kazał mu po prostu trzymać się kursu. W chwili mijania obozowiska Klump powinien zobaczyć Taghit i drogę prowadzącą do Ben Zireg. Ponieważ wcześniej wyskoczył, powinien wylądować na równinie po wschodniej stronie drogi, wsiąść na motorower i pojechać na południe.

Lapkin dał mu swój wysokościomierz. Na trzech tysiącach metrów bolały go płuca i czuł się jak kawał zamarzniętych rybich tusz. Niżej zaczęły pojawiać się zmarszczki wydmy, a wraz z utratą wysokości, gdy wydmy migały mu między butami, widoczna stała się prędkość. Później w stopniu odczuwalnym wzrosła temperatura, jakby wpłynął na ciepłe wody. Sadeen poruszał się, żeby ożywić zamarzniętą krew.

Na tysiącu metrów zyskał już pewność, że minął obozowisko Klump. Czarna linia drogi stała się już bardzo wyraźna i Sadeen skrzywił na północ, żeby jej nie przeciąć.

Z bliska wydmy nie wyglądały już na miękkie i łagodne. Wszystkie ukształtował rządzący Saharą wiatr, ale rosły na nich gęste kępki roślinności, przypominające brwi starego

Rosjanina, a w pozornie pustych rowach również czaiły się wysepki roślinności. Gdy Sadeen zbliżał się do ziemi, pożałował, że nie odciął motoroweru. A rozpamiętując niepodjętą decyzję, zapomniał się odwrócić przed lądowaniem tyłem do wiatru.

Lądowanie rozpoczął na zwykłej wysokości, co również było błędem, ponieważ dodatkowy ciężar obciążał spadochron i ciągnął Sadeena z ogromną prędkością. Motorower zarył w górę piasku, a Sadeen spadł na maszynę i uderzył czołem w ziemię. Słyszał nawet pęknięcie kości, gdy ból rozchodził się po całej lewej stronie aż do głowy.

Nie mógł się ruszyć, bo był przywiązany do motoroweru, nogi wisiały w powietrzu, a piersi przylegały do piasku. Czuł, że spadochron szarpie za uprząż, a ból zaczyna wywoływać mdłości.

Bał się podnieść lewą rękę, żeby nie przebić płuca, toteż wolnym ruchem ułożył ją wzdłuż ciała, a prawą ręką z nożem sięgnął za kark. Odcinał każdą linkę, jaka nawinęła mu się pod ostrze.

Dopiero po pięciu minutach udało mu się wstać. Było chłodno, każdy oddech sprawiał mu ból w lewej części ciała. Spadochron zatrzymał się na kępie czarnej szatwi i wyglądał jak meduza na plaży; wiedział, że powinien go zakopać. Zdjął kaptur i gogle, które zostawiły wokół oczu głębokie ślady, a potem wyswobodził się z plecaka.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia sześć minut po północy. Poczł gniew i skupił się na nim, bo był to jedyny lek, którym mógł zwalczyć ból. Uwolnił broń, skrócił pasek i powiesił pistolet na szyi, załadował magazynek. Potem, składając motorower, z całych sił starał się nie krzyczeć.

Wyprostował kierownicę, przeklinając ją, że zrobiła mu tyle krzywdy, ale na razie nie montował świateł, powiesił plecak na dźwigni hamulca i zaczął pchać maszynę.

Znajdował się w lekkim zagłębieniu, którego krańce unosiły się jednak na tyle wysoko, że za nimi nic nie było widać. W pewnym momencie stanął, oparł motorower

o udo, sięgnął do kieszeni, znalazł kompas, a gdy zobaczył, że kieruje się prawie dokładnie na zachód, poszedł dalej. Opony grzęzły w piasku; aby posuwać się do przodu, musiał unosić kierownicę, a to z kolei powodowało przyśpieszenie oddechu

i dotykanie miękkiej tkanki opłucnej do ostrej krawędzi złamanego żebra.

Gdy wychodził z zagłębienia, prawie omdlewał, ale panorama jaką zobaczył z pagórka częściowo przywróciła mu siły. Pasma górskie znajdowało się całkiem niedaleko, a jego oświetlone gwiazdami grzbiety ciągnęły się z południa na północ, dzięki czemu on pozostawał w całkowitej ciemności. Pusta droga biegła po ubitym piasku niecałe sto metrów od jego pozycji.

Z cichym jękiem popchnął przed siebie motorower i ku jego radości okazało się, że pojazd toczy się teraz swobodnie, a opony nie wpadają w podłoże niedawno zmoczone krótkim zimowym deszczem. W połowie zbrocza rozpędził się na tyle, że postanowił wskoczyć na siodelko. Zagryzając wargi, starał się nie zginać kręgosłupa, a potem włączył zapłon i puścił sprzęgło.

I nic się nie stało. Silnik nawet się nie zakrztusił.

Zapierając się piętami, Sadeenowi udało mu się zatrzymać. Sięgnął po do pompki paliwowej i wypuścił tyle powietrza, ile się dało. Jeszcze raz popchnął motorower, nabrał prędkości, którą udało mu się utrzymać po wjechaniu na asfalt, puścił sprzęgło i dodał gazu.

Nic.

To był koniec. Nie było innego sposobu na uruchomienie silnika.

Przeklinając po hiszpańsku zatrzymał się na środku drogi i spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia minut cała misja zależeć będzie od pojawienia się dwóch reflektorów, których on nie może dowieźć. Schneller miał rację. To był zwariowany pomysł. Jego egoizm i głupota zgubią wszystkich.

I nagle coś zauważył. Na drodze pojawił się jego własny cień, kształt pistoletu, kręczone

włosy. Z każdą chwilą cień stawał się bardziej wyraźny, poruszał się przed nim.

Zeskoczył z motoroweru, rzucił go na drogę, kopnął koło, żeby się kręciło, a sam uklęknął na środku drogi, odłożył pistolet i zasłonił go ciałem. Przewrócił się i w dramatycznym, pełnym autentycznego bólu geście rozpostarł szeroko ręce. Słyszał zbliżający się pojazd, widział jego światła, pod kolanami czuł drgania powierzchni drogi. Samochód stanął i trzasnęły drzwi. W kierunku Sadeena zbliżały się kroki stawiane przez nogi w butach na miękkiej podeszwie. Nie ruszył się aż do chwili, gdy poczuł rękę na swym ramieniu. Wtedy uniósł się jak trup w horrorze, złapał przerażonego algierskiego kierowcę za rękaw i przyłożył mu do gardła lufę *CAR-a*.

Wiedział, że *lingua franca* stanowi tutaj francuski, ale nie mówił w tym języku. Mógł się tylko uśmiechnąć.

- *Buenos noches, amigo*- powiedział.

Dla żołnierza piechoty śnieg stanowi taki sam koszmar jak piach - utrudnienie uniemożliwiające posuwanie się do przodu w rozsądnym tempie. Można się spieszyć, można nawet na przemian maszerować i biec, lecz po niedługim czasie stopy stąpają po ogniu, a mięśnie zamieniają się w roztrzęsoną galaretę. Śnieg i tak posiada pewną przewagę, ponieważ wysiłek podnosi temperaturę ciała, więc dopóki człowiek pozostaje w ruchu, nie musi się obawiać zamarznięcia. A na pustyni można tylko mieć nadzieję na omdlenie lub śmierć w walce.

Benni i jego ludzie już nie biegli. Wlekli się noga za nogą. Spokojne szybowanie w powietrzu jeszcze sprzed godziny wydawało im się przyjemnym wspomnieniem, a niechęć do ściągania ocieplanej bielizny - dowcipem. Na ich spodniach pojawiły się czarne plamy potu, gołe ręce ślizgały się po rękojeściach broni, wysmarowane twarze świeciły się jak tłuste plamy oleju w morskich portach trzeciego świata, oddechy tętniły jak wyziewy z silników odrzutowych. Każdy z nich wiele razy przechodził już przez coś takiego. Ale nie przeszkadzało im to marzyć teraz o rozebraniu się, zdjęciu butów i założeniu broni na gołe ciało, jak to czynią amazońscy wojownicy.

Na pustynnym niebie świeciły gwiazdy i wyraźnie było widać szaro-brązowe wydmy i przejścia między nimi, lecz monotonia krajobrazu przyprawiała o szaleństwo. Nie groziło im jednak zboczenie z kursu, gdyż mieli kompasy. Co więcej, doleciało ich wycie wirnika helikopterowego, stanowiące coś w rodzaju syreny oznaczającej cel, do którego należy się dostać. Choć wcale nie przyjęli go z przyjemnością.

Poza tym Benni wiedział, że nadal mają mało czasu. Eckstein liczył. Każdy żołnierz zna długość swego kroku, a sześćdziesiąt pełnych kroków Eytana stanowiło sto metrów. Ale tutaj na Saharze poruszali się z prędkością małych dzieci i zdawało się, że pomiędzy kolejnymi podniesieniami ręki oznaczającymi przebiegnięcie pełnego kilometra mijają wieki.

Podzielili się na pary i utrzymywali kontakt przez radiotelefon. Tak było zaplanowane, lecz trzeba było porzucić pierwotną koncepcję, żeby zająć obozowisko Klump od zachodu, południa i od wschodu. Podchodzili od południowego wschodu i na rozejście się brakowało czasu.

Schnellerowi i Nabbemu Benni rozkazał klasycznego w izraelskiej piechocie „banana”. Mieli odbić w prawo, wspiąć się na wschodni pagórek otaczający obozowisko Martiny i udawać drużynę obsługującą karabin maszynowy. Karabin snajperski i *Browning High-Power* miały wystarczyć za podstawowe wyposażenie drużyny. Didi i Amir w cieniu zakamuflowanego odrzutowca mieli się przyjrzeć południowo-wschodniemu fragmentowi obozowiska, a O'Donovan i Binder wspięli się na oddalony o pięćdziesiąt metrów pagórek w południowo-zachodniej części. Baum i Eckstein mieli iść prosto na zakopane pojazdy.

Jeśli teren wokół obozowiska został zaminowany, wyjdzie to na jaw po pierwszej eksplozji. Jeżeli Klump ma tyle ludzi, że mogła sobie pozwolić na urządzenie zasadzek, okaże się po pierwszym strzale. Musieli zaryzykować.

Benni upadł na wydnię. Z lewej strony pojawił się Eckstein, pod podwiniętą kominiarką pot płynął mu na kitkę i kapał na plecak.

Wpatrywali się przed siebie, przez ćwierć kilometra wydmi, za którymi leżał wał wyglądający jak stworzony za pomocą gigantycznego pługa. Pomiędzy nim a następnymi wydmami widać było czarny owal przypominający ogromną plamę czarnego oleju. Na horyzoncie majaczyły odległe grzbiety górskie i szczyt Jbel Es-Seba.

Dysząc jak zmęczony pies, Eckstein klepnął Benniego i wskazał ręką na prawo. Przy południowo-wschodnim fragmencie niecki, gdzie wydma przybrała kształt baraniego udźca, pomimo siatki kamuflującej dojrzeli błysk stali. Spojrzeli po sobie. Serca zabiły im jeszcze mocniej.

Baum sięgał właśnie do przycisku swego radiotelefonu, gdy nagle razem z Ecksteinem odwrócili głowy na lewo. Południowa część wąwozu tonęła w ciemności, lecz przy wąskim wylocie nagle pojawiły się światła nadjeżdżającego pojazdu.

- Sadeen - szepnął Eytan, a dla Benniego zabrzmiało to jak talmudyczne błogosławieństwo. A potem spojrział na pozostałą część pustyni i błogosławieństwo zamieniło się w kabalistyczne przekleństwo. Złapał za przycisk mikrofonu.

- *Kahn Nylon* - zaczął po hebrajsku, ale zaraz przypomniał sobie o O'Donovanie. - Mówi Nylon. Tu pięć. Dalej!

- Tu dwa - w przepoconej słuchawce Benniego zaskrzeczał głos O'Donovana. - Lecimy.

- Trzy - szepnął Didi.

- Cztery - powiedział Nabbe. - Nie próbujcie ruszać bez nas!

Eckstein skoczył na równe nogi, i chciał chwycić antenę Bauma, ale nie miał okazji pomóc swemu bystremu mentorowi, który znikł mu sprzed nosa jak duch.

Białe Renault zdobyte przez Sadeena było półfurgonetką z dwuosobową kabiną, a na skrzyni po bokach widniał znak algierskiej poczty. Żałował, że kierowca nie był kobietą, a szczególnie staruszką, bo wtedy mógłby ją posadzić koło siebie i zdobyć dla Benniego dodatkowo przynajmniej jedną ceną minutę. Ale cieszył się i z tego, co zapewniła Opatrzność, i miał nadzieję, że skręci w odpowiednim miejscu. Nie mar-

twił się, że przestraszony listonosz wezwie policję. Z pewnością nikogo nie zatrzyma na pustyni aż do świtu.

Szeroki płaski wąwóz lekko zakręcał w prawą stronę, wokół drogi wznosiły się zbocza podobne do tych z makiety Konia. Prowadził prawą ręką i wykonywał niezwykle machinacje na desce rozdzielczej, ponieważ lewej ręki już nie mógł podnieść. W ustał czuł metaliczny posmak krwi, starał się możliwie jak najmniej kaszleć. Białą chustą kierowcy zasłonił sobie całą twarz z wyjątkiem oczu i przypominał afgańskich mudżahedinów. Na kolanach trzymał pistolet wycelowany lufą w lewe drzwi.

Założył, że ludzie Klump mogą się zaić na niego przy wjeździe i zdziwił się, że nikt się nie pojawił. Ale przecież Klump czekała na Bauma i swą matkę, a wiedziała, iż pułkownik niczego jej nie da, dopóki nie zobaczy córki.

Każda nierówność nawierzchni powodowała ból w lewej części klatki piersiowej. Nie sądził, aby to zranienie mogło okazać się śmiertelne, ale sam Bóg tylko wiedział, czy wkrótce nie odniesie poważniejszych ran. Nie przejmował się. Przybył na czas i do wykonania zadania pozostało mu jeszcze kilka metrów.

Nagle przesmyk uległ rozszerzeniu - zbocze po prawej stronie ciągnęło się dalej, a po lewej odsunęło się w bok. Zdjął nogę z pedału gazu i wcisnął hamulec, a potem wrzucił wsteczny bieg, ale nie puszczał sprzęgła. W oddali światła reflektorów padły na okryty siatką odrzutowiec. Z lewej strony jakieś sylwetki odskoczyły od światła jak nieśmiałe wampiry.

Sadeen nie ruszał się, jeśli nie liczyć delikatnego przesunięcia prawej ręki na bezpiecznik *CAR-a* i ustawienie broni na ogień ciągły. Wtem przyszło mu do głowy, że Baum i cała reszta mogą teraz błąkać się gdzieś na Saharze; a na myśl, że całą tę bandę będzie musiał załatwić

sam, zachciało mu się śmiać.

Ale na widok dziewczyny opuściła go wesołość.

Stała na skraju snopu światła jego reflektorów. Miała na sobie wyciągnięty sweter, gołe nogi i wyglądała tak, jakby ją przed chwilą ciągnięto na linie po piasku. Zwiesiła głowę na piersi, włosy miała obklejone piaskiem, ale widział w jej oczach błysk. Zaczął ciężiej oddychać. Ogarnęła go furia, nie czuł już zeber.

Benni, gdzie jesteś?

Z ciemności doleciał czyjś głos. Należał do kobiety, ale nie do córki Benniego. Poza tym Sadeen nie rozumiał tego języka.

- *Wo bist du, Baum?* - zapytał głos.

Dalej, Benni, Sadeen wstrzymał oddech. No, dalej!

Tuż obok córki Benniego pojawiła się jeszcze jedna kobieca postać z krótkimi, jasnymi włosami. Objęła dziewczynę ręką i przycisnęła do siebie.

Benni, na litość Boską!

Martina mrużyła oczy pod wpływem światła, ale nie czuła się zagrożona. Chroniła ją tarcza ludzka, nienaruszalna jak z tytanu. Po lewej stronie stał Mussa, po prawej Youssef, a reszta kryła się w ciemności, rozstawiona we wszystkich kierunkach świata.

Spodziewała się naglej erupcji gniewu, ponieważ furgonetka stała jak opuszczony statek, nie dawała znaku życia, a jedynie silnik miarowo terkotał. Co za bezczelność! Czy Benni sobie myśli, że ona będzie tu stać jak wywołana do odpowiedzi uczennica?

- Pokaż ją! - zawołała głośniejszym głosem po angielsku.

Nic.

- No dobra! - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. Przysunęła się do Ruth, przesunęła dłoń po czuprynie potarganych włosów i ścisnęła ciepłą szyję; czuła puls dziewczyny.

- I co teraz powiesz o ojcowskiej miłości? - warknęła, a potem z wściekłością rzuciła Ruth na ziemię.

Dziewczyna zaczęła łkać, gdy Martina odbezpieczyła P-38 i przyłożyła jej lufę do głowy.

Pierwszym strzałem Schneller nie trafił Martiny. Zważywszy jednak na fakt, że dopiero rzucił się na wydnię, położył na brzuchu i celował niecałe dwie sekundy, trafienie kulą w szczękę Youssefa stanowiło rzecz godną podziwu. Potężny mężczyzna wzdrygnął się i padł na ziemię, zanim w wąwozie rozległo się echo pocisku kalibru 7,62 mm. A potem wszystko potoczyło się już jak lawina ognia i grzmotów.

Walka w bezpośrednim dystansie nie przypomina kinowych scenek, kiedy reżyser starannie aranżuje poszczególne sekwencje, aby widz nie tracił wątku. W rzeczywistości nocna strzelanina przypomina raczej wypadek samochodowy na autostradzie, gdzie wpada na siebie dziesięć pojazdów, a kierowcy widzą i słyszą tylko skrawki koszmaru, w jakim biorą udział, zaś w pamięci pozostają jedynie fragmenty powyrywane z kontekstu jak ze starej kroniki filmowej. Niektóre uczestnik zapamiętuje na zawsze. W większości przypadków jest to jednak bardzo prywatne, klaustrofobiczne przeżycie, w którym człowiek szybko traci słuch pod wpływem huku strzałów, nozdrza i płuca zapełniają się trującymi gazami, trudno rozpoznać swój krzyk i jest się szczelnie zamkniętym w swej własnej, maleńkiej skrzynce z nienawiścią.

Benni ruszył do ataku. Jeszcze bardziej przyspieszył w kierunku łuny światła widocznych zza wału, a gdy już wspiął się na grzbiet, jego oczom ukazał się okrutny widok córki idącej na kolanach. Nie zwolnił ani na moment. Instynktownie krzyknął: - *Kadima!* - chciał zarówno poderwać swoich ludzi, jak i wystawić się na cel. Gdy stawił nogę na płaskiej powierzchni niecki, znów wyrwał mu się krzyk, ponieważ usłyszał strzał Schnellera i myślał, że to Martina. Wtedy Ruth ruszyła w jego stronę, a on, pędząc jak rozjuszony bizon, rozłożył ręce i nie widział niczego poza córką.

Eckstein biegł tuż obok niego, a O'Donovan i Binder byli jakieś dwadzieścia metrów na

prawo. Michael miał nie mniejszą motywację niż Benni i do tego dysponował dłuższymi nogami.

Martina mogła sobie wybrać cel, chociaż na podjęcie decyzji miała tylko ułamek sekundy. Pociski lecące z lewej strony trafiły w ziemię obok jej stóp, z przodu nie padały strzały, bo mogłyby dosięgnąć dziewczynę posuwającą się po piasku. Ale za sekundę kule już będą mogły się posypać. Zdała sobie sprawę ze zmiany reguł gry i z tego, że została wystawiona do wiatru. W porządku. Jeden zero dla ciebie, mój ty były ukochany.

Jedna z sylwetek znalazła się w zasięgu światła wcześniej od pozostałych. Martina rozpoznała blond włosy policjanta z Nowego Jorku, któremu wełniana czapka spadła z głowy. Ależ to romantyczne. Cóż za gorliwy i żaloszny kochanek. Zabić dziewczynę? Czy może lepiej urządzić jej nigdy nie kończący się koszmar?

Szybko przykucnęła i spomiędzy kolan wycelowała *P-38*. To nie zabawa w chowanego na dachu kamienicy, Jankesie. I jedno ostrzeżenie już dostałeś.

Strzeliła O'Donovanowi dwa razy w klatkę piersiową. Pod wpływem rozpędu upadł prosto na twarz, nogi poszybowały mu do góry, ramiona wryły się w piasek.

Gdy prosto przed Bennim pojawiły się białe błyski z *Kalasznikowa*, jednym susem rzucił się przed siebie. Wylądował na Ruth - przycisnął ją do ziemi, na co boleśnie jęknęła. Zagarnął jej bosa stopy i uderzając pistoletem w kostkę, złączył jej nogi i schował sobie pod rękami. Swoje uda zacisnął jej nad głową i starał się ukryć ją jak żółwica chroniąca młode z miękkim jeszcze pancerzem.

Martina skoczyła za Musse, który stał sztywno jak figura na dziobie statku. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, zastanawiał się, kto przejmie jego rolę obrońcy Martiny, skoro nie ma więcej braci Hawametha, później podniósł *MP-5* na wysokość ramion. Z dwóch różnych stron Binder i Eckstein strzelali do niego, aż się pochylił, a potem obydwaj rzucili się na ziemię i dalej strzelali do Martiny, która upadła razem z ciałem Mussy i położyła się pod nim po śmierci, choć odmawiała mu tego za życia.

Po pierwszym strzale Schnellera Sadeen wcisnął gaz, przekręcił kierownicę w prawo, cofnął się i zahamował. Światła padły prosto na ludzi Martiny. Kątem oka zobaczył pędzącego Bauma, a tuż za nim Ecksteina, ale musiał poświęcić uwagę grupie Wieprzy stojących bliżej, którzy wyraźnie obrazili się z powodu jego uchybienia wieczorowej etykiety i zaczęli strzelać ze wszystkiego, co mieli. Właśnie rzucił się na prawo i zsunął na podłogę, gdy nad głową rozpadły się okna i furgonetka zatrzęsła się jak policyjny radiowóz rozkołysany przez tłum demonstrantów.

Chociaż Didi i Amir znaleźli się w obozowisku wcześniej niż inni, mieli najdalej do miejsca akcji. Przykucnęli w cieniu pod skrzydłami *Falcona*. Jednak gdy pojawiła się furgonetka Sadeena, natychmiast upadli na brzuchy.

Didi skinął głową, spojrzął na kadłub odrzutowca, ostrzegawczo uniósł palec, a potem wskazał wschodnią część obozowiska. Lapkin zrozumiał - nie należy strzelać, póki są przy samolocie. To ostatni w zasięgu wzroku środek transportu i lepiej nie traktować go jako tarczy.

Na pierwszy strzał Schnellera poderwali się z ukrycia, a gdy biegli ze swego zakątka wąwozu, ogień rozpętał się na dobre. Starali się minąć Bindera leżącego między nimi a cieniami majaczącymi na północnej wydmie. Światła furgonetki eksplodowały, a Didi i Amir musieli zrobić unik, bo z zapadającej nagle ciemności padł strzał...

Salim i Yaccub skryli się za dwa wywietrzniki zakopanych samochodów. Eckstein praktycznie ogłuchł, ale namierzył ich tam i strzelał z *CAR-a* to do jednego, to od drugiego. Co czwarty ładunek zostawiał za sobą smugę czerwonego światła. Niektóre kule obijały się o skały i iskrzyły. Nagle zza rozwalonej furgonetki odezwał się pistolet Sadeena, jakby z podziwem naśladował swego starszego brata. Wycofując się, dwaj ludzie Martiny strzelali z *Kalaszników*, aż w końcu Schneller zdjął każdego z nich jednym strzałem *Parker-Hale'a*.

Karabin wyborowy nie miał noktowizora, ale Wieprzy oświetliły dostatecznie dobrze płomienie wylotowe z ich własnych karabinów.

Nabił, specjalista Martiny od materiałów wybuchowych, znalazł sobie miejsce za przewróconym wywietrznikiem pojazdu Ruth obok roztrzęsionego radiooperatora o imieniu Idri. Obydwaj mieli pistolety *Makarowa*, ale żaden nie oddał strzału, bo woleli siedzieć i trząść się ze strachu. Byli jednak na dachu pojazdu, na którym

znajdowało się już niewiele piasku dającego osłonę, a aluminiowa rura wentylacyjna po każdym strzale dawała coraz mniejszą ochronę. Gdy czerwony strumień pocisków w końcu przebił rurę i trafił w piasek przed twarzą Nabila, ten zerwał się na równe nogi i uciekł.

Wydmy po północnej stronie miały dziesięć metrów wysokości, a gdy Nabił znalazł się już w połowie zbocza, z jakiegoś powodu zatrzymał się i odwrócił. Pałaca się furgonetka przypomniała mu o *Humvee* piechoty morskiej, który zniszczyła jego bomba walizkowa. W blasku płonącej benzyny dostrzegł mężczyznę - nie wiedział, że to Eckstein - leżącego na brzuchu, ładującego nowy magazynek do pistoletu i coś wykrzykującego. Strzał nie przedstawiał trudności i miał być ostatnią przysługą wyświadczoną Martinie przed ucieczką. Podniósł *Makarowa*.

Nabbe strzelał z *Browninga* na pozycji nieopodal Schnellera. Przeładowując pistolet na klęczkach, w oddali zauważył postać na zboczu wydmy. Zanim jeszcze wnętrzem dłoni wbił magazynek, wycelował broń, po czym oddał trzy celne strzały z niezwyklej jak na noc odległości. Cień osunął się ze zbocza.

W północno-wschodnim zakątku niecki pomiędzy dwiema wydmami znajdował się rów przypominający ciemny tunel o wysokich ścianach. Gdy zgasły reflektory Renaulta, Martina wytoczyła się spod trupa Mussy, wstała i pobiegła do rowu, strzelając po drodze do dwóch cieni zbliżających się od strony ukrytego odrzutowca.

Zniknęła w przesmyku, ale Muhammed i Riyad byli wolniejsi. Biegli pięć metrów za nią, stawiając długie kroki. Didi przykleknął na jednym kolanie, Amir wykonał mały kroczek w lewo i równe dwie sekundy przed oddaniem pojedynczych strzałów celowali z *Uzi* i *Browninga* w nadbiegających. Muhammed i Riyad upadli na piasek w drgawkach.

Po czterdziestu sześciu sekundach ogień ustał, a echo ostatnich strzałów milkło w oddali jak ciężki, urywany oddech. Złożony w ofierze Renault oświetlał nieckę migoczącymi ognikami, swąd topionej gumy i spalonego paliwa mieszał się z obłokiem pistoletowego dymu.

Binder ostrożnie się podniósł. Wyjął magazynek i zajrzał do środka: zostały tylko dwa naboje smugowe. Chrząknął, schował magazynek do kieszeni, załadował inny i wcisnął zatrask. Spojrzał w prawo, gdzie Didł i Amir, pochylając się przy wejściu do tunelu, szukali oznak życia w leżących tam ciałach. Odwrócił głowę w lewą stronę na O'Donovana, nadal leżącego na piersi z wykręconą ręką. Wiatr mierzwił mu włosy. Broń leżała w piasku obok niego, magazynek wystawał do góry. Na tylnej części plecaka widniała postrzępiona dziura.

Przed Binderem przebiegł Eckstein, kiwając do Nabbe i Schnellera, żeby pobiegli między wydmy i złapali kobietę. Roztrzęsiony, drobny człowieczek, radiooperator Martiny, wstał z za aluminiowego wywietrznika. Nie miał na głowie kafiji. Podniósł ręce i założył je na karku.

Podchodząc do niego, Binder wyjmował z pochwy *kochmer*. Idri jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego Berbera i teraz, mamrocząc błagania o litość, stracił kontrolę nad pęcherzem i padł na kolana. Binder zatrzymał się tuż obok i opuścił głowę. Schował nóż do pochwy, obszedł klęczącego, znów się zatrzymał i strzelił mu w prawą łydkę.

- Teraz nie uciekniesz, skurwysynu - powiedział i odszedł, nie chcąc słuchać krzyku.

Benni stoczył się z Ruth. Gdy próbowała wstać, przytrzymał ją rozglądający się dokoła Benni.

- Jeszcze nie, Ruti - szepnął.

Podszedł Sadeen, oświetlony płomieniami z furgonetki.

- Trochę ci urósł ten motorower - powiedział Benni.
- To z wrażenia. - Sadeen słabo się uśmiechnął.
- Pilnuj jej - rzucił Baum i odbiegł.

Didi i Amir stali przy prawym wejściu do tunelu, Eckstein z lewej strony. Pochylony obok Eytana Binder otwierał plecak.

- Amir - zawołał cicho Benni. - Idź i zobacz, co z Michael'em - powiedział spokojnym tonem. Bał się, że zabiegi Amira pozostaną bez nagrody. Lapkin odbiegł.

- Wszedł tam ktoś oprócz niej? - zapytał Eckstein Didiego. Wydawało mu się, że szepcze, chociaż prawie krzyczał.

- Ja nikogo nie widziałem.

- Ale kto wie, czy tam się ktoś nie czai. - Mówiąc to, Binder wyprostował się z dwoma skonstruowanymi przez Sadeena granatami oszołomiającymi. Popatrzył na nie ze zmarszczonymi brwiami, odkręcił prymitywną spłonkę i westchnął: - Jaja bym oddał za zwykły M-26. - Jak piłką do amerykańskiego futbolu rzucił po kolei granatami w górę ponad niesklepiony tunel.

Rozległy się dwa głuche huki i jak lampy błyskowe zalały żółtym światłem piaskowe ściany. Didi i Eytan, strzelając, rzucili się do tunelu.

W środku nie było nikogo. Martina uciekała w stronę śmigłowca i półciężarówki stojącej w połowie drogi pomiędzy obozowiskiem a innym szerokim otworem, który jeszcze godzinę temu był zasłonięty siatką maskującą.

Schneller zbiegł po bardzo stromym zboczu wydmy i stracił z oczu Nabbego, który potknął się i przewrócił. Wysoki Niemiec dotarł do równego piasku, obiegł naturalne obwałowanie i prawie wpadł na Martine.

Zatrzymał się, szybkim ruchem podniósł karabin do strzału, ale zawahał się. Klump biegła w ciemności i zatrzymała się z pewnym trudem, po czym odwróciła się do Schnellera. Najpierw rzuciła mu spojrzenie pełne współczucia wobec wewnętrznych rozterek, a potem strzeliła z P-38. Kula kalibru 9 mm przebiła drewnianą kolbę karabinu snajperskiego i ugodziła Niemca w prawy bok. Upadł na plecy, jakby chciał zrobić orła na śniegu.

Martina ruszyła biegiem przed siebie, mijając półciężarówkę. Na tylnych fotelach przy tabliczce z napisem JEDŹ ZA MNĄ kucali blondyn Jaweed i Ali. Gdy minęła ich Martina, a z tunelu wyszły ostrożnie dwie postacie, otworzyli ogień z *Kalasznikowów*.

Eckstein i Didi rzucili się na ziemię i przyłgnęli do ścian przesmyku. Niektóre pociski, znikając w ciemności, zostawiały za sobą zielone smugi. Binder chciał się czołgać do przodu, ale Eytan ostro go przytrzymał. Ruth już nic nie groziło. Już nie trzeba umierać. Wyciągnął *CAR-a* przed siebie i strzelił na oślep.

- A gdzie, kurwa, wsparcie lotnicze? - wrzasnął Binder, przekrzykując wystrzały Ecksteina. Izraelcykowi wydawało się, że słyszy śmiech Didiego.

Rick Nabbe nie podzielał jego nastroju. Wychylił głowę za niewielki pagórek piasku i ujrzał leżącego na plecach Schnellera, a potem zauważył białe błyski z karabinów na półciężarówce tuż za kamiennym wylotem.

Zdjął plecak, włożył nowy magazynek do *Browninga* i rzucił się do biegu. Z pochyloną głową skręcił w prawo, żeby ominąć kępkę roślin. Warkot wirnika stawał się coraz wyższy, wydawało mu się nawet, że widzi tam światła, ale przejmował się tylko *Kalasznikowami* terkoczącymi z lewej strony.

Padł na ziemię, przeczołgał się przez niską wydmy i znalazł się przy kratce chłodnicy półciężarówki. Wstał, ale cały czas był pochylony. Przeszedł na stronę kierowcy. Zatrzymał się plecami do pojazdu, a gdy usłyszał nad głową serię z karabinu, wziął głęboki oddech.

Wyprostował się, trzymając pistolet oburącz. Nie dostanę za to nagrody fair play, pomyślał i każdemu władował po dwa pociski między łopatki.

Odwrócił głowę na nasilający się odgłos silników śmigłowca, a potem ze zdziwienia

otworzył usta, ujrawszy ledwie pięćdziesiąt metrów od siebie unoszący się śnieżnobiały ogon śmigłowca *Bell 212*. Po chwili pojawił się wirnik nośny i cały śmigłowiec unoszący się w powietrzu. Maszyna wykonała przechył, Nabbe musiał unieść rękę, aby się osłonić przed piaskiem.

Z trudem ruszył do przodu, zmagając się z obłokiem pyłu, a śmigłowiec obrócił się wokół własnej osi i pokazał beczelnie wymalowane na boku czarne litery UN.

Nabbe uniósł pistolet i pociągnął za spust. Iglica trafiła na pustą komorę, a śmigłowiec zniknął w ciemnościach nocy.

Dwanaście po drugiej Nimrodi wylądował *Dakotą* na drodze z Taghit do Ben Zireg. Obiecał Baumowi, że poleci do Maroko, zatoczy krąg i wróci po nich. Benni protestował, twierdził, że jeśli przeżyją akcję, jakoś zaimprovizują drogę odwrotu: znajdą samochód, pójdą pieszo do granicy albo wykopią jeden z samochodów kempingowych Martiny i go uruchomią.

- Oczywiście, przyjacielu - skontrolował wtedy Nimrodi. - Ty i twoi ranni będziecie rzeźcy jak poranna rosa i chętni do wykopywania samochodu, a cały Front Islamski przymknie na was oczy!

Pierwszy raz w życiu Benni był zadowolony, że jest równy stopniem Nimrodiemu i jako podpułkownikowi nie może wydać mu rozkazu.

Właściwie wcale nie musieli zapalać latarni *guznik*, ponieważ Nabbe stanął półcią-żarówką na skraju obozowiska Martiny i włączył światła drogowe. Ale i tak rozstawili płonące puszkę po zupie jako sygnał dla Nimrodiego, że to właśnie oni na nich czekają, ponieważ nie mieli z samolotem kontaktu radiowego.

Widok czarnej sylwetki *Dakoty* przyniósł ulgę; tym razem ze środka nikt nie skakał. Opony zetknęły się z drogą daleko na północy, przyskające kamyczki uderzały w spody skrzydeł. Samolot pokołował do obozowiska powoli jak ostrożny kruk.

Wszyscy bez broni siedzieli lub leżeli w płytkim zagłębieniu, tworząc krąg. Niektórzy zajadali czekoladowe baloniki. O'Donovan leżał na noszach; Lapkin opatrzył mu poszarpane rany najlepiej jak umiał. Michael był przykryty kurtką Bindera, oddychał płytko i z trudem, na bladym czole perlił się pot. Obok siedziała Ruth i pokaleczonymi, roztrzęszonymi palcami delikatnie gładziła go po włosach. Ręce jej drżały, chociaż była ciepło otulona w kurtkę Ecksteina.

Sadeen leżał na plecach i starał się siłą woli zmusić organizm do używania tylko prawego płuca. Oparł głowę o udo Schnellera. Rana nie zagrażała życiu wysokiego

Niemca, kula Martiny nie uszkodziła żadnego narządu. Na otworze wlotowym miał opatrunek Benniego, a z tyłu czerwony od krwi sączek z gazy. Sprzeczał się z Sade-enem, który z nich odniósł gorszą ranę.

Binder niespokojnym wzrokiem rozglądał się po wydmach na wschodzie. Żałował, że zranił człowieka Martiny - powinien był go zabić. Nie lubił niedomówień. Związał go, zakneblował i wepchnął do wejścia do podziemnej siedziby Martiny. Razem z Ecksteinem chcieli zejść na dół w poszukiwaniu „materiałów wywiadowczych”, ale Benni im nie pozwolił. Osobiście nauczył Martinę zastawiać pułapki w tak atrakcyjnych miejscach.

Benni zdjął rękę z ramienia Ruth i pobiegł do *Dakoty*, Eckstein ruszył za nim. Gdy Nimrodi wyskoczył z ładowni, nie musiał pytać, czy z Ruth wszystko w porządku. Gdyby było inaczej, wyczytałby to z twarzy Benniego. Zaczęli przekrzykiwać warczące silniki.

- *Nu?* - Nimrodi spojrzał na Bauma. - Czekacie na zaproszenie od premiera? - Trzymał w zębach czarną, onyksową cygarniczkę, ale powiew śmigieł uniemożliwiał mu zapalenie papierosa.

- Uciekła - krzyknął Benni.

- Kto?

- Ta kobieta - wtrącił Eckstein. - Śmigłowcem. Prawdopodobnie z pociskiem. Nimrodi

spojrzał na zegarek.

- Możemy spróbować połączyć się drogą radiową z Ben-Zionem, może za pośrednictwem jakiegoś lotniska marokańskiego. Chociaż cały czas melduję o awariach i chyba zacząłem już nadużywać ich uprzejmości.

- A nawet jeśli się połączymy, to co z tego? - zapytał Benni.

- Będzie musiał przelożyć wymianę na inny termin - odpowiedział Eytan. Nimrodi spojrzął na nich, po czym przeniósł wzrok na samolot.

- Myślicie, że dalibyście radę ją złapać?

- Możliwe - rzekł Eckstein. - Leci *Bellem 212*. Prędkość lotu załadowanego *Bella* wynosi jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a pusta *Dakota* może osiągnąć jakieś sto więcej.

Nimrodi westchnął, ale nikt tego nie usłyszał.

- Co z tym odrzutowcem?

- Wygląda na to, że wszystko w porządku - powiedział Benni. - Ale któż to wie? Trzeba by go przeciągnąć na drogę, ale mamy za mało czasu.

Nagle Nimrodi odwrócił się, zniknął we wnętrzu samolotu, a po chwili wrócił, wyskoczył na zewnątrz, a w ślad za nim wyszedł drugi pilot i Koń, który rozglądał się dokoła spłoszonym wzrokiem, jakby znalazł się w klatce z panterą. *Baba* położył jedną rękę na ramieniu Ecksteina, a drugą na Benniego, i przyciągnął ich do siebie.

- Zrobimy tak - krzyknął. - Wy bierzecie *Dakotę*, a ja całą resztę zabiorę odrzutowcem. Polecą jak cywile: bez broni, bez sprzętu, tylko z paszportami. - Ściszył głos. - Znaleźliście tamtych pilotów?

Benni i Eytan pokręcili głowami.

- Wejdziemy na częstotliwość ratunkową i przedstawimy się jako ofiary porwania. Czy twój znajomek będzie nas monitorował?

- Artur na pewno śpi w Warrenton. - Benni miał na myśli centrum komunikacyjne CIA w Wirginii.

- To dobrze. Jeśli uda nam się go poderwać, polecimy prosto do Bechar, wylądujemy i wezwiemy amerykańskiego konsula. A jeśli nie, wyciągniemy grata tutaj na drogę, zamkniemy się w środku i będziemy się łączyć z każdym lotniskiem nad Morzem Śródziemnym.

Benni i Eytan spojrzeli po sobie. Nimrodi nimi potrząsnął.

- Nie martwcie się - krzyknął. - Nikt się nie ośmieli nas tknąć.

Benni opuścił wzrok na drogę i podciągnął spodnie. Z kabury przymocowanej do pasa błyszczał nieużywany jeszcze *Browning High-Power*.

- Okay - krzyknął. - Ja biorę Ruth. Eckstein złapał go za rękę.

- Nie, Benni. - Popatrzył Baumowi w oczy. - Z Nimrodim będzie bezpieczniejsza.

- Oczywiście. - *Baba* się uśmiechnął. - Ze mną wszyscy są bezpieczniejsi. To było prawdą. Potwierdziłaby to cała brygada spadochronowa.

Drobny pułkownik puścił Bauma, złapał Konia za rękaw i pociągnął go za sobą.

Pilot za sterami w *Dakocie* ciągnął za dzwonek niczym zniecierpliwiony kierowca trolejbusu. Benni chwycił za framugę i wskoczył do środka. Wychylił się po Ecksteina i wciągnął go do wnętrza. Ruth biegła do niego.

- *Abba* - krzyknęła.

Wychylił się i wyciągnął do niej dłoń.

- Ruti, leć z Nimrodim.

- *Abba* - krzyknęła jeszcze raz. Łzy swobodnie płynęły jej po policzkach. Przycisnęła dłońmi jego dłonie, jakby chciała naznaczyć je łzami. Ruth zaczęła iść, gdy *Dakota* ruszyła do przodu.

- Spotkamy się w Jerozolimie - krzyknął i ścisnął ją jeszcze mocniej. - Przyrzekam!

- *Abba*, ty zawsze kłamiesz.
- Nie tym razem. - Spróbował się do niej uśmiechnąć, ścisnęło go w piersiach. - Nie tym razem - krzyknął.

25

Przylądek Ras Tarf

Nad równiną Rekkam Benniego Bauma ogarnęła senność i, gdy opierał się ramionami o wąską futrynę drzwi do kabiny pilotów *Dakoty*, głowa opadła mu na piersi, zwiotczały mięśnie i poleciały do tyłu, gdyby Eckstein siedzący na fotelu drugiego pilota nie złapał go za pas. Benni ocknął się i wcale nie był zaskoczony, że organizm w końcu znalazł sobie jakiś zawór bezpieczeństwa.

Piekącymi oczami patrzył na ciemne płaszczyzny skał i kępy drzew, które znikwały pod samolotem. Zastanawiał się, jakim cudem pilot utrzymuje tak niski pułap w ciemnościach nocy. Oczywiście doceniał jego wysiłki, bo przecież stary lotnik wcale nie chciał się popisywać swoimi akrobatycznymi sztuczkami. Benni powiedział mu, że chodzi o śmiertelnie ważny pościg w stronę przylądka Ras Tarf. A ponieważ *Dakota* rozwija większą szybkość, gdy śmigła obracają się w gęstszym powietrzu, dlatego lecieli niemal nad czubkami drzew.

Z braku kofeiny Benni zapalił papierosa. Eytan spojrział tęsknym wzrokiem, westchnął, a w końcu się złamał i wyciągnął przed siebie rękę. Benni mógł odmówić i pomóc Eytanowi wytrwać w nikotynowym celibacie, lecz dał mu papierosa. W końcu każdy sam musi podjąć decyzję. Jak w przypadku samobójstwa.

Nad zbliżającą się północno-wschodnią częścią Maroko pojawiła się bladuróżowa poświata, a niebo w szybkim tempie robiło się coraz jaśniejsze; Benni ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na zegarek.

To się może udać, pomyślał, chociaż myśl, że równie dobrze mogą zastać na miejscu zgliszcząca po katastrofie, skłaniała go do krzyczenia „no, dalej!”, jak zniecierpliwiony nastolatek jadący za starszym człowiekiem kierującym gruchotem. I tak mieli dużo szczęścia, że do tej pory lot przebiegał bez przeszkód. Tylko raz wzbudzili niepokój w algierskiej bazie w Beni-Abbes, gdy akurat przekraczali granicę z Marokiem, Potem wzywały ich wieże w Boudnib, Taza, a ostatnio El Aleb. Eckstein odpowiadał swobodnie po francusku, posługując się kryptonimem Nimrodiego jako Ahmed Tabri i powoływał się na komendanta bazy w Menara. Nikt im nie rozkazywał lądować, ale słabe to było pocieszenie, bo Benni niepokoił się o to, jak Nimrodi zdoła bezpiecznie wyciągnąć jego ludzi z gniazda wilków. Na myśl o córce cierpiącej na widok rannego O'Donovana zaciskał zęby. Wcześniejsza zazdrość wobec ich romansu budziła w nim wyrzuty sumienia i czuł się jak zboczeniec przyłapany przez policjanta.

Spojrzał na Ecksteina. Przyjaciel był brudny, miał palce czarne od spalonej parafiny, twarz brązową od pasty do butów, a blond włosy zakurzone jak u dowódcy czołgu. Na skórzanym fotelu *Dakoty*, ze słuchawkami na uszach, przypominał handlarza przemycającego narkotyki dla kartelu.

- Eytan, myślisz, że już się wydostali? - zapytał Benni, przekrzykując ryk silnika.
- Nie - odpowiedział Eckstein bez odwracania głowy. - Jeszcze nie. Zdziwiłbym się, gdyby Algierczycy tak po prostu pozwolili im odlecieć.
- Dzięki za szczerość - mruknął Benni.
- Benni, przecież nawet gdyby ich Algierczycy zwinęli, to myślisz, że coś im zrobią, skoro Roselli narobi międzynarodowego rabanu?
- Nie.
- Dajmy sobie z tym spokój i skoncentrujmy się na Martinie.

Benni kiwnął głową i przetrął dłońmi twarz. Ręce poplamione krwią Schnellera, teraz zyskały ślady po brązowej paście. Wylał je w beżowy sweter, który zdążył już zrobić się czarny.

Tak, ich zadanie polegało teraz na skoncentrowaniu się na Martinie. Na jej szaleństwie, na jej okrucieństwie, na tym, że omal nie zamordowała Ruth.

W gruncie rzeczy Benni nawet nie spodziewał się już zobaczyć Martiny. To prawda, uprowadziła śmigłowiec w malowaniu ONZ i każdy na jego widok zastanowi się, zanim pociągnie za spust. Istniała też duża doza prawdopodobieństwa, że na pokładzie *Bella* znajdowała się *Minnow*. Ale jeżeli nie przekroczyła progu, za którym pragnienie autodestrukcji zagłusza zdrowy rozsądek, to musi przyjąć założenie, że namierzony przez nią cel znajduje się w pełnym pogotowiu, i wtedy, choć niechętnie, wybierze ucieczkę. Wybierze życie.

Być może pędzą na złamanie karku do Ras Tarf, a ona wcale się tam nie pojawi. Benni uświadomił sobie, że tego właśnie by chciał. W głębi serca wstydził się tego pragnienia.

Od wylotu z Algierii nie widzieli ani śladu helikoptera, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Jeśli będzie chciała doprowadzić swą misję do końca, to zapewne polecą na północ wzdłuż granicy i wleci nad terytorium Maroko dopiero w ostatnim momencie. Ponieważ lekko nadrabiała drogi, istniała nadzieja na jej dogonienie.

Nagle Eckstein uniósł rękę i wymierzył przed siebie palec wskazujący. Benni wyrzucił przez przednią szybę, ale nie dostrzegł nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę. Minęli właśnie las cedrowy u stóp gór Rif, potem mignęła im autostrada łącząca Melillę z Tangerem, na której wyruszający przed świtem w trasy kierowcy ciężarówek ze zdziwieniem przecierali oczy na widok latającej zjawy warczącej nad głowami.

- Widzisz to? - pytał Eckstein podekscytowanym głosem.

- Co? - Benni wyciągał szyję. - Co?

- Tam jest Dar-Kebdani - powiedział pilot, wskazując miasteczko usadowione pomiędzy grzbietami górskimi. - Będzie z dziewięćset metrów, więc i tak musimy się wznieść. - Lekko przyciągnął ster do piersi.

Dakota zaczęła się wzbijać, a Benni w końcu zrozumiał entuzjazm partnera.

Wkrótce czubki gór znalazły się w dole. Za nimi aż po horyzont rozpościerała się otulina z mgły. Gdy przebijają ją poranne słońce, ukazywała się ciemnoniebieska powierzchnia Morza Śródziemnego.

Martina także widziała morze, ale miała tę przewagę, że siedząc w prawym fotelu kabiny pasażerskiej śmigłowca *Bell 212*, znajdowała się o wiele bliżej, zaledwie kilka metrów od niego, a przez okna wdzierały się delikatne promienie porannego słońca odbite od powierzchni wody. Po lewej stronie długi pas plaży był pusty, ponieważ nie nadeszła jeszcze pora nawet na starych Marokańczyków, pędzących co rano opryskać się zimną morską pianą z wiarą, że w ten sposób przedłużą sobie życie. W kabinie sudański pilot delikatnie poruszył dźwigniami i za białą kulą jego kasku przybrzeżne urwiska skręciły na północ. Na końcu półwyspu Martina dostrzegła mały falliczny

kształt odstający od klifu i, aby lepiej widzieć, wsunęła głowę do kabiny pilotów. Za urwiskiem, jakiś kilometr w głąb morza, widać było szare sylwetki powoli zbliżających się do siebie małych statków. Zapukała palcem w kask pilota.

- Usiądź na wodzie zaraz za tą latarnią - rozkazała.

Kask pochylił się dwukrotnie od przodu.

Wróciła do tylnej kabiny, otworzyła zasuwę prawych drzwi, wyciągnęła do potowy ciężki panel i do kabiny wleciało zimne powietrze. Prawą stopę położyła na ławce skonstruowanej w ten sposób, że żołnierze mogli siedzieć po dwóch stronach zwróceniu do siebie plecami, a prawą nogę przerzuciła przez środek, jakby wsiadała na małego kucyka.

Siedziała moment okrzakiem, a potem pochyliła się i dotknęła dłońmi pocisku. Zamknęła oczy, wdychała zapach ryb i słonej wody, zimny wiatr chłodził jej twarz, trzepotał kombinezonem i rozwiewał rozczochrane włosy. Niemal z rozmarzeniem gładziła *Der Fliegende Fisch*, leżącą na podłodze w pontonie. Celownik optyczny zaklejony był folią, a

spust i podpórka przymocowane plastikową taśmą. Nabiał sprawdził wszystkie obwody. Pocisk był uzbrojony. Wystarczy go odbezpieczyć i będzie gotów do dziewiczego lotu.

Martinie nawet przez myśl nie przeszło, aby zdecydować się na odwrót. Podczas nocnego lotu miała dużo czasu na zaplanowanie sposobów ucieczki i odwrócenia uwagi od własnej osoby, ale nie zrobiła tego. Rozmyślała w milczeniu o utracie swych ludzi, oplakiwała ich oddanie. Jej matka posłużyła za przynętę, ale z pewnością nic jej się nie stało. Niemniej cała rodzina Martiny przeniosła się na tamten świat.

Lecąc samotnie i w milczeniu poddając się drganiom lotu, zdała sobie sprawę, że jej entuzjazm do odpalenia pocisku wcale nie osłabł, ponieważ nigdy nie kierowała nią pasja. Odpalenie miało stanowić czyn apolityczny, wynikało z motywów osobistych i Martina tylko czasami potrafiła się przyznać do tej brutalnej prawdy. Jej silna | wola, jej napady wściekłości, jej krótkotrwałe porywy miłości i gniewu stanowiły jątrzące się rany, które rozdrapywało gorące pragnienie czegoś, czego nigdy nie miała. Lecąc helikopterem, zdawała sobie sprawę, że z każdym kilometrem znajduje się coraz bliżej własnego kresu. Ale życie nie przemykało jej przed oczami. Sama starannie je podsumowywała, wspominała każdy rok, wszystkie rzadkie chwile radości i o wiele dłuższe okresy smutku.

Chociaż miała do wyboru zapamiętanie tysięcy obrazów przedstawiających okrucieństwo, przemoc i zło, utkwiała jej na trwałe w pamięci tylko jedna scenka. Gdy Benni Baum rzucił się na swą córkę, ukrył i przydusił własnym ciałem, osłonił własną miłością. Wtedy Martina ostatecznie zdała sobie sprawę, że odkąd skończyła pięć lat, nie było i już nigdy nie będzie nikogo, kto w taki sposób postąpiłby wobec niej.

Otworzyła oczy i spojrzała na prawą nogę. Zamek w kieszeni na udzie kombinezonu był do połowy odpięty, a ze środka wystawała kolba P-38. Wyciągnęła należący kiedyś do ojca pistolet, obejrzała i lekko dotknęła palcem lufy. Gdy przez okno wpadł błysk latarni morskiej, a śmigłowiec zaczął zwalniać i podchodzić do lądowania, wyrzuciła pistolet przez otwarte drzwi. Zakręcił się jak bumerang, ale nie powrócił.

Przy Pointe Afraou Dakota ostro skręciła w lewo, a Benni stracił równowagę i uderzył kręgosłupem w stalową futrynę. Lecieli w dół nad zboczami niczym jadący

na krechę narciarz, ponieważ pilot chciał nabrać prędkości. Za wąwozami szybko pojawiła się usiana krzewami równina i niemal natychmiast minęli plażę i znaleźli się nad wodą. Pilot poleciał wzdłuż linii, gdzie niskie spienione fale rozbijały się o ląd. Za lewym skrzydłem wychynęły spomiędzy wydm i zaraz zniknęły pokryte strzechą dachy nadmorskiej osady. Eckstein pochylił się nad tablicą przyrządów i krzyknął:

- Tam! - wyciągnął palec. - Tam!

Słońce wspięło się już na tyle wysoko, że morze skrzyło się białym blaskiem. Tuż za czubkiem przylądka Ras Tarf widać było małą flotyllę - dwa większe okręty niemal stykające się dziobami i jeden mniejszy - choć z takiej odległości wydawały się nie większe od muchy.

- Złap częstotliwość awaryjną - krzyknął Benni do pilota.

- I kogo mam niby wezwać? - zapytał pilot, próbując wyciągnąć z silników więcej mocy.

- Lotnictwo wypuściło 707 - powiedział Eckstein. - Będą monitorować międzynarodowe łącza.

- Eytan! - Benni ścisnął Eksteina za ramię, aż ten skrzywił się i spojrzał na pułkownika. Szybko jednak odwrócił głowę, w kierunku, gdzie Benni utkwiał wzrok.

Na końcu kamiennego cypla znajdowała się latarnia morska, a za nią w promie niach słońca migwały skrzydła wirników białego śmigłowca siadającego na wodzie.

- Człowieku, zlituj się! - krzyknął Benni, na co pilot wyciągnął radionadajnik i położył mikrofon Ecksteinowi na kolanach.

- Księżyc, Księżyc, wzywa Bawaria. Odbiór. - Eytan prawie krzyczał do mikrofonu. Miał nadzieję, że któryś z oficerów AMAN-u na pokładzie odrzutowca komunikacyjnego przypomni sobie jego dawny kryptonim. Ledwie puścił przycisk, Benni wyrwał mu mikrofon

z ręki.

- Księżyc, mówi Baum! - krzyczał Benni, ignorując wszelkie środki bezpieczeństwa. - Jesteście w zagrożeniu. Na waszym terenie istnieje niebezpieczeństwo. Powtarzam: niebezpieczeństwo na waszym terenie. Odbiór.

Okrety z całą pewnością już od siebie nie odpłyną. Na to było za późno. I oczywiście Martina doskonale o tym wiedziała.

- Księżyc - Benni zaczął od nowa. Po czym krzyknął: - *Scheisse!*- Rzucił mikrofon na podłogę. Cień *Dakoty* minął śmigłowiec w odległości dwudziestu metrów, a potem biała „osa” została za nimi.

- Ląduj! - krzyknął Benni do pilota.

- Gdzie? - Południowoafrykańczyk rozglądał się na boki. - Na wodzie? Tu nie ma nawet stu metrów równej plaży.

- Cholera! - Zdenerwowany Benni walnął pięścią w futrynę.

- Tam! - Eckstein wskazał w miarę płaski, piaszczysty teren rozciągający się na lewo od niskiego urwiska.

Pilot spojrział w lewo i, podjąwszy decyzję, wykonał ostry skręt w prawo. Benni znów się uderzył o futrynę i zaklął. Pilot zaczął pochodzić do lądowania i leciał nisko nad wodą.

- Schodzę - ostrzegł, po czym wcisnął pedały orczyka i pociągnął ster. Silniki zawyły i pociągnęły maszynę ślizgiem w lewą stronę.

- Przypnij się - krzyknął Eckstein do Bauma.

- Sam się przypnij - wrzasnął pilot, ponieważ siła odśrodkowa właśnie zaczęła wpychać Eytana w prawy kąt kabiny pilotów.

Benni zawahał się, linia skalistego urwiska rosła w przedniej szybie, ale równy lot miał potrwać tylko kilka sekund, więc szybko wycofał się do kabiny, usiadł na prawej ławce i zaczął się zmagać z pasem. Gdy tylko go zapiął, obejrzał się do okna i ujrzał śmigłowiec rozwiewający wirnikami wodę i osiadający płozami na płyciźnie niedaleko plaży.

Dakota jeszcze raz skręciła w lewo, a potem wyrównała lot. Warczenie silników zamieniło się nagle w niski terkot.

- Trzymaj się mocno! - krzyknął pilot do Ecksteina. Wtedy zaczęli siadać z uniesionym nosem. Grudki piasku uderzały o podłogę i sięgały nawet okien, za przednią szybą pojawiło się niebo jak narzucona peleryna czarodzieja.

Właściwie warunki nie nadawały się do lądowania. Po piaszczystym terenie ciągnęły się długie nierówności i rosły kępy sezonowej roślinności. Z południowego wschodu wiał ostry wiatr. Pilot musiał natężyć każdy mięsień, aby utrzymać skrzydła w odpowiedniej pozycji.

Żołądek podchodził Benniemu do gardła. Wielka opona zapadła się w wyrwie, prawe skrzydło zostało podniesione do góry i natychmiast porwał je wiatr, przez co unióśł się ogon, śmigła zaryły w piach, nos pochylił się do przodu i uderzył w podłogę.

Benni podniósł się na lewym łokciu. Odpiął pas, uklękł i natychmiast zaczął się posuwać w stronę kabiny pilotów. Udało mu się złapać futrynę.

Urządzenia wyły jak oszalałe. Na przedniej szybie pojawiła się pajęczyna pęknięć, w powietrzu unosił się zapach paliwa lotniczego. Eckstein z luźno zwisającymi rękami leżał głową na tablicy przyrządów. Odwrócony był na lewą stronę i było widać czerwoną stróżkę krwi spływającą z czoła po nosie na górną wargę.

Pilot odepchnął się od deski rozdzielczej, odpiął pas i odwracając się za siebie, dostrzegł Benniego.

- Ja go wyniosę - krzyknął i zabrał się do pracy. Baum ani drgnął. - Nic mu nie będzie! - krzyknął wyraźnie zdenerwowany rozbiciem swego ulubionego samolotu. -No idź!

Ponieważ kadłub samolotu był mocno przechylony, Benni musiał podejść do lewej ściany i po bocznych żebrach wspiąć się do okna ewakuacyjnego. Tam złapał się poprzecznej belki, podciągnął nogi i z całych sił kopnął pleksiglasową szybę. Okno wyleciało na zewnątrz, a

Benni siłą rozpędu wyleciał przez wąski otwór, zahaczając ramieniem o ostry metal.

Nie czuł bólu, uderzył kolanami o skrzydło, stopy opadły mu w dół, poraziło go jasne światło dnia. Potem zaczął się ślizgać, udało mu się obrócić plecami do kadłuba i uniknąć kontaktu z jedną z łopatek pokrzywionego śmigła.

Wylądował na górze z piasku. Otworzyły się drzwi kabiny i Benni dostrzegł obcasy butów pilota. Nie czekał. Wstał i zaczął biec.

Gdy już się rozruszał i pędził do morza, ogarnęła go dziwna, złowieszcza cisza. Nie warczał żaden silnik, nie strzelały karabiny, nic nie mąciło porannego spokoju, jedynie uderzenia stóp o piasek, głęboki oddech i cichy stukot metalu w kaburze na biodrze. Wiejący mu w plecy wiatr poruszał kępkami trawy rosnącej na wydmach

i zagłuszał dźwięki dolatujące od strony morza. Benniego ogarniała panika, ponieważ nie mógł usłyszeć silnika helikopterowego, ani odpalenia pocisku, ani odrzutu. Dotarłyby do niego dopiero głuche odgłosy wybuchu.

Gdy zbliżał się do urwiska, po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że za moment eksploduje mu serce. Pot zalewał mu twarz, spływał po karku na sweter.

Kiedy w końcu dotarł do klifu, zobaczył śmigłowiec wiszący nad brzegiem wody. A dokładnie w linii prostej za nim na błękitnym horyzoncie dwa statki zbliżały się dziobami w eskimoskim pocałunku. Ani razu nie oderwał wzroku od białej maszyny, nawet gdy schodził z urwiska i uderzył plecami o skałę. Biegąc po plażowym piasku, dostrzegł drobną sylwetkę Martiny wyciągającej *Minnow* z kabiny *Bella*. Poczul jakiś ból w plecach, przewrócił się, ale natychmiast wstał z powrotem i z rozdziawionymi ustami wyciągnął pistolet z kabury, wlokąc się po piaszczystym podłożu.

Martina stała po pas w wodzie, delikatnie wyjęła pocisk z pontonu. Była za daleko, była jeszcze za mała; Benni jęczał jak człowiek w środku koszmaru, podczas którego musi stale uciekać, a nie rusza się z miejsca. Helikopter poderwał się do lotu, rozwiewając Martinie włosy. Nawet nie zwróciła na to uwagi, w pełni pochłaniało ją wyciąganie jakichś drutów z *Minnow* i wyglądała, jakby zapalała właśnie silnik kosiarki do trawy. Benni wiedział, że to spust wyrzutni. Nie pamiętał, czy ma załadowanego *Browninga*, więc nie zatrzymując się, pociągnął za suwak i podniósł broń. Chciał krzyknąć, ale z gardła wydobył się tylko głuchy charkot.

Martina wyczuła jego obecność. Podniosła głowę i powoli się odwróciła. Trzymała prawą rękę na biodrze. Z pogardą patrzyła na jego koślawe ruchy jak gazela na nosorożca. Wróciła do pocisku i zajęła się nastawianiem celownika.

Zaczął strzelać, wreszcie wydobył z siebie krzyk, w którym nie było jednak żadnych zrozumiałych słów. Poczul odrzut pistoletu w dłoni, huk eksplozji rozsadał mu głowę, minął obłok dymu i ujrzał, że odwrócona tyłem sylwetka Martiny nawet nie drgnęła. Jeszcze raz strzelił i uniosł głowę, żeby przyjrzeć się niebu. Znow strzelił. Tym razem Martina drgnęła, i upadła do wody.

Benni szedł dalej, ale nie mógł się powstrzymać i nadal strzelał, aż ręka Martiny spadła ze spustu i zaciął się zamek pistoletu, który odmówił dalszej współpracy.

Echo ostatniego wystrzału niesło się nad wodą. Benni upuścił pistolet, zrobił jeszcze jeden krok i upadł na kolana.

W końcu przewrócił się na zimny piasek, a woda rozbitej o brzeg fali obmyła mu ciało.

Epilog

Jerozolima

Dawno już ze wzgórz na świętej skale zniknął gmach Świątyni Salomona, gdzie Abraham, chcąc złożyć syna w ofierze, podniósł na niego sztylet, lecz dłoń powstrzymał mu anioł zdumiony przykładem mocy ludzkiego fanatyzmu. Teraz na miejscu chwały zmarłego króla znajduje się świątynia muzułmańska, meczet Omara ze złotą kopułą stanowiącą punkt orientacyjny miasta, świątynia z okrągłą podłogą, na której święci ludzie dotykają czołami

pyłu z kości machabeuszy.

Niewiele pozostało z czasów świetności króla Salomona, jedynie niewielki fragment zachodniej ściany nośnej świątyni. Niewielki, ale i tak godny podziwu z uwagi na układane wysoko ogromne fragmenty granitu. Ściana ta stanowi zamknięte wrota do biblijnej przeszłości. Przybywają tu Żydzi z całego świata, pochylają w modlitwie głowy i drżącymi palcami dotykają kamieni, szepcząc swe życzenia pozornie obojętnym twórcom geologicznym.

Być może legendarna dzielność izraelskich służb wywiadowczych bierze się właśnie z dziedziczonych przez żydowskich agentów tradycji. Kobiety i mężczyźni pod wpływem zwyczajów plemiennych podchodzą w milczeniu do ściany, ściskając w dłoniach karteczki z modlitwą wypisaną w nieskończonej liczbie języków. Wkładają karteczki w szpary między kamieniami, bo jest to skrzynka pocztowa Pana Boga dla jego wybranego ludu. Przez te wrota do nieba wsuwa się wiadomości przeznaczone Tylko Dla Jego Oczu i zapisane szyfrem, który tylko On potrafi odczytać.

Zimowy poranek był zimny, choć nie aż tak bardzo przenikliwie, ponieważ poprzez chmury rzucające cień na płaskie różowe płyty skweru rozciągającego się przed ścianą padały promienie słońca. Teraz szeroki plac otoczony budowlami starego miasta był prawie pusty, tłumy przybyłe uczcić Dana Sarela nie pozostały zbyt długo. Kapitan wrócił w końcu do domu, choć nie był jeszcze w takim stanie, żeby można go było podrzucać na ramionach, toteż pod jego nieobecność wszystkie przyjęcia kończyły się szybko i niewesoło. Tego ranka pozostali tylko ludzie najbardziej religijni i ci, co niedawno stracili bliskich.

W najdalszym kącie dziedzińca, gdzie znajdują się schody prowadzące do żydowskiej dzielnicy starego miasta, zebrali się czworo zmęczonych turystów. Stali ze spuszczoneymi głowami jak lekarze nad pacjentem, a zgromadzeni obok ludzie dyskretnie im się przyglądali.

Brakowało między nimi Didiego Lenera, Amira Lapkina i Ricka Nabbego. Oni wrócili do swego normalnego życia: Didi do rozpraw sądowych, Amir do trzymowania zapuszczonych żywopłotów, a Nabbe do ochroniarzy we Frankfurcie. Samolot Jer-ry'ego Bindera lądował właśnie na lotnisku Kennedy'ego, natomiast Sadeen i Schneller leżeli obok siebie w wojskowym skrzydle szpitala Tel Haszomer i sprzeczali się przy grze w remika. Szaul Nimrodi chciał cały dzień spędzić ze swymi trzema córkami, a potem wracał do Mauretanii. A Koń oczywiście w rosyjskim wydziale kwatery głównej - gdzieżby indziej? - sprzątał biuro Benniego Bauma.

Właściwie z całej grupki najbardziej skory do triumfów i radości powinien być Roselli. Udało mu się bezpiecznie odstawić ofiarę porwania do domu spokojnej starości, dwaj członkowie komórki Martiny Klump zostaną osądzeni przed federalnym sądem Dystryktu Columbia, a *Minnow* właśnie lądowano na pokład amerykańskiego samolotu stojącego na lotnisku Ben-Guriona. Lecz w zmęczonych oczach Roselliego trudno było doszukać się radości, bo choć również wracał do domu, wolałby chyba pozostać w towarzystwie przyjaciela.

Pochylił się i pocałował Ruth w policzek, a potem wziął ją za rękę i popatrzyli sobie w oczy. Wiatr unosił jej włosy, sztucznie dodając twarzy blasku. Roselli przełknął ślinę.

- Postaram się, żeby dostał list pochwalny - powiedział. - Zasłużył sobie na to już przy Pustyni Jeden. - Oderwał wzrok od błyszczących oczu Ruth i dodał: - Wiem, że dla ciebie to nie ma znaczenia.

Rozkładając ręce i obejmując go, przyłożyła głowę do potężnej klatki piersiowej i starała się pomniejszyć jego wyrzuty sumienia.

Pomimo kilku dziur po kulach w kadłubie *Falamawi* udało się wystartować z drogi nieopodal Taghit i wystarczyłoby im paliwa aż do Tlemcen. Jednak z uwagi na stan O'Donovana Nimrodi postanowił wylądować w Bechar; drogą radiową wezwał karetkę i niemal natychmiast zjawili się lekarze tamtejszego lotnictwa.

O'Donovan odzyskał na chwilę przytomność. Leżał na podłodze odrzutowca z głową na

rękach Ruth. Przy każdym sprawiającym trudności oddechu rozpamiętywał całe swe życie, ale doszedł do wniosku, że wszelkie podsumowywania nie mają sensu, otworzył oczy, spojrzał na Ruth i szepnął: - Dla ciebie było warto...

W Bechar niemal go utracili, jednak znakomitemu francuskiemu lekarzowi udało się go uratować - jego tak, ale kręgosłup nie. Media rozprawiły o amerykańskim turyście sparaliżowanym po postrzeleniu przez algierskich fundamentalistów, co zresztą w pewnym sensie odpowiadało prawdzie.

- Ale dla niego to ma znaczenie... - powiedziała Ruth, nie odrywając głowy od piersi Arthura. Potem się odsunęła, przetarła policzki grzbietem dłoni zaciśniętej w pięść, założyła na ucho kosmyk włosów i spróbowała się uśmiechnąć. Arthur schował dłonie do kieszeni marynarki, przybrał nieco obojętny wyraz twarzy i starał się nie patrzeć jej w oczy.

- A więc wracasz do Zgniłego Jabłka?

- Muszę skończyć studia - powiedziała Ruth. - Poza tym Michael mnie potrzebuje. Przynajmniej na razie.

Roselli odwrócił się do Bauma.

- Dobrze, że nie nalegasz, żeby została - powiedział, a gdy zobaczył, że Benni marszczy brwi, dodał: - Wiesz, co się dzieje, gdy próbujesz kierować dziećmi.

Benni wzruszył ramionami.

- Idą w zupełnie innym kierunku. Roselli pokiwał głową.

- Pierwsze Prawo Rodzicielstwa.

Wyciągnął rękę, a Benni ścisnął mu ją długo, każdym palcem, aż w końcu puścił.

- Arthur? - Benni chciał jakoś dać upust emocjom. - Słyszałeś coś o pilotach *Falcona*?

- Tak. Czerwony Półksiężyc znalazł ich na wydmach koło Igli. Ledwie żyli. Jeden niósł drugiego na ramionach, starszy ratował młodszego.

- Chyba jak zwykle. - Benni się uśmiechnął.

- *Chantareesz*. Bzdury - powiedział Eckstein i lekko puknął Benniego w rękę.

- Jesteś ranny - ostrzegł Benni, pokazując świeży opatrunek na czole Eytana. -A ja i bez tego kładę cię na łopatkę.

- Jak dzieci. - Ruth pokręciła głową, a potem popatrzyła Ecksteinowi prosto w oczy.

W południowej części placu, przez bramkę bezpieczeństwa wtoczył się duży, granatowy Mercury z rejestracją korpusu dyplomatycznego. Na ten widok Arthur westchnął i uściśnął Ecksteinowi dłoń.

- Do zobaczenia.

- Byle nie za szybko - powiedział Benni, ponieważ ostatnio ich spotkania nieco nadwerężyły serce.

- *L'hitraot, chevrey*. Do widzenia, towarzysze - rzekł Arthur, a Ruth wzięła go pod ramię i poszli do samochodu.

Eytan mimowolnie sięgnął za głowę i zaczął się bawić kitką.

- Kiedy wreszcie zetniesz to paskudztwo?

- Kiedy Anthony Hearthstone wyjdzie z buszu.

- Przy twoim tempie pracy, to ci chyba włosy urosną do pasa.

Ale Eckstein już tego nie słyszał. Biegł za samochód Roselliego, gdzie kobieta o kruczoczarnych włosach szła szybkim krokiem po kamieniach i trzymała za rękę małego chłopca. Chłopiec nagle podskoczył, wyrwał się mamie z ręki i zaczął biec, podskakiwały mu kosmyki jasnych włosów. W końcu doleciał jego głos.

- *Abba! Abba!*

Eckstein rozpostarł ramiona, chwycił roześmianego chłopca, obracał go wokół siebie, aż podskakiwały małe, białe buciki sportowe, a jednocześnie całował uradowaną twarz syna.

Gdy Benni odwrócił się pod wpływem obłoku dymu ogarniającego mu głowę, dostrzegł wysoką sylwetkę Itzika Ben-Ziona. Generał był w mundurze, otulony w futrzany kołnierz

generalskiej kurtki, buty i insygnia lśniły po wypucowaniu. Wracał właśnie z przyjęcia w rezydencji premiera i pochwały wyraźnie odmładzające na niego wpłynęły. Ale nie przyszedł tak po prostu. Odczekał w cieniu, aż wszyscy odejdą, bo czuł się onieśmielony ich wzajemną zażyłością.

- Po co mnie wzywałeś, Baum?

Benni wysłał na pager Itzika wiadomość: „Spotkajmy się przy ścianie. B.B.". Tak jak dla weteranów z Wietnamu w Waszyngtonie, w Jerozolimie takie określenie może oznaczać tylko jedno miejsce.

- Chciałem cię przedstawić Arthurowi Roselliemu - rzekł Benni. - Bez niego wcinałyby cię teraz rekiny.

Itzik spojrzął w stronę odjeżdżającego samochodu. Itzik kochał się nurzać w chwale, a jednocześnie na zewnątrz udawał, że nic go ona nie obchodzi. I nigdy nie dziękował ludziom za wywiązywanie się z obowiązków.

- Poproszę ambasadę w Waszyngtonie, żeby wydała przyjęcie na jego cześć. Benni już miał ostro ripostować, ale zrezygnował i tylko mruknął pod nosem.

- Świetna myśl.

- Właściwie to już zaklepane - mówił Itzik, spoglądając przez papierosowy dym. - Wymiana dla Iraku była tylko zasłoną. W tym samym czasie przejmowali głowicę jądrową. - Wyrzucił papierosa i przydepnął butem.

Benni opuścił głowę. Rozmawiali o tej wiadomości podczas powrotu do Hajfy na pokładzie „Aliyah". Marokańczycy oczywiście po cichu pozwolili na przeprowadzenie wymiany na ich wodach przy przylądku Ras Tarf. W zamian za zniszczoną, ale możliwą do odbudowania *Dakotę*, zezwolili też na przybycie komandosów i zabranie Bauma, Ecksteina oraz ich pilota. Pierwsze sygnały z Jerozolimy zaczęły docierać do Ben-Ziona, gdy byli jeszcze na morzu, ale aż do tej chwili Benni odsuwał od siebie tę wiadomość. Zamknął oczy.

- Modłę się, żeby to była jedna z Blackstone - szepnął. Dla wzmocnienia efektu Itzik chwilę milczał.

- Na szczęście tak - powiedział w końcu, a Benni na całym ciele poczuł ulgę. Blackstone to supertajny projekt Mossadu, chociaż został wtajemniczony także

szef Operacji Specjalnych AMAN-u, a pewnego razu do koordynacji współpracy w tej kwestii pomiędzy wywiadami wyznaczył Bauma. Gdy republiki sowieckie zaczęły się usamodzielniać, Izraelczycy bali się, że przy okazji mogą „ginać" głowice jądrowe. Kazachski Żyd i zarazem były oficer artylerii, który emigrował do Izraela, został z powrotem wysłany do swej ojczyzny w celu nadzorowania źle strzeżonych pocisków. Kiedy tylko się dało, w obwodach starowania głowic umieszczał mały mikrochip. Mikroprocesor pozostawał w uśpieniu do chwili uaktywnienia za pomocą laserów z amerykańskich satelitów. Wtedy odsyłały sygnał informujący o ich lokalizacji.

- W końcu im się udało położyć na tym swe łapska - rzekł Itzik. - Dobrze chociaż, że możemy je zlokalizować, gdybyśmy się zdecydowali na powtórkę Osirak. - Wspomnił o izraelskim nalocie na reaktor jądrowy w Bagdadzie. Wtedy akcja ta została potępiona przez cały świat, a państwa sprzymierzone doceniły ją dopiero po fakcie, gdy rozległy się pierwsze grzmoty Pustynnej Burzy.

Benni nic nie powiedział. To już nie jego problem.

- Muszę wracać do biura - rzekł Itzik, a odwracając się, pokiwał do Eytana, Simon i ich syna. - Eytan musi jutro rano lecieć do Afryki. Lepiej, żeby tego nie zawałił.

- Itzik, nie jestem jego niańką - zaprotestował Benni.

- Nie - generał spojrzął groźnym wzrokiem. - Jesteś jego złym duchem.

Ruszył w stronę północno-wschodniego rogu placu, gdzie kolejne kamienne schody prowadziły do dzielnicy arabskiej, skąd pomiędzy straganami i przez Damasceńską Bramę było już kilka kroków do kwatery głównej. Benni dał swojej rodzinie znak, żeby wykazali

jeszcze odrobinę cierpliwości. Yosz w mundurze pilota i Amos w uniformie spadochroniarza ściskali między sobą Ruth, a Maja ze śmiechem starała się ich rozdzielić. Baumowie nie próbowali przeszkadzać Benniemu i Itzikowi. Nie interesował ich szef Benniego.

Baum z lekkim trudem dogonił stawiającego potężne kroki generała.

- Jesteś pewien, że chcesz dołączyć do Ecksteina? - powiedział z niechęcią Itzik; jego buty stukały o podłogę.

- Tak.

- Afryka to nie Lazurowe Wybrzeże.

- Eytan mnie potrzebuje.

- Nie powinienem cię tam puszczać - Itzik westchnął. - Razem jesteście bardzo niebezpieczni.

- Osobno też. - Benni się uśmiechnął.

- Musisz wypełnić długi formularz - ostrzegł generał. - I przelożyć swą emeryturę.

- Jasne.

- I będziesz musiał uzupełnić akta Księżyc i Tango.

- Zrobione.

Itzik zwawym krokiem, po dwa stopnie na raz, zaczął się wspinać po schodach. Benni zwolnił, zatrzymał się i patrzył na plecy dowódcy.

- A co z twoim przyjęciem z okazji odejścia? - zawołał generał, chociaż nie odwrócił się, żeby uzyskać odpowiedź. Dotarł do bramki bezpieczeństwa, pokazał przepustkę policjantom i zniknął w uliczkach starego miasta.

Benni schował ręce do kieszeni skózanego płaszcza i powoli się odwrócił. Stojąc przez moment, spoglądał na odzianego w czarną szatę chasyda pochylonego u stóp wysokiej ściany. Spojrzał na dach w północnej części placu, gdzie powiewały na wietrze izraelskie flagi, a wzdłuż attyk maszerowali uzbrojeni żołnierze. Odwrócił głowę w południową stronę i popatrzył na kamienny pomost, po którym opatuleni w galabije ludzie wspinali się do meczetu Al-Aksa.

Benni być może się zestarzał, ale Bliski Wschód na pewno nie. Tu czas się zatrzymał. Może i jest jakiś postęp - dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Czasami rozejm, zawarte niechętnie porozumienie, wymuszony pocałunek. Jednak jak w zapamiętłym małżeństwie zasadniczo nic się nie zmienia.

Schodząc po schodach, Benni wdychał zapachy jerozolimskich sosen. Nieznacznie się uśmiechnął i szepnął:

- To musi jeszcze trochę poczekać.